

Tan Sandi

Wyspa dusz

*Wszystkim moim duchom poświęcam.  
Wam także*

*Miej się na baczności, nadchodzi noc... Obmyj ręce,  
Idź swoją drogą, do domu, by zlec w łożu.*  
Comte de Lautréamont

*Pieśni Maldorora\**

**\* Przekł. M. Żurkowski, Wydawnictwo Mirecki 2004.**

# CZEŚĆ PIERWSZA

## NAWIEDZONA

Każdy, komu przyszło żyć tak długo jak mnie i zajmować się tym, czym ja się zajmowałam, dobrze wie, że kiedyś nadejdzie dzień zapłaty. Mój nadszedł cicho i niepostrzeżenie - w bibliotece.

Co sobotę, niczym kobieta regularnie nawiedzająca groby swoich bliskich, składałam wizytę pewnej książce w archiwum Ministerstwa Wojny. Ta książka była częścią mojej prywatnej historii, chociaż nigdy nie musiałam dbać o dochowanie tajemnicy. W 2010 roku archiwum, usytuowane nad popadającą w ruinę salą bilardową, jest miejscem mało znanym i jeszcze mniej lubianym.

Dzisiejszego ranka książka zniknęła. Nie ma jej na półce, w najbardziej zawilgoconym kącie zajmowanym przez dział zbrodni wojennych, gdzie zwykle stała, wciśnięta za encyklopedię ludobójstwa pokrytą wieloletnią warstwą kurzu. Sięgam za gruby tom i trafiam w próżnię. Panika ściska mi gardło jak matce, która przyjeżdża do szkoły po dziecko i stwierdza, że zniknęło.

Po chwili odzyskuję spokój. Dwie bibliotekarki zdejmują książki z półek. Wszystko, co nadgryzione zębem czasu - nieważne, czy to *Manifest Komunistyczny*, czy opracowanie na temat harakiri - jeśli wygląda źle, zostaje usunięte.

Ktoś zapyta: czyż archiwów nie powinno się zostawiać „na zawsze”? No cóż, w Azji pojęcie „na zawsze” nie istnieje. Tutaj wieczna jest tylko teraźniejszość.

Podchodzę do wózka, na którym leżą usunięte z półek książki. Wzbijając kurz, z nadzieją w sercu przerzucam egzemplarz za egzemplarzem. W końcu dostrzegam czerwoną obwolutę mojej książki, jej przydługi tytuł wytłoczony na grzbiecie nieco już zatartymi pozłaczanymi literami: *W pogoni za duchem: Dobrzy pasterze w postkolonialnym świecie*. Napisana przez dwoje Flamandów - Lucasa Van Ketsa i Marijke Jodogne - jest nieosiągalna, ponieważ nakład już dawno został wyczerpany. Przyciskam ją mocno do piersi.

Młodsza bibliotekarka, modnie ubrana dziewczyna z oczami obwiedzionymi grubą czarną kreską, która upodabnia ją do szopa pracza, stuka obcasami obszytych futerkiem butów. Przypatruje mi się z uśmiechem. Pewnie uważa mnie za starą dziwaczkę, bo któż inny nawiedzałby tak niestrudzenie to przygnębiające miejsce?

To istotnie dziwne, że czuję tak głębokie przywiązanie do książki, która nie budzi niczyjzego zainteresowania. Kiedy ukazała się w 1974 roku, nie

chciałam mieć z nią do czynienia. Autorzy postawili sobie za cel opisanie sytuacji w tak zwanym Trzecim Świecie po wyzwoleniu spod panowania Brytyjczyków, Francuzów i Holendrów. Sportretowali kolonizatorów jako czarne charaktery, nie na tyle jednak odrażające, by do cna popsuć samopoczucie zachodnim czytelnikom. W ostatnim rozdziale znalazł się krótki wywiad ze mną, pełen błędnie przytoczonych cytatów, ilustrowany bardzo niekorzystnym zdjęciem, na którym zbieram kości na cmentarzu. Jakby tego było mało, podpis pod zdjęciem brzmi: *Miejscowa dziewczyna praktykująca czary*.

Kiedy parę lat później autorzy książki zginęli w wypadku na łodzi, zła-godniałam i byłam gotowa wybaczyć im pomyłki w tekście. Mimo nich *W pogoni za duchem* było najbliższym prawdy i najpełniejszym podsumowaniem moich dokonań, moich niepowodzeń, dzieła mojego życia.

Dotykam twardej okładki, otwieram książkę. W nos uderza znajomy zapach stęchlizny. Przewracam kartki, by jak najszybciej dotrzeć do ostatniej części o Czarnej Wyspie, zwanej też Wyspą Dusz.

Ale... cóż to?

Moich stron nie ma. Ktoś je wyrwał. Zostały po nich tylko poszarpane brzegi przy marginesie.

A fotografia... Cała zabazgrana czarnym pisakiem. Gryzmoły tworzą gęstą pajęczą sieć. Ktoś dorysował mi twarz diabła.

Uginają się pode mną nogi. Książka wysuwa się z bezwładnych rąk i spada na podłogę. Serce wali mi jak młotem. Przed oczami migają na przemian czarne i białe plamy.

Musiałam wydać jakiś rozpaczliwy okrzyk, bo Szop Prac rusza ku mnie z wyrazem irytacji na twarzy. Wskazuję książkę otwartą na ziejącej ranie.

- Kto mógł zrobić coś takiego? - Wściekłość odbiera mi oddech. - Dlaczego...

Dziewczyna wzrusza niecierpliwie ramionami, schyla się po książkę i rzuca ją na wózek.

- I tak już się rozsypuje - mówi.

- Tak, rozsypuje się - odpowiadam. Wyciągam rękę, ściskam moją książkę ostatni raz i opuszczam bibliotekę.

W drodze do domu robię zakupy w hali targowej. Kiedy wychodzę przez rozsuwane drzwi, w powietrzu czuć aromat kasztanów. Ponad masywnymi szarymi budynkami niebo jest idealnie czyste - bezchmurne, niemal dwu-wymiarowe w swojej błękitnej monotonii - zupełnie jak przed dwudziestu

laty, kiedy przeprowadziłam się tutaj, by kontynuować moje prywatne dociekania.

Wszystkiego najlepszego z okazji rocznicy...

Po niebieskim firmamencie suną dwa ciemne punkciki. Mkną ku sobie z przeciwnych krańców horyzontu po niewidocznej dla mnie linii. Stoję jak zahipnotyzowana. Widzę miłość czy śmierć? Jeden z nich na pewno gwałtownie skreśli. Nie może być inaczej.

Zderzają się czołowo i szepione spadają na chodnik z głuchym łoskotem kilka metrów ode mnie. W gmatwaninie czarnych piór dostrzegam dwa dzioby. To wrony.

Źle. Bardzo źle.

Przez wszystkie lata przeżyte w tym mieście nigdy czegoś takiego nie widziałam. Trudno uciec przed myślą, że mają z tym coś wspólnego brakujące strony mojej książki, że odsłoniły ukrytą dotąd tajemnicę.

Ból znów rozsadza mi głowę. Muszę jak najszybciej dotrzeć do domu i się położyć. Mój lekarz mówi, że... Nieważne, co mówi lekarz. Co sił w nogach kieruję się w stronę skrót. Jest bezpieczny, dobrze oświetlony. Znam go jak własną kieszeń, każdy jego kamień, każdy załom muru.

Nagle za plecami słyszę pospieszne kroki. Coś trąca mnie w ramię. Pod wpływem impetu uderzenia wypuszczam z rąk torby. Podnoszę głowę i widzę biegnącą nastolatkę z wielkimi słuchawkami na uszach, przypominającymi pączki z dziurką. Nawet mnie nie zauważyła.

Zbieram rozsypane zakupy starej niewidzialnej dla innych kobiety, jaką się stałam: bochenek chleba, pudełko margaryny, dziesięć tabliczek gorzkiej czekolady, dwie torebki suszonych śliwek i karton jajek, niestety potłuczonych. Zostawiam je szczerom.

- Wszystko w porządku?! - woła z okna kobiecy głos. A przynajmniej tak mi się wydaje.

- Tak - kłamie. - Nic się nie stało.

Trzask, zamek, rygiel, łańcuch. Nareszcie w domu.

Rozbieram się i odkręcam gorącą wodę. Leci tak długo, aż para pokrywa lustro. Teraz tylko tak jestem w stanie patrzeć na swoje odbicie.

Cóż to za wyschnięte mango wiszące po obu stronach mostka? Kiedyś były piersiami. Nogi? Aseksualne koślawe lichtarze. Nazwanie szarej obwisłej skóry na ramionach skrzydłami nietoperza byłoby aktem wspaniałomyślności. A przecież nie mogę się skarżyć. Właściwie nie powinnam już żyć.

Zanurzam się w wannie, przypominając sobie dzisiejsze niezwykle znaki. Czyżby omen? A może starość robi ze mnie nerwową wariatkę?

W chwili, w której wychodzę z wanny, rozdzwania się telefon. Ostatnio zdarza się to rzadko. Los odebrał mi przyjaciół i znajomych. Więc nie reaguję. A telefon dzwoni i dzwoni.

Po dziesiątym sygnale włącza się automatyczna sekretarka. Słyszę kobiecy głos o nieokreślonym akcencie. Południowoafrykańskim? Holenderskim? A może uczyła się angielskiego, oglądając *Dźwięki muzyki*? Przedstawia się. Jest profesorką. Imię: Mary. Nazwisko: Maddin. Potem dodaje nieco zbyt swobodnie: „Jestem pani wielbicieleką”.

Przechodzi mnie nagły dreszcz.

„Dobrze wiem, że w pewnych kręgach była pani legendą. A kiedy pani zniknęła... To tylko przydało pani tajemniczości. - Kobieta zawiesza na chwilę głos. - Od dawna chciałam z panią porozmawiać. Oczywiście najpierw musiałam panią znaleźć, co nie było proste, a potem zebrać się na odwagę, żeby zadzwonić, co było jeszcze trudniejsze”.

Jest w niej coś, co sprawia, że czuję się nieswojo. Jest zbyt przymilna. Na dodatek zbieżność tego telefonu z widzianym dzisiaj znakiem... Podnoszę słuchawkę i każę kobiecie *iść* do diabła.

- Ojej, to naprawdę pani? - W jej głosie pobrzmiwa rozbawienie.

- Skąd ma pani mój numer?

- Tego zdradzić nie mogę. Zła odpowiedź.

- Rozłączam się - ostrzegam.

- Nie byłoby lepiej, gdybym panią odwiedziła?

- Niech mi pani nie grozi!

Kobieta wzdycha, jakbym to ja sprawiała jej kłopot, a nie odwrotnie.

- Proszę tylko, żeby pani ze mną porozmawiała. Chodzi o pani życie.

- Moje życie?

- Proszę mnie wysłuchać. Piszę książkę o przesądach w Azji w dwudziestym wieku. A raczej o wpływie nowoczesności na miejscowe wierzenia.

- Porywa się pani z motyką na słońce.

- Co racja, to racja. - Chichocze, hymnie rozbroid. - Uderzyła mnie jedna rzecz.

Kiedy zaczynałam swoje poszukiwania, natykałam się na różne wzmianki o pani. Pozytywne i negatywne, w zależności od autora, większość miała jednak wydźwięk negatywny.

Czyżby mnie podpuszczała?

- Żeby było jasne: nie udzielam wywiadów. Proszę to przekazać swoim znajomym historykom.

- Madame, większość z nich sądzi, że pani już nie żyje. Ku mojemu zdziwieniu te słowa mnie ranią.

- Może tak jest?

- Ani przez moment w to nie wierzyłam. Tacy ludzie jak pani żyją wiecznie. - Zawiesza głos. - Postanowiłam więc panią odnaleźć - dodaje po chwili.

- Jak? - Zastrzegłam numer telefonu i pilnuję własnego nosa. Przed laty z rozmysłem zatarłam za sobą ślady. Mam wrażenie, jakby stało się to wieki temu.

- Pani nieobecność jest wyraźnym świadectwem pani obecności.

- Dość tych zagadek.

- Prowadziłam badania na trzech kontynentach. Odwiedziłam wszystkie najlepsze biblioteki. Pani imię pojawia się w kilku artykułach o tematyce ezoterycznej między tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim a tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym rokiem, zwykle w przypisie, zawsze z dopiskiem: *zagadkowa postać unikająca rozgłosu*. To mnie zaintrygowało. Musiałam dowiedzieć się czegoś więcej. W następnym roku ustaliłam tytuły kilku źródeł odnoszących się do pani. Nie do wiary, ale za każdym razem, gdy docierałam do jednego z nich, natrafiałam na czarną dziurę. Dosłownie. Biblioteka po bibliotece, książka po książce, linijka po linijce. Na trzech kontynentach. Każdy ustęp poświęcony pani był zamazany czarnym atramentem. A jeśli tekst na pani temat był dłuższy, brakowało całych kartek. Zostawał tylko ślad po ich wyrwaniu. A mówię przecież o archiwach z wysokim certyfikatem bezpieczeństwa. - Przejęta kobieta nabiera powietrza. - Ktoś obsesyjnie usiłuje wymazać panią z historii. Może to jeden człowiek, może jakaś grupa.

Z wrażenia przetykam ślinę.

- Wymazać mnie z historii? - powtarzam.

- Wszędzie. Nawet w internecie. Tam nie ma pani w ogóle. - Moja rozmówczyni zniża głos. - Gdziekolwiek w zeszłym roku szukałam wzmianki na pani temat, nie mogłam znaleźć niczego. Zniknęła pani ze wszystkich źródeł. Doszłam do wniosku, że gdyby pani naprawdę nie żyła, nikt nie zadałby sobie tyle trudu, by usunąć wszelkie ślady pani istnienia.

Dawno temu zgodziłam się zniknąć z kart oficjalnej historii Azji. To był układ mojego życia. Czyżbym teraz na dodatek zniknęła także z nieoficjalnych dokumentów?



- Powinnyśmy porozmawiać. W cztery oczy. Musimy się śpieszyć. Nadchodzi noc.

Czy to ostrzeżenie?

- Kim pani jest? Kto panią przysłał? - pytam.

- Ważniejsze, kim jest pani - odpowiada.

- Proszę mi powiedzieć, jak mnie pani znalazła, pani Maddin.

- Nie przez telefon... Kto jak kto, ale pani powinna to rozumieć. - Jej głos nabiera aksamitnego brzmienia, staje się konspiracyjnym szeptem. - Proszę, niech mnie pani przyjmie. Jestem jedyną osobą, która może...

Odkładam słuchawkę.

I natychmiast tego żałuję. Ta kobieta jest jedyną osobą, która może... co? Nagle chcę znowu usłyszeć sygnał telefonu. Jeśli ta Maddin jest tak uparta, jak twierdzi, na pewno znów spróbuje zadzwonić. Czekam. Czekam. I czekam.

Resztę wieczoru spędzam przy telefonie. Na wszelki wypadek ściszam płytę ze *Scenami dziecięcymi* Schumanna. Czekam na próżno. Czuję coraz mocniejsze ściskanie w żołądku.

Najpierw ta zniszczona książka, potem zderzenie wron, a teraz to. Wszystko w ciągu jednego dnia.

Znaki. Jeśli życie czegoś mnie nauczyło, to jednego: nie lekceważyć znaków. Jest coś dziwnego w sposobie, w jaki powiedziała: „Nadchodzi noc”. Jaki człowiek nauki tak mówi? Ona nie jest profesorką.

Gdyby był tu mój brat, powiedziałby, że moje złe przeczucia to efekt niestrawności, paranoja zrodzona z koniaku wypitego na pusty żołądek, poprawionego połową tabliczki czekolady. Lekarz zrugałby mnie za niezdrowe odżywianie się. Usłyszałabym, że przyspieszam tylko swoje wieńcowe tsunami. Nie miałoby racji. Zbliża się do mnie coś czarnego i toksycznego. Niemal czuję bijący w nos kwaśny zapach, gorące wyziewy palące mi gardło, serce, duszę. W takim razie to śmierć, powiedziałby mój brat. Być może. Ale przez lata patrzyłam śmierci w oczy i nigdy nie przyprawiało mnie to o takie mdłości. Nie, to coś bardziej niszczycielskiego niż śmierć. Czuję zło. Lepkie macki zła, które oplatają mnie, odbierając nadzieję na szczęśliwe zakończenie.

Przez lata przysporzyłam sobie wielu wrogów, zarówno wśród żywych, jak i wśród umarłych, dlatego odwet nie powinien mnie dziwić. A jednak dziwi. Złość, zawiść, żal - nie jestem wolna od tych uczuć, ale pierwszy raz od dwudziestu lat czuję strach. Wrócił do mnie, kobiety prawie dziewięćdziesięcioletniej, ciała mnie samej sprzed lat, który - jeśli wierzyć tej dziwnej Maddin - znika nawet z kart historii.

Przez dziesięciolecia bałam się tej chwili - dnia zapłaty - i wygląda na to, że oto nadchodzi.

Dzwonek rozbrzmiewa za dwadzieścia trzy trzecia nad ranem. Czyżby to ona? Sięgam po tasak leżący obok łóżka i kuśtykam do drzwi. Patrę przez wizjer. Nikogo. A przynajmniej nikogo, kogo można zobaczyć.

Kiedy wracam do łóżka, psy sąsiadów zaczynają przejmująco wyć ze strachu. Ciarki chodzą mi po plecach. Nie wiem, co gorsze - basowy skowyt ogara z mieszkania obok czy skomlenie szpiców na końcu korytarza, przypominające piski dzieci duszonych w łóżkach.

Zapalam wszystkie lampy, zapalam czerwoną świecę - pamiątkę z dawnych czasów, której nie dotykałam od lat. Kiedy spalała się szybko, wiedziałam, że dzieje się coś złego. Dzisiaj spala się błyskawicznie. Ogień pożera knot w ciągu pięciu minut. Zwykle trwa to cztery godziny. Rozsypuję przy drzwiach sproszkowane kości - rytuał z dawnych czasów - i intonuję zaklęcie, które zdradziła mi wiele księżyców temu przyjaciółka. Już jej nie ma.

W końcu siadam w bujanym fotelu z nożem na kolanach.

Po długim czuwaniu opadają mi powieki. Kiedy otwieram oczy, czuję podmuch powietrza. Charakterystyczny chłód, nieprzyjemny przeciąg, który znam aż za dobrze.

Nie myślę się. W ciemności dostrzegam zarys sylwetki nieproszonego gościa. Ma białe włosy, koszulę i spodnie barwy nagrobego kamienia.

Jego widok, po tylu latach, w tym mieście, przyprawia mnie o dreszcz. To człowiek, któremu wszystko zawdzięczam. Ale dlaczego tutaj? Dlaczego właśnie teraz? Do głowy nie przychodzi mi nic innego prócz pytania:

- Czego chcesz?

Jak niezliczoną ilość razy przedtem wbija we mnie spojrzenie głęboko osadzonych kaprawych oczu. Porusza ustami, odsłaniając drobne szpiczaste zęby. Jeszcze ludzkie, ale powoli przypominające zęby innych stworzeń.

„Jesteś teraz jedną z nas”, syczy jak wąż.

To nie jest zaproszenie, bym do nich dołączyła. To stwierdzenie.

Znika, zanim rzucam klątwę. Zabiera ze sobą połowę ciepła z pokoju i całe powietrze z moich płuc. Moja walka o oddech jest dowodem na to, że się myli. Nie jestem jedną z nich. Nadal żyję.

\* \* \*

Dziewiąta rano. Podnoszę słuchawkę, zanim wybrzmi pierwszy sygnał.

- Tak?

Kobieta od razu kontynuuje rozmowę, jakby poprzednia nie została przerwana.

- Chcę wysłuchać pani opowieści. Potrzebuję tego - mówi z naciskiem. Czuję na ramionach gęsią skórę.

- W zamian dam pani to, czego pani szuka - obiecuje. Moje serce o mało nie przestaje bić.

- Niczego nie szukam.

- Pani tropi. Właśnie to pani robi.

- Pani Maddin... - urywam, by się uspokoić. - Dlaczego moja historia tak panią interesuje?

Zastanawia się przez chwilę.

- Od zawsze czułam potrzebę zagłębienia pod powierzchnię. Odkrywania i chronienia prawdy tam, gdzie ludziom nawet nie przychodzi do głowy zagłębienie. I naprawienia wyrządzonych krzywd.

Naprawiać krzywdy? Zrobiłaby to dla mnie?

- Gdzie pani jest? - pytam.

- Hm... - odpowiada ostrożnie jak ktoś, kto dobrze zna niebezpieczeństwo płynące ze słów - ...niedaleko.

Niedługo zapadną ciemności.

- Niech się pani pośpieszy.

Profesorka mówi, że da mi to, czego szukam. Czyżby? Skąd w ogóle o tym wie? Chyba że... Na dodatek ten duch...

Biorę środek uspokajający i krzątam się po mieszkaniu - robię sobie kanapkę z nutellą, segreguję pranie, przygotowuję gorące mleko z suszonymi śliwkami, a moje serce przez cały czas wali jak oszalałe. Próbuję uciąć sobie drzemkę, ale nie mogę zasnąć. Niepostrzeżenie nadchodzi wieczór.

Rozsuwam zasłony w sypialni i wyglądam przez okno. W oknach sąsiednich wieżowców palą się światła. Dzieci pewnie rozmawiają przez komputer z nieznajomymi. Wyznają swoje grzechy. Jest coś poetyckiego w czuwaniu młodych, gdy ich rodzice śpią. Tak przypuszczam, chociaż tutejsza noc nigdy nie jest prawdziwą nocą, nie w romantycznym znaczeniu tego słowa. Niebo spowija pomarańczowa poświata, produkt uboczny istnienia sześciu tysięcy

wieżowców w metropolii przypominającej migocącą siatkę ciągnących się po horyzont poletek ryżowych.

W tej części świata ciemność nie istnieje już od dawna. Dla jednych to kompromis, dla drugich błogosławieństwo. Są nas miliony, żyjemy w takich samych mieszkaniach, pod wspólnym pomarańczowym niebem. Przez lata czułam, że ta anonimowość jest najlepszą fortecą, jakiej mogłabym sobie życzyć.

Niestety, anonimowość to nie unicestwienie. Jedno dotyczy teraźniejszości, drugie przeszłości, nigdy nie powinno się ich mylić. „Jesteś teraz jedną z nas”. Nie! Ja ciągle żyję!

Wiedziałam, że prędzej czy później moja przeszłość do mnie wróci. Jestem staroświecką kobietą ze starotestamentową wiarą w symetrię. Co się wzniosło, musi opaść. Każdemu działaniu odpowiada równe mu przeciwdziałanie. Życie za życie, oko za oko, ząb za ząb.

Profesorka i duch. Ona mówi mi, że znikam. On, że już jestem po tamtej stronie. Dwie strony tej samej monety.

Profesorka... Czy to możliwe, że niesie mi wyzwolenie? Czy opowiedzenie jej mojej historii uchroni mnie przed staniem się jedną z nich?

Muszę to zrobić. To moja największa nadzieja.

Grzebię w szufladzie z halkami w poszukiwaniu dyktafonu. Sama go sobie sprawiłam po obejrzeniu ponurego kanadyjskiego filmu o chorobie Alzheimera. Wkładam nowe baterie i nową kasetę. Wierzę w trwałość kaset. Zapewniają słowom długowieczność. Moja historia przetrwa. Przygotowując się do rozmowy, płuczę gardło, by oczyścić drogę prawdzie.

Moje niebieskie zęby szczerzą się do mnie w lustrze.

Pozwolę sobie rzucić pierwsze kamienie.

Przez całe moje życie ludzie próbowali pozbyć się mnie na różne sposoby, zniszczyć mnie publicznie i prywatnie, bezmyślnie i z przerażającą wyrafinowaną wrogością. Przez całe życie.

Nie pozwolę im wygrać. Nie wymażą mnie z historii.

Nie stanę się duchem.

## DZIECIĘCE DŁONIE

Dali mi na imię Ling. Najzwyczajniejsze ze zwyczajnych imion. Moja historia wcale nie zaczęła się w dniu moich narodzin, czyli trzeciego sierpnia 1922 roku, gdy nie różniłam się niczym od reszty wrzeszczących istot wyciągniętych z łona matki i przechodzących wspólną dla wszystkich skomplikowaną procedurę jedzenia i spania, nauki chodzenia i mówienia. Ponoć przyswoiłam sobie te umiejętności szybciej niż reszta dzieci, tak bardzo zależało mi na zdobyciu serca rodziców i wygraniu wyścigu z czasem, którego tylko ja byłam świadoma. Ten wczesny rozwój wcale nie oddaje mojego charakteru. Byłam tylko małym dzieckiem. A małe dzieci zwykle są nieciekawymi istotami.

Moja prawdziwa historia zaczęła się pisać latem 1929 roku, w dniu moich siódmych urodzin. Właściwie powinnam powiedzieć: naszych urodzin. Przyszłam na świat kilka minut przed moim bratem Li. Zawsze byłam przekonana, że wygrałam ten wyścig, ponieważ znalazłam się bliżej wyjścia, chociaż według akuszerki w łonie matki bezdusznie tyranizowałam słabszego bliźniaka. (Ach, te chińskie akuszerki, wiecznie nieprzychylnie dla dziewczynek!). Byłam bez wątpienia silniejsza od Li - płakałam głośniejsz, kopałam mocniej, ważyłam więcej - ręcę jednak, że w łonie matki nie było żadnych przepychanek czy złośliwego podkradania sobie pokarmu. Oczywiście kiedy Li pojawił się na świecie, drobny i chudy, z ledwie słyszalnym kwileniem -chłopiec, co za szczęście! - wszyscy dali wiarę słowom akuszerki i o stan brata obwinili mnie.

Zaraz po naszych narodzinach rodzice próbowali naprawić tę niesprawiedliwość. Nie mieli wpływu na to, co działo się w brzuchu matki, ale póki mieszkaliśmy razem, wynagradzali mu te urojone krzywdy. Spełniali wszystkie jego zachcianki, zawsze wybierał pierwszy. Od chwili, w której akuszerka obmyła ręce z krwi i chwiejnym krokiem zeszła po schodach, moje starszeństwo przestało się liczyć. Role zostały rozdzielone: Li przypadła w udziale rola bohatera, mnie - jego przybocznej.

Siedem lat później Li był energicznym chłopcem, urodzonym przywódcą, wyższym ode mnie o sześć centymetrów. On prowadził, ja podążałam za nim. Stał się moim obrońcą i dobroczyńcą. Kiedy dostawał ptysia z kremem, prosił o drugiego - dla mnie. Nie musiałam już *walczyć o swoje*, wybierać

czy wzdychać do czegoś. Przywykłam do bycia drugą, polubiłam nawet rolę jego cienia. Nie czułam wewnętrznej presji, by udowodnić swoją oryginalność czy dzielność. Nigdy nie powinno się lekceważyć szczęścia płynącego z niedoceny.

Li nie wyróżniał się wyglądem. Przypominał jednego z pospolitych przedwojennych chińskich chłopców z klasy średniej, noszących flanelowe koszule i sztruksowe spodnie, zawsze uśmiechniętych, zawsze roztaczających wokół siebie ledwie wyczuwalny zapach kredy. Mama zaplatała mi włosy w warkoczyki i ubierała mnie w bezrękawniki szyte z resztek flaneli i sztruksu pozostałych po skrojeniu koszul i spodenek dla Li. Nie mieliśmy żadnych znaków szczególnych, niczym się nie wyróżnialiśmy. Żaden mijający nas przechodzień nie zatrzymałby się na nasz widok i nie krzyknąłby ani z zachwytu, ani z przerażenia. Równie dobrze moglibyśmy być niewidzialni. Dwoje dzieci w bezkresnym morzu czarnowłosych głów i skośnych oczu. Dla mnie jednak Li był najładniejszym chłopcem w Chinach.

Jego rzeczy wypełniały cały dom: modele aut, tańczące niedźwiedzie, książki o samolotach i okrętach wojennych, wiele zamówionych w Ameryce.

- Co dostanę na urodziny? - pytał na długo przed tym ważnym dniem.

- Wszystko - brzmiała nieodmiennie odpowiedź mamy. - Wszystko, czego zapragniesz.

Co do mnie, to z radością przyjmowałam każdy dar - piórniki, szalik czy kapcie - więc nie przysparzałam rodzicom kłopotów. Do siódmych urodzin Li miał konwencjonalny gust. Rodzice zamawiali w sklepie z zabawkami statki, samoloty i pociągi, póki nie zdecydował ostatecznie, czego sobie życzy, ale tym razem trzymał wszystko w tajemnicy do ostatniego dnia. Widziałam, jak podchodzi do mamy i szepcze jej coś do ucha.

- Nie - odparła zdecydowanie mama i wbiegła po schodach na górę.

W tamtym czasie Szanghaj budził skrajne emocje. Dla jednych był Perłą Orientu, dla innych Siedliskiem Zła. Szanghaj albo się uwielbiało, albo nienawidziło. Stany pośrednie nie istniały. Mama należała do grupy nienawidzących tego miasta. Wychowała się w zamkniętej prefekturze Suzhou, otoczona przez służące - stare panny - które wpoili jej strach i niechęć do świata zewnętrznego. Bała się tak bardzo, że krępowanie stóp okazało się niepotrzebne. I tak nigdzie by nie uciekła.

Szanghaj tylko wzmógł jej niepokój. Nie zagustowała w żadnych przyjemnościach życia w wielkim mieście. Najlepiej czuła się w swoich małych ciemnych pokoikach, gdzie mogła do woli przeglądać katalogi. Jej naturalną

bladość, utrwaloną przez niewychodzenie z domu, uważano nawet za modną. Za swoją agorafobię płaciła jednak wysoką cenę. Z powodu mojej i Li szalonej miłości do słońca i natury cierpiała katusze. Był to dla niej jawny dowód porażki wychowawczej. Gdyby była dobrą matką, dzieci nie szukałyby okazji do zabawy poza domem.

Dlatego tak zraniły ją słowa Li, kiedy szepnął jej do ucha w dniu siódmych urodzin: „Zabierz nas do parku”. Na pewno uznała to za synowską krytykę jej słabości i poczuła się urażona tą złośliwością. Jej „nie” zabrzmiało w całym domu tym donośniej, że był to jedyny przypadek, gdy czegoś mu odmówiła.

Nasz dom przy Rue Bourgeat wyglądał jak porządny miejski dom klasy średniej. Przynajmniej z zewnątrz. Stał w dystrykcie francuskim, co było widowym znakiem naszej przynależności do szczęśliwego, kosmopolitycznego, burżuazyjnego świata Szanghaju. Miał wymagane białe ściany świadczące o tym, że stać nas na malarzy przeciwdziałających destrukcyjnemu wpływowi klimatu na kolor murów. Mieliśmy nawet bramę z kutego żelaza wzorowaną na tych z londyńskich Kensington Gardens, ozdobną barierę oddzielającą nasze schody od bezzębnych sprzedawców kumkwatów i liczi, przemierzających zakurzone trotuary. Strześliśmy naszych granic. Dla reszty świata byliśmy bezspornie klasą średnią, jednak w czterech ścianach naszego domu mieliśmy o wiele mniej powodów do zadowolenia. Byliśmy młodą rodziną, która z coraz większym trudem wiązała koniec z końcem.

Mimo ciężkiej sytuacji finansowej rodzice utrzymywali dwie nianie -siostrę Kwan i siostrę Choon - kucharkę oraz chłopca na posyłki. Powinam doliczyć też duet riksarzy, którzy byli na nasze usługi w tygodniu. Bez pomocy tych ludzi nie dalibyśmy sobie rady, ponieważ mama nie wychodziła z domu, a ojciec, bujający w obłokach idealista, przywiązywał tak niewielką wagę do spraw materialnych, że ledwie pamiętał nazwę naszej ulicy, nie mówiąc o adresie rzeźnika czy sklepu z przyprawami.

Z powodów praktycznych wydzierzawiliśmy pomieszczenie dla służby. Niewielka przestrzeń wypełniła się od podłogi po sufit damskimi sandałami marnej jakości (i cierpkim zapachem niskogatunkowej taniny), bo pan Wang, właściciel imperium obuwniczego przy pobliskiej Avenue Joffre, musiał gdzieś upchnąć nadmiar towaru. Straciwszy przestrzeń życiową na rzecz butów, nasi słudzy układali się do snu, gdzie mogli. Na lichych pledach obok stygnących piecyków z rusztem w kuchni, zwinięci w kłębek pod schodami. Mama zapewniała mnie, że takie warunki dla ludzi z niskich klas społecznych to i tak luksus. Twierdziła, że większość mieszkańców Szanghaju żyje

w zaszczurzonych dzielnicach nędzy nad brzegami brudnej Suzhou Creek albo tłoczy się w dżonkach, gdzie tylko najwięksi szczęściarze mogą położyć się na plecionych matach.

Spaliśmy na piętrze. Rodzice mieli własny pokój, w którym prócz ich piernata zmieścił się mosiężny nocnik i składany parawan z ręcznie malowanymi setkami żurawi w locie. Wiem, że ten obraz miał napełniać patrzącego spokojem, ale we mnie wywoływał strach. Dla mnie żurawie wyglądały tak, jakby uciekały przed katastrofą, przed trzęsieniem ziemi albo wyjątkowo cełnym strzałem myśliwego. Starsze dzieci, czyli Li i ja, zajmowaliśmy nijaki pokoik przylegający do pokoju rodziców, a nasze młodsze siostry, Xiaowen i Bao-Bao - co dziwniejsze, też bliźniaczki - spały w przedpokoju na składanym łóżku odziedziczonym po zmarłej na suchoty stryjecznej babce. Nikt nie chciał przyznać, że zmarła w tym łóżku, ale plamy na materacu stanowiły dla mnie niezbity, choć brutalny dowód na poparcie tego przypuszczenia.

Nad łóżkiem bliźniaczek wisiał olejny portret ślubny naszych rodziców rozmiarów rozłożonej gazety, oprawiony w pozłacane ramy. Byli ubrani według najnowszej zachodniej mody. On na swój skromny sposób zadziwiająco szykowny w garniturze z fularem, ona w białej koronce bardziej niż zwykle podobna do woskowej lalki, zupełnie jakby ktoś wyrzeźbił ją z ogromnej świecy, po czym obsypał pudrem i różem. Wyglądała, jakby błędziła gdzieś myślami, pozując z lekkim półuśmiechem, a raczej wykrzywieniem warg. Nieżyczliwa ciotka musiała jej podpowiedzieć, że to właściwa poza do ślubnej fotografii. Ten wizerunek mamy budził mój niepokój. Ilekroć przechodziłam korytarzem, wodziła za mną oskarżycielskim spojrzeniem, jakby wiedziała, że pewnego dnia ją rozczaruję.

W przeciwieństwie do swojej matki, a mojej babci, słynnej piękności z Suzhou, mieście znanym z urody kobiet, moja mama nie była piękną. Z wyłupiastymi oczami i cofniętym podbródkiem przypominała nieco kijankę, i aby zamaskować te defekty, spędzała przed lustrem długie godziny na układaniu fryzury przed każdym lunchem i koktajlem. Ku zdziwieniu nowych znajomych i ku irytacji starych prawie zawsze w ostatniej chwili rezygnowała z wyjścia i zostawała w domu. Cierpiały na tym przyjaźnie, a także jej pewność siebie.

Przez lata jej strach i niska samoocena współdziałały tak dobrze, wzmacniając wzajemnie swoją złowrogą siłę, że zniszczyły mamie życie towarzyskie. Ten brak rekompensowała sobie na innym polu, poświęciła się bowiem bez reszty prowadzeniu domu. Stała się zrzędliwą nadzorczynią, która wstawiała o szóstej rano i ubrana jak na bal zaczynała dyrygować służbą. Z jej krzyków



i bieganiiny po domu wnioskowałam, że własne dziwactwa niesłuchanie ją mę-  
czą. Bardzo zależało jej na tym, by sąsiedzi uważali ją za dobrą gospodynię, a jej  
dzieci za aniołki. A ponieważ jej wysiłki odnosiły skutek, nie zakiełkowało im w  
głowach nawet najmniejsze podejrzenie, że jesteśmy borykającym się z  
przeciwnościami losu stadłem dowodzonym przez pseudointelektualistę, którego  
profesja nauczycielska skazuje rodzinę na klepanie biedy.

Ojciec z trudem radził sobie z rolą głowy rodziny. Pamiętam jego wiecznie  
zasznurowane usta, mocno zaciśnięte wąskie wargi, na wypadek gdyby chciała z  
nich wyskoczyć smażona ryba drażniąca mu wnętrzności. Sama myśl o rodzinie  
przyprawiała go o ból głowy, a prawdziwe życie rodzinne doskwierało mu  
jeszcze bardziej. Kiedy bliźniaczki zaczynały wrzeszczeć, załamywał ręce jak  
kobieta, po czym wychodził na długi spacer albo nastawiał płytę, zwykle z  
niemiecką operą. Nie znał niemieckiego, dlatego nie czuł się przytłoczony.  
Patrząc wstecz uważam, że nasz biedny ojciec nie był przygotowany na tak duże  
wyzwanie, jakim była wiecznie niezadowolona i kosztowna żona, a także na  
dodatkowe utrapienia w osobach czwórki dzieci i gromadki humorzastych  
służących. Przypominający bociana, od kontaktów z domownikami wołał święty  
spokój. Najlepiej czułby się, pędząc życie średniowiecznego uczonego księcia,  
który opuszczałby swój pawilon od wielkiego dzwonu, by rozprostować chude  
nogi, gładził brodę i sączył herbatę Huangshan Mao Feng, zebraną przez  
posłuszne makaki. W innym wszechświecie ojciec siedziałby na szczycie stromej  
góry i uczył się na pamięć starych wersetów zapisanych na tysiącletnich zwojach,  
zamiast ścierać wymiociny czy martwić się o rachunki.

Dziwne, ale moich rodziców uważano za bardzo nowoczesną parę. Pobrali się z  
własnej woli i to w czasach, gdy cały kontynent trzymał się tradycji małżeństw  
aranżowanych przez makiawelicznych ojców i wścibskie ciotki -dwie kozy za  
córkę i tym podobne transakcje. Rodzice byli chyba przekonani, że się w sobie  
zakochali. Niestety, nieprzygotowani na konfrontację z rzeczywistością,  
dokonali wyboru najgorszego z możliwych. Jang opanowanego ojca i jin  
porywczej mamy zamiast się uzupełniać, w ogóle do siebie nie pasowały, co  
nieuchronnie prowadziło do małżeńskiej katastrofy.

Już jako dzieci zdawaliśmy sobie sprawę, że nasi rodzice tworzą osobliwą parę.  
A jednak z ich związku narodziłam się ja i moje rodzeństwo: brat bliźniak i  
młodsze siostry bliźniaczki. Xiaowen i Bao-Bao w dwójnasób rekompensowały  
nam wady naszych rodziców. Dziewczynki o różowych policzkach śpiewały i  
baraszkowały po całych dniach z atlasowymi kokardami we włosach. Były  
moimi maskotkami, moimi najwierniejszymi sprzymierzeńcami

w domu, ich obecność niepomiaralnie mnie uszczęśliwiała. Wmówiłam sobie, że są zaczarowanymi Brzoskwiniowymi Dziećmi rodem ze starych ludowych opowieści, z owocowym mięszem zamiast ciała, co sprawiało, że były siedem i pół raza cudowniejsze niż ich ludzkie odpowiedniki i odporne na wszelkie śmiertelne zagrożenia, o ile zawsze były razem.

Wszyscy trzymaliśmy się tego, czego mogliśmy. W tamtym czasie ja uczepiłam się idei niewinności i czystości bliźniaczek, a one czepiały się moich nóg każdego ranka, gdy szykowałam się do szkoły, i wołały: „*Jiejie*, nie idź! Nie zostawiaj *nas, jie, jiel*!”. Chciały mieć mnie przy sobie w domu, gdzie mogły osłonić mnie przed niebezpieczeństwem swoimi pokrytymi meszkiem ramionkami. Wychodziłam do szkoły z ciężkim sercem. Nie powtarzały ślepo słów mamy o złu czyhającym za progiem domu. Na swój dziecięcy sposób bliźniaczki przypominały mi, bym nie nabrała zbytnej odwagi i nie zapomniała, że nie jestem bohaterką własnej opowieści. Jeszcze nie.

Li poszedł na górę poszukać mamy. Ja za nim. Zawodziliśmy i jęczeliśmy, znajdując w tym osobliwą przyjemność. Mama pytała, dlaczego tak jej dokuczamy. Może jesienią pójdziemy do parku, ale teraz to wykluczone. Jest lato, kto wie, jakie groźne bakterie fruują w powietrzu? A tak w ogóle, to czy nie moglibyśmy znaleźć sobie jakiegoś ciekawego zajęcia w domu?

Znaleźliśmy więc sobie zajęcie, przynajmniej na chwilę. Nikt nie zwracał na nas uwagi. Ojciec był w szkole. Na piętrze mama krzyczała na służące. Kucharka drzemała w ratanowym fotelu, a chłopiec na posyłki jak zwykle gdzieś się zapodział. Upewniwszy się, że nikt nam nie zagraża, zakradliśmy się do gabinetu ojca - pomieszczenia nie większego od schowka na przybory do sprzątanania i bardziej zagraconego - i podeszliśmy do akwarium z jego ukochanymi złotymi rybkami. Nosiły imiona Wu Song i Wu Dalang, po dwóch braciach z *Water Margin*, ulubionej chińskiej powieści ojca. Li wrzucił do wody dziesięć ząbków czosnku, a rybki rzuciły się na nie łapczywie. Z nerwowym chichotem czekaliśmy na efekty.

Zgodnie z naszymi oczekiwaniami pierwsze bąbelki wydostały się spod ogona Wu Songa - jego system hydrauliczny pracował sprawniej. Po nich nastąpiła seria solidnych bąbli, które zaskoczyły obie ryby. Powietrze uchodziło z ich drugiego końca, nadając im rakietowego przyspieszenia. Niczym świetliste pociski uderzały w ścianę akwarium. Im większa emisja bąbli, tym większy impet zderzenia ze szkłem. Prrrt! Bum! Prrrt! Buuum! Już Przedtem Li wiele razy karmił je czosnkiem, a jednak ciągle dawały się nabierać. Po kilku minutach wzdęcie minęło. Wu Song i Wu Dalang wróciły

do bezmyślnego pływania w kółko, zupełnie jakby nic się nie wydarzyło. Li znów zaczął trawić niepokój.

Mama pisała list, ale my byliśmy bezlitośni w swoich żądaniach. Zmęczona smętną pantomimą Li, który rzucał tęskne spojrzenia na okno, i moimi znaczącymi westchnieniami, w końcu dała za wygraną i przywołała siostrę Kwan.

- Weź ich do parku - poleciła. - Nigdzie indziej nie chodźcie. Trzymaj ich za ręce, nie puszczaj. I chowajcie się przed słońcem!

Kiedy siostra Kwan kiwała głową, dostrzegłam łzy błyszczące w jej kantońskich świdrujących oczach. Biedna dziewczyna łatwo dawała się zastraszyć. Chciałam jej powiedzieć, że mama więcej warczy niż gryzie, czułam jednak, iż nie powinnam. Nielojalnością byłoby trzymanie strony pomocy domowej. Druga niania, siostra Choon, starsza i bardziej ponura, miała zostać w domu i doglądać dziewczynek. Do dziś pamiętam jej naburmuszoną minę, gdy zamykała za nami drzwi.

Po wyjściu z domu zapytałam Li:

- Dlaczego park?

- Chciałem sprawdzić mamę.

- Po co?

- Żeby się przekonać, czy naprawdę mnie kocha, i -Ico?

Posłał mi spojrzenie, którego nie umiałam rozszyfrować.

Jak wiele zielonych terenów we francuskiej części miasta, Paradis des Enfants cieszył oko starannością utrzymania. Jediną różnicą była skala -wszystko zostało tam pomniejszone z myślą o dzieciach, i to z perwersyjną wręcz konsekwencją. Krzewy rosły w zasięgu raczkujących maluchów, wszystkie kwiatki były na tyle krótkie, by każde *enfant* mogło je powąchać. Lampy gazowe na modłę paryskich sięgały siostrze Kwan do podbródka, a ławeczki sprzyjały małym spacerowiczom. Nic nie przekraczało metra osiemdziesięciu, nawet drzewa. Tym, które wystrzeliły wyżej, przycięto czubki. Teren tego małego Wersalu był spokojny i bezpieczny, pod każdym względem gotowy na przyjęcie niepewnie trzymających się na nóżkach dzieci.

Przedtem byliśmy w Paradis dwa razy. Przypatrywaliśmy się europejskim dzieciom z naszej dzielnicy. Podskakiwały radośnie w nakrochmalonych marynarskich ubrankach, jadły lody, lizaly lizaki, a wokół nich uwijały się nianie w różnym wieku, napominając je błagalnie łamaną francuszczyzną: *No runnee!* Dzisiaj było podobnie. Tłum rozpieszczonych diabłat straszyl gołębie piskiem i wrzaskami i wtykał papierki po słodyczach w krzewy morwy.

Patrzyłam na Li, który uważnie je obserwował. Pośrodku parku mieścił się okrągły ogród różany, otoczony budzącym respekt ogrodzeniem zakazującym wstępu „Chińczykom i psom”. Mimo iż siostra Kwan wyjaśniła nam, że to dla naszego bezpieczeństwa - „te czerwone róże karmią się krwią chińskich dzieci!” - spojrzenie Li zdradzało zazdrość. Nie spuszczał oczu z dzieci. Ja też zazdrościłam małym cudzoziemcom, ale moja zazdrość dotyczyła czegoś innego. Większość z nich biegała bez nadzoru. Uświadomiłam sobie wtedy, że w moim siedmioletnim wówczas życiu nigdy nie chodziłam - nie mówiąc o bieganiu - w miejscu publicznym bez gorliwej opieki osoby dorosłej, która tak mocno trzymała mnie za rękę, aż robiła się śliska od potu. Zupełnie jakbym miała zniknąć w chwili, gdy tylko mnie puści. Właśnie to w moim mniemaniu odróżniało Chińczyków od Europejczyków bardziej niż wzrost i kolor skóry. Oni zawsze mieli wolne ręce.

Podczas gdy uprzywilejowani kłębili się w ogrodzie różanym, my pozostaliśmy z pospółstwem. I wymyśliliśmy zabawę. Siostra Kwan miewała zawroty głowy. Wpadliśmy na pomysł, jak wywołać u niej taki zawrót. Zaczęliśmy z Li biegać wokół niej niczym dwa bliźniacze silniki przymocowane do jej nadgarstków. Po kilku okrążeniach nasza karuzela musiała usiąść. Chwiejnym krokiem poszła pod klon japoński, ku naszej radości westchnęła ciężko, po czym straciła przytomność. Przed nami otworzyły się miliony możliwości. Wejść między krzewy morwowe i policzyć papierki po słodyczach? Wetknąć patyki we włosy siostry Kwan? Co powinien zrobić siedmioletni chłopiec wraz ze swoją posłuszną współpracowniczką?

Ktoś inny odpowiedział na to pytanie. Chińczyk, ogorzały i szczupły jak ludzie z południa. Był bardzo stary. Chyba nigdy przedtem nie widziałam równie starego człowieka. Miał tysiące zmarszczek, długą siwą brodę i czarną wełnianą czapkę, choć był środek lata. Dzierżył w dłoni cynobrową laskę, której wcale nie potrzebował, ponieważ chód miał zaskakująco zwawy, jak na człowieka w tym wieku. Laskę zdobiły wyryte sylwetki setek par splecionych w jednym wspólnym uścisku, sięgającym od jej podstawy do samej rączki. Wszystkie postacie sprawiały wrażenie pogrążonych w ekstazie. Nie mogłam oderwać od nich oczu. Gdy starzec pochylił się, by ucisnąć nasze brudne dłonie, z kieszonki jego kamizelki wypadł lśniący zegarek na łańcuszku. Na widok zegarka Li zaświeciły się oczy.

- Witajcie, mali przyjaciele - powiedział nieznajomy. Miał cudowny akcent, który w moich uszach brzmiał jak najczystszy mandaryński, nieskażony śpiewną intonacją szanghajskiego dialektu. - Zastanawiam się, czy mogę was prosić o przysługę.

Nie czekając na odpowiedź, ruszył przed siebie. Klepnęłam Li w ramię. Spojrzeliśmy na siostrę Kwan. Nadal leżała nieprzytomna pod drzewem. Szliśmy za naszym nowym przewodnikiem, który sadył przed siebie wielkimi krokami. Na jeden jego krok przypadały trzy albo cztery nasze. Kiedy minęliśmy miejsca nam znane - ogród różany, a nawet żywopłotowy labirynt, do którego wchodzili tylko potajemni kochankowie - złapałam Li za rękę.

Mężczyzna nieoczekiwanie przystanął. Odwrócił się i spojrzał wprost na mnie.  
- Nie bój się - powiedział. W jego ustach zabrzmiało to jak polecenie, nie zaś przyjacielskie podtrzymanie na duchu. - Jak chcesz odkryć nowe rzeczy, skoro ciągle się boisz? Strach to nasz największy wróg.

Li wyrwał dłoń z mojej ręki i posłał mi gniewne spojrzenie.

- On ma rację. - Siódme urodziny dały mu chyba złudzenie wielkiej mocy. W innej sytuacji kopnęłabym go w piszczel, żeby mu przypomnieć, że jestem jego starszą siostrą, ale znaleźliśmy się na obcym terenie. Szliśmy za dziwnym człowiekiem, a ten dziwny człowiek prowadził nas coraz dalej i dalej w nieznaną. Miałam cichą nadzieję, że siostra Kwan ocknęła się i już nas szuka.

Dotarliśmy do małej ciemnej szopy bez okien w odległym zakątku parku. Może była to szopa ogrodnika. Po wysokości drzwi zorientowałam się, że w przeciwieństwie do wszystkiego innego w Paradis des Enfants, ta chata powstała z myślą o dorosłych. Na zardzewiałej kłamce wisiała olbrzymia staromodna kłódka. Ucieszyłam się w duchu, że nieznajomy jej nie rusza. Po chwili moje serce zamarło. Za szopą dojrzałam kamienny mur wysokości trzech metrów. Gdyby coś poszło źle, nie mielibyśmy dokąd uciec.

W powietrzu wisiał wilgotny odór nawozu. Przypominał smród ścieków, był jednak bardziej intensywny i nieznośny. Rozejrzałam się. Oprócz nas nie było tam żywej duszy. Odległy śmiech dzieci brzmiał jak brzęczenie komarów. Czując ściskanie w żołądku, wyciągnęłam rękę do Li.

- Wracajmy - szepnęłam, licząc, że stary mnie nie usłyszy. Pomyliłam się. Westchnąwszy ciężko, pokręcił głową, po czym zwrócił się do Li i tylko do niego:

- Młody człowieku, wyglądasz na chłopca o zdolnościach przywódczych. Nie pozwól, by dziewczynka napełniła twoje serce bojaźnią. Musisz być dzielny i silny. Nie możesz mnie zawieść.

Wtedy usłyszeliśmy płacz dziecka. Dobiegał z niewidocznej przestrzeni między szopą i murem. Nieznajomy uniósł palec, dając znak, byśmy zaczekali, i ruszył ku źródłu dźwięku. Staliśmy bez ruchu, wymieniając niespokojne spojrzenia.

Po chwili rozległo się jego wołanie:

- Chłopcze!

Li poszedł za jego głosem.

Nie miałam wyjścia, ruszyłam za bratem. Bałam się widoku dziecka, ale jeszcze bardziej bałam się zostać sama. W cieniu temperatura była znacznie niższa.

Nasze oczy potrzebowały dłuższej chwili, by przyzwycząić się do ciemności. U naszych stóp leżała płytką rynna wyłożona miękkim ciemnym mchem. Miałam wrażenie, jakbyśmy nagle znaleźli się w jaskini. Płacz stał się donośniejszy i bardziej przenikliwy, jakby istota wydająca te dźwięki wyczuła naszą obecność i chciała nas ponaglić.

Zjeżyły mi się włoski na rękach, serce przyspieszyło. W rynnie poruszyło się coś szarego. Napotkałam spojrzenie jasnoniebieskich oczu i zamarłam.

To był maleńki kotek. Niewiele większy niż kłębek przędzy. Miał wyli-niałe futerko, które odsłaniało placki gołej skóry. Jego tylne łapki były wygięte w taki sposób, że od razu wiedziałam: są złamane w kilku miejscach.

- Łobuzy z sąsiedztwa - powiedział nieznajomy z ciężkim westchnieniem. - Wiejscy chłopcy nie mają nic lepszego do roboty. - Nietrudno mi było podzielić jego smutek. Powiedział, że kotek należy do niego i ma na imię Xiao Huangdi, czyli Mały Cesarz. - Serce mi pęka na widok jego męki. Pragnę skrócić mu cierpienia. Ofiarować mu spokój, na jaki zasługuje. To jedyne słuszne wyjście. Rzecz w tym - tu zwrócił się do Li - że to zadanie dla dziecięcych dłoni.

Niczym żołnierz meldujący się swojemu dowódcy, Li oderwał się ode mnie i zrobił trzy kroki w stronę rowu. W tym momencie poczułam, jak nasze więzy krwi które zawsze uważałam za coś oczywistego, nie tylko słabną, lecz wręcz pękają, a w ich miejsce pojawia się wielka niewiadoma. Pierwszy raz w życiu dotknęła mnie straszliwa samotność. Zebrało mi się na wymioty. Dławiło mnie w gardle.

Spokojnie - za spokojnie - Li ukucnął, by przyjrzeć się kotkowi. Położył mu rękę na łebku, pogłaskał po maleńkich uszkach, a potem podniósł za skórę na karku. Biedne stworzenie wyczuło niebezpieczeństwo i zaczęło Przebierać w powietrzu połamanymi łapkami, rozpaczliwym miauczeniem błagając o życie. Jak to możliwe, że Li tego nie widział i nie słyszał? Posłał staremu człowiekowi lekki uśmiech, zupełnie jakby pozował do ostatniej fotografii ze swoim ulubieńcem.

- Proszę pana, co mam robić? - zapytał. Jego gotowość zadowolenia nieznajomego wzbudziła we mnie jeszcze większą odrazę. Głos Li był słodki jak melasa.

Kotek spojrzał na mnie. Z oczu popłynęły mu łzy. Gdyby ktoś powiedział mi wtedy, że to stworzenie ma człowieczą duszę, uwierzyłabym bez zastrzeżeń. Widziałam nie ślepka głupiego stworzenia, lecz błagalne oczy czującej inteligentnej istoty, tragicznie świadomej tego, co się dzieje, jednocześnie niezdolnej temu zapobiec. Brak równowagi sił sprawił, że kotek nie mógł się bronić, ale jego odczucia niczym nie różniły się od naszych. Widok tych oczu towarzyszył mi potem przez lata. To były oczy kogoś przerażonego i umierającego w samotności.

- Braciszku, nie! - krzyknęłam. Li nie zareagował. Albo ogłuchł, albo mój krzyk był mu obojętny. - Nie rób mu krzywdy! Proszę!

Stary człowiek nie spuszczał Li z oka. Chłodnym beznamiętnym głosem wydał polecenie:

- Skręć mu kark. Szybko i stanowczo. Mój brat skinął poważnie głową.

Kotek walczył, gdy palce Li zaciskały się wokół jego szyi. Mój brat zabijał niewinne stworzenie tymi samymi miękkimi dłońmi, które trzymałam przed kilkoma minutami. Dziecięcymi dłońmi.

Nie mogłam do tego dopuścić. Rzuciłam się do przodu, by wyrwać mu kotka, lecz chwilę potem leżałam na trawie. To był nieznajomy. Nawet nie zauważyłam ruchu jego rąk.

Miauczenie nieco ucichło, chociaż przerażenie zwierzątka narastało. Podniosłam się z ziemi i wydałam długi przeszywający krzyk, by zagłuszyć jego przerażenie. Mimo to do moich uszu dobiegł delikatny trzask. Po nim zapadła cisza. Zerknęłam na Li. Szare futerko zwisało bezwładnie w jego dłoniach. Li opuścił ręce, a ciało upadło na ziemię.

Stary człowiek skinął mu głową z ojcowską aprobata i wyjął z kieszeni niewielki dysk owinięty lśniącym złotkiem. Wystarczyła chwila i wiedziałam, co to jest: cukierek mleczny, jeden z tych, które pożeraliśmy wzrokiem z czołami przylepionymi do sklepowych wystaw. Wciąż nam powtarzano, że są za drogie dla takich dzieci jak my.

- Chłopcze, dziękuję za czas, jaki mi poświęciłeś. I za odwagę. - Mężczyzna wręczył nagrodę Li, który przyjął ją z wdzięcznością. Potem odwrócił się do mnie.

- Dla ciebie nic nie ma - oznajmił z wyniosłym uśmiechem.

W takich sytuacjach Li zwykle protestował w moim imieniu. Dzisiaj było inaczej.

Stary człowiek schylił się i podniósł martwego kotka. Płynnym ruchem złożył mu łapki i wsunął go do kieszeni spodni niczym brudną chusteczkę do nosa. Tą samą splamioną śmiercią ręką poklepał Li po głowie, zanurzył

palce w jego gęstych włosach i rozcapierzył je, obejmując całą czaszkę jak w geście błogosławieństwa. Li przymknął oczy i odchylił głowę do tyłu.

Kiedy otworzył oczy, na jego twarzy malował się wyraz błogości. Nigdy nie zapomnę tamtego spojrzenia, tamtej skazy.

Stary człowiek machnął ręką i się uśmiechnął.

- Teraz możesz iść.

Li spojrzał na mnie. Chłód w jego oczach bardzo mi się nie podobał. Żałowałam, że nie posłuchaliśmy mamy i doprowadziliśmy siostrę Kwan do utraty przytomności. Niestety, pierwszy raz w życiu nie mogłam podzielić się swoimi odczuciami z bratem.

- Ani słowa o tym - kazał mi przysiąc, gdy biegliśmy z powrotem, a on przyciskał cukierek do piersi niczym najcenniejszy talizman. - I nie licz na to, że się z tobą podzielę.

Nie miał powodu, by bać się o cukierek. Nie chciałam ani kawałka. Chciałam odzyskać dawnego brata.

Musiałam zwolnić, żeby Li za mną nadążył. Przemoc odebrała mu siły. Od czasu do czasu przystawał, by złapać oddech. Wokół jego oczu pojawiły się sine obwódki, takie same, jakie często widywałam u głodnych żebrzących dzieci. I pachniał inaczej. Już nie kredą i czystością, lecz czymś kwaśnym, jakby octem ryżowym. Czy to samo miało spotkać mnie? Czy siódme urodziny oznaczały mniej energii i nowy zapach? Nie, przecież biegłam zwykłym tempem i pachniałam jak zawsze. Zmiany dotknęły tylko Li.

Siostrę Kwan zastaliśmy tam, gdzie ją zostawiliśmy. Zdążyła ochrypnąć od wykrzykiwania na przemian naszych imion. Miała zaczerwienione ze zmartwienia oczy, z jej luźnego koka wysunęły się czarne kosmyki, które przywarły do mokrych od łez policzków. Wtedy pierwszy raz dotarło do mnie, jaka jest ładna. W innym, może lepszym świecie, zostałyby pewnie zabawką jakiegoś bogacza. Na nasz widok wyciągnęła ręce, a potem przytuliła nas mocno do piersi. Czulałam, jak drży. Dzięki temu mogłam ukryć, że sama dygoczę.

Siostra Kwan nigdy nie powiedziała mamie o swoim omdleniu i naszej samowolnej wycieczce. Co więcej, dotrzymałam przysięgi: nigdy nie puściłam pary z ust na temat starego mężczyzny, kotka i cukierka. Prócz Li i mnie, i może jeszcze niewidzialnych strażników kosmosu, dla innych tamta historia w ogóle się nie wydarzyła.

Dlaczego wspominam o strażnikach kosmosu? Ponieważ gdy dzień, w którym mój brat bliźniak i ja staliśmy się odrębnymi ludźmi, ustąpił miejsca nocy, ujrzałam pierwszego ducha.



## DZIECIĘCE STOPY

Po powrocie z Paradis zastaliśmy rodziców pogrążonych w rozmowie. Żadne z nich nie zauważyło ani moich zadrapań na rękach, ani plam na sukience, ani nietypowego dla Li zmęczenia. W pierwszej chwili byłam szczęśliwa, że jestem w domu. Szczęście ustąpiło miejsca konfuzji, gdy usłyszałam padające z ust rodziców nazwy obcych miejsc w hindi, khmerskim i malajskim, które nasuwały myśli o wielkich odległościach, pocie, rozkładzie i dżungli. Z tonu ich głosów domyśliłam się, że rodzice nie omawiają wakacyjnych planów. O czym rozmawiali, nie miałam pojęcia.

Li padł na kanapę w salonie. Zaproponowałam, że przyniosę mu szklanek mleka.

- Wynoś się - warknął, odwracając głowę. - I zawołaj siostrę Choon.

Później, leżąc już w łóżku, biłam się z myślami. Może w parku powinnam okazać większą stanowczość? Mogłam się nie dać, odegrać rolę starszej siostry. Mogłam powstrzymać Li przed pójściem za tym starym człowiekiem, przed wzięciem na ręce - delikatne, ciepłe ręce - tego bezbronnego kotka. Mogłam zarządzić, że weźmiemy biedne stworzenie do domu, zamiast stać tam jak słup. Okazałam się pożałowania godną beksą, porażoną nagłą myślą, że jej więź z bratem bliźniakiem nie jest tak silna, jak dotąd sądziła. My tylko sprawialiśmy wrażenie przywiązanych do siebie, ponieważ coś nieustannie trzymało nas razem - a to żelazny uścisk siostry Kwan, a to ściany domu naszej matki, a to wąskie łóżko, które dzieliliśmy. Był tylko jeden sposób, żebyśmy się na nim pomieścili: musieliśmy spać plecami do siebie.

Li spał słodko jak niemowlę. Najwyraźniej zdążył już zapomnieć o dzisiejszej przygodzie. Miał na sobie nową piżamkę z niebieskiego atłasu, urodzinową niespodziankę od mamy, z rękawami i nogawkami na wyrost, by wystarczyła co najmniej na rok. W księżycowej poświacie przypominał opalizującego węgorza na dnie oceanu. Spomiędzy jego zaciśniętych palców wystawał kajmakowy dysk. Kompas z innego świata prowadzący go ku nowym miejscom, już beze mnie.

Ubrana w starą piżamę - nowej nie dostałam - wierciłam się i kręciłam, nie mogąc zasnąć. Powietrze było ciężkie i duszne. Nie mogłam oddychać.

Letnie noce w naszym domu przypominały piekło na ziemi. Z obawy przed zarazą mama po zmierzchu kazała zamykać wszystkie okna. Nagrzane

w ciągu dnia powietrze nie miało ujścia i zamieniało dom w grobowiec. W lipcu i sierpniu w powietrzu wisiała wilgoć, a ściany wydzielaly woń ludzkiej stęchlizny gromadzonej tam przez stulecia - wyobrażałam sobie, że tak właśnie pachnie ostatnie tchnienie umierającego człowieka (zanim dowiedziałam się, jaki jest naprawdę zapach umierania).

Kiedy więc duszne powietrze w naszej sypialni z gorącego i lepkiego stało się suche i chłodne, od razu wiedziałam, że coś jest nie tak.

- Li? - Pociągnęłam go za rękaw, szcękając zębami. Nie zareagował.

Sięgnęłam po pled. Podskoczyłam z wrażenia, gdy moje palce musnęły odsłonięte udo. Były lodowate. Czyżby niedomknięte okno otworzyło się od nagłego podmuchu? Nie, było zamknięte. Serce łomotało mi w piersi. Czułam w głowie pulsujący ból, gdzieś za oczami. Wróciły nudności, jakie dokuczały mi w parku, po nich przyszło mrowienie języka. Włoski zjeżyły mi się na rękach. Coś wisiało w powietrzu. Zupełnie jakby zbliżało się uderzenie meteoru albo tajfunu.

W ciemności układałam w myślach najszybszą drogę do pokoju rodziców: nie potknąć się o łóżko stojące w korytarzu, zostawić Li, jeśli to będzie konieczne.

Mój oddech uchodził z nosa w postaci jasnych smużek podobnych do dymu z kadzidełek. Gęstniał, gdy wydychałam powietrze ustami. Czyżbym płonęła? A może to zapalenie płuc albo influenza, które zakradały się przez okna i zabierały we śnie tyle dzieci? Te nazwy słyszałam tak często, że ciągle tłukły mi się po głowie jak nazwy znanych mi miejsc. Czy przyszła po mnie śmierć?

I wtedy ją ujrzałam.

Była stara. Chuda jak żebraczka. Miała białe włosy upięte w ciasny kok.

Jej biała bluza ze stójką i czarne spodnie zdradzały, że jest - albo była - niańką. W milczeniu zrobiła trzy kroki i przystanęła w nogach łóżka. Chciałam usiąść, ale nie mogłam. To nie był strach. Nie czułam żadnych emocji. Miałam wrażenie, jakby działał na mnie klej o nadprzyrodzonych właściwościach. Nie byłam w stanie poruszyć ani jednym mięśniem, nie mogłam nawet mrugnąć.

Od siostry Kwan dużo słyszałam o duchach. W jej opowieściach przybierały zwykle postać mściwych nierządnic łaknących krwi albo wygłodzonych kóz, męczonymi proszącymi o współczucie. Ten duch nie był ani zjawą, ani zwierzęciem. Był kobietą o skórze barwy ochry, z oczami pozbawionymi blasku, co zauważa się dopiero wtedy, gdy tego blasku brak. Mimo to spoglądała na mnie tak dobrotliwym wzrokiem, że gdybym była religijna,

uznałabym ją za mniszkę. Nie pasowała do opisu ducha. Wcale mnie nie przerażała.

Poza żółtawą cerą i nogami w spodniach, które zdawały się rozplýwać w powietrzu, sprawiała wrażenie namacalnej trójwymiarowej postaci. Prawdziwej. Nie unosiła się w powietrzu. Nie miała splątanych włosów ani czarnych otworów zamiast oczu. Z łatwością można ją było wziąć za jedną z naszych nianiek albo którąś z ich przyjaciółek. Jednak jakaś cząstka mnie wiedziała, dlatego przepelił mnie nieokreślony smutek. Jej postać kojarzyła mi się z nieobecnością, milczeniem, stratą - niczym pierwotna pustka, która co noc przed zaśnięciem wnikała do mojego umysłu. Gdyby moje kanaliki łzowe działały jak trzeba, zaszlochałabym rzewnie.

Widziałam, że miała bardzo długie życie, choć i tak za krótkie.

Rozpaczliwie pragnęłam zadać jej pytanie, lecz moje wargi nie układały się w słowa. Czego chce? Ma przyjaciół po tamtej stronie czy jest samotna?

Możliwe, że dotarły do niej moje pytania, choć ich nie zadałam. Wyraz jej twarzy nie zmienił się ani na jotę. Patrzyła na mnie i tylko na mnie. Na Li nie zwracała uwagi. Powoli wyciągnęła obie ręce w stronę moich stóp - kościstych i nieruchomych, wystających spod przykrótkiego pledu. Cieszyłam się, że mogę przynieść jej pociechę, jeśli tego akurat szukała. Wstrzymałam oddech, pewna, że za chwilę poczuję chłód jej dotyku. Obserwowałam, jak jej sękaty dłoń zaciska się wokół moich palców. Ku mojemu zaskoczeniu, nie poczułam niczego. Czy ona czuła mnie? Trudno powiedzieć. Wpatrywałam się w jej twarz i starałam się zapamiętać jej rysy: czarny pieprzyk tuż pod lewym okiem, wydatne kości policzkowe, górna szczęka wysunięta do przodu, co często widywałam u służących. Sprawiała wrażenie życzliwej. Przepisowy strój niani, bransoletka z białego jadeitu na prawym przegubie, żadnych kolczyków. Wyliczałam te szczegóły w myślach, by rano opisać je siostrze Kwan.

Ni z tego, ni z owego wydała cichy dźwięk, jak ktoś, kto zaczyna się krztusić. Albo chce przemówić. Ponowiła próbę. Zdołała tylko wyszemrać: „Pewnego...” Zaraz potem zniknęła.

Poruszyłam wargami i palcami u stóp. Zasyczałam, by się upewnić, że nie straciłam głosu. Grobowy chłodny powiew uleciał wraz z nią. Moja skóra znów pokryła się lepkiem potem. Wrażenie przygnębienia mnie opuściło. Odrzuciłam pled, wskoczyłam z łóżka i zajrzałam pod nie. Nie zobaczyłam tam starej kobiety z rękami skrzyżowanymi na piersi jak skrzydła gigantycznego nietoperza.

Położyłam się na łóżku. Nie mogłam się doczekać, kiedy oznajmię siostrze Kwan, że widziałam ducha i wcale się nie przestraszyłam, a potem będę patrzyła, jak otwiera usta ze zdumienia. „Odważna dusza”, niemal słyszałam jej głos. Czy Li też ją widział? Nie, byłam jedyna. Pierwsza. Wyjątkowa.

Mój brat spał jak zabity. Przez chwilę miałam ochotę potrząsnąć go za ramię i obudzić, by opowiedzieć mu o spotkaniu z duchem, wiedziałam jednak, że wpadnie we wściekłość i nazwie mnie kłamczuchą.

Czy powinnam zachować to w tajemnicy? Gdybym opowiedziała o tym rodzicom, mogliby zacząć bać się o moje zdrowie psychiczne. Uważali się za zbyt nowoczesnych, by wierzyć w duchy. Ale siostra Kwan... Ona by mnie zrozumiała.

Poczułam przyjemne ciepło. Miałam wrażenie, jakby łóżko tuliło mnie łagodnie do snu mokrymi, gorącymi rękami. Zamknęłam oczy i poddałam się temu uściskowi. Każda cząstka mojego ciała się rozluźniła. Ciepło przesunęło się niżej. Chwilę później poczułam silne kopnięcie w piszczel. To był Li. Obudzony, wrzeszczał na cały głos:

- Niech cię diabli, Ling! Obsikałaś moją nową pizamę!

Okolo 250 roku przed naszą erą taoistyczny filozof Han Fei wysunął szkodliwą teorię, która niestety stała się podstawową zasadą chińskiej sztuki. Głosił, że skoro wszyscy wiedzą, jak wygląda pies czy koń, to właśnie one są najtrudniejszymi obiektami do malowania, podczas gdy demony i chochliki, jako istoty niewidzialne, to dziecinna igraszka. Innymi słowy, realizm jest sztuką wysoką, ponieważ zakłada ścisłe zasady i dyscyplinę, w abstrakcję natomiast uciekają szarlatani. Wtedy sztuka oparta na wyobraźni na zawsze utraciła swoją pozycję. Dzieła zrodzone z wyobraźni nie są tak cenione w kulturze chińskiej, jak nieciekawe martwe natury przedstawiające upolowane ptaki, bukiety chryzantem czy senne bambusowe zagajniki. Ta idea wpłynęła też na pozostałe sfery chińskiej myśli. Oryginalność ustąpiła miejsca uczeniu się na pamięć oraz tworzeniu doskonałych reprodukcji. Kopiowanie stało się naszą specjalnością.

Ujrzawszy swojego pierwszego ducha, wiedziałam, że muszę zdać jak najdokładniejszą relację z tego spotkania, by nikt nie oskarżył mnie, że zmyślam. Szczegóły miały być dowodem, że zmarła niania, którą widziałam, była równie rzeczywista jak żywa. Czekałam na odpowiednią chwilę, by opowiedzieć o tym siostrze Kwan. Nie Li. Dotąd zwierzałam mu się ze Wszystkiego, ale tamtego dnia przestałam. Po śniadaniu rozdzielaliśmy się, każde szło do swojej szkoły.

Co rano o siódmej mama oddawała nasz los w ręce służących. Dosłownie. Ściskając kurczowo dłoń Li, siostra Choon odwoziła go rikszą do szkoły dla chłopców na jednym końcu dzielnicy francuskiej, a siostra Kwan zabierała mnie do szkoły dla dziewcząt na drugim końcu. Obie czekały przed bramą do zakończenia lekcji w południe, po czym eskortowały nas do domu. Znow rikszą, i znow ściskając nas za ręce. Nie puszczały ich ani na chwilę, nie mogliśmy ani się podrapać, ani nawet złapać poręczy, gdy rikszarz skręcał gwałtownie, by ominąć rozjechanego psa.

Trudno było w tamtych dniach o chwilę swobody. Nieustannie kręciła się przy nas albo jedna, albo druga niania, paplając po kantońsku jak najęta i ciągnąc nas za uszy za najdrobniejsze przewinienie. Dotyczyło to zwłaszcza siostry Choon, kobiety o charakterystycznym orlim nosie, ale niecierpliwa bywała też moja ulubiona siostra Kwan. Byliśmy mali, nie znaliśmy pojęcia prywatności, dlatego rzadko buntowaliśmy się przeciwko ich interwencjom. Według mnie chińskie dzieci nigdy nie traktowały bezszania poważnie, chyba że łajała je i karciała osoba wysoko postawiona. Wtedy kuliliśmy się ze strachu i wybuchaliśmy płaczem. (My, chińskie dzieci, byliśmy wyjątkowo świadomi statusu i prestiżu). Ponieważ większość czasu spędzaliśmy w towarzystwie dwóch dorosłych kobiet, które z braku wykształcenia zachowały dziecięcą łatwowierność, to właśnie one często stawały się naszymi powiernicami.

Czasem w drodze do szkoły i z powrotem, kiedy miałam siostrę Kwan na wyłączność, prosiłam ją o opowieści o dziwnych zjawiskach - im dziwniejszych, tym lepiej. Uważała się za specjalistkę w tej dziedzinie. Wszystkie nianie tak o sobie myślały, bo pochodziły z przesądnych rodzin mieszkających na południu, które oddawały cześć swoim przodkom w rozpadających się świątynkach i modliły się do ziaren ryżu. Od siostry Kwan dowiedziałam się, że kot może zmienić martwego człowieka w wampira, jeśli przeskoczy nad jego ciałem; że piękni chłopcy spotykani nocą na bocznych drogach zwykle okazywali się upiorami; i że zbłąkani mnisi potrafili czasem przetrwać dziesiątki lat w brzuchu ogromnego karpia.

Uwielbiałam te historie. Mówiły o starożytnych Chinach pełnych magii, kolorów, wytwornego wychowania, dalekich od cuchnącego, szarego, ponurego świata, jakim był nasz Szanghaj. Jej opowieści ubarwiały codzienność pełną nieprzyjemnych spotkań, nieodłącznego elementu życia w mieście. Kiedy mijałyśmy rozdęte zwłoki ulicznego żebraka, siostra Kwan mamrotała taoistyczne błogosławieństwo, po czym zapewniała mnie, że ten człowiek musiał być okrutny dla swoich rodziców, skoro spotkał go taki los. Kiedy nasz rikszarz przejeżdżał obok jednego z ponurych sklepów z artykułami

pogrzebowymi, których właściciele z dziwnym uporem eksponowali na wystawie dziecięce trumienki, siostra Kwan przekonywała mnie, że amerykańskie dzieci trzymają w nich lalki.

- W nocy była w naszym pokoju stara niania - powiedziała siostrze Kwan.

Otworzyła szeroko oczy w oczekiwaniu na intrygującą historię, dlatego bardzo się postarałam, by nie pominąć najdrobniejszego szczegółu. Siedziałyśmy w rikszy, z dala od pełnego dezaprobaty wzroku mamy i jej nerwowych rąk.

- Ten pieprzyk... - Popatrzyła na mnie z niepokojem. - Jesteś pewna, że miała go pod lewym okiem, a nie prawym?

-Tak.

- I na pewno miała zupełnie białe włosy?

- Tak. Jak śnieg.

- A jadeitowa bransoletka na pewno była biała, nie zielona?

- Biała jak jej włosy.

- Och! - wykrzyknęła, po czym trzykrotnie powtórzyła pod nosem jednowyrazowe zaklęcie: - Amitabha. Amitabha. Amitabha.

- Co się stało?

- Właśnie opisałaś dokładnie siostrę Yeung.

- Siostrę Yeung? - powtórzyłam zdezorientowana.

- Nie pamiętasz jej, prawda? Opiekowała się tobą, gdy byłaś malutka. -Siostra Kwan puściła moją rękę i ścisnęła sobie skronie. - Zastanawiam się, po co wróciła. - Spojrzała na mnie. - Mówiła coś? Przestraszyła cię?

- Dotknęła moich stóp.

- Naprawdę? - Znów otworzyła szeroko oczy. - Co jeszcze? Wzruszyłam ramionami.

- Próbowwała coś powiedzieć, ale nie zdążyła, bo zniknęła. Nie bałam się jej. Ona nie chciała mnie skrzywdzić.

- Ojej! Amitabha. Amitabha. Amitabha.

- Co się stało? - Uszczypnęłam ją w ramię. - Powiedz!

- Niedobrze, moje dziecko. Po pierwsze, siostra Yeung zmarła, kiedy miałaś dwa latka. Rzuciła się do rzeki Huangpu. Po drugie, stanęłaś oko w oko z duchem i nie czułaś strachu.

Nie przyznałam się nikomu innemu, że widziałam ducha niani. Wygadała się siostra Kwan, chociaż na moje wyraźne żądanie zaklinała się wielokrotnie, że tego nie zrobi. Jej zdrada sprawiła, że się wściekłam. Te wiejskie

dziewuchy z Kantonu były zupełnie jak węże wodne pełzające po polach ryżowych!

Tego wieczoru nianie wraz z kucharką zaczęły gotować obrzydliwe górskie zioła i sproszkowały baranią kość. Cały dom śmierdział wilgotną ziemią i zgnilizną, zupełnie jak cmentarz po długotrwałych deszczach. W kuchni tliły się kadzidła. Błagałam nianie, żeby przestały. Przecież duch nie chciał zrobić mi krzywdy! Ciągnęłam siostrę Kwan za rękaw, ale ona zachowywała się tak, jakby mnie tam w ogóle nie było.

- Dlaczego to robisz? - zawodziłam. - Czy siostra Yeung była zła? Powiedz mi! Chcę wiedzieć. No, opowiedz mi o siostrze Yeung!

Bliźniaczki zanosily się płaczem. Cierpiały na zatwardzenie i biegały z nocnikami przyssanymi do pup, zupełnie jakby bawiły się w krzeselka do wynajęcia. Li udawał, że je goni. Po nerwowych krokach mamy na piętrze poznałam, że jest w złym nastroju. Wiedziałam, że wkrótce zorientuje się, co dzieje się na dole. Tata jak zwykle nie zwracał uwagi na otoczenie. Siedział w swoim gabinecie na prostym twardym krześle, pochłonięty lekturą poezji z czasów dynastii Tang, i wybijał palcami sobie tylko znany rytm.

Mama zeszła po schodach z głośnym stukotem wysokich obcasów.

- Cóż to za piekielny smród? - W tonie jej głosu usłyszałam narastający gniew. Czulałam, że za chwilę nastąpi wybuch. - Siostrzo Choon, co ty wyczyniasz? Dlaczego nie pilnujesz dzieci? Ah Ying, gdzie nasza kolacja?

Służące milczały. Pierwszy raz widziałam, żeby otwarcie zignorowały mamę. Siostra Choon wyjęła z papierowych paczuszek gałązki, suszone grzyby i nieznane mi czarne jagody, wręczyła je Ah Ying, kucharce, która rozdrobniła je kamiennym tłuczkiem, po czym wrzuciła miazgę do ceramicznego saganu. Siostra Kwan obserwowała jego bulgocącą zawartość i mruczała coś pod nosem, przesuwając w palcach jasnopomarańczowe paciorki.

- Ah Ying, mówię do ciebie! - Mama wpadła do kuchni jak pocisk. - Słono zapłaciłam za tę kaczkę i chcę nią nakarmić rodzinę. Opróżnij ten sagan i zabieraj się do robienia kolacji. A co do kadzidła, siostrzo Kwan, ile razy mam ci powtarzać, że nie życzę sobie palenia tego paskudztwa w moim domu?! - Obróciła się na pięcie i zauważyła mnie przycupniętą pod kuchennym ołtarzykiem. Ściągnęła brwi. - A co ty tu robisz? Tylko mi nie mów, że bierzesz udział w tym sabacie czarownic.

- Niech zostanie, proszę pani - odezwała się milcząca zazwyczaj Ah Ying, która dotąd robiła, co jej kazano, i nie odrywała wzroku od kuchni.

- Co to? Bunt? - Mama złapała mnie za nadgarstek i wykręciła mi rękę. Jęknęłam.

- Proszę pani - zaczęła spokojnie siostra Choon - może powinniśmy wyjaśnić, co robimy. Oczyszczamy dom za pomocą ochronnego zaklęcia. Trzeba pani wiedzieć, że ostatniej nocy wróciła siostra Yeung. Nie wiemy, czego chce, ale na wszelki wypadek wolimy zabezpieczyć dom przed jakąś szkodą.

- Siostra Yeung? Co ty wygadujesz? Ta kobieta umarła pięć lat temu.

- Właśnie o tym mówię. W nocy jej duch był widziany w tym domu. Na pewno czegoś chce. Przypominam, że siostra Yeung nie odeszła spokojnie.

- Kto rozsiewa te plotki?

Wstrzymałam oddech, starając się nie zwracać na siebie uwagi. Za późno.

Siostra Kwan odwróciła się w moją stronę. Na widok jej wyciągniętego oskarżycielsko palca wezbrała we mnie wściekła nienawiść do niej - do jej hipokryzji, tchórzostwa, jej klasy społecznej. Odwróciła wzrok.

Mama roześmiała się gardłowo.

- I wy, dorosłe kobiety, jesteście na tyle głupie, by wierzyć tej małej fantastce? - Podeszła do sagana i chwyciła go gołymi rękami. Bałam się, że ciśnie nim we mnie, ale ona wylała parującą zawartość do rury ściekowej. Służące cofnęły się przed cuchnącą parą. - Co za dużo, to niezdrowo. Ah Ying, zacznij przyrządzać kaczkę. Siostrzo Choon, uspokój bliźniaczki. Niech wreszcie przestaną płakać. A ty - zwróciła się do siostry Kwan - wykąp ją. Porządnie wyszorowane dziecko nie zmyśla takich historii.

Siostra Kwan nie spieszyła się jednak z wykonaniem polecenia. Mama straciła cierpliwość.

- Dobrze, sama ją wykąpie. Idź i otwórz okna. Nie mogę znieść tego zapachu. Doprowadzacie mnie wszyscy do szału.

Podczas kąpieli mama nie wspomniała ani słowem o duchu. Dla niej ta historia była wytworem mojej bujnej wyobraźni. Sama nie śmiałam poruszyć tego tematu. Myła mnie w ponurym milczeniu, z zacięciem służącej szorującej zaplamioną spluwaczkę, nieobecna myślami tak bardzo, że nie zważała na siłę, z jaką traktowała moje ciało. Nienawidziłam tych kąpieli. Zawsze była niedelikatna, wręcz brutalna, gdy wbijała mi paznokcie w skórę głowy czy szorowała plecy szorstkim ręcznikiem, aż z bólu łapałam się krawędzi wanny. Nigdy nie krzyczałam i nie płakałam. Nie chciałam dawać jej satysfakcji.

W pewnej chwili w drzwiach stanął Li. Patrzył na nas, milcząc wymownie jak ktoś, kto nie został dopuszczony do tajemnicy, lecz chce dać nam do zrozumienia, że i tak ją poznał. Od spaceru w parku był dziwnie milczący. Mama przegoniła go delikatnym całusem.



Kiedy się wycierałam, ciągle obolała po maminych zabiegach, złapała mnie za ramiona i kazała spojrzeć w jej nieczułe oczy.

- Siostra Yeung była niezrównoważoną kobietą. Cokolwiek się stało, zaszło dawno temu. To już przeszłość. Co do ciebie, moja panno, to koniec ze słuchaniem bzdur, jakie gadają nianie. To pospolite, niedouczone, wiejskie dziewczuchy z głowami nabitymi głupotami. Ty jesteś dziewczynką z miasta. Uczysz się, pochodzisz z dobrego domu. Jeśli wierzysz w historie, które opowiadają, zniżasz się do ich poziomu, a ja zadaję sobie pytanie, czy oddać cię do sierocińca. Zastanów się nad tym i daj mi odpowiedź. Jeśli tego chcesz, przywołam riksarza i każę cię tam zawieźć.

Wytarła mi włosy ręcznikiem, ubrała w piżamę i mocnym klapssem odesłała na dół.

Czmychnęłam do kuchni, gdzie milczące służące z ponurymi minami przygotowywały kolację. Zaczęłam wolno skradać się na palcach, aż stanęłam tuż za plecami siostry Kwan, która kroїła imbir w plasterki. Nabrałam powietrza w płuca i ryknęłam z całych sił. Podskoczyła jak oparzona i upuściła nóż.

- Au! - Z jej lewego kciuka połała się krew. Spiorunowałam ją spojrzeniem i pewnym siebie krokiem wyszłam z kuchni tylnymi drzwiami.

- Ty łobuzico! Ty mały demonie!

Na tyłach domu mieliśmy niewielki ogród. Tam zastałam Świerszcza, naszego chłopca na posyłki, który ze znużoną miną podlewał lilie. Przysadzisty i posepny piętnastolatek był ponoć adoptowanym synem Ah Ying, co oznacza, że równie dobrze mógł być jej siostrzeńcem, jak ulicznym żebrakiem, którego wyciągnęła ze slumsów. Wszyscy nazywali go Świerszczem, ponieważ wolny czas spędzał na łapaniu pajaków i ciem, jednak z sobie tylko znanego powodu nie tykał świerszczy. Był moją ostatnią deską ratunku. Przebywał ze służącymi na tyle długo, że mógł znać plotki o siostrze Yeung. Rzadko z nim rozmawiałam, ponieważ zajmował w naszym domu pozycję dość niejednoznaczną. Z r acji młodego wieku mógł być moim bratem, a jednak przynależał do służby. Z drugiej strony, ponieważ w przeciwieństwie do reszty służących nigdy nie okazywał nam szacunku, nie wiedziałam, jak go traktować. Mama na każdym kroku dawała mu do zrozumienia, że nie znosi jego bezczelnej miny. Chcąc przełamać lody i ukryć zakłopotanie, przekupiłam go pudełkiem zapalek z obrazkiem półnagiej dziewczyny na wierzchu. Bawił się nim przez chwilę, po czym schował do kieszeni.

Z drugiej wyjął czapkę gazeciarza i nasadził na głowę, by ukryć różowe znamię na czole. Siostra Kwan zażartowała kiedyś, że kształt tego znamienia przypomina penisa.

- Mówiły, że była nieszczęśliwa - wyburczał szanghajską gwarą. Odkręcił słoik i wypuścił z niego czarną włochatą tarantulę. Miał chyba zamiar mnie przestraszyć, bo pozwolił jej chodzić po swoim odsłoniętym ramieniu, usianym siniakami i śladami po starych i nowych ukąszeniach.

- Co jeszcze mówiły?

- Miała w Kantonie młodszego brata, który oskubał ją ze wszystkich oszczędności. Przepuścił wszystko na hazard - uśmiechnął się znacząco - i dziewczęta.

- Ale dlaczego się zabiła? Przecież to tylko pieniądze.

- Była stara. To były oszczędności całego życia. Odkładała pieniądze na budowę domu, w którym chciała spędzić starość. Ponoć znalazła nawet idealne miejsce w wiosce swoich przodków. Nad jeziorem, gdzie lilie wodne miały tak wielkie liście, że mogłabyś na nich usiąść. Tak sobie wymarzyła. Widzisz więc, że nie chodziło tylko o pieniądze. Poszło o utracone zaufanie siostry do brata.

Wyobraziłam sobie zdradę Li w parku spotęgowaną dziesięciokrotnie, stukrotnie. I przypominałam sobie też pustkę, jaką poczułam wraz z pojawieniem się siostry Yeung. Jej żalność natychmiast stała się moją żalnością.

- Ty masz za dobrze, żeby wiedzieć, co to rozczarowanie. - Świerszcz umieścił na ramieniu kolejnego pająka i patrzył, jak zareaguję. - Tacy jak ty nie umieją współczuć.

- Jak myślisz, czego może chcieć jej duch?

- Wasza Wysokość wybaczy, ale powiedziałem wszystko, co wiem. Nie wierzę w duchy. Wierzę tylko w to, co widzę i czego mogę dotknąć.

- Ale ja widziałam ją na własne oczy. Przysięgam.

- Zhu Xi, uczony z czasów dynastii Song, powiedział kiedyś: „Jeśli w coś wierzysz, to to zobaczysz. Jeśli nie wierzysz, nie zobaczysz”. - Podsunął mi pająki pod nos, aż zajrzałam im w oczy. - Nie lubię uczonych. To lalusie. Dlatego powiem odwrotnie niż oni: wierzę w pająki, bo mogę je zobaczyć. Chcesz dotknąć?

Tego wieczoru podczas kolacji niechęć mamy do ojca sięgnęła kolejnego z zenitów. Byłam chyba jedyną osobą w domu, która umiała to wyczytać z wyrazu jej twarzy. Każdy jej grymas zdradzał, że uważa go za niemęskiego i bezwartościowego, i boleje, że zwiedziona wierszami miłosnymi i wytwornymi manierami, wyszła za nędzarza, a mogła wyjść za księcia.

Zerwała się z krzesła i uciekła po schodach na górę, zanim po jej policzeń popłynęły łzy.

- Ból brzucha, mamusiu? - zapytał tata, nie podnosząc głowy znad talerza. W odpowiedzi usłyszeliśmy trzaśnięcie drzwi.

Tata odwrócił się do Li i do mnie i wzruszył ramionami.

- Pewnie coś jej zaszkodziło.

Zjedliśmy całą duszoną kaczkę z imbirem, chociaż smakowała paskudnie, bo zioła niań zostawiły po sobie ohydny posmak. Miałam wrażenie, że wyczuwam w nim krew siostry Kwan.

Po kolacji poszłam bawić się z bliźniaczkami. Udawały małe pandy walczące o lepszą gałązkę bambusa, czyli o mnie, ale ja byłam myślami gdzie indziej. Kiedy tata wyszedł po papierosy, a Li został zaprowadzony na górę do kąpielni, zostawiłam siostry i pobiegłam do gabinetu.

Usiadłam na krześle taty przy biurku z palisandru. Po jednej stronie stały rodzinne fotografie w ramkach. Pochodziły sprzed roku, zrobiono je w zakładzie na terenie amerykańskiego osiedla. Wyglądaliśmy wszyscy nienaturalnie i sztywno, pozując na tle malowanych zachodów słońca i greckich kolumn. Na jednej Li i ja staliśmy po obu stronach kartonowego cocker spaniela, który nawet wtedy wydawał mi się śmieszoną imitacją. Tata pracował otoczony naszymi fotografiami, choć gdy znaleźliśmy się z nim w jednym pomieszczeniu, nie zwracał na nas uwagi. Ironia losu. Na tych fotografiach byliśmy jednak idealni: wyprostowani, uczesani, w wykrochmalonych ubrankach, uśmiechnięci niczym wzorowa armia. Chyba w takiej postaci nas wolał: płaskich, milczących, w rozmiarze kieszonkowym.

Otwierając kolejne szuflady, z końca znalazłam to, czego szukałam. Cztery Ojcowskie Skarby. Chodziło nie o nas, jego dzieci, lecz o zestaw do kaligrafii: pędzel z króliczym włosiem o fioletowawym odcieniu, tusz z utwardzonej sadzy sosnowej, podstawkę z kamienia rzeczno do rozcierania tuszu oraz ryzę białego papieru. Kiedyś w przyływie uczuć zdradził mi, że mając pod ręką te cztery Skarby, zapomina o ubóstwie, ponieważ zawsze może literami wyczarować dla siebie lepszy świat. Dopiero po latach przestałam uważać, że było to bredzenie biednego starego głupca.

Tylko dwie złote rybki widziały, jak naśladuję tatę: pocieram o kamień walec tuszu z kilkoma kroplami wody, by powstał płynny tusz, po czym lekko zanurzam w czarnej cieczy koniuszek pędzelka. Na czystej kartce napisałam olbrzymimi literami:

**Wiem, kim jesteś**

**Widzę cię.**

**Chcę pomóc.**

Powachlowałam kartką, by tusz wysechł, złożyłam ją starannie, wsunęłam za spodnie od piżamy, po czym wyslizgnęłam się z gabinetu i pomknęłam na górę. Byłam przygotowana na ponowne spotkanie z siostrą Yeung. *Skoro* widziała moje palce u nóg, z pewnością zobaczy kartkę z tekstem skierowanym do niej.

Tej bezkسیężycowej nocy, gdy oddech Li stał się spokojny i regularny, a palce kurczowo zaciśnięte na słodkim talizmanie rozluźniły się, położyłam kartkę na swoich stopach napisem w stronę nóg łóżka. Czekałam na ducha z szeroko otwartymi oczami, jednak ku mojej rozpaczy w końcu zmorzył mnie sen.

Obudziłam się nagle. Powietrze znów stało się przenikliwie chłodne. To znak, że siostra Yeung była w pobliżu. Moje przeczucia potwierdził zarys ciemnej sylwetki w drugim końcu pokoju, człekopodobnej postaci, która powoli przesuwała się w moją stronę. Poruszyłam palcami u rąk i nóg. Odetchnęłam z ulgą. Tym razem siostra Yeung postanowiła okazać mi łaskawość. Kiedy podeszła bliżej, ujrzałam jej białą tunikę i czarne spodnie.

- Siostrze Yeung - wyszeptałam - rozumiem cię i chcę ci pomóc. Chude ramie wyciągnęło się po papier. Wstrzymałam oddech. Ręka gwałtownie zgniotła kartkę z moją ofertą.

- Ej! - syknęłam groźnym szeptem.

Niania zrobiła krok do przodu. To była siostra Kwan! Kolejna zdrada! Stała przy mnie. Spodziewałam się uderzenia, ale zamiast wymierzyć mi cios, siostra Kwan wcisnęła mi do ręki mały lustrzany amulet.

- Nie wolno jej zachęcać, dziecko. Ten amulet cię ochroni.

Nie chciałam tego głupiego talizmanu. Rzuciłam go na podłogę. Podniosła go i znów wcisnęła mi do ręki.

- Nie pozwól, by cię znowu dotknęła. Ten amulet ją odstraszy. To dla twojego dobra.

- Nie! - Tym razem amulet wylądował w przeciwległym kącie pokoju. Siostra Kwan cmoknęła niezadowolona. Opadła na kolana i zaczęła szukać go po omacku. Po bezowocnych próbach zrezygnowała. Na odchodnym powiedziała jeszcze:

- Siostra Yeung może być bardzo niebezpieczna. Zanim się utopiła, doszło do pewnego incydentu... - Zawiesiła dramatycznie głos.

- Jakiego incydentu? - syknęłam.

- Próbowwała cię zabrać.

- Chciała mnie porwać?

- Gorzej.

Zrozumiałam, co miała na myśli. Czy siostra Kwan chciała mnie nastraszyć?

Po jej wyjściu znów zapadła cisza. I wrócił chłód. Czułam, jak sztywnieją mi nogi. Dlaczego wyrzuciłam ten amulet? Ani przez chwilę nie podejrzewałam, że siostra Yeung chce mnie skrzywdzić, póki siostra Kwan nie podsunęła mi tej myśli. Patrzyłam, jak wydechane przeze mnie powietrze zamienia się w białe spirale. Paraliż objął całe moje ciało oprócz głowy, mogłam poruszać ustami i oczami. Było więc nieco lepiej niż poprzednio. Czułam, że siostra Yeung nadchodzi.

W ciągu niespełna kilku sekund zmaterializowała się w całości. I zbliżała się do mnie dokładnie tak jak poprzednio. Tym razem jednak mogłam wołać

O pomoc. I jak poprzednio nie miałam ochoty tego robić. Strach, jaki siostra Kwan próbowała we mnie wzbudzić, okazał się niepotrzebny. Było coś bezbrzeżnie smutnego, a jednocześnie dziwnie kojącego w spojrzeniu, jakim patrzył na mnie duch siostry Yeung.

- Siostro Yeung - odezwałam się cicho - znam cię. Chcę ci pomóc. Siostra Yeung wyciągnęła obie ręce, by dotknąć moich stóp. Jej ruchy

I wyraz twarzy były dokładnym odbiciem wczorajszej nocy. Kiedy ścisnęła mi palce, znów niczego nie poczułam. Tym razem jednak skupiłam się na każdym szczególe. Koniuszki palców miała suche, pomarszczone i drobne jak u dziecka, drobniejsze nawet od moich. Słyszałam opowieści o biednych dzieciach zatrudnianych w fabrykach jedwabiu do wyławiania kokonów jedwabników z wrzącej wody w baliach gołymi rękami. Od tej pracy miały zdeformowane palce. Siostra Yeung takie miała. Patrząc na jej twarz, na której nieodwracalny upływ czasu pozostawił swój ślad, zrozumiałam jedno: już nigdy nie będzie młoda. Rozpłakałam się.

- Siostro Yeung, słyszysz mnie? „Pewnego dnia... - zaczęła. - Pewnego dnia...”

Jej ciało stopniowo rozpływało się w powietrzu. Po chwili zostałam sama w ciemnościach.

Nazajutrz w drodze do szkoły nie pozwoliłam siostrze Kwan się dotknąć. Kciuk owinęła demonstracyjnie wielkim bandażem, który miał podkreślać powagę jej rany odniesionej podczas krojenia. Za każdym razem, gdy chciała złapać mnie za rękę, wydawałam przenikliwy wrzask. W końcu riksarz kazał jej dać mi spokój, ponieważ zwracałam uwagę zbyt wielu osób. Bał się, że zatrzyma nas policja lub, co gorsza, patrol Armii Republikańskiej.

- Masz amulet, który ci dałam? - zagaiła siostra Kwan, wracając do roli troskliwej opiekunki.

Zignorowałam jej pytanie.

- Pobłogosławił go wzniosły kapłan w mojej świątyni. Położył kres suszy. Patrzyłam na ulicznych przekupniów, stojących z dwukólkami tuż przy zatłoczonym przystanku tramwajowym, oferujących dojeżdżającym smażone plecione ciastka i gorące mleko sojowe. Z wózków unosiła się smakowita woń. Żałowałam, że nie możemy stanąć przy jednym z nich.

- Siostra Yeung zawsze darzyła cię sympatią. Byłaś jej ulubienicą. Dlatego tak nami wstrząsnęło to, co próbowała ci zrobić.

Kłamstwa. Wszystko to kłamstwa.

- Sądzę, że bała się iść sama - ciągnęła siostra Kwan. - Chyba czuła się samotna.

- Wszyscy są samotni - burknęłam w odpowiedzi.

Tego wieczoru zrobiłam nowy napis dla siostry Yeung:

**Jesteś dobrym człowiekiem. Chcę być twoją przyjaciółką.**

Nawet jeśli nie będzie mogła mnie usłyszeć, zobaczy tę wiadomość.

Licząc na jakiś postęp przy kolejnym spotkaniu, gdy tylko poczułam nadciągający chłód, położyłam się na podłodze. Kartkę z nowym napisem zostawiłam w nogach łóżka po swojej stronie. Byłam ciekawa reakcji siostry Yeung.

Kiedy się ukazała, poruszała się dokładnie tak jak poprzednio. Wyciągnęła zniszczone suche palce, a ja pomyślałam, że sięga po kartkę. Myliłam się. Jej dłonie przeszły przez papier jak przez płyn. Ścisnęła miejsce, w którym powinny być moje stopy. Sprawiała wrażenie, że nie zauważa kartki, że działa w zupełnie innym wymiarze, to znaczy nie widzi tego, co jest, a widzi to, czego nie ma. Czułam się, jakbym oglądała znany już film puszczonej od nowa. Wszystko było powtarzalne i przewidywalne. Musiałam zakłócić tę rutynę.

- Siostrze Yeung! - wyszeptałam. Nie odwróciła się. - Jestem tutaj, siostrze Yeung. Tutaj! - powtórzyłam.

Nie odrywając wzroku od miejsca, w którym powinnam leżeć, zaczęła mówić: »Pewnego dnia... pewnego dnia te małe stopki urosną... - Jej głos słabł, rozbrzmiewał echem, jakby wydobywał się z głębokiej studni - i poniosą cię daleko, daleko od nas wszystkich".

- Siostrze Yeung, proszę! - powtórzyłam. Żadnej reakcji.

Kiedy zniknęła, zalała mnie fala żalu i wstydu. Skąd wiedziała? Skąd mogła to wiedzieć?

Siostra Yeung mnie zdemaskowała, ubrała w słowa moją najskrytszą tajemnicę, marzenie, którego nikomu nie zdradziłam. To prawda, często myślałam o ucieczce. To prawda, marzyłam o tym, żeby opuścić rodzinę. Chciałam mieć swobodne ręce.

Długo jeszcze łkałam cicho, leżąc na podłodze obok łóżka, po czym wślizgnęłam się pod kołdrę. Li poruszył się we śnie. Mleczny cukierek tkwił w jego ręce niczym magiczny bilet tramwajowy. Z nadejściem brzasku moja poduszka była mokra od łez. Siostra Yeung nigdy więcej się nie pojawiła. Widocznie znalazła to, czego szukała.

Wkrótce i ja doczekałam się tego, za czym tęskniłam.

Humory rodziców były dla nas codziennością. Bogactwo lub skrajna bieda mogły rzucić ich w objęcia opiumowego nałogu. Jestem im wdzięczna, że mu nie ulegli. O ile kiedyś, wpadając w ponury nastrój, zaczynali - jak mawiały nianie - stroić fochy i snuć się po domu z nieszczęśliwymi minami, teraz ścierali się bezpośrednio - rzecz nie do pomyślenia dla taty, który przez całe życie unikał otwartych konfliktów.

- Wszystko samo się ułoży, zobaczysz! - mawiał.

- Cały ty: zwlekanie i chowanie głowy w piasek! - odpowiadała rozzłoszczona mama.

Kiedy temperatura dyskusji rosła, dochodziły do głosu staroświeckie zasady dobrego wychowania. Przerywali kłótnię na czas przygotowania herbaty, po czym zamykali się w sypialni, gdzie już nieskrępowani konwenansami zajadle obrzucali się oskarżeniami, aż opadli z sił i milkli w ciemności.

O naszym losie przesądziły dwa zdarzenia, które nastąpiły jedno po drugim. Najpierw tata stracił pracę. Jego tchórzliwy przełożony uznał - pod naciskiem coraz liczniejszej grupy rodziców o antyburżuazyjnych poglądach - że uczenie dwunastolatków poezji to strata pieniędzy. Potem nastąpił krach na giełdzie w Nowym Jorku, który pociągnął za sobą załamanie także na naszej giełdzie.

Legła w gruzach wiara taty, że dobrych ludzi spotyka dobro. Przegrał walkowerem z mamą, kopalnią pesymizmu. W tej sytuacji zwołano naradę rodzinną.

Nasza głowa rodu - a była nią mama - zdecydowała, że tata musi się zrehabilitować i że najlepszym do tego miejscem będą wyspy na morzach południowych, które z wymiernymi bogactwami naturalnymi są odporne na

wahania notowań na Wall Street, w przeciwieństwie do nieuchwytnej sfery akcji i obligacji. Przekonywała, że zapotrzebowanie na cynę, gumę, olej palmowy czy tytoń nie minie. A tata, nawet jeśli będzie zmuszony podjąć upokarzającą pracę na plantacji, nie stanie się bohaterem plotek, ponieważ na wyspach nikt nas nie zna. Pod koniec każdego miesiąca będzie wysyłał do domu pieniądze. A jeśli sytuacja się poprawi i ustabilizuje, wzorem wielu naszych ziomków sprowadzi nas do siebie. Niektórzy nawet rozmiłowali się w tamtejszym upale i kurzu.

Tata długo nad tym myślał, w końcu wysunął propozycję:

- Zabiorę z sobą Li. Chłopiec nie powinien żyć z dala od ojca.

Mama nie wszczęła kłótni. Wręcz przeciwnie, od razu się zgodziła - wtedy Li otrzymał chyba odpowiedź na pytanie, czy mama go kocha - ale pod jednym warunkiem.

- Ling. Weź też Ling. Bliźniąt pod żadnym pozorem nie powinno się rozdzielać. Są dwiema połówkami, jin i jang. Nie będą kompletną osobą, jeśli nie pozostaną razem.

Wyobraźcie sobie mamę, niestrudzoną pogromczynię opowieści o duchach, wygłaszającą taką teorię!

Byłam przestraszona i jednocześnie podekscytowana. Dla zachowania pozorów zrobiłam smutną minę. Li także bał się rychłego wygnania, ale pierwszy raz od dnia w Paradis dostrzegłam w nim dobrze znaną werwę. Usłyszałam, jak szepcze pod nosem:

- Będę Chińczykiem z za morza.

„Chińczyk z za morza”. Zupełnie jak w zdaniu: „Pan taki a taki jest Chińczykiem z za morza, co tłumaczy jego zły gust w doborze strojów” albo „Pan taki a taki jest Chińczykiem z za morza, trudno więc od niego oczekiwać, by umiał smażyć węgorki”. Wyrosłam w przekonaniu, że Chińczycy z za morza to osobna rasa, margines społeczny zbłąkanych dusz pozbawionych podstawowych rzeczy - czasem oka, czasem ucha, lecz najczęściej dobrych manier i umiejętności prawidłowego wysławiania się po mandaryńsku. Byli plemieniem banitów, włóczęgów, dezertów i wyrzutków. Prowadzili inne życie niż reszta.

Teraz musiałam wyzbyć się uprzedzeń. Wkrótce miałam stać się jedną z nich.

W noc przed podróżą w domu panował smutek, żal za bezpowrotnie minioną szansą na szczęście. Słuchaliśmy płyt z gramofonu, na których szanghajskie diwy zawodziły o utraconej miłości, podczas gdy służące upychały ubrania do dwóch śmierdzących naftaliną kufrów.



Mama usiadła na kanapie, Li położył się na jej kolanach. Sprawiali wrażenie otumanionych, zamkniętych w swoim świecie. Oboje wpatrywali się w przestrzeń spod opadających powiek, mama bezwiednie gładziła dłonie Li. Nikt się nie odzywał. Bliźniaczki chyba wyczuły zbliżające się rozstanie, ponieważ nie odstępowały mnie na krok, aż w końcu wczepiły się we mnie kurczowo z obu stron. Jeśli udawało mi się uwolnić z ich uścisku, to tylko na chwilę. W końcu położyłam się na wznak na dywanie, a one oparły mi głowy na ramionach. Udawałam, że śpię. Nie chciałam na nie patrzeć. Nie mogłabym tego znieść. Czekałam, aż zamkną oczy. Kiedy ich głowy opadły na podłogę, odczołgałam się ostrożnie. Wszystko na nic. Po chwili znów były przy mnie.

Za otwartymi drzwiami gabinetu widziałam tatę. Siedział przy biurku i popijał wino śliwkowe. Wpatrywaliśmy się w niego intensywnie z rodzinnych fotografii. Brał je po kolei do ręki i szeptał imię każdego dziecka. Nie miałam serca powiedzieć mu, że pomylił Xiaowen z Bao-Bao. Nie dotknął zdjęcia mamy. Być może zapomniał, ile fiolek środków uspokajających musiał jej zaaplikować, by dała się zaciągnąć do zakładu fotograficznego. A może pamiętał, i teraz wspominał tę historię z rozrzewnieniem.

- Dlaczego nie zabieramy tych fotografii? - zapytałam.

- Nie możemy. - Przeciągnął kciukami po portrecie całej rodziny, nieco oniemiałej na tle malowanego zachodu słońca. - To nasze jedyne zdjęcia, jakie zostaną mamie. Gdybyśmy je wzięli, odebralibyśmy jej wspomnienia.

Chciałam powiedzieć, że jeśli ich nie weźmiemy, to sami pozbawimy się wspomnień.

A potem zrozumiałam, że lepiej zapomnieć.

\* \* \*

Jej głos dźwięczy mi w głowie, gdy parzę herbatę Puerh. Słyszę też oczywiście jego głos, ale on towarzyszy mi od lat, nieodłączny niczym bicie mojego serca.

„Chcę poznać pani historię. Muszę ją poznać”.

Zwarte czarne liście rozwijają się z pomocą łyżeczki. Są stare i oporne. Jak wspomnienia. Kilka razy trącam je szybko łyżeczką i woda zmienia się w atrament. Lecznicy atrament o posmaku rozkładu i żalu.

Gdzie się podziała moja dociekliwa rozmówczyni? Tracę cierpliwość. Jeśli opowiem jej swoją historię, zyskam pewność, że nie żyłam na próżno, moje uczynki nie znikną bez śladu.

Jest jeszcze jeden powód, dla którego chcę, żeby się zjawiała, i to jak najszybciej. Jako dziecko byłam odważna, teraz boję się być sama. Drżę z emocji. Swoimi wspomnieniami otworzyłam całe miasto mogił. Wymawiając ich imiona, otoczyłam się duchami. Mama, tata, Li, siostra Kwan... Widzę ich wyraźnie, mam ich na wyciągnięcie ręki. A to dopiero początek, niewinne dni dzieciństwa.

Niech moja wybawicielka przybędzie, zanim stoczę się w jeszcze głębszą otchłań.

Tych wspomnień, raz uwolnionych z pamięci, nie sposób zatrzymać. Wypijam duszkiem herbatę. Szybciej, pani profesor!

## CISZA RÓWNIKOWA

Było mi nieswojo, gdy żegnałam na nabrzeżu siostrę Kwan i naszego rik-szarża. Jego zgrubiałe dłonie uściśnęłam wtedy pierwszy i ostatni raz w życiu. Oboje zastępowali mamę, która nie potrafiła przezwyciężyć fobii nawet w dniu naszego odjazdu. Chcąc zdławić żal wywołany jej nieobecnością, zapatrzyłam się na lewiatana, który wkrótce miał wyrwać mnie z otchłani starych Chin.

Był przeogromny. Li dał mi kuksańca w bok, gdy nazwałam go łodzią. - To statek - warknął z pogardą dla mojej ignorancji. Słyszał nawet, jak pewien elegancko ubrany pan nazwał go pływającą wyspą. Po zastanowieniu przyznałam mu rację. To nie był zwyczajny statek. Miał trzy czerwono-czarne dymiące kominy, każdy większy niż cały nasz dom. Wszystkie odchylały się nieco do tyłu jak damy, którym fryzjer układa fryzurę. Przestrzeń dla pasażerów zajmowała siedem pięter. Pod pokładem, głęboko w trzewiach statku, kryły się ładownie i kotłownie.

W trakcie odprawy pasażerów na pokład wciągnięto malarzy, którzy zawieszani na linach, właśnie skończyli malowanie na burcie nowej nazwy jednostki: SS „Prosperity”. Tata wyjaśnił, że statek pływał dotąd wyłącznie przez Atlantyk, ale wielki kryzys zmusił armatora do przeniesienia biznesu na Morze Południowochińskie. Prawdziwą nazwę statku zachowano w tajemnicy. Ale jakie to miało znaczenie? Straty Europy oznaczały nasz zysk, bez względu na nazwę.

Zadrzałam z emocji na widok długich słonecznych pokładów strzeżonych przez szpaler łodzi ratunkowych. Wyobraziłam sobie, jak biegam po nich z Li w tę i z powrotem. Nie było już obok siostry Kwan, która powstrzymałaby nas swoim żelaznym uściskiem. I nie było mamy, która utyskiwałaby tylko i gderała. A ponieważ tata niechętnie nas dotykał, nareszcie mieliśmy wolne ręce! Musiał przestudiować plan statku, by odnaleźć naszą kajutę, a potem powiódł nas labiryntem schodów, holli przy windach, wyłożonych mahoniem korytarzy z chromowanymi poręczami, wreszcie przez wysoką salę restauracyjną z tapetą w pawie i wykrochmalonymi białymi obrusami. Pływająca wyspa? Raczej pływające miasto!

Gdy zobaczyłam naszą kajutę, zrzędała mi mina - ciemne i ciasne pomieszczenie niewiele większe od gabinetu taty. Dwa i pół na dwa i pół metra, nie więcej. Do ściany wyklejonej mdłą zieloną tapetą z motywem winorośli

przymocowane były dwie wąskie koje. Przypuszczam, że na takie posłanie poskarżyliby się nawet kulisi. Tata oznajmił, że zajmie dolną. Li i ja mieliśmy dzielić górną. Widząc nasze przerażenie, zaczął chodzić po kajucie. Najbardziej przygnębił mnie czarny od sadzy bulaj, przez który mieliśmy wyglądać, siadając na jedynym nędznym krześle. Czekало nas sześć dni i sześć nocy w tej celi. Odsuwałam od siebie myśl, że to zapowiedź czekającego nas życia wśród tubylców i chat z trawy w Nanyang.

- Może to pomyłka? - odezwał się Li. Tata pokręcił głową.

- Za to zapłaciliśmy. Trzecia klasa tutaj odpowiada pierwszej klasie na statku, jakim zwykle ludzie odbywają tę podróż. Powinniśmy więc uznać, że jesteśmy w pierwszej klasie. I że mamy szczęście.

- A pierwsza klasa na tym statku? - Li nie dawał za wygraną. - Nie możemy tam pójść?

- Tylko trzecia klasa jest otwarta. Dostęp do reszty statku zamknięto.

- Mamie by się to nie spodobało.

- Ale mamy tu nie ma, prawda? - Ponieważ Li milczał, tata ciągnął: - Wytyczone granice istnieją nie bez powodu. Rozdzielają różnych ludzi, dzięki czemu można utrzymać pokój.

Dzisiaj uznałabym tę uwagę za jego filozofię życiową.

Zawyła syrena. Kiedy SS „Prosperity” wypływał z portu, myślałam o wszystkich pięknych zakątkach Chin, których już nie zobaczę, ponieważ niedługo miałam zostać Chinką z za morza. Grobowce władców dynastii Ming pod Pekinem. Kryta strzechą chata poety Du Fu w Chengdu. Skalne ogrody w Suzhou. Nazwy tych miejsc wkrótce będą brzmieć dla mnie równie obco i abstrakcyjnie jak dom Jadeitowego Królika na Księżycu.

Prócz lasów w Syczuanie, zamieszkiwanych przez pandy, nie czułam żadnej więzi emocjonalnej ze skarbami chińskiej kultury. Moje rozumienie pojęcia „naszego ludu” nie wykraczało zbyt daleko poza rodzinę. Miałam do czynienia z żebrzącymi dziećmi o ciemnych twarzach i ostrych ujgurskich rysach, które rzucały kamieniami w moją riksę. Doświadczyłam jawnej zdrady ze strony kantońskiej służącej, takiej jak siostra Kwan. To nie był »moj lud”. Najczęściej nawet nie mówiliśmy tym samym językiem. Wrzucane do jednego worka wszystkich, którzy zrzędzeniem losu urodzili się na tym samym rozległym lądzie, było czystym szaleństwem.

Pierwszego wieczoru na pokładzie SS „Prosperity”, po kolacji złożonej z kanapek z wędzoną szynką, zapakowanych na drogę przez Ah Ying w pergamin,

tata posiał nas do łóżka. Powiedział, że od kołysania kręci mu się w głowie i nie ma siły nas pilnować. Stłoczeni z nim w ciasnej kajucie nie mieliśmy wyboru. Po długich targach - oboje baliśmy się spać - Li zajął miejsce przy ścianie, ja położyłam się od zewnątrz. Tak jak w domu, spaliśmy zetknięci plecami. Koją była bardzo wąska i Li miał nos przyciśnięty do tapety.

Pocieszałam się, że nadszedł kres ograniczeń i otwiera się przede mną nowa droga. Za brudnym bulajem gwiazdy mrugały na znak potwierdzenia, sprawiając, że moje niewinne serce biło szybciej. Wkrótce zasnęliśmy, zmęczeni niecierpliwym wyczekiwaniem i ukołysani falami.

Ku mojemu zaskoczeniu, tata wziął z sobą podręczniki do nauki angielskiego. Nazajutrz rano w barze dla pasażerów trzeciej klasy zaczął dawać Li lekcje tego języka. Mnie pominął. Widocznie w ogóle się dla niego nie liczyłam albo uznał mnie za niewystarczająco rozgarniętą. Tata nie znał dobrze angielskiego, Li był więc jego wygodnym alibi. Jak można się było spodziewać, dzięki poznawaniu obcego języka ojciec i syn stali się osobną kolonią. Od tej chwili Li traktował mnie chłodno, wiedząc, że w układzie sił w nowej rodzinnej konfiguracji lepiej mądrze wybierać sojuszników.

- Nie mamy wyjścia - podsłuchałam tatę, przedzierającego się z Li przez obcy alfabet - tam, dokąd płyniemy, będziemy musieli znać angielski.

- Gdzie to jest? - zapytał Li.

- Czarna Wyspa. Albo Wyspa duchów

Czarna Wyspa! Póki tata nie wypowiedział tej nazwy, nie znałam celu naszej podróży i nigdy o niego nie zapytałam. Czarna Wyspa, gdzie ludzie mówią po angielsku! Wyobraziłam sobie owłosionych Anglików w sarongach, mieszkających w chatkach z trawy. Przerazona zatkałam uszy. Nie chciałam wiedzieć nic więcej.

Z wściekłości postanowiłam pójść na przechadzkę. Im bardziej oddalałam się od Li, taty i reszty pasażerów, tym więcej zamkniętych na głucho drzwi i pustych korytarzy napotykałam. Nieoświetlone korytarze w pozbawionych okien czeluściach oceanicznego liniowca są bardzo nieprzyjemne. Tata nie przesadzał. Statek świecił pustkami. Pasażerowie zostali zepchnięci do jego najbardziej ponurej części, podczas gdy piękne schody i pokłady spacerowe pokrywał kurz. Biegałam po długich korytarzach pełnych drzwi oznaczonych złotymi cyframi. Wszystkie były zamknięte. Po cichu liczyłam, że wpadnę na kogoś, kto zbeszta mnie za włóczenie się po statku i odeśle do kajuty, lecz nikt taki się nie pojawił. Nie spotkałam nawet członka załogi, który kryłby się w czeluściach statku, robiąc sobie nielegalną przerwę

na papierosa. Słyszałam tylko niskie buczenie niestrudzonych silników i skrzywienie drewnianej podłogi pod stopami. Te odgłosy stały się nieodłącznymi towarzyszami mojej wędrówki po statku.

Miałam nadzieję, że trafię do sali restauracyjnej, przez którą prowadził nas tata, ale żadne drzwi, które próbowałam otworzyć, nie ustępowały. Czyżby ta część też została zamknięta? Czy wszystkie interesujące zakątki tego statku były niedostępne? Rojny bar trzeciej klasy spowijały chmury dymu tytoniowego zmieszanego z wonią starego tłuszczu. Od oddechów pasażerów zaparowały okna. Ludzie stali w ogonku po posiłek podawany na tacach zupełnie jak w szkole, tyle że większość stanowili dorośli. Wielu ciągnęło za rękę dzieci starsze ode mnie. Temu miejscu daleko było do luksusu sali jadalnej z tapetą w pawie.

W końcu, głęboko w brzuchu statku, kilka pięter poniżej pokładu widokowego, pod naporem mojego ciała ustąpiły stalowe dwuskrzydłowe drzwi. Nad framugą widniał angielski napis, który zachwycił mnie krojem liter w stylu art deco. Nie mogłam go odczytać, ale wyczułam zapach przypominający klasową wyprawę do klubu pływackiego. Chlor. Zabawne miejsce na taki zapach. Ciekawość zwyciężyła. Wcisnęłam się do środka. Moim oczom ukazał się basen.

Powiało chłodem. Pewnie dlatego, że wszystkie powierzchnie były wyłożone kaflami. Ściany miały barwę kości słoniowej żłobkowanej poziomo turkusem, a w samym basenie ujrzałam mozaikę przedstawiającą morskie motywy we wszystkich chyba odcieniach niebieskiego. Długie chromowane kinkiety migotały, a smugi światła, jakie rzucały na wodę, czyniły z niej scenę zamarłą w oczekiwaniu na wejście aktorów. Wokół basenu stały puste leżaki. Ich długie szare sylwetki utworzyły milczącą widownię.

- Jest tu kto?! - zawołałam, a mój głos odbił się echem od ścian przepastnej komory. Nagle usłyszałam plusk wody. Ktoś tu jednak był. I pływał. Zobaczyłam dziewczynkę w moim wieku. Miała na sobie czerwony kostium i czerwony czepek. Dziwne, że nie zauważyłam jej wcześniej. Nie zareagowała na moje wołanie, pochłonięta bez reszty tym, co robi. Obserwowałam uważnie, jak pokonuje kraulem kolejne długości basenu, a kiedy nie zatrzymała się, by odetchnąć, zawołałam jeszcze raz, tym razem głośniejsze:

- Halo!

- Dzień dobry - odpowiedział głos za moimi plecami. Podskoczyłam przestraszona i obróciłam się na pięcie. Zobaczyłam mężczyznę w zachodnim garniturze. Jego twarz ukryta była w cieniu, lecz od razu rozpoznałam szanghajski akcent. Zastanawiałam się, jak długo za mną stoi.

- Ta część łodzi jest jednak otwarta? - Przejęczyłam się ze zdenerwowania i znowu nazwałam statek łodzią. Na szczęście nieznajomy mnie nie wyśmiał.

Wszedł w krąg światła. Zobaczyłam gęste brwi i europejskie rysy.

- Tak, jest otwarta - odparł doskonałym szanghajskim. - Dla ciebie i dla mnie wszystko jest otwarte.

Te słowa wprawiły mnie w zakłopotanie. Czym prędzej zmieniałam temat:

- Pan jest tatą tej dziewczynki? Uśmiechnął się.

- Wyglądam aż tak staro? Nie, to Rachel - odrzekł, jakby to wszystko wyjaśniało. - Chodź, nie będziemy jej przeszkadzać. Ona jest bardzo... poważna.

Poprowadził mnie na drugi koniec basenu, gdzie zobaczyłam takie same drzwi, przez jakie tu weszłam. Nie spuszczałam oka z pływającej dziewczynki w nadziei, że w końcu podniesie głowę i pokaże mi swoją twarz.

- Nie gap się na nią - upomniał mnie nieznajomy przyjaznym głosem. - Rachel bywa chorobliwie nieśmiała.

Jak najprawdziwszy dżentelmen przepuścił mnie w drzwiach, zupełnie inaczej niż tata, który zawsze pchał się pierwszy. Owionął mnie zachwycający zapach jego wody kolońskiej. Miał tak długie włosy, że ich wijące się końce dotykały kołnierzyka. Mama natychmiast wysłałaby go do fryzjera. W moich oczach uosabiał ideał mężczyzny: był życzliwy, uprzejmy, wysławiał się poprawnie, słuchał uważnie i nie żałował czasu na oprowadzenie mnie po statku, podczas gdy mój ojciec, niczym przestraszona owca, nie chciał wyściubić nosa poza getto trzeciej klasy, bierny, obojętny, ślepo wierzący w kłamstwa, że reszta statku jest zamknięta naглуcho. Postanowiłam wtedy, że nigdy nie będę dzieliła się swoimi odkryciami ani z tatą, ani z Li.

Moim oczom ukazała się sala restauracyjna z tapetą w pawie. Zupełnie jakby mój przewodnik czytał mi w myślach.

Krzyknęłam z wrażenia i puściłam się pędem przed siebie. Gruby dywan stłumił odgłos moich kroków. Sala była pusta. Tylko sto stolików czekało w pełnej gotowości: wykrochmalone białe serwetki na drogiej porcelanie, po trzy kieliszki dla każdego gościa. Z sąsiedniej sali popłynęły słabe dźwięki muzyki. Zadrzałam z ekscytacji. Ktoś grał na harfie. W jednej chwili rozbłysły gazowe żyrandole - puff! - a mahoniowe filary zalśniły świeżą politurą. Wśród pasażerów statku znajdowali się szczęśliwcy, którzy dzisiaj wieczorem zjawią się tu na kolację.

- Skąd pan tak dobrze zna ten statek? - zapytałam. - Płyniemy dopiero jeden dzień.

- Wiele razy pokonywałem tę trasę i wiem, jak trudno ograniczyć się do niewielkiej przestrzeni. Moja żona mieszka na Czarnej Wyspie.

- A pan mieszka w Szanghaju?

- Przeważnie tak.

- Nie tęskni pan za żoną? Uśmiechnął się smutno.

- Nieustannie mi jej brakuje. Nawet kiedy stoi przede mną. - Podeszedł do wielkiego okna po jednej stronie sali.

Zapadał wieczór. Pierwsze gwiazdy migotały blado, niebo nad horyzontem czerwieniało jeszcze w promieniach zachodzącego słońca.

- Spójrz na wodę - powiedział mężczyzna.

Gdy niebo gasło, ciemny ocean ożył. Na falach pobłyskiwały tysiące różowych, niebieskich i srebrnych światełek. Uformowały wokół kadłuba gęstą girlandę o niezsynchronizowanych, a jednak harmonijnie współgrających, wręcz hipnotycznych barwach - różowa, niebieska, srebrna, niebieska, różowa, różowa - zupełnie jakby ktoś świetlistą rękawiczką wskazywał statkowi drogę przez ciemne wody.

- Meduzy. Nocą znaczą drogę, dzięki czemu statki nie zderzają się z wielorybami i nie wpadają na wraki zatopionych galeonów. Pełnią funkcję psów przewodników w morskim świecie. Są być może najbardziej zmyślnymi istotami na ziemi. Ludzie je lekceważą, ponieważ nie wydają żadnego dźwięku, ale te stworzenia mają własną mowę. Kiedy świecą tak jak dzisiaj, zwiastują pomyślność. Chciałem ci je pokazać, żebyś wiedziała, że wszystko będzie dobrze.

Skinęłam lekko głową.

- Już późno. Wracaj do rodziny. Poczułam ukłucie strachu.

- Nie wiem, jak wrócić - wyznałam.

Mężczyzna wskazał eleganckie mahoniowe drzwi z intarsją z drewna wiśniowego w kształcie kotwicy. Podbiegłam do nich i położyłam rękę na mosiężnej klamce. Obejrzałam się. Żal mi było zostawiać nowego przyjaciela.

- Przyjdiesz jutro? Spotkajmy się przy basenie - zaproponował.

- O której godzinie? - zapytałam rozpromieniona.

- O tej samej porze. Po lunchu. Dam ci kilka lekcji angielskiego. Serce zabiło mi mocniej.

- Zna pan angielski?

- Nie tylko. Także hebrajski, francuski i rosyjski. Nie z wyboru. Historia zmusza niektórych do uczenia się wszystkiego po trochu. - Pomachał mi na



pożegnanie. - *Au revoir, mademoiselle*. Do zobaczenia wkrótce. - Odwrócił się, by spojrzeć na wodę.

Zagryzłam wargi, w końcu zebrałam się na odwagę:

- Jak się pan nazywa? - zapytałam.

- Odell - odparł z uśmiechem.

- Do widzenia, panie Odell.

Do naszej lichej stołówki poprowadził mnie mdły zapach pływających w tłuszczu nóżek wieprzowych. Zastanowiło mnie, że pan Odell nie spytał mnie o imię.

Po wizycie w restauracji dla pasażerów pierwszej klasy wszystko wydało mi się brzydsze i gorsze. Na podłodze w jadłodajni leżało tanie linoleum, z którego łatwo usunąć plamy z jedzenia uronionego z talerzy i kubków przez niezdarne ręce pasażerów trzeciej klasy. Aluminiowe sztucce były lekkie i giętke. Kiedy skrobały o dno aluminiowych naczyń, wydawały skrzeczący dźwięk umierających papug. Każdy kulił się nad swoją porcją niczym uliczny obdartus strzegący zdobytego jedzenia. Choć wśród nas byli nauczyciele, urzędnicy i sklepikarze, wszyscy zachowywali się haniebnie, jakby trzecia klasa była stanem umysłu, a nie tylko ceną za bilet.

Li skubał niedogotowane bataty, usuwał widelcem ścięty tłuszcz z rozgotowanego kawałka wieprzowiny, aż w końcu oznajmił tacie, że mu niedobrze. Pozieleniał na twarzy, zlewając się kolorem z pędami dzikiego wina na tapecie.

Nazajutrz wymigałam się od lunchu i niepostrzeżenie czmychnęłam na basen. Rachel już pływała. Odell siedział rozparty na leżaku. Odniosłam wrażenie, że czekał na mnie od dłuższego czasu. Zgodnie z obietnicą pokazał mi resztę statku - salę balową, salon fryzjerski, boisko do squasha, salę gimnastyczną i wyłożony drewnem kambuz, gdzie przygotowywano posiłki pierwszej klasy, z armią palników gazowych i brzęczących zamrażarek. Każdą rzecz nazywał po angielsku. Parkiet, koń z łękami, apéritif - jak cudownie brzmiały na języku te słowa!

W pustym pasażu handlowym ściany zdobiły tafle rżniętego szkła. Roilo się na nich od sugestywnych scen z potworami i mężczyznami, których nagość przyprawiła mnie o rumieniec.

- To Grecy - wyjaśnił mój przewodnik. - A tam jest bardzo gorąco.

Opowiedział mi dwa mity przedstawione na szklanych taflach. W pierwszym dzielny młodzieniec o imieniu Perseusz wyrusza zabić Meduzę, jedną z przerażających Gorgon o węzami zamiast włosów, która jednym spojrzeniem zamieniała ludzi w kamień. Otrzymałszy specjalne dary od bogów - miecz,

tarczę i skrzydlate sandały - Perseusz wygrał pojedynek z Meduzą i odciął jej głowę. Na drugiej tafli rozgrywała się historia innego herosa, Tezeusza, który *yf* labiryncie stoczył zwycięski pojedynek z Minotaurem, wyposażony w inny dar - kłębek nici.

Obrazki były niepokojąco realistyczne - głowa Meduzy ociekała krwią -ale mnie uderzyła rażąca niedoskonałość herosów.

- Czy to nie oszustwo, skoro Perseusz i Tezeusz mieli pomoc z zewnątrz? Odell zaśmiał się wesoło.

- Próbowalaś kiedyś zabić Gorgonę? W takiej sytuacji trzeba mieć wsparcie. - Wydał usta. - A ty przypominasz mi inną postać z mitologii greckiej, upartą dziewczynę, która nigdy nie chciała przyjąć niczyjej pomocy. Miała na imię Pandora.

- Też była herosem?

- Dla niektórych tak. - Ściągnął brwi z teatralną przesadą. - Inni uważają ją za czarny charakter.

Potem opowiedział mi historię Pandory i piekielnej puszkę, którą otworzyła. Ta przypowieść i płynący z niej morał przyprawiły mnie o atak ziewania.

- Jesteś zmęczona, Pandoro?

Nacisnął włącznik i w jednej chwili rozblęły na ścianach rzędy kinkietów. Mrugały niepewnie, cicho bucząc. Dopiero wtedy uświadomiłam sobie, że dotąd rozmawialiśmy prawie po ciemku. Staliśmy w holu pierwszej klasy otoczeni pustymi kanapami i popielniczkami na królewskich postumentach. Przeszliśmy obok pustej recepcji. Przy wejściu na długi korytarz z podwójnym szeregiem drzwi Odell przystanął.

- Możesz wejść do każdej kajuty. Przekonasz się, że są o wiele wygodniejsze niż te w trzeciej klasie.

Powędrowałam przed siebie wolnym krokiem i zatrzymałam się przed drzwiami jednej z kajut. Na drzwiach widniał numer osiemdziesiąt osiem. Podwójny. Podobno szczęśliwy. Odell mówił prawdę: drzwi były otwarte. Weszłam do środka i zobaczyłam kajutę co najmniej cztery razy większą od naszej żalosnej nory. Podwójne łóżko, duże okna, zasłonki z falbankami -wszystko w wytwornym różu i kremie. Obejrzałam się, szukając wzrokiem Odella. Chciałam mu podziękować, ale zniknął.

Nie czułam znużenia, jednak opadłszy na łóżko, natychmiast zasnęłam kamiennym snem. Kiedy się obudziłam, niebo za oknem miało barwę atramentu. Ssało mnie w żołądku. Była pora kolacji.

W sali z pawiem ktoś był. Stałam w progu. Obawiałam się, że za chwilę złapią mnie w tej zakazanej strefie. Pod pustą sceną długonoga blondynka w połyskliwej sukni tańczyła mroczne tango. Pochłonięta tańcem, nie zwróciła na mnie uwagi.

Powoli weszłam do środka. Powiodłam wzrokiem po sali, zastanawiając się, gdzie usiąść.

- Pandoro! - usłyszałam znajomy głos. Odell siedział przy dwuosobowym stoliku pod malowidłem przedstawiającym śródziemnomorski krajobraz za otwartym oknem, pełen motyli i gajów oliwnych. - Ślicznie dzisiaj wyglądasz. - Pokraśniałam i przyspieszyłam kroku, by się do niego dosiąść. Głową wskazałam tancerkę. - Nie zwracaj na nią uwagi.

Podsunał mi parującą miskę z mięsem i ryżem. Wyglądała na nietkniętą. Teatralnym gestem podał mi widelec. Zapomniałam o dobrych manierach i łapczywie rzuciłam się na jedzenie. Ryż był puszysty, sos pikantny, różowawe kawałki wołowiny tak kruche, że rozpląwały się w ustach. Mimo dziecięcego podniebienia, kształtowanego przez Ah Ying i jej przesolone duszone potrawy, wiedziałam, że ten smak trudno będzie przebić.

- Boeuf strogonoff - wyjaśnił Odell. - Specjalność szefa kuchni. W starych dobrych czasach gotował dla rosyjskiej rodziny carskiej. Widzę, że ci smakuje.

Przyglądał się mojemu obżarstwu smutnym wzrokiem, który wzbudził we mnie poczucie winy.

- Nie powinnam zabierać panu jedzenia. - Przesunęłam miskę w jego stronę, chociaż zdążyłam opróżnić ją do połowy.

- Co za niedorzeczność. Tam, skąd je wziąłem, jest mnóstwo jedzenia. Miło mi patrzeć, jak jesz. Powinnaś kiedyś dołączyć do mojej żony i do mnie na herbatkę w Metropole. Chodziliśmy tam w każdą ostatnią niedzielę miesiąca. Metropole słynie z doskonałej herbaty. Bardzo przypominasz moją żonę. Pei-Pei, tak ma na imię.

Znów spąsowiałam z emocji.

- Pana żona jest Chinką?

- Najczystsza Chinką.

- Macie dzieci?

Pokręcił smutno głową.

- Dlaczego nie? - dociekałam.

- To trudne, bo żyjemy z żoną rozdzielni.

- Dlaczego nie zostanie pan z nią na Czarnej Wyspie?

- Tam nie ma miejsca dla kogoś takiego jak ja. Niedługo sama zobaczysz, o czym mówię. Tam jest inaczej niż w Szanghaju. To dżungla. Tamtejsi ludzie są mniej otwarci.

- Więc dlaczego pana żona nie mieszka z panem w Szanghaju?

- Zawsze zadajesz tyle pytań, Pandoro?

- Niech pan nie nazywa mnie Pandorą. - Zaperzona odłożyłam widelec.

- Zauważyłaś coś niezwykłego, Pandoro? - Uśmiechnął się, wskazując swoje wargi.

Z wrażenia zasłoniłam ręką usta. Cały czas mówiliśmy po angielsku.

W towarzystwie doskonałego nauczyciela wchłonęłam nową wiedzę niczym gąbka. Prawdę powiedziawszy, stało się tak nie tyle dzięki talentowi, ile empatii. Różnicę między jednym i drugim przyszło mi zrozumieć - a raczej zaakceptować - o wiele później.

Li i tata cierpieli na chorobę morską. Na przemian wychodzili na korytarz i korzystali ze stojącego tam wiadra. Przez całą noc drzwi to otwierały się ze skrzypieniem, to zamykały z trzaskiem. Kusiło mnie, by opowiedzieć im o kabinach w pierwszej klasie, ale ugryzłam się w język.

Rano po przebudzeniu stwierdziłam, że jestem sama. Tata i Li zniknęli. Natychmiast pożałowałam swojej dyskrecji.

- Są w izolatce - poinformowała mnie stara wdowa, która płynęła z córką w średnim wieku. - Na rufie statku, głęboko pod pokładem, schodzi się ciemnymi i stromymi schodami. Moja córka też tam leży. Najlepiej, żebyś tu zaczekała i dotrzymała mi towarzystwa. Chodź, chodź. - Podała mi jeden z drutów, który miałam trzymać nieruchomo, a sama zaczęła wiązać pętelki na drugim drucie. Rzuciłam go i uciekłam.

Izolatka? Musiałam odszukać Odella.

Na pokładzie spacerowym zatrzymał mnie członek załogi, krępy chiński marynarz o skórze tak ogorzalej, że przypominał Indianina.

- Idę na basen spotkać się z przyjaciółką - powiedziałam.

- Bzdura, basen jest zamknięty.

- Nieprawda. Rachel, ta dziewczynka, pływa tam codziennie. War gi marynarza zdrzały.

- Rachel? Widziałaś Rachel?

Nie czekał na odpowiedź. Złapał mnie za kołnierz i pociągnął za sobą do drzwi z napisem PRZEJŚCIE TYLKO DLA ZAŁOGI, a potem przez długi korytarz drgający od hałasu generatorów. W tej ciasnej przestrzeni kołysanie

statku czuło się bardziej niż na pokładzie. Na końcu były drzwi z matowego szkła ze złotymi literami układającymi się w napis INŻYNIER. Otworzyły się, zanim marynarz zapukał. W progu stanął chudy żylasty Europejczyk o potarganych siwych włosach, w pogniecionej rozpiętej koszuli.

- Co znowu? - zapytał surowo.

- Ta mała *mówi*, że widziała dziewczynkę. W basenie.

Jasnoniebieskie oczy Europejczyka na ułamek sekundy otworzyły się szeroko. Za tym poszło ledwie zauważalne skinienie głową. Wyciągnął pomarszczoną rękę w stronę mojej twarzy. Wzdrygnęłam się, ale on tylko przyłożył mi dłoń do czoła w czułym geście zatroskanego dziadka.

- Gorączki nie ma. - Delikatnie odwinął moje dolne powieki. - W normie. Ukucnął, a jego twarz znalazła się na wysokości mojej twarzy, i zwrócił się do mnie łamanym mandaryńskim:

- Rodzina twoja gdzie?

- W izolatce, panie Rosen - odezwał się marynarz.

- W takim razie niedługo wrócą do kajuty. Izolatka jest przepelniona. Zbyt wielu płynie statkiem pierwszy raz. W kwestii dolegliwości Chińczycy mają bujną wyobraźnię. - Pokręcił z dezaprobatą głową i zmierzwił swoje rzędzące siwe włosy. - Ta mała prawdopodobnie cierpi na tę samą przypadłość. Zaprowadź ją do kajuty i dopilnuj, żeby więcej nie włóczyła się po statku.

Marynarz łagodnie zaczął ciągnąć mnie do wyjścia.

Zapierałam się z całych sił. Wiedziałam, że muszę dać wyraz mojemu oburzeniu, zanim będzie za późno. Nie wiem tylko, skąd znalazłam w sobie tyle odwagi.

- Dlaczego Rachel może tam chodzić, a ja nie?! - wrzasnęłam.

- Rachel robi, co chce - odpowiedział inżynier z żalem. - Byłbym wdzięczny, gdybyś nikomu nie mówiła o mojej córce.

Po tych słowach zatrzasnął za nami drzwi. Do moich uszu dobiegła muzyka fortepianowa w tonacji molowej, pełna kłócących się z sobą akordów. Ktoś nastawił płytę. Dręczyło mnie pytanie: Rachel jest córką inżyniera? Przecież on wyglądał tak staro.

Marynarz miażdżył mi dłoń w uścisku, gdy prowadził mnie z powrotem do kajuty. Nie mogłam „się włóczyć”, jak ujął to obraźliwie dla mnie inżynier. Gdy dotarliśmy do trzeciej klasy, powtórzył wiernie żądanie swojego przełożonego:

- Ani się waż powtarzać plotki o dziewczynce, słyszysz? Zostań w kajucie i bądź grzeczna.

- Dlaczego?

- Ponieważ nie możemy pozwolić, by na pokładzie zapanował chaos.  
- Dlaczego?  
- Droczyś się ze mną czy naprawdę jesteś taka tępa? Nie zauważyłaś, że Rachel nie jest taka jak my?

- Bo jest Europejką?

Marynarz ukucnął przy mnie i spojrzał mi prosto w oczy.

- Nie. Ponieważ utonęła w tym basenie dziesięć lat temu.

Więc Rachel była duchem! Zadrzałam z emocji, uświadomiwszy sobie, jak szczególną wiedzę posiadałam. Siostra Yeung nie była jedyna. Rachel, jak nieżyjąca niania, nie przestraszyła mnie i nie skrzywdziła. Wyszłam z tego spotkania bez szwanku, w ogóle niezmieniona. Przykrą konsekwencją zetknięcia, z Rachel było to, że marynarz i ja staliśmy się oddzielnymi gatunkami istot, które nie mają już z sobą nic wspólnego. Mój strażnik usiadł na jedynym krześle w naszej kajucie i pogwizdując *It's a long way to Tipperary*, patrzył w iluminator i bawił się nitką wiszącą u rękawa koszuli. Wyczułam jego strach. Zupełnie jakby to, że widzę duchy, dało mi nadzwyczajną moc i władzę. Nie mogłam się doczekać, co powie Odell. Przecież on także widział małą pływaczkę.

Wreszcie drzwi kajuty otworzyły się ze szczękiem. Marynarz zerwał się na równe nogi. Tata cofnął się gwałtownie, przestraszony widokiem obcego mężczyzny. Widziałam w jego oczach nagłe obudzoną czujność. Na widok Li poczułam ulgę. Ciągle pozieleniały na twarzy, odepchnął mnie i wdrapał się na naszą koję.

Marynarz wreszcie miał pretekst, by sobie pójść. Rzucił mi znaczące spojrzenie - „trzymaj buzię na kłódkę” - i bez słowa zamknął za sobą drzwi. Tata odezwał się dopiero, gdy zostaliśmy sami:

- Rano nie chciałem cię budzić. Zabrałem Li do izby chorych. Doktor powiedział, że to anemia. - Zafrasowany ściągnął brwi. - Niedożywienie. Nic nie mogą z tym zrobić, póki nie przybijemy do brzegu.

- W pierwszej klasie jedzą boeuf strogonoff - wtrąciłam.

- Przestanieś wreszcie? - Ku mojemu zaskoczeniu ojciec zezłościł się i zgromił mnie wzrokiem. Moje słowa nie uzasadniały jego wybuchu. - Mam dość twoich kłamstw!

- Ale ja przecież tam jadłam!

Tata uderzył mnie w twarz. Tata, który nigdy nas nie skarcił i nie bił. Minęły zaledwie cztery dni, a ta podróż już zdążyła nas zmienić. Mój łagodny ojciec stał się brutalnym, mój zwinny brat słabeuszem, a ja musiałam radzić sobie sama w tym postawionym na głowie świecie.

To nie ten zdraдлиwy statek był wyspą. To ja nią byłam. To ja płynęłam samotnie przez bezkresny ocean. Twarz piekła mnie od uderzenia i od gorących łez.

- Twój brat choruje, a ty rozradowana wymyślasz niestworzone historie. - Tata przysiadł na kiwającym się krześle i spojrzał przez iluminator jak przedtem marynarz. Byłam aż tak odrażająca, że obaj nie mieli ochoty na mnie patrzeć? Po dłuższej chwili tata zerknął na mnie, jakby był zdziwiony, że wciąż stoję w tym samym miejscu. - Już dobrze, dobrze. Przestań płakać. - Przywołał mnie do siebie skinieniem głowy i wyjął z kieszeni wystrzępioną chusteczkę. Kiedy ocierał mi policzki, poczułam zapach skórek pomarańczy i naftaliny, kojące wonie naszego starego, dobrego Szanghaju. - Ech, mam tylko jedną chusteczkę i zobacz, jak ją zniszczyłaś. - Westchnął ciężko.

Chciałam powstrzymać płacz, lecz z mojej piersi wyrwał się zdławiony szloch. Tata cmoknął z dezaprobatą.

- I co ja mam z wami zrobić? - Oboje odwróciliśmy się w stronę Li, który zapadł w niespokojny sen. Zielonkawę żyłki znaczyły jego skronie niczym kosmyki włosów. Miał niebieskie wargi. - Co ja zrobić? - powtórzył.

Podzielałam jego rozpacz. Powinniśmy byli zostać w Chinach. Mogliśmy znaleźć mniej drastyczne rozwiązanie problemu.

Nagle złapał mnie mocno za nadgarstek. Kolejny pierwszy raz. Spodziewałam się przeprosin i ojcowskiej pieśczoćy lub przynajmniej uścisku dłoni. Zamiast tego tata chwycił nożyk do owoców z nocnego stolika i przytknął jego niebezpiecznie ostry czubek do mojej otwartej bezbronnej dłoni.

- Tato... - jęknęłam błagalnie. Czy już nie dość mnie zranił?

- Nie utrudniaj mi tego. Musimy to zrobić w imię wyższego dobra. Zanurzył ostrze w miękkiej tkance mojej ręki, a ja wrzasnęłam z bólu.

Przytrzymał mnie kolanami, żebym się nie ruszała. Miał iście zwierzęcą siłę, o jaką nigdy go nie podejrzewałam. Krew popłynęła dwiema szkarłatnymi strużkami po moim przedramieniu. Chwył taty zelżał, ale determinacja go nie opuściła. Zerwał się z krzesła, którego oparcie z impetem uderzyło o ścianę, i pociągnął mnie w stronę dolnej koi.

Położył moją krwawiącą rękę na ustach Li i przycisnął, aż jego wargi się rozchyliły. Poczułam zęby Li ocierające się o moją ranę, lecz jego oczy pozostały zamknięte. Spał czy tylko udawał? Na widok mojej krwi rozsmarowanej na jego wargach niczym szminka zrobiło mi się niedobrze.

- Pij - wyszeptał tata do swojego ukochanego syna. W jego oczach błysnęły łzy, zbyt dumne, by spłynąć po policzkach.

I Li posłuchał.

Choć wtedy tego nie wiedziałam, zaburzona została równowaga sił - subtelne porozumienie bez słów naturalne tylko dla tych, którzy dzielili to samo łono - między moim bratem bliźniakiem a mną. To ja stałam się dobroczyńcą Li, to moja krew utrzymywała go przy życiu.

Może tata wyczuł tę niepokojącą zmianę, ponieważ od tej chwili uważnie mnie obserwował. Poszliśmy do jadłodajni po jedzenie dla Li, który został w kabinie, by nabrać sił. Chcąc poprawić mi krążenie, tata zabrał mnie na pokład rekreacyjny, gdzie dostojnym krokiem okrążaliśmy dymiące kominy, aż nauczyłam się na pamięć każdego spękania farby i każdego zadrapania. Kiedy tata łapał mnie na spoglądaniu w stronę schodów czy drzwi, karciał mnie bolesnym ściśnięciem za ramię albo tylko głośnym chrząknięciem, gdy ktoś akurat znalazł się w pobliżu. Po powrocie do kabiny wymierzał mi solidnego klapsa za każde zerknięcie ku drodze do wolności. Nie miałam szans na ucieczkę.

A jednak nie o ucieczce marzyłam najbardziej. Myślałam o Odellu. Męczyły mnie pytania, które chciałam mu zadać. Czy był taki jak ja? Czy od zawsze widział umarłych? Czy kiedykolwiek się bał? Czy ja będę się bała? Jakaś cząstka mnie modliła się, by przyszedł mi z odsieczą, lecz jeszcze większa część umierała ze strachu, że miałyby ujrzeć mnie w zamknięciu, pilnowaną przez surowego strażnika.

Za dnia pod baczynym okiem taty karmiłam Li śniadaniem i lunchem z jadłodajni. Co wieczór, też pod ojcowskim nadzorem, Li żywił się mną. Najpierw zębami zrywał świeży strup, a potem ssał skrzep, aż z moich żył zaczynało płynąć życie, a połączeni nim, stawaliśmy się jedną arterią.

Pewnego wieczoru, gdy po „kolacji” Li poczuł się lepiej, tata zabrał go na przechadzkę po pokładzie, by zaczerpnął świeżego powietrza. Zostałam sama. To była moja szansa. Wyszłam z kabiny i zanurzyłam się w zmierzch.

Statek wpłynął w równikowy pas ciszy na Morzu Południowochińskim, strefę, gdzie nic się nie poruszało, gdzie dniem i nocą powietrze pozostawało ciepłe i wilgotne. I nieruchome. To miejsce słynęło z tego, że doprowadzało Żeglarzy do szaleństwa. Nie tylko ich. Ja też czułam duszącą wilgoć wnikająca głęboko w pory mojej skóry niczym ospa, której nie sposób usunąć zdrapywaniem strupków.

Puściwszy się pędem po zalanym poświatą zmierzchu pokładzie spacerowym, już po chwili byłam mokra. Strużki potu spływały mi po szyi, brzuchu i nogach. Miałam wrażenie, jakby po moim ciele pełzały lepkie węże. Wszystkie drzwi prowadzące do pierwszej klasy były teraz zamknięte. Pewnie dlatego, że przekroczyłam tak wyraźnie wyznaczone bariery. W duchu



przeklinałam inżyniera. Po co takie zamieszanie z powodu ducha jednej dziewczynki? Skąd ten strach?

Wspięłam się po drabinie na wyższy pokład, dysząc pod ciężarem oblepiającego mnie równikowego powietrza. Tam, w słabej poświacie księżyca, moim oczom ukazał się ponury widok: platanina nieprzyjaznych rur, kolanka, zawory, ziejące otwory potężnych wentylatorów.

Nagle podłoga zadrżała, wprawiając moje ciało w wibracje, a uszy wypełnił przeraźliwy łoskot. Zabrzmiał jak sygnał szatańskiego herolda. Padłam na pokład i zatkałam uszy. Kiedy hałas wreszcie ustał, odważyłam się podnieść i podejść do burty, chociaż huczało mi w głowie, a kolana trzęsły się jak galareta.

Spojrzałam na wodę. Była rozświetlona. Tym razem nie przez meduzy, lecz przez falujące plamki światła. Refleksy! Kiedy moje oczy przyzwyczyły się do tego widoku, na horyzoncie wypatrzyłam zarys lądu. Na niewysokich wzniesieniach roilo się od sylwetek zaciekawionych żyraf, wyciągających szyje w jedną stronę. Światła reflektorów ślizgały się po nabrzeżu.

Od kilku dni otaczało mnie morze, dlatego na widok tego niewielkiego skrawka lądu puściłam wodze fantazji. Z każdą chwilą widziałam go coraz wyraźniej. Żyrafy okazały się tropikalnymi palmami, których pnie pochylały się w podmuchach nieistniejącego wiatru. Świetliki migotały w ciemności niczym zajaczki puszczone przez gromadę dzieci.

„Zapomną o tobie”, odezwał się dziecięcy głos. Odbił się dziwnym echem, jakby nadpłynął z bardzo daleka albo z zakamarków mojego mózgu. „Zawsze o tobie zapominają”.

Obejrzałam się. Wśród labiryntu rur, w odległości metra ode mnie stała dziewczynka w czerwonym kostiumie kąpielowym. Rachel. I znów w ogóle się nie przestraszyłam. Z jej nosa i ust wydostawała się woda, spływając kaskadą po srebrzystym woskowym ciele. Miała przekrwione oczy i ziemiste policzki. Urocza dziewczynka zmieniona przez chlor i śmierć w niczym nie przypominała małych beztroskich Europejczyków, których widywałam w Szanghaju. Westchnęła z powagą starego człowieka i odwróciła się, by odejść.

- Zaczekaj! - krzyknęłam. - Kto o mnie zapomni?

Wyraz jej twarzy zmroził mi krew w żyłach. Miała wzrok tamtego kotka z parku, gdy na zawsze znieruchomiał i wyzbył się strachu. Oczy kogoś, kto widział na tyle dużo, by nie wierzyć już w ludzi. Ledwie się z nią zetknęłam, a już zdążyłam ją zawieść.

Z czeluści statku wydobyło się metaliczne wycie. Poczułam, jak kolos wyhamowuje, potężna siła rzuciła mnie na jedną z rur. Kiedy odzyskałam równowagę, Rachel już nie było. Pozostała po niej tylko plama wody i charakterystyczna woń basenu.

„Zapomną o tobie”. W przypiływie paniki popędziłam do kabiny.

Ile czasu spędziłam poza nią? Kilka godzin? Trzecia klasa opustoszała. W jadalni nie było żywej duszy, zniknęli nawet staruszkowie, którzy przesiadywali tam po całych dniach, grając w warcaby i paląc papierosy Red Lion. W powietrzu nadal wisiał zapach ich przesyconych tytoniem oddechów. To oznaczało, że nie odeszli daleko. Tylko dokąd? Na korytarzu trzeciej klasy wszystkie drzwi były otwarte. Zaglądając kolejno do każdej kajuty, widziałam nieposłane koje, dowód pośpiechu pasażerów. Gdy zbliżałam się do naszej kabiny, drżały mi kolana.

Była pusta. Nasze bagaże zniknęły. Tata i Li mnie porzucili.

Ujrzałam swoje odbicie w lustrze. Miałam na sobie piżamę z różowej flaneli we wzorek w skaczące króliczki. Lewy rękaw był rozpruty, materiał pod pachami sztywny od zaschniętego potu. Nie wiedziałam, gdzie mieliśmy zamieszkać, nie znałam adresu ani imion dalekich krewnych, którzy mogli czekać na brzegu w spódniczkach z trawy.

Nogi też mnie zawiodły. Czułam, jak się pode mną uginają. Resztką sił wdrapałam się na górną koję i zwinęłam w kłębek, plecami do zielonkawej ściany, w nadziei, że pnącza dzikiego wina oplotą mnie i otulą liśćmi, aż wszystko - absolutnie wszystko - się skończy. Nie mogłam jednak zamknąć oczu. Łzy wzbierały pod powiekami i szukały drogi ujścia.

Usłyszałam odgłos kroków na korytarzu. Usiadłam gwałtownie.

- Tato?

W drzwiach pojawiła się męska postać. To nie był tata. To był znany mi już ogorzały marynarz.

- Tu jesteś! - Westchnął ciężko. - Chodź ze mną. - Podeszedł do koi i przerzucił mnie sobie przez ramię, jakbym była prosięciem, które trzeba zanieść na targ.

Ponad chybotliwym trapem łączącym statek z lądem dostrzegłam pas ciemnej wody pełnej czegoś, co wyglądało jak fosforyzujące ruchome tulipany. Młode meduzy - ciągle niepewne, nie do końca ukształtowane.

W powietrzu unosił się zapach świątynnych kadzideł, którego mama tak me zносиła. Kiedy na przystani weszliśmy do pawilonu o filarach z kutego żelaza, poczułam tylko obrzydliwy odór ludzkich ciał. Chociaż wysoko nad naszymi głowami obracały się elektryczne wentylatory, miałam wrażenie, że

znaleźliśmy się w ogromnym buzującym piecu. Każdy z kłębiących się tam ludzi wtłoczył całe swoje życie do jednego kufra i teraz strzegł bagażu, ob-  
rzucając innych wrogimi spojrzeniami.

- Witaj w domu - szepnął mi do ucha marynarz, stawiając mnie na ziemi wśród ludzi, których na statku nie widziałam ani razu. - Twój ojciec i brat czekają pod tym wielkim zegarem - dodał i pchnął mnie w tamtą stronę.

Nie widziałam ich, lecz trudno było przeoczyć bladożółtą tarczę zegara wiszącą niczym księżyc nad rojowiskiem spoconych postaci. Miał tylko jedną wskazówkę. Jakież to straszne miejsce, skoro nawet portowemu zegarowi brak wskazówki, pomyślałam. Po chwili zrozumiałam swoją pomyłkę. Wskazówka minutowa skryła się za swoją godzinową siostrą.

Była północ.

## WYSPA NIECZYSTA

Czarna Wyspa była największą spośród kilkudziesięciu wysp rozszaniach wzdłuż równika. Ze wschodu na zachód miała osiemdziesiąt kilometrów, z północy na południe dwieście czterdzieści.

Odległa od centrum wydarzeń, przycupnęła niczym onieśmielony gość na północno-zachodnim krańcu archipelagu, mało znaczącego skrawka lądu utrzymywanego w miejscu jedynie siłą przyciągania ziemskiego. Ten układ wydawał się tymczasowy. Patrząc na mapę, czuło się, że pewnego dnia Wyspa - bo tak nazywali ją miejscowi - zerwie się z łańcucha grawitacji i po prostu odpłynie.

Na razie tkwiła w miejscu niczym Skała Gibraltarska. Od pierwszych lat XIX wieku stanowiła własność Brytyjskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej, która zarządzała nią jak miastem-państwem na wzór Florencji i Wenecji z czasów ich świetności, chociaż z anglosaskim stoicyzmem w miejsce południowej fantazji.

Czarna Wyspa była opalem w dalekowschodniej koronie imperium, jedynym brytyjskim terytorium z naturalnie głębokim portem oraz klimatem odpowiednim dla ulubionych upraw plantatorów, czyli tytoniu, kauczuku i muszkatolowca. Jednakowo oddalona od Indii i Chin, stanowiła idealne miejsce postoju dla brytyjskich statków przewożących opium. Jeśli chodzi o złowieszcze brzmienie jej nazwy, to potężni kolonizatorzy nie mieli z tym nic wspólnego. „Czarna Wyspa” to dosłowne tłumaczenie malajskiej nazwy Pulau Hitam, nawiązującej do burzliwej przeszłości tego skrawka lądu, kiedy to jeszcze przed przybyciem Europejczyków korsarze obrali go sobie za kryjówkę.

I właśnie ten ciemny aspekt ujrzeliśmy najpierw w tamtą pamiętną noc pod koniec 1929 roku, gdy schodziliśmy na ląd, marząc o lepszym życiu.

Droga na wyspę wiodła przez szpaler chińskich strażników o kamiennych twarzach, którzy dzielili kłębiący się tłum nowo przybyłych na grupy. Mówiący płynnie po angielsku Chińczycy w okularach byli wyciągani z kolejki i kierowani do mniej zatłoczonej części pawilonu.

- Specjalne traktowanie - prychnął tata. Wyjął z kieszeni grzebień. Myślałam, że chce przyczesać dawno niemyte tłuste włosy, ale zamiast tego trącił mnie tym grzebieniem w ramię. - Dlaczego oddaliłaś się bez słowa? Gdybym nie musiał cię szukać, miałbym czas, żeby się ogarnąć!

Po latach zrozumiałam, że to nasza kolejka miała szczęście. Ci o wyglądzie dobrze wykształconych zostali dokładnie wypytani o bolszewizm, plagę szerzącą się w Eurazji. Dodatkowo zajrzano im w dolny otwór ciała, szukając dowodów określonych skłonności. Przy najdrobniejszym podejrzeniu odsyłano ich na statek.

Przy drugim punkcie kontrolnym stał zażywny brytyjski inspektor, którego jedynym zajęciem było ściskanie rąk nowo przybyłym. Nie chodziło bynajmniej o przyjacielski gest. Inspektor wyszukiwał ludzi o gładkich dłoniach. Gładkie dłonie także wznosiły czerwone flagi. Tata ze swoim afektowanym obliczem erudyty zaliczał się do tej kategorii, ale na szczęście moja podarta piżama i pozieleniała twarz Li zadziałały na jego korzyść i inspektor zostawił go w spokoju.

Noc spędziliśmy na twardych drewnianych ławkach w budynku terminalu. O świcie zostaliśmy upchnięci jak sardynki w rozklekotanych autobusach i odstawieni na główny plac w środku miasta.

Miasto powstało na południowym krańcu wyspy. Z zetknięcia wiktoriańskiej Anglii z miejscowym żywiołem wyłoniło się to, co ujrzałam tamtego pierwszego ranka: typowe miasto graniczne, klasyczny tygiel, jaki później widywałam w Bombaju, Sydney czy Johannesburgu. Europejskie budowle, zbite w ciasną gromadę i wyglądające niczym weselne torty, w upale i kurzu spoglądały krzywo na niekończący się potok meandrujących pojazdów i rzekę ludzi. Wszystko tu przytłaczało i oszałamiało - klaksony, warkot silników, przekleństwa w kilkunastu językach, zapach dymu węglowego i oleju do smażenia, smród ścieków, a nawet ludzie wszelkich rozmiarów i o najrozmaitszych odcieniach skóry. Najbardziej przerażały mnie roztrąbione automobile, zostawiające za sobą kłęby cuchnącego czarnego dymu, oraz nieprzewidywalne taksówki, które siały popłoch wśród ludzi i zwierząt. Niewiele brakowało, a jeden z tych szalejących gruchotów by nas staranował. Kierowca skręcił w ostatniej chwili. Od przeraźliwego trąbienia o mało nie popękały nam bębenki. Przywarłam kurczowo do taty i Li, podskakując i piszcząc na dźwięk każdego klaksonu. W końcu tata zatrzymał najspokojniej jadącą taksówkę, by nas stamtąd zabrała.

Przywarłam do szyby. Wzdłuż drogi obstawionej wózkami przekupniów sprzedających przekąski i billboardami reklamującymi, a to syrop na kaszel, a to opony rowerowe Flying Horse, sunął pochód dwudziestu kilku zakaptu-rzonych mężczyzn. Mieli na sobie grube czarne szaty. Szli dostojnie parami, nabożnie pochyleni, złączeni wspólną żałobą. Kiedy ich mijaliśmy, zobaczyłam, że spod ich obszernych kapturów zije ciemność.

- Dlaczego tak nagle ucichłaś? - zapytał tata z nutą troski w głosie. - Ci ludzie - wyszeptałam, wskazując ich palcem.

Tata zerknął we wskazanym przeze mnie kierunku.

- jacy ludzie?

Wzdrygnęłam się. Nie miałam ochoty podejmować tego tematu. W przeciwieństwie do spotkanych wcześniej duchów, ci mężczyźni wytrącili mnie z równowagi. Byli zbyt odlegli i nieuchwytni. Co gorsza, nie mogłam nikomu o nich opowiedzieć. Nawet siostrze Kwan, która mimo swoich wad przynajmniej mi wierzyła. Czy te wizje nigdy się nie skończą? Skuliłam się i zamknęłam zdradliwe oczy.

Gdy dotarliśmy do Chinatown i zbiegu uliczek zwanego Bullock Cart Water, ponieważ tam właśnie poiono woły zaprzęgane do wozów, ogarnął mnie inny rodzaj lęku. Na widok wąskiego czteropiętrowego szeregowca, straszącego czarnymi liszajami grzyba, spod którego niczym naga skóra wyzierały różowe plamy cegieł, zrozumiałam, że czasy szanghajskie bezpowrotnie minęły. Przebyliśmy taki szmat drogi, by zamieszkać w tej ruinie? Na dodatek z domu nie wybiegł żaden sługa i sami musieliśmy wtaszczyć do środka nasz bagaż. Tutaj nie było ani siostry Kwan, ani siostry Choon, ani nawet puciołowatego i zrzedliwego Świerszcza.

Li łykał łzy, gdy wdrapywaliśmy się na trzecie piętro stromymi, wąskimi, ciemnymi schodami. Ulżyło mi trochę, że nie jestem sama w swoim przerażeniu. Czekałam, aż Li powie coś tacie, ale milczał jak zakłęty.

Kiedy stanęliśmy przed czerwonymi drzwiami oznaczonymi numerem 31 A, na których jakiś wandal wydrapał olbrzymi złowieszczy znak X, tata odciągnął mnie na bok.

- Twój brat źle się czuje. Zejdź na dół i kup pierożki. To go rozweseli - powiedział miękko, wciskając mi kilka monet.

Wiedziałam, jak bardzo Li uwielbia pierożki z wieprzowiną, nie miałam jednak pojęcia, gdzie ich szukać. To nie był Szanghaj. Czy ludzie tutaj w ogóle jedzą takie pierożki? Mimo wątpliwości posłuchałam taty. Im dłużej odwlekałam konieczność zmierzenia się z nędzą naszego mieszkania, tym lepiej. Zbiegłam po schodach. Na drugim piętrze zwinnym manewrem ominęłam śmierdzące odchody. Z niewidocznej dziury syknął na mnie szczur.

Sklep na parterze naszego budynku nazywał się Dom Wielkiej Nadziei. Nie sprzedawali tam pierożków. W wysokich przeszklonych gablotach stały eliksiry na męską potencję z poroży jeleni i serc kobry. Chodnik przed sklepem zajmował niemy duet: fryzjer męski, który strzygł klientów pod gołym niebem, oraz sprzedawca kawy używający jako sitka starej skarpetki. Ani

śladu pierożków. Ruszyłam ulicą, czytając napisy: Trwale Kadzidla, Wielki Wschodni Wróżbiarz, Najlepszy Zielarz. Na końcu chodnika stała grupka pięciu kobiet bez twarzy. Przetarłam oczy. Nie pomogło. W miejscu twarzy nadal widziałam kremowe plamy. Chociaż w białych koszulach i luźnych spodniach wyglądały jak Chinki, trajkotały w dialekcie, którego nigdy przedtem nie słyszałam. Kojarzył mi się z napomnieniami surowych bibliotekarek, uciszających niesfornych czytelników.

Zawróciłam, żeby mnie nie zauważyły. Nie zdążyłam odejść zbyt daleko, gdy coś dopadło mnie i klepnęło w ramię. Wrzasnęłam przeraźliwie.

To nie był duch. To był mężczyzna, który wyglądał jak duch - wychudły, siwowłosy hinduski sadhu o ziemistej cerze, z plamą z popiołu wulkanicznego między oczami. Był bosi, odziany tylko w skąpą przepaskę biodrową. Przy każdym poruszeniu rąk buchał od niego smród gnijącego mięsa.

Kurczowo zacisnęłam monety w dłoni, ale on nie chciał pieniędzy. Utkwił we mnie spojrzenie przekrwionych oczu i potrząsnął wymierzoną w niebo brudną pięścią.

- Nieczysta jest ta wyspa. Bardzo nieczysta...

Po tych dziwnych słowach skinął mi głową, a potem odszedł wolnym krokiem, ciągnąc za sobą gnilny odór.

Mieszkanie 31A dzieliliśmy z dwiema innymi nowo przybyłymi rodzinami: kantońską rodziną Wongów oraz Hakków o nazwisku Koos. Obie rodziny były zdekompletowane jak nasza. Każdej przypadł jeden pokój z dwoma piętrowymi łózkami i szafą. Nasz sprawił, że zatęskniłam za statkiem. Miał tylko jedno okno, na dodatek roztaczał się z niego widok na uliczkę, którą upodobałi sobie gwizdzący i cmokający sutenerzy. Na szczęście nie było w nim miejsca dla duchów.

Wspólna przestrzeń mieściła tylko stół i ławkę, rodziny siadały więc do posiłków na zmianę, co nawet mi się podobało. Ponura monotonia naszego jedzenia - ryż, solona ryba, marynowane warzywa - były dla nas nieustającym źródłem wstydu. Li i ja co dzień o zmierzchu chowaliśmy się przed śniadym Tamilem, który z obnażonym torsem chodził od drzwi do drzwi, powtarzając: *Karang guni... Karang guni...* Wyobrażaliśmy sobie, że jest więziennym strażnikiem przychodzącym po niegrzeczne dzieci. Zawstydziliśmy się własnej głupoty dopiero po rozmowie z Koosami. *Karang guni* znaczyło „śmieci”, nie „dzieci”. Ten człowiek był tylko śmieciarzem.

W ciasnej przestrzeni mieszkania toczyła się zacięta, choć milcząca rywalizacja między trzema ojcami o posady, szkoły i jedzenie. Dzieci przyłapano

na wspólnej zabawie karcono niezadowolonymi spojrzeniami. Dopiero po jakimś czasie zrozumiałam powód. Byliśmy w stanie zawieszenia, w którym nie należało nawiązywać bliskich więzi ani dzielić się sekretami. Ten zniechęcony okres przejściowy miał odejść w zapomnienie, gdy tylko urządzimy sobie prawdziwe życie jako szanowani mieszkańcy Wyspy z własnym lokum. Tak jak podróż statkiem, o której nigdy nie rozmawialiśmy. Spowiła ją mgła zbiorowej amnezji. Tata, Li i ja musieliśmy udawać, że niczego nie pamiętamy, by iść naprzód.

Tak upłynęły nam pierwsze tygodnie na Wyspie.

W sercu Chinatown, pozbawionego widoku na morze i najmniejszego skrawka zieleni, komary wysysały z nas krew, gekony zostawiały odchody w jedzeniu, a my zasypialiśmy do wtóru wycia dzikich psów i wielogłosowych arii tysięcy owadów. Ale nawet to nie przeszkadzało nam śnić.

Li i ja poszliśmy do darmowych szkół prowadzonych przez misjonarzy. Li uczył się w szkole Oldham dla chłopców, ja w szkole Świętej Anny. Wbrew krążącym opowieściom nikt nie kazał nam tkać dywanów ani nie bił nas trzcinką. Owszem, za naukę płaciliśmy modlitwą, ale na nasze szczęście dobrym braciom i siostrzom najbardziej zależało na tym, by dzieci z Czarnej Wyspy zdobyły wiedzę. Katechizm ustępował pierwszeństwa Chaucerowi, a nabożeństwo matematyce.

Szkoła Świętej Anny, dwupiętrowy wiktoriański budynek na Wzgórzu Szmaragdowym, mieściła się tuż za dzielnicą biznesową. Ufundował ją Ignatius Wee, filantrop chińskiego pochodzenia, który, o dziwo, nie domagał się nazwania jej swoim imieniem ani zwyczajowego postawienia przed wejściem dwóch kamiennych lwów. Jedynym widocznym znakiem hojności pana Wee była zwykła mosiężna tabliczka, wisząca koło pokoju nauczycielskiego, z prostym napisem: IGNATIUS WEE, PATRON. Ponury szary budynek cieszył się złą sławą dawnego zakładu dla obłąkanych. Zakonnice nie zrobiły nic, by wymazać ją ze zbiorowej pamięci.

Pierwszego dnia w szkole przyswoiłam sobie nowe słowo, które - jak Przypuszczam - dobrze wróżyło mojej edukacji.

- Guano - oznajmiła rumianolica siostra Enid Nesbit, wyjątkowo życzliwa dyrektorka szkoły, uprzedzając pytanie, które chyba zadawano jej najczęściej. - To ani lukier, ani wosk. To euano.

Stałyśmy w południowym słońcu przed szkołą. Siostra Nesbit wskazywała szkolny dach. Z jego okapu zwisały dziwne stalaktyty, poczerniałe pod wpływem kolejnych monsunów.



- Guano? - zapytałam nieśmiało jak przystało na nową uczennicę, którą niedoinformowany ojciec zapisał do szkoły w połowie semestru.

- Guano to odchody, a konkretnie odchody nietoperzy. - Siostra Nesbit uśmiechała się promiennie niczym gospodyni z dumą oprowadzająca gościa po swoim domu. - Jest tam oczywiście domieszka odchodów gołębich, ale zdecydowana większość to odchody nietoperzy. Mamy tu mnóstwo nietoperzy. Można powiedzieć, że jesteśmy dosyć...

- Zanietoperzeni? - podsunęłam. Zaśmiała się.

- To też, chociaż miałam na myśli co innego. Chciałam powiedzieć, że jak na szkołę prowadzoną przez zakonnice, jesteśmy niezłe ufortyfikowani, ponieważ z guana można zrobić doskonałą amunicję.

Później dowiedziałam się, że siostra Nesbit pochodziła z Kalkuty i przez pięćdziesiąt lat włóczyła się po różnych miastach portowych imperium. Wtedy zrozumiałam, skąd w niej ta wyjątkowa umiejętność wyciągania nauki z każdej niefortunnej czy wstydlivej przygody.

Nie przejęłam się szczególnie ponurą barwą ścian. Poraził mnie za to widok, jaki ujrzałam: z okien klas spoglądały na mnie woskowe europejskie kobiety podobne do sklepowych manekinów. Z pewnością nie były ani nauczycielkami, ani uczennicami. Miały twarze, przynajmniej częściowo -szare obwódki wokół oczu, ledwie zarysowany nos, bez ust - i były nagie. Ich odsłonięte piersi różniły się kształtem i stopniem obwisłości.

Było ich mnóstwo. Moja szkoła okazała się galerią martwych kobiet.

Siostra Nesbit nie zdawała sobie sprawy z ich obecności, a ja dostałam gęsiej skórki. Wstydziłam się ich nagości, a jednocześnie gardło ścisnęło mi przerażenie. Próbowałam je pokryć szerokim uśmiechem.

- Widzę, że doskonale tu sobie poradzisz - powiedziała siostra Nesbit matczynym tonem i wprowadziła mnie do środka, gdzie spowil mnie mrok, na który nie byłam przygotowana.

Uratowała mnie wielkoduszność sióstr, dzięki której codziennie czułam się zobligowana robić dobrą minę do złej gry. Czy bałam się pozbawionych ust nagich zjaw przemykających przez szkolne klasy? Oczywiście, że tak. Czy bałam się porannych zgromadzeń w auli, gdzie z wentylatora u sufitu zwisała długowłosa uczennica, wydając ostatnie tchnienie kilka centymetrów od kornetu siostry Nesbit? Za każdym razem umierałam ze strachu. Ten strach paraliżował mnie, nawet kiedy zakonnice w modlitwie odwoływały się do Ducha Świętego.

Nie sposób było uniknąć najbardziej przerażającego miejsca w budynku. Mówię o toalecie - pozbawionym okien pomieszczeniu o nieprzyjemnym

zapachu, oświetlonym tylko jedną nieosłoniętą żarówką. Mieściło się tam pięć zawilgoconych kabin, każda z owalną dziurą w wyłożonej płytkami podłodze. Codziennie koło południa dziury były już zatkane. Na jednej ze ścian wisiał rząd umywalek, a nad nimi rząd pękniętych lusterek pokrytych ciemnymi nieusuwalnymi plamami, podejrzanie przypominającymi zaschniętą krew. Nie trzeba było szczególnego daru, by zgadnąć, że kiedyś działy się tu straszne rzeczy. Gdy po raz pierwszy przekroczyłam próg toalety, ujrzałam tam cztery nagie Europejki. Leżały na brudnych kafelkach, ich mlecznobiałe klatki piersiowe znaczyły rany i sińce. Patrzyły na mnie szeroko otwartymi pustymi oczami. W kabinach było jeszcze gorzej. Każdej strzegła zjawa przyczajona tuż za drzwiami. Kiedy tam wchodziłam, dzwoniły mi w uszach słowa sadhu o nieczystej wyspie.

Pragnęłam uświadomić siostrę Nesbit, że w jej szkole roi się od okropieństw. Z drugiej strony zadawałam sobie pytanie, czy mam prawo rozwiać jej złudzenia? Obecność duchów świadczyła o nieskuteczności modlitw, których siostry z takim zapalem uczyły dwieście swoich podopiecznych. Duchy zachwiałyby idealistycznym przekonaniem misjonarek, że nieoświecona Czarna Wyspa jest warta oświecenia. Oczywiście zakładając, że siostry potraktowałyby moje ostrzeżenia poważnie. Chyba mogłam jednak przymknąć na to oczy i trzymać język za zębami na tyle długo, by przyswoić sobie czasowniki, przysłówki, dzielenie liczb wielocyfrowych i resztę umiejętności, które miały mi pozwolić wyjść poza wąskie ramy ojcowskiego świata.

W przeciwnym wypadku czekała mnie ciężka praca i Bullock Cart Water. Wieczne potępienie.

Nie wiem, jak wyglądało wtedy szkolne życie Li, ale nie mogło być lepsze od mojego. Obserwowałam, jak wyrasta na cichego i spokojnego chłopca dręczonego atakami wyczerpania, zmuszanego trzy razy w tygodniu do picia gotowanej świńskiej krwi, co miało uleczyć go z anemii. Gdy czuł się lepiej, grał z kolegami w piłkę nożną, rugby, rounders czy badmintona, a to oznaczało, że stawaliśmy się zupełnie różnymi ludźmi. Ja pochłaniałam książki, on nie czytał wcale. Coraz częściej brakowało nam tematów do rozmowy. Nadal spaliśmy zwróceniem do siebie plecami, przypominając dwugłowego stwora. On ze złotawym toffi ukrytym w dłoni, ja z zaciśniętymi pięściami. Przypuszczam, że każde z nas na swój sposób modliło się o lepszą przyszłość.

Tymczasem w sąsiedztwie robiono wszystko, by ocalić przeszłość, która dla większości oznaczała zmarłych. Ludzie wystawiali uliczne opery w dialekcie teochew czy po kantońsku, by odwieść duchy swoich zmarłych krewnych od Psot i czynienia szkód, palili „piekielne pieniądze”, by dostarczyć je duchom krewnych na wydatki na tamtym świecie, albo kładli w przejściu sześciocalowe

bloki, żeby chronić dom przed nieproszonymi gośćmi. Często kusilo mnie, by uświadomić im, iż żaden z tych środków zapobiegawczych nie działa.

- Nie gap się tak - warknął tata pewnego popołudnia, gdy po powrocie ze szkoły przyłapałam go na przybijaniu sześciokątneho lustra nad drzwiami naszego pokoju. - Kupiłem je w pobliskiej świątyni taoistycznej. Lepiej dmuchać na zimne, nie sądzisz?

Przerazona stwierdziłam, że nasz ojciec stał się przesądny. Kiedyś bardzo nowoczesny, teraz uległ atmosferze panującego wokół zabobonnego strachu. Wychudł, wyłysiał niemal całkowicie, a resztki jego włosów posiwiały. Chcąc ukryć zapadniętą klatkę piersiową, zaczął się garbić. Tuż poniżej jego szyi pojawiła się narośl przypominająca dziecięcy łokieć. Stary bocian zamieniał się w wielbłąda. Jego strachliwość była dla mnie sygnałem, że w domu muszę być równie dzielna jak w szkole, by oszczędzić mu dodatkowych zmartwień. Oczywiście nigdy nie wspomniałam ani słowem o bezokim starcu, który zaczął pojawiać się w nogach jego łóżka.

We wczesnych latach trzydziestych, nawet podczas japońskiej inwazji na Mandzurię i zdradzieckich ataków, będących kulminacją okupacji Szanghaju, mama utrzymywała z nami stały kontakt. Początkowo niecierpliwie rozrywałam koperty i chłonełam każde słowo, głodna wiadomości o bliźniaczkach. Po jakimś czasie mamine listy zaczęły doprowadzać mnie do wściekłości. Wynikało z nich nieodmiennie, że ona i dziewczynki mają się dobrze. Nie wspomniała ani słowem o punktach kontrolnych, które utrudniały mieszkańcom życie, i o nocnej wymianie ognia między armią republikańską a japońskim wojskiem, o których słyszeliśmy w radiu. O okupowanym Szanghaju więcej powiedział mi powszechny bojkot japońskich domów publicznych w Chinatown niż jakikolwiek list mamy.

Wszystkie kończyła tą samą formułką: *Z pozdrowieniami, Wasza Mama*. Żadnych wyrazów miłości, żadnych całusów, tylko suche pozdrowienia, zupełnie jakby pisała pod przymusem, trzymana na muszce karabinu, gdy tymczasem w skrytości ducha marzyła o tańcu na plaży. Miałam tylko jedno wytłumaczenie: Japończycy wzięli mamę do niewoli. Kiedy podzieliłam się tymi obawami z tatą, wybuchnął gwałtownym i sardonycznym śmiechem. Patrzyłam na pulsującą żyłę na jego czole i bałam się, że pęknie.

Przypuszczam, że tata nigdy nie przedstawił mamie naszej prawdziwej sytuacji. Pisał do domu co drugi miesiąc, przesyłając mamie wszystkie zaoszczędzone w tym czasie pieniądze. Ciągle jednak nie mógł znaleźć stałej pracy. Na wszystkich urzędniczych posadach utrzymywał się nie dłużej niż

dwa miesiące. Jego przełożeni pochodzili zazwyczaj z prowincji Guangdong albo Fujian, niewielu znało angielski, a żadnemu nie starczyło cierpliwości, by przedzierać się przez zawile mandaryńskie frazy taty, wzbogacone szanghajskim dialektem. Językiem ulicy był malajski. Nawet europejscy towkays (tak miejscowi nazywali szefów), by móc się porozumieć, musieli przyswoić sobie przynajmniej podstawowe zwroty.

Tata nie chciał się uczyć, nie do końca z własnej winy. Miał pecha, i to go przygnębiało. Wielki kryzys dotknął także naszą część świata. W drodze do szkoły i ze szkoły widywałam przycupniętych w cieniu rikszarzy. Niektórzy czekali na klienta po kilka dni. Na ulicach roiło się od robotników budowlanych (wśród nich było wiele chińskich kobiet), dokerów i żebraków złączonych czymś, co na pierwszy rzut oka sprawiało wrażenie solidarnego milczenia, by po chwili okazać się dezorientacją tak wielką, że odejmowała im mowę. Inicjatywę wykazywały tylko ich żebrzące dzieci, których błagalne okrzyki niesły się po całej dzielnicy: „Nie mieć mama, nie mieć tata, nie mieć kolacja, nie mieć woda sodowa!”.

Po lekcjach często siadywałam na kamiennej ławce na wysepce dzielącej Spring Street, główną arterię Chinatown. Wysepka była maleńka, prócz ławki mieściła zaledwie krzew hibiskusa i podwyższenie, z którego kierował ruchem sikhijski policjant pan Singh, machając długimi i szerokimi rękawami podobnymi do skrzydeł wielkiego ptaka. To właśnie na tej wysepce z obserwacji rzesz ludzi przemierzających się w samochodach, tramwajach, autobusach i pieszo czerpałam praktyczną wiedzę o życiu.

Chińczycy, którzy stanowili niewiele ponad połowę populacji, byli bardzo zróżnicowaną grupą - od niewolnika po milionera. Najlepiej powodziło się Peranakanom, żyjącym w Nanyangu od pokoleń i dumnie obnoszącym się z nieznajomością chińskiego. Najbogatsi przemierzali się po Chinatown okazałymi autami prowadzonymi przez szoferów w uniformach, manifestując dystans dzielący ich od nowo przybyłych. Miejscowi Malajowie pracowali głównie jako kierowcy i robotnicy albo utrzymywali się z rybołówstwa. Chociaż większość z nich klepała biedę, ich los i tak był lżejszy niż życie niedotykalnych z południowych Indii, którzy wykonywali najgorsze prace: przenosili kamienie i oczyszczali miasto z fekaliiów. Z tej kasty wywodzili się karang guni. Byli jeszcze perscy, arabscy i żydowscy kupcy. To oni najlepiej radzili sobie w ciężkich czasach, ponieważ mieli krewnych wszędzie, a interesy robili z każdym bez wyjątku. Czulałam dla nich podziw, chociaż dostrzegałam ich przebiegłość.

Na nas wszystkich z góry patrzyli Europejczycy, którzy rzadko zapuszczali się do Chinatown w innym celu niż obejrzenie opustoszałych domostw przy Sago Lane, gdzie stare niańki wynajmowały dla siebie łóżko i czekały na śmierć. Obserwując te przesiąknięte dżinem okazy doszłam do wniosku, że Europejczycy na Wyspie są o wiele bardziej ordynarni od swoich szanghaj-skich odpowiedników. Być może dlatego, że czuli się właścicielami Wyspy, nie zaś jej dzierżawcami, jak w Chinach.

Pokrzepiające na Czarnej Wyspie było to, że prócz kolonizatorów wszyscy się mieszały. Nawet w Chinatown przy jednej ulicy stały świątynia taoistyczna ku czci bogini miłosierdzia, świątynia hinduska z kamiennymi bawołami ustawionymi w jaskrawą piramidę, anglikański kościół, w którym odprawiano nabożeństwa w trzech językach, oraz typowy meczet. Dwa kroki dalej można się było natknąć na synagogę, kramat, czyli grobowiec islamskiego świętego, i ormiański kościół.

Tłumaczyłam sobie, że duchy są kolejnym przejawem równikowej bujności i różnorodności Wyspy. Zmarli i żywi dzielili po prostu tę samą ziemię i to samo powietrze. Postawa „umrzyj i daj żyć” była elementem tutejszej społecznej umowy. Chociaż niektóre duchy mnie przerażały, musiałam przywyknąć do ich stałej obecności.

Z punktu obserwacyjnego na wysepce przy Spring Street śledziłam ten kosmopolityczny tygiel. Tam stawałam się prawdziwą wyspiarką, starą emigrantką, Chinką zza morza, nieustająco tęskniąca za Królestwem Środka. Czułam się niespełniona, jeśli nie pozdrowiłam przechodnia w co najmniej czterech językach: *vellikum*, mówiłam tamilskiemu zamiataczowi ulic, *cho sun* - kantońskiemu rzeźnikowi, *selamat* - malajskiemu stróżowi, *shalom* -żydowskiemu właścicielowi kantoru. Gdy miałam kontakt ze zbłąkanymi duszami, nauczyłam się odwracać wzrok i pozdrawiać ich poważnym skinieniem głowy, co mówi samo za siebie.

Najwięcej obaw budziły we mnie duchy starych kobiet Samsui. Przywiezione tu na statkach z wioski w Kantonie do pracy przy kamieniach, niezamężne kobiety w czerwonych zawojach na głowie i luźnych niebieskich ubraniach wyglądały jak zakonnice zaślubione na wieki wieków kurzowi. W ich obecności zawsze czułam niepokój, chociaż na szczęście żadna z nich nie zwracała na mnie uwagi. Kilka minut po ich zniknięciu wracałam do obserwowania ludzkiej cizby z wysepki przy Spring Street.

W przypiływie odwagi, co zdarzało się, gdy moja pewność siebie rosła dzięki pochvale albo dobrej ocenie, w drodze ze szkoły wybierałam trasę obok przerażających domów przy Sago Lane, gdzie samotne stare niańki

i kulisi czekali na śmierć. Chociaż nie widziałam wtedy duchów, ogarniała mnie taka sama przyprawiająca o mdłości pustka, jaką wywołała we mnie pierwsza wizyta siostry Yeung. Duchy widywałam, gdy gorzej poszło mi w szkole. W zakratowanych oknach pojawiały się wtedy twarze zmarłych, którzy wyglądali jak pasażerowie stojącego na stacji pociągu z nosami przyklejonymi do szyby. Czy sami wybrali sobie na wieczność widok zaśmieconej Sago Lane, czy nie mieli wyboru? Nie miałam kogo o to zapytać.

W najgorsze dni, kiedy w szkole spotkała mnie jakaś wyjątkowa przykrość, nie tylko widziałam duchy, ale też je słyszałam. To była łagodna mieszanka regionalnych dialektów, swoisty dźwiękowy kompas wskazujący drogę do wiejskich Chin. Nie rozróżniałam poszczególnych głosów, ale każdy z nich wyrażał te same emocje: osamotnienie, nostalgię, żal. Słowem - tęsknotę za domem. Ich ból był tak przejmujący, że chciałam go poczuć.

Czuj, powtarzałam uparcie. Czuj. Pomyśl o bliźniaczkach dorastających z dala od ciebie, pomyśl o zapachach, które czyniły z tamtego miejsca prawdziwy dom: skórki pomarańczy, mleko sojowe, woda jaśminowa, kulki naftaliny przeciw molom. Spowalniałam oddech i próbowałam zanalizować świat z perspektywy emigranta. Tak, byłam wyspiarką, ale rozumiałam ich stratę.

Z czasem przestało mieć znaczenie, jak minął mi dzień w szkole. Duchy już nie znikwały, widziałam je nieustannie.

Wyspa leżała w tropikach, dlatego na Spring Street pojawiali się egzotyczni goście. Pewnego popołudnia, gdy jak zwykle, siedząc na kamiennej ławce, śledziłam ruch uliczny, z niewyjaśnionego powodu strumień pojazdów nagle rozdzielił się na dwie odnogi. Kierujący ruchem pan Singh stanął na palcach i osłonił ręką oczy. Nagle jego twarz się zmieniła. Zamachał szerokimi rękawami, jakby chciał odlecieć.

- Tygrys! - wyszeptał ze zgrozą. - Tygrys! - powtórzył. Im energiczniej trzepotał rękawami, tym większą zwracał na siebie uwagę.

Nie zdążyliśmy nawet pomyśleć o ucieczce, gdy między samochodami i autobusami pojawiło się puszyste zwierzę. Jego ciemnożółte futro odcinało się jaskrawą plamą na tle szarości i czerni pojazdów.

- Nie machaj rękami, wujaszku! - krzyknęłam w stronę oszalałego ze brachu pana Singha. - On pomyśli, że go przywołujesz!

Ruchliwa ulica ucichła, gdy król dżungli kroczył dostojnie po Spring Street ze wzrokiem wbitym w naszą wysepkę. Każdemu stąpanięciu jego potężnych łap na rozpalonym betonie towarzyszyło ciche, lecz wyraźne

tup... tup... tup. Wiedziałam, że powinnam się bać, ale w jego swobodzie i pewności ruchów było coś kojącego. Leniwa tygrysia nonszalancja przykuła mnie do ławki, tak jak czarne pręgi na jego pysku, sprawiające wrażenie nałożonych przypadkowo, a jednocześnie umiejętnie. Intensywność wbitych we mnie żółtozielonych ślepi sprawiła, że czułam, iż jestem jedyną ważną dla niego osobą na świecie. Nie pamiętam, co zrobił pan Singh, gdy wyciągnęłam rękę i zrobiłam krok do przodu, by pogłodzić miękką sierść na pysku olbrzymiego kota. Nigdy nie zapomnę pomruku, jaki wydobył się wtedy z jego gardła, ani młaśnięcia wysuniętego z pyska różowego języka.

Nagle usłyszałam klekot silnika. Rozpędzony czarny ford T najechał na tygrysa, którego impet uderzenia odrzucił trzy metry ode mnie.

- A masz, draniu! - Ten przeraźliwy wrzask dobiegł z siedzenia kierowcy. Zamarłam ze strachu, że mój koci przyjaciel zginął. On jednak po paru sekundach stał na czterech łapach. Potrząsając majestatyczną głową, wydał dźwięk do złudzenia przypominający westchnienie, a potem ruszył wolno w stronę cofającego się teraz auta, mierząc wzrokiem przerażonego kierowcę, bladego Anglika. Nie ryczał, nie wysunął pazurów, po prostu patrzył na niego z dezaprobatą. Upłynęła cała wieczność, zanim odwrócił się, rzucił mi pożegnalne spojrzenie i puścił się długimi susami w stronę dżungli.

Odprowadziłam wzrokiem jaskrawożółtą plamę. W nagłym przypiływie adrenaliny poczułam, jak uchodzi ze mnie przywiązanie do starego kraju. Nawet gdybym bardzo się starała - a wcale tego nie robiłam - Szanghaj nigdy nie miał u mnie szans.

W roku 1934, w piątym roku nauki w szkole Świętej Anny, otrzymałam odznakę wzorowej uczennicy.

Siostra Nesbit namaściła mnie uroczyście w auli w obecności wszystkich uczennic i nauczycielek. Przez cały czas nad naszymi głowami bujała się na wentylatorze znana mi już dobrze długowłosa dziewczynka.

- To w nagrodę za twoje zdolności przywódcze i dobre oceny - oznajmiła siostra Nesbit, przypinając mi do fartuszka niebieską odznakę. - Oraz za to, że jesteś wesoła i dzielna - dodała.

Wesoła i dzielna? Nie przypuszczałam, że świat tak mnie widzi. Bycie wesołą i dzielną bardzo mi się spodobało. Nareszcie ktoś dostrzegł moją wyjątkowość. By utrzymać tytuł młodej świętej, musiałam nadal robić to, co tak dobrze mi wychodziło: dawać przykład wzorowym zachowaniem i uosabiać zasadę pozytywnego myślenia. Innymi słowy, rozjaśniać swoim światłem

ciemne korytarze ponurego gmaszyska naszej szkoły. Policzki bolały mnie od szerokiego uśmiechu, który nie schodził mi z twarzy.

Po koronacji stałam się bohaterką dla potulnych i przestraszonych uczennic pierwszej klasy. Pokazywałam im, jak wiązać sznurowadła i jak protestować, gdy sprzedawca napojów wyda im za mało. Nauczyłam je krzyczeć wtedy: „Faryzeusz, faryzeusz!”.

Popołudnia spędzałam, agitując na rzecz szkolnej biblioteki, za co dostałam dodatkową kartę czytelnika. Nie miałam przyjaciółek i uważałam tę pracę za czas dobrze wykorzystany na kształtowanie charakteru. Czytanie nie tylko odwracało moją uwagę od najbardziej przerażających szkolnych duchów. Książki stanowiły idealną tarczę osłaniającą mnie przed bogatymi dziewczętami z warstwy Peranakanów, w których prostackich żyłach płynęła gęsta kupiecka krew. Na przerwach zbijały się w grupki i często rzucały pod moim adresem uwagi typu: „Jak na kogoś z Chinatown, całkiem nieźle mówisz po angielsku”. Nigdy nie zapraszały mnie na swoje przyjęcia, urządałam więc własne z Huckleberrym Finnem, Robinsonem Crusoe i małymi kobietkami. W tych fikcyjnych bohaterach odnalazłam prawdziwych przyjaciół.

Pewnego ranka siostra Nesbit przerwała moje obcowanie z jednym z książkowych znajomych, by oddać mi pod opiekę nową uczennicę, drobną dziewczynkę, której ciekło z nosa. Wyglądała na siedem lat, okazała się jednak moją rówieśnicą - miała lat dwanaście. Przeniosła się ze szkoły Świętej Hildy, której lokalizacja nie służyła jej zdrowiu.

Dziewczynka wyciągnęła do mnie rękę. Poczułam coś jak dotknięcie łapki nieżywego królika, taką drobną i zimną miała dłoń.

- Nazywam się Dora Conceicao - pisnęła cieniutkim głosikiem. - Mam szmery w sercu.

Po odejściu naszej przełożonej natychmiast wyrwałam dłoń z jej ręki. Byłam za duża na taką czułość. Jednak znajomość została zawarta i przypieczętowana. Jej wyobcowanie przypomniało mi mnie samą sprzed lat.

- Siostra Nesbit powiedziała, że nie masz przyjaciółek - ciągnęła Dora. - W Świętej Hildzie tak samo było ze mną. Dokuczała mi samotność. Ty nigdy nie czujesz się samotna?

- Nie. - Uśmiechnęłam się. - Mam książki.

W żyłach Dory Conceicao o płynęła portugalska, chińska, indyjska i matajska krew, „z domieszką krwi holenderskiej”, poinformowała mnie z nieskrywaną dumą, co tłumaczyło jej pofalowane włosy i mleczną cerę - powszechną na Czarnej Wyspie mieszanek. Niestety, geny sześciu generacji



tubylców nie przełożyły się na niefrasobliwość i swobodę. Dora chodziła za mną krok w krok jak przestraszony szczeniak, a jej melancholia psuła mi każdą radość. Włożyłam mnóstwo wysiłku w pokonanie strachu, nie chcąc zdradzać najmniejszych oznak słabości, a tymczasem Dora Conceicao bała się wszystkiego, a szczególnie tego, czego nie mogła zobaczyć.

Jej strachliwość byłaby do zniesienia w mniej „zanieczyszczonym” otoczeniu, ale ponieważ w budynku naszej szkoły roiło się od ciemnych kątów, zamkniętych pomieszczeń i niekończących się schodów, jej lamentsy i jęki nieustannie wystawiały moją miłość bliźniego i wyrozumiałość na ciężką próbę.

- Niedobrze mi - skarżyła się, gdy wchodziła po schodach, kurczowo czepiając się poręczy, na której ja widziałam plamy krwi.

- Myślisz, że ktoś tu umarł? - zapytała, stojąc w odległości metra od ducha nagiej staruchy, kołyszącej się w przód i w tył w rogu zatęchłej sali muzycznej.

- Nic tu nie ma. Pełno tu kurzu, stąd to wrażenie - odpowiadałam wtedy. Albo: - Może to przez fasolę, której się najadłaś. - Musiałam wymyślać rozmaite tłumaczenia, żeby ją uspokoić. W końcu mi uwierzyła. Nie miała wyjścia.

Niestety, po kilku tygodniach sprawowania tej przykrej dla mnie kurateli zauważyłam, że Dora zaniedbuje podstawowe zasady higieny. Każdego dnia na jej niebieskim fartuszkach pojawiały się nowe plamy - żółtawe zacieki, które powoli brązowiły.

- Śmierdzisz! - powiedziałam jej pewnego popołudnia po frustrującej lekcji plastyki, kiedy wszystkie namalowane przeze mnie jabłka wyglądały na zgniłe.

Zyskała w moich oczach, ponieważ nie wybuchnęła płaczem. Opadła na ławkę w stołówce. Za krótkie nogi dyndały żałośnie nad podłogą.

- To dlatego, że okropnie się boję - wyznała cicho.

- Czego tu się bać? - Uśmiechnęłam się szeroko. - Zgłupiałaś? - Po niepowodzeniu taktyki zaprzeczania uznałam, że lepiej będzie Dorę zawstydzić i w ten sposób wzbudzić w niej odwagę.

- Klas, ciemności, całej szkoły. Coś tu jest nie tak. - Ścisnęła krzyżyk wiszący na szyi. Oczy jej poczerwieniały. - Moje serce to czuje.

- Przecież mówiłaś, że masz chore serce.

- Moje serce jest bardzo wrażliwe. Czuję rzeczy, których nie czują inni. W Świętej Hildzie na niektórych korytarzach biło mi bardzo szybko. Raz poczułam, jak lodowata ręka gładzi mnie po włosach.

- To nie Święta Hilda. Jesteśmy w mieście, wokół są tysiące ludzi. Musisz się wyzbyć tych głupich przesądów. - Wiem, że mówiłam wtedy jak mama,

nie miałam jednak wyjścia. Byłam wzorową uczennicą. Musiałam dbać o porządek. - Co się z tobą dzieje?

Dopiero teraz z jej oczu trysnęły łzy. Rozejrzałam się, czy nikt nas nie obserwuje. Wzorowa uczennica, która doprowadziła nową dziewczynkę do płaczu, nie utrzyma długo tego tytułu. Kilka par wścibskich oczu zerknęło w naszym kierunku, jednak większość dziewcząt w jadalni była zajęta paplaniną i skrzydełkami kurczaka z makaronem. Żadna nie przejmowała się Dorą Conceicao.

- Nie lubię chodzić tutaj do toalety - wymamrotała. Powoli docierała do mnie prawda o źródle smrodu. - Tam są takie rzeczy... Wiem. Moje serce to czuje.

- Przestań. Masz dwanaście lat, a przynajmniej tak twierdzisz. Tak się boisz chodzić do szkolnej toalety, że wolisz się zmoczyć? - Cmoknęłam. - No pięknie!

- Ale tam są...

- Dobrze, chodźmy. - Pociągnęłam ją za rękę, by poderwać ją z ławki. Musiałam odegrać komedię, zaprowadzić ją do nawiedzanej toalety i udowodnić, że nie ma się czego bać.

W toalecie nie było nikogo. Przynajmniej żadnej żywej dziewczynki. Dora Conceicao uczepiła się framugi ze wszystkich sił, a ja ciągnęłam ją za poły fartuszka. Początkowo miałam zamiar obejść się z nią łagodnie, ale moja narastająca irytacja doprowadziła do zacieklej przepychanki w drzwiach.

- No chodź, ty tchórze! Tu nic nie ma!

- Nie mogę! - zawodziła. - Moje serce...

- Przestań! -.

jedna z nagich kobiet na ziemi zaczęła czołgać się w stronę wyjścia. Odsunęłam stopę, by nie otarła się o moją kostkę, chociaż pewnie i tak niczego bym nie poczuła.

- Dlaczego to zrobiłaś? - wyjęczała moja cuchnąca podopieczna. -Co?

- Przesunęłaś nogę. Dlaczego?

- Nic nie zrobiłam! Znowu ci odbija!

Zebrałam siły. Oderwałam ją od framugi i zaciągnęłam do pierwszej z brzegu kabiny. Ta chudzina umiała kopać. Wyobrażałam sobie, jak posiniaczone będą moje nogi.

- Nie, proszę, nie!

Zrobiłam to mimo jej rozpaczliwych protestów. Wepchnęłam ją do Wstrętnej kabiny i przytrzymałam drzwi. Kiedy na przemian błagała mnie,

żebym ją wypuściła, i rzucała się na drzwi, jedyna goła żarówka zaczęła skwierczeć i mrugać, wypełniając pomieszczenie upiornymi błyskami. Jej donośne brzęczenie tłumilo nieco wrzaski Dory.

- Nie wychodź, póki nie ochłoniesz. Miej dla siebie trochę szacunku!

Trzymałam drzwi, aż poczułam, że przestała na nie napierać. Najwyraźniej biedaczka odzyskała w końcu zdrowy rozsądek. Umyłam ręce, przekroczyłam niebieskawoszare ciała wijące się na podłodze, i poszłam na lekcję historii dumna, że wykonałam zadanie godne wzorowej uczennicy.

Po ostatnim dzwonku zaaferowane siostry zebrały się w pokoju nauczycielskim. Czulałam ich niepokój już w bibliotece, znajdującej się na drugim końcu budynku szkoły. Nie mogłam się skupić ani na czytaniu, ani na pisaniu, ani na niczym innym. Jako pośredniczka między nauczycielkami i uczennicami wiedziałam, że mam obowiązek sprawdzić, co się dzieje. Puściłam się pędem ciemnym korytarzem, zapalając po drodze wszystkie światła. Wyteżałam słuch, łowiąc rozbrzmiewające echem słowa: „Skandal... reputacja... Rada do Spraw Szkolnictwa...”.

Siostry odbywały naradę po ciemku. Sześć starszych nauczycielek siedziało wokół biurka siostry Nesbit, sześć młodszych stało za nimi. Oświetlana jedynie płomieniem lampki oliwnej grupa kobiet przypominała krąg wtajemniczonych pozujący Rembrandtowi. Włączyłam górne światło. Zwróciło się na mnie dwanaście par mrugających oczu.

- To ciebie nie dotyczy - odezwała się siostra O'Hara, podobna do żyrafy stara nauczycielka czytania.

Potrzebowałam wsparcia.

- Siostro Nesbit?

Ze złowróbnym westchnieniem moja protektorka wstała zza ogromnego biurka. Podeszła do mnie i z grobową miną położyła dłoń na moim ramieniu.

- Nie słyszałaś, co powiedziała siostra O'Hara? To zły moment, moje dziecko.

- Ale ja jestem wzorową uczennicą! Nie jestem taka jak inne dziewczęta. Siostra Nesbit zwinnym ruchem odpięła mi odznakę.

- Już nie jesteś - oznajmiła. Na jej twarzy pojawiła się nieznaną mi dotąd surowość, która sprawiła, że jej rysy stały się bardziej angielskie.

Ta nieoczekiwana kradzież odebrała mi mowę. Łzy cisnęły mi się do oczu, ale nie pozwoliłam im popłynąć. Siostra Nesbit wróciła na swoje miejsce.

- Rodzice zostali już poinformowani - powiedziała jedna z młodszych sióstr, pociągając przy tym nosem. - Mają przyjechać po ciało do kostnicy.

- Czyje ciało?! - wrzasnęłam. - O kim wy mówicie?! Błagam, tylko nie Dora Conceicao. Tylko nie ona.

Usłyszałam skrzypnięcie. To siostra Nesbit gwałtownie zerwała się z krzesła.

- Dość tego! - krzyknęła. Miała zaczerwienione oczy. - Skoro tak bardzo chcesz wiedzieć, to dzisiaj w naszej szkole umarła dziewczynka. Nowa uczennica: Dora Conceicao. Czy jej imię coś ci mówi? Zwróciłam się z prośbą specjalnie do ciebie, żebyś się nią zaopiekowała, a ty tego nie zrobiłaś. Dora Conceicao umarła, ponieważ jej nie dopilnowałaś, źle się nią zajęłaś...

Pociemniało mi w oczach.

Kiedy odzyskałam przytomność, leżałam w izbie chorych. Siostra Nesbit siedziała przy mnie, obracając w palcach różaniec. Spojrzawszy na mnie, zrobiła znak krzyża.

- Przepraszam za moje ostre słowa. Niesłusznie cię obwiniłam. Wszystko dlatego, że śmierć Dory przyszła tak nagle, to dla nas straszliwy cios. Mam nadzieję, że mi wybaczysz.

- Jak... Co się z nią stało?

- Dora miała słabe serce... i to serce odmówiło posłuszeństwa. Traf chciał, że doszło do tego w toalecie. Moja wina jest największa. Wiedziałam, że jest słabowita. Ale nawet mnie nie przyszło do głowy, że... I to gdzie? W toalecie! - Pokręciła głową. - Siostra Fernandez znalazła ją na podłodze w jednej z kabin. Leżała skulona jak śpiące dziecko, z kciukiem w ustach. Biedny aniołek. Wieczny pokój jej duszy.

Zapragnęłam, by cały świat znowu spowiła ciemność. Niestety, świadomość nie chciała mnie opuścić. Zostałam odesłana do domu z solami trzeźwiącymi i pieniędzmi na przejazd tramwajem. Czułam się podwójnie okradziona: straciłam odznakę wzorowej uczennicy i szacunek do siebie. Dobrze wiedziałam, że to ja zawiniłam. Byłam ślepa i zadufana.

W domu ani tata, ani Li nie zauważyli pustego miejsca na mojej piersi. Wtedy zaświtało mi w głowie, że oni nawet nie widzieli mojej odznaki, kiedy jeszcze ją nosiłam.

Kilka następnych dni minęło pod znakiem modlitw za Dorę Conceicao. Na znak żałoby opuszczono nawet flagę brytyjską do połowy masztu. Dziewczęta, które nigdy nie poświęciły jej ani chwili, szlochały w chusteczki jak po stracie ukochanej kuzynki. Siostra Nesbit ogłosiła, że zainstaluje w toalecie więcej lamp, co i tak nie przeszkodziło zmarłym snuć się bez końca po korytarzach.

Dora oczywiście dołączyła do grona zjaw w toalecie. Za każdym razem widziałam ją w tej przeklętej kabinie. Patrzyła na mnie martwymi oczami wielkimi jak spodki. Skromna za życia, po śmierci także trzymała się na uboczu. Ciągle miała na sobie zaplamiony niebieski fartuszek.

Jako sumienna uczennica zakonnice znalazłam w tej tragedii coś, za co mogłam być wdzięczna. Dora, tak jak jej towarzyszki z zaświatów, nie miała ust. Mój postępek miał pozostać nieujawniony.

Doro Conceicao, wybacz mi, proszę, grzech pychy.

Kilka dni później tata wrócił do domu uśmiechnięty od ucha do ucha.

- Znalazłem pracę. Prawdziwą pracę - obwieścił dumnie. Wręczył nam torebki z gorącymi puszystymi pierożkami. Jeden kęs wystarczył, by się przekonać, że to pyszne prawdziwie mięsne bao, zupełnie inne od tych nadziewanych sosem i chrząstkami, do których przywykliśmy. To oznaczało, że tata naprawdę w to uwierzył. - Podpisałem umowę. W przyszłym tygodniu wyjeżdżamy w głąb wyspy.

Li posłał mi sceptyczne spojrzenie, po czym zwrócił się do taty: :

- W głąb wyspy? Przecież tam wszędzie jest dżungla. Tata zaśmiał się i podał Li następnego pierożka.

- Mam zarządzać plantacją kauczuku. Miło będzie znaleźć się z dała od tłumów, nie sądzisz? Świeże powietrze, cisza. Chcesz chyba urosnąć i nabrać sił?

Li wzrokiem poszukał u mnie pomocy.

- A co ze szkołą? - zapytałam, chociaż na myśl o odejściu ze Świętej Anny poczułam ulgę. Od śmierci Dory na każdym kroku widziałam tylko duchy. Żywi stali się zaledwie cieniami.

Tata prychnął pogardliwie.

- Czytać i pisać umiesz, prawda? Więc już i tak przewyższasz umiejętnościami trzy czwarte tutejszej populacji. Poza tym trzeba cię zabrać od tych zakonnice, zanim zaczną cię poić krwią swoich świętych. Nie chcę, żeby wyrosły ci wąsy. - Uśmiechnął się do siebie, zadowolony z tego sformułowania.

I tak nie mieliśmy nic do powiedzenia. W wieku dwunastu lat nadal byliśmy zależni od taty. Stanowiliśmy jego własność. Zaczęliśmy się pakować. Świadectwem naszego ubóstwa niech będzie to, że zajęło nam to niecałe popołudnie.

Tydzień później szyby w naszych oknach zabrzęczały donośnie. Wyjrzałam na ulicę i zobaczyłam jedną z wielkich taksówek, których tak się kiedyś bałam: siedmiomiejscowy powóz przylutowany do podwozia forda T. Z powodu ich brzęczących silników i niekonwencjonalnych torów lotu nazywano

je komarzymi autobusami. Nie jechaliśmy takim pojazdem od dnia przybycia na Wyspę. Po mieście przemierzaliśmy się riksą albo pieszo - każdy inny sposób uznawano za ekstrawagancję. Za kierownicą potwora siedział chudy jak szkielet Malaj z ręką zaciśniętą na klaksonie, potwierdzając utrwalony stereotyp, że Malajowie żyją po to, by trąbić.

Tata był w dobrym nastroju. I wyjątkowo się rozgadał.

- Wynająłem Ahmada i jego autobus na cały dzień. - Najwyraźniej delektował się myślą o wynajęciu autobusu. Przyznaję, że byłam pod wrażeniem. - Przejedziemy przez całe miasto. Dobrze je zapamiętajcie, bo za kilka lat wrócimy, żeby je podbić. Obiecuję.

Nasz malajski kierowca prawdopodobnie nie rozumiał szanghajskiego dialektu, mimo to uśmiechnął się znacząco - nieposkromiona pycha głupca brzmi tak samo w każdym języku - i wcisnął pedał gazu.

Im bardziej oddalaliśmy się od Bullock Cart Water, tym lepszy miałam nastrój. Żegnaj, zły śnie! Żegnajcie, stare kajdany!

Przestraszyliśmy odźwiernego w liberii, stojącego przed legendarnym hotelem Balmoral. Nasz kierowca wjechał nieoczekiwanie na chodnik, by ominąć rolls-roycea, i o mało nie przejechał po nogach grubego Szkota. Mężczyzna posłał nam soczystą szkocką wiązankę. Li, ja i tata - a szczególnie tata - zachichotaliśmy. Ahmad odpowiedział donośnym trąbieniem. Tu-tu, tu-tu, tu-tu! Obejrzeliliśmy się. Sylwetka pretensjonalnej budowli zmniejszyła się do rozmiarów znaczka pocztowego.

Li złapał się barierek i odwrócił głowę.

- Wcale nie taki wspaniały - skwitował szeptem, jakby czytał w moich myślach.

Na skrzyżowaniu czterech ruchliwych ulic Ahmad zlekceważył sygnał stopu pokazany przez kierującego ruchem sikhijskiego policjanta i o mało nie zderzył się z zatłoczonym trolejbusem. I znów w ruch poszedł klakson. Z nerwowym chichotem uczepiliśmy się mocniej uchwytów. Pędziliśmy teraz przez DAlmeida Place, gdzie rodziło się bogactwo Wyspy. Mignęły nam przed oczami potężne budowle z importowanego kamienia, otoczone korynckimi kolumnami, stopione w jedno strzeliste ośmiopiętrowe biurowce ochrzczone nazwiskami znanymi z reklam opon i lisich futer: Jervois, Sohst, Guthries, Fraser, Dunlop, Firestone... Między największymi budowlami migały niezabudowane parcele, czekające na swoje przyszłe życie w postaci hoteli i domów maklerskich.

U ujścia Black River, meandrującej przez DAlmeida Place, na kamiennym Postumencie stała żeliwna figura. Przedstawiała nie ojca założyciela, lecz bengalski kliper pod pełnymi żaglami, symbol Kompanii Wschodnioindyjskiej,

której Wyspa zawdzięczała swój rozwój. Na wodzie roilo się od stateczków zaopatrzeniowych. Z burty każdego z nich spoglądały wielkie namalowane smutne oczy. Między stłoczonymi kadłubami trudno było dostrzec wodę, ale wyraźnie zaznaczała ona swoją obecność przenikającym wszystko fetorem. Pólnadzy Chińczycy i Hindusi o ogorzałej skórze uginali się pod ciężarem wypełnionych warzywami rattanowych koszy, które przynosili ze stateczków do magazynów przy nabrzeżu. Ukryci w cieniu pulchni chińscy nadzorcy pokrzykiwali na nich raz po raz.

- Przyjrzyjcie im się uważnie - zwrócił się do nas tata. - Kim chcielibyście być? Wydającym polecenia czy wykonującym polecenia?

- Nigdy nie pozwolę, żeby ktoś mi rozkazywał - oznajmił Li.

Tata zachichotał.

- W takim razie spodoba ci się nowe miejsce. Tam będziesz rządził.

Li rozparł się wygodnie na siedzeniu. Po jego twarzy przemknął uśmiech.

Miałam ochotę zasiać wątpliwość w sercu taty pytaniem, czy naprawdę kiedykolwiek możemy zostać tu szefami, chociaż jego optymizm był miłą odmianą.

W nadrzecznym krajobrazie dominowało porośnięte gęstymi paprociami Zakazane Wzgórze. Nazwano je tak, ponieważ przez trzysta lat służyło piratom za kryjówkę. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że pewnego dnia to wzgórze zrujnuje mi życie. Na jego zboczach ujrzałam kilkanaście postaci. Wchodziły i schodziły niczym białe pająki niezrażone stromizną. Duchy. Nic prócz duchów. Póki one były na Wyspie, żadna żywa dusza nie mogła tu rządzić nikim i niczym.

- Wujaszku - kierowca zwrócił się do taty - ludzie mówią to wzgórze bardzo nieczyste.

- Nieczyste? - powtórzył drwiąco tata. Najwyraźniej nie słyszał dotąd tego określenia. - W takim razie niech każą komuś je uprzatnąć. A teraz, Ahmadzie, zawieź nas tam, gdzie mieszkają bogaci państwo. - Potem zwrócił się do Li i do mnie: - Obejrzymy sobie miejsce, w którym sami kiedyś zamieszkamy.

Ahmad dodał gazu. Wkrótce naszym oczom ukazał się splendor Tanglewood, osiedla najbardziej luksusowych kolonialnych rezydencji, ostatniego tchnienia cywilizacji na skraju dżungli. Przy krętych drogach o szkockich nazwach - Inverness, Glencoe, Dalkeith - stały okazałe „czarno-białe” bungalowy, o których czytałam w szkole. Zobaczyłam tak wysławiane szkielety z czarnego drewna, czarno-białe rolety na werandach i oslepiająco białe ściany. Była to lokalna odmiana stylu Tudorów, jak wiele innych rzeczy na Wyspie na swój sposób atrakcyjna.

- Mieszkają tu Europejczycy? - zapytał tata Ahmada.

- Peranakańscy Chińczycy też - odparł szydlerczo Ahmad. - Uważają się za *orangputeh*. Eu-ro-pej-czyków - wyrecytował z emfazą.

Przejechaliśmy po leżącym na drodze pytonie, którego jadące wcześniej samochody zdążyły zamienić w olbrzymi, choć cieniutki kotlet. Gdziekolwiek spojrzeć, ściany porastał mech, a ścieżki pokrywały korzenie drzew. I ta szalona obfitość roślinności! Miałam wrażenie, że liany wzięłyby we władanie całą tę enklawę bogactwa, gdyby tylko ogrodnicy zrobili sobie wolne popołudnie. W całym tym obrazku brakowało jednak właścicieli tych domów. Tata wyjaśnił, że chowają się w środku ze szklaneczką dzinu w ręku, a na dwór wychodzą dopiero, gdy wszędzie księżyc.

Podmuch wiatru przyniósł ulotne tony niemieckiej opery.

- *Tannhauser*. - Uśmiechnął się tata, dumny, że rozpoznał muzykę. Byłam jednak pewna, że to *Złoto Renu*, ponieważ siostra Nesbit grała Wagnera w auli. Tata nachylił się do kierowcy. - Znasz operę, Ahmadzie?

Wzdrygnęłam się, słysząc ton jego głosu. Ahmad skrzywił się i przyspieszył. Nie zdjął nogi z gazu, póki nie znaleźliśmy się poza zasięgiem dźwięków płynących z gramofonu. Zwolnił w pobliżu odsuniętego od drogi domu na pagórku. Jego czarny drewniany szkielet był pomalowany na biało, a oba boki tworzyły skrzydła. Od frontu pysznił się wysunięty ku przodowi portyk w klubowym stylu, a na okrągłym podjeździe stał czarny Bentley. Nikt nie zakłócał idealnego obrazu - ani ogrodnicy, ani duchy.

- To dom Wee - oznajmił Ahmad. - Tego bogatego *baby*, Ignatiusa Wee. Zna go pan?

- Oczywiście. ^ Z opryskliwej odpowiedzi taty domyśliłam się, że nie ma pojęcia, o kim mowa.

Ja znałam Ignatiusa Wee. A raczej jego nazwisko. Jako wzorowa uczennica polerowałam pastą do zębów brązową tablicę, na której było wygrawerowane. Więc tak mieszkał nasz wspaniały patron. Bardziej po europejsku niż sami Europejczycy, na zadbanym, wolnym od duchów terenie. Kontrast między jego rezydencją a naszym oblepionym guanem zakładem dla obłąkanych porażał. Czy Ignatius Wee ma pojęcie, jak brudna jest nasza szkoła? Czy w ogóle go to interesuje?

- Jego ojciec, stary pan Wee, dorobił się na kauczuku - opowiadał Ahmad. - Ale Ignatius Wee umie tylko wydawać pieniądze na szkołę, na Kościół, po swojemu. Biednym nigdy nie daje. Ci bogacze są do niczego!

- Kauczuk, kauczuk... - powtarzał tata pieścizotliwie, słysząc tylko to, co chciał usłyszeć. - Coś podobnego, coś podobnego. - W wyobraźni planował



swoją opartą o kauczuk przyszłość, kupował wyimaginowane rezydencje stojące obok rezydencji miejscowych bogaczy. Skoro im się powiodło, dlaczego jemu nie miałyby się powieść? Klepnął mnie w policzek, powtarzając: -Kauczuk!  
- W jego ustach to słowo brzmiało niezwykle obiecująco. Jak zwykle lojalna, skinęłam lekko głową.

Li pożerał wzrokiem rezydencję Wee. Jego zmarszczone i spocone czoło mówiło mi, że podejmuje właśnie postanowienie, by zostać bogatym. Jaki ojciec, taki syn. Ja też oczywiście pragnęłam domu wśród zieleni, ale czy tata mógł nam to zapewnić? Jako jedyna realistka w rodzinie bałam się, że zamiast dobrobytu czeka nas cierpienie.

Na północ od Tanglewood przedmieścia nagle się skończyły. Szerokie drogi zamieniły się w wąskie gruntowe trakty pokryte łajnem. Do samochodu wdarły się muchy. Między gęstymi krzewami dostrześliśmy zaniedbane poletka miejscowych farmerów, po których snuły się wychudzone koguty. Patrząc na niekończącą się szachownicę pól i rzędy bud krytych blachą falistą, walczyłam z narastającym przerażeniem. Bałam się, że widzę obraz naszej przyszłości.

- Ej, ty, dlaczego tędy jedziesz? - warknął tata, gdy zatrzymało nas stadko chudych gęsi powoli człapiących w poprzek drogi.

- Przecież chciałeś malowniczych widoków, prawda, wujaszku? - odparł prowokacyjnie Ahmad. - Pokazuję wam, gdzie mieszkają zwykli Malajowie.

- Niepotrzebnie. - Tata pokręcił głową. - Niepotrzebnie straszysz dzieci. Tchórz obwiniał nas, a przecież wszyscy się baliśmy.

Nadpłynęły burzowe chmury, sprawiając, że zrobiło się ciemno jak w nocy. Dostałam gęsiej skórki. Milczeliśmy z obawy, że najmniejszy dźwięk wywoła ulewę.

Na gruntowej drodze prowadzącej do dżungli nieoczekiwanie natknęliśmy się na korek. Przed policyjną blokadą stało dziesięć pojazdów. Ahmad zaproponował, że zjedzie na mokradła i ominie przeszkodę. Na szczęście tata zaprotestował. Wkrótce wiedzieliśmy już, co nas zatrzymało: oczyszczanie bagna Jervois. Było to największy obszar namorzynów, który władze od lat próbowały osuszyć. Rozwijającemu się miastu brakowało przestrzeni do życia. Jeszcze rok temu w tym miejscu rosła dżungla. W przyszłym roku być może stanie tu szkoła.

Sikhijski policjant w żółtym płaszczu przeciwdeszczowym chodził od pojazdu do pojazdu i wsuwał owiniętą turbanem głowę przez okno od strony

kierowcy. Spodnie miał do kolan ubrudzone czerwonym błotem. W końcu dotarł do nas.

- Przygotujcie się na długie czekanie - powiedział. Ryk silników ciężarówek nie cichł ani na chwilę.

- Co się dzieje?! - krzyknął niecierpliwie tata.

- Oczyszczanie mokradła, wujaszku.

- To wiem, ale dlaczego każą nam tak długo czekać? Policjant namyślał się przez moment.

- Tam leży trup... Kobieta. - Zajrzał w głąb taksówki. Na widok pary dwunastolatków zniżył głos do szeptu. - Z dwójką małych dzieci. Utopiła je, a potem sama rzuciła się do bagna.

- *Aiyah*. - Tata cmoknął językiem. - Jaka szkoda.

- Tak, byli za młodzi na śmierć.

Wzdrygnęłam się. Piętnaście minut później policja usunęła blokadę. Sznur samochodów ruszył wolno niczym kondukt pogrzebowy. Nawet nasz kierowca był przygnębiony.

W zaroślach spod mułu wystawało kłębowisko korzeni. Na poboczu stały trzy długie nieoznakowane pojazdy, osłaniając przed wzrokiem przejeżdżających miejsce poszukiwań. Oczywiście wszyscy wyciągnęliśmy szyję, by dojrzeć coś między zderzakami. I zobaczyliśmy trzy ciała przykryte brezentem - jedno duże i dwa małe jednakowej wielkości. Nagle przed oczami stanęła mi mama i bliźniaczki. Ją rozpacz także mogła doprowadzić do ostateczności. Jeśli życie z tatą było trudne, o ile trudniejsze musiało być życie z rozpaczą. Mama sprawiała wrażenie zdolnej do wszystkiego. Przypomniałam sobie jej napady złości, groźby, żelazny uścisk jej palców na skórze.

Rozejrzałam się w poszukiwaniu duchów kobiety i jej dzieci. Spodziewałam się, że z porośniętego pnączami brzegu obserwuje poczynania inspektorów policji albo przeżywa na nowo ostatnie chwile przed swoim desperackim krokiem. Chciałam się przekonać, czy zobaczę na jej twarzy skruchę, czy żałuje tego, co zrobiła bezbronnym dzieciom. Ale niczego nie zobaczyłam.

Nadchodzące lata miały mnie nauczyć, że śmierć, tak jak życie, zawsze znajdzie sposób, by nas zaskoczyć.

## KRWAWE WZGÓRZE

Otaczało nas morze zieleni. Spowijała wszystko. Im dalej na północ, tym bardziej nieoczekiwane kształty przybierały drzewa, krzewy, pnie - a to wieży Eiffla, a to smoków splecionych w miłosnym uścisku. Te przypadkowe twory natury wyglądały jak przemyślna prowokacja dokonana sekatorem szelmowskiego ogrodnika, biegłego w sztuce formowania roślin. W zaroślach, z dala od wścibskich spojrzeń, toczyło się życie węży, jaszczurek, pajaków i skorpionów. Słyszałam ich syk. Wiedziałam, że jeśli samochód zwolni choćby odrobinę, wypełzną ze swojego królestwa i nas pochłoną.

- A tak nawiasem mówiąc, wujaszku - zaczął Ahmad, gdy wysadził nas na miejscu i przyjął zapłatę - nie mam na imię Ahmad! Dlaczego wy, Chińczycy, zwracacie się do nas „Ahmad”? Przecież mamy imiona. Ja nazywam się Ishak bin Shamsuddin.

Po tych słowach odjechał. Zostaliśmy sami przed bungalowem, wokół którego unosił się zapach stęchlizny i szlamu. To był dom nadzorcy. Nasz nowy dom. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, jak wyglądał kiedyś, ponieważ wszystkie jego ściany pokrywała platanina pnączy. Ścieżkę prowadzącą do wejścia zarosła trawa. W szczelinach murów zadomowiły się trzy rodzaje paproci. Szyby zmętniały od mchu. Na dachu baraszkowała zgraja szarych małąp, które zwróciły ku nam swoje różowe sarkastyczne pyski.

- Ou, uuu, uuu, uuu, ou! - rozwrzeszczały się jak na komendę. Tak nas przywitano w nowym miejscu. O mało się nie rozpłakałam.

Na trawniku przed domem stał zardzewiały maszt, w którego połowie zwisała mokra brytyjska flaga. Opadła z powodu grawitacji i niestaranego wiązania. Tata powiedział nam, że poprzedni nadzorca - Anglik i pijak - trzy miesiące temu dostał przepustkę, lecz z nieznanych powodów nie wrócił.

- Jego strata, nasz zysk - skomentował, wzruszając ramionami.

Li wyjął z kieszeni scyzoryk i uciął kilka dzbaneczników. Z wnętrza jasnozielonych kwiatów wypadły do połowy strawione owady. Dłonie Li pokryły się lepkiem sokiem o nieprzyjemnej woni. Wyglądał na trujący.

- Ostrożnie - powiedziałam, podając mu chusteczkę.

- Bzdura! - prychnął tata i odepchnął moją rękę. - Ujarmimy tę dżunglę. Będziemy tu panami.

Kopniakiem otworzył drzwi wejściowe.

W środku było ciemno. W nos bił obcy mieszcuchom odurzający zapach egzotycznych roślin zaprawiony wonią ziemi. Zapaliliśmy światło i obeszliliśmy cały dom. Mogło być gorzej. Mieliśmy do dyspozycji trzy osobne - nareszcie! - sypialnie, prócz nich pokój dzienny, gabinet, kuchnię i łazienkę z ciepłą wodą. Byłoby zupełnie przyzwoicie, gdyby z każdego kąta nie wydobywał się zapach alg i zwierzęcych odchodów.

W kuchni czekały na nas prezenty zostawione przez jakąś troskliwą duszę: *Malayfor Mems*, rozmówki sfatygowane od ciągłego wertowania, pół butelki dżinu z kozuchem martwych mrówek na wierzchu oraz narzędzie rolnicze podobne do wideł z odpiłowanym środkowym zębem. Ten ostatni przedmiot byłby intrygujący nawet bez dołączonej do niego odręcznie napisanej karteczki o treści: *W przypadku amoku unieruchomić szyję ogarniętego nim człowieka między zębami wideł i docisnąć do ziemi albo do ściany. Powodzenia.*

Przed opuszczeniem miasta byliśmy wielokrotnie ostrzegani przed amokiem. To będące obecnie w powszechnym użyciu słowo wywodzi się z malajskiego. Z niewyjaśnionych do końca przyczyn, prawdopodobnie pod wpływem pełni księżyca lub morskiego przyływu, wieśniacy wpadali w szał i mordowali członków rodziny i sąsiadów. Mówiło się, że to zjawisko szerzy się w głębi kraju. Na razie nie dostrzeżliśmy jednak żadnych dowodów na jego istnienie, prócz tych nieszczęsnych wideł. Człowiek, który wpadł w amok, pewnie wdarł się do domu nadzorcy albo przynajmniej usiłował przedrzeć się przez gęstwą pnączy.

Tata rozłożył mapę posiadłości Melmoth. Całość miała czterysta dziewięćdziesiąt osiem akrów. Plantacja była podzielona na część wschodnią i zachodnią o jednakowej powierzchni. Obie zwały się w środku, gdzie stał nasz dom, i rozszerzały na skrajach niczym dwie połówki gigantycznego serca. Pomieszczenia mieszkalne dla pracowników znajdowały się na północnym obrzeżach zachodniej połowy.

Na papierze dżungla zaczynała się tuż za plantacją. Granice były oczywiście fikcją prawną. Przecież dżungla podeszła już pod drzwi naszego nowego domu.

Wystarczył rzut oka, by wiedzieć, że na plantacji od miesięcy nikt nie kiwnął palcem. Ścieżki zarosła wysoka trawa, pnie kauczukowców spływały sokiem. Dotarło do mnie, jaki obowiązek spocznie na barkach taty. Miał na nowo zorganizować pracę na plantacji.

- Nad Europą wisi groźba wojny - powiedział. Jego optymizmu nie przyćmiły nawet sceptyczne spojrzenia, jakie wymieniliśmy z Li. - Nie można

toczyć wojny bez gumy. Wojsko potrzebuje butów, opon, płaszczy przeciwdeszczowych. Będziemy bogaci!

Pierwszą noc spędziliśmy niepokojeni obcymi i dziwnymi odgłosami. Nawoływania małp brzmiały jak płacz przestraszonych dzieci, gałęzie drzew łamały się i z trzaskiem spadały na ziemię. Miałam dar widzenia więcej niż inni, mimo to dżungla zdumiewała mnie i zaskakiwała różnorodnością niewidzialnych źródeł dźwięków. W orkiestrze gwizdów, pohukiwań, wycia i wrzasków rozbrzmiewały falsety i basy, tony smutne i radosne, nieustające kunsztowne *staccato*. Każdy dźwięk przypisałam innemu stworzeniu. Później odkryłam swoją pomyłkę. Pomruki i warknięcia wcale nie wydobywały się z gardła tygrysa, lecz żaby ryczące. A rechotały nie żaby, lecz czarnodzio-be ary.

Nazajutrz tata obudził nas o świcie.

- Wstawajcie! Czas zacząć pracę!

Z sekatorami w rękach ruszyliśmy na obchód plantacji. Wschodnia jej część była zarośnięta, roiło się w niej od komarów. Tata rozejrzał się z niepokojem.

- Gdzie moi pracownicy?

Odpowiedź przysła niemal natychmiast. Z zachodniej części dobiegł tłumiony śmiech. Poszliśmy w tamtym kierunku. Wkrótce znaleźliśmy się na polanie i naszym oczom ukazała się tropikalna scenka rodzajowa: śniadzi mężczyźni biegali za piłką, a ich rozplotkowane kobiety wylegiwały się na trawie, jedząc papaje, liczi i owoce mamey. Wokół nich biegało kilkanaścioro nagich maluchów.

Tata poczerwieniał. Dysząc z wściekłości, wtargnął na prowizoryczne boisko. Rattanowa piłka trafiła go w pośladki. Wrzasnął jak oparzony. Zgromadzeni nagrodzili celny strzał owacją. W przyływie furii tata zaczął wymachiwać sekatorem w stronę najbliższej stojącego półnagiego gracza.

- Ja teraz wasz pan! - krzyknął łamanym malajskim. - Słuchać mnie! Macie robić ciach-ciach! - Wskazał sekator, a potem pnącza oplatające drzewa kauczukowe. - Wycinać! Ma być ładnie! ;

Ludzie zachichotali, by po chwili wrócić do przerwane go meczu. Wstrzymując oddech, tata zwrócił się do nas:

- Trzeba im okazać trochę szacunku. Za parę dni zmienią zdanie. - Wróciliśmy do domu, by tam czekać na magiczną przemianę pracowników plantacji.

Ci ludzie - połowę z nich stanowili niepiśmienni Tamilowie, drugą połowę niepiśmienni Malajowie - nigdy dotąd nie widzieli Chińczyków z miasta. Patrzyli na nas jak na intruzów, dziwacznych obcych, którzy nie byli ani

białymi sahibami, ani śniadymi wieśniakami jak oni. Zaburzyliśmy im obraz naturalnego porządku świata. Potrzebowali czasu, by się zorientować, że zamieszkaliśmy w domu nadzorcy, chociaż z tego powodu wcale nie wrócili do pracy.

Przez tydzień nic się nie zmieniło. Trawa rosła jak dotąd, pnącza w szalonym tempie zagarniały dla siebie przestrzeń. Znów poszliśmy na boisko. Tym razem tata zabrał parang, miejscową odmianę maczety, najlepsze narzędzie pomocne człowiekowi w dżungli. Tak niezgrabnie trzymał ją w pulchnej dłoni, że bałam się, iż nas zrani.

Machnął zardzewiałą bronią w stronę rozleniwionych ludzi.

- Jeśli chcecie, użyjcie tego! Spójrzcie! Ja nie żartuję! Chcecie jeść? Chcecie nakarmić dzieci?

Rozległy się gwizdy. W jego stronę znów poleciała rattanowa piłka. Tym razem się przed nią uchylił.

- Małpa! Małpa! - krzyknął mały chłopiec. Pozostali wybuchnęli śmiechem.

- Patrzcie! Ja nie żartuję!

Tata podszedł sztywnym krokiem do chłopca, który złapał piłkę, i wyrwał mu ją z rąk. Z furią wściekłego dziecka pociął ją maczetą na drobne kawałki.

Ta scena wzbudziła powszechną wesołość.

Raz po raz tata próbował zachęcać wieśniaków do pracy, ale jego wysiłki spełzyły na niczym. Po trzech tygodniach zrezygnował. Zamknął się w gabinecie, bo chciał pomyśleć, jak nam oznajmił. Ale ja wiedziałam swoje: tata wycofał się, żeby nie myśleć. Otoczył się swoimi ukochanymi Czterema Skarbami i po całych dniach spisywał z pamięci poematy z czasów dynastii Tang. Uciekał.

Znalazł schronienie w urojonych chmurach i górach, a tymczasem plantacji groził chaos. Właściciele słali z miasta telegram za telegramem. Nie-przeczytane leżały potem na stole i każdego wieczoru psuły nam apetyt, chociaż z braku pieniędzy nie jedliśmy zbyt dużo.

Nic tak nie budzi w człowieku tęsknoty za ładem i porządkiem, jak bezprawie i bieda. Zateśniłam za Świętą Anną, nawet za niedogodnościami związanymi z wczesnym wstawaniem, prasowaniem fartuszków i odrabianiem lekcji. Znużona monochromatyczną zielenią dżungli tęskniłam za miastem i jego paletą barw. Brakowało mi nawet suszonych kurzych skrzydełek sprzedawanych w szkolnym sklepiku. Poświęciłam naukę w imię czego? Dla

tej plantacji? Potrzebowałam zachęty, mobilizacji, presji, utemperowania. Uświadomiłam sobie, że tutaj sama muszę o to zadbać.

W przeciwieństwie do Li, który niczym rasowy filantrop oddał swój szkolny mundur łobuziakowi z Chinatown, ja uczepliłam się swojego fartuszka, który w moich oczach reprezentował dyscyplinę, ustalony porządek i cywilizację. Każdego ranka stawałam na baczność na schodach. W białej bluzce i niebieskim bezrękawniku ze Świętej Anny wciągałam flagę do wtóru szkolnej pieśni:

*Wdzięczna za życie*

*I nieba błękit Wdzięczna za rosę*

*I polne drogi...*

Li bezlitośnie ze mnie kpił. Tymczasem trzymanie się ustalonego porządku było moim głosem sprzeciwu wobec dręczącej niepewności. Bunt Li przejawiał się bardziej prozaicznie: trzaskaniem drzwiami i przewracaniem krzesel. Mieliśmy po dwanaście lat, rozpiełała nas energia i nie wiedzieliśmy, na co ją skierować.

Pewnego ranka głodny i wyczerpany bezczynnością Li postanowił, że musimy się ratować. Zaczęliśmy od otwarcia wszystkich telegramów. W ostatnim właściciele grozili tacie zwolnieniem - oraz procesem za wprowadzenie w błąd - jeśli plantacja w ciągu miesiąca nie dostarczy pierwszego transportu kauczuku. W skrytości ducha marzyłam, żeby tak się stało, lecz Li pozostał niewzruszony.

- Zagram z nimi w piłkę. Przekonam ich - oznajmił twardo. - Wszystko mi jedno. Musi nam się udać. Musi. Nie wrócę przegrany. Powiedziałem wszystkim, że będziemy bogaci.

Teraz zrozumiałam: duma nie pozwalała mu zrezygnować.

- Ale jak ich zmusić, żeby nas posłuchali?

- Ci ludzie są jak dzieci. Nie umieją pisać i czytać. Wierzą w głupoty. Łatwo się nudzą. Pamiętaj o tym, a będziesz mogła nimi rządzić.

Ku mojemu zdumieniu brat miał rację. Zajął się zachodnią częścią plantacji, ja wzięłam na siebie część wschodnią. Pracownicy nas słuchali. Chyba uznali, że jesteśmy zabawni: dwoje dwunastolatków na rowerach, wykrzykujących polecenia tonem nieznoszącym sprzeciwu. Znowu poczułam się wzorową uczennicą.

Kiedy oni słuchali naszych poleceń, my też szliśmy na ustępstwa. Kobiety ze wschodniej części plantacji chciały bawić się moimi włosami. Pozwalałam

im używać oleju kokosowego, szpilek i wałków. Każdą sesję kończyłam upodobniona do tahitańskiej księżniczki z kwiatami za uchem. Li zyskał szacunek mężczyzn na boisku piłkarskim. Obiecał, że nauczy ich grać w rounders, o ile wykonają normę.

Z upływem dni kobiety i mężczyźni wrócili do zajęć, które nadawały sens ich życiu. Przycinali trawę, obcinali pnącza, zbierali sok z kauczukowców. Praca była niczym zapomniany na moment język, który przypomnieli sobie pod wpływem łagodnej perswazji.

A może to tylko moja optymistyczna interpretacja faktów? Dzisiaj widzę to inaczej. Ci wieśniacy pewnie się nas bali, nie ma bowiem nikogo bardziej kapryśnego i nieobliczalnego niż dziecko mające nad kimś władzę. Plantacja znów działała, chociaż daleko jej było do pełnego rozkwitu. O ile nadzór nad wschodnią częścią plantacji traktowałam jak brzemię, o tyle Li okazał się urodzonym przedsiębiorcą. Na obchód terenu zabierał widły przeciwo-ko-we, upodabniając się do diabełka z trójzębem.

Na plantację zaczęły spływać pieniądze. Marzenia o powrocie do miasta i sprowadzeniu mamy z bliźniaczkami nabrały realnych kształtów.

Mieliśmy nadzieję, że kiedy sytuacja na plantacji się unormuje, tata wróci do swoich obowiązków. On powtarzał jednak uparcie, że nie jest na to gotowy i potrzebuje czasu. Z upływem tygodni tymczasowe rozwiązanie okazało się trwałe: Li i ja zarządzaliśmy plantacją na własną rękę.

Rygorystycznie przestrzegaliśmy ustalonego porządku. Każdego ranka Li czekał, aż po wciągnięciu flagi na maszt zmienię szkolny mundurek na ubranie robocze. Potem jechaliśmy rowerami na plantację. Rozdzielaliśmy się przy łagodnym wzniesieniu kilometr od domu. Nazywaliśmy je Krwawym Wzgórzem. Rosły na nim tylko kępy bananowców. Kiedy tu przyjechaliśmy, usychały. Li troskliwie się nimi zajął i podlewał, aż wróciły do życia. Odwdzińczyły mu się kiśćmi krwistoczerwonych owoców. Łatwo ulegający wpływom Li wierzył, że czerwone owoce zwalczają anemię, jadł je więc z podziwu godną regularnością. Tak całkiem się nie mylił - banany okazały się bardzo pożywne.

Przed południem przeprowadzaliśmy inspekcję swoich części plantacji. Chodziliśmy między kauczukowcami posadzonymi w równych rzędach. Każdy nacięty pień znaczyły białe linie tworzące literę V, z każdej otwartej rany skapywał mleczny sok. To był lateks, guma w swojej pierwotnej postaci. Zbierały go kobiety w sarongach. Pilnowaliśmy, by nie uroniły ani kropli, gdy wolnym krokiem zmierzały potem do baraku z pięciogalonową puszką cennej substancji na głowie. I aby nie szły za wolno.



Nazwałam je Jawajskimi Dojarkami, chociaż nie były ani jednym, ani drugim. Tak bardzo brakowało mi poezji, że szukałam jej nawet w tym wyjątkowo niepoetycznym miejscu pracy. Popołudnia, gdy równikowe słońce paliło bezlitośnie, spędzaliśmy w baraku, w którym mieściła się nasza wytwórnia. Tam nadzorowaliśmy mężczyzn, którzy za pomocą kwasu wytrącali z mleczka kauczuk, a potem wyciskali go, formowali w płachty i suszyli. Raz w tygodniu ciężarówka wiozła nasz urobek do miasta. Mężczyznom nie nadałam żadnego zabawnego przydomka. Nie opuszczał mnie strach, że w środku nocy wpadną kiedyś do naszego domu z parangami.

Tata zabierał zarobione przez nas pieniądze, nic nam nie zostawiając. Mieliśmy gdzie mieszkać i co jeść, ale na tym jego hojność się kończyła. Nie zgodził się na kupno butów dla Li i książek dla mnie.

- Jesteśmy jego psami - skarżył się Li. - A co dostajemy w zamian na koniec dnia? Resztki.

- Może oszczędza dla mamy i bliźniaczek?

- Może.

Minęły trzy lata. W tym czasie przeszliśmy zdumiewającą przemianę. Najpierw przerosłam Li, potem on mnie dogonił i przerósł o pół głowy. Zmienił mu się głos. Zaczęłam miesiączkować, co przeraziło mnie bardziej niż wszystkie widziane dotąd duchy. Tylko dzięki życzliwym kobietom z mojej części plantacji dowiedziałam się, że od tego nie umrę. Nabrałam krągłości, urosły mi piersi. Z coraz większym trudem wciskałam się w szkolny fartuszek. Oboje staliśmy się niewolnikami zmiennych nastrojów.

Po dzieciństwie spędzonym w mieście, gdzie od pewnego momentu żyliśmy w dwóch różnych światach, w dżungli połączyło nas poczucie krzywdy. Aby jeszcze bardziej odciąć się od taty, zaczęliśmy rozmawiać po angielsku. Li przyłączył się nawet do codziennego wciągania flagi, dodając hymn swojej szkoły:

*In days of yore from Western shores Oldham dauntless Hero came  
And planted a beacon of Truth and Light In his Island of the Main...*

Cieszyło mnie, że przestałam być czarną owcą w rodzinie. Jeśli ktoś był tu dziwakiem, to tata. Kłócił się z Li przy każdej sposobności. Wybuchy wściekłości mojego brata przypominały nagły atak burzy albo galop dzikiego konia zerwanego z uwięzi, zwłaszcza gdy nadchodziły bez ostrzeżenia i nie

były sprowokowane. Doskonale przedrzeźniał tatę i robił złośliwe przytyki do jego łamanej angielszczyzny. Tata nazywał go niegodnym - to słowo było w konfucjanizmie jednym z najbardziej nadużywanych słów potępienia -i miał groźby, że wygna nas z plantacji, co Li kwitował szyderczym śmiechem.

- Kto będzie wtedy prowadził ją dla ciebie? Twoje Cztery Skarby? Pewnego wieczoru nadeszło to, co nieuchronne.

Li przyszedł na kolację z otarciami po upadku na rowerze.

- Gdyby mama mogła zobaczyć, co się z nami dzieje - powiedział, rzucając gniewne spojrzenie spłoszonemu ojcu, napychającego sobie brzuch ryżem, który miał dzięki naszej pracy. Od miesięcy żadne z nas nie wspomniało przy nim o mamie. Jej listy przestały przychodzić. W Chinach panoszyli się Japończycy, dlatego baliśmy się snuć przypuszczenia o losach drugiej połowy naszej rodziny, chociaż jestem pewna, że każdy zadawał sobie w duchu pytanie, co się z nimi dzieje.

Żyły na skroni taty drgnęły.

- Wasza matka już się dla nas nie liczy. Przestała się liczyć w dniu naszego wyjazdu z Szanghaju.

- Co ty mówisz? - Li poczerwieniał z wściekłości. - Jak śmiesz ją skreślać, skoro to ty zawiodłeś i przestałeś wysyłać jej pieniądze?

- Matka was porzuciła.

- Mama porzuciła ciebie - odparował Li. - Zabrałeś nas, bo bałeś się samotności. Tata wydał wargi i milczał przez chwilę.

- Przed wyjazdem wasza matka i ja się rozwiedliśmy - oznajmił. Rozwód? Czy to miała być przerośnia? Dwie szare małpy krzyknęły przeraźliwie za oknem, ale żadne z nas nawet nie drgnęło.

- Kłamiesz - powiedział w końcu Li.

- A listy? - spytałam. - Jeśli naprawdę nas porzuciła, dlaczego je pisała?

- Ja jej kazałem. - Tata uderzył się pięścią w pierś. - Ja! Błagałem ją, żeby do was pisała. Nie jest już moją żoną, ale nadal jest waszą matką. Czytaliście je, więc rozumiecie, o czym mówię. Zupełnie jakbyście utoczyli krew z kamienia. Nie było dla was jasne, że ona nie interesuje się waszym losem?

Li poderwał się z krzesła. Wykrzywił twarz z obrzydzenia i niedowierzania.

- Idź do diabła! - wrzasnął po angielsku. - Obyś smażył się w piekle! Wybiegł z domu, zostawiając otwarte drzwi. Może chciał, żebym do niego dołączyła. Ruszył w stronę Krwawego Wzgórza.

Moje myśli powędrowały nie ku mamie, której pocałunki zawsze wydawały mi się nieszczerze, lecz ku bliźniaczkom. Od dnia przybycia do Melmoth stały się dla mnie wyidealizowanym symbolem czystości. Były dziecięcymi ambasadorkami minionego życia, zastygłymi w nim na zawsze. A przecież Xiaowen i Bao-Bao nie były już małymi dziećmi. Miały dziewięć lat, więcej niż ja w dniu wyjazdu z Szanghaju.

Miałam poczucie winy, że porzuciłam je tamtego pamiętnego ranka, wymknęłam się z domu niczym złodziej, gdy one jeszcze spały. Czyżbym była aż tak bezduszna? Przecież mnie uwielbiały! Siedem lat to nie jest już wiek niewinności. Powinnam wiedzieć, że ceną mojej wolności będzie utrata sióstr. Wiedziałam o tym, a mimo to wybrałam ucieczkę.

Wybiegłam za Li, ale dwa kroki za domem poczułam ucisk w gardle. Osunęłam się na kolana i wymiotowałam, aż całkiem opadłam z sił.

Godzinę później z okien salonu obserwowałam dwie mały taplające się w zawartości mojego żołądka. Potem spadł deszcz i zmył wszystkie ślady.

Nasza plantacja nie była szczególnie nawiedzona.

Oczywiście znalazło się kilka krnąbrnych duchów - takie są wszędzie, nawet w otoczeniu pozornie bardzo „czystym” - ale o wiele mniej niż można się było tego spodziewać, wzięwszy pod uwagę żarłoczną dżunglę i makabryczne miejsca kultu utrzymywane przez tubylców. Przekonałam się, że wygląd jakiegoś miejsca niewiele ma wspólnego z jego nadnaturalną aktywnością.

Pracujący tu ludzie nigdy nie mieli szans nawet na chwilę samotności. Spali w zatłoczonych barakach podzieleni według płci. W rojnych ulach wielkości domu nadzorca mieszkało sto osób. Wielu pracowników przywiozło tu swoje rodziny. Spali na zmianę. Ci z pierwszej zmiany wstawali o czwartej i o piątej już zbierali mleczko. Ci z drugiej zmiany wstawali w południe i robili nowe nacięcia na korze albo wyciskali i formowali kauczuk w przetwórni. Poza godzinami pracy razem śpiewali, jedli, kąpali się i czcili swoich bogów. Ich życie toczyło się we wspólnocie.

Duchy przeciwnie, w większości są samotnikami. Jako kobieta z doświadczeniem mam swoją teorię na ten temat: silne emocje, pozwalające przekroczyć śmierć, wymagają samotności. Tylko w samotności otwieramy się naprawdę na strach, pożądanie, nienawiść, żal i pustkę w ich najbardziej pierwotnej formie.

Mając niewiele prywatności, a więc niewiele okazji do intensywnego przeżywania tak skrajnych emocji, robotnicy na plantacji nie byli nawiedzani przez duchy. Nie znaczy to wcale, że byli rozbijającą beztroskimi

głupkami, zadowolającymi się miską białego ryżu i czystą pryczą. Oni po prostu nie mieli czasu na introspekcję.

Mówiąc wprost: Li i ja wyciskaliśmy z naszych ludzi siódme poty.

Malajowie na plantacji różnili się od zislamizowanych Malajów znanych nam z miasta. Pozostawali wierni wierzeniom swoich przodków, chociaż przejęli praktyki obrzezania i poligamię. Zamiast meczetów budowali prowizoryczne świątynie ku czci bogów, których imion nie znaliśmy i nigdy nie mieliśmy poznać. Na mizernych ołtarzykach widywaliśmy nietypowe przedmioty kultu, z pępowinami nowo narodzonych dzieci włącznie, wysychających na czarnych kamiennych blokach.

- Malajowie nie mają celu w życiu - mawiał tata - więc równie dobrze sami moglibyśmy im podsunąć jakieś wierzenia. Póki nie będzie im to przeszkadzać w pracy...

O ile pracujący na naszej plantacji Tamilowie niczym nie różnili się od innych Tamilów na Czarnej Wyspie - łatwo przystosowywali się do każdego warunków i mieli chęć do pracy - o tyle nasi Malajowie kierowali się przesądami. Najbardziej bali się Krwawego Wzgórza i zadawali sobie wiele trudu, by je omijać. Często nakładali drogi, żeby tylko widok wzgórza nie zakłócił im spokoju. Nadali mu własną nazwę: Grobowiec Umarłych Dziewcząt. Starsi wierzyli, że nic tam nie wyrośnie, ponieważ przez wieki zakopywano tam żywcem niechciane nowo narodzone dziewczynki. Inni twierdzili, że leżą tam ciała niewiernych żon.

Szukałam na Krwawym Wzgórzu śladów nawiedzenia, ale niczego nie znalazłam. Nawet gdybym coś zauważyła, i tak z nikim nie podzieliłabym się swoim odkryciem. Rani, tamilska dziewczyna, do której miałam największe zaufanie, wyjaśniła mi, dlaczego Malajowie tak boją się rosnących tam krwi-stoczerwonych bananów. Malajscy wieśniacy wierzyli, że tymi bananami karmią się mściwe kobiety-demony zwane pontianak.

- To kobiety, które umarły podczas porodu - wyjaśniła. - Dlatego lubią zabijać inne kobiety w ciąży. Są zazdrosne!

Podczas pełni pontianak wyłaniały się spomiędzy przylegających do siebie bananowców i wyruszały na poszukiwanie ofiary, czyli kobiety w zaawansowanej ciąży. Zatapiały długie szpony w ich brzuchach i piły krew płodu, chociaż w ciężkich czasach nie gardziły też krwią mężczyzn. Jeśli kobieta umarła podczas porodu, Malajowie za wszelką cenę starali się zapobiec jej transformacji w pontianak. Wkładali jej w usta szklane koraliki, pod każdą pachą umieszczali jajko, a w dłoniach igły. Wszystko po to, by trup nie mógł otworzyć ust do wrzasku, rozłożyć ramion jak skrzydeł i poruszać

rękami w locie. - Ale jest tylko jeden pewny sposób powstrzymania pontianak: nie należy uprawiać bananowców - oznajmiła stanowczo.

Wielokrotnie powtarzałam to Li, który za każdym razem się na mnie obrażał. Krwawe Wzgórze było pomnikiem jego wysiłków. Utrzymywał, że gdyby Malajowie przekonali się, jak wspaniałe owoce rodzą bananowce na stokach wzgórza, przestaliby się bać.

- Wtedy mogliby obsadzić bananowcami kawał plantacji!

Z właściwą sobie arogancją Li postanowił zanieść świeżo zerwane kiście czerwonych bananów w prezencie dla Miny, jednej z jego Jawajskich Dojarek, w dniu jej spodziewanego porodu. Próbowалам mu to wyperswadować. Na próżno. Z uporem maniaka obstawał przy swoim. Zupełnie jak wtedy w szanghajskim parku. Odkąd tata napomknął o rozwodzie, stłumiona przez lata bezwzględność znów zaczęła dochodzić do głosu. Może z chęci udowodnienia sobie, że nie jest mięczakiem jak ojciec, Li nieustannie wdawał się w awantury.

Czyściłam sumę na kolację, kiedy wparował do domu z nienaruszonymi kiściami bananów i z furią cisnął je na dywan w holu.

- Ojciec Miny miał czelność mnie wyrzucić! A te wszystkie kobiety... jego żony... stały i patrzyły i żadna go nie powstrzymała! Ma nad nimi dziwną władzę. Ponoć uważa się za czarownika czy szamana. Ale jeśli zna magię -prychnął - to dlaczego pracuje na plantacji?

- Pewnie nie pracuje. Jego dzieci pracują za niego. - Podniosłam banany, by nie zostały czerwonych plam na dywanie. - Przecież ci mówiłam, jak bardzo Malajowie nie cierpią bananów.

- Muszą wreszcie pojąć, jak bardzo się mylą! Te banany są szczególne dlatego, że doskonale rosną tam, gdzie nic innego nie wyrośnie. Niech skończą z tymi prymitywnymi przesadami.

Zaśmiałam się sarkastycznie.

- Nie jesteśmy upoważnieni, żeby kogokolwiek zmieniać.

- Czyżby? - Wyrwał mi banany i zaniósł je do kuchni. - Przecież przyjechaliśmy zarządzać tym przeklętym miejscem, więc chyba do nas należy ucywilizowanie tych ludzi, nie uważasz? - My? Cywilizować ich? - Znowu się zaśmiałam. - Jesteśmy tu uwięzieni jak oni!

- Pamiętaj, jak to wszystko wyglądało na początku? Uratowaliśmy to !

Miał rację, ale ten argument i tak prowadził donikąd. Wycięliśmy pnącza, dzięki czemu przez okna wpadało więcej światła. Ale czy my sami staliśmy się bardziej oświeceni?

- Mam nadzieję, że Mina się tym nie przejęła.

- Nie wiem. Puściłem ich. Puściłem cały ten przeklęty harem.

Tata, który do tej pory przysłuchiwał się naszej rozmowie, wybiegł z gabinetu. Spoglądał na Li znad zsuniętych na nos okularów.

- Co to znaczy „puściłem ich”? - zapytał z drżeniem w głosie.

- Kazałem im spakować manatki i posłałem do diabła.

- Ile osób?

- Skąd mam wiedzieć? Dziesięć, może dwanaście.

- Nawet tę dziewczynę? - spytałam.

- Nawet tę cholerną niewdzięcznicę Minę!

- Li, przecież ona lada chwila będzie rodziła! Wiesz, że nie może nigdzie iść!

- To jej problem. Poza tym podejrzewam, że tam dzieje się coś dziwnego. Ona nie ma męża. Wiedziałaś o tym?

Tata wyglądał, jakby miał zemdleć. Nie dlatego, że leżał mu na sercu los tych ludzi, lecz dlatego, że bał się utraty rąk do pracy. Pognał do gabinetu i z zamykanej na klucz szuflady, w której przechowywał gotówkę, wyjął plik dziesięciodolarowych banknotów. Dziesięć miejscowych dolarów wynosiła tygodniówka jednego pracownika. Ucieszyłam się, że tata wreszcie zrobi coś sensownego. Wiedziałam, jak wyśrubowane narzucono nam normy. Nie mogliśmy pozwolić pracownikom odejść. Tata wsunął pieniądze do kieszeni i poszedł założyć buty.

- Dokąd się wybierasz? - Li skoczył do drzwi. Jego oczy miały błyskawice. - Dlaczego chcesz podważyć mój autorytet? To moi pracownicy. Słuchają mnie i tylko mnie! - krzyknął, kładąc szczególny nacisk na ostatnie słowo. ^

Kiedy stali twarzą w twarz, dotarło do mnie, że w wieku piętnastu lat Li przerósł tatę. Był wyższy, silniejszy i groźniejszy. Sflaczały i zasuszony ojciec nie śmiał podjąć walki z synem. Spuścił oczy, bez słowa ruszył do kuchni i wyszedł tylnymi drzwiami.

Li pobiegł za nim.

- Najpierw zmuszasz mnie do wykonywania za ciebie brudnej roboty, a teraz podważasz mój autorytet! Kwestionujesz moje słowa, a sam jesteś oszustem i tchórzem! - wykrzyczał. Po tych słowach zwrócił się do mnie: -Niech idzie. Ci ludzie to nasi pracownicy. Nawet nie będą wiedzieli, kim on jest. Wyśmieją go.

Li miał rację. Tata nie miał pojęcia, która z pracownic jest w ciąży. Tym bardziej nie wiedziałby, gdzie jej szukać. Nie miał władzy na plantacji. Musiałam za nim pójść.

- Ling! - Li złapał mnie za ramię. - Ani się waż! Chcesz, żebym wyszedł na drania? Dlaczego wiecznie musisz robić z siebie bohaterkę?

Skrzyżowaliśmy spojrzenia. Wściekłość w jego oczach ustąpiła miejsca błaganiu, ale mój twardy wzrok powiedział mu, że nie ustąpię. Nagle jakaś siła pchnęła mnie z impetem na drzwi, uderzyłam potylicą we framugę. Z przerażenia w oczach Li wyczytałam, że mnie uderzył, zanim jeszcze poczułam palący ból po lewej stronie twarzy.

- Przepraszam... - Chciał dotknąć mojego policzka, ale odtrąciłam jego rękę.

- Cholerny z ciebie idiota, wiesz?

Wypadłam z domu i wskoczyłam na rower. Pędziłam przed siebie, aż minęłam Krwawe Wzgórze i upewniłam się, że Li mnie nie ściga. Nie zwalniając, skierowałam się na północ, ku barakom.

Przez otwarte drzwi w drugim baraku ujrzałam tatę otoczonego kobietami i obdartymi dziećmi. Po chwili rzuciła mi się w oczy atletyczna sylwetka siwowłosego Malaja - jedynego mężczyzny w tym tłumie. Zachowywał się jak przedstawiciel wioskowej starszyny. To na pewno ojciec Miny, pomyślałam. Owinięty batikowym sarongiem, wziął się pod boki. Na twarzy miał wyraz świętego oburzenia.

Zanim zsiadłam z roweru, tata zdążył paść na kolana i pochylić tułów, aż w końcu dotknął czołem ziemi.

Ho!łd. Nigdy przedtem tego nie widziałam i natychmiast zrozumiałam dlaczego - ten stopień obnażenia człowieka w akcie podporządkowania budzi sprzeciw. Policzki paliły mnie ze wstydu i wściekłości. Po co ten żenujący spektakl, skoro pieniądze powinny załatwić sprawę? Jak tata odzyska szacunek naszych pracowników? Jak ja odzyskam ich szacunek? Defetyzm taty wziął górę. Jeśli za cokolwiek kimś gardzę, to właśnie za taką słabość.

Miałam zamiar uciec, ale ojciec Miny odchrząknął i wyciągnął palec w moim kierunku. Uniósł kącik warg w obleśnym krzywym uśmiešku. Wymamrotał coś, a tata podniósł się z ziemi. Strzepując piasek z rąk i kolan, rzucił mi ukradkowe spojrzenie. : Wargi starego Malaja znów się poruszyły.

- Twoja córka ładna dziewczyna.

Skinął na mnie tak, że przeszedł mnie dreszcz obrzydzenia. Poruszał w powietrzu rękami, jakby ścisnął niewidzialną brzoskwinię. Udałam, że go nie widzę i wskoczyłam na rower. Za plecami słyszałam jego hieni śmiech, każdy kolejny paroksyzm był wyższy i doprawiony większą dozą szaleństwa.

Niebezpieczeństwo utraty pracowników zostało zażegnane, ale wspomnienie tego podstępnego zbrojca nie dawało mi spokoju. Przypominając sobie hołd, jaki złożył mi tata, krzywiłam się z obrzydzeniem.

Śpiesząc do domu, spostrzegłam coś, co pewnie mijałam setki razy, ale dotąd umknęło mojej uwadze: czarną drewnianą świątynię tuż za obrzeżem mojej części plantacji. Byłam zaskoczona, ponieważ wszystkie miejsca kultu kazałam przenieść na teren, gdzie pracownicy spędzali wolny czas. Podjechałam bliżej. Okazało się, że zwiodło mnie pierwsze wrażenie. Miałam przed sobą nie świątynię, lecz szopę bez okien z wielką zardzewiałą kłódką na drzwiach. Jakość stolarki była doskonała. Na deskach nie zauważyłam drzazg tak częstych w chatach w głębi kraju. Ani porostów i mchu, co wydawało się bardzo dziwne w tak wilgotnym klimacie. Cała konstrukcja sprawiała wrażenie pomyślanej tak, by wtopić się w noc. Podskórnie czułam w niej coś znajomego.

Byłam tak zaaferowana wydarzeniami całego dnia, że nie miałam głowy do rozwikływania tej zagadki. Później, mówiłam sobie, pomyślę o tym później. Światło dnia gasło szybko, jak to w strefie równikowej. Przyspieszyłam, by znaleźć się w domu przed zmrokiem.

Na moim lewym policzku pojawił się fioletowawy siniak, ślad po uderzeniu Li. Po powrocie do domu nie rozmawiałam ani z nim, ani z tatą. Tata nawet na mnie nie spojrział. Szybko poszłam do sypialni. O północy usłyszałam gwar dobiegający z baraków i radosne bicie w bębny. Dziecko Miny Dojarki przyszło na świat.

Wkrótce miał się dokonać obrzęd „otwarcia” ust nowo narodzonego. Szanowany krewny zanurzy złotą obrączkę w miodzie i włoży ją dziecku do buzi, czekając, aż on lub ona zacznie ssać. Tubylcy wierzyli, że w ten magiczny sposób dziecko przejmie niektóre cechy właściciela obrączki. W trosce o dobro dziecka miałam nadzieję, że jego protektorem nie będzie ojciec Miny. Wreszcie zrozumiałam, dlaczego ten człowiek doprowadzał Li do szału. Zachowywał się jak zdetronizowany król, który knuje spisek, by odzyskać władzę. Wykonując wulgarny gest i patrząc na mnie, zdradził swój groźny brak powściągliwości.

Mijały godziny, a bębny nie milkły. Kiedy w końcu sen zaczął kleić mi Powieki, usłyszałam delikatne skrzypnięcie drzwi. Ktoś wszedł do sypialni. Odruchowo sięgnęłam po leżący obok łóżka nóż. Niepotrzebnie. To był Li w spodniach od piżamy. Przez moskitierę widziałam łzy w jego oczach.

Leżałam przykryta, ponieważ tak jak on spałam półnaga.



- Przepraszam. - Podeszedł do łóżka i odsunął moskitierę. - Obiecuję, że więcej nie podniosę na ciebie ręki. - Nie było w nim ani śladu dzisiejszej brutalności. Przede mną stał skruszony chłopiec.

Pozwoliłam mu dotknąć mojego policzka, by się przekonał, że nie zrobił mi krzywdy. Nie chowałam urazy. Całą złość skierowałam na odpychającego ojca Miny.

- Nie mogę spać - powiedział. Rozumiałam go. Sama też często miałam kłopot z zaśnięciem, ponieważ od dzieciństwa przywykłam do gorącego ciała obok siebie.

Wślizgnął się do łóżka, jak to robił tysiące razy wr Szanghaju, na statku, w Bullock Cart Water. Znałam to uczucie najlepiej na świecie. Przekręciłam się na bok, ale zamiast położyć się do mnie plecami, Li położył się przodem i objął mnie w pasie. Wtulił twarz w mój kark. Czułam na skórze każdy jego oddech. Spłynął na mnie zaskakujący spokój. Zamknęłam oczy.

Li długo leżał bez ruchu, zanim znów się odezwał.:

- Jesteś moim najlepszym przyjacielem na świecie. Wiedziałam, że mówi prawdę.

- A ty moim. - Ja też mówiłam prawdę. Prócz siebie nie mieliśmy nikogo.

- *jesteśmy* związani, prawda?

- Tak.

- Na zawsze?

- Na zawsze.

Delikatnie pocałował mnie w kark.

- Masz taką miękką skórę. - Kiedy nie zaprotestowałam, zebrał się na odwagę i pocałował mnie dłużej, potem jeszcze dłużej, w końcu zaczął wodzić wargami po mojej szyi w górę i w dół, aż dotarł do ramienia. Poczułam przyjemne mrowienie. Jęknęłam mimowolnie, co dla nas obojga zabrzmiało jak aprobata. Przesunął rękę wyżej, ku moim piersiom. Ten gest mnie onieśmielił.

- Nie zrobię ci krzywdy - wyszeptał z ustami przy moim uchu. - Obiecuję. Odprężyłam się i pozwoliłam mu iść dalej. Było to doznanie niewątpliwie

erotyczne, ale także duchowe. Obejmowała mnie przecież moja druga połówka, brakująca połówka. Pod wpływem jego dotyku poczułam się kompletna. Oplótł nogą moje udo i przytulił się do moich pleców, aż poczułam, jak wzbiera w nim pragnienie. Kiedy wsunął dłoń w spodnie mojej piżamy, przesunęłam się w górę, by wyjść na spotkanie jego palców. Bez słów w zgodnym rytmie zdjeliśmy spodnie. Oniemiałam na widok czytelnej oznaki jego miłości do mnie. Po chwili napłynęły inne uczucia, równie przyjemne,

równie intensywne. Poruszaliśmy się jak we śnie, choć wszystko działo się na jawie.

W łóżku byliśmy wolni od otępiających duszę norm plantacyjnego świata. Nie dotyczyła nas żadna z reguł obowiązujących za dnia, chociaż nasze połączenie stało się intensywniejsze i pełniejsze właśnie dlatego, że pędziliśmy życie poddani stałym ograniczeniom. Instynktownie robiliśmy wszystko, co w naszym odczuciu było dobre, cudowne, ekstatyczne. Głaskanie, masowanie, szczypanie, lizanie, łaskotanie wrażliwych miejsc delikatnymi dmuchnięciami - wszystko prócz samego aktu, na który nie byliśmy jeszcze gotowi nawet w naszym onirycznym stanie.

W końcu odwróciłam się twarzą do brata. Był przystojniejszy niż kiedykolwiek - był najprzystojniejszym chłopcem, jakiego w życiu widziałam - i serce przepełniła mi radość, że to mnie obdarzył miłością, że to mnie wybrał, aby badać i zdobyć.

Leżeliśmy objęci do wschodu słońca. Mimo braku snu czułam ożywienie. Miłość dodała mi sił.

Podczas wciągania flagi na maszt zachowywaliśmy się powściągliwie i jak zawsze śpiewaliśmy hymny naszych szkół, ze względu na tatę. Teraz jednak poranna ceremonia wydawała się dziecinną pantomimą, o wiele większą błagą niż dotąd. Dopiero teraz zauważyłam, jak śmiesznie wyglądam w za małym fartuszk. Mimo podłużenia sięgał mi przed kolana i ciasno opinał moją klatkę piersiową. Po zabezpieczeniu flagi posłałam Li ukradkowy uśmiech. Miałam nadzieję, że tata tego nie widział. Na szczęście niczego nie zauważył. Li odwzajemnił mój uśmiech. Kiedy poszłam się przebrać, wszedł za mną do pokoju. Bez oporów rozebrałam się przed nim i znów spleliśmy się w uścisku, jakby dziesięć minut dzielących nas od rozpoczęcia kolejnego dnia pracy było ostatnimi dziesięcioma minutami naszego życia.

Przychodził do mnie przez trzy kolejne noce. Za każdym razem posuwaliśmy się coraz dalej aż do punktu, z którego nie było już odwrotu.

- Dłużej nie dam rady się powstrzymać - wydyszał Li między pocałunkami. Wsunął się na mnie. Oboje zdawaliśmy sobie sprawę z powagi sytuacji. - Nie, nie ruszaj się. - Przytrzymał mi ręce. - Nie możemy tego ciągnąć. Doprowadzasz mnie do szaleństwa. Czuję, że zaraz eksploduję.

- To eksploduj.

- Ale chcę być w tobie... Ty tego nie chcesz? Chcę, ale...

- Ale co?

- To niewłaściwe. - Miałam na myśli moralność. Wiedziałam, że fizycznie będę czuła rozkosz.

- Reagujesz na mój dotyk. - Przesunął wargi po mojej piersi i językiem zatoczył kółko wokół brodawki. Jęknęłam. - Jesteśmy sobie przeznaczeni. Jesteśmy dwiema połówkami. Wiesz o tym. - Powędrował językiem w stronę brzucha, muskał go wargami, potem zszedł niżej, aż zanurzył usta między moimi udami. Jęknęłam głośniej i przestraszyłam się, że tata nas usłyszy. Li całował mnie, aż zapamiętałam się w rozkoszy. Przerwał, gdy drżąc, wygięłam się w łuk. Wtedy już wiedział, że cała należę do niego. - Kocham cię. Obiecuję, że nie zrobię ci krzywdy.

Przesunął się do góry i znów na mnie leżał. Tym razem kolanami rozchylił mi uda. Szorstkość tego gestu mnie oszołomiła. -Nie!

Od tego momentu wszystko potoczyło się w zawrotnym tempie, było jak powrót na ziemię po opiumowym urojeniu. Próbowałam odepchnąć Li, ale był za silny. Próbowałam wymierzyć mu policzek, ale ukrył twarz w zagłębieniu mojej szyi. Próbowałam kopać go po nogach, bez skutku. Chwytając się ostatniej deski ratunku, oswobodziłam ręce i wbiłam paznokcie w część ciała Li, którą jeszcze kilka chwil temu całowałam.

Syknął jak zranione zwierzę i wyskoczył z łóżka, o mało nie zrywając moskitiery.

- Oszukałaś mnie! - Zamierzył się na mnie, ale znieruchomiał, przypominając sobie daną mi obietnicę. Gotując się ze złości, bez słowa patrzył na mnie groźnie, aż w końcu porwał z ziemi spodnie od pizamy i wyszedł chwiejnym krokiem. Po chwili trzasnęły drzwi jego pokoju.

Leżałam w łóżku wstrząsana łkaniem. Czy dobrze postąpiłam? Bliski kontakt z jego ciałem wydawał mi się czymś naturalnym. Poza tym nie mogłam wyprzeć się własnego pragnienia. Chciałam doświadczyć tego aktu, byłam na to gotowa. Moje ciało było nawet więcej niż gotowe. Czułam jednak, że pierwszym kochankiem nie powinien być mój... Z drugiej strony różniliśmy się od innych braci i sióstr. Byliśmy dwiema połówkami, niekompletnymi w pojedynkę i tylko razem stanowiącymi całość.

Rano obudziłam się osłabiona. Nieukojoana. Niekochana.

Pierwszy raz od trzech lat nie mogłam wykrzesać z siebie energii do ceremonii flagi, dlatego postanowiłam w ogóle zarzucić tę praktykę. Kiedy poszłam po rower, okazało się, że Li już pojechał.

Zobaczyłam go dopiero przy kolacji. Z pochmurną miną, wyrażającą urażoną dumę i nienawiść do samego siebie, dłużył w curry z warzyw, które

zwykle pochłaniał z apetytem. Tata wydawał się nie dostrzegać żadnej różnicy - bezczelność wtedy była bezczelnością, gdy uderzała w niego - za to ja zauważałam najdrobniejsze zmiany. Pod stołem dotknęłam stopy Li swoją stopą. Nie odsunął jej, ale też nie zareagował.

Tej nocy długo rozmyślałam. Czy oboje dotarliśmy do punktu, z którego nie ma odwrotu? Czy naprawdę go oszukałam, jak mi zarzucił? Sprowokowałam? Rozpamiętując te chwile, musiałam przyznać, że często to moje ręce eksplorowały jego ciało, moje jęki go ośmielały. Z drugiej strony przecież zaczęliśmy jednomyślnie, prawda?

Wyczerpana obawą i niepewnością w końcu zasnęłam.

Jakiś czas później ocknęłam się, poczuwszy w łóżku czyjś ciężar. Od kiedy tam był? Towarzyszył mu wyraźny zapach mokrej ziemi.

-Li?

Odpowiedziała mi cisza. Półsenna próbowałam odwrócić się do niego, ale zostałam wciśnięta twarzą w poduszkę z nieznaną mi brutalnością.

- Li, przestań! - Mimo niewygodnej pozycji kopnęłam z całej siły piętą, ale trafiłam w próżnię. Nie mogłam ruszyć głową. To nie mógł być mój brat. Ktoś przytrzymał mi kark i ręce. Chciałam sięgnąć po nóż, ale tylko bezradnie przebierałam palcami. Byłam unieruchomiona.

Czyjeś ręce zdarły mi spodnie od pizamy. Próbowałam krzyczeć, ale inna ręka - zimna i pachnąca świeżą ziemią - zatkała mi usta. Napastnik pozostawał niewidoczny, ale jego ruchy konkretyzowały się z każdą sekundą. Zdecydowanym ruchem rozerwał spodnie oplątane wokół kostek. Rozsunął mi nogi i jeszcze mocniej przycisnął do poduszki, aż zabrakło mi powietrza. Dziecinna wiara podpowiadała mi, że nawet w tym położeniu sobie poradzę, odeprę atak, wykorzystując swoją wściekłość, spryt i siłę woli. Byłam przecież inna. Wyjątkowa.

Czułam na sobie jego ciężar. Próbowałam wierzgać i zrzucić go z siebie.

Na próżno. Zostałam przygnieciona, czułam się jak pogrzebana żywcem. Płuca bolały mnie z braku powietrza. Paliły, gdy usiłowałam zaczerpnąć choćby haust. W końcu uznałam, że walka nie ma sensu. Jeśli dam za wygraną, będzie mniej bolało. To już koniec.

Mój żaloszny koniec.

I nagle, rozpaczliwie łapiąc powietrze jak tonący, zorientowałam się, że diabeł poluzował uścisk i zniknął. Zostawił mnie nagą, roztrzęsioną, płaczącą, lecz nietkniętą.

Doprowadzając mnie na skraj śmierci i darowując mi życie, bawił się swoją siłą i łaskawością, jakby chciał powiedzieć: „Nie potrzebuję twojej zgody. Mogę cię mieć, kiedy chcę”.

Po moim lewym udzie pociekła czerwona stróżka. Comiesięczny gość zjawiał się kilka dni przed terminem.

Przy śniadaniu Li ukradkiem posłał mi serdeczny uśmiech. Wstałam od stołu, nie wzięwszy do ust ani kęsa.

- Co się z tobą dzieje? - zapytał tata z właściwą sobie szorstkością. -A tak przy okazji, to mam wam coś do powiedzenia.

Nie miałam ochoty go słuchać.

Li dogonił mnie przy rowerach. Jego widok i zapach przyprawiły mnie o dreszcze. Unikałam jego wzroku, nie mogłam spojrzeć mu w oczy.

Wyciągnął rękę. Cofnęłam swoją, zanim zdążył mnie zbrukać dotykiem.

- Zapomnijmy o wszystkim i znów bądźmy przyjaciółmi - powiedział.

- Przyjaciółmi? - Zawstydziałam się, że mój głos zabrzmiał tak słabo.

- Dla mnie to też bardzo trudne. - Był nieswój. Czyżby dręczyło go poczucie winy? A może wstyd? - Tyle że jesteśmy tu na siebie skazani. Powinniśmy chociaż spróbować żyć w zgodzie.

- Obiecałeś, że mnie nie skrzywdzisz.

- Obiecałem. I nie skrzywdziłem. Kłamca.

- Przez to, co mi zrobiłeś...

- Ja?! Co ja ci zrobiłem?

- ...nigdy nie będziemy przyjaciółmi.

- Zaczekaj! Nie czekałam.

- Zostaw mnie w spokoju.

Wskoczyłam na rower i odjechałam, byle dalej od Li. Krążyłam bez celu wokół Krwawego Wzgórza, opóźniając spotkanie z pracownikami. Nie mogłam stanąć przed nimi roztrzęsiona, na dodatek blada i wyczerpana po nocnym krwawieniu. W mojej pracy autorytet był niezbędny. To wszystko, co miałam. Nie mogłam pozwolić, by drwili ze mnie jak z taty. Siniak na moim policzku już wywołał chichot dziewcząt. Udawałam, że tego nie słyszę, choć oczywiście słyszałam, i bardzo mnie to bolało.

Okrążając Krwawe Wzgórze po raz trzeci, zauważyłam leniuchującą Dojarkę. Siedziała zamyślona na szczycie i nuciła coś pod nosem. Bezczelna. Pierwszy objaw nieposłuszeństwa. Połykając łzy, rzuciłam rower i ruszyłam na górę.

Kiedy podeszłam bliżej, zniknęła mi z oczu. Duch! Pierwszy, jakiego ujrzałam na Krwawym Wzgórzu.

Na plantację dojechałam spóźniona co najmniej pół godziny i nadal roztrzęsiona. Moje Dojarki jednak nie próżnowały, wszystko toczyło się zwykłym rytmem. Nikt mi się nie przyglądał, nikt nie chichotał. Dyskretnie zerknęłam przez ramię. Chciałam się upewnić, czy ktoś szepce za moimi plecami. Nikt nie szeptał. Dziewczęta ledwie zauważyły moją obecność. Nie dość, że nie żartowały, to jeszcze pracowały gorliwiej niż zwykle. Znalazłam tylko jedno wytłumaczenie ich nadzwyczajnej gorliwości: mój punktualny i sprawnie działający sobowtór już tu był i krążył po plantacji przede mną, czyniąc ze mnie cień samej siebie.

Cały poranek był osobliwy. Miałam wrażenie, że wkroczyłam do świata, w którym w ogóle nie istnieję albo już umarłam. Przy najdelikatniejszym podmuchu wiatru ciarki przebiegały mi po plecach. Na moim policzku usiadła czarna ćma i nie chciała odlecieć. Oczy wyłapywały same osobliwości: liść stał się owadem, chmura ułożyła się w dwa idealne płatki ucha, trawy szumiały. Wszędzie czaiły się tajemnice.

Nagle wrócił do mnie obraz leśnej szopy stojącej w zaskakującym miejscu. Właśnie ona była największą osobliwością. Intuicja podpowiadała mi, że tam znajdę wyjaśnienie.

Pojechałam rowerem na wschodni kraniec mojej części plantacji. Szopa stała w tym samym miejscu, w którym ją widziałam - dzięki Bogu - i jak poprzednio w ogóle nie pasowała do otoczenia. Mimo to czułam w niej coś swojskiego, coś znajomego. Pochyły dach, czarne ściany, jedno wejście, olbrzymia zardzewiała kłódka.

I łokieć. Ludzki łokieć wystający z za węgła.

Podjechała najbliżej. Usłyszałam charakterystyczne odgłosy czyjegoś nieposłuszeństwa: pomruki, cichy śmiech, szelest mokrej trawy pod stopami. Zsiadłam z roweru i na palcach podkradłam się bliżej, by zaskoczyć niesubordynowane Dojarki. Przywołałam na twarz najsurowszą minę, na jaką umiałam się zdobyć, i wyjrzałam z za rogu.

Zobaczyłam Li i... siebie.

A raczej swoją inkarnację w szkolnym fartuszku od Świętej Anny, ze spływającymi na ramiona czarnymi włosami, opartą plecami o ścianę chaty, z twarzą wtuloną w szyję Li i splecioną z nim w uścisku. Li podciągnął jej fartuszek - moja inkarnacja nie miała na sobie bielizny! - a ona zadarła wysoko śniadą nogę i objęła nią jego blade pośladki. Li miał spuszczone spodnie, leżały splątane wokół jego kostek. Wniknął w nią, a ona jęczała. Odruchowo zakryłam usta. Li znowu pchnął. Stęknęła lubieżnie, w ogóle się nie krępując. Kiedy odwróciła głowę w ekstazie, rozpoznałam swojego sobowtóra.

To była Zana, jedna z Malajskich Dojarek z mojej części plantacji. Zwykle upinała włosy ciasno przy głowie. Miała chyba ze dwadzieścia lat. Nigdy jej nie lubiłam. Teraz się przekonałam, że nie bez powodu.

Obserwowałam ich dłużej niż powinnam. Potem wycofałam się na palcach i zdruzgotana popedałowałam ku ocienionej kępie wysokich traw. Tam zeskoczyłam z roweru i przycupnęłam w trawie. Czekałam, aż ustanie pulsowanie krwi w skroniach. Przysiadły na mnie czarne ćmy. Nawet się nie poruszyłam, by je odgonić. Przyleciało ich więcej. W końcu wylądowała mi na przedramieniu brązowo-biała olbrzymka o trójkątnych skrzydłach żyłkowanych jak batikowe latawce. Nie przyniosły mi pocieszenia. Chciałam uwolnić się od Zany, szukałam w myślach każdego słowa zaczynającego się na „z”, które nie byłoby jej imieniem: „zapał”, „zenit”, „zoologia”, „zero”...

Uklękałam. Owady oblażyły mi ręce. Do ciem dołączyły muchy, pająki, chrząszcze; wszystkie uzurpowały sobie prawo do kawałka mojego ciała.

To nie widok Li i tej dziewczyny tak mnie poruszył. Chodziło raczej o zapach, jaki razem wydzielali. Pachnieli zdechłymi krewetkami i piżmem.

Zgniotłam w dłoni chrząszcza i patrzyłam, jak spomiędzy palców wycieka czarny nektar. Jedno odnóże drgnęło raz, drugi i znieruchomiało. Przyłożyłam dłoń do nosa i głęboko wciągnęłam zapach mazi w poszukiwaniu czegoś - czegokolwiek - co zdławiłoby woń mojego brata bliźniaka z moją bliźniaczką.

## DŻUNGLA

Błąkałam się po plantacji w zapadającym zmierzchu, raz po raz upadając na ziemię.

Ręce, kolana, golenie miałam posiniaczone i obolałe. Chciałam tych siniaków i tego bólu. Chwytałam się wysokich ostrych traw, przeciągałam dłońmi po każdym źdźble, które kaleczyło ich wnętrze. Chciałam tych skaleczeń, sprawiały mi przyjemność.

Dotarłam nad zarośnięty staw i zanurzyłam się w mule po pas. Na drugi brzeg wyszłam z czarnymi pijawkami przyssanymi do nóg. Patrzyłam, jak pęcznieją od mojej krwi, dopiero potem je oderwałam. Zostawiły na łydkach ślady jak krwawe stygmaty.

Mówiłam sobie, że opłakuję swój wstyd krwią. Jak mogłam nie wiedzieć, że bliskość jest wielką oszustką i że to samotność pchnęła mnie w ramiona brata? Kierowała mną wygoda, nie miłość. Przyniosła mi jedynie urojoną pociechę, zimną i beznamiętną niczym duch.

Zdjęłam mokre ubranie i ukryłam je pod głazem. Szłam wytrwale przed siebie, aż minęłam najdalszy zakątek naszej plantacji i zanurzyłam się w dziewiczej dżungli. Trawy łaskotały mi policzki, wilgotne powietrze drgało od odgłosów życia. Komary wielkości os piły moją krew, znacząc skórę czerwonymi bąblami. Nie drapałam się. Zamiast uciec, zanurzałam się coraz głębiej w tropikalny las. Po jakimś czasie komary zniknęły. Ustało też swędzenie. Wytrwale parłam przed siebie. Pytony i kobry odpełzały, gdy się zbliżałam. Migwały mi przed oczami uciekające przede mną zwierzęta: tapiry, niewielkie kanczyle, tygrysy.

Uwolniłam się od strachu. Uwolniłam się od bólu. Uwolniłam się od wszelkich uczuć. Byłam częstką dżungli, zespoliłam się z jej rykiem i wyciem, ukąszeniami, jadem i nieskalanym mrokiem.

Moją drogę znaczyły ślady krwi w trawie.

Spowijały mnie zapachy paproci, ziemi i orchidei, tworzące najbardziej wysublimowane perfumy. Znalazłam cień tam, gdzie szukałam cienia, i spokój tam, gdzie szukałam spokoju. W tej pierwotnej jaskini mogłam się ukryć Przed całym światem. Nigdy by mnie nie odnaleźli. I nie musiałam dłużej Przejmować się Li.

Zostałam tam dwa dni i dwie noce. Pościłam, czołgałam się, spałam. O każdej porze dnia i nocy przepełniał mnie spokój.



Trzeciego ranka obudził mnie chłodny podmuch. Doznałam objawienia. Ten, kto zaatakował mnie tamtej nocy w pokoju, nie był ani człowiekiem, ani duchem, lecz kimś pomiędzy. Kto miał tyle siły i na dodatek był zdolny jej nadużyć? Ojciec Miny. Sposób, w jaki łytał na mnie przy barakach, zdradzał wszystko. To mógł być tylko on.

Byłam już gotowa wrócić do świata i się zemścić.

W drodze powrotnej czołgałam się, a dżungla żyła we mnie, w każdym zakamarku ciała. Odnalazłam skałę, pod którą wetknęłam ubrania, ale nawet ich nie dotknęłam. Należały do dawnej Ling.

Zbliżając się do wschodniego krańca mojej części plantacji, zauważyłam - o ironio - Zanę. Zamiast zbierać sok, ladacznica próżnowała, przechadzając się wolnym krokiem i nucąc sumatrzańską pieśń miłosną. Kołysała w ramionach pustą puszkę, jakby trzymała w objęciach dziecko. Dziwka!

Podniosłam się z ziemi i syknęłam na nią. Rozejrzała się, ale mnie nie dostrzegła. Syknęłam znowu, tym razem głośniejsze. Powiodła spojrzeniem w stronę, z której dobiegł syk, i zamarła. Wypuściła z rąk puszkę, która upadła na ziemię z głuchym łoskotem. Naga, pokryta mułem i poraniona, musiałam wyglądać naprawdę przerażająco. Poczulałam złośliwą satysfakcję. Wyskoczyłam z zarośli i rzuciłam się w jej stronę. Dygotała, ale nie ruszyła się z miejsca. Im byłam bliżej, tym bardziej się trzęsła.

Kiedy nasze twarze dzieliło tylko kilka centymetrów, wyszczerzyłam zęby i warknęłam. Mój cuchnący oddech podziałał piorunująco. Wzdrygnęła się, ale była zbyt przerażona, żeby uciec. Patrząc jej prosto w oczy, wyciągnęłam przed siebie ręce i wysmarowałam błotem jej przerażoną twarz.

Odczekałam, aż odejdzie chwiejnym krokiem, łkając jak dziecko, a potem wydałam dziki triumfalny okrzyk.

Na podjeździe stał nieznany mi czarny samochód. Czyżby tata wysłał ludzi na poszukiwania? Wątpliwe. Dom sprawiał wrażenie spokojnego, nie zmienił się ani trochę od chwili mojego zniknięcia. Wszłam do środka tylnym wejściem i wślizgnęłam się do łazienki.

Dokładnie obejrzałam w lustrze swoje nagie odbicie - wszystkie skaleczenia, ślady po ukąszeniach i sińce. Wyglądałam jak ofiara wzburzonego tłumu. Chociaż ukąszenia komarów znaczyły całe ręce i nogi, o wiele gorsze były ugryzienia pajaków: swędzące purpurowe bąble na plecach i pod piersiami. Włosy łonowe pokrywało zaschnięte błoto. Kiedy usunęłam jeden z mniejszych kawałków, z donośnym bzyczeniem wzbil się w powietrze uwolniony z pułapki pomarańczowy chrząszcz. Niektóre ślady po pijawkach

zasklepiły się i zamieniły w strupy, z innych sączyła się ropa zmieszana w krwią.

Ledwie się poznałam. Miałam tłuste splątane włosy, język pokryty zielonkawym nalotem. Mimo to z mojej twarzy emanowało ożywienie. Podbródek wyrażał zdecydowanie, oczy błyszczały i zyskały głębię.

Najpierw chciałam doprowadzić do porządku ciało. Potem dokonać zemsty.

Długo moczyłam się w wannie. Po kąpieli włożyłam koszulę z długimi rękawami i długie spodnie, by zakryć rany. Rozczesałam włosy i zrobiłam przedziałek po lewej stronie, z którym wyglądałam o wiele lepiej. Żałowałam, że nie mam szminki, więc przygryzłam wargi kilka razy, żeby nadać im intensywniejszy kolor.

Z salonu dobiegały głosy. Już z holu zobaczyłam, że tata zabawia rozmową jakiegoś pękatego Europejczyka, pocącego się obficie w płóciennym garniturze. Chciał zrobić na nim wrażenie, ponieważ wyjął chińską porcelanę i nastawił płytę z muzyką Wagnera. Na mnie nieznajomy nie zrobił wrażenia. Kiedy weszłam, siedział rozparty jak pasza i nie wstał na powitanie.

- O, Ling, jesteś - zwrócił się do mnie tata po angielsku z przesadną serdecznością. Uśmiechał się, chociaż wzrokiem karcił mnie, że zniknęłam. - Nie było cię, więc nie mogłem cię powiadomić. Panicz Robby jest naszym gościem. Przybył wczoraj wieczorem.

Panicz Robby? Ten człowiek nie mógł być paniczem. Miał grubo ponad trzydzieści lat. Żaden młodzieniec nie ma takich kurzych łapek ani takiego kalafiorowatego nosa.

- Nazywam się Robin Melmoth, ale zwracaj się do mnie Robby.

Nasza plantacja nazywała się Melmoth. Czyżbym miała przed sobą jej właściciela? Jeśli tak, to dlaczego udaje o wiele młodszego, zachowując się jak przyjazny uczeń?

- Jesteś ranna? - zapytał. Zaskoczył mnie tym pytaniem. Wskazał mankiety spodni, spod których wyzierało kilka krwawych ran. - Widzę, że lubisz ostrą grę. - Otaksował mnie od stóp do głów, oceniając moje kształty i skrywając lubieżne myśli za fałszywie niewinnym uśmiechem.

Zmierzyłam go chłodnym spojrzeniem, nie pozostawiającym wątpliwości co do mojego zdania na jego temat. Tata odchrząknął.

- Ona zwykle nie jest taka cicha. - Potem mruknął do mnie w dialekcie szanghajskim: - Odezwij się, dziewczyno. Jego ojciec jest właścicielem majątku. Przez ciebie pomyśli, że zatrudnili przygłupią niemowę. Chcesz tego?

- Gdzie Li? - zapytałam po angielsku. Odpowiedział w tym samym języku:

- Twojego brata oczywiście nie ma w domu. Pracuje na plantacji. Bardzo ciężko pracuje.

Smutne, jak uparcie tata próbował olśnić tę pokraczną kluchę. Jeszcze smutniejsze było to, że nie miał wyboru, bo jego rodzina płaciła naszej rodzinie.

- Twój ojciec dużo opowiedział mi o tobie i twoim bracie. Wstrzymałam oddech.

- Panicz Robby ostatni raz był w tym domu, kiedy mały - wyjaśnił tata.

- Zgadza się. Spędziłem w tym domu najwcześniejsze lata. Twój pokój był moim pokojem. Zapewne spaliśmy w tym samym łóżku. - Puścił do mnie oko. - To były dobre czasy. Beztrudne życie. Nieco dalej przy tej samej drodze mieszkali MacDougalsowie. Ale tęsknili za Tongue czy jakąś inną koszmarną wioską w Szkocji i ojciec odkupił od nich ziemię za psie pieniądze. Dlatego posiadłość wygląda jak sklejoną z dwóch części. To ironia losu, że po odkupieniu ziemi od MacDougalsów zostaliśmy tu jedynymi ludźmi - prócz tubylców - i po jakimś czasie moi rodzice nie mogli znieść tej izolacji. Wróciliśmy do miasta, kiedy miałem dziewięć lat. Mamie brakowało sklepów, ojcu barów. Jeśli o mnie chodzi, to szczerze mówiąc, nigdy nie przeszkadzało mi życie tutaj. Teraz oczywiście jest inaczej. Minuta na dworze i obsiadają mnie moskity. Całe roje. Potrafią wyczuć krew obcego.

- Panicz Robby wyjeżdża w przyszłym tygodniu na studia do Oksfordu - wtrącił tata dumnie, jakby część splendoru miała spłynąć na nas. Po tej informacji „panicz Robby” pokraśniał i spojrzał na swoje pulchne dłonie. Czyżby wstydził się tego, że jest najstarszym studentem w historii tej szacownej uczelni?

- Rzeczywiście, w końcu wybieram się „do domu” - powiedział. Wyczułam ten cudzysłów. Nie musiałam być Sherlockiem Holmesem, by wiedzieć, że nie mówi nam całej prawdy.

- Mój ojciec zasugerował, że bym przyjechał tu z ostatnią wizytą. To jeden z jego nielicznych dobrych pomysłów w ostatniej dekadzie. Pomyślałam: czemu nie? Wyspa tak szybko się zmienia. Następnym razem być może zobaczę tu sklepy i hotele. - Uśmiechnął się. - Muszę przyznać, że we troje trzymacie tu wszystko silną ręką.

Troje?! O mało się nie zakrztusiłam. Tata od lat nie kiwnął palcem.

- Powiedziałem paniczowi Robby emu, że może zająć swój stary pokój. Ty pójdziesz do Li.

Tata miał talent do domagania się tego, czego nie chciałam dać. Wiedziałam, że w ten sposób karze mnie za zniknięcie i za to, że byłam świadkiem jego poniżenia przed ojcem Miny.

- Będę spała na kanapie - zaproponowałam.

- Nie, pójdziesz do brata. Bez dyskusji.

Robin Melmoth wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć, lecz siedzący w nim kłamca wydał wargi i małymi łyżkami popijał herbatę, odginając mały palec.

W tej samej chwili do domu wparował Li. Poczerwieniały od słońca, sięgnął po menażkę z wodą. Ujrzawszy panicza Robbyego, skrzywił się z niesmakiem. Najwyraźniej już się spotkali. O wiele bardziej zdziwiła mnie mina, jaką zrobił na mój widok. Wydawał się wstrząśnięty. Przez ułamek sekundy widziałam na jego twarzy ulgę, która ustąpiła miejsca przerażeniu.

Wyszedł bez słowa.

Nasz dziwny gość nie przybył z pustymi rękami. Kiedy spotkaliśmy się w porze kolacji, wyjął z samochodu skrzynkę artykułów spożywczych, co odebrałam jako przytyk do skromnej potrawy z kurczaka w moim wydaniu. Podejrzywałam jednak, że przywiózł je z myślą o sobie i nie miał zamiaru dawać ich w prezencie: dzin Beefeater, porto, keks nasączony brandy, dziesięć puszek melasy i słój ekstraktu z warzyw i drożdży. Nie znałam tych produktów - z wyjątkiem dzinu - ale posłusznie zaniósłam je do kuchni.

Zdumiewające, jak jedna nowa osoba może odmienić atmosferę w domu. Tata się odprężył podgrywał rolę dobrze wychowanego gospodarza. Przybycie Melmotha stało się dla niego wentylem bezpieczeństwa, dzięki któremu uszło napięcie narastające między naszą trójką. Li chodził z posępną miną. Uważał Melmotha za szpiega nasłanego przez kauczukowych bossów. Dla mnie Melmoth był zwiastunem czegoś strasznego, chociaż on sam wydawał się nieszkodliwym grubasem. Wyczuwałam oszustwo i czające się za nim niebezpieczeństwo. Na czym polegała jego gra?

Nie mieliśmy wyjścia, trzeba było czekać na rozwój wydarzeń.

Po kolacji znalazłam w szafie mój fartuszek. Świeżo wyprany i jeszcze ciepły po prasowaniu. Może Zana naprawdę najadła się strachu po spotkaniu ze mną? Przypuszczalnie wykonała jednak polecenie Li, gdy zabawa już się dla niego skończyła. Służąca pozostała służącą bez względu na wszystko. Li me wspomniał o tym, a ja go nie pytałam.

Zamieniliśmy zaledwie kilka słów.

- Ten Robby mnie przeraża - powiedziałam.
- Mnie też. Gapi się na ciebie, jakbyś była czymś do jedzenia.
- Bo jest świnią.

Zgodnie z moimi przewidywaniami, wieczorem napięcie między nami wzrosło. Spanie na podłodze w pokoju Li nie wchodziło w rachubę ze względu na owady i robactwo. Ułożyłam więc na łóżku mur z poduszek, uniemożliwiający jakąkolwiek intymność, aczkolwiek Li o nic nie prosił, bo przecież miał swoją uległą Dojarkę.

Na nocnym stoliku leżał stary, okrągły, mleczny cukierek. Złoty papierek był już lekko zmatowiały. Zaskoczyło mnie, że Li ciągle go ma. Cóż za wiara - tylko w co?

Li odezwał się dopiero, gdy pokój tonął w ciemnościach. W jego słowach pobrzmiwał oficjalny ton zawczasu przygotowanej przemowy.

- Kiedy zniknęłaś, najpierw poczułem się strasznie. Zupełnie jakbym to ja cię wypędził.

- Dlaczego mnie nie szukałeś?

- Szukałem. - Przełknął głośno ślinę. - Mam nadzieję, że mnie nie nienawidzisz za to, co teraz powiem, ale po jakimś czasie... po jakimś czasie poczułem się wolny. Niemal zapragnąłem, żebyś nie wróciła.

Nienawidziłam go za to wyznanie. Z drugiej strony dobrze go rozumiałam. W dżungli też czułam się uwolniona: od niego, od taty, od wszelkiej odpowiedzialności, a przede wszystkim od poczucia winy.

- Gniewasz się na mnie?

- Szczerze mówiąc, żałuję, że wróciłam.

Moje słowa zawisły złowrogo w powietrzu. Nie wiedziałam, czy Li poczuł się dotknięty, czy po prostu szykuje boleśniejszy cios.

- Wyglądasz... inaczej - odezwał się w końcu. Okryłam się szczelniej pledem.

- Wyładniałaś. Nie czuję jednak... - urwał, szukając odpowiednich słów - chodzi mi o to, że czuję... sam nie wiem... to dziwne, ale... strach.

Nazajutrz rano chciałam zostać sama. Leżeć w łóżku i leczyć rany. Niestety, było to pobożne życzenie. Czekala mnie praca: nadzór nad pracownikami, dopilnowanie dziennej normy.

Odkąd Li przyznał, że chciał mojego zniknięcia, postanowiłam zaznaczyć swoją obecność w dwójnasób, w trójnasób, przekraczając dzienną normę i odrabiając straty powstałe pod moją nieobecność. Zamierzałam wycisnąć z dziewcząt siódme poty.

Pojechałam na plantację, gdzie przywitała mnie dziwna cisza. Brakowało co najmniej jednej trzeciej moich Dojarek. Te, które przyszły, zbiły się w niepokojną gromadkę i były bardzo czymś przejęte. Musiałam krzykiem przywołać je do porządku. Na mój widok jedna z nich, siwowłosa Tamilka, która powinna dać młodszym dobry przykład, uciekła, zawodząc w niebogłosy.

- Wracaj, starucho! - wrzasnęłam, zaskakując samą siebie gwałtownością i napastliwością. Mój głos brzmiał o wiele mocniej niż kilka dni temu.

Żadna z moich gróźb nie była w stanie jej zatrzymać. Dziewczęta popatrzyły na mnie jak na barbarzyńskiego poganiacza. Zaraz potem dwie Dojar-ki potknęły się i upuściły na ziemię dwa pojemniki pełne mleczka.

- Co się z wami dzieje? - warknęłam. Żadna nie odezwała się słowem, jakby wiązała je siostrzana zmowa milczenia. Za to świerszcze urządziły ogłuszający koncert. - Skoro wszystko w porządku, bierzcie się do roboty!

Odciągnęłam na stronę Rani, tamilską dziewczynę, której ufałam. Jej chęć wprawiania się w angielskim zwykle czyniła z niej dobry kanał przekąźnikowy dla plotek, ale dzisiaj nawet ona sprawiała wrażenie udręczonej.

- Co się stało?

- Nic, panienko - odparła ze wzrokiem wbitym w ziemię.

Złapałam ją za chudy nadgarstek, by wiedziała, że nie żartuję. Powtórzyłam pytanie. Jej opór osłabł.

- Zana mówi, że widziała pontianak, panienko. Wczoraj wyszła z dżungli. O to chodziło! Mój mały psikus wywołał zbiorową histerię.

- Ale pontianak chyba nie zrobił jej krzywdy, prawda? - zapytałam. Rani z ociąganiem pokręciła głową, jakby ukrywała znacznie więcej, niż powiedziała. Wykręciłam jej rękę, aż krzyknęła.

- No, mów - ponagliłam.

- Panienko, panienska zna dziewczynę, która urodziła dziecko?

- Chodzi ci o Minę?

Rani skinęła bojaźliwie głową.

- Umarła zeszłej nocy.

Jęknęłam. Ojciec Miny na pewno będzie szukał winnego jej śmierci.

- Bardzo cierpiała, panienko. Straciła mnóstwo krwi. Teraz wszyscy się boją, że stała się pontianak.

- Co z dzieckiem? - Też umarło.

- Przecież słyszałam bębny. Myślałam, że z dzieckiem wszystko dobrze.

- Mówią, że ojciec Miny je zabił. Wtedy pontianak nie może zjeść dziecka.

- „Mówią, mówią” - powtórzyłam sarkastycznym tonem. - A co ty o tym myślisz, Rani? Gdzie jest ojciec dziecka?

- Panienko... - Rani rozejrzała się nerwowo. - Ojciec Miny jest bomoh. Używa magii do złych rzeczy. Panienko... Ojciec Miny i ojciec dziecka to jedna osoba.

Jej słowa potwierdziły moje najgorsze obawy i przyprawiły mnie o mdłości. Oczy Rani zaszkliły się od łez. Przypomniałam sobie Dorę Conceicao i puściłam jej nadgarstek.

- Panienko, proszę nie mówić, że to ja powiedziałam. Błagam... - Odsunęła się ode mnie, gotowa do ucieczki.

- Kiedy pogrzeb?

- Ojciec nie chce jej pochować. Ubrał ją w czerwoną sukienkę. Wie panienska, co oznacza czerwony kolor?

Wiedziałam. Zemstę. Ten stary chciał, żeby Mina wróciła i dokonała zniszczenia.

- Dzisiaj pełnia. Dlatego wszyscy się boją. ; Na resztę dnia dałam Dojarkom wolne. Nie stać nas było na przestój j

w pracy, nie miałam jednak wyboru. Musiałam naradzić się z Li, co dalej.

Przyjechawszy na jego część plantacji, zobaczyłam jeszcze większe pustki niż u mnie. Co gorsza, jego też nigdzie nie widziałam. Czyżby znów włóczył się z tą latawicą?

Ruszyłam w stronę przetworni. Pusto. Woda kapała z kranu do zardzewiałej miednicy. W porzuconych kadziach z mleczkiem kauczukowym zastygała wierzchnia warstwa, tworząc twardniejący kozuch. Mężczyźni zbiegli, została po nich tylko rattanowa piłka na stołku brygadzysty.

Popędziłam do domu z nadzieją, że tam zastanę Li. Taty oczywiście nie było. Był piątek, dzień jego cotygodniowych pielgrzymek taksówką do oddalonej o piętnaście kilometrów wioski Ulu Pandan. Jeździł rzekomo po zakupy, ale zawsze znalazł pretekst, by zabawić tam do północy.

W domu był tylko Robin Melmoth. Siedział w koszuli nocnej rozwalony na kanapie, sączył jakiś brązowawy trunek i z błyskiem tęsknoty w oku kartkował książeczkę *Malayfor Mems*.

- Rozwieś pranie - *jemurpakaian*. Wywietrz materace -*jemur tilam*. To jest brudne - *ini kotur*.

Cuchnął knajpą. Podeszwy jego stóp były czarne.

- Witaj, młoda damo - wybełkotał, kiedy w końcu zauważył moją obecność. Twarz miał poczerwieniałą od alkoholu, z odcisniętym na policzku wzorem poduszki. - Twój pokój pachnie kwiatami frangipani. Dziwny zapach.

- Widział pan mojego brata?

- Ciągłe go szukasz, co? To nie jest normalne, wiesz? Ale w takim miejscu człowiekowi bardzo doskwiera samotność - powiedział, upijając kolejny łyk i świdrując mnie wzrokiem. - Twój brat tu był. A potem dokądś pognął. Śmieszny chłopak.

- Jedna z pracownic, ta dziewczyna... umarła w nocy.

- *Memento moń.* - Wrócił do przeglądania rozmówek, jakby nie dotarło do niego znaczenie moich słów. - Wypoleruj kije golfowe - *gosok kilat kayu--main golf.* Trzyj mocno - *gosok kuat.* - Nagle złapał mnie za przegub. -Usiądź, dobrze? Przez ciebie głowa mi pęka.

Wyrwałam rękę.

- Co robić? - spytałam wbrew sobie. Brzydziło mnie, że muszę szukać rady u tego błazna, ale kiedyś tu mieszkał, mógł więc wiedzieć, jak postąpić.

- Co robić? - powtórzył. - To odwieczne pytanie. Być albo nie być. Teraz dotarło do mnie, że jest pijany. Czytanie rozmówek było farsą.

- No, siadaj wreszcie. Zastanówmy się nad tym razem. Zabawna jesteś, wiesz? Schyliłam się po opróżnioną do połowy butelkę porto wciśniętą między poduszki kanapy.

Bez najmniejszego ostrzeżenia Melmoth rzucił się na mnie.

Odskoczyłam błyskawicznie. Trafił ustami w moje ramię, zostawiając na rękawie bluzki ślad śliny. Wyglądał na zmieszanego, a nawet urażonego.

- To było niestosowne! - krzyknął, pocierając zaczerwieniony podbródek.

- Nie jedź pan do Oksfordu, prawda?

Moje słowa podziałały na niego jak zimny prysznic. Zarechotał szyderczo.

- No, proszę! - I taka bystra Chincezka marnuje się w dżungli. Dlaczego nie siedzisz w mieście razem z resztą łebskich żółtków? Trafiłaś w dziesiątkę! Nigdzie się nie wybieram. - Rzucił mi wyzywające spojrzenie. - Mój kochany tatuś chciał mnie wysłać do wojska. Ponoć to dobrze robi. Zaprotestowałem. Pewnie teraz ludzie mają mnie za dezertera, śmierdzącego tchórza. Powiedz sama: niby dlaczego miałbym siedzieć w okopie i odmrażać sobie Palce dla przeklętego króla? Nie może wymagać ode mnie lojalności. Jestem jednym z bękartów imperium, nie lepszym od czarnucha zgarbionego nad herbaciami liśćmi w Assamie, nie lepszym od ciebie.

Wyciągnął rękę po butelkę, ale wyrwałam mu szklanekę.

- Dziewczyna nie żyje, potworze! - wrzasnęłam.

- Tak, tak, słyszałem... - Zrobił poważną minę. - Oto moja propozycja... - Przewrócił oczami i opadł na poduszki. Po chwili rozległo się głośne chrapanie.



Zamknęłam dokładnie wszystkie okna na zasuwę i czekałam na Li. Nie przyszedł.

Siedziałam w dusznym domu ze śpiącym wielorybem. Miałam ochotę oddać go tubylcom w zamian za brata.

Po długich godzinach czuwania wyczułam woń płonących zarośli. Uchyliłam frontowe drzwi. Przez szparę ujrzałam pomarańczowe płomienie trawiące Krwawe Wzgórze, oświetlone dodatkowo purpurowym światłem zachodzącego słońca. Bananowce wykrzywiły się nienaturalnie jak palone żywcem kobiety.

Cholerni głupcy! Wyciągnęłam butelkę spod ręki Robina, wylałam z niej resztkę porto i obtłukłam denko na schodach. Z tym szczerzącym kły kwiatem w ręku wskoczyłam na rower i w zapadającym szybko zmierzchu popedałowałam co sił w stronę Krwawego Wzgórza.

W kłębach gęstego dymu ujrzałam jakąś postać podsycającą płomienie dwoma olbrzymimi pierzastymi liśćmi.

- Przestań! - Ruszyłam najbardziej stromym podejściem, wymachując butelkową bronią.

- To ja! To ja! - krzyknęła postać. To był Li, który heroicznie i głupio próbował ugasić ogień. - Moje drzewa... - łkał, słaniając się. - Ojciec Miny kazał im spalić moje drzewa! Przecież one nie zrobiły nic złego! Są niewinne!

Nie pamiętam, kiedy ostatnio widziałam płaczącego Li. Mój biedny brat, zaślepiony przywiązaniem do bananowców. Wachlowanie sprawiło, że płomienie strzelały jeszcze wyżej.

- Jedź do domu i pilnuj, bo mogą chcieć go spalić.

- Tam jest ten Robby! Niech on pilnuje!

- On? - Byłam zbyt wyczerpana, żeby wyjaśnić, jaka jest sytuacja. - Jadę szukać ojca Miny. A ty jedź do domu, proszę! I czekaj tam na mnie!

Obrzucił mnie uważnym spojrzeniem. Widziałam, jak wraca mu rozsądek.

- Dobrze.

W gęstniejących ciemnościach zjechaliśmy ze wzgórza. Na dole objął mnie na chwilę.

- Zabij go - wyszeptał.

Sponad ramienia Li dostrzegłam kolumny niewyraźnych postaci sunących przez plantację. Poruszały się dziwnie wolnym tempem, jakby zakłete przez despotycznego guru - ojca Miny. Było za ciemno, nie wiedziałam, czy patrzę na żywych, czy na umarłych, miałam jednak swoje przypuszczenia. Duchy nie przechadzają się grupami.

- Wprowadź rower do domu - powiedziałam do Li - i schowaj kluczyki od auta Robina. Niczego im nie dawaj.

Kiedy upewniłam się, że Li odjechał spod Krwawego Wzgórza, ruszyłam na północ.

Na niebie kłębiły się ciężkie deszczowe chmury, coraz ciasniej zbijały w gromady, wyglądały jak zaciskające się szare pięści. Minęłam kolejnych pracowników plantacji. Większość niosła tobołki. Na mój widok odwrócili wzrok, a ja nawet nie zwolniłam, by spytać, co się dzieje. Dokąd zmierzali w ciemnościach? Do najbliższej wioski było piętnaście kilometrów, najbliższa główna droga biegła jeszcze kilka kilometrów dalej, a po drodze na wędrowca czyhały pytony, jadowite kraity i kobry, które, gdy się wyprostowały, miały wzrost dorosłego człowieka.

Zanim dotarłam do baraków, minęła cała wieczność. Wszystkie wyglądały na opustoszałe. W środku i na zewnątrz nie paliła się ani jedna lampa. Wokół panowała martwa cisza. Milczały nawet świerszcze.

Otwarte drzwi zapraszały do środka. Stałam w progu środkowego baraku, w którym mieszkała Mina.

- Szukam ojca Miny! - Mój głos odbił się echem od ścian.

Zamachałam rozbitą butelką. Na jej wyszczerbione ścianki padła księżycowa poświata. Roztańczone świetlne punkciki rozjaśniły nieco wnętrze baraku. Potrzebowałam więcej światła. Przy drzwiach znalazłam pudełko zapalek i zapaliłam starą lampę naftową.

W barakach nie było pokoiów dziennych, tylko nieduże wspólne pomieszczenie z jednym długim stołem i ławkami z surowych desek. Z jedną z tych jadalni połączona była zewnętrzna kuchnia z trzema ceglanyimi piecami z rusztem i kranem nad otwartą rurą ściekową. W powietrzu unosił się zapach kawy i grogu, motorów napędzających ludzi na plantacji. Pierwszy zwiększał ich obroty, drugi wyhamowywał. Koniec wspólnego pomieszczenia przechodził w korytarz prowadzący do dwóch długich sypialni: jedna służyła mężczyznom, druga kobietom i dzieciom.

Sypialnia mężczyzn cuchnęła niemytymi ciałami biedaków, którzy teraz brnęli przez dżunglę. Twarde, wąskie, trzypiętrowe prycze przypominały koje na okręcie wojennym. Było ich osiemnaście.

Sypialnia kobiet śmierdziała jeszcze bardziej. Czułam mdłości, stojąc przed zamkniętymi drzwiami. Nawet gdy wstrzymywałam oddech, czułam odór gnijącego mięsa. Ostatnio doświadczyłam czegoś podobnego nad rzeką Ulu Pandan, gdzie leżało truchło czworonożnego stworzenia tak wyjedzone przez robaki, że nie mogłam rozpoznać, czy za życia było krową, mułem czy koniem.

Otworzyłam drzwi. Wytężając wzrok, dostrzegłam zarys okien osłoniętych płachtami płótna przybitymi do ramy. Na podłodze stały w długim rzędzie płonące świece. Kapał z nich czerwony воск, tworząc plamy przypominające kałuże zakrzepłej krwi. Zablokowałam drzwi cegłą i weszłam do środka. Takie same brudne prycze i ich regularne cienie, jak w sypialni mężczyzn.

Nagle poczułam swędzenie. Muchy. Mnóstwo much. Z głośnym brzęczeniem muskały mi twarz i ramiona. Opędzałam się od nich, ale uparcie wracały.

Podchodząc do pryczy stojących najdalej od drzwi, wiedziałam już, że zaraz zobaczę ciało Myny. Unosiła się z niego metaliczna woń zakrzepłej krwi - odrażająca nuta zapachowa inna od smrodu gnicia. Uniosłam lampę. Twarz i górną część ciała Myny okrywał poplamiony krwią koc. Spod długiej czerwonej koszuli wystawały pokryte odciskami zszarzałe stopy z zagiętymi paznokciami, wokół których roilo się od robaków.

Jej bezruch działał mi na nerwy. Dotąd nie miałam do czynienia ze zmarłym, który się nie poruszał. Wzdrygnęłam się. Uświadomiłam sobie, że przecież nigdy nie widziałam prawdziwego trupa.

- Mino, jesteś tu?! - zapytałam. Podniosłam głos, by słychać mnie było mimo huku grzmotów. - Chcę ci pomóc.

Obróciłam się na pięcie. Świeczki paliły się równym płomieniem. Nie wy-  
czułam żadnego ruchu.

A przecież musiała tu być. Ja na jej miejscu wróciłabym. Chciałabym dać upust wściekłości, wyrazić oburzenie na własnego ojca, na świat, który pozwolił mu wykorzystać własną córkę.

- Mina? Mina! - Wymawiając raz po raz jej imię, czułam jej samotność, jej furję.

Byłam młodą dziewczyną z ciałem pokrytym ranami, samą na opustoszałej plantacji. Dlaczego miałam bronić jej sama? Gdzie się podziali mój bezużyteczny ojciec i mój tchórzliwy brat? Chciałam rzucić szklaną broń w ciemność i pobiec w noc za moimi pracownikami.

Ale tak naprawdę pragnęłam tylko jednego: uciec jak najdalej stąd, wrócić do miasta.

Kiedy wybiegłam z baraku, wpadłam wprost w objęcia burzy. Niebiosa otworzyły się z hukiem i na ziemię runęła ściana wody. Nadejdą dni bardziej sprzyjające ucieczce. Chłostana ulewą, padłam na kolana, nagle świadoma własnej śmiertelności.

Wiedziałam, że umrę samotnie jak Mina.

Od uderzenia pioruna ziemia zadrżała pod moimi stopami. Nie było czasu na uzalenie się nad sobą. Podniosłam się i ruszyłam do domu. Deszcz bębnił o ziemię, wydając odgłos jak miliony szczękających zębów.

Ponoć śmierć zrównuje wszystkich ludzi, natomiast woda na pewno równa ziemię. Tej nocy sprzysięgła się przeciwko mnie. Wszystko, co za dnia było wysokie, niskie, ostre, łagodne, bliskie czy odległe, teraz wyglądało jednakowo. Woda wsiąkała mi w skórę, zalewała oczy. Nie wiedziałam, czy deszcz pada z ukosa, czy to ja się przechyliłam. Zniknęły wszystkie punkty orientacyjne. Gdzie się podziały przetwórnia, czarna szopa, Krwawe Wzgórze?

Najechałam na korzeń, zachwiałam się i uderzyłam w mokry pień drzewa. Ustąpił pod naciskiem, a po chwili wrócił do poprzedniej pozycji i trafił mnie w twarz. Dziwne drzewo wydzielalo zapach śmierci. Wyplułam jego gorzkawy posmak i obmyłam twarz wodą deszczową. Wtedy zobaczyłam, że to nie drzewo. Na gałęzi wisiał człowiek. Nagie brązowe ciało obracało się wolno na sznurze.

Poznałam tę zastygłą twarz. To był ojciec Miny. Zaczęłam krzyczeć i krzyczałam aż do ochrypnięcia.

Chociaż marzyłam o ukaraniu go, ten widok przerósł moją wyobraźnię. Ojciec Miny został rozcięty od szyi do pachwiny i wypatroszony jak ryba. Jego wnętrzności spływały na ziemię niczym długi szary wąż ogrodowy.

Zadziałałam odruchowo. Czułam poruszenia stóp, dłonie pocierające twarz coraz mocniej i szybciej. Mój umysł owładnęła jedna natrętna myśl: to piętno, ten człowiek. Musiałam uciec przed tym piętnem, przed tym człowiekiem.

Kiedy zamajaczyła przede mną sylwetka Krwawego Wzgórza z tłącymi się i skwierczącymi jeszcze drzewami, moje umysł i ciało wyczuły bliskość domu. Do pokonania została tylko droga gruntowa.

Dotarłam pod drzwi. Miałam ochotę westchnąć z ulgą, ale drzwi i okna były zamknięte na głucho. Nie mogłam wejść do własnego domu.

- To ja! - Walnęłam pięścią w drzwi. - Wpuść mnie, do cholery!

Mój głos ginął w szumie deszczu. Jeśli Li i Robin schowali się na tyłach domu, nie usłyszeli by mnie. Podniosłam kamień i rozbiłam szybę.

Po długim jak wieczność oczekiwaniu drzwi powoli się otworzyły. Weszłam do środka i o mało nie zostałam przygwożdżona ostrymi zębami przeciwwamokowych wideł.

- Robin! - Wyrwałam niebezpieczne narzędzie z jego drżących rąk. - To ja durniu!

Otworzył szeroko oczy. Dopiero teraz mnie rozpoznał. - Rany, wyglądasz z zmokła kura - powiedział.

- Czy ktoś próbował się tu włamać?

- Nic mi o tym nie wiadomo - odparł obojętnie.

Armia powinna być wdzięczna, że oszczędzono jej obecności takiego osobnika. Zamknęłam drzwi na zasuwę i dla pewności zablokowałam klamkę krzesłem.

- A tak na marginesie - Robin puścił do mnie oko - twój brat tu jest. Zastałam Li w salonie. Nie był sam. Towarzyszyła mu urodziwa Malajka.

Siedziała obok niego i suszyła włosy ręcznikiem. Moim ręcznikiem. Zagotowałam się z wściekłości. Li zostawił mnie na pastwę nawałnicy, a sam byczył się w domu suchutki i zgrywał bohatera przed swoją malajską kochanką!

- Li, niech cię wszyscy diabli!

- O co chodzi? - spytał z niewinną miną, czym rozjuszył mnie jeszcze bardziej.

Zrzuciłam zniszczone buty i wypadłam z salonu, zostawiając na podłodze ślady błota.

Li pobiegł za mną i przytrzymał za ramię.

- Wszystko w porządku? Strasznie się martwiłem.

- Tak? To dlaczego siedzisz w domu z tą swoją przeklętą dziwką?

- Przecież sama kazałaś mi tu czekać! Poza tym ja nawet nie znam tej dziewczyny. Błagała, żebyśmy ją wpuścili. Ma na imię Anim.

Anim? Obejrzałam się. Li mówił prawdę. To nie była Zana, lecz jakaś inna urodziwa Dojarka, pewnie z jego części plantacji. Przypuszczalnie nowa zdobycz. Miała jasną jedwabistą skórę, nie wyglądała na dziewczynę pracującą fizycznie.

- Bardzo się boi - ciągnął Li. - Jest w ciąży. A wszyscy wokół niej wpadli w histerię z powodu tej pontyny.

- Pontianaka - poprawiłam go. - Nie słyszałeś o tym?

Poszedł za mną do pokoju. Kazałam mu zaczekać pod drzwiami, dopóki się nie przebiorę.

- Ojciec Miny nie żyje - odezwałam się zza drzwi. - Te dzikusy go zamordowały.

Odpowiedziała mi cisza. Otworzyłam drzwi i przyjrzałam się posępnej twarzy Li.

- Och, nie zgrywaj świętoszki. Ty też chciałaś jego śmierci - burknął. Wtedy tak, teraz nie. Odwróciłam się szybko, żeby nie zauważył moich drżących warg.

- Gdzie, do diabła, jest tata?

- Przypuszczam, że ciągle w Ulu Pandan. Pije.

Żadnych łez, nie teraz.

- Kiedy to wszystko się skończy, wyjadę stąd bez względu na to, co powie.

- Dokąd?

- Nie wiem. Nie chcę być ignorantką. Mam dość. Chcę się uczyć. Chcę wrócić do szkoły. - To ostatnie wydawało się niewyobrażalnym luksusem.

Li ścisnął moją dłoń. Zaskoczył mnie ten gest braterskiej solidarności.

- Zabierz mnie z sobą.

To był jego sposób na przeprosiny za to, że chciał mojego zniknięcia.

- Masz nogi. Nie będę taszczyła cię na plecach jak worek ziemniaków. Uśmiechnął się. Oboje się uśmiechnęliśmy. Wiedziałałam jednak, czego mi trzeba: musiałam uwolnić się od historii, której częścią był mój brat.

Nagle z salonu dobiegł głośny łoskot, a potem przeciągły jęk Robina. Pijany w sztok pewnie zwałił się na ziemię. Przewróciłam oczami. I odetchnęłam z ulgą. Los wtrącił się w samą porę i zaoszczędził nam kłopotliwych rozważań o przyszłości.

- Nie pomogę mu wstać - oznajmiłam stanowczo. - Nie dotknę tej świni.

- Ja też go nie dotknę - zawtórował mi Li. Wróciliśmy do salonu oszacować zniszczenia.

Robin leżał na podłodze, na przemian bełkocząc i jęcząc, wpatrzony w sufit z wyrazem osłupienia na twarzy. Dojarka pochylała się nad nim, stojąc plecami do nas. Przewrócony stolik miał połamane nogi. Ten niezdarny tłuszcioch musiał go roztrzaskać, upadając.

- Robin, ty idioto! - wrzasnęłam, lecz Li złapał mnie za ramię.

Wtedy dotarł do mnie sens widzianej sceny. Dziewczyna wcale nie pomagała Robinowi. Ona zatapiała w jego brzuchu długie ostre paznokcie. Krew bryzgała na wszystkie strony, na dywan, na kanapę, na nią.

Odwróciła się w naszą stronę i wrzeszczała przeraźliwie. Z dziąseł kapała jej krew. Zamiast zębów miała małe czarne kły. Nie zdążyliśmy nawet drgnąć, gdy się na nas rzuciła.

- Uciekaj! - Li odepchnął mnie i po chwili leżał na ziemi przygwożdżony przez kobietę-demon. Na moich oczach jej ciało przeistaczało się w szare gnijące mięso.

- Zostaw go! - ryknęłam po malajsku.

Przycisnęła usta do szyi Li w odpychającej parodii namiętności.

Li krzyknął. Miałam nadzieję, że z przerażenia, nie z bólu. Chwyciłam leżące obok Robina przeciwamokowe widły i ruszyłam bratu na ratunek.

Nagle świat zwolnił, a powietrze zgęstniało do konsystencji kleju. W piersi poczułam drugie bicie serca, którego rytm wyprzedził moje własne serce.

Wsluchując się w nowy przyspieszony puls, miałam wrażenie, że patrzę na balet w zwolnionym tempie.

Li złapał mnie za łokieć i drugie bicie serca ustało.

- Pomóż mi!

Krzyk brata sprawił, że wróciłam do rzeczywistości. Zamachnęłam się widłami i wbiłam je w plecy pontianak. Były twarde jak ubita ziemia.

Z jej piersi wydobył się przenikliwy wrzask łączący furię kobiety-człowieka i kobiety-bestii. Wykręciła głowę, by na mnie spojrzeć. Oczy wychodziły jej z orbit, były czarne jak pijawki. Kiedy napotkałam jej wzrok, wróciło drugie bicie serca.

„Zabiłam swojego ojca, mówiły jej źrenice. Wiem, że to rozumiesz”.

To była Mina, zmarła Dojarka.

„Wypiłam krew, którą zostawiłaś dla mnie w lesie”.

Moją krew?

Zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, obalił mnie na ziemię cios wideł. Pontianak teraz mnie obrał za cel. Osłoniłam ramionami twarz.

- Mino! - krzyknęłam błagalnie.

Zamierzyła się na mnie paznokciami tak ostrymi, że poczułam tylko ukłucie. Spojrzałam na swoje przedramiona. Znaczyło je pięć ciemniejących linii. Rozorane paznokciami ciało otworzyło się jak strąki, z których uchodziła krew.

Pontianak znowu zwróciła się ku Li, wywijając ciężkimi widłami. Li zamknął oczy. Poruszał ustami w bezgłośniejszej modlitwie.

Zamiast nadziei go na widły, pontianak użyła ich zgodnie z przeznaczeniem: unieruchomiła mu szyję. Potem okrążyła go, naśladując ptasie krakanie.

Musiałam coś zrobić. Gdzieś przed domem leżał parang, może między łopatami przy nieużywanym ceglany piecu. Rzuciłam się do tylnych drzwi, odsunęłam zasuwę i wybiegłam z domu.

Deszcz ustał. Noc oddychała niezmaconym spokojem najgłębszych zakamarków lasu deszczowego, przesycona aromatem lilii, orchidei i frangipani. Liście szeleściły w rytm podmuchów wiatru, grając najstarszą znaną ludziom kołysankę. Poruszające gałęziami drzewa połyskiwały w srebrzystej poświacie księżyca. Dżungla kusila obietnicą odpoczynku, ukojenia, wiecznego spokoju. Pragnęłam rzucić się w jej aksamitne objęcia.

- Ling! - wołanie Li było odległe, nierzeczywiste jak element mojego sennego marzenia.

Nogi same poprowadziły mnie do dżungli. Po kilku krokach drogę zastąpiło mi coś ogromnego i czarnego. Miałam wrażenie, że ktoś usunął fragment scenerii. Poza tym kwadratem absolutnej nieobecności nie widziałam nic. Kształt szybko nabrał głębi, a raczej to moje oczy go rozpoznały: to była czarna szopa. Ktoś ją tu przeniósł, tylko po co?

Drzwi były uchylone, wielka zardzewiała kłódka zniknęła.

Otworzyłam je na oścież kopniakiem. W ciemności dostrzegłam zarys parangu z ostrzem długim jak moje ramię. Wisiał w powietrzu z czubkiem skierowanym w dół. Obmaciałam go dokładnie od góry do dołu, a nawet jego boki, ale wydawało się, że zawisł w powietrzu. Kiedy cofnęłam rękę, błysnął mi w oczy i błyskał tak, póki znów go nie dotknęłam.

Złapawszy uchwyt parangu, usłyszałam wołanie Li tak wyraźnie, jakby stał tuż obok.

- Ling!

Potrzebował mnie. Teraz.

Kiedy wpadłam do domu, zobaczyłam pontianak pochyloną nad Robinem. Wyglądała jak szalona pianistka przymierzająca się do zagrania najbardziej dzikich akordów i zatopiła szpony w jego piersi. Robin usiłował krzyczeć, ale z jego gardła wydobył się tylko bulgot. Krew zdążyła już wypełnić krtań. Z ust wydostały się jasnoczerwone bąbelki.

Zaszłam pontianak od tyłu, zamierzyłam się do ciosu, ale reszta dokonała się sama. Parang miał własny impet. Jej szyja przyciągnęła go jak magnes.

Odcięta głowa kobiety-demonia potoczyła się po podłodze i trafiła w nogę krzesła. Patrzyła na mnie martwymi oczami. W tym samym momencie ujrzałam zapowiedź własnej śmierci. Spowiła mnie pustka. Ugięły się pode mną kolana i upadłam na podłogę. Zabrakło mi powietrza.

Kiedy już mogłam oddychać, spojrzałam na Li. Skinieniem dał mi znać, że nic mu nie jest.

Ciało pontianak tkwiło znieruchomiełe tam, gdzie ją unicestwiłam, z palcami zanurzonymi w trzewiach Robina. Wyobraziłam sobie, że gdybym chciała je wyciągnąć, z rany trysnęłaby fontanna krwi. Postanowiłam więc ich nie ruszać.

- Ratuj mnie - zbulgotał błagalnie Robin. Było jednak za późno. Wiedział o tym. Mówił mi to jego nieobecny wzrok.

Dźwignęłam się z podłogi i poszłam po butelkę dżinu.

- Pomoc niedługo się zjawi - zapewniłam go, robiąc dobrą minę do złej gry. Polałam alkoholem jego gardło i patrzyłam, jak ścieka na rany i się ulatnia.



Li uniósł się na łokciu. Koszulę miał przesiąkniętą krwią, szyję i ramiona pokryte ranami. Na widok jego cierpienia i bólu łzy zakręciły mi się w oczach.

- Wypłuła moją krew. - Wskazał purpurowy ślad na ścianie i mocno ścisnął moją rękę, by udowodnić, że wciąż jest silny. - Nie smakowała jej. Mam złą krew. - Uśmiechnął się z przymusem.

- Ludzie mieli rację - powiedziałam. - To była Mina. Na twarzy Li odmalował się strach.

- Niemożliwe.

- Dlaczego?

- Mina była niska i ciemna. - Napięcie w jego głosie narastało. - Ta wyglądała jak... ty.

W końcu doczekaliśmy się przyjazdu policjantów, którzy doholowali też tatę. Exodus pracowników plantacji Melmoth zauważono na drodze do Ulu Pandan i posterunek wysłał funkcjonariuszy jedynym samochodem, by zbadali sprawę.

Dwaj umundurowani mężczyźni posadzili tatę na kanapie. Z drugiego końca pokoju czułam od niego grog. Nie zauważył ani krwi, ani ran, narcystycznie przekonany, że jedyną ofiarą tej tragedii jest on.

- Co ja teraz zrobię? Co ja zrobię? - mamrotał.

Chciałam wymierzyć mu siarczysty policzek, a potem zrobić to jeszcze raz.

Młody chiński oficer potknął się o głowę pontianak. Kiedy potoczyła się po ziemi, wybiegł z domu, piszcząc jak kobieta. Jego śniady partner, niewzruszony Gurkha - przedstawiciel nepalskiego ludu, licznie rekrutowanego do armii przez Brytyjczyków - pokręcił głową i cmoknął na znak dezaprobaty, jakby codziennie miał do czynienia z demonami pozbawionymi głów.

- Nie wiem, jak to zrobiłaś, ale doskonale się spisałaś - zwrócił się do mnie, wskazując rozciętą szyję. Rzucił okiem na moje krwawiące rany. - Na dodatek zachowujesz się, jakbyś nie czuła bólu.

Mylił się. Czułam ból, lecz Li i Robin cierpieli bardziej niż ja.

Robin, o dziwo, kurczowo trzymał się życia. Szepnął coś policjantowi.

- Słucham? - Gurkha przysunął się bliżej. Po chwili wydał wargi i posłał mi rozbawiony uśmiech. - On twierdzi, że jesteś wiedźmą.

Wiedźmą? Po tym, jak uratowałam mu życie?

Konspiracyjny uśmiech policjanta zapewnił mnie, że wie swoje.

- Anglicy wszędzie są tacy sami. Zupełnie tego nie rozumieją. Wariują, sprawiają kłopoty i dają się zabić.

Wskazał głową dziwną piętę: Robina zespolonego z kobietą-demonem.

- Umieścimy go w samochodzie, ale najpierw trzeba odciąć jej rękę. Rozejrzałam się po salonie w poszukiwaniu parangu. Zniknął. Na tyłach domu nie było już czarnej szopy. I uleciał gdzieś spokój, a wraz z nim kojące powietrze z głębi dżungli, niosące aromat orchidei i frangipani. Powrócił znany krajobraz nocy z jej odgłosami i życiem buzującym za zasłoną ciemności.

Czy uległam złudzeniu?

Z nosem osłoniętym chusteczką Gurkha już odcinał rękę pontianak nożem kukri, bronią gurkhijskich wojowników.

- Często pan to robi? - zapytałam, kiedy już oddzielił rękę od jej korpusu.

- To dżungla. Robimy tu różne rzeczy. Ta wcale nie jest najgorsza. Wierzyłam mu.

- Nie mów mi, że was nie ostrzegaliśmy. Tutaj są duchy o wiele starsze i potężniejsze niż ludzie.

Zanim skończył rozczłonkowywać Minę, Robin Melmoth przeniósł się do świata duchów. Miał spokojną twarz człowieka pogrążonego we śnie. Nie zdziwiłabym się, gdyby nagle usiadł i zażądał kolejnej porcji dżinu.

Gurkha pospiesznie wyrecytował hinduską modlitwę i zaniósł oba ciała - wraz z odciętą głową - do dżipa Robina. Słyszeliśmy, jak mówił swojemu chińskiemu partnerowi, że zabierze pontianak do dżungli i tam spali, a potem zawiezie ciało Robina Melmotha do kostnicy w Ulu Pandan. Przedstawił swój plan w tak teatralny sposób, że zwątpiłam, czy ciało Anglika kiedykolwiek się tam znajdzie. Najwyraźniej miejscowa policja miała specyficzne metody działania.

Drugi policjant zawiózł nas do lekarza. Li i ja siedzieliśmy upchnięci z tyłu wozu patrolowego, dwudrzwiowego forda model B, i podskakiwaliśmy na każdej nierówności.

- Byłaś w transie - wyszeptał Li następnego ranka. Czuł się już lepiej i w jego głosie znowu pobrzmiwał oficjalny świętoszkowaty ton. - Co się działo wtedy w twojej głowie?

- W ogóle nie myślałam. Nie było na to czasu. Chwyciłam parang i...

- Jaki parang?

- Ten, który znalazłam na dworze. Przyglądał mi się uważnie.

- Byłam tam. Widziałem cię. Nie było żadnego parangu. - W jego oczach znów pojawił się strach. - Urwałaś jej głowę gołymi rękami.

W dżungli nie mieliśmy już czego szukać.

Plantacja poszła w rozsypkę mimo że niektórzy pracownicy wrócili na teren posiadłości, licząc na pracę. Kolejne dni przyniosły mi wytchnienie. Cieszyłam się, że nie dźwigam już na barkach ciężaru ponad siły. Zupełnie jakby udzielono mi rozgrzeszenia. Potem zjawili się dwaj pokąsani przez komary wężaci prawnicy reprezentujący rodzinę Melmothów. Przywieźli skomplikowane brzmiące dokumenty z żądaniem zapłaty za pożar na Krwawym Wzgórzu, zbiegłych pracowników oraz oczywiście za śmierć Robina, bez względu na to, czy byliśmy za nią odpowiedzialni, czy nie. Na szczęście koroner w Ulu Pandan potwierdził naszą niewinność. Według oficjalnej wersji Robin Melmoth został rozszarpany przez tygrysa. Prawnicy obstawali jednak przy swoim i tata dostał wysoką grzywnę za to, że nie zabezpieczył plantacji przed „wizytami” drapieżników.

Nasze oszczędności stopniały do zera.

W następnych dniach każde z nas po swojemu dochodziło na siebie. Tata przysiągł, że nigdy więcej nie pojedzie do Ulu Pandan. Li unikał wszelkich kontaktów z Dojarkami. A mnie dręczyły różne pytania.

Jakkolwiek pontianak straciła głowę - półprzytomny Li nie był wiarygodnym świadkiem - nie mogłam zapomnieć, jak bicie jej serca pochłonęło moje, przywiązało mnie do niej, a może odwrotnie? Kto zasiedlił kogo? Jedno było pewne: martwi z dżungli byli zupełnie inni niż ci, z którymi miałam do czynienia wcześniej. Nie działali według tych samych reguł.

Chociaż nie przyznałam tego głośno, Li miał rację: Anim przypominała mnie, nie Minę. Miała moje oczy, moje usta, moje długie ręce, moje wystające kolana. Chyba powiedziała mi prawdę: pontianak wypila moją krew. Krew z mojego łona.

Wzdrygnęłam się na samą myśl. Dopięłam dzin Robina i próbowałam zapomnieć o całym zdarzeniu. W tajemnicy przed wszystkimi, nawet przed Li, spakowałam swoje rzeczy. Wiedziałam, że nigdy nie znajdę w dżungli spokoju, prócz spokoju śmierci.

W jasnym świetle księżyca ostatni raz objechałam plantację na rowerze. Krwawe Wzgórze wypalone do cna, огоłocone z drzew - w takim stanie powinno być utrzymywane od początku. Ciało ojca Miny zdjęli z drzewa tembusu i spalili ci, którzy wrócili na plantację. Samo potężne drzewo ścięli i postawili tam maleńkie sanktuarium: drewniany sześcian z tłącym się przez całą dobę kadzidłem. W posiadłości Melmothów zapanował chaos. Nasza rodzina odcisnęła na tym miejscu niezatarte piętno.

Po czarnej szopie nie pozostał ślad. Nie było jej ani na trawiastym pagórku, gdzie widziałam Li z Dojarką, ani za naszym domem.

W barakach pożegnałam się z moimi pracownikami serdecznymi uściskami dłoni, co przeraziło większość z nich. Rani na mój widok uciekła. Szkoda, ponieważ zamierzałam ją przeprosić. Po szybkiej kąpieli złapałam dwa płócienne worki i zabrałam się do Ulu Pandan z policjantem Gurkhą. Stamtąd odjeżdżał autobus, którym mogłam wrócić do miasta.

Li poszedł w moje ślady kilka dni później. Po nim niestety to samo zrobił tata. Jeśli przez lata uciekania poznałam jakąś prawdę o życiu, to brzmi ona następująco: nie ma czegoś takiego jak całkowite zerwanie z przeszłością.

\* \* \*

Czuję się teraz lepiej czy gorzej? O kilkadziesiąt lat młodsza czy o tyle samo starsza? Mój nastrój się zmienia, tak jak zmieniają się wspomnienia odżywające w mojej pamięci.

To upuszczanie krwi wspomnień ma obosieczne działanie - usuwa toksyny, a jednocześnie odbiera życiową energię. Męczy mnie suchość w gardle. Mięśnie bolą, jakbym przebiegła wiele kilometrów przez dżunglę.

Telefon dzwoni, kiedy opisuję kasety. Ignoruję go.

Rozdział pierwszy, rozdział drugi, rozdział trzeci, rozdział czwarty, rozdział piąty, rozdział szósty - wczesne lata, spokojne lata. Młodzieńcze utwory. Dobrze, że zgromadziłam zapas kaset i baterii. Od zawsze byłam przygotowana na sytuacje wyjątkowe. Zawdzięczam tę umiejętność wojnie.

W końcu automatyczna sekretarka przechwytyje połączenie.

„Ling - kobieta zwraca się do mnie moim imieniem z dzieciństwa, jakby znała mnie osobiście - wiem, że pani tam jest... Proszę, niech pani podniesie słuchawkę”.

- Ominęło cię cholernie emocjonujące ścięcie głowy - rzucam w przestrzeń pokoju.

„Spóźnię się trochę. Zatrzymał mnie... Pamięta pani naszą umowę? Musiałam załatwić kilka spraw, żeby wywiązać się ze zobowiązań”.

Nasza umowa. Oczywiście, że pamiętam. Nasza umowa pobudza każdą moją myśl, każde wspomnienie.

„Przekona się pani, że warto było czekać. Nie zawiodę pani. W międzyczasie - zawiesza głos - proszę filtrować wspomnienia przez sito pamięci”.

Podnoszę słuchawkę.

- Chce mnie pani dręczyć czy ocalić? Tama została przerwana. Już zaczęłam. I nie mogę przestać.

Wyrywam wtyczkę telefonu z gniazdka i podchodzę do okna. Rozsuwam zasłony, podnoszę dolną część okna i wyglądam na ulicę.

- Jest tam kto?! - wołam. To tylko noc. Moja przyjaciółka noc.

Opowiadam tę historię, by przypomnieć sobie, jaka byłam za młodu odważna. Stałam do walki z pontianak i wygrałam. Dlaczego nie miałabym znów wykazać się odwagą?

Uderzam się pięścią w piersi. Tu-dum, tu-dum. Moje serce odpowiada: tu-dum, tu-dum.

## CUDOWNY ŚWIAT

Między rokiem 1934 a 1937 miasto zmieniło swoje oblicze. Wystrzeliło w górę niczym chłopiec, który w czasie wakacji urósł tak bardzo, że wraca do szkoły jako wielkolud. Chodziłam po ulicach z głową zadartą ku niebu.

Zmiany nie ominęły nawet Bullock Cart Water. Krótco po naszym wyjeździe spłonął dom w którym mieszkaliśmy. Ogień pochłonął pięćdziesiąt ludzkich istnień. Została po nim ziejąca pustką przerwa w zwartej zabudowie. Chociaż wszystko wskazywało na podpalenie, władze miasta, w obawie przed naśladowcami, odmówiły oficjalnego uznania tej przyczyny pożaru. Na miejscu zdarzenia zjawiał się jednonogi duch i jednostajnym głosem opowiadał o tragedii. Próbowалаm go ignorować, ale za bardzo poruszało mnie jego oburzenie i potrzeba upamiętnienia ofiar. Chciałam wierzyć, że gdybym zginęła w tak okrutny sposób, zrobiłabym to samo.

I znowu byłam w mieście, w którym umarli mówili o swojej udźce, zamiast przypuszczać krwawe ataki na ludzi!

Nasz dom nie był jedyną ofiarą upływu czasu. Odszedł chodnikowy go-libroda, odeszli sadhu i śmieciarz. Wtedy za nimi nie przepadałam, teraz jednak tęskniłam za ich obecnością.

Przy Spring Street, głównej ulicy, wyrosły budynki mieszkalne wysokie na osiem lub dziewięć pięter, bardzo potrzebne w dzielnicy, w której zaroilo się od nowo przybyłych. Japońska inwazja na Chiny przygnała na Czarną Wyspę tysiące ludzi. Te zagubione dusze sprzymierzały się zgodnie ze swoimi upodobaniami kulinarnymi. Jedni lubili makaron (ci z północy), drudzy woleli ryż (ci z południa), a jako nowe miejsce zamieszkania wszyscy wybierali Chinatown. Złapałam się na tym, że w tłumie przybyszów szukam mamy i bliźniaczek, chociaż wiedziałam, że duma nie pozwoliłaby mamie zjawić się w mieście, w którym mieszka tata. Mimo wszystko nie przestałam uważnie przyglądać się ludziom, choćby przez wzgląd na bliźniaczki, moje jedenastoletnie skarby.

Ze starego kraju uchodźcy przywieźli złe zwyczaje: prostytutkę, hazard, opium. I tak jak przedtem miasto nie zrobiło nic, gdy członkowie gangów wyszli z nożami na ulice. Jeśli nikt nie zmył świeżej krwi z chodnika, jej ciemniejące plamy kłuły w oczy przez długie tygodnie. Z drugiej strony, kiedy pokojowo nastawieni Chińczycy zbierali się, by zaprotestować przeciwko

podejrzany interesom Japończyków, gubernator natychmiast podejmował zdecydowane kroki i wprowadzał godzinę policyjną. Do podwójnych standardów kolonialnego miasta zdołaliśmy już przywyknąć, ale rozpinanie parasola ochronnego nad Japończykami było czymś zupełnie nowym. Tata przypuszczał, że chodzi o honor i pieniądze. Japończycy inwestowali w sklepy, hotele i restauracje, do tego łechtali brytyjskie ego, naśladowując sposób ubierania się, zwyczaje i gusty Brytyjczyków.

Zamieszkaliśmy na najwyższym - ósmym - piętrze w jednym z nowych budynków przy Spring Street. Mimo niskiego czynszu większość mieszkań na wyższych piętrach była pusta. Nocny stróż wyjaśnił tacie, że Chińczycy nie chcą się tam wprowadzać, ponieważ miejscowe „śpiewające dziewczęta”, czyli prostytutki, często używają ich jako trampolin do swojej finałowej arii, jak to określił, skacząc z okien na spotkanie śmierci. Te nieruchomości, jak powiedział nam przejęty tata, mają opinię „bardzo nieczystych”.

- Ósme piętro jest częstym miejscem samobójstw, ponieważ osiem w chińskim, jak zapewne pamiętacie, jest homonimem powodzenia - tłumaczył nam. - Czy ten krok zapewnia im powodzenie w życiu po życiu, tego nie wiemy. Taoiści uważają, że duchy samobójców są najbardziej dokuczliwe. - Wzdrygnęłam się na dźwięk tego słowa w ustach taty. - Kiedyś nie miałem czasu na takie rzeczy, ale po doświadczeniach na plantacji wszystko wydaje się możliwe. Pilnujcie się. Nie róbcie nic, co mogłoby sprowokować duchy. A to damę wam dla dodatkowej ochrony.

Wręczył nam identyczne komplety drobiazgów: buddyjską bransoletkę z pomarańczowymi koralikami medytacyjnymi, chrześcijański krzyżyk na łańcuszku, medalik z podobizną hinduskiej bogini Kali o wielu ramionach oraz karteczkę z islamskim traktatem po arabsku. Uśmiechnęłam się z wyższością, lecz Li spuścił pokornie wzrok. Ten chłopak miał słabość do amuletów. Wiedziałam, że te prezenty wylądują na jego nocnym stoliku obok wyschniętego na wiór toffi.

- Nie wiem, jakie jest ich znaczenie - powiedział tata - ale trzeba je trzymać razem przez cały czas. Tak mi powiedziała staruszka, od której to kupiłem. Sam też mam taki zestaw.

- Och, nie - jęknęłam z udawanym rozżaleniem. - Brakuje gwiazdy Dawida!

Tata spiorunował mnie wzrokiem, po czym rozejrzał się po mieszkaniu. : - To nie śmichy-chichy - syknął. - Chcesz nas wszystkich zabić?

Nocny stróż miał rację. Większość samobójców na naszym piętrze stanowiły kobiety, głównie przygnębione fordanserki mające dość swojego zajęcia, oraz zaniedbywane żony wyniszczonych przez opium riksarzy. Te nieszczęsne dusze wślizgiwały się do budynku mimo obecności stróża i wychodziły na otwartą przestrzeń na ósmym piętrze. Być może torowały sobie drogę łapówkami. Co bardziej leniwe dziewczęta lekkich obyczajów rzadko zadawały sobie trud, żeby wejść na samą górę. Zwykle wyskakiwały z czwartego albo piątego piętra i często przeżywały upadek. Te, które nie przeżyły, zamieszkiwały z nami.

Kiedy się wprowadziliśmy, w naszym mieszkaniu żyło pięć duchów. Pod koniec pierwszego miesiąca było już sześć. Jak na ironię, martwe tancerki i prostytutki odzywały się do mnie, podczas gdy ich żyjące odpowiedniczki, wystrojone w róże i świecidełka, traktowały mnie jak ludzkiego robaka. W ich mniemaniu dziewczyna bez makijażu, biegająca po mieście w płaskich butach, zasługiwała w najlepszym wypadku na lekceważenie.

Duchy opowiadały te same historie. Zakochiwały się w nieodpowiednich mężczyznach, o czym - a to niespodzianka! - szybko się przekonywały. Snuły się po naszym mieszkaniu, powtarzając swoje smutne opowieści jak oskarżeni na sali sądowej i udowadniając po raz kolejny, że śmierć wcale nie przynosi pocieszenia, tylko żal. Ku mojemu rozczarowaniu nie mogłam im odpowiadać ani ich przegonić. Kanał komunikacji działał tylko w jedną stronę. Nie muszę chyba dodawać, że talizmany od taty okazały się bezużyteczne, chociaż nigdy mu o tym nie powiedziałam. Łatwiej było z nim wytrzymać, gdy wierzył, że ma nad wszystkim kontrolę.

Pod koniec 1937 roku, kilka miesięcy po naszym powrocie, miasto otworzyło park rozrywki, który działał na wszelkie zgryzoty jak niezwykle lek. Cudowny Świat stanął na bezpiecznej ziemi między Chinatown i portem. Był pierwszą w mieście przestrzenią publiczną, gdzie ludzie różnych ras mieszały się bez żadnych ograniczeń - a wszystko w imię dobrej zabawy i oczywiście występku. Nie mogłam sobie przypomnieć, co było tam przedtem. Tata twierdził, że zajmowali ten teren dzicy lokatorzy, według Li było tam złomowisko, ale żaden nie miał pewności. Rojny i gwarny Cudowny Świat zaznaczył swoją obecność tak wyraźnie - niczym lotos zakwitający w mętным stawie - że wymazał z pamięci wszelki ślad poprzedniego życia w tym miejscu.

Z głośników zawieszonych nad wysokimi cynobrowymi murami niosła się krzykliwa bezładna wyliczanka: „Trzy kina! Dwie sale balowe! Kabaret! Ring bokserski! Jedwabna bielizna! Żywe pingwiny! Skosztujcie zupy rybnej!



Piękne syjamskie dziewczęta! Piękne koty syjamskie! Dwie mile gier! Pięć kilometrów jedzenia!"

Gazety pisały, że będący w podróży poślubnej Charlie Chaplin wstąpił tu incognito - bez wąsika i melonika - i podczas naszej pierwszej wizyty jakiś obrotny przedsiębiorca już zarabiał na tych niepotwierdzonych pogłoskach. Handlował przy wejściu pamiątkowymi kartkami w kształcie sylwetki Trampa. Widzieliśmy z Li, jak w ciągu pięciu minut sprzedał ich dwadzieścia.

Nasz punkt obserwacyjny znajdował się przy bramie wejściowej. Przed ukończeniem osiemnastego roku życia nie mieliśmy prawa wstępu na teren Cudownego Świata. Mogliśmy tylko gapić się na to wszystko z szeroko otwartymi ustami. Tata obiecał, że przyniesie nam prezenty. Powietrze niesło apetyczną woń wieprzowiny w miodzie. Śliniąc się na samą myśl o niej, przyglądaliśmy się wychodzącym parom. Oszołomieni z wrażenia, nieśli pluszowe pandy o rozmiarach niemowlęcia, barylki mleka w proszku - nagrody w konkursach, sugerujące, że po powrocie do domu powinni od razu przystąpić do robienia dzieci. Widzieliśmy też pijanych brytyjskich marynarzy wyprowadzanych z Cudownego Świata, ale widok pijanych marynarzy był na Wyspie Dusz codziennością.

Tata pojawił się po dwóch godzinach. Roztaczał wokół siebie zapach taniego piwa i jeszcze tańszych perfum. Nic dziwnego, że nic dla nas nie miał.

- Gry są ustawione. - Zaśmiał się, udając święte oburzenie. - Nagrody nieosiągalne!

Sądząc po śladach szminki na jego szyi, nie dotyczyło to prostytutek.

Szkoła Świętej Anny też się zmieniła. Kiedy przyszedłam tam się zapisać, pomyślałam, że stary budynek został zburzony i zastąpiony nieskazitelną, choć równie ponurą repliką.

- To ten sam gmach, tyle że bez guana - oznajmiła rozpromieniona siostra O'Hara, nauczycielka czytania, którą kiedyś ochrzciłam Żyrafą. - Siostra Nesbit uznała, że najwyższy czas coś z tym zrobić. Podczas ostatnich dni otwartych spory kawał odpadł i trafił jednego z donatorów w łeb. Wyglądasz na zawiedzioną. Nie podoba ci się?

Według mnie stara wersja budynku była bardziej wyrazista. Na szczęście serdeczność sióstr nie zmieniła się ani trochę. Gdyby nie koński zapach ich ciał, można by uznać je za istoty nadprzyrodzone. Wyglądały, jakby czas się ich nie miał. Siostra Nesbit, żwawa dyrektorka szkoły, była zachwycona powrotem swojej córki marnotrawnej, jak mnie nazwała, i zaprowadziła mnie prosto do klasy. Zawsze traktowała mnie życzliwie i na widok znanego mi tak dobrze uśmiechu poczułam wzruszenie.

Chociaż marzyłam o powrocie do szkoły, nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo jestem spragniona wiedzy, póki znów nie przekroczyłam progu biblioteki. Pochłaniałam wszystko, co wpadło mi w ręce. Moim najnowszym odkryciem był posępny Baudelaire. Przesiadywałam w bibliotece do wieczora otoczona książkami i duchami.

Tych ostatnich było w Świętej Annie o wiele mniej niż przedtem. Może dlatego, że siostra Nesbit zainstalowała w budynku oświetlenie. Dziewczęta wijące się na podłodze toalety zniknęły. Znikła też nieszczęsna Dora Conceicao. Została zwisająca z wentylatora dziewczyna, którą widywałam podczas apeli, teraz jednak jej obecność działała na mnie dziwnie kojąco.

W weekendy obcowałam z moimi przewodnikami: Hugo, Balzakiem i Maupassantem. Zabierali mnie z naszych wąskich pokoi do zadymionych salonów i fabryk wypełnionych rozmowami. Podczas lektury odkryłam cechy, które czyniły z Francuzów wspaniałych romantycznych bohaterów, a zarazem marnych kolonizatorów. Nie myśleli perspektywicznie, byli po-rywcy, próżni, uzależnieni od natychmiastowych, zwłaszcza zmysłowych, przyjemności. Choć uwielbiałam Francuzów za ich styl, dziękowałam losowi za Brytyjczyków, którzy przekuli swoje stoickie umiłowanie monotonnych obowiązków w budowę dróg i szkół.

Kiedy w 1940 roku skończyłam osiemnaście lat, siostra Nesbit przekazała mi informację, której podświadomie bałam się najbardziej. Przekroczyłam górną granicę wieku obowiązującą w szkole i zgodnie z przepisami musiałam zakończyć naukę, chyba że podjęłabym studia na uniwersytecie, na co, niestety, nie było mnie stać. Chcąc złagodzić ból wygnania, siostra Nesbit znalazła mi posadę guwernantki w rodzinie Chew, mieszkającej w Monk Hill, zielonej okolicy lubianej przez zamożnych Peranakanów.

- Przekonaj się, czy polubisz nauczanie - powiedziała. - Jeśli tak, złóż papiery do kolegium nauczycielskiego.

Rodzina Chew zaoferowała mi pokój z utrzymaniem (zimną klitkę i miejsce przy rodzinnym stole obok dziesięcioletniej podopiecznej). Wdzięczna za pretekst do unikania rodziny i gadatliwych zjaw na ósmym piętrze, natychmiast się zgodziłam, chociaż nie podobała mi się perspektywa odgrywania roli Jane Eyre ze strefy równikowej. Czułam - chociaż nie miałam ku temu podstaw - że czeka mnie lepsza przyszłość.

Li pracował jako chłopiec na posyłki dla pewnej rodziny na zachodzie Wyspy. Chociaż jego zajęcie napawało mnie grozą - zasadniczo robił to, co świerszcz dla nas w Szanghaju - on sam wydawał się bardzo zadowolony. Przypuszczam, że szef nie dawał mu chwili wytchnienia i Li nie czuł nic

poza odrętwieniem. Jego radość życia gdzieś uleciała. Zupełnie jakby nasze niepowodzenie na plantacji nauczyło go jednego: marzenie o czymś czy choćby pragnienie czegoś jest przejawem nieposkromionej pychy. Czułam, że powinien pragnąć czegoś więcej i robić coś o wiele ważniejszego. Co dokładnie, tego nie wiedziałam.

Nie chcąc psuć wspólnie spędzanych chwil, unikaliśmy drażliwych tematów - Szanghaju, plantacji, niepewnej przyszłości - i zamiast tego przerzucaliśmy się żartami. Najbardziej lubiliśmy oglądać filmy. W wolne dni spotykaliśmy się w kinie Rex, łososiowym budynku w stylu art deco w pobliżu dzielnicy zwanej Małymi Indiami, albo w kinie Pavilion, gdzie sprzedawali najbardziej chrupiące orzeszki ziemne na ostro w mieście. Uwielbiałam amerykańskich bohaterów za to, jak otwarcie i bez zahamowań mówili, co im leży na sercu. Bogart, Cagney, Astaire, Rogers - lubiliśmy ich wszystkich, ale najbardziej Katharine Hepburn i Cary'ego Granta, parę najlepszych rozmówców. *Drapieżne maleństwo* i *Wakacje* obejrzelśmy chyba dziesięć razy, zawsze z ogromną przyjemnością.

Po jakimś czasie odkryłam, że przyswoiliśmy sobie zmysłową „transatlantycką” dykcję, słyszaną jedynie w hollywoodzkich filmach. Li zaczynał każde zdanie od „słuchaj” albo „powiedzmy”, niczym wydawca gazety podrzucający tematy reporterce w *Dziewczynie Piętaszku*. Nigdy mu tego nie wytknęłam, bo nie chciałam go zawstydząć. Byłam szczęśliwa, wiedząc, że nie ja jedna bezgłośnie wtóruję filmowym bohaterom w kinowych ciemnościach.

Poza kinem daleko mi było do zabawnej pierwszej naiwnej. Okazałam się fatalną guwernantką. Mimo wcześniejszych zapewnień matki, że jej córka jest „żywa” i „bezpośrednia” - innymi słowy, rozwydrzona i niegrzeczna -nie znosiłam Rosalind Chew. Niechęć była obopólna. Pannica kopnęła mnie dwa razy i nazwała wiedźmą.

Wytrzymałam pięć tygodni. Potem złożyłam rezygnację.

Tata oczywiście wpadł w szal.

- Nauczanie to jedyne uczciwe zajęcie, jakie znajdziesz na tej wyspie! -krzyczał. Ale ja wiedziałam swoje. Moja uwolniona dusza otworzyła się na nowe możliwości. Pod koniec 1940 rokujechałam tramwajem i bezwiednie rzuciłam okiem na porzuconą na siedzeniu gazetę. Mój wzrok przykuło ogłoszenie wydrukowane wytworną staroświecką czcionką:

*POSZUKIWANA PIEŁĘGNIARKA/TOWARZYSZKA DLA CHOREJ DAMY.  
GODZIWA ZAPŁATA.*

Dzięki temu przypadkowo zauważonemu anonsowi miałam spotkać mężczyznę, który odmienił moje życie.

Starsza pani mieszkała w Tanglewood w pomalowanym na biało okazałym domu, naśladowującym styl z epoki Tudorów. Kiedy podjechałam taksówką pod bramę, byłam pewna, że już go widziałam - może podczas tamtej niesławnej autobusowej przejażdżki zafundowanej nam przez tatę. Po chwili uświadomiłam sobie, że to dom filantropa Ignatiusa Wee, patrona Świętej Anny. Oto, dokąd zaprowadziła mnie nauka w jego szkole: miałam być jego służącą.

Wokół domu roilo się od hinduskich ogrodników pielęgnujących rozległy trawnik. Ręcznie. Widok ich zgarbionych pleców skłaniał do porównań z bezimiennymi zbieraczami kłosów z obrazów Milleta. Wkrótce mogłam zasilić ich szeregi. Dużo się zmieniło od czasu, gdy rządziłam na plantacji w dżungli. Gdy naciskałam dzwonek, cierpiałam na myśl o moim upadku.

Do holu wprowadził mnie wiekowy kamerdyner i dyskretnie się oddalił. Weszłam do salonu. Rodzina Wee wywodziła się z Peranakanów i jak wszyscy Peranakanowie miała słabość do tego, co europejskie. Ktoś zadał sobie dużo trudu, żeby urządzić salon według reguł stylu belle époque. Puszyste kotary i lampy Tiffany ego w kształcie ważek były przesadą, ale o elegancji wnętrza decydowały weneckie stoły na smukłych nogach i krzesła. Może nawet zbyt przesadnej, jak na codzienny użytek. Całości dopełniał krzyż z krwawiącym Chrystusem (Peranakanowie byli zazwyczaj katolikami) nad bogato zdobionym kominkiem - upiorna wizja cierpienia pośród widomych oznak bogactwa.

Niespodziewanie rozbrzmiał gong. Podskoczyłam jak oparzona. Dopiero po chwili zorientowałam się, że to zegar stojący w holu wybił wpół do dwunastej. Dźwięk wydał mi się tak donośny, dlatego że w domu panowała martwa cisza. Czyżby moja podopieczna zdążyła wyzionąć ducha zaledwie kilka godzin po wstępnej rozmowie w sprawie posady?

Przyjechałam do domu Wee przygotowana psychicznie na dokładne przepytywanie. Do salonu weszła przełożona personelu rezydencji, delikatna trzydziestoletnia kobieta o szlachetnych rysach. Po krótkiej wymianie zdań uśmiechnęła się z aprobatą. Pochodziła z Szanghaju i była spragniona rozmowy w rodzimym języku.

- Pani Wee czeka na ciebie - powiedziała.

Więc moja podopieczna żyje. Ciekawe, czy to pani Ignatiusowa Wee? Moja szanghajska krajanka szybko zaspokoila moją ciekawość. Według standardów przyjętych na Czarnej Wyspie rodzina Wee zaliczała się do

starych rodów, co oznaczało, że można było prześledzić jej genealogię do pięćdziesięciu lat wstecz. Patriarchą rodu był kancelista w Kompanii Wschodnioindyjskiej. Jego wnuk, Ignatius Wee, prowadził wiele interesów, z pośrednictwem w handlu kauczukiem włącznie, i przewodniczył miejscowej chińskiej izbie handlowej. Reszta członków jego rodziny nie pracowała.

- Wiem, bardzo tu cicho - powiedziała teatralnym szeptem, gdy prowadziła mnie przez hol do schodów wiodących do buduaru starszej pani. - Ten dom rozpaczliwie potrzebuje dziecięcego śmiechu. Tyle że dzieci boją się tu przychodzić. Nie można mieć im tego za złe, prawda?

- Na co choruje starsza pani?

- Ma guza mózgu. Od tego traci wzrok.

Azyl pani Wee znajdował się na piętrze w pokoju najbliżej schodów. Był przestronny jak salon na dole. Ciężkie zasunięte kotary nie przepuszczały dziennego światła. W środku panował mrok. Spodziewałam się, że starsza pani śpi, jednak w tej samej chwili rozbłysła lampa i ją ujrzałam: siedziała w wysokim fotelu, przytomna i czujna. Nie była stara, miała najwyżej sześćdziesiąt lat.

- Podejdz tu. - Jej głos brzmiał mocniej, niż oczekiwałam. Zrobiłam krok do przodu.

- Bliżej - powiedziała miękko, wyciągając rękę. - Moja choroba nie jest zaraźliwa.

Posłuchałam. Podeszłam tak blisko, że mogła dotknąć mojej twarzy drobnymi żyłastymi dłońmi. Przesunęła palce po moich policzkach. Jak tarantula wodziła nimi po czole i skroniach, patrząc przed siebie nieruchomymi oczami. Miałam do czynienia z nawykłą do bogactwa wielką panią ze śladami niezwyklej urody. Mimo choroby była najsilniejszą kobietą, jaką spotkałam. Oczywiście po mamie.

Zadowolona z efektów dotykowej inspekcji powiedziała przekornie, jakbym miała myśleć o niej gorzej z powodu jej ślepoty: - Nie jestem ślepa. A przynajmniej nie całkiem. Masz wysokie czoło, lekko wysunięte.

Wstrzymałam oddech.

- To dobry znak - wyjaśniła. - Masz też „perłę feniksa”. Przypuszczam, że nie wiesz, co to jest, ponieważ nie zrobiłaś nic, żeby ją podkreślić. „Perła feniksa” to powiększenie górnej części wargi znajdującej się tuż pod nosem. To dobra wróżba, jeśli szukasz męża. Odwraca uwagę od twojego nosa, który, chociaż symetryczny, jest zbyt kanciasty. Masz jakieś pieprzyki?

- Nie jestem pewna. - Jej bezpośredniość mi przeszkadzała. Dotąd nikt nie oceniał mnie jak baraniego udźca. - Na lewym policzku mam małą kropkę.

- Gdzie? Pokaż. - Chodziło jej o dotknięcie. Pochyliłam się, żeby mogła to sprawdzić. - Ach.

Zamarłam.

- To błogosławieństwo mieszane. Oznacza, że osiągniesz znaczącą pozycję społeczną, ale zaczniesz przywiązywać do tego zbyt dużą wagę i boleśnie odczujesz jej utratę. - Pokręciła poważnie głową. - Na pozór wydajesz się silna i pewna siebie, ale masz jedną fatalną słabość: poczucie własnej wartości czerpiesz z opinii innych ludzi o tobie. Pragniesz akceptacji, chcesz być uwielbiana. Dlatego każda utrata miłości czy uwagi źle na ciebie wpływa, jest dla ciebie wręcz groźna.

- I wszystko to wyczytała pani z małego pieprzyka?

- W odczytywaniu znaków nigdy się nie mylę. Poza tym - dodała łagodniej - sama mam taki pieprzyk.

Mówiła prawdę. Tyle że jej pieprzyk był większy, starszy i brzydszy. Zapadła niezręczna cisza. Nie miałam pojęcia, co odpowiedzieć. Każda moja reakcja mogła zostać odebrana jako sprzeciw albo obraza. Postanowiłam więc wykazać się użytecznością.

- Może życzy pani sobie, żeby pani poczytać, pani Wee?

- Nie, nie. Takie historie mnie nie ciekawią. - Machnęła ręką. Nagle zdałam sobie sprawę, że naszej rozmowie przysłuchuje się szanghajska przełożona służby domowej. - Odwołaj resztę spotkań - poleciła jej pani Wee. - Jestem zbyt zmęczona, żeby grymasić. Ta dziewczyna może być.

W tej samej chwili rozsunęły się kotary i pokój zalało jaskrawe tropikalne światło. Pani Wee otaksowała mnie uważnym spojrzeniem. Zadrżałam na widok jej twarzy. Była sobowtórem mamy. Bez wątplenia ładniejszym i bardziej wysuszonym, ale podobieństwo było uderzające. Przynajmniej według coraz bardziej blaknących obrazów zachowanych w mojej pamięci.

- Możesz zacząć już dzisiaj. - To zdanie, wypowiedziane stanowczym tonem, nie brzmiało ani jak pytanie, ani nawet jak prośba.

- Co mam robić? - zapytałam drżącym głosem.

- Połóż się spać.

- Teraz, proszę pani? - Nie minęło jeszcze południe.

- Wiem, że nie przywykłaś chodzić spać o tej porze, ale u nas musisz się do tego przyzwyczaić. Twoim obowiązkiem będzie czuwanie nad moim snem. Dzisiaj, jutro, co noc, póki... cóż, póki nie będziesz mi już potrzebna. Mała zaprowadzi cię do pokoju.

Moja krajanka skinęła głową, po czym opuściłyśmy panią Wee.

- Dlaczego nazywa cię Małą? - zapytałam szeptem, gdy schodziłyśmy po skrzypiących schodach.

- Przyszłam tu w wieku siedemnastu lat, ale ponieważ byłam bardzo niedożywna, pani Wee ciągle twierdziła, że mam dwanaście. - Zaśmiała się smutno. - Do dzisiaj chyba nie zna mojego prawdziwego imienia.

- Ona też pochodzi z Szanghaju?

- Nie. Jej rodzina mieszka w Nanyang przynajmniej od trzech pokoleń. Dlaczego pytasz?

- Bardzo przypomina mi kogoś, kogo znam.

Na twarzy Małej znów pojawił się smutny uśmiech.

- Oczywiście. Tutaj każdy wygląda jak ktoś stamtąd. Poprowadziła mnie przez zaparowaną ciasną kuchnię, której centralny

punkt stanowiła wielka ośmiopalnikowa kuchenka. Na dwóch palnikach stały garnki z gotującym się wywarem z kości. Na kontuarze czekały na umycie cztery porcelanowe filiżanki i przemysłne szklane urządzenie do parzenia kawy. Dwie młode kucharki z warkoczykami siedziały w kucki nad stosem żywych krewetek rozłożonych na gazecie i obierały je z zaciętą determinacją. Z radia sączyły się kantońskie madrygały ze starych Chin. Stukając drewniakami, dziewczęta odsunęły się, by zrobić nam przejście. Byłam pewna, że nie rozumieją szanghajskiego, z zadaniem kolejnego pytania wolałam jednak poczekać, aż wyjdziemy z kuchni.

- Dlaczego mam obserwować panią Wee podczas snu?

- Panicznie boi się zostawać sama w nocy, chociaż nigdy się do tego nie przyzna. A ten guz w mózgu? Przez niego widzi rzeczy, których nie ma. -Mała przystanąła i jeszcze bardziej zniżyła głos. - Wydaje jej się, że widzi duchy. Znasz te opowieści starych kobiet o ludziach bliskich śmierci, którzy widzą to, co po drugiej stronie. Pewnie uważasz ją za zdiwaczałą, żeby nie powiedzieć szaloną, ale...

- Wcale tak nie myślę.

- Pocieszę cię, że nie musisz walczyć z duchami. - Mała się roześmiała. -Masz tylko siedzieć z nią w ciemności i zapewniać, że w pokoju nikogo nie ma, gdy się obudzi i będzie miała halucynacje. Pani Wee po prostu boi się śmierci, ot co.

- Dlaczego nie prosi ciebie?

- Ja mam na głowie cały dom, głuptasku! Poza tym duma nie pozwoliłaby jej pokazać mi się w takim stanie. - Uśmiechnęła się z nieskrywanym samozadowoleniem. - Zbyt dobrze mnie zna. Jestem dla niej prawie jak córka. - Tak, córka nędznie opłacana za służbę w jej domu.

Wyszliśmy z bogato zaopatrzonej spiżarni na dziedziniec w chińskim stylu. Na sznurach wisiało świeże pranie: kolorowe bawełniane sukienki,

szyfonowe spódnice i szyte na miarę białe koszule. Wszystko było modne i nie pasowało do pani Wee. Sądząc po liczbie schnących ubrań, musiała mieć co najmniej siedmioro dorosłych dzieci.

- Ile dzieci ma pani Wee?

- Tylko dwoje.

Wiatr uniósł kwiecistą spódnicę, której brzeg zahaczył o drewnianą klamerkę. Wrr! Z metalowej klatki, którą zauważyłam dopiero teraz, dobiegło głośne warczenie. Zamknięty tam rottweiler budził dreszcz przerażenia i dobrze o tym wiedział. Raz po raz obnażał kły, rzucał się naprzód i walił potężnym pyskiem w siatkę, aż cała się trzęsła.

- Agnes! - krzyknęła na szalejącą bestię Mała. Bez skutku. Najwyraźniej nie przypadłam rottweilerowi do gustu. Psy nigdy mnie nie lubiły. - Przepraszam cię. Agnes wytresowano, żeby atakowała obcych.

Stanęłyśmy przed ozdobionym sztukaterią białym skrzydłem. Wyglądało, jakby kiedyś było częścią domu, ale zostało oderwane jak ręka lalki i rzucone gdzieś na bok. Okien strzegły pomalowane na czarno kraty. Przypomniały mi się baraki na plantacji. Miałam przed sobą ich lżejszą wersję, mimo to podobieństwo przypawiło mnie o dreszcz. Wiedziałam, że właśnie tam będę mieszkała. Jak podrzędna Dojarka.

W otwartych drzwiach stała młoda kobieta w niebieskiej tunice i czarnych spodniach, charakterystycznym stroju niań z Kantonu. Patrzyła na nas spokojnie jak zjawą, którą była. Mała sprawiała wrażenie, że jej nie widzi.

- Wierzysz w duchy? - zapytałam. Uśmiechnęła się wymijająco.

- W starym kraju może tak. Tutaj nie. Wyspa jest zbyt nowa, zbyt niewinna. Większość jej powierzchni pokrywa dżungla. Nie było tu wojen ani głodu. Skąd miałyby się tutaj wziąć duchy?

- To dlaczego sądzisz, że pani Wee się boi?

Mała przestąpiła próg i przeszła przez ducha. Zobaczyłam, że drgnęła lekko, po czym wzruszyła ramionami, by uwolnić się od nieprzyjemnego wrażenia.

- Przepraszam, co mówiłaś?

- Nieważne.

Zaprowadziła mnie do pokoju na końcu skrzydła dla służby. Co za ulga! Nie było drewnianej pryczy. Zamiast niej zobaczyłam pojedyncze łóżko ze świeżą pościelą, biurko i zaskakująco piękną, choć wysłużoną tekową szafę, zesłaną tu na pewno z głównego domu. Pokój miał już lokatora - starego Sikha. Siedział na podłodze w rogu. Współwięzień. Na mój widok błyskawicznie wyskoczył przez okno, przenikając przez kraty.



- Spij dobrze - powiedziała Mała. - Mam nadzieję, że nie boisz się ciemności. Po tych słowach wyszła.

Układając rzeczy, znalazłam w szafie poźólką Biblię. Przekartkowałam Stary Testament. Ogień, plagi, potop - niekończąca się seria klęsk i kataklizmów. Zdążyłam już zapomnieć, ile sadystycznej przyjemności kryje się w tych opowieściach. Słońce zniżało się już od godziny, zanim zmorzył mnie sen. Cud, że w ogóle zdołałam zasnąć, zważywszy nierówności materaca i to, że zwykle chodziłam spać o północy.

O dwudziestej drugiej obudziły mnie trzy mocne stuknięcia do drzwi. Mała weszła do pokoju, nie czekając na moje wezwanie.

- Jesteś potrzebna. Pani Wee zaraz kładzie się spać.

Minęliśmy klatkę z ujadającą rottweilerką i weszliśmy do skąpanego w księżycowym blasku domu, gdzie jedynym dźwiękiem było tykanie szafkowego zegara.

- Nie licz, że będę cię budziła co wieczór i pilnowała - wyszeptała. - Kup sobie budzik i bądź gotowa codziennie o dwudziestej drugiej. Pani Wee nie toleruje spóźnień.

- Rozumiem.

Kiedy przechodziłyśmy obok okna, przez które wlewała się do środka niebieska poświata, Mała przystanęła i z uniesionymi brwiami oceniła mój strój - czarną bluzkę i równie czarną spódnicę.

- Wybierasz się na pogrzeb? Dlaczego, do licha, tak się ubrałaś? Pani Wee weźmie to do siebie. Jutro włóż coś innego. Jeśli nie masz, pożyczę ci. Poza tym jesteś zdana sama na siebie.

- Rozumiem.

- Jeśli pani Wee obudzi się w środku nocy i zacznie bredzić o duchach, zachowaj spokój i mów, że niczego nie ma. Bez względu na sytuację, twoim zadaniem jest zachować spokój. Szczerze mówiąc, jej zawodzenie w ciemnościach jest przerażające, ale nie możesz się tym przejmować. Zwykle nie zdarza się częściej niż dwa razy w ciągu nocy. Jeśli zrobi się... hm, trudna, podaj koniak albo coś równie mocnego. Jej lekarz zaaprobował podawanie alkoholu. Parę łyčzków, nie więcej. Karafka stoi na sekreterze. A przede wszystkim nigdy nie mów rano o tym, co działo się nocy. To dla niej zawstydzające, a pani Wee nie znosi być zawstydzana.

- Oczywiście. - Zalecenia dziwne, ale wykonalne.

- Ostatnia rzecz: na noc Agnes jest wypuszczana z klatki. Na twoim miejscu nie wychodziłabym z głównego domu. Obie widziałyśmy, jak na ciebie

reaguje. Nie chciałabym znaleźć cię rano rozszarpanej na strzępy. - Kiedy znalazłyśmy się pod drzwiami pani Wee, Mała spojrzała na mnie z chytrym uśmiechem. - Powodzenia - rzuciła na odchodnym.

W pokoju pani Wee było ciemno. Potrzebowałam chwili, żeby moje oczy zaczęły rozróżniać kontury przedmiotów.

- Pani Wee?

- Czekasz na specjalne zaproszenie, dziewczyno? Podejdz. Usiądz tutaj. Miałam osiemnaście lat, lecz słysząc jej polecenia, czułam się jak mała przestraszona dziewczynka. Sylwetka pani Wee odcinała się na ciemnoszarym tle wezłowania łóżka. Obok stało twarde drewniane krzesło, które mi wskazała.

- Mogę nadać ci przezwisko?

- Tak, proszę pani.

- Może być Cień?

- Doskonale.

- Wiesz, dlaczego wybrałam akurat to słowo?

- Nie, proszę pani.

- Ponieważ jest w tobie coś negatywnego, coś ciemnego. Wiesz, że niektórzy ludzie roztaczają wokół siebie blask? Z tobą jest zupełnie inaczej. Nie uśmiechałaś się, nie starałaś zrobić miłego wrażenia. Zatrudniłam cię tylko z jednego powodu: powiedziałaś, że chodziłaś do Świętej Anny. Zadzwoiłam do siostry Nesbit i usłyszałam, że muszę cię przyjąć, że nie zna bardziej rozgarniętej młodej katoliczki niż ty i że jesteś bardzo dyskretna. A tak na marginesie, *to* nie podoba mi się *twój strój*. Chyba ci mówiłam, że *nie jestem ślepa*.

- Więcej tego nie włożę, proszę pani.

- W takim razie, Cieniu, idę spać. Gdybyś zgłodniała, na stoliku obok krzesła jest taca z kanapkami. Wody nie ma. Nie chcę, żebyś biegała w nocy do toalety i mnie zostawiała, rozumiesz? Do zobaczenia rano.

Przez kilka minut leżała bez ruchu. Wkrótce jej oddech pogłębił się i spowolnił. Prócz ludzi pracujących w pocie czoła na plantacji nie znałam nikogo, kto zasypiałby tak szybko. A przecież miałam do czynienia z kobietą cierpiącą. Czyżby morfina? Było za ciemno na czytanie, chociaż nawet nie pomyślałam o przyniesieniu książki. Nie miałam nic innego do roboty niż siedzieć i czekać na świt, a z nadejściem świtu czekać, aż starsza pani się obudzi. Gdyby to nie było takie męczące, siedziałabym nieruchomo, ponieważ szybko odkryłam, że przy najmniejszym poruszeniu krzesło niemiłosiernie skrzypi. To oczywiście wykluczało drzemkę.

Pozostało mi tylko wpatrywać się w zarys sylwetki mojej chlebobawczy-ni. Spała na plecach, z rękami splecionymi na piersiach. Tak spali tylko ludzie na filmach. Moja rola upodabniała mnie do strażnika w kostnicy. Strzegłam kogoś, kto sprawiał wrażenie martwego. Powiodłam znudzonym spojrzeniem po pokoju.

Z ciemności zaczęłam wyodrębniać kształty. Cztery słupki wyznaczały granice łóżka, niewyraźny kwadrat był toaletką, dwaj przycupnięci mężczyźni w stożkowatych czapkach okazali się lampkami na stole. Nagle usłyszałam złowrogi pomruk. Trwał około pół minuty.

W końcu zorientowałam się, że to mój żołądek domaga się jedzenia.

Poszukałam rękami stolika, o którym wspomniała pani Wee. Stał tak blisko krzesła, że o mało go nie przewróciłam. Na szczęście pani Wee nawet nie drgnęła. Na stoliku stała taca pełna małych prostokątów, sztywnych jak wyschnięta ścierka do tablicy. Wzięłam jeden i wbiłam zęby w czerstwe pieczywo. Ohyda! Nie wiedziałam, który składnik kanapki jest bardziej nieświeży: margaryna, szynka czy plasterek ogórka. Mimo obrzydzenia ugryzłam następny kęs. Nie jadłam ani lunchu, ani kolacji. Byłam głodna. Przerwałam, dopiero gdy okruszki utkwily mi w gardle. Nie mając wody do popicia, ostrożnie sięgnęłam po karafkę koniaku i upiłam spory łyk. Mocny płyn palił mi przełyk, ale poczułam się dziwnie nasycona. Wypiłam drugi łyk.

Moje oczy wydobyły z mroku więcej kształtów. Wydęte kotary wyglądały, jakby w ich fałdach chowały się milczące dzieci. Na łóżku leżało kilkanaście poduszek przypominających drzemiące koty. Nie znałam dotąd osoby potrzebującej tylu poduszek czy kotów. Zegar wybił godzinę. Wpół do jedenastej. Dopiero? Niemożliwe! Czas dłużył się niemiłosiernie. Moje zajęcie okazało się gorsze od obowiązków zwykłego nocnego stróża, który przynajmniej miał prawo pogwizdywać.

I wtedy z góry spłynęła po moich ramionach fala zimna. Uznałam to za objaw wyczerpania. Sufit otworzył się nagle, odsłaniając nieskończoną czerń, zupełnie jakby do środka zajrzało nocne niebo, tyle że pozbawione gwiazd. Z krawędzi tego prostokąta posypał się śnieg. Lecz nie były to wcale płatki śniegu. To był tajemniczy pył przypominający punkciki, jakie migają przed oczami po zbyt długim wpatrywaniu się w ciemność.

Pył rozjarzył się i przemienił w iskierki. Byłam pewna, że osiadą na mojej skórze, wywołując falę leciutkich impulsów elektrycznych. W miarę swobodnego opadania wyparowywały, stając się smużkami dymu płynącymi na środek pokoju i formującymi biały fosforyzujący krzyż nad panią Wee. To było porażająco piękne zjawisko. Wyobrażałam sobie, że tak może

wyglądać zwiastun pojawienia się dobrej wróżki lub zapowiedź finałowej arii sopranu.

Spowita blaskiem pani Wee poruszyła się jak koń strząsający z siebie dokuczliwe muchy, ale się nie obudziła. Z dymu wyłoniła się jakaś postać. Wyglądała zupełnie jak pani Wee, tyle że młodsza. Miała może trzydzieści pięć lat. Zawisała w powietrzu i spoglądała w dół. Wtopiłam się w tło tak dobrze, że duch nie dostrzegł mojej obecności.

A może tak mi się tylko wydawało.

- O, nowa dziewczyna - powiedziała zjawa, nie odwracając się w moją stronę. W jej głosie pobrzmiwały echa i posykiwania, jakby był transmitowany przez radio z bardzo daleka.

- Przestań się zadrećzać - powiedziałam. - Wszystko jest dobrze. Śpij. Nie słyszała mnie. Ponowiłam próbę, zniżając głos do szeptu, by dostroić się do jej głosu.

- Śpij. Nikogo tu nie ma.

Zjawa wisiała jednak nad łóżkiem i nie reagowała na moje słowa. Próbowałam jeszcze kilka razy, aż zirytowana wciągnęłam głęboko powietrze. Kiedy je wypuszczałam, mój stłumiony głos wypełnił cały pokój: /

- Proszę spać... Tym razem się udało.

- Mam prawo tu być. To był mój pokój.

Tak mnie uradowało nawiązanie kontaktu, że o mało się nie zaśmiałam. Opanowałam się jednak, by mój głos znów brzmiał pewnie, z głębi trzewi.

- I nadal jest, pani Wee.

Dopiero teraz zjawa zwróciła się w moją stronę.

- Tak, jestem panią Wee, ale nie tą, za którą mnie bierzesz. Nie jestem wiekową panią Wee leżącą w tym łóżku, dręczoną poczuciem winy tak wielkim, że od dziesięciu lat nie przespala spokojnie ani jednej nocy. O, nie.

- Więc jesteś jej młodszym „ja”? Zjawa zachichotała szyderczo.

- To nie *Opowieść wigilijna*, moje małe biedactwo. Ja jestem oryginalną panią Wee. Pierwszą, prawdziwą. Umarłam na malarię dziesięć lat temu, a ta stara panna, moja siostra, przykleiła się do mojego samotnego męża. Niech diabli wezmą tego głupiego Ignatiusa! A ona? Puszczalska jedna! Pobrali się trzy miesiące później. A ja myślałam, że biedna Betsy będzie sama do końca życia.

Miałam więc do czynienia ze zmarłą siostrą umierającej pani Wee. - Od tamtego czasu ją nawiedzasz? - zapytałam.

- Dziesięć lat, a ona ani razu mnie nie widziała. I nagle wpada w histerię. Musi już być na ostatnich nogach.

- Dlatego powinnaś zostawić ją w spokoju. Jest nieszczęśliwa - rzekłam pojednawczo. - Poza tym ty jesteś w lepszym świecie niż ona.

- Skąd wiesz? Ktoś przysłała ci stamtąd pocztówki?

Nie odpowiedziałam. Trafiłam na sarkastyczną zjawę. Czy wszystkie duchy wiernie trwają przy swoich dziwactwach i pretensjach? Jeśli tak, to prawdziwa pani Wee pewnie miała rację: jej świat nie jest lepszym miejscem niż nasz.

Zamknęłam oczy, ignorując zjawę. Ona jednak miała swoje plany.

- Masz ochotę zobaczyć krzyczącą staruszkę? - zapytała wesoło. - To bardzo interesujące doświadczenie. - Odplynęła dwa kroki do tyłu i wyrzuciła w górę ręce, przygotowując się do wezwania swojej siostry.

- Na pewno mogę coś zrobić - podjęłam ostatnią próbę udobruchania zjawy - żeby pomóc ci wyrównać rachunki.

- *Qui pro quo?* - Opuściła ręce. - Niech pomyślę... Tak, oczywiście. Jasne. Zwrócisz mi moje życie? Mojego męża? Moje dzieci? Ona gardzi moimi dziećmi, wiesz? Uważa, że są rozpuszczone jak dziadowski bicz, i ma rację, ale mimo to chciałabym je odzyskać. Zrobisz to dla mnie?

Skrzywiłam się.

- Taką siłą sprawczą nie dysponujesz, co? - mruknęła z przekąsem. , - Zachowajmy zdrowy rozsądek.

- Na jakiej podstawie sądzisz, że rozsądek ma z tym coś wspólnego? Odetchnęłam głęboko.

- Co twój jeszcze ma, co chciałabyś odzyskać?

- Moje rubinowe kolczyki. - Powiedziała to tak szybko, że zaskoczyła nawet samą siebie. - Iggy kupił mi je podczas podróży do Hongkongu. Chciał mnie w nich pochować, ale Betsy oczywiście nie pozwoliła przedsiębiorcy pogrzebowemu spełnić jego woli. Według niej to byłoby niewybaczalne marnotrawstwo. Sama nigdy ich jednak nie nosiła. Chyba kolidowały z jej znamionami. - Zachichotała gorzko. - Są tam.

Cisnęła rój iskier w stronę tekowej komody pani Wee. Podeszłam na palcach i ostrożnie otworzyłam górną szufladę. Moim oczom ukazały się piękne kolczyki, szlifowane rubiny tworzące lśniącą kaskadę o długości siedmiu centymetrów. Leżały na czarnym aksamicie, który jeszcze podkreślał ich blask. W porównaniu z kolczykami reszta biżuterii w szufladzie była niegustowna: hodowlane perły i pospolite jadeitowe łożki.

- Co mam z nimi zrobić?

- Użyj wyobraźni. Jeśli nie potrafisz, to ci podpowiem, że można je zakopać w ogrodzie za domem.

Łatwizna.

- Załatwione. Czy dzięki temu zaznasz spokoju?

- Żebracy nie mogą wybrzydzać. Chrząknęłam.

Zjawa posłała mi żartobliwy uśmiezek.

- Liczy się sama myśl o tym.

Przez szczeliny w kotarach sączyło się blade światło. Wstawał dzień. Chociaż miałam wrażenie, że upłynęło zaledwie kilka minut, rozmowa ze zjawą trwała długie godziny.

Kiedy do pokoju wpadło więcej światła, przyjrzałam się ułożonym w stos kanapkom. Każdą pokrywała warstwa szarej pleśni.

O wschodzie słońca na dworze życie toczyło się w najlepsze. Rottweilerka Agnes siedziała już w klatce, ale mimo krat rzucała się w moim kierunku, gdy szłam w stronę skrzydła dla służby. Zupełnie jakby wyczuwała rubinowe kolczyki schowane w moim staniku.

Tamilski ogrodnik Subramaniam siedział w kucki obok klatki z płatem połędwicy wołowej. Najwyraźniej do jego obowiązków należało obrzydliwe zadanie karmienia bestii. Kiwnąwszy przeprasząco głową, powiedział:

- Nieprzewidywalny ten pies. - Wyciągnął prawą rękę i pokazał mi nierówne wgłębienie, którego poszarpane brzegi zszuł jakiś pokątny chirurg.

Podczas gdy ludzie Subramaniamy uwijali się w ogrodzie, Saudah, praczka z Sumatry, z podwiniętymi rękawami napełniała wodą dwie olbrzymie balie. Wymieniła z Subramaniamem poranne przywitanie - *Selamat! Salami* - A potem pomachała mi ręką pokrytą mydlinami. Zadowolona, że włączyła mnie do wspólnoty, odwzajemniłam ten gest.

Służący chyba się lubili. Wyjątkiem był Issa, milczący szofer z Celebesu. Właśnie rozpoczął swój codzienny rytuał mycia i woskowania czarnego bentleya rodziny Wee. Nie patrzył na nikogo, do nikogo się nie odzywał, a mimo to sprawiał wrażenie doskonale zorientowanego w każdej wymianie zdań między służbą. Inni go nie zagadywali. Wystarczył rzut oka na jego posturę wojownika i długą czarną grzywę, by zrozumieć powód. W obu uszach nosił grube złote obręcze, symbole jego morskiego rodowodu - nie wątpię, że pirackiego - a jego czujne oczy o opadających powiekach dawały jasno do zrozumienia, że nie życzy sobie, by mu przeszkadzano. Wydawało mi się, że rzucił w moją stronę Przelotne spojrzenie, ale w następnej chwili uznałam, że mi się przywidziało.

Mijając kolejnych służących, czułam na skórze lodowaty dotyk rubinowych kolczyków.

Ogród różany na drugim końcu skrzydła dla służby był zaniedbany i niewidoczny dla ciekawskich oczu. Łopatką znaną w donicy z kwiatami wykopałam płytki dołek pod krzewem najczerwieńszych róż, włożyłam tam kolczyki i przysypałam je ziemią. Czerwień pod czerwienią - symbolizmowi stało się zadość.

Wracając do pokoju, zerknęłam w stronę Agnes. Przysiadła na zadzie i obserwowała moje poczynania. Nie szczekała. Dobry piesek, dobry.

Jakie to szczęście, pomyślałam z ulgą, że cywilizowane duchy kierują się zdrowym rozsądkiem - w przeciwieństwie do duchów z dżungli, ulegających irracjonalnym napadom szału. I teraz mogę z nimi rozmawiać!

Znalazłszy się w pokoju, przegoniłam nieszkodliwego starego Sikha.

- Uszanuj moją prywatność! - odezwał się nowym szeptem płynącym prosto z trzewi i zadowolona ze zwycięskiej batalii zapadłam w sen. Przetrwałam pierwszą noc!

Obserwowanie pani Wee stało się formalnością. Przez kilka kolejnych nocy duch się nie pojawiał. Zakopanie kolczyków rzeczywiście przyniosło mu spokój. Ośmielona sukcesem, stawiając się codziennie na służbę u wezgłowia pani Wee, zaczęłam przemycać pod ubraniem cienkie książki. Kiedy zasypiała, chowałam się za kotary i czytałam przy księżycowej poświacie. Dzięki temu zawsze miałam przy sobie bliskie mojemu sercu *Kwiaty zła* Baudelaire'a, które pomagały mi przetrwać samotne godziny między dwudziestą drugą i siódmą.

*Niekiedy zdaje mi się, że krwi mojej fale*

*Uchodzę gdzieś ze mnie, słyszę ich rytmiczne żale\*.*

Tydzień później Mała wzięła mnie na bok. Jak zwykle rozpływała się w uśmiechach, jednak tym razem wyczułam w nich odrobinę zazdrości. Szanghajskie kobiety mają dar skrywania wrogich myśli i z równym mistrzostwem je wyczuwają.

- Nie wiem, co zrobiłaś, ale to działa. Dawno nie widziałam pani Wee tak spokojnej i wypoczętej po nocy. Chyba stosujesz jakąś magię rodem z dżungli.

\* Charles Baudelaire, *Fontanna krwi z Kwiatów zła*, przekł. Jan Opęchowski, Wydawnictwo Literackie Kraków 1990.

Po tej kąśliwej pochwalie wręczyła mi kopertę z pierwszą wypłatą. W swoim młodym życiu nigdy nie trzymałam w ręku takiej sumy pieniędzy.

Uczciłam mój mały triumf zaproszeniem Li na rosyjski szaszłyk do Trojki przy High Street, w sercu dzielnicy handlowej. Rosyjska kuchnia imperialna była ostatnim krzykiem mody na Wyspie, ponieważ dziesięć lat wcześniej była ostatnim krzykiem mody w Szanghaju. I nie miało znaczenia, że tutejszą jej wersję przygotowywał kucharz pochodzący z Hajnanu, który nigdy w życiu nie był w Leningradzie.

Na podjeździe przed restauracją stały luksusowe samochody: lśniące ca-dillaki, lincolny i studebakery. Zajęci pogawędką malajscy szoferzy siedzieli w cieniu figowca bengalskiego w kłębach papierosowego dymu. Niepewnie podeszliśmy do wejścia, czując, jak bardzo różnimy się od reszty gości strojem i brakiem osobistego szofera. W środku gburowatość kierownika sali nie pomogła nam odzyskać pewności siebie.

Li odwrócił się w stronę drzwi.

- Zmywajmy się stąd. Przytrzymałam go za ramię.

- To ja zaprosiłam cię na lunch i ja mówię, że zostajemy.

Dostaliśmy miejsce w boksie tuż przy scenie. Na stołkach barowych siedzieli dwaj starsi brodaci Żydzi i brzdąkali na bałałajkach. Rozgadani goście w ogóle nie zwracali na nich uwagi.

Kilka minut później to ja miałam ochotę wyjść.

- Byłam u niego w zeszłym tygodniu - powiedział Li. - On nas potrzebuje. Poczulałam nagły kurcz w żołądku.

- Możemy nie rozmawiać o nim przy jedzeniu?

- Dlaczego aż tak go nienawidzisz?

- A dlaczego ty nie? Li westchnął ciężko.

- Musisz znać prawdę.

- To nie może poczekać? Teraz świętujemy.

Li nie mógł czekać. Zaczął snuć opowieść, której szczegółów nie znałam.

- Ma teraz kram w Cudownym Świecie... Rozpuszcza w wodzie grudki cukru, dodaje utłuczony agar. Nazywa ten napój Ptasim Gniazdem, na tablicy wypisał hasła chwające jego właściwości. Zyski nie są duże, ale też niemałe.

-I?

- Chodzi o to, że ma długi. Siedzi w długach po uszy. Jest winny Triadzie. Chyba każdy w Cudownym Świecie ma jakiś dług wobec Triady.

- To jego zmartwienie.



- Nie, nasze.

- To się nigdy nie skończy, co? - Zatrzymałam kelnera mijającego nasz stół. - Proszę przynieść najdroższą wódkę, jaką tu macie. Nie musi być dobra. Niech będzie najdroższa. - Prędkiej roztrwoniałabym swoją pensję na drinki, niż dała tacie choćby centa. Li pokręcił z dezaprobatą głową.

Kiedy kelner przyniósł drinka - to była moja pierwsza wódka w życiu, na dodatek podwójna - opróżniłam szklaneczkę jednym haustem, nie spuszczać wyzywającego wzroku z Li. Gardło paliło mnie bardziej niż po koniaku pani Wee. Zakasłałam, wściekła na siebie za to, że okazałam słabość.

Li nabrał powietrza, gotów kontynuować swoją opowieść. Przywołałam tego samego kelnera i poprosiłam o kolejną porcję wódki. Mężczyzna zachichotał protekcjonalnie, ale nie dałam się zbić z tropu.

- Natychmiast - warknęłam. Li pochylił się w moją stronę.

- W Cudownym Świecie zatrudniają wróżki, jasnowidzów i różnych takich ludzi. Szukają dziewczyn, które potrafią rozmawiać z duchami albo umieją udawać, że potrafią. - Spojrzał na mnie znacząco. - Nieźle płacą. I cały ten interes wcale nie jest taki podejrzany.

- Podejrzany jak co? Wydał wargi.

- Oboje wiemy, że ty... to znaczy pontianak...

- Nic nie widziałeś. Majaczyłeś.

Kiedy zjawił się kelner z drugą wódką dla mnie, Li próbował mi ją odebrać. Uderzyłam go serwetką i wychyliłam szklaneczkę, zanim zdążył spróbować jeszcze raz. Alkohol palił mocniej niż za pierwszym razem, ale zaczynało mi się to podobać.

- Dlaczego ty się nie zgłosisz? Dlaczego to muszę być ja?

- Bo... - zawahał się - chcę przyciągnąć mężczyzn.

- Idź do diabła!

Bałałajkowy duet przestał grać. W sali zapadła cisza. Krzyknęłam chyba głośniejszym, niż chciałam. Zniżyłam głos i muzycy, wymieniwszy cierpki spojrzenia, wrócili do brzdąkania.

- Nie kiwnę dla niego palcem. Wpakował się w tarapaty na własne życzenie.

- Koniec końców to nasz ojciec - odparł Li cicho. - Przynajmniej zawsze był przewidywalny. Nawet w swoich słabościach. Nie robi innym krzywdy świadomie. Nawet nie poprosił nas o pomoc. Widziałem się z nim i wiem, jak mu ciężko.

Sięgnęłam do torebki i rzuciłam na stół garść drobnych.

- Więcej ode mnie nie dostanie!

Kiedy kelner przyniósł dwa talerze ze skwierczącą zawartością, zerwałam się z krzesła i przepchnęłam między zadowolonymi z siebie biznesmenami w stronę drzwi. Chciałam jak najszybciej wyjść. Znalazłszy się na podjeździe, ruszyłam chwiejnie w stronę najbliższego tramwaju.

Pasażer siedzący na końcu wagonu przyglądał mi się uważnie. Spioruno-wałam go wzrokiem. Miał na czole śmieszne różowe znamię w kształcie męskiego członka, tylko częściowo zasłonięte tanim kapeluszem. Przypomniłam mi się nasz służący Świerszcz. Mała miała rację: na Wyspie każdy wygląda jak ktoś ze starego kraju.

Dopiero gdy dotarłam do rezydencji Wee i padłam pijana na łóżko, uświadomiłam sobie, że zostawiłam biednego Li z rachunkiem.

Spałam mocno, gdy do mojego pokoju wparowała Mała. Głowa mi pulsowała, rzeczywistość wracała do mnie w oderwanych fragmentach. Było jeszcze popołudnie. Agnes ujadła wściekle w klatce, a wtórowały jej krzyki pani Wee.

- Mówi, że ukradłaś jej kolczyki! - Zaniepokojona Mała mierzyła mnie wzrokiem w poszukiwaniu oznak winy. Czują się odpowiedzialna, bo przyjęła mnie do pracy w rezydencji. - Lepiej, żeby to nie była prawda!

Po chwili odsunęła ją na bok para starszych chińskich służących. Widziałam ich pierwszy raz. Kobieta i mężczyzna zaczęli przetrząsać moje rzeczy, zaczynając od najbardziej osobistych. Sprawdzali dokładnie każdą sztukę bielizny. Żadne z nich nie odezwało się do mnie słowem. Mała wybiegła z pokoju z zaczerwienionymi oczami i miną kobiety zdradzonej.

- Ile szatańskich białych książek - mruknął mężczyzna do swojej towarzyszki zjadliwym kantońskim. - Co ta dziewczyna chce zrobić z tyloma książkami?

- Ostrzegali nas, że jest dziwna - odparła kobieta.

Oczywiście niczego nie znaleźli. Po zakończonym przeszukaniu poprowadzili mnie do kryjówki pani Wee. Na schodach natknęłam się na trzy nieznane mi osoby. Sondowały mnie z różnym natężeniem sceptycyzmu w oczach. Rodzina. Ponieważ każdy miał inny rozkład dnia, dotąd nie zostałam im przedstawiona. Oto miałam przed sobą siwowłosego Ignatiusa Wee, niskiego krępego mężczyznę w samej koszuli, którego wzięłam za kamerdynera, gdy pierwszego dnia wpuścił mnie do rezydencji. Emanowała z niego dziwna obojętność. Była jeszcze dwójka jego dzieci: wysoki chłopak mniej Więcej w moim wieku, którego niedbała postawa w żaden sposób nie odej-

mowała mu urody, i młodsza od niego pulchna dziewczynka z naburmuszoną miną.

Rodzina wyłoniła się z cienia, by mnie osądzić. Każda pora dobra, powiedziałam sobie w duchu, by poznać to niewidzialne plemię. Przecież nie byłam złodziejką. Weszli ze mną do pokoju pani Wee, jakby się bali, że idąc za nimi, nie oprę się pokusie przetrząśnięcia im kieszeni. Tylko chłopak sprawiał wrażenie zażenowanego całą sytuacją. Posłał mi przelotny uśmiech, po czym odwrócił wzrok. Mała i czworo służących - wszyscy jako potencjalni świadkowie - podążyli za rodziną Wee.

- Zaufałam ci, Cieniu! - krzyknęła pani Wee z łóżka. Nadal miała na sobie jedwabną piżamę z poprzedniej nocy. - Dokąd wyniosłaś moje kolczyki?

Władczy ton, jakim powiedziała „moje kolczyki”, sprawił, że poczułam do niej jeszcze większą antypatię.

- Mowę ci odjęło? Pytałam o coś, dziewczyno! - Cisnęła we mnie jedną z falbaniastych poduszek, którą zwinnie złapał chłopak.

- Ciociu Betsy - odezwał się zaskakująco niskim głosem - niczego w jej pokoju nie znaleźli. Nie możesz jej bezpodstawnie oskarżać.

- Pewnie zdążyła je sprzedać - wtrąciła jego posępna siostra. - Te dziewczuchy z Szanghaju są bardzo przebiegłe. Może nawet jest z kimś w zмовie. - Rzuciła gniewne spojrzenie Małej, która wyraźnie zmarkotniała.

- Danielu, Violet ma rację. - Pani Wee spojrzała na chłopca złym okiem. - Gdybyś myślał głową, a nie dolną częścią ciała, nie zacząłbyś jej od razu bronić. Mogła zanieść moje kolczyki do jakiegoś lombardu w Chinatown, żeby spłacić długi hazardowe swojego ojca. Kto wie, może jest nawet w zмовie z ludźmi Triady. Mam rację, Cieniu?

Rozwścieczona tymi insynuacjami, odwróciłam wzrok. Wolałam zrezygnować z pracy u Wee niż znosić te zniewagi. Podchwyciłam przelotne spojrzenie Daniela. Wyczułam, że jest po mojej stronie, ale nie ma wystarczającej siły przebicia, by interweniować.

Głowa rodziny, Ignatius Wee, aż do tej chwili milczał. Wreszcie zabrał głos:

- Nie rzucajmy pochopnych oskarżeń. - Mówił jak aktor czytający swoją kwestię sumiennie, lecz bez przekonania. Miał wytworny akcent wyższych sfer, co dziwiło u człowieka o aparycji niepozornego handlarza ryżu z Chinatown. - Zadzwoń do paru jubilerów w mieście. Jeśli te kolczyki gdzieś wypłyną, oni będą to wiedzieli. A na razie zachowajmy spokój. To dotyczy też ciebie, Betsy. Potrzebujesz odpoczynku.

- Ale moje kolczyki! - jęknęła żałośnie pani Wee. - Nie wiesz, ile one są warte!  
- Wiem bardzo dobrze - zapewnił pan Wee. - Sam je kupiłem. A teraz uspokój się, bardzo cię proszę. - Poruszając bezgłośnie ustami, powiedział do Małej „morfina”, a ona potulnie skinęła głową.

Do pokoju odprowadziła mnie para starych służących. Mała zjawiała się kilka minut później ze ściągniętą twarzą.

- Pan Wee powiedział, że masz zakaz opuszczania swojego pokoju do czasu wyjaśnienia sprawy - zakomunikowała, naśladowując jego sztywny sposób mówienia, co pozwoliło mi się zorientować, że to informacja z pierwszej ręki. - Oczywiście nie będziesz czuwała nad snem pani Wee.

- Wierzysz mi, prawda?

- W co mam wierzyć? Stałaś tam jak niemowa, nie odezwałaś się ani słowem. Skąd mam wiedzieć, w co wierzyć?

Usłyszałam dźwięk klucza przekręcane w zamku. Zostałam sama.

„Szatańskie białe książki” pomogły mi zagłuszyć niepokój. A kiedy czytanie przestało działać, próbowałam zająć rozmową ducha starego Sikha. (Nie okazał zainteresowania i zniknął na dobre). Mała przychodziła dwa razy dziennie o dziwnych porach. Przynosiła zimne resztki okraszone znaczącymi westchnieniami, przekonana, że zepsułam jej reputację, ponieważ pochodzimy z tego samego miasta.

Ku mojemu zaskoczeniu, nieszczęsną więźniarkę odwiedził też Daniel. Przyniósł ciasteczka serowe zawinięte w jedwabne chusteczki z plamami tłuszczu oraz książkę przygodową o amerykańskich pionierach, która znudziła mnie śmiertelnie od pierwszego akapitu.

- To jedna z moich ulubionych książek - oznajmił. Miałam do czynienia z chłopcem, który nigdy mnie nie zrozumie.

Mimo to czekałam na jego następną wizytę, ceniąc jego odruchy życzliwości i skruszone spojrzenie, dające nadzieję, że pewnego dnia będzie silnym mężczyzną, musi tylko mieć czas.

W pokoju, który stał się moim więzieniem, czasu miałam aż nadto.

## STAN ZAWIESZENIA

Trzy dni oczekiwania, trzy dni niezdecydowania moich prześladowców. Pan Wee nie dowiedział się niczego od znajomych jubilerów, jednak z wrodzoną arogancją bogacza uznał, że ma prawo mnie więzić. Co miałam robić? Gdybym powiedziała o duchu jego zmarłej żony, na pewno kazałby mnie zawieźć do zakładu dla obłąkanych w Woodbridge.

Spałam do oporu, zwinięta w kłębek twarzą do ściany, odmawiałam jedzenia, odmawiałam picia, w końcu odmówiłam komunikowania się z innymi, nawet z Danielem. Modliłam się o wiele rzeczy - udaną ucieczkę, oczyszczenie z zarzutów, zemstę - i dzień niespostrzeżenie przeszedł w noc. Godzinami wpatrywałam się w pionową szczelinę w ścianie, biegnącą zakosami niczym uskoki tektoniczny na powierzchni białej i jałowej równiny. Trzeciego dnia zmęczyło mnie nawet patrzenie. Zamknęłam oczy.

Z odrętwienia wyrwało mnie łaskotanie w nosie. Po chwili zamiast łaskotania poczułam palący ból. Nos wypełnił mi płyn. Wciągałam do płuc wodę. Otworzyłam oczy i w tej samej sekundzie oślepiły mnie krople deszczu spadające z czarnego nieba jak przezroczyste bomby. Ręce miałam ciężkie i zimne. Nie, to moje ubrania były ciężkie i zimne, nasiąknięte wodą. Metaliczny zapach, jaki mnie otaczał, pochodził z... ziemi. Leżałam w błocie smaganym piekielną ulewą.

Zostałam pogrzebana za życia. Zaczerpnęłam powietrza i wyprostowałam się gwałtownie, by walczyć z moim grabarzem. Jednak wokół nie było żywej duszy. Stałam w ogrodzie za domem. Sama.

I wolna.

Gdy zobaczyłam krzewy różane, od razu wiedziałam, co robić. Zataczając się, podeszłam do najczerwieńszego z nich, opadłam na kolana i rękami zaczęłam wybierać ziemię wokół korzeni. Deszcz niweczył moje wysiłki. Tam, gdzie spodziewałam się skarbu, było trzęsawisko. Kopałam pod drugim krzewem, potem pod trzecim, o mało nie wrywając ich z korzeniami, i byłam już gotowa wyć, gdy ktoś - a może coś? - zrobił to - zrobiło to? - za mnie.

Agnes!

Znalazła się półtora metra ode mnie. Obnażone kły błyskały groźnie. Jej czarna sierść, gładka i lśniąca od deszczu, przydała jej dostojeństwa pantery - piękna niezauważalnego w bezdeszczowy dzień.

Wiedziałam, że jeśli zastygnę bez ruchu, Agnes po jakimś czasie pozwoli mi odejść. W panice zdecydowałam się jednak na ucieczkę. Cisnęłam garść błota prosto w jej wredne ślepią i rzuciłam się w stronę pomieszczeń dla służby.

Szybko usłyszałam tuż za sobą jej złajanie. Dystans trzydziestu metrów nigdy nie wydawał mi się tak długi. Niemal czułam, jak Agnes zatapia zęby w moim ciele. I wtedy nieoczekiwanie tupot jej łap ucichł, rozległ się natomiast żaloszny skowyt. A ja nadal biegłam.

Skrzydło dla służby uległo przemianie. Deszcz opłukał ściany, które wyglądały jak zamoczone w oleju. Drzwi były uchylone. Kopnęłam je i weszłam wprost w objęcia ciemności.

Jednocześnie zniknęły towarzyszące mi przed chwilą bodźce i odczucia. Zniknęła Agnes, zniknął deszcz, zniknęły róże. Zniknęła nawet temperatura. Uszy szybko przywykły do ciszy i zaczęły wychwytywać nowe dźwięki. Usłyszałam - a może tylko wyczułam? - szum świeżej krwi wtłoczonej do żył przez kolejny skurcz serca. Nie, to był stłumiony ryk fal oceanu.

Gdzieś w oddali rozbłysło światło. Ziemia zakołysała się łagodnie. Moje ciało zareagowało automatycznie, by utrzymać równowagę. Bez udziału mojej świadomości odnalazło właściwy rytm zgodny z poruszeniami podłoża.

Plama światła rosła w oczach. Do środka wszedł mężczyzna, z jego głowy bił niebiański blask.

- Dzień dobry. - Jego głos zabrzmiał tak, jakby dochodził z drugiego końca ogromnej pustej sali.

Ogromna i pusta sala przybrała konkretny kształt. Urządzona z przepychem, pełna detali w stylu art déco - z wszechobecnymi niebieskimi pawiami - przyćmiewała nawet wnętrze kina Rex. Przeciągnęłam stopami po miękkim, nieskończenie długim bordowym dywanie.

- Wyjdź z cienia... Pandoro.

Wszystko do mnie wróciło. Znaleźliśmy się w sali balowej SS „Prosperity”. Pan Odell szedł w moją stronę w szarym garniturze i błękitnym krawacie. Na nogach miał czarne skórzane buty z dziurkowanymi noskami. Był bardziej ugrzeczniony niż podczas naszego pierwszego spotkania i wcale się nie postarzał.

- Panie Odell!

Ujrzałam swoje odbicie w mosiężnych panelach. Niestety, ja nie cofnęłam się w czasie. Nadal miałam dziewiętnaście lat.

- Więc mnie pamiętasz?

- Oczywiście! - Przemówił przede mną nagły przypływ radości wywołany nieoczekiwanym spotkaniem po latach.

- Muszę ci podziękować, że namówiłaś mnie na ten garnitur. - Pociągnął za klapy marynarki. - Jak dla mnie jest trochę za bardzo w stylu Caryego Granta, ale postaram się sprostać temu wyzwaniu.

Zanim zdążyłam zareagować na tę dziwną uwagę, poczułam silny nacisk na prawą piętę. Po chwili coś zacisnęło się wokół kostki, zupełnie jakby owijał się wokół niej wąż. Rzuciłam okiem na swoje stopy i zobaczyłam zielone pnącze. Gęstniejące monstrum pokrywało już całą ścianę za mną i rozprzestrzeniało się po podłodze.

Spojrzałam na pana Odella.

- Gdzie jesteśmy? Co się dzieje?

- Odsuń się od ściany i podejdź do mnie. Mam ci coś do powiedzenia.

- To opłotło mi stopy.

- Po prostu zrób krok.

Miał rację. Kiedy podniosłam nogę, uścisk się zmniejszył. Drapieżny zielony kobierzec zaczął się cofać i schnąć w oczach.

- Nie oglądaj się. Po prostu idź.

- Czy ja umarłam?

- A ty znowu o śmierci! Och, Pandoro, Pandoro, nie jesteś duchem.

Zeszłam z dywanu na wyfroterowany misterny parkiet sali balowej. Spotkaliśmy się na środku, pod olbrzymim żyrandolem wyglądającym jak tarantula z kryształowych mieczy. Ostrza o długości trzydziestu centymetrów pobrzękiwały w rytm kołysania statku. Gdyby któreś z nich spadło, byłoby po nas.

- Nie spadną - uspokoił mnie pan Odell. - Wierz mi.

Wydał mi się nadzwyczaj atrakcyjny - niewymuszona galanteria i wrodzona mądrość - jednak wolny od świętoszkowości i arogancji. Przy pierwszym spotkaniu nie umiałam tego ocenić, teraz dawałam mu około trzydziestu lat. Niewielkie kurze łapki wokół oczu podkreślały jego uśmiech, przydając mu nieco staroświeckiego wdzięku widywanego tylko na filmach, niespotykanego na Wyspie. Był platońskim ideałem mężczyzny w szczytowym punkcie swojego życia, przystojnym, szarmanckim, życzliwym,

Wyciągnął do mnie rękę. Miał bardzo męską dłoń. Zagrał cicho klarnet, potem fagot, po chwili dołączyły smyczki. Melodia popłynęła z niewidzialnego kanału dla orkiestry.

- Zatańczymy? - zapytał.

Podaliśmy mu dłoń. Porwał mnie do walca. Mój pierwszy taniec. Delikatnie objął mnie w tali. Przysunęłam się do niego, aż poczułam na czole słodkie ciepło jego oddechu. Jeśli byłam marną partnerką, to nie dał mi tego odczuć. Poruszaliśmy się, jakby taniec był naszą drugą naturą i jakbyśmy tańczyli z sobą po raz tysięczny.

- Kiedy powiedziałaś mi, że widziałaś małą Rachel w basenie, zrozumiałem, że jesteśmy bratnimi duszami. Niektórzy ludzie rodzą się wrażliwsi od innych.

- Wrażliwsi?

- Tak. Zasadniczo o to chodzi. Odczuwamy rzeczy głębiej niż inni. Utożsamiamy się z tymi, z którymi nie mamy nic wspólnego. Podejmujemy się wielkich spraw, szlachetnych i beznadziejnych. Zbyt ochoczo się zakochujemy. Znow: szlachetnie i beznadziejnie. Mówiąc prościej, niektórych z nas przyciąga to, co inni odrzucają jako namiętność, ale co ja wolę nazywać człowieczeństwem.

Chciałam go pocałować. Wreszcie pojawił się ktoś, komu nie musiałam wyjaśniać, co czuję. Omdlałabym, gdyby muzyka nie zwolniła z *andante* do *largo*, a on nie zwolnił uścisku.

- W moim przypadku to dziedziczne pęknięcie czy wada, jeśli wolisz -ciągnął - przekazywane z pokolenia na pokolenie jak kielich wypełniony po brzegi winem. Od czasu do czasu coś się uleje. Moja babcia była jasnowidzką, ale zawsze traktowała ten dar jak przekleństwo. Nie chciała się wyróżniać. Dorastała w starej Rosji - zaśmiał się sucho - a tam nie przepadali za Żydami.

Zabrzmiał gong zagłuszający orkiestrę. Muzyka umilkła. Żyrandol zaczął pobrząkiwać od wibracji, szklane miecze obijały się o siebie nad naszymi głowami.

- Krótki taniec, prawda? - Uśmiechnął się. - Szkoda, miałem ci jeszcze tyle do powiedzenia.

Złote wiązki promieni słonecznych wpadały do środka przez otworki w ścianie, które powiększały się i łączyły. Skąpiana w świetle sala zaczęła blaknąć i znikać, tapety z pawiami zwinęły się i odpadły od ścian, odsłaniając gęstwą pnączy. Kurczowo trzymałam się pana Odella, gdy podłoga wygięła się pod nami i przy każdym kolejnym skurczu wypluwała długie drzazgi.

- Nie! - krzyknęłam, arogancko przekonana, że moja lub jego wola powstrzyma siłę, która wywołała ten zamęt. - Zrób coś! Niech to ustanie! Nie chcę, żebyś odszedł! - Wczepiłam się mocniej w jego ramiona.



A potem go pocałowałam.

Wargi miał dziwnie gąbczaste, porowate i zimne. Gigantyczny żyrandol rozpadał się na kawałki. Drobinki szkła sypały się na nas jak melancholijny śnieg. Teraz całe jego ciało stało się gąbczaste i porowate, a moje palce przechodziły przez nie na wylot jak przez piasek. Z oczu popłynęły mi łzy złości.

- Dlaczego z tym nie walczysz? Uśmiechnął się.

- Panuj nad emocjami, Pandoro. To wszystko dzieje się w twoim umyśle. W umyśle?

- To jak cię odnajdę?

- Będę tam gdzie zwykle. - Jego głos cichł, choć oczy pozostały żywe i szczere jak zawsze. - Piję z żoną herbatę w hotelu Metropol... W każdą ostatnią niedzielę miesiąca...

Grube zielone pnącza spłynęły ze ściany w drugim końcu sali, pomknęły po podłodze, wyrwały mi go z ramion jednym szarpnięciem i uniosły w powietrze jak piórko. Nie walczył. Nawet nie zasłonił twarzy. Po prostu dał się porwać nieznanemu. Na widok takiego bezwarunkowego poddania zaparło mi dech.

- Panie Odell!

W chwili gdy rozplątał się w rozbielonym horyzoncie, pokój pograżył się w ciemności.

Dźwięk gongu stał się ogłuszający, jego żałobne wibracje pulsowały w moim ciele i sprawiły, że szczękałam zębami.

Nagle się obudziłam. Wróciłam do rzeczywistości. Tej prawdziwej.

Byłam w pomieszczeniu, leżałam na łóżku w kwaterze dla służby, zwinięta w kłębek. Musiałam zasnąć w tej pozycji, przypatrując się szczelinie w ścianie. Brzask przeszedł w dzień, deszcz ustał.

W pokoju wisiała wilgoć, monsunowa woń stęchlizny. Agresywny zapach wdzierał się do nosa i wędrował do płuc. Trzęsłam się jak galareta. Dreszcz przenikał mnie aż do kości. Skuliłam się jeszcze bardziej pod przykryciem, obserwując, jak mój oddech zamienia się w parę, i czekając, aż dreszcze ustaną.

Ktoś stanął w drzwiach mojego pokoju. Mała. Patrzyła na mnie z ulgą zmieszaną z podejrzliwością.

- Pani Wee nie żyje.

Nie odpowiedziałam. Byłam zbyt wstrząśnięta.

- Słyszałaś, co powiedziałam? Pani Wee umarła. - Podeszła do łóżka, zerwała ze mnie pled i cofnęła się z okrzykiem zdumienia. - Co ci się stało?

Spojrzałam na siebie i zrozumiałam, dlaczego tak zareagowałam. Ręce i nogi miałam pokryte zaschniętym błotem, jakbym przez długie godziny czołgała się przez bagno. Błoto pokrywało też pościel.

- Wpadłam w... - urwałam. Nie chcąc, by wzięła mnie za wariatkę, nie mogłam dokończyć tego zdania. Ta rysa na ścianie. Spojrzałam na nią. Czyżby się powiększyła? Czy naprawdę mogłam...

Tryby w głowie Małej wreszcie zaskoczyły.

- Idź się umyć - powiedziała, zerkając przez ramię, czy nikt nie stoi w drzwiach.  
- Ja pozbędę się tej brudnej pościeli. Czeka cię bardzo poważne zadanie.

Nie byłam pewna, czy chcę wiedzieć, co ma na myśli.

- Masz obmyć ciało pani Wee, zanim dzieci wstaną.

Domyśliłam się, że pan Wee zlecił to Małej, ona jednak scedowała ten przykry obowiązek na mnie. Nawet jeśli był w tym element szantażu, czułam wdzięczność za to, że zostałam wypuszczona z celi i mogłam zrehabilitować się w ich oczach.

Kiedy dźwigałam do rezydencji kubek wody z mydłem, przypomniałam sobie, że od paru dni nic nie jadłam. Wejście po schodach zajęło mi prawie kwadrans.

Ktoś zatrzymał zegar, by zaznaczyć godzinę śmierci pani Wee. W domu panowała grobowa cisza.

Na widok pani Wee w łóżku doznałam wrażenia déjà vu. Podświadomie oczekiwałam, że usiądzie i wsparta na poduszkach zacznie miotać oskarżenia, chociaż oczywiście skończyło się ruganie, skończyły się frenologiczne badania i spleśniałe kanapki. Światło padało na jej twarz z dwóch alabastrowych lamp stojących nad nią jak czujni cherubini.

Rozumiałam, dlaczego pan Wee nie chciał, żeby dzieci zobaczyły swoją ciotkę - i macochę - w tym stanie. Martwe spojrzenie szeroko otwartych oczu wbiła w punkt na suficie, w którym wcześniej pojawił się duch jej siostry. Usta miała otwarte, fioletowawe, suche i spękane. Czy umarła w połowie zdania?

Jej zastygłe ciało przybrało kształt krzyża. Wydając ostatnie tchnienie, musiała zrzucić z siebie kołdrę. Ręce zwisały z krawędzi łóżka. Te same ręce przesuwająca po mojej twarzy, aż do tej chwili nie miałam okazji im się przyjrzeć. Były wątłe i pomarszczone jak ptasie szpony.

Kiedy ułożyłam jej dłonie na piersiach, odkryłam, że jeszcze nie ostygła. Jej powieki, które przesunęłam w dół jak rolety, nie straciły elastyczności.

Już za kilka godzin śmierć rozpocznie dzieło zniszczenia, ale póki ostatnia kropla krwi jeszcze nie szcerniała, pani Wee przynależy do naszego świata. Otarłam łzy zasychające na jej policzkach, ale nie mogłam zamknąć jej ust. W końcu podparłam dolną szczękę Biblią oprawioną w skórę, licząc, że pozostanie zamknięta, gdy zacznie się stężenie pośmiertne.

- Kiedy nadszedł koniec, nie cierpiałam.

Obróciłam się na pięcie. Pani Wee siedziała na skrzypiącym krześle, które napsuło mi tyle krwi.

Przygotowałam się na oskarżenia, lecz mimo bladości pani Wee sprawiała wrażenie odprężonej i spokojnej.

- Widzisz mnie, prawda? - Cmoknęła. - Wiedziałam, że mam rację, nazywając cię Cieniem.

- Czy pani... - urwałam, nie wiedząc, co powiedzieć - dobrze się czuje? -dokończyłam po namyśle.

- Chociaż nie wybrałam konkretnego momentu, czułam, że nadchodzi to, co nieuniknione. - W jej głosie nie było śladu gorzkości. - Pod koniec miałam wrażenie, jakbym zapadała w sen. Na pewno słyszałaś to mnóstwo razy, ale to naprawdę tak wygląda. - Wstała z krzesła, pochyliła się nad łóżkiem i spojrzała na swoje ciało z tęskną czułością kogoś, kto widzi swoją starą lalkę.

- Pani Wee - zaczęłam obojętnym tonem - czy mogę wyjaśnić sprawę kolczyków? Nie ukradłam ich.

- Och, nie przejmuj się nimi. Te rzeczy nic nie znaczą, nic! - Uśmiechnęła się i wtedy zobaczyłam, że wcale nie przypomina mojej mamy.

Podeszła do krzesła i usiadła z ciężkim westchnieniem. Na jej twarzy widziałam teraz powagę, wynikającą chyba ze świadomości rychłego odejścia. Omiotła spojrzeniem swój pokój, po raz ostatni przed powrotem do pozbawionej życia cielesnej powłoki.

- Czy mam przekazać pani rodzinie jakąś wiadomość od pani? Namyslała się przez chwilę, a potem zaskakująco stanowczo odparła: -Nie.

- Nic a nic? - Zerknęłam na jej ciało i pomyślałam o niedokończonym zdaniu. - Jest pani pewna?

- To wszystko nic! - Już zaczęła wyparowywać. Po jej twarzy przemknął żal, ale nie pozwoliła mu sobą zawładnąć. - To nie ma znaczenia. Najmniejszego.

I znikła na zawsze.

- Przeprasiny przyjęte - powiedziałam do pustego krzesła.

Odwróciłam się w stronę ciała. Jej twarz wydawała się teraz inna - spokojna, wręcz dobrotliwa. Usunęłam jej spod brody Biblię. Usta pozostały zamknięte.

Spokój nie trwał długo. Do pokoju wleciała mucha i przysiadła zuchwale na nosie mojej zmarłej chlebodawczyni. Rozpłakałam się. Ale nie wiem dlaczego.

Po oporządzeniu pani Wee poszłam, zgodnie z poleceniem Małej, do gabinetu pana Wee. Zapukałam do drzwi. Wdowiec jadł grzankę przy biurku, słuchając złowieszczych wiadomości odczytywanych w radiu. Pomyślałam, że w ciągu kilku ostatnich dni przybyło mu siwych włosów, ale był to raczej efekt gry porannego światła. Słuchanie wiadomości i jedzenie śniadania - czy tak opłakuje żonę? Kiedy weszłam, podniósł wzrok.

- Złe wieści. W rejonie Pacyfiku będzie wojna. Czuję to - powiedział ze skruchą, jakby miał w tym swój udział. Spojrzał na mnie i westchnął. Może w ten sposób chciał mnie przeprosić za to, że uwięził mnie w pokoju. Odwróciłam wzrok, żeby było mu łatwiej, on jednak wytarł usta serwetką, po czym wstał i podał mi tacę. - Obudzę dzieci - oznajmił.

Kiedy mijał mnie w drzwiach, wymamrotał pod nosem słowa szczerego, choć powściągliwego podziękowania:

- Bardzo doceniamy twoją pomoc.

Później, kiedy wylewałam zawartość kubła z mydlinami do rury ściekowej na podwórzu, przyszła do mnie Mała. Nachmurzona, nie patrzyła mi w oczy. Spodziewałam się kolejnych złych wieści, ale niczego takiego nie usłyszałam.

- Pan Wee powiedział, że jesteś wolna - zakomunikowała, a odchodząc, dodała zjadliwie: - Nawet jeśli jesteś złodziejką, a wszystko na to wskazuje.

Moje pretensje do starego człowieka uleciały. Znowu miałam przed sobą przyszłość, o której mogłam myśleć. Musiałam porozmawiać z Odellem. W Metropolu, w ostatnią niedzielę miesiąca! Dlaczego potrzebowałam aż tak sugestywnej halucynacji, żeby o nim pomyśleć?

- Jaki dziś dzień? - zapytałam praczkę Saudah.

- Wtorek, siódmy.

Wytarłam ręce w spódnice i popędziłam do pokoju. W kalendarzu zaznaczyłam tę szczególną niedzielę kropką. Zostały niecałe trzy tygodnie.

Tego wieczoru, po monotonnym dniu spędzonym na przygotowaniach do pogrzebu, pan Wee zaprosił mnie na kolację do restauracji. Wybierał się tam z dziećmi, miałam do nich dołączyć. I znów Mała była posłańcem. Ze

sposobu, w jaki wyrzuciła z siebie tę informację, wywnioskowałam, że jej nigdy nie zaproponowano takiego wyjścia.

Chcąc okazać należyty szacunek, włożyłam ciemne ubranie. Byłam zaskoczona, gdy zobaczyłam dzieci pana Wee w kolorowych strojach. Nie miały na sobie nawet kawałka czarnej nitki. Daniel posłał mi nieśmiały uśmiech. Jego siostra unikała mojego wzroku, ostentacyjnie przypatrując się swoim obgryzionym paznokciom.

- Cieszę się, że do nas dołączyłaś - powiedział pan Wee i gestem zaprosił mnie do bentleya, wskazując miejsce przy dzieciach. - Jedziemy do mojej ulubionej restauracji.

Restauracja U Mitzi okazała się niewyszukanym lokalem w Chinatown. Specjalizowała się w potrawach z gotowanego kurczaka i ryżu - jedzeniu wystarczająco zdrowym, by niosło pocieszenie, nie na tyle jednak wyszukanym, by miało narazić pana Wee na plotki z powodu przesadnie wystawnego uczczenia śmierci żony. Na obiad w tej restauracji stać byłoby nawet tatę -gdyby oczywiście nie zapożyczył się u lichwiarzy i gangsterów. To, że pan Wee lubił jadać U Mitzi, ucłowieczyło go w moich oczach, czego nie można powiedzieć o jego osobliwej powściągliwości.

Szofer Issa wiozł nas w ciszy. Milczenie było właściwie jego znakiem firmowym. Siedziałam ściśnięta między Danielem a drzwiami samochodu i poczułam iskrę przeskakującą między nami, gdy jego jedwabne spodnie zetknęły się z moimi nylonowymi pończochami. Oboje błyskawicznie się od siebie odsunęliśmy.

Gdy weszłam do zatłoczonej restauracji zauważyłam, że pan Wee uważnie lustruje salę. Nie dostrzegł nikogo znajomego i chyba mu ulżyło. Rozsiadł się wygodnie w boksie, po czym wciągnął wiszący w powietrzu oleisty zapach kurczaka i sosu imbirowo-czosnkowego.

- W ogólnym rozrachunku cóż znaczą kolczyki, nieprawdaż? - powiedział, zapraszając mnie gestem, bym sięgnęła po kawałek kurczaka z półmiska. - Są w życiu ważniejsze rzeczy, na przykład rodzina i jedzenie.

Ten posiłek w restauracji potraktowałam jak przeprosiny pana Wee.

Przy każdej wymianie spojrzeń Daniel się do mnie uśmiechał. Ale jego siostra nie złagodniała ani trochę. Przez cały wieczór śledziła każdy mój ruch, gotowa widzieć złe intencje we wszystkim, co robię.

Dziwiło mnie, że ani pan Wee, ani jego dzieci nie wydawali się szczególnie poruszeni śmiercią pani Wee. Być może oplakiwali ją w samotności, a w publicznym miejscu starali się zachować twarz. Być może chorowała od tak dawna, że jej śmierć przyniosła ulgę. Nie potrafiłam powiedzieć, które wyjaśnienie jest bliższe prawdy.

Później dowiedziałam się, że właśnie w taki sposób większość Chińczyków z klasy wyższej - szczególnie tych zasymilowanych na Wyspie - zachowuje się w obliczu tragedii. Tak wyglądał w ich wydaniu kulturowy mariaż konfucjańskiej powściągliwości i brytyjskiej zasady trzymania fasonu. Czuli patologiczny opór przed okazywaniem uczuć w obecności innych i woleli narazić się na opinie bezdusznych niż ryzykować utratę twarzy.

Wbrew naleganiom pana Wee, zamiast po soczyste udka sięgałam po najbardziej kościste części kurczaka - skrzydełka i szyjki. Robiłam to nie przez wzgląd na moich chlebobawców, lecz z przyzwyczajenia. Odkąd pamiętam, jadłam skrzydełka i szyjki. Violet przyglądała się krytycznie moim wyborom. Na pewno podejrzewała mnie o wyrachowaną skromność. Daniel natomiast sprawiał wrażenie oczarowanego moim prowincjonalnym - w jego mniemaniu - zachowaniem.

- Wystarczy dla wszystkich - powiedział, nakładając pałeczkami na mój talerz dorodne udko.

Violet zaczęła mamrotać coś o egzaminach. Popędzała jedzącego ojca, ponieważ chciała wracać do książek. Poza tym martwiła się o Agnes. Pies od rana miał kłopoty z oddychaniem.

- Nieszczęścia chodzą parami - rzuciła, patrząc znacząco w moją stronę. - Zupełnie jakby dotknęła nas jakaś plaga. Czarna śmierć.

- Och, przestań - skarcił ją ojciec. - Mówisz jak ciocia Betsy, niech jej zgryźliwa dusza spoczywa w pokoju.

- To ty się z nią ożeniłeś - zauważyła córka z przekąsem.

Po powrocie do domu ujrzeliśmy Subramaniam, który niczym poskramiacz lwów wkładał rękę do gardła skamlącej i trzęsącej się rottweilerki. Grymas niezadowolenia na twarzy Violet zastąpiła troska. W jej oczach błysnęły łzy.

- Pies charczał cały dzień - oznajmił Subramaniam. - Pomyślałem, że coś utkwilo mu w środku. - Z improwizacyjnym zapałem byłego pracownika plantacji pod nieobecność rodziny wmusił w Agnes kredowy koktajl z wybielacza używanego przez Saudah.

Biedne zwierzę wymiotowało. Wtedy pojawił się pierwszy rubinowy kolczyk. Odzyskanie drugiego wymagało więcej zachodu. Utkwił gdzieś w przełyku, wczepiony zapięciem w błonę śluzową. I właśnie w poszukiwaniu tego kolczyka Subramaniam grzebał w czeluści gardła Agnes. Kiedy w końcu wyciągnął z niego oblepiony śluzem drugi rubinowy skarb, Agnes beknęła tak głośno, że aż się zawstydziałam. Znużony Subramaniam rzucił na

biały ręcznik cenne znalezisko obok jego pokrytego warstwą wymiocin bliźniaka.

Violet się skrzywiła.

- Kto jej to dał? Agnes nigdy by tego nie połknęła! - Rzuciła się do przodu, chcąc przytulić psa, ale zatrzymała się w pół kroku, by nie okazać przy mnie słabości.

- Pamiętam, że widziałem Agnes wbiegającą po południu do domu - odezwał się Daniel. - Możliwe, że poszła na górę.

- Co? I myszkowała po szufladach ciotki Betsy? - Violet aż zatrzęsła się z oburzenia. - Agnes nigdy nie wchodzi do domu. Nawet ty o tym wiesz.

- Vi, nie było cię tam, nie możesz...

- Danielu - warknęła Violet, piorunując mnie wzrokiem - nie bądź głupi.

- Vi, skarbie - pan Wee westchnął - nikogo nie obchodzą kolczyki. Znalazły się. Nikomu nie stała się krzywda. Wszystko dobrze się skończyło. Już w porządku, tak?

- Nie mówię o tych przeklętych kolczykach, tatusiu. Chodzi mi o prawdę! Czy wyście wszyscy poszaleli?

Ratując swoją dumę, Violet popędziła do domu i niczym nadąsane dziecko zrzuciła po drodze buty z lakierowanej skóry.

- Nie przejmuj się, to nie twoja wina - pocieszył mnie Daniel, ściskając mocno mój łokieć. - Moja siostra zawsze przesadza. Taka już jest. Ciotka Betsy miała na nią większy wpływ niż Violet chce przyznać. Przeplakała całe popołudnie. Poza tym, w ogólnym rozrachunku...

W ogólnym rozrachunku czekałam na spotkanie z Odellem. Każda godzina przybliżała mnie do tego dnia. Ale w wymiarze drobnych codziennych spraw moje myśli wracały uparcie do kłamstewek Daniela w sprawie Agnes i sposobu, w jaki dotknął mojego łokcia.

To nie było przypadkowe otarcie się, lecz zaskakująco mocny uścisk, zupełnie jakby Daniel nie zdawał sobie sprawy ze swojej siły albo chciał wyrazić znacznie więcej, niż pozwalały zasady przyzwoitości. Ta stanowczość w połączeniu z jego głębokim łagodnym głosem - którym po rycersku kłamał w mojej obronie - okazały się zniewalającą kombinacją. Kiedy odsunął rękę, opuszkami palców musnął moje przedramię, co wywołało u mnie gęsią skórkę.

Leżąc tamtej nocy w łóżku, wyobrażałam sobie, że jestem z Danielem, który rozpina mi bluzkę i pieści moje piersi. Pozwalam mu przesunąć dłoń wzdłuż brzucha ku samemu centrum mojego pragnienia. Czułam jego wargi na ustach, nasze przyspieszone oddechy synchronizowały się, gdy nasze

języki się zetknęły. Od dawna nie doznałam tak przemożnego pragnienia. Zapomniałam, jak jestem głodna miłości. Li był moim pierwszym i dotąd jedynym. Ta niefortunna pomyłka wywołała taki zamęt, że próbowałam odsunąć od siebie wszelkie uczucia, co jednak nie osłabiło mojej żądz. W zatłoczonych tramwajach i autobusach przelotne ocieranie się o przystojnych mężczyzn rozbudzało ją na nowo, ale trwało to tylko do następnego przystanku.

Tym jednym dotykem Daniel obudził moją najgłębszą potrzebę. Ten miłosny miraż pozwolił mi zasnąć dopiero o świcie, gdy przez czerń nocy przebił się niebieskawy cień brzasku.

Obudziło mnie pukanie do drzwi. Westchnęłam, spodziewając się, że pojawi się Mała z kolejną porcją insynuacji. Pomyliłam się. To był Daniel.

- Dzień dobry. - Wbił wzrok w górę od mojej piżamy, po czym wstydliwie uciekł spojrzeniem w bok. - O, przepraszam.

- Nic się nie stało. Już nie śpię.

- Mam dla ciebie dobre wieści. A przynajmniej wydaje mi się, że takie są. - Spojrzał mi w oczy i się uśmiechnął. - Tata powiedział, że możesz się wprowadzić do głównego domu. Mamy jeden wolny pokój. Nie chodzi oczywiście o pokój ciotki Betsy. W domu jest jeszcze pokój gościnny. Możesz z niego korzystać, dopóki nie znajdziesz nowej posady... co nie znaczy, że musisz się z tym spieszyć.

- Dlaczego to robi?

- Nie chcę mówić w imieniu ojca, ale mam wrażenie, że czuje się fatalnie z powodu tej historii z kolczykami. Na swój sposób chce ci to jakoś wynagrodzić. Będzie ci płacił, póki nie zdecydujesz się odejść.

To była zbyt duża hojność ze strony pana Wee. Taka propozycja byłaby zbyt dużą hojnością ze strony każdego pracodawcy. Tutejsi bogacze słynęli ze skąpstwa, poza tym Wyspa ciągle odczuwała skutki Wielkiego Kryzysu.

- Ty go namówiłeś, prawda?

- Nie kiwnąłem palcem w tej sprawie - zapewnił, ale rumieniec przeczył jego słowom. - Tak czy siak, pokój czeka i możesz przenieść się w każdej chwili. Sąsiaduje z moim. - Odwrócił się, by odejść, ale widok stosu książek Przy drzwiach natchnął go nową myślą. - I jest tam regał na książki.

- Dzięki. - W myślach już pakowałam swoje rzeczy. I rozbierałam Daniela.

- Ojciec chce jak najlepiej. Naprawdę. Wszyscy tego chcemy.

- I dziękuję ci za to, co powiedziałaś o Agnes. No, wiesz, że była w domu,

- Powiedziałbym wszystko, żeby uspokoić Vi. Potrafi zaleźć za skórę. - Rzucił mi promienne spojrzenie, po czym szybko odwrócił wzrok.



Dopiero po jego wyjściu zauważyłam, że mam rozpięte guziki przy pizamie. Daniel miał okazję obejrzeć moje piersi w całej okazałości.

Chwilę później moje zawstydzenie zamieniło się w dumę. Podjęłam decyzję: chcę tego chłopca. Zdobędę go i odmienię swoje życie.

Wprowadziłam się do domu tego samego popołudnia. Przez dwa następne tygodnie, nie bacząc na czujne spojrzenia Violet i Małej, Daniel i ja zbliżyliśmy się, jeśli nie fizycznie, to emocjonalnie. Ciągnęło nas do siebie w niewytłumaczalny sposób, chociaż właściwie nie mieliśmy ze sobą nic wspólnego. Taki chłopiec jak Daniel nie powinien spędzać czasu z taką dziewczyną jak ja.

Pochodziliśmy z innych sfer, ale przede wszystkim różniliśmy się charakterami. W przeciwieństwie do mnie Daniel był bardzo uprzejmy. Nigdy nie słyszałam, by na kogokolwiek podniósł swój głęboki melodyjny głos. Prócz jednego drobnego kłamstewka w mojej obronie, które potraktowałam jak ustną walentynkę, nie miał sekretów i nie knuł intryg. Przypominał może nie tyle otwartą księgę, ile wiatrowskaz. Jego gęste brwi zdradzały każdą zmianę nastroju, policzki pąsowiały, gdy był skrepowany. W przeciwieństwie do mnie wyglądał jak gwiazdor filmowy, rasowy idol popołudniowych seansów. Miał jaśniejszą skórę niż moja, głęboko osadzone wyraziste oczy, wydatny nos, pełne usta, jakby stworzone do pocałunków, oraz wijące się na końcach lśniące włosy, cenione w społeczeństwie, w którym większość miała proste i czarne jak noc.

Daniel prezentował się wspaniale, wykonując nawet najbardziej prozaiczne czynności: przechodząc przez hol, kiwając głową służbie, czytając strony sportowe w gazecie. Jak magnes przyciągał pełen uwielbienia wzrok kobiet. Widziałam je u Małej, widziałam u kelnerek w restauracji U Mitzi. Na dodatek był zupełnie nieświadomy swojego uroku. Chociaż wyglądał jak *shaoyeh*, rozpieszczony paniczek w starym chińskim stylu, sprawiał wrażenie oderwanego od życia. Z łatwością można było sobie wyobrazić, że nagle rzuca wszystko i poświęca się ratowaniu fok.

Po śmierci macochy i pod nieobecność pochłoniętego interesami ojca Daniel ośmielił się i zaczął regularnie zaglądać do mojego pokoju. Siedzieliśmy, zgodnie z wymogami etykiety, przy szeroko otwartych drzwiach i rozmawialiśmy o filmach, muzyce, a nawet o książkach. Lubił Coleridgea, ale Baudelairea uważał za „zbyt posępnego”. Tak samo oceniał Wagnera, w przeciwieństwie do lubianego Mozarta. Starłam się zawsze być w pobliżu i to w niezobowiązującym stroju - nie ubierałam się prowokacyjnie, ograniczałam się do braku stanika i kilku odpiętych guziczków.

Czasem zapraszał mnie do swojego przestronnego pokoju, gdzie raczył mnie serenadami na gitarze, śpiewając zmysłowe hiszpańskie pieśni, których nauczył się fonetycznie z płyt. Z jego oczu bił zar. Stwarzałam mu okazję do pocałunków, on jednak był dżentelmenem w każdym calu. Nocami doprowadzałam się do ekstazy, myśląc o królewiczu z bajki zza ściany, uroczym chłopcu, który z pewnością mógłby prezentować mniej książęce maniery.

Uznałam, że to ja muszę zrobić pierwszy krok. I dwa tygodnie po przeprowadzce go zrobiłam. Z radia w jego pokoju dobiegała akurat piosenka *Danny Boy*. Żartobliwie powołałam się na tytuł, by namówić go do tańca.

Zadrzałam, gdy objął mnie w talii, i kiedy krążyliśmy po pokoju, objając się o meble jak dwie nierozłączne bile, uwodzicielka stała się uwiedziona. Oddychałam głęboko, broniąc się przed rumieńcem czy omdleniem, i zorientowałam się, że piosenka dobiegła końca, kiedy przystojna twarz mojego kawalera zbliżyła się do mojej.

Pocałował mnie delikatnie, badając grunt. Instynktownie zarzuciłam mu ręce na szyję i przysunęłam się bliżej, rozchyliłam wargi, zapraszając go głębiej. Przyjął to z entuzjazmem. Zaczęliśmy przesuwac się w stronę jego łóżka. Powędrował dłońmi ku moim pośladkom i przycisnął mnie do siebie. Poczułam, jak wzbiera w nim pożądanie. Jęknęłam cicho.

Natychmiast wypuścił mnie z objęć i odsunął się, czerwony ze wstydu.

- Przepraszam - wymamrotał. - Nie chciałem tego.

- Czego nie chciałeś? - Przesunęłam palcem po jego ramieniu. - Nie przerywaj.

Złapał mnie za oba nadgarstki. Pod wpływem tego dotyku poczułam falę pożądania.

- Jeśli posuniemy się dalej, nie będę mógł się kontrolować. Boże, jesteś taka ładna... - Jego głos złagodniał. - Cały czas o tobie myślę. Śniesz mi się. Doprowadzasz mnie do szaleń...

Trzasnęły drzwi, potem usłyszeliśmy zbliżające się kroki. Daniel puścił mnie i udał, że majstruje przy radioodbiorniku. Kilka sekund później Violet przeszła wolnym krokiem obok otwartych drzwi i zajrzała do środka, rzucając nam ponure i potępiające spojrzenie.

- Danielu! - prychnęła oburzona i znikła.

Pewnego wyjątkowo parnego i leniwego popołudnia postanowiłam pójść do pokoju Daniela i posłuchać płyt przed jego powrotem z basenu w klubie. Pierwszy raz zjawiłam się tam bez zaproszenia, wiedziałam jednak, że nie

będzie protestował, gdy zastanie mnie w łóżku omdlewającą i mokrą od potu jak kolejnny basen, w którym można się zanurzyć.

Na odgłos jego kroków oderwałam igłę gramofonu od płyty z nokturnami Chopina i wskoczyłam na łóżko, gdzie przybrałam niedbałą pozycję, podkreśloną przez długie rozpuszczone włosy i spódnicę podwiniętą do ud.

Niestety to nie był Daniel.

- Co robisz w pokoju mojego brata? - Violet wyglądała, jakby miała eksplodować.

Okryłam się i usiadłam prosto jak posłuszna uczennica w obliczu dociekliwej belferki.

- Słuchałam muzyki. Daniel mi pozwolił. Violet energicznie podeszła do gramofonu.

- To dlaczego go wyłączyłaś?

- Bo zdawało mi się, że słyszę jego kroki.

- Przecież powiedziałaś, że się zgodził.

- Tak, ale on nie znosi Chopina.

- Nie ma człowieka, który nie znosi Chopina.

- Może nie znasz swojego brata tak dobrze, jak ci się wydaje? - Uśmiechnęłam się znacząco.

Jej chmurna twarz nie zmieniła się ani odrobinę.

- Co robisz w naszym domu? O co ci tak naprawdę chodzi? Czego chcesz? Jaką grę prowadzisz? - Spochmurniała jeszcze bardziej. - Obie dobrze wiemy, że to ty ukradłaś koleczki.

Nie dałam się wyprowadzić z równowagi.

- Przecież Daniel mówił, że widział...

- Mój brat kłamał, żeby cię kryć! Ciekawe dlaczego?

Podeszła bliżej i spojrzała mi w oczy. Na zaciętej twarzy tej smutnej młodej dziewczyny zobaczyłam przyszłość smutnej starej panny. Bóg raczy wiedzieć, co zobaczyła ona. Bez wątpienia coś znacznie gorszego.

Mrużąc oczy, wysyczała:

- Kim jesteś?

W ostatniej chwili uratowały mnie energiczne kroki i beztroska twarz Daniela, który stanął w drzwiach.

- Czyżby dziewczyny odbywały jakąś tajemną naradę wojenną?

- Danielu! - Kamień spadł mi z serca.

Violet odwróciła ode mnie inkwizytorski wzrok.

- Kochany braciszku - zaczęła z wymuszonym, bynajmniej nie przyjacielskim uśmiechem - nie wiedziałam, że nie znosisz Chopina.

- Wcale nie. Kto mówi, że nie znoszę Chopina? Violet posłała mi wściekle spojrzenie.

- Trzymaj się z daleka od mojej rodziny! Wszystko było dobrze, póki ty się nie pojawiłaś! - krzyknęła i rzuciła się do drzwi.

- Vi! - zawołał za nią Daniel, czerwony z zażenowania. - Skończ z tą histerią, dobrze?

Odpowiedziało mu trzaśnięcie drzwi w holu.

Drapiąc się z zakłopotaniem w szyję, usiadł obok mnie na łóżku. Przez zapach szamponu i mydła przebijał basenowy chlor. Tę medyczną woń zaczęłam kojarzyć tylko z nim.

- Chyba ma te dni - powiedział i pochylił się, by pocałować mnie w skroń. - Mam nadzieję, że cię nie zdenerwowała. Nie bierz do siebie tego, co mówi.

Prawdę mówiąc, Violet bardzo mnie zdenerwowała, ale to nie miało już znaczenia. Moje pocieszenie siedziało obok.

- Pocałuj mnie, Danielu.

Posłusznie ujął mnie pod brodę, delikatnie, jakby to był mszalny kielich, i zbliżył usta do moich ust. Smakował napojem pomarańczowym, który lubił pić po wyjściu z basenu. Poprowadziłam jego drugą dłoń pod bluzkę. Nie musiałam robić nic więcej. Sam przesunął ją do piersi. Opadliśmy na łóżko, potarłam udem o jego udo, uniosłam je wyżej, pocierałam intensywniej, aż poczułam, jak twardnieje.

- Zamknij drzwi, Danielu.

Posłusznie ruszył w stronę drzwi. Nagle znieruchomiał, zupełnie jakby zadziałał w nim jakiś wyłącznik. Ze zboląłą miną klapnął na łóżko.

- Lepiej nie.

Poprowadziłam jego dłoń między moje uda. Jęknął cicho.

- Musisz zamknąć drzwi, Danielu - wyszeptałam.

- Nie możemy.

- Więc nie możesz tego mieć.

Wysunęłam się z jego muskularnych ramion i wyszłam na korytarz. Nie zatrzymywał mnie. Kiedy się odwróciłam, zobaczyłam młodego mężczyznę siedzącego na skraju łóżka ze zwieszoną głową.

Płakał.

W następnych dniach byliśmy ostrożni. Całowaliśmy się delikatnie i z bezpieczną częstotliwością. Właściwie powinnam powiedzieć, że to on był ostrożny. Całował mnie delikatnie, bezpiecznie, chociaż deklarował coraz większy pociąg do mnie. Nie dopominałam się o więcej. Nie chciałam go

przestraszyć ani zawstydić jego pobożnego katolickiego serca moim nienasyconym apetytem.

Pragnęłam, żeby zakradł się do mnie i się ze mną kochał, gdy reszta domowników zaśnie, ale oczywiście tak się nie stało. Tak mijał dzień za dniem, aż niespodziewanie nadeszła ostatnia niedziela miesiąca. Myśli o nowym ukochanym ustąpiły wspomnieniom o starym mentorze. Musiałam zobaczyć Odella. Miałam do niego mnóstwo pytań.

Po drugim śniadaniu, zjedzonym bez pośpiechu po nabożeństwie, oraz niemrawej rozgrywce krokieta na trawie, którą Daniel rozmyślnie przeciągał irytująco dokładnym objaśnianiem zasad gry, wykręciłam się od dalszego ciągu, starając się nie dać po sobie poznać narastającej ekscytacji.

To nie Daniel, lecz pan Wee złapał mnie za ramię na dole schodów, gdy szłam na górę, by się przebrać.

- Nie chcę być wścibski, ale jak idzie szukanie pracy? Coś pojawiło się na horyzoncie?

Ach, szukanie pracy. Zaskoczył mnie. Pochłonięta przyjemnościami głównego domu nie zaprzętałam sobie głowy rozglądaniem się za posadą.

- Mam kilka możliwości na oku. - Uśmiechnęłam się szeroko, by ukryć niepokój. - Właśnie wybieram się... na rozmowę w sprawie pracy.

- W niedzielę?

- Są bardzo zajęci. To jedyny termin, jaki mieli.

- Rozumiem - mruknął pan Wee. W tej samej chwili w bibliotece rozdzwonił się telefon. Pan Wee zrobił zatroskaną minę. - Jeśli potrzebujesz pomocy w tej kwestii, nie bój się o nią poprosić. Zawsze mogę zadzwonić w parę miejsc - rzucił na odchodnym.

- Dziękuję panu. Bardzo to doceniam.

Biegając na górę, rzuciłam okiem na zegar. Krokiet przeciągnął się ponad miarę. Równie dobrze mogliśmy użyć flamingów jako młotków i jeży jako kul. Groziło mi, że się spóźnię.

Co do garderoby, to miałam do wyboru trzy sukienki: burą z kołnierzykiem, praktyczną z niebieskiej bawełny, którą można było wziąć za strój do sprzątania, oraz modną wydekoltowaną suknię z czerwonego jedwabiu, kupioną pod wpływem kaprysu. Teraz bałam się, że w niej zrobię wrażenie za dużo dostępnej.

Moje rozważania nad strojem przerwało pukanie do drzwi. Daniel wślizgnął się do pokoju, nie czekając na zaproszenie. W innej sytuacji byłabym wniebowzięta, dzisiaj jednak pomieszał mi szyki.

- Usłyszałem od ojca, że masz rozmowę w sprawie pracy. Dlaczego nie powiedziałaś o tym wcześniej?

- To tylko jedna głupia rozmowa. - Nie umiałam ukryć defensywnego tonu. - Nic wielkiego. Pewnie i tak nie dostanę tej posady.

- Co to za praca?

- W biurze. Jakies sekretarskie stanowisko.

- Gdzie?

- Dlaczego pytasz? Chcesz mnie śledzić? Zauważyłam, że jego brwi lekko drgnęły. Uraziłam go.

- Po południu ma padać. Może Issa cię podwiezie?

Temu chłopcu naprawdę na mnie zależy. Nie miałam czasu na tłumaczenie się i *przepraszanie za swoją* opryskliwość, więc tylko cmoknęłam go w policzek.

Ostatecznie zdecydowałam się na czerwoną sukienkę. I pozwoliłam się zawieźć Issie. Chmury gęstniały i zbijały się w gromady jak mahometanie podczas piątkowej modlitwy. Świat pociemniał. Dzielnica handlowa była opustoszała. Nieliczni przechodnie na High Street szukali schronienia, gdy porywisty wiatr zrywał im kapelusze z głów i targał sukienki. Dzieliłabym ich los, gdyby nie Daniel, który wspaniałomyślnie zaproponował mi rodzinny samochód. Pierwsze krople deszczu spadły na przednią szybę z donośnym łoskotem, zmuszając Isse do włączenia wycieraczek i - ku mojemu niepomiernemu zdumieniu - do przerwania milczenia.

- Metropol. - Jego tubalny głos wprowadził mnie w osłupienie. - Podwieczorek z przyjacielem?

- Tak - odparłam. - Przepraszam za kłopot, jaki sprawiam w wolnym dniu.

- Żaden kłopot. Ja nie mam wolnego. Codziennie jestem na służbie. Od poniedziałku do niedzieli. Bez przerwy.

Czyżby się skarżył? Nie byłam pewna. W tonie jego głosu nie wyczułam uzalania się nad sobą.

- Współczuję - powiedziałam.

- Niepotrzebnie. Współczucie nikomu nie pomaga. Jest tylu biednych ludzi, tylu głodujących na świecie. Sądzisz, że twoje współczucie im pomaga?

Nic nie powiedziałam. Zaczynało mi brakować jego milczenia.

- Kim jest przyjaciel, z którym się spotykasz?

- To tylko stary znajomy.

- Tajemniczy stary znajomy. - We wstecznym lusterku zobaczyłam jego kpiący uśmiezek. - W porządku, nie bój się. Nie będę cię ciągnął za język.

- I nie czekaj na mnie. Wrócę sama.

- Nie wątpię.

Pierwszy raz byłam w Metropolu. Od razu zrozumiałam, skąd podziw Odella dla tego miejsca. Wystrój holu przypominał prywatny klub w Szanghaju w latach dwudziestych. Skórzane fotele stały wzdłuż palisandrowych ław. Z sufitu zwieszały się klatki dla ptaków w cynobrowej czerwieni, w każdej z nich siedział rzeźbiony kanarek. Ściany pokryte czarnym jedwabiem okalały zwoje z chińską kaligrafią. W tym wnętrzu angielskie upodobanie do chińszczyzny osiągnęło skrajną postać. Nawet zespół mandarynów o kamiennych twarzach grał dixieland sztywno i bez polotu, urzekająco mechanicznie, dokładnie tak, jak brzmiałaby ta muzyka w starym Szanghaju.

Epoka kolonialna była tu potraktowana jak czas bezpowrotnie miniony, nie zaś ciągle obecny w naszym życiu. Ta aura oszołomiła nawet mnie. Skonfrontowana z takim wyszukaniem, ucieszyłam się, że wybrałam jedwabną sukienkę. Bawełniana upodobniłaby mnie do belferki, która zgubiła drogę do czytelnicy dla chrześcijan.

Chiński maître d'hôtel ze śmiesznym cienkim wąsikiem i wyćwiczoną obojętnością w spojrzeniu stał przy pulpicie. Patrzyłam na ruchy jego grdyki.

- Rezerwacja na nazwisko... - zawiesił głos.

- Odell. - Ponad jego ramieniem rzuciłam okiem na salę pełną bogatych europejskich matron pogryzających kanapeczki i popijających czarną herbatę z porcelanowych filiżanek. W powietrzu unosił się zapach darjeelingu i drożdży pomieszany z wonią rozgrzanego talku.

Spojrzał na mnie pytająco.

- Odell?

- Nie ma tego nazwiska na liście?

- Oczywiście, że jest. Odell jest zawsze. Raz w miesiącu, niezawodnie jak Big Ben.

Krew pulsowała mi w skroniach. On tu jest, pomyślałam.

- Pewnie się mnie nie spodziewa. Przyszłam zrobić mu... niespodziankę.

- Cóż, dla mnie to na pewno niespodzianka. - Maître d'hôtel uśmiechnął się tajemniczo, jakby jego dyskrecja była nadzwyczajną cnotą.

Znów miał obojętny wyraz twarzy, gdy prowadził mnie przez zatłoczoną salę. Ponad gwarem plotek i ploteczek raz po raz przebijał się głośniejszy wybuch śmiechu. Wiele dam popijało szampana. Dotarliśmy na koniec sali i tam mój przewodnik przystanął.

- Jak masz na imię?

- Pandora.

- Zapada w pamięć. - Uśmiechnął się przewrotnie. - Zaczekaj tutaj, a ja cię zaanonsuję.

Zastukał w rzeźbione drewniane drzwi, po czym zniknął za nimi. Chwilę później wyszedł z innym uśmiechem - nadal szelmowskim, lecz dodatkowo pełnym rezerwy. Dał mi znak, żebym weszła.

W pozbawionym okien pomieszczeniu stał tylko jeden stół. Siedziała przy nim siwowłosa kobieta w tradycyjnym cheongsam barwy jadeitu. Najwyraźniej na kogoś czekała. Na kilkupoziomowej paterze zauważyłam babeczki i truskawki w ilościach wystarczających dla dwojga.

- Pani Odell! - wykrzyknęłam.

Kobieta podniosła znad filiżanki obojętny wzrok. Spodziewałam się, że będzie miała ponad trzydzieści lat, ona tymczasem wyglądała na pięćdziesiąt. Dwa sznury jej naszyjnika z pereł wisiały zerwane.

- Nie zna mnie pani, ale... - szukałam odpowiednich słów - pani mąż mówił mi o pani... Pei-Pei? Pan Odell i ja spotkaliśmy się dwanaście lat temu na łodzi, to znaczy na statku płynącym z Szanghaju.

Po jej nieruchomej twarzy przebiegł cień uśmiechu. Zareagowała na wzmiankę o statku. W głosie, jaki wydobył się z jej gardła, brzmiała przejmująca nostalgia.

- SS „Prosperity”?

- Tak, właśnie tak!

W zagadkowy sposób jej uśmiech zgasł, a twarz znów zastygła w wyrazie melancholii. Zupełnie, jakbym zniknęła.

- Pani Odell, czy wszystko w porządku? - Zerknęłam na puste miejsce naprzeciwko niej^ - Czy pan Odell dzisiaj nie przyjdzie?

Maître d'hôtel chrząknął, by przypomnieć o swojej obecności. Pani Odell uniosła wolno rękę. Spodziewałam się, że go odprawi, żebyśmy mogły porozmawiać w cztery oczy.

Melancholia ustąpiła udręczeniu.

- Każ jej odejść - jęknęła.

- Pani Odell... - Emocje odbierały mi mowę. - Źle mnie pani zrozumiała. Pan Odell powiedział, że panią tu znajdę.

- Wyprowadź ją stąd, proszę!

Chwycił mnie za rękę i pociągnął. Pani Odell odprowadzała mnie spojrzeniem, w którym nie było nieprzychylności, lecz zwykłe wyczerpanie. Bezwiednie skubała perły na szyi.

Wkrótce stałam w ulewnym deszczu, gdy tylne drzwi lokalu zamknęły się za mną z trzaskiem. Walnęłam w nie pięściami i cisnęłam przekleństwo



w nadziei, że dobiegnie uszu bogatych gości siedzących przy herbacie. Ku mojemu zaskoczeniu drzwi ustąpiły. Stałą w nich maître d'hôtel, bezpiecznie schowany przed strugami deszczu.

- Szczerze mówiąc, w ogóle nie powinienem cię wpuścić - zaczął łagodnie - ale byłem ciekaw, czy sprowokujesz ją do jakiejś reakcji. Udało ci się.

- O czym, do diabła, pan mówi?

Skrzywił się. Pierwszy raz jego twarz zdradziła prawdziwe emocje.

- Byli moimi najlepszymi gośćmi. Najbardziej lojalnymi, najbardziej szczodrymi. Czternaście lat temu na statku płynącym do Szanghaju pan Odell zachorował na zapalenie opon mózgowych. Nic nie można było zrobić. Umarł. Po jego śmierci pani Odell też jakby umarła. Jej umysł został z nim na morzu. Od tamtej pory traktuje termin herbatki jak świętość. Raz w miesiącu pozwalają jej wziąć taksówkę i przyjechać tu ze szpitala Woodbridge. Minęło parę lat i nie potrzebuje już opiekunki. Nigdy nie błądzi. - Skłonił głowę. - Nie wiem, kim jesteś i skąd wiedziałas, że ją tu znajdziesz... Tak czy owak, przepraszam cię za tę sytuację.

Drzwi zamknęły się po raz drugi. Tym razem na dobre.

Krażyłam po mieście tramwajem numer trzy, przemoczona do suchej nitki. W jedwabnej sukience przyklejonej do ciała musiałam przypominać czerwony pomarszczony pęcherz. Pasażerowie wsiadali i wysiadali, wsiadali i wysiadali. Słońce schowało się za sklepami i hotelami, rozbłysły lampy gazowe. Po trzech pełnych pętłach starszawy konduktor poprosił, żebym wracała do domu.

- Twoja obecność może wyprowadzać z równowagi innych pasażerów. Gdy wysiadałam przy Cudownym Świecie, rzuciłam ludziom wyzywające spojrzenie.

Dlaczego akurat tam? Przypuszczam, że zatęskniłam za znaną twarzą z przeszłości, nawet jeśli była twarzą mojego ojca.

Gdyby nie to, nie znalazłabym w Cudownym Świecie żadnego pocieszenia. W ciągu trzech lat, jakie minęły od naszego powrotu, miejsce podupadło z powodu chciwości i nadmiernej eksploatacji. Całe miasto ciągnęło za szkarłatne wrota, spodziewając się dobrej zabawy. Czynsze poszybowały w górę, a stare nieszkodliwe kramy oferujące rozmaite gry ustąpiły miejsca zyskowniejszym przedsięwzięciom: barom, salonom, egzotycznym pokazom. Atrakcje nabrały barw, jak na mój gust zbyt jaskrawych. Po drodze widziałam australijskich żołnierzy wytaczających się z baru, ściskających w jednej ręce butelkę darmowego piwa, a drugą obejmujących tajskie

prostytutki. Obok filipińskie karły grały na ksylofonach kubańską cza-czę, odziane jedynie w jedwabne pantalone. Ludzie Zachodu oczywiście chłonęli to bez zastrzeżeń. Później przeczytałam, że w Cudownym Świecie regularnie bywał Jean Cocteau. Chwalił tutejsze mieszanie się „czarnego, białego, żółtego i śniadego”. Tylko francuski artysta, widzący świat w kolorach, mógł tak to ująć. Gdybym była wielkim mężczyzną o gęstych włosach, pewnie też dobrze bym się bawiła, obserwując ten spektakl. Jednak jako młoda Chinka w wydekoltowanej sukience mogłam zostać wzięta za statystkę w dionizyj-skim widowisku, obsadzoną w roli łatwej zdobyczy.

Zdawałam sobie sprawę, że jestem jedynym gościem Cudownego Świata, który ma poważną minę. Jedynym, póki nie ujrzałam swojego lustrzanego odbicia - mojego brata - ponurego jak zawsze. Miał wolny dzień i postanowił spędzić go właśnie tutaj, siedząc w kucki obok metalowej beczki i rozcieńczając syrop taty zimną wodą z ogólnodostępnego kranu. Byłam zła i smutna, że wołał poświęcić się z obowiązku, zamiast wykorzystać wolny czas z korzyścią dla siebie. Gdzie się podział ten energiczny chłopiec, którego kiedyś znałam i kochałam?

- Nie waż się mnie osądzać - wyrzucił z siebie. Jego napastliwy ton sprawił, że przyjrzałam mu się uważniej. Z powodu fioletowej opuchlizny nad okiem opadała mu powieka. - Odmówiłaś pomocy, więc nie masz prawa mnie oceniać.

- Przecież nie powiedziałam ani słowa.

- Nie musiałaś. I tak wiem, co myślisz. Uważasz, że marnuję życie, bo nie idę za marzeniami. Coś ci powiem. - Uśmiechnął się szyderczo. - Ja nie mam marzeń. ^

Miał powód, żeby się na mnie złościć - nie widzieliśmy się od czasu, kiedy zostawiłam go w Trojce - ale dla mnie było jasne, że żywi głębszą urazę. Pozwolił, żeby zwietrzałe konfucjańskie zasady starego kraju dopadły go w ciepłym Nanyangu. Dzieci miały stać murem za ojcem, bez względu na wszystko.

Wyjęłam z torebki zwitek banknotów. Wystarczyłoby na pokrycie rachunku z Trojki.

- Zatrzymaj swoje brudne pieniądze. - Li zakręcił kran i zaczął toczyć beczkę w stronę stoiska taty. Ruszyłam za nim.

- Pomóc ci?

- Wezwali policję. Wiedziałaś?

- Kto wezwał policję? Kiedy?

- Ta przeklęta restauracja, a myślałaś, że kto? Zamknęli mnie na dwa dni, Póki tata nie zjawił się z pieniędzmi. Ale ty oczywiście nie miałaś o niczym

pojęcia. Pewnie by cię to nawet nie obeszło. Mam nadzieję, że to odpowiedź na twoje pytanie, dlaczego nie nienawidzę taty. Tata jest jedynym człowiekiem, który się mną przejmuje. - Stękając ciężko, przetoczył beczkę na tyły kramu. - To jemu powinnaś dać swoje brudne pieniądze, nie mnie.

Tata nalewał Ptasie Gniazdo birmańskiej parze i nawet mnie nie zauważył, albo udawał, że nie zauważa. Li wmieszał się w tłum i zostawił mnie z nim sam na sam. Czekałam, aż klienci odejdą, po czym wsunęłam mu do ręki banknoty. Zamknął je w uścisku.

- Twój brat jest bardzo zgorzkniały - odezwał się w końcu. - Starał się o posadę w administracji jako urzędnik, ale odrzucili jego kandydaturę. Nie liczyło się, że dobrze zna angielski w mowie i piśmie. Nie jest Europejczykiem, nie jest nawet Euroazjata. Tak mu powiedzieli. „Nie jest nawet Euro-azjata”. - Pokręcił głową. - Martwię się o niego. Przez to rozgoryczenie pakuje się w kłopoty. W zeszłym tygodniu wdał się w bójkę z australijskim marynarzem w jednym z tych nowych barów po drugiej stronie. - Wskazał odległy koniec Cudownego Świata, gdzie było pełno spelunek. - Jeśli usłyszysz coś o jakiejś dobrej pracy w biurze, daj mu znać. Nie chcę, żeby ciągle był chłopcem na posyłki. Mój syn zasługuje na o wiele więcej.

- On nie przyjmie ode mnie żadnej pomocy.

- Ignatius Wee na pewno ma jakiegoś przyjaciela, który go zatrudni. Spróbuj się dowiedzieć.

- To nie takie proste. Nie mogę zapytać szefa, ot tak sobie.

- Li jest twoim jedynym bratem.

W tym momencie wrócił Li z wielką bryłą lodu w płócienną torbie. Rzucił ją na ziemię. Unikał mojego wzroku. Nie dał mi szansy na przeprosiny ani wyjaśnienia. Machnęłam mu na pożegnanie i zebrałam się do wyjścia.

- Wszystko sprzysięgło się przeciwko nam, mężczyznom - wyrzucił z siebie niespodziewanie. - Ale ty mogłabyś się przydać. - Jedno uderzenie drewnianym młotkiem i lodowa bryła pękła na dwie części. - Z łatwością zarobiłabyś trzy, może cztery razy więcej od nas. Wystarczy udawać, że umiesz wróżyć...

- Nie mam zamiaru się prostytuować.

- Jakbyś już tego nie zrobiła.

Skrzyżowaliśmy spojrzenia, po czym odwróciłam się na pięcie. Kłótnia nie miała sensu.

- No dalej, uciekaj! Tylko to umiesz robić! Żyjesz marzeniami! Pośpiesznie ruszyłam w stronę wyjścia, ale poszturchiwana i popychana ze wszystkich stron znowu wyładowałam w samym środku parku. Tłum

sprzedawców jedzenia i picia na gorąco i na zimno, kanciarzy szukający okazji, bokserów, alfonsów, biznesmenów, playboyów, dandysów kłębił się i przewalał w obie strony.

Wzburzona kobieta Hakka handlująca orzeszkami ziemnymi dźgnęła mnie w żebra.

- Wy, fordanserki, idźcie do diabła z tymi waszymi związkami! Te strajki przynoszą mi straty! Cieszcie się, że w ogóle macie pracę!

Uciekłam od niej i natknęłam się na siwego Araba, który uszczypnął mnie w pośladek i mrugnął znacząco. To była niemal uprzejma zaczepka w porównaniu z tym, na co pozwolił sobie odrażający typ, który złapał mnie w pasie i zagadnął prostacko w dialekcie hokkien:

- Ile bierzesz, kwiatuszku? Nie mam za wiele, ale jestem mały i szybki. Może dasz mi upust.

Wyrwałam się z uścisku brutalnych śniadych rąk i wpadłam do najbliższego baru. Okazał się wschodnią wariacją burdelu z Dzikiego Zachodu. Liczyłam, że ta cudzoziemska spelunka onieśmieli mojego absztyfikanta. Mnie na pewno onieśmieliła. W blasku świec gruby milczący Chińczyk w sombrero nalewał whisky przy kontuarze. Usiadłam na stołku przed nim, pokrzepiając się myślami o moich nowych ekranowych ulubieńcach, Nicku i Norze Charlesach, jak śmieją się, popijając drinki. Musiałam zachowywać się swobodnie.

- Podwójna czysta.

Kątem oka dostrzegłam w ciemnym rogu sali męskie sylwetki w mundurach. To dopiero burdel. Oprócz mnie nie było tam żadnej kobiety. Sięgnęłam po whisky, stanęłam obok wahadłowych drzwi, na wypadek gdybym musiała szybko wyjść, i wychyliłam duszkiem zawartość szklaneczki.

Z galerii dobiegł wrzask:

- Już myśleliśmy, że wszystko diabli wzięli, a tu żywa chińska lala z drinkiem!

Głos brzmiał młodo. Wrzeszczący chłopiec na pewno nie był starszy ode mnie. Trzymałam się prosto, ze wzrokiem utkwionym w szklaneczce. Do wrzeszczącego dołączyli niektórzy jego kumple. Chrypieli i piszczeli jak uczniaki.

- Laska ściska drinka lepiej niż ty, Ron!

- Nie pierdol!

- Zaraz ja pościskam jej cytrynkę!

- Au, Musgrove chce dymanka!

- Stul pysk, Jonesy!

Odgłos szurania powiedział mi, że przynajmniej dwaj chłopcy podnieśli się z miejsc. Nie wiedziałam tylko, czy chcą się bić, czy podejść do mnie. Ze wzrokiem wbitym w kontuar zapłaciłam fałszywemu Meksykaninowi i pośpiesznie opuściłam bar z wysoko uniesioną głową.

- Ej, wracaj! Chcemy tylko uciąć sobie pogawędkę! - krzyknął jeden z nich i wyszedł za mną. Musiał być tuż po mutacji, bo głos ciągle płatał mu figle. - Mała pogawędka, to wszystko!

Odwróciłam się i spojrzałam mu w twarz. Miał nie więcej niż piętnaście lat, wzruszająco różowe usta i rumiane policzki. Na świeżo ogolonych baczkach perlił się pot. Spiorunowałam go wzrokiem. Pokornie potruchtał do baru. Jakim cudem wpuszczono tego dzieciucha na teren Cudownego Świata?

Jakim cudem ten dzieciuch znalazł się w wojsku?

I znów wmieszałam się w tłum, szukając najkrótszej drogi do wyjścia. Brama ciągle wydawała mi się odległa, a droga do niej jeszcze bardziej skomplikowana, wręcz nie do przebycia.

- Chodź za mną - usłyszałam nad uchem. Głos był tak stanowczy, że nie mogłam go zignorować.

Coś złapało mnie za rękę i pociągnęło w tłum, zamiast z niego wyciągnąć. Byłam bezradna jak rybak utopiony w oceanie przez rekina. Płynąc pod prąd ludzkiej ciżby, zobaczyłam charakterystyczny węzeł czarnych włosów. To był Issa. Próbowałam się wyrwać, ale on tylko wzmocnił uścisk. Po chwili staliśmy przy bramie.

Tak, byłam mu wdzięczna za ratunek. Jednocześnie zastanawiało mnie, że pojawił się w odpowiednim momencie. Za bramą uwolniłam się z jego uścisku i zobaczyłam na nadgarstku czerwone pręgi, ślad po jego palcach.

- Szedłeś za mną? Pan Wee kazał mnie śledzić? Issa zaśmiał się cierpko.

- Pan Wee ma ważniejsze rzeczy do roboty niż zawracać sobie głowę twoimi wędrówkami po mieście. Mówię o starszym panu Wee.

Nie podobały mi się jego insynuacje dotyczące Daniela. Bynajmniej nie dlatego, że nie było w nich pewnej dozy prawdopodobieństwa. Issa po prostu nie powinien wygłaszać takich komentarzy.

- Młody pan też mnie o to nie prosił - dodał.

- To co tu robisz?

We wstecznym lusterku zobaczyłam jego szelmowski uśmiezek.

- Nie ty jedna masz tajemnice. Pewnego dnia porozmawiamy sobie o tym.

## DOKĄD ODESZŁY MOJE DUCHY?

Nie zależało mi na wizytach w klubie pływackim. Kiedy po raz pierwszy zanurzyłam się w basenie, w jego najgłębszej części zobaczyłam szare korpusy młójące wodę ramionami - wiecznych topielców. To był najgorszy rodzaj chrztu. Nigdy więcej nie pływałam.

Muszę jednak przyznać, że kusilo mnie życie prowadzone przez rodzinę Wee. Klimatyzowane sypialnie, świeżo prasowane pranie o różanym zapachu, spiżarnia pełna uchowców w puszkach, peklowanych kaczek, wystawne kolacje w restauracji dwa razy w tygodniu. Wbrew deklaracjom pana Wee, że jego ulubioną potrawą jest kurczak z ryżem, prawda okazała się inna. Ryż był skrobią biedaków i rzadko pojawiał się na stole rodziny Wee. Jeśli kogoś było stać na mięso i warzywa, nie potrzebował ryżu. Prosiłby o niego tylko ktoś nieobyty. Pan Wee uwielbiał rekinie płetwy, homary i tłuste foie gras. Zupa z ptasich gniazd, którą jadłam u niego, była przygotowana zgodnie z oryginalnym przepisem, z prawdziwej wydzieliny ptaków pozyskiwanej w Indiach Holenderskich przez zwinnych wspinaczy. To, co przygotowywał tata na straganie w Cudownym Świecie, było tylko nędzną podróbką na bazie agaru.

W obcowaniu z rodziną Wee bardziej od ucztowania ceniłam łatwość, z jaką można było odsunąć od siebie przeszłość i świat zewnętrzny. Pan Wee i Daniel nie wspomnieli ani słowem o mojej rozmowie w sprawie pracy, nie wypytywali też o postępy w poszukiwaniach. Odpowiadało mi to i nieważne, czy wynikało z ich uprzejmości, zwykłego zapomnienia czy obojętności. Nawet między Violet i mną nastąpiło zawieszenie broni. Brak akceptacji dla mojej przyjaźni z jej bratem ograniczyła do posykiwania.

- Wyjdziemy gdzieś? - spytał Daniel pewnego ponurego popołudnia, gdy w rezydencji Wee panowała smępna atmosfera. Violet zakuwała do egzaminów z dziesięciu przedmiotów - które musiała zaliczyć na ocenę co najmniej dobrą, w przeciwnym wypadku groziło jej wyrzucenie z Connaught Academy - i chodziła ciężko po schodach w górę i w dół, dając wyraz swojemu przygnębieniu pomrukami i wzdychaniem. Pan Wee w przypiływie irytacji Podnosił i rzucał słuchawkę, przez cały czas grzebiąc w stosie chińskich brukowców z Małą u boku jako tłumaczką.

Odłożyłam magazyn „Modern Screen”, porzucając rozpromienioną twarz Olivii de Havilland w nogach łóżka.

Daniel się uśmiechnął.

- Wiem, dokąd cię zabrać.

Issa zawiózł nas bentleyem. Nie rozmawiałam z nim od tamtej pamiętnej niedzieli w Cudownym Świecie. Traktowałam go chłodno, ponieważ jakakolwiek oznaka zażyłości sprowokowałyby pytania. Nie miałam powodu do zmartwień. W obecności Daniela Issa zachowywał się jak nieznajomy.

Kiedy zostawiliśmy za sobą przedmieścia i wjechaliśmy między palmy kokosowe i porośnięte pnączami figowce wiedziałam już, że nie jedziemy ani do ogrodu botanicznego, ani do klubu pływackiego, lecz gdzieś dalej na wschód. Minęliśmy Zakazane Wzgórze, mokradła Jervois, nawet elektrownię zaopatrującą Wyspę w prąd. Jechaliśmy dalej, aż dotarliśmy do wąskiej drogi porośniętej z obu stron kazuarynami, których szpiczaste czubki kołysały się na wietrze. W oddali dostrzegłam latarnię morską. Jej sylwetka przypominała papierosa.

W powietrzu czuć było sól. Kiedy iglasty gąszcz się przerzedził, dostrzegłam między pniami pas nieskazitelnie białego piasku. Zielonkawoniebieska woda marszczyła się lekko, drobne fale z pluskiem rozbijały się o brzeg, niosąc pianę wyglądającą jak szyfonowe wykończenie wieczorowej sukni. Nie mogłam oderwać widoku od tego piękna. Na plaży nie było nikogo. Nawet duchów. Od czasu, gdy mieszkałam w dżungli, nie widziałam tak wyludnionego miejsca.

Zauroczona widokiem wody nie zauważyłam celu naszej wyprawy. W połowie drogi Issa skręcił w prawo w wąski podjazd i zaparkował pod portykiem. Staliśmy przed willą w stylu włoskim - z łososiowymi ścianami i kutymi balustradami - lecz przystosowaną do klimatu równikowego. Jak domy malajskich wieśniaków wznosiła się półtora metra nad ziemią, dla lepszej wentylacji. Daniel wziął mnie za rękę i poprowadził wyłożonymi mozaiką schodami na werandę, która okalała cały dom.

- Co za dziwaczne miejsce - mruknęłam bez zastanowienia.

- Prawda? - Daniel się uśmiechnął. - Ten dom zbudował mój dziadek. Typowa willa Peranakanów, wszystkiego po trochu. Jak wiesz, jesteśmy wszystkoistami. Nie przejmuj się, przywykniesz.

Już przywykłam. Willa ustępowała wielkością miejskiej rezydencji rodziny Wee, ale dzięki swojej osobliwości wydawała się ciekawsza. Przede wszystkim była mniej posępna. Rattanowe meble z kolorowymi poduszkami nasuwały skojarzenia z plantacją. Wszędzie wisiały papierowe lampiony, okna zdobiły draperie w orchidee. W głównym salonie stał nawet steinway z otwartą klapą, czekający na wspólne śpiewanie, chociaż nie umiałam sobie wyobrazić rodziny Wee w takiej sytuacji.

- Umiesz grać? - zapytałam.

- Nie. Nikt z nas nie umie. Dziadek sądził, że w każdym wiejskim domu musi być fortepian. Pewnie gdzieś o tym przeczytał. Po jego śmierci właścicielem domu został mój ojciec. Ciotka Betsy zajęła się odnowieniem go i urządzeniem, ale tata nalegał, żeby zostawić fortepian. - W jego głosie zabrzmiała chłopięca duma. - Ten dom będzie kiedyś mój.

Swoboda, z jaką podkreślił swoje prawo do tak luksusowej posiadłości, przypawiła mi o dreszcz. Mój stan posiadania ograniczał się do szafy zwykłych sukienek i zbioru książek z oślimi uszami. Co za różne światy!

- Ile domów ma twoja rodzina?

- Tylko te dwa. Jest jeszcze mieszkanie w Hongkongu, w regionie Kowloon. Ale to tylko mieszkanie. Podobno jest bardzo małe i surowe. Tylko tata w nim pomieszkuje. Żadnych ozdóbek. - Uśmiechnął się przepraszająco. - Mój tata nie przepada za nadmiarem.

- Ale jest bardzo hojny.

- Tak, hojny... - Urwał. Wyczułam w jego głosie nutkę dezaprobaty. - Gdybym zgodnie z planem pojechał do Anglii na studia, prawdopodobnie w Londynie czekałoby na nas mieszkanie.

- Miałeś jechać do Anglii? - Tego nie wiedziałam. - Dlaczego nie pojechałeś?

Zbył mnie wzruszeniem ramion i rozsiadł się wygodnie w fotelu.

- Wiesz, co najbardziej podoba mi się w tym domu? - spytał. - Co?

- Nie ma tu służby. - Daniel złapał mnie za przegub i przyciągnął do siebie. Usiadł mi na kolanach. To była uwodzicielska strona Daniela, którą uwielbiałam i której ciągle było mi mało. Nasze usta się spotkały. Jęknął pod moim ciężarem. Spleceni w uścisku przenieśliśmy się na sofę, gdzie przycisnął mnie do oparcia.

Całowanie Daniela było niczym szybowanie w powietrzu - lekkie, przyjemne, odrobinę niebezpieczne. Mogliśmy trwać tak bez końca, nie cofając się i nie posuwając naprzód. Chciałam oczywiście odważyć się na więcej, ale gdy tylko próbowałam wsunąć się pod niego, on natychmiast zmieniał pozycję, by do tego nie dopuścić. Poprowadziłam jego dłoń ku wewnętrznej stronie moich ud. Chociaż wciągnął głęboko powietrze i zaczął szybciej oddychać, uwolnił rękę i przeczesał mi włosy palcami, jakbym była ukochanym maltańczykiem. Ograniczyliśmy się więc do zwyczajnych pocałunków.

- Pragnę cię, Danielu.

- Ja też cię pragnę, ale nie możemy tego zrobić.



Po dwóch godzinach przyjemnych, lecz coraz bardziej frustrujących pieszczoł, uznałam, że najwyższy czas wyjść na powietrze. Pobiegłam boso po białym piasku. Daniel szedł za mną w skórzanych sandałach, jakby bał się zmysłowego kontaktu gołej stopy z ziemią.

Piasek był miękki i gorący. Z willi do morza mieliśmy około stu metrów. Wyobraziłam sobie wodę pieszczącą próg domu w czasie przyprływu.

- Czy morze podpływa pod dom? Daniel pokręcił głową.

- To cieśnina. Najspokojniejsza woda, jaką można sobie wyobrazić.

Mówił prawdę. Naszła mnie ochota, by rzucić się nago w czystą turkusową toń. Od najbliższych domów dzieliło nas półtora kilometra. Po prawej stronie na skalistym cyplu stała willa przypominająca zastygłego pelikana, po lewej majaczył wapienny zamek ukryty między palmami kokosowymi. Dalej rysowała się samotna sylwetka latarni morskiej.

- Cała ta plaża należy do was?

- Niecała. - Zaśmiał się. - Tylko ten trzykilometrowy kawałek. Szczerze mówiąc, wolę klub pływacki.

- Dlaczego?

- Tam nie ma żadnych niespodzianek. Wiadomo dokładnie, jaka jest odległość od punktu A do punktu B. Żadnego piasku, żadnych fal, żadnych meduz, żadnych zmiennych. Kiedy sobie popływam, zależy mi tylko na czystym miękkim ręczniku, a w klubie mam ich pod dostatkiem. Zimnych napojów też.

- Nie masz za to wysp. - Wskazałam małe atole po drugiej stronie cieśniny. Wyglądały jak drobiny ładu podskakujące na powierzchni wody.

- Ach tak, to Wyspy Korzenne. Należą do Holendrów. Najbliżej nas leży Zatoka Cynamonowa. Dziadek powtarzał, że kiedyś będzie jego. Niestety, tak się nie stało.

Podeszłam do wody. Fala obmyła mi stopy, a pękające banieczki piany delikatnie szczypały w palce. Obudziła się we mnie namiętność do tej wody i wszystkiego, co z nią związane, jakbym odkryła, że drobny piasek między palcami, wilgotna bryza we włosach i subtelny aromat gałki muszkatołowej w nosie są częścią mojego naturalnego stanu, a całe dotychczasowe życie spędzone w głębi ładu było zaledwie namiastką. Chciałam zamieszkać w willi Daniela. Więcej, niż chciałam. Łaknęłam tego.

Szliśmy, trzymając się za ręce. Od czasu do czasu przystawaliśmy, by się pocałować albo odgarnąć sobie wzajemnie włosy z twarzy. Kierowaliśmy się ku czarnym skałom w pobliżu latarni morskiej. Chciałam przyjrzeć im się

bliżej. Ku mojemu zaskoczeniu Daniel nigdy tam nie dotarł. W pewnej chwili zauważyłam na plaży przed nami rozkołysany punkt. Drewno wyrzucone na brzeg? Wodorosty? Nie, to raczej przypominało ducha. Nie powiedziałam ani słowa i próbowałam zachowywać się naturalnie.

Im bardziej zbliżaliśmy się do tego miejsca, tym wyraźniej plama na piasku przybierała na moich oczach kształt przypominający ludzką głowę połączoną z masą o barwie ciemnej purpury. Przypuszczałam, że to martwy lew morski. Z każdą falą tym dziwnym tworem wstrząsało drżenie.

- Widzisz to? - zapytał Daniel. Serce podeszło mi do gardła. -Co?

- To. - Wskazał purpurową masę. - Wygląda jak olbrzymi żółw albo coś podobnego. Może to wyrzucony na brzeg diugon?

Ruszył biegiem. Pobiegłam za nim z uczuciem ulgi, że to nie gul, którego obecność musiałam ignorować.

Prawda okazała się jeszcze gorsza. Nie był to ani żółw, ani diugon. Ujrzelśmy piękną nagą kobietę. Leżała na plecach, miażdżona w uścisku olbrzymiej ośmiornicy. Głównóg oplatał ramionami jej tułów, a oślizgłą głowę wielkości dwóch poduszek przyciskał do jej twarzy. Nie wiedzieliśmy, czy uwięziona kobieta jeszcze oddycha. Dzieliło nas od niej sześćdziesiąt metrów, gdy Daniel przystanął i gwałtownie odrzucił głowę do tyłu.

- Pani Nakamura! - wydał stłumiony okrzyk, po czym odwrócił się do mnie. - To żona latarnika. Muszę coś zrobić.

Złapałam go za ramię. Potrzebował przynajmniej długiego drağa, żeby odegnąć potwora, a wokół nas nie było choćby kawałka drewna.

- Pani Nakamura! - krzyknął znowu.

Kobieta nie zareagowała. Leżała bez ruchu na ziemi. Czekaliśmy. Kiedy napłynęła kolejna fala, jęknęła upiornie i przeciągle. Ośmiornicą wstrząsnęły konwulsje, zacisnęła macki jeszcze mocniej i zadrżała jak gigantyczny napięty mięsień. Skurczone cielsko odsłoniło nieco panią Nakamurę i wtedy zobaczyliśmy, że otwór gębowy stwora - nieprzyzwoicie wyglądający dziób u podstawy śliskiej głowy - przywarł do piersi nieszczęśnicy, znacząc jej tułów strużkami kleistej mazi.

Daniel ścisnął mnie za rękę.

-To ją pożera!

Kiedy nadpłynęła kolejna fala przyboju, pani Nakamura znowu jęknęła. Tym razem był to ludzki odgłos. Daniela i mnie po raz drugi przeszły ciarki. Pani Nakamura przeżywała uniesienie. Patrzyliśmy, jak zaciska dłoń na jednym

z ramion stworzenia i przesuwają ku lśniącej zwilgotniałej szparze między udami, dyktując rytm poruszeń. Przy każdym pchnięciu zawodziła przenikliwie, zachowując dreszcze i jęki na chwilę, gdy z nadejściem fali pełzła po piasku chłodna morska piana, mocząc jej włosy, plecy, nogi. Jej morski przyjaciel także zdradzał objawy zadowolenia. Zamknął ogromne oczy, przyssawki jego ramion zaciskały się w zgodnym rytmie, a końce pozostałych siedmiu macek falowały w powietrzu w takt jakiejś lubieżnej symfonii. Gdy konwulsje ustały, po jasnych udach kobiety spłynęły atramentowe smugi, które zabrała cofająca się fala. Niedługo potem zaczął się następny cykl. Niecodzienni kochankowie wrócili do wzajemnego pobudzania się, w oczekiwaniu na kolejną falę.

- Pani Nakamura... - wymamrotał Daniel z dziwnym zachwytem. Poczzerwieniały, unikał mojego spojrzenia.

Przyglądaliśmy się tej scenie dłużej, niż powinniśmy. Odeszliśmy w ciszy, zmieszani i przestraszeni, w stronę czarnych skał. I znowu wzrok nas zwiódł. Skały okazały się potężnymi prehistorycznymi głazami. Oparte o siebie, tworzyły grotty i katakumby. W zwyczajny dzień pewnie balibyśmy się piratów mających tam kryjówkę, ale dzisiaj wszystko było wyjątkowe.

Weszliśmy do jednej z nisz, by posłuchać echa szumu fal. Wilgotne powietrze było przesiąknięte wonią oceanu. Staliśmy na kobiercu barwnych wodorostów - czerwonych, zielonych, brązowych, rdzawoczerwonych. W niektórych zakamarkach mieszkwały maleńkie kraby. Trzy z nich próbowały wspiąć się teraz po moich łydkach.

- Dlatego noszę sandały - powiedział Daniel, z uśmiechem zrzucając je ze mnie.

Płaska skała przy wejściu do niszy wydawała się idealnym miejscem do rozprostowania zmęczonych nóg. Usiedliśmy na niej. Fale przyływu musiały obmywać ją przez tysiąclecia, nadając jej nadzwyczajną gładkość. Była pokryta algami miękkimi jak meszek. Kiedy dotarło do nas, że od chwili ujrzenia pani Nakamury nie rozłączyliśmy dłoni, zaśmialiśmy się zawstydzeni i delikatnie pocałowaliśmy. Następny pocałunek był bardziej namiętny. Ściany grotty potęgowały każdy dźwięk, każdy aromat, każdy dotyk. Tym razem Daniel, zamiast oderwać się ode mnie, jak to robił do tej pory, przysunął się bliżej, dając upust wstrzymywanym pragnieniom.

Oczy mu rozbłysły nieznanym mi dotąd egoizmem brutala, który nie przerywa, póki się nie nasyci. Pod wpływem tej przemiany wydał mi się jeszcze przystojniejszy. Stanowczość i niecierpliwość, z jaką zerwał ze mnie ubranie, wprawiła mnie w ekscytację. Jęknęłam, gdy złapał mnie za nadgarstki i wsunął język do ucha.

A potem na zielonym nadbrzeżnym łożu zrobiliśmy najbardziej naturalną rzecz dla dziewczyny i chłopca, którzy byli świadkami nienaturalnego misterium: kochaliśmy się po raz pierwszy.

Po dziewiętnastu latach wzlotów i upadków, wstrząsów i zamętu w końcu nastąpił początek mojego prawdziwego życia. Chcąc uczcić ponowne narodziny, postanowiłam nadać sobie nowe imię. Wybór okazał się trudniejszy, niż sądziłam. Zaczęłam od Pandory, ale tym imieniem nazwał mnie Odell. Nie wybrałam go sobie, dlatego nadal szukałam. Potem przyszły mi do głowy Miranda i Cassandra. W obu imionach dźwięczała nieposkromiona pycha, a Scarlett (od Scarlett O'Hary) brzmiałaby zbyt szkarłatnie, zbyt wschodnio. Zwróciłam się więc ku skromnym, niewyróżniającym się imionom, takim jak Susan, Sarah i...

Zmęczona ich zwyczajnością wróciłam do Cassandry. Cassandra, dziewczyna z greckiego mitu, która widziała rzeczy niewidzialne dla innych. Ponieważ na Wyspie właściwie nikt nie słyszał o starożytnych Grekach, uznałam, że wybór tego imienia będzie moim subtelnym żarcikiem. I tak stałam się Cassandrą.

Danielowi spodobała się Cassandra. Spodobała się tak bardzo, że wkrótce poprosił mnie, bym została panią Cassandrą Wee.

Jak się spodziewałam, Li i tata odmówili udziału w przyjęciu zaręczynowym pod niezbyt oryginalnym pretekstem. Tłumaczyli się pracą. Ulżyło mi. Bałam się, że Li dostanie napadu złości albo będzie rzucał uwagi o bogaczach. Ciężła mi ich milcząca dezaprobata. Porzuciłam swoje stare życie -to znaczy ich. ^

Daniel i ja postanowiliśmy urządzać kameralne przyjęcie w domu, ponieważ pan Wee uważał, że bardziej wystawna feta - choćby bankiet z szampanem w Metropolu - byłaby niewłaściwa, *zważywszy nastroje spowodowane niepewną sytuacją polityczną*. Pan Wee już zaczął ograniczać wyjścia do restauracji. Jadaliśmy kolację na mieście tylko raz w tygodniu, wyłącznie w prywatnych pomieszczeniach, z dala od ciekawskich oczu.

Wśród pogłosek o spodziewanej japońskiej inwazji na Indie Holenderskie nasza Wyspa przeżywała napływ jasnowłosych osadników, którzy opuścili swoje plantacje w Batawii. Sądziło się, że tutaj Japończycy im nie zagrażą - Brytyjczycy nazywali Wyspę „niezwyciężoną twierdzą” - miejscowi jednak nie mieli takiej pewności. Wszyscy czytali o potwornościach, do jakich doszło z Nankinie. By uspokoić przerażonych mieszkańców Chinatown, władze Wprowadziły ćwiczenia na wypadek nalotu. Na Wyspie nie było oczywiście

schronów, ale panowało przekonanie, że regularne wezwania do zaciemnienia zajmą ludzi, póki wojna się nie skończy.

Ledwie zauważałam sytuację w mieście, a co dopiero na świecie, ponieważ w moim życiu zaszła jeszcze jedna zmiana, równie doniosła jak zaręczyny z Danielem: przestałam widzieć duchy. Nie wiem nawet, kiedy to się stało, tak byłam upojona szczęściem. Mogę tylko przypuszczać, że krótko po oświadczeniach.

Póki widywałam duchy, nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo przytłaczała mnie ich obecność. Spokój rzadko był mi dany, nawet w samotności. Póki nie upewniłam się, iż żaden duch nie czai się w rogu łazienki, gdy się myję, czy nie stoi mi za plecami w bibliotece, gdy czytam, miałam nieustanną świadomość, że jestem obserwowana.

Kiedyś można było powiedzieć, że zdolność widzenia tych dusz rozprasza moją samotność, ale nie byłam już samotna. Miałam Daniela. Teraz każdej wycieczce towarzyszyła nie podskórna obawa, lecz bezgraniczna radość -naiwność dorosłego.

Odbywaliśmy romantyczne przechadzki ścieżkami Zakazanego Wzgórza, gdzie jeszcze niedawno widziałam duchy sprzed dwóch stuleci. Spędzaliśmy noce w drogim starym hotelu, w którym jeszcze rok wcześniej dostawałabym gęziej skórki, a teraz w uprawianiu miłości mogło nam przeszkodzić tylko wyczerpanie. Kochaliśmy się nawet na chrześcijańskim cmentarzu leżącym w ustronnym zakątku na zachodzie Wyspy. Jedynymi towarzyszącymi nam istotami były wróble, świerszcze i motyle. Skrawek po skrawku odzyskiwałam pogrążoną w ciemności Wyspę dzięki światłu przyjemności.

Pałam się, żeby zacząć nowy rozdział jako młoda żona. Pani Cassandra Wee. Wierzyłam, że miłość mnie uratowała - nie, uleczyła - i patrzyłam na Daniela jak na wybawiciela. Uroczy, oddany i krzepiąco nieskomplikowany był lekiem na ciemność, w jakiej dotąd tkwiłam. Zdobywszy jego miłość, na dobre uwolniłam się od przeszłości.

Na przyjęciu w ogrodzie podaliśmy herbatę, lemoniadę, trzy rodzaje eklerów, cztery rodzaje ciasta oraz szampana dla wtajemniczonych przyjaciół - to znaczy przyjaciół Daniela - którzy wiedzieli, gdzie go szukać. To, że nie miałam przyjaciół, chciałabym złożyć na karb mojej wędrownej przeszłości, ale szczerze mówiąc, po historii z Dorą Conceicao nie szukałam nowych przyjaciół. Miałam książki, filmy i duchy, co wystarczało aż nadto.

Przybyło około czterdziestu gości, przeważnie szkolni koledzy Daniela i znajomi jego ojca, poważni mężczyźni, którzy wykorzystali tę okazję, by

podyskutować o polityce. Powiedzieliśmy Violet, że może zaprosić koleżanki z klasy, ale ona spędziła cały wieczór przy klatce Agnes, na przemian dając się i chichocząc, dzieląc z tym straszonym psem sobie tylko znane sekrety. Z tego, co wiedziałam, ona także nie miała przyjaciółek.

Na przyjęcie włożyłam obcisłą blad różową suknię - zgodnie z sugestią pana Wee niezbyt pretensjonalną - natomiast przyjaciele Daniela zjawili się w modnych strojach prosto z Paryża i Londynu i popatrywali na mnie z uprzejmym zdziwieniem. Chociaż nikt nie okazał mi *jawnej* niechęci, w ich gronie czułam się niepewnie. Tworzyli hermetyczną klikę cmokających się na odległość ludzi, którzy obracali się w swoim towarzystwie od urodzenia i robili interesy między sobą. Czy widziałam najmodniejsze włoskie czółenka ze skóry, które właśnie pojawiły się u Robinsona? Czy słyszałam, jak skandalicznie zachował się syn sułtana na uroczystym wieczorku tam i tam? Co się stanie z biednymi końmi w klubie Turf, jeśli wparują tam Japończycy? Ci bystrzy młodzi ludzie obojga płci palili jednego papierosa za drugim i wędrując między krzewami, zostawiali ślady popiołu i okruchów. Służba zbierała po nich talerze porzucone na ziemi. Daniel nie widział większości z nich od ukończenia szkoły Świętego Patryka. To, że krążył między nimi nieśmiało, zupełnie jak ktoś nowo przybyły, kto pierwszy raz ściska im dłonie na powitanie, dobrze o nim świadczyło. Nikt by nie zgadł, że przez dwa lata był kapitanem szkolnej drużyny rugby.

Uznawszy, że odrobina szampana pomoże mi się rozluźnić, wślizgnęłam się do biblioteki, gdzie pan Wee zostawił półtoralitrową butelkę chłodzącą się w lodzie.

Uprowadził mnie jednak jakiś młody mężczyzna. Przyłapałam go, jak pije prosto z butelki, wpatrzony w grzbiety książek oprawionych w cielęcą skórę. Niemal dotykał ich nosem. Był szczupły, lecz żyłasty jak mieszkańcy Kantonu, miał nieco zniewieściałe rysy twarzy i śmierdział olejkami do włosów. Czułam go już przy drzwiach. Chrząknęłam głośno, spodziewając się, że podskoczy przestraszony. Nie podskoczył.

- Za dużo Dickensa, nie sądzisz? - zapytał spokojnie, popisując się angielskim akcentem. Miałam wrażenie, że świeżo nabytym. - Barwne postacie biedaków, dobroczyńcy o złotych sercach, zabawne imiona, nawet bardzo zabawne, oto składniki idealnej literackiej papki.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, uniósł butelkę.

- Hańbię ten szlachetny trunek czy kompromituję się, ciągnąc z gwinta? -1 jedno, i drugie.

- Rozumiem. - Zasalutował i znów przechylił butelkę. Strużka szampana popłynęła mu po brodzie. Zanim zdążyłam przejąć się losem dywanu, wytarł ją rękawem. Najwyraźniej lubił prowokować.

- Kim jesteś? - zapytałam tonem nieznoszącym sprzeciwu.

- Ja zapytałbym raczej - uśmiechnął się kpiąco - kim ty jesteś? Tym pytaniem uraził mnie i wytrącił z równowagi. ,

- Przecież jestem narzeczoną Daniela...

- Żartowałem! Jasne, że wiem, kim jesteś. - Chwycił mnie za rękę i ucałował jak obłąkany rycerz. Od zimnego szampana miał lodowate usta. - Gratulacje. Nazywam się Kenneth. Kenneth Kee. Jestem najlepszym kumplem Dana ze szkoły.

Kenneth Kee? Daniel nigdy o nim nie wspominał. W ogóle nie lubił opowiadać o swoim dzieciństwie. To była jedna z rzeczy, która nas połączyła. Ja też nie lubiłam o tym mówić. Czy naprawdę mogli być „najlepszymi kumplami”? Nie wyobrażałam sobie bardziej różniących się chłopców. Daniel był przewidywalny pod każdym względem, a Kenneth Kee stanowił całkowite jego przeciwieństwo. Poruszał się tak, jakby odpowiadał przed innym, bardziej niecierpliwym bogiem, jakby oddychał innym powietrzem niż reszta, ze mną włącznie. I, co dziwne w upalne popołudnie w tropikach, w ogóle się nie pocił.

- Dlaczego nie jesteś w ogrodzie? Wzruszył ramionami.

- Mam trudności z nawiązywaniem kontaktów.

- Masz dziwny akcent.

- Ty też. Studiowaliśmy u panny Hepburn, prawda, Cassandro? Wysyczał moje imię jak wąż. Zabrzmiało koszmarnie i tandetnie, jakby

wstydził się w moim imieniu. Irytowało mnie jego zachowanie. Wetknęłam mu do ręki pustą kieliszek do szampana, żeby nie próbował pić z butelki. Napełnił go po sam brzeg, jakby rzucał mi wyzwanie. Nie uroniłam ani kropli. Przyglądał się, jak piję.

- Studiuję na kredyt w Oksfordzie, na kredyt z Oksfordu... można powiedzieć tak i tak. Stąd to irytujące seplenienie. Bóg musiałby czuwać nade mną, gdybym nie tylko śmiesznie wyglądał, ale też mówił. Tamtejsi ludzie nie mają wyobraźni. Jeśli mówiłbym z obcym akcentem, natychmiast założyliby, że nie potrafię myśleć i pisać inteligentnie po angielsku. Więc żeby oszczędzić sobie własnej wściekłości na ich brak wyobraźni, postanowiłem mówić w jedyny zrozumiały dla nich sposób, to znaczy tak jak oni. Czy to odpowiada na pytanie, którego przez grzeczność nie zadałaś?

- Uhm... tak, chyba tak - wyjąkałam.

- Gdyby nie ta przeklęta wojna byłbym już na trzecim roku. Dan ci nie mówił? To on powinien być w Balliol College, ale wysłał mnie na swoje miejsce.

Rzeczywiście, Daniel zawsze unikał rozmowy o powodach, dla których nie pojechał do Anglii. W ogóle nie wyglądał na studenta szacownego Oksfordu czy Cambridge.

- Dlaczego nie wyjechał na studia? - zapytałam. - To znaczy, chciałabym poznać twój punkt widzenia.

- Ponieważ bojaźliwy z niego skurczybyk. - Kenneth zaśmiał się chrapliwie i upił kolejny łyk. - Mówię poważnie. Dan jest sentymentalnym głupcem. Nie mógł znieść myśli o opuszczeniu rodzinnych stron. Chociaż wyszło mu to na dobre. Złapał ciebie.

Nasze spojrzenia się spotkały i wtedy pomyślałam, że Kenneth Kee nie jest taki zły.

- Na szczęście dla mnie okazał się sentymentalnym głupcem - powiedziałam.

- Ciągle mu powtarzam, że od czasu do czasu powinien rozczarować innych. Dzięki temu jego życie stałoby się bardziej interesujące. Prawdę powiedziawszy, on sam stałby się bardziej interesujący. - Urwał, uświadomiwszy sobie, że może mnie uraził. - Jeszcze bąbelków?

Pozwoliłam mu napełnić mój kieliszek.

- Pokazać ci, co mu przywiozłem z Anglii? - Sięgnął do kieszeni spodni i wyjął z niej plik kart związanych gumką. - Będzie na mnie zły. Pewnie spodziewa się czapki myśliwskiej albo kosza dżemów od Fortnuma i Masona. Ale ten komplet gromadziłem przez pół roku. Naprawdę.

- Co to za karteczki? - zapytałam. Były nieduże, miały dwa i pół centymetra na dwa i pół, na każdej z nich widniał inny barwny rysunek. Zobaczyłam żołnierzy operujących reflektorami, gaszących ogień, cywilów zakładających maski gazowe.

- Karty z papierosów. Wkładają po jednej do każdej paczki szlugów, a potem tacy głupcy jak ja zatruwają sobie płuca, żeby zebrać całą kolekcję, czyli pięćdziesiąt sztuk. To mania, wiem o tym. Kiedyś znalazłem w paczce dwie, byłem tak podekscytowany, że przez kilka dni nie mogłem spać. Oto studenckie życie! Wmówiłem sobie jednak, że ten komplet ma filozoficzną wymowę. Tematem przewodnim jest ochrona przed nalotem. Taki przedślubny humor. - Zaśmiał się ponuro. - Komplet z blond seksbombami zachowałem dla siebie.

Spodobało mi się jego poczucie humoru. Nawet karty mi się spodobały. Miałam jednak wątpliwości, czy Daniel doceni prezent. Wolałby raczej czapkę myśliwską.



- Muszę wracać do ogrodu - powiedziałam. - Miło było cię poznać.  
- Zaczekaj. - Zdjął z półki pierwszą z brzegu książkę i niczym magik wyjął z niej zieloną czapkę z komicznymi nausznikami. Zachichotał triumfalnie. Jednak przywiózł Danielowi czapkę myśliwską. - Ja też jestem sentymentalnym głupcem - dodał.

Dziwny młody człowiek postanowił wyjść za mną do ogrodu i dołączyć do towarzystwa. Stał już w drzwiach, gdy jego wzrok padł na Violet i Agnes. Nagle poszarzał na twarzy.

- Zostanę jednak w środku. Roześmiałam się.  
- Nie mów, że boisz się psów!  
- Nie, nie, to nie Agnes się boję... Ta upiorna dziewczyna ugania się za mną od dziesięciu lat. Jest niestrudzona.  
- Violet się za tobą ugania? - To rozbawiło mnie jeszcze bardziej. - Hm, czasem da się z nią wytrzymać.

- Jestem pewny, że i Herr Hitler jest czasem do wytrzymania. Proszę cię, nawet nie wymawiaj przy mnie jej imienia.

- Violet! Violet! Violet! Mam ją zawołać?  
- Przestań! Jesteś okrutna! - Puścił się pędem przez hol, aż w odległym kącie salonu zauważył parawan. Ruszył prosto w jego stronę i sięgnął za polakierowane panele. Z grymasem na twarzy mocował się z czymś, aż usłyszałam donośny trzask zasuw.

- *Voilà*. - Uśmiechnął się szeroko, odsuwając zasłonę. Moim oczom ukazały się tajemne drzwi prowadzące do ogrodu. Kenneth nie krył radości, że udało mu się zaskoczyć mnie tą sekretną wiedzą. Poszłam za nim i dogoniłam go na wyłożonej kamiennymi płytami ścieżce biegnącej tuż przy bocznej ścianie domu.

- Kiedy byłem młodszy, lubiłem je oglądać. - Wskazał płyty okalające ścieżkę. - Wyobrażałem sobie, że każda z nich to grobowiec jakiegoś zapomnianego zwierzątka. Dan uważał, że to makabryczne. - Stał na jednej nodze i zaczął skakać po kamieniach jak dziecko grające w klasy. - Kot, kot, pies... szczur, szczur, pies. Żółta rybka. Chomik. - Zawiany stracił równowagę i potknął się, nie przestając chichotać. Przechylony w jedną stronę niczym myśliwiec zderzył się z drzewem. Osunął się na trawę, opróżnił butelkę szampana do ostatniej kropli i wetknął ją do góry dnem w rozbitą donicę.

- Kiedy nastąpi ten wielki dzień? - zapytał.  
- Nie ustaliliśmy jeszcze daty. Nie ma pośpiechu. Najpierw chcemy dokądś wyjechać. Może do Paryża.

- Do Paryża? Mniemam, moja droga, że doszły cię słuchy o wojnie?

- Tak, dlatego powiedziałam „może”. Pojedziemy, kiedy to wszystko się skończy. - Zachichotałam głupio. Szampan uderzył mi do głowy.

Przysiadłam obok niego na trawie w zagajniku rambutanów, na które padał cień rezydencji. Obserwowaliśmy wytwornych gości w ogrodzie za domem. Stali zbici w małe grupki i nasza nieobecność w ogóle im nie przeszkadzała. Promienie słońca igrały na ich bransoletkach, naszyjnikach i drogich szwajcarskich zegarkach. Byli piękni jak na pocztówce. Nawet więcej - piękni jak na obrazku, tym piękniejsi, że nie psułam tego widoku swoją osobą.

- Daniel miał tu pewnie sielankowe dzieciństwo. - Widziałam tylko fotografie. Liczyłam, że jego stary przyjaciel uraczy mnie kilkoma opowieściami.

Po wargach Kennetha przemknął uśmiešek.

- W tym domu szczęśliwe dzieciństwo było niemożliwe. Ojciec Daniela był wspaniałomyślny i hojny aż do przesady, ale chłodny. Matka chimeryczna i niestabilna, a macocha okazała się jeszcze bardziej chimeryczna i niestabilna. Nie mówiąc o koszmarnie kłopotliwej siostrze, której imienia nie wypowiem. Jakby tego było mało, naszego Dana prześladuje absurdalne poczucie winy. Mówię „absurdalne”, ponieważ zawsze przygnębiało go, że siedział sobie wygodnie w klimatyzowanych wnętrzach i czytał powieści przygodowe, podczas gdy jego koledzy z klasy musieli pracować, a jednak nie kiwnął palcem, by przeciwdziałać tej niesprawiedliwości. Zamiast coś zrobić, pograżał się w coraz większym poczuciu winy. Prawdę powiedziawszy, poczucie winy to zasadnicza cecha charakteru naszego Dannyego, jeśli do tej pory tego nie wiedziałaś.

- Założę się, że ty byłeś taki sam - odparłam lekko zirytowana. - Daniel nic nie może poradzić na swoje pochodzenie, ty zresztą też.

- Masz rację, ja też nie mogę. Wychowałem się w chacie krytej liśćmi palmy. Ośmioro w jednym pokoju, jeśli to w ogóle można nazwać pokojem. Po lekcjach pracowałem na straganie rybnym ojca na targu Ellenborough. Codziennie przez dziesięć lat. Solone ryby, płaszczyki, i tak na okrągło. Do dzisiaj czuję na sobie ich zapach. - Przysunął prawą rękę do nosa i wciągnął głęboko powietrze. - Makrela.

Wreszcie rozpoznałam, co kryje się za tym lekkim napięciem w jego głosie. To był starannie skrywany gniew. Arogancja, erudycja i cała reszta stanowiły tylko przykrywkę. Natychmiast poczułam z nim szczególną więź. On także żył w więcej niż jednym świecie. On także znał wysoką cenę oddzielenia tych światów.

Chwilę po tym wyznaniu Kennethowi wrócił tupet.

- Z dumą oznajmiam, że przez dwadzieścia jeden lat swojego życia nie spędziłem ani jednej nocy w klimatyzowanym pokoju. Mimo to nie jestem wcale gorszy, prawda? Patrz, nawet się nie pocę!

- Właściwie dlaczego się nie pocisz?

Wyszczrzył zęby w uśmiechu godnym kota z Cheshire.

- Ponieważ Bóg uczynił mnie wyjątkowym.

Nie słyszałam kroków, ale nagle przed nami wyrósł Daniel z trójką swoich przyjaciół, dwiema dziewczynami i zblazowanym chłopcem. Wszyscy trzymali szklanki z różową lemoniadą.

- Tutaj się chowasz - powiedział, nieco zaskoczony moją komitywą z Kennethem, ponieważ nas sobie nie przedstawił. - Kenny, nawet nie wiedziałem, że tu jesteś. Kiedy wróciłeś?

- Twój ojciec mnie zaprosił - odparł Kenneth, jakby to wszystko wyjaśniało.

- Znaliście się przedtem? - dążył Daniel, nadal skonfundowany.

- Przedtem? Chodzi ci o targ rybny? - zapytał Kenneth z dwuznacznym uśmiechem.

Daniel zaśmiał się niepewnie. Wtedy poczułam, że muszę go bronić.

- Kenneth właśnie opowiadał mi o życiu w Oksfordzie - rzekłam. - Wygląda na to, że dosyć tam nudno.

Daniel wykrzywił usta, próbując zmusić się do uśmiechu.

- Och, Kenny - odezwała się jedna z koleżanek Daniela, zalotna dziewczyna z rękami cienkimi jak bambus - znasz cztery języki, biegasz, pływasz, jesteś wysportowany, w miarę przystojny, na dodatek ponoć świetnie tańczysz. Jest coś, czego nie umiesz?

- Nie radzę sobie z wybaczeniem - odparł Kenneth, nie tracąc rezonu. Posłał Danielowi krótkie spojrzenie, a ten odwrócił wzrok.

- Wielkie nieba, Kenny! - Wykrzyknęła druga dziewczyna, jeszcze bardziej afektowana niż pierwsza, zauważając pustą butelkę. - Coś ty zrobił z szampanem?

Od miesięcy unikałam Issy. Wolałam, kiedy ktoś inny woził nas autem -zwykle prosiłam o to któregoś służącego - i tak organizowałam sobie zajęcia, żeby nigdy nie zostawać z Issą sam na sam. Bałam się spojrzeń, jakie rzucał mi we wstecznym lusterku, gdy nikt nie patrzył. Tych pozornie niewinnych, choć wiele mówiących uśmiezków. Bałam się ich. Zupełnie jakby chodziło o jakąś ponurą tajemnicę, a nie o przypadkowe spotkanie w miejscu publicznym.

W końcu nadeszło to, co nieuniknione. Miałam odebrać od krawca nowe sukienki, a przy okazji sprawdzić, czy trzeba dokonać jakichś poprawek. Był czwartek, a zwykle tego dnia Daniel jeździł do klubu pływackiego. Violet akurat ucięła sobie popołudniową drzemkę, poprosiłam więc Małą, by mi towarzyszyła. Małą, która od moich zaręczyn żywiła do mnie jeszcze większą niechęć niż podczas afery z kolczykami. Kiedy ruszyliśmy z podjazdu, nagle przypomniała sobie, że ma jakieś pilne obowiązki i po prostu wyskoczyła z samochodu.

Zostałam sama z Issą. Moją odrazę budził nawet jego kunsztownie upięty węzeł na czubku głowy. Z długimi włosami i idiotycznymi złotymi kolczykami na cygańską modłę Issa ucieleśniał męską arogancję. Zastanawiało mnie, dlaczego pan Wee, tak surowy i wymagający wobec innych służących, nie wymaga od Issy bardziej formalnego stroju. Odnosiłam wrażenie, że szofera nie obowiązują żadne zasady, a jego status buntownika daje mu jedynie więcej powodów do dumy. Mimo pochmurnego dnia nie zdjęłam ciemnych okularów.

Jazda do krawca upłynęła w pełnym napięcia milczeniu. Kiedy wróciłam do samochodu z sukienkami, Issa je przerwał.

- Cassandro - zaczął tubalnym głosem - minęły już trzy miesiące. Czeka nas pogawędka. Kiedy możemy ją odbyć?

- Nie mamy o czym rozmawiać. - Próbowałam mówić neutralnym, lecz stanowczym tonem. Ani wrogo, ani wymijająco. Wrogość uczyniłaby powrót do domu - i wszystkie następne przejazdy z Issą - sytuacją nie do wytrzymania.

- Mylisz się. I dobrze o tym wiesz. Mamy dużo do omówienia.

- Co z tego, że widziałeś mnie w Cudownym Świecie?

- W Cudownym Świecie? - Zarechotał. - Widziałem cię tamtej deszczowej nocy. Przy różach. Kopałeś tam jak pies.

Zesztywniałam. Issa prowadził spokojnie, z wprawą pokonując liczne zakręty. Nic w jego zachowaniu nie wskazywało na to, że właśnie powiedział coś prowokacyjnego. Ja jednak wiedziałam, że zdaje sobie sprawę z tego, jakie piorunujące wrażenie zrobiły na mnie jego słowa.

Czyżby oczekiwał nagrody?

- Nikt już nie zawraca sobie głowy tymi głupimi kolczykami.

- Kolczykami? - Zaśmiał się znowu. - Tańczyłaś w ciemności. - Przy następnym znaku stopu odwrócił się do mnie. Ku mojemu zaskoczeniu w jego oczach ujrzałam troskę. - Wiesz, wcale tak bardzo się nie różnimy. - Jego gładka śniada twarz przywodziła na myśl wojownika z innej epoki i innego

miejsca. Może Tongijczyka. Może Maorysa. A może przedstawiciela plemienia, które zamieszkiwało Wyspę, zanim przybyli na nią najeźdźcy, wygnańcy i emigranci. - Widziałem wszystko - powiedział łagodnie.

Zamarłam. Skąd wiedział o moim tańcu, o moich halucynacjach? Wizyta Odella była tylko wspomnieniem - moim wspomnieniem - i Issa nie mógł być świadkiem tych zdarzeń. Chyba że...

Mercedes za nami zatrąbił dwa razy. Siedziało w nim kilku zdenerwowanych Europejczyków. Kierujący ruchem policjant dał znak, że można jechać. Ze stoickim poczuciem wyższości Issa zjechał na bok i dał się wyprzedzić mercedesowi. Potem skręcił w ślepią uliczkę prowadzącą do jakiejś rezydencji i zgasił silnik.

- Zaufaj mi - powiedział. - Mogę ci pomóc.

O czym on mówi? Czyżby też był przeklęty? A może niepotrzebnie doszukiwałam się w jego słowach głębszego sensu?

- Wiem, że się boisz. Mogę cię nauczyć, jak to kontrolować. W mojej rodzinie od pokoleń są szamani. Uzdrowiciele. Jasnowidze.

Szamani... Czarna magia była ostatnią rzeczą, o jakiej chciałam słuchać. Prowadziłam teraz czyste życie. Tamten świat już mnie nie dotyczył.

- Nie potrzebuję twojej pomocy. I wcale się nie boję. Zapal silnik i zawieź mnie do domu.

- Myślisz, że znikły na dobre? Nie znikły. Nigdy się od nich nie uwolnisz. - W jego wzroku była poufałość. - Nadal tu są, tyle że czekają na odpowiedni moment. Nie możesz ich za to winić. Śmierć to najtrudniejsza rzecz, którą musimy zaakceptować.

Czego chce ode mnie ten szaman? Próbuje zakłócić moje nowe szczęście?

- Chcesz pieniędzy? Mogę ci zapłacić.

- Nie. - Zachichotał. - Pieniądze niczego nie rozwiążą. Ty powinnaś to wiedzieć.

Posłał mi wymowny uśmiech, który boleśnie uświadomił mi moją bezbronność. Wyrzałam przez okno. Staliśmy w ślepych zaułku. Nikt tędy nie przejeżdżał. Domy wokół nas były puste, przygotowane do rozbiórki, trawniki zaniedbane.

- Isso, natychmiast uruchom silnik i zawieź mnie do domu.

- Wedle życzenia, madam - powiedział i bardzo powoli przekręcił kluczyk w stacyjce. Podczas jazdy nie przestał mi dokuczać. - Pamiętaj, że one czekają. Nastanie piekło i one się pojawią. Wszystkie. Te dobre i te złe.

- Więc powinnam ci życzyć powodzenia - powiedziałam. Na szczęście dojeżdżaliśmy już do cudownych zagajników Tanglewood.

- Jeśli mi nie wierzysz, przyniosę ci świecę pobłogosławioną przez szamana. Obserwuj, jak szybko się pali, i sama się przekonasz. Albo następnym razem spojrzysz uważnie w lustro. Bardzo uważnie. Ciągłe tu są. Tuż za tobą. Rzędzie. Czekają na otwarcie bramy...

Podjechaliśmy pod naszą bramę. Przyczałam się, gotowa wyskoczyć, gdy tylko Issa zatrzyma samochód. Zanim zaciągnął ręczny hamulec, odwrócił się do mnie jeszcze raz.

- Jestem tutaj, ale jeśli przyjdiesz za późno - wydał wargi - nie zdołam ci pomóc. Trzasnęłam drzwiami i popędziłam do domu. O mało nie przewróciłam służących, którzy wyszli do samochodu po moje sukienki. Czułam na sobie świdrujący wzrok Issy. Towarzyszył mi, gdy wbiegałam po schodach i gdy z impetem rzuciłam się na łóżko.

Tej nocy, gdy zostaliśmy z Danielem sami w naszym pokoju, ustawiłam długie staroświeckie lustro tak, by odbijało nas oboje: mnie na pierwszym planie, w czerwonym jedwabnym kimonie, i nagiego Daniela w leniwej pozie na łóżku. Mimo ostrzeżeń Issy nie widziałam duchów. Byliśmy tylko we dwoje.

- Zdejmij kimono.

Zsunęłam je z ramion. Opadło na podłogę z ledwie słyszalnym szelestem. Daniel przyjrzał mi się okiem konesera.

- Idealnie. Można by cię schrupać. - Uśmiechnął się.

Muszę przyznać, że nago tworzyliśmy ponętną parę. Z trudem rozpoznałam swoje odbicie. W lustrze ujrzałam bardzo przystojnego mężczyznę, niemal syberyjskiego księcia, patrzącego na mnie pożądliwie. A na mojej twarzy malowała się radość. I zdumienie. Chciałam uwiecznić tę idealną scenę na fotografii. Nasze ciała, gibkie i spragnione, oczy widzące tylko siebie nawzajem. Na starość oglądalibyśmy ją zachwyceni i zadziwieni jędrnością naszych ciał i nieskromną niewinnością.

I wtedy ją zobaczyłam.

Rękę. Żyłastą i żółtawą. Wyłoniła się zza wezglowia łóżka, dotknęła policzka Daniela, a jej długie kościste palce zastłoniły mu oczy. On jednak niczego nie poczuł. Obróciłam się na pięcie, ale ręka zniknęła.

Daniel leżał w tej samej pozycji, z tym samym leniwym uśmiechem kota wylegującego się na słońcu, czekającego na pieszczoty.

- Chodź do mnie - wymruczał.

Znów odwróciłam się do lustra. I znów zobaczyłam w nim żółtawe szpony głaszczące go po policzku. Inna ręka objęła go w pasie, potem przesunęła palce wzdłuż uda. Jego ciało było takie bezbronne, takie miękkie, takie ludzkie...

„Oni ciągle tu są...”

Issa miał rację. Nie pozbyłam się ich.

- Przestań już podziwiać swoje odbicie. - Daniel poklepał pustą połowę łóżka. - Chodź do mnie.

Przechyliłam lustro w drugą stronę i rzuciłam się Danielowi w ramiona, dobrze mi znane silne ramiona pływaka, które - w co dotąd gorąco wierzyłam - ocaliły mnie przed ciemnością świata. Przewrócił mnie na plecy i przysunął twarz do mojej twarzy.

- Dlaczego płaczesz, najdroższa?

Właśnie wtedy uświadomiłam sobie, że patrzę na niego przez jakąś przesłonę, i nie są to tylko łzy. Daniel był równie przystojny, równie dobry, równie uroczy jak przedtem, zniknęła jednak ta czarująca cecha, jaką mu przypisywałam, ów blask, który czynił z niego mojego rycerza i wybawcę.

- Płacę ze szczęścia. - Nie kłamałam, chociaż byłam już świadoma, że to szczęście nie potrwa długo.

- Kiedy płaczesz, jesteś jeszcze piękniejsza, wiesz? Co za ironia. Straszna ironia. - Pocałował kąciki moich oczu. Wkrótce nasze pocałunki zmieszały się z solą mojego niewypowiedzianego smutku.

Kiedy we mnie wszedł, przywarłam do niego tak mocno, że dwoje ludzi chyba nigdy nie było bliżej siebie. Chwyciłam jego twarz w obie dłonie. Chciałam odebrać ją szponom, które rościły sobie do niej prawo i kałały ją swoim dotykiem. Całowałam i lizałam jego oczy, uszy, policzki, uwalniając je od piętna okropności. Oplotłam jego lędźwie nogami jeszcze ciaśniej, aż każde jego poruszenie i każdy dreszcz rozchodziły się po moim ciele. Chciałam, żeby zadał mi ból, chciałam z jeszcze większą intensywnością zaznać wzniosłości tej chwili.

- Ugryź mnie - wyszeptałam błagalnie. - Uderz.

- Nie. - Pogładził mnie po policzku i czule pocałował.

- Proszę cię, Dan. Chcę, żebyś zadał mi ból...

- Wykluczone - szepnął. - Kocham cię.

Kochaliśmy się przez całą noc. Zasypialiśmy i budziliśmy się pocałunkami i pieścizotą. Spędziliśmy już z sobą wiele nocy, jednak żadna nie była tak przepelniona zmysłową potrzebą, wręcz nakazem. Mimo to im bardziej błagałam, tym bardziej on odmawiał pozostawienia na moim ciele śladów choćby najdrobniejszych ukąszeń.

Rano obudziłam się momentalnie, gdy poczułam, jak Daniel wyplątuje się z mojego uścisku.

- Kochanie, tak mocno mnie obejmujesz, że nie mogę swobodnie oddychać.

- Nie zostawiaj mnie. Nigdy, przenigdy. - Objęłam go jeszcze mocniej.— Nie mogłabym żyć bez ciebie.

- Nigdzie się nie wybieram.

Musnęłam nosem jego rękę pokrytą ciemnymi włoskami, z porami przesyconymi znajomą esencją: zapachem chloru i Cussons Imperial Leather z domieszką śladów miłosnej nocy. Miał spierzchnięte usta i zmęczone oczy, a jednak nigdy nie widziałam bardziej urzekającej twarzy.

- Chciałabym zamknąć w butelce twój zapach - powiedziałam.

- Proszę bardzo.

- Zostań ze mną na zawsze.

- Taki mam zamiar. - Uśmiechnął się i pocałował moje włosy. - Co do zamiarów na najbliższą przyszłość, to chcę znowu zabrać cię do domu na plaży. Chcę się z tobą kochać w każdym pokoju, aż cały dom przesiąknie naszym zapachem. Weźmiemy chleb, ser i wino. Po całych dniach będziemy chodzili nago i robili tyle hałasu, ile zechcemy. Będziemy zachowywali się jak zwierzęta.

Miał rozmarzone, nieobecne spojrzenie. Spojrzenie chłopca opowiadającego o smokach i ośnieżonych szczytach gór. Odezwał się we mnie instynkt opiekuńczy lwicy. Chciałam chronić Daniela i jego fantazje. Chciałam chronić nas. Chciałam chronić całe dobro w naszym świecie tak długo, jak zdołam.

- I musimy wrócić do pieczary - ciągnął. - Naszej sekretnej pieczary... Tam powinniśmy począć nasze pierwsze dziecko.

Nasze pierwsze dziecko. Te słowa, jego wiara we wspólną przyszłość, wiara we mnie wyzwoliły emocje, których nie umiałam powstrzymać.

- Nie płacz, najdroższa. - Otarł mi łzy najdelikatniejszymi dłońmi, z jakimi kiedykolwiek miałam do czynienia. - Wiem, że jesteś bardzo szczęśliwa, ale proszę cię, nie płacz...

Tej nocy znalazłam na toalecie czerwoną świecę. Na pewno podarunek od Issy.

Kiedy ją zapaliłam, knot zaskwierczał jak petarda. W niespełną minutę Po świecy została tylko szkarłatna plama wosku.

\* \* \*

Stoję przy oknie i wciągam głęboko powietrze. Zmęczyło mnie to mówieniem, a już kolejne wspomnienia napływały i odżywały w pamięci. Nigdy nie spotkałam chłopca miłszego i szlachetniejszego niż Daniel. Nie powinien się ze mną wiązać. Violet miała rację. Daniel był dla mnie za dobry.



Jak długo działał ten czar? Dzień i noc? Dwa dni, dwie noce? Na dworze jest jasno, nienajlepszy czas na ponure rozważania. Wiem jednak, że pozory mylą. Znowu czuję ściskanie w żołądku.

Z wysokości ósmego piętra w samo południe miasto wygląda jak ponury powojenny Legoland z płataniną kabli telefonicznych i skrzynkami bucujących generatorów na każdym dachu. Ale błękitne niebo jest czyste, ani śladu wron-kamikadze. Przypuszczam, że panna Maddin jest moją wroną. Gdybyśmy się zderzyły, zapanowałaby między nami symetria.

Położę się i odpocznę. Muszę tylko szybko zmieść rozsypany przy drzwiach proszek z kości. Gest mający sens w nocy, w świetle dnia stawał się śmieszny. W oczach mojej profesorki Wrony nie mogę uchodzić za niechluję. Pierwsze wrażenia ciągną się za człowiekiem do śmierci. Kto jak kto, ale ja powinnam to wiedzieć.

Dzwonek do drzwi. Cóż za wyczucie czasu. Spałam tylko trzy godziny. Nawet mniej.

W końcu dotarła. Moja spóźniona wybawicielka. Serce wali mi jak młotem.

- Nie spieszyło się pani - mówię przez domofon. Odpowiada mi cisza.

Naciskam guzik i wpuszczam ją do budynku. Zamiast wsiąść do windy, idzie po schodach. Odgłos szybkich miarowych kroków niesie się po całej klatce. Wkrótce w moim wizjerze pojawia się kobieta w średnim wieku. Jest w dobrej formie i najwyraźniej lubi się nią popisywać.

Taksuję ją wzrokiem. Więc tak wygląda pani profesor Maddin. Nie tego się spodziewałam. Nie jest ani Holenderką, ani Południowoafrykanką, ani nawet Europejką. Jest Azjatką. Przypuszczalnie Chinką. Może Koreanką.

Przysuwa się bliżej, a wtedy wizjer zmienia jej nos w bezkształtną bulwę.

- Mogę wejść?

Uchylam drzwi. Jest wysoka i niezbyt ładna, ma proste czarne włosy. Uśmiecha się z zakłopotaniem. Spod jej granatowego zakietu wygląda biała bluzka. Całości dopełnia granatowa spódnica. Biznesowy strój w najbardziej pospolitym wydaniu. Żadnego makijażu, żadnej biżuterii. W konkursie na nijakość zajęłaby pierwsze miejsce.

Stoi przede mną. Obserwuję jej reakcję na mój wiek, moją przygarbioną sylwetkę, ślady dawno minionej urody.

- Proszę wejść - mówię.

- przepraszam, że tak długo to trwało. Musiałam załatwić parę spraw. Jak pani wie, w tym kraju każdego drobiazgu trzeba dopilnować osobiście. Japonia... - po jej wąskich bladych ustach przebiega cień uśmiechu - cóż za paradoks.

Wchodzi do środka. Omiata spojrzeniem moje małe mieszkanko, konfrontując je ze swoimi wyobrażeniami.

- Z daleka pani jechała? - pytam, patrząc na jej puste ręce.

- Z dość daleka - odpowiada lakonicznie.

Podążając za jej wzrokiem, rozglądam się po salonie. Czy ona widzi to, co ja? A może widzi więcej?

- Proszę usiąść. Napije się pani czegoś?

- Nie, dziękuję - odpowiada szybko, trochę za szybko. - Ja w ogóle nie piję.

Czy chciała być dowcipna? W końcu wymieniamy uścisk dłoni. Jej dłoń jest chłodna, ale przyjazna, o zadziwiająco miękkiej skórze jak na kogoś, kto już od dawna nie jest dzieckiem.

Siada w moim fotelu.

- Proszę sobie nie przeszkadzać. - Gestem wskazuje kanapę, jakbym to ja była jej gościem albo pacjentką. - Proszę kontynuować. Jeśli pani chce, może się pani położyć. Gdzie pani była?

Patrzę na nią szeroko otwartymi oczami. Kim ona jest? Czym jest? Obiecała przywieźć mi coś, czego szukałam. Czy naprawdę przywiozła?

- Ling, mam oczy, mam uszy. Widzę, że jest pani w połowie opowieści. - Wyciąga rękę i klepie miejsce na kanapie. - Proszę usiąść i skończyć swoją opowieść. Potem porozmawiamy. - Pierwszy raz obdarza mnie prawdziwym uśmiechem. - Spotkamy się po drugiej stronie.

## WAŻ W OGRODZIE

Słałam zaproszenie za zaproszeniem, jednak ani Li, ani tata nie przyjechali do nas w odwiedziny. Wymówili się brakiem czasu. Zgłosili się do ochotniczej służby w Chinatown i nocami obserwowali niebo, wypatrując samolotów wroga. Li przysłał mi pocztówkę przedstawiającą psa w smokingu łapczywie pożerającego pieczeń. *Bogacze pochowali się w domach i zbijają bąki. Sytuację ratują ludzie pracy tacy ja my* - napisał.

Te słowa uznałam za niepotrzebne. Sama kartka wystarczająco dobitnie prezentowała stanowisko mojego brata.

Japonia rzuciła Chiny na kolana. Ludzie na całym Pacyfiku bali się podobnego losu. Na Czarnej Wyspie słuchaliśmy coraz gorszych wieści z niezdrową ekscytacją. Obdarzeni przez los naturalnie głębokim portem morskim oraz stałymi dostawami kauczuku i cyny stanowiliśmy oczywisty cel. Inwazja na Wyspę była nieunikniona. Pozostawało tylko pytanie: kiedy?

W „Life” przeczytałam, że niemieckie samoloty zasypały paryskie bulwary ulotkami: *Paryżanie, nie bójcie się bomb! Paryż zostanie oszczędzony na chwałę Hitlera*. Ponieważ Japończycy nie zrzucili nam ulotek o podobnej treści, przynosiło to ulgę, a jednocześnie budziło narastające przerażenie.

Chcąc nieco rozładować napiętą atmosferę, kolonialni strażnicy Czarnej Wyspy przeprowadzili akcję wyszukiwania cywilów japońskiego pochodzenia, po czym umieścili ich w barakach w ustronnej części zachodniego wybrzeża „dla ich bezpieczeństwa”. Wiem, że dzisiaj tego rodzaju postępowanie uważa się za nieludzkie, ale wtedy popierałam to internowanie z całego serca. Jak wszyscy dokoła mnie bałam się i nienawidziłam Japończyków.

Pamięć podsuwała mi obraz pani Nakamury spółkującej z ośmiornicą. Jeśli zwyczajna japońska kobieta była zdolna do takiej perwersji, nikogo nie powinno dziwić, że jej rodacy w mundurach przekłuwali bagnietami chińskie dzieci i piekli je nad ogniskami. Krążyły pogłoski, że niektórzy je zjadali, polewając sosem sojowym. W całych Chinach Japończycy siali terror i zniszczenie, gwałcili niemowlęta i staruszki, samurajskimi mieczami rozcinali wieśniaków na pół, równali z ziemią wioski mające po tysiąc lat.

Już nie tylko Chinatown pałało oburzeniem. Oburzenie zapanowało na całej Wyspie, w całym regionie, może nawet na całym świecie. Zza wyszukanej pantomimy uśmiechów, ukłonów i uprzejmości wyjrzała druga twarz

Japończyków, najbardziej zwyrodniałych dzikusów na ziemi. Zamknięcie ich było najlepszą rzeczą, jaką od lat zrobili władcy kolonii, by podtrzymać morale ludności. Tłum wiwatował, gdy obcych przewożono do obozu. Gdyby inne działania rządu były równie skuteczne...

Miasto wyekspediowało indyjskich rekrutów podzielonych na małe grupki - każda pod nadzorem brytyjskiego nadzorca - do pobielenia przydrożnych drzew. Miały lepiej odbijać światła reflektorów na wypadek wyłączenia prądu. Jak większość mieszkańców Wyspy byłam za tymi przygotowaniami, póki nie zobaczyłam, jak Hindusi najpierw gawędzą, potem wdają się w kłótnię, a na końcu ulatniają się, nie wykonawszy pracy do końca. Szybko odkryłam powód. Po kilkunastu minutach przedstawienia dla ewentualnych obserwatorów biali nadzorcy po prostu zniknęli.

Znikali wszędzie. Sąsiadujące z nami domy pustoszały jeden po drugim. W sklepie Robinsonów, gdzie dotąd żony białych robiły zakupy, pojawił się czarnowłosy tłum. Li powiedział mi, że to samo dzieje się w Cudownym Świecie. Cudzoziemcy nagle się rozplnęli, zniknęli nawet żołnierze. Zupełnie jakby w nocy zaatakował podstępny wirus i zabrał ich we śnie.

Z radia płynęły codziennie deklaracje o gotowości, kiedy jednak przyszło do podjęcia kluczowych decyzji, odpowiedzialnych za nie ludzi nie można było znaleźć. To nie była duma, jak wiele lat później w nudnawych filmach dokumentalnych kręconych przez BBC tłumaczyli historycy. To było tchórzostwo w czystej postaci. Rządzący uciekli. Patrząc na to dzisiaj, porównałabym tę sytuację do sztuki teatralnej, którą twórcy z góry skazali na niepowodzenie i w dniu premiery na wszelki wypadek nie zjawili się w teatrze. Naszą Wyspę czekała zguba jeszcze przed podniesieniem kurtyny.

Pieniądze nie zapewniały ochrony. Pewnego ranka okazało się, że śniadanie w rezydencji Wee zubożało. Grzanki były suche jak wióry. Violet natychmiast wezwała kucharkę.

- Nie ma już masła - oznajmiła kobieta.

- Co to znaczy „nie ma już masła”? - Oburzenie Violet wreszcie wydało się usprawiedliwione.

- U Fitzpatricków już nie ma masła. Margaryna też niedługo się skończy.

Fitzpatrickowie utrzymywali, że jeśli u nich czegoś nie ma, to nie znajdzie się tego w żadnym sklepie i na żadnym targu w promieniu tysiąca kilometrów. Brak masła u Fitzpatricków oznaczał całkowity brak masła wszędzie, a całkowity brak masła wszędzie był zaiste złą informacją. Znikanie stało się plagą. Najpierw zniknęli kolonizatorzy, teraz zniknęło nawet masło.

Kucharka wyszła na chwilę do kuchni i wróciła z tekturowym pojemnikiem na jajka. Jej grobowa mina nie wróżyła niczego dobrego.

- Co ty wyprawiasz, Ah Koon? - zapytał pan Wee, podnosząc głowę znad porannej gazety. - Co tu się dzieje?

Kucharka uniosła tekturową pokrywę i pokazała nam dwa tuziny jajek tkwiących wygodnie każde w swojej przegródce. Wszystkie były pęknięte. Z każdej skorupki wyglądała mała zakrwawiona istota o szklistych czarnych oczkach. W połowie ukształtowane kurczaczki.

- Boże! - krzyknęła Violet.

Daniel przełknął ślinę i ścisnął mnie za rękę.

- Tato, co zrobić z...

- Zabierz je stąd - wyszeptał pan Wee. - I natychmiast się ich pozbądź.

- Zły znak - powiedziała na odchodnym kucharka. - Bardzo zły. Milczałam, wiedząc, że kobieta ma rację.

Po śniadaniu Violet kazała Issie zawieźć się do miasta. Chciała zrobić zakupy spożywcze, zanim skończą się zapasy. Daniel zasugerował, żebym do niej dołączyła. Po chwili wahania uległam. Uznałam, że to dobra okazja, by odłożyć na bok uprzedzenia.

Zatrzymała nas blokada na wysokości High Street. Podobne nam kobiety w samochodach z szoferami wyjechały po zaopatrzenie i tak jak my poniosły klęskę. Mogłyśmy tylko patrzeć, jak pięć wojskowych ciężarówek opuszcza podjazd sklepu Fitzpatricków, klaksonami torując sobie drogę. Ich zielone plandeki pękały od załadowanych łupów.

Violet pokręciła głową.

- Tata powiedział, że mają rozkaz niszczyć produkty spożywcze, ale mu nie wierzyłam. Czy nie powinni raczej ich pilnować? - Przez chwilę miałam wrażenie, że wyskoczy z auta i zaprotestuje, ale ona pochyliła się i klepnęła Isse w ramię. - Do klubu Turf, szybko!

Zawróciliśmy na przedmieścia. Zdążyliśmy jeszcze zobaczyć, jak dwie ciężarówki ruszają spod klubu krętym podjazdem wysadzonym palmami. Spodziewałam się zobaczyć upchnięte z tyłu rasowe konie, łypiące w przerażeniu wielkimi brązowymi oczami, ale samochody wiozły tylko żołnierzy, młodych, bladych, pryszczatych chłopców o ponurych minach. Jest nadzieja, że nie zabrali koni, pomyślałam. Wtedy usłyszałam okrzyk Violet:

- O Boże, nie!

Ruszyliśmy do stajni, mijając ostatni pojazd, wojskowego dżipa, który parkując, rozjechał całą rabatę lilii.

pięćdziesiąt szeroko otwartych boksów dla koni było pustych. Upiorna cisza sugerowała coś innego niż wypuszczenie zwierząt na wolność.

Z padoku za stajnią dobiegły poirytowane krzyki jakiegoś Anglika:

- Tędy, chłopcze! Głuchy jesteś? Tędy, nie tamtędy!

Issa nie potrzebował poleceń. Bez słowa zjechał z utwardzonej drogi i ostrożnie ruszył po trawie w stronę głosu. Zbliżał się powolutku, centymetr po centymetrze w kierunku brązowej piramidy na środku błotnistego padoku. Brytyjski oficer w mundurze, najwyraźniej ten, którego głos usłyszeliśmy, wrzeszczał na dwóch indyjskich dżokejów, gdy wdrapywali się na brązowy stos i polewali go płynem z kanistrów.

- Przekłete gnojki! Ogłuchliście? Ominęliście tego! - Oficer był tak pochłonięty egzekwowaniem swoich rozkazów i machaniem rękami, że nas nie zauważył.

Issa zatrzymał się jakieś pięćdziesiąt metrów od zamieszania i wtedy żołądek podszedł mi do gardła. W bezkształtnej do tej pory brązowej masie dostrzegłam głowy i ogony. Piękne i zdrowe konie czystej krwi zostały wyprowadzone ze stajni, zastrzelone i ułożone w stertę mięsa. W powietrzu unosił się metaliczny odór śmierci wymieszany z prochem i naftą - trzy zapachy wojny.

Gdy dżokeje nastąpili na otwartą ranę, w górę trysnęły czerwone strumienie. Poślizgnęli się na krwi i niemal jednocześnie zderzyli się i upadli, trafiając prosto w głowy istot, które jeszcze przed chwilą były ich ukochanymi i cennymi podopiecznymi.

Na drugim końcu padoku stało w szeregu dziesięciu zastygłych ze zgrozy dżokejów, którzy obserwowali tę scenę. Dwóch żołnierzy piechoty o twarzach dzieci mierzyło do nich z karabinów, jakby to oni mieli być następnym celem. Jedno nieopatrzone kichnięcie i dżokejów zasypałby grad kul.

Issa uruchomił silnik i ruszył prosto do piramidy.

- Co ty robisz, Isso? - zapytałam. Violet ukryła twarz w dłoniach.

- Biedactwa, moje biedactwa... - Miała czułe serce, przynajmniej dla zwierząt.

- Isso, zawróć i wieź nas do domu - powiedziałam.

Pirat jechał jednak dalej, udając, że mnie nie słyszy. Brytyjski oficer w końcu odwrócił się w naszą stronę i przekrzywił ze zdziwienia głowę. Nerwowym gestem sięgnął po broń.

- Zawróć natychmiast! - warknęłam.

Issa zignorował i to polecenie. Oficer zdążył już wyjąć pistolet i rozstawił szerzej nogi, przyjmując pozycję do strzału. Dwaj młodzi żołnierze także wymierzyli karabiny w nasz samochód.

- Issa! - Wbiłam mu paznokcie w ramię. - Jeśli oni cię nie zabiją, przysięgam, że ja to zrobię.

Nie odrywając wzroku od drogi, posłał mi we wstecznym lusterku dumny uśmiech mędrca, którego przepowiednie właśnie się sprawdzały, i bardzo powoli wrzucił wsteczny bieg.

- Naucz się prosić - wycedził.

Nawet gdybym poskarżyła się na zachowanie Issy, pan Wee i tak miał ważniejsze sprawy na głowie niż ruganie upartego szofera. Od tygodni późnym wieczorem urządzał zebrania w rezydencji. Wywnioskowałam, że tworzy z kolegami tajną grupę oporu na wypadek inwazji na Wyspę. Działał według najlepiej znanego sobie schematu rodem z izby handlowej. I chociaż mężczyźni pod jego kierownictwem nie chwyтали za broń, przynajmniej nie „siedzieli w domach i nie zbijali bąków”, jak określił to Li.

Co noc przybywali ukradkiem, niektórzy, jak mniemam, niechętnie, i naradzali się za zamkniętymi drzwiami. Pan Wee zakazał mi wstępu. To były męskie sprawy. Taktownie nie powiedział tego wprost, ale ja i tak wiedziałam, czego się obawia: mój długi język, czyli kobieca gadatliwość, mogły im zaszkodzić.

Czułam się urażona, ale rozumiałam. Dyskrecja była najważniejsza. Dopóki Czarną Wyspą rządili Brytyjczycy, takie spotkania czyniły z pana Wee oraz jego przyjaciół antykolonialnych wywrotowców. I tak mężczyźni przybywali i odjeżdżali pod osłoną nocy, w kapeluszach i szalach, kryjąc twarze nawet przed służbą. Prawdę powiedziawszy, w ciepłe tropikalne noce wyglądali w nich śmiesznie. Mimo to taktyka, chociaż komiczna, okazała się skuteczna: nie rozróżniałam ich, spotkania odbywały się *w małym gronie, a ich* uczestnicy ciągle się zmieniali.

Daniel brał w nich udział, chociaż niechętnie. Nie interesował się polityką - „to jedno wielkie oszustwo”, powtarzał - czuł się jednak zobowiązany do moralnego wspierania ojca. Opowiadał, że siedzi obok niego i potakuje, a w razie potrzeby donosi napoje. Pragnęłam, żeby przyswoił sobie trochę wiadomości o dyplomacji i planowaniu, on jednak pozostał nieugięty w swojej obojętności.

Tego popołudnia, gdy zabito konie, gubernator lord Pickering złożył w radiu zaskakujące oświadczenie: zwiększona liczba brytyjskich żołnierzy na Wyspie jest konieczna ze względu na doniesienia o planowanym strajku robotników.

To, że dopiero gdy stanęliśmy w obliczu katastrofy, usłyszałam głos gubernatora, wiele mówi o kolonialnych rządach. Z tego powodu do dzisiaj

pamiętam jego brzmienie. Lord Cecil Pickering II mówił, jakby miał usta pełne kawioru i nie chciał uronić ani jednego rybiego jajeczka. „Są na Wyspie ludzie, którzy robią wszystko, by siać zamęt. Nie wiem, czy są tego świadomi, ale zachowują się jak przyjaciele nazistów. Ostrzegam, że uważam ich za wrogów i potraktuję jak wrogów”. Ani słowa o Japończykach. Wyobraziłam sobie, jak po przemowie odpoczywa na sofie w białej tozde.

Tej nocy pan Wee wezwał do siebie całą dwunastkę swoich ludzi. W napięciu czekałam w sypialni na Daniela. Po dwóch długich jak wieczność godzinach w drzwiach stanął wreszcie mój przyszły mąż. Jego zgarbiona sylwetka zdradzała przygnębienie.

- Tata sądzi, że *wojna* już trwa, chociaż nikt w rządzie tego nie przyzna. - Przytulił mnie do piersi, chcąc pocieszyć i dodać sobie odwagi. Miał dłonie lepkie od potu. - Ktoś powiedział, że Farquhar, dyrektor szpitala ogólnego, zwołał dzisiaj rano pilną naradę. Wszyscy miejscowi lekarze i pielęgniarki mają być w gotowości. Nikt nie może wyjechać. To samo dzieje się w służbie cywilnej. Wszystkie podróże dla Azjatów zostały wstrzymane. Jeden z kontaktów taty w porcie mówi, że właśnie przyłynął pasażerski liniowiec, najwyraźniej gotowy do zabrania stąd ludzi. Próbują zorientować się w sytuacji i zdecydować, co dalej. Nigdy nie widziałem taty tak zatroskanego i, szczerze mówiąc, przeraża mnie to. - Pocałował mnie przelotnie. Miał chłodne wargi. - Lepiej już pójdę. I tak już za dużo ci powiedziałem.

- Prawie nic mi nie powiedziałeś! Gdzie jest teraz gubernator?

- Nikt nie wie. Podejrzewają, że tę przemowę wygłosił zza granicy.

- Zza granicy?

Ze skruszoną-miną Daniel podbiegł do drzwi. Odczekałam około minuty, potem zesłam na palcach po schodach, kierując się do biblioteki. Mijając pionową trumnę, z jaką teraz kojarzył mi się zegar szafkowy, usłyszałam skrzypnięcie drzwi. Z biblioteki wyslizgnęła się drobna męska postać.

Przemknęła jak cień przez pogrążony w ciemności hol. Przystanęła, wyczuwszy moją obecność. Przyczaiła się jak wiewiórka sprawdzająca, czy gdzieś czai się drapieżnik, po czym ruszyła dalej. Poznałam ten cień. To był Kenneth Kee. On też należy do spiskowców?

Ostrożnie ruszyłam przed siebie. Podeszłam do drzwi biblioteki i już Przymierzałam się do podsłuchiwania, gdy poczułam na ramieniu czyjąś ciężką dłoń.

Wiedziałam, że to Issa.

- Robią, co mogą - wyszeptał. - Ale to za mało. Nie mają tego, co my. Nie odwracając się, bez cienia ustępliwości w głosie powiedziałam:



- Chcę z tobą porozmawiać. O wszystkim.
- Tak myślałem. Spotkamy się przy samochodzie. Kiedy odwróciłam głowę, zobaczyłam tylko ciemność.

Gdy tylko ruszyliśmy z podjazdu, zarzuciłam go pytaniami.

- Dokąd jedziemy?
- Na Zakazane Wzgórze. Tam można bezpiecznie rozmawiać.
- Jesteś jednym z nich?
- Ja? - Zaśmiał się. - Po co im facet z nizin społecznych? Nie mam pieniędzy, nie mam władzy.
- To był Kenneth Kee, prawda? Dlaczego tu jest?
- To z pewnością jeden z nich.
- Ale on też nie ma pieniędzy i władzy. Czego od niego chcą?
- Jest dla pana Wee jak syn. Syn, jakiego pan Wee wolałby mieć.
- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Masz dar widzenia ukrytych rzeczy, a nie widzisz tego, co najbardziej oczywiste. Kenneth to bystry chłopak z biednej rodziny, zawsze pierwszy w klasie. Twój narzeczony, bez urazy, jest bogaty, ale nie taki bystry. To był wzajemnie korzystny układ. Pan Wee płacił za naukę Kennetha tak długo, jak on pozwalał Danielowi odpisywać swoje prace domowe. Przez wiele lat Kenneth prawie mieszkał w rezydencji. Pan Wee zaoferował mu nawet pokój, ale Daniel zaprotestował. Tak czy siak, to dzięki pomocy Kennetha twój narzeczony zdobył miejsce na Oksfordzie.

- Ale nie pojechał.

- Oczywiście, że nie. Gdyby opuścił dom na trzy lata, ojcowska miłość mogłaby się zmienić prawda? Księżę musi pilnować swojego miejsca w królestwie.

W pierwszym odruchu chciałam bronić Daniela, ale ugryzłam się w język. Zamiast pomyśleć o nim źle, co zapewne było intencją Issy, poczułam przyływ jeszcze większej opiekuńczości. Ten chłopiec nie mógł być nawet pewny uczuć własnego ojca.

Moje pytania o rodzinę Wee szybko się wyczerpały. Wiedziałam równie dobrze jak Issa, że mamy do omówienia znacznie niebezpieczniejsze sprawy, nie byłam jednak gotowa poruszyć pierwsza tego tematu. Issa też nic nie mówił i w aucie zapadła cisza.

Bentley mknął pustymi ulicami. Do Zakazanego Wzgórza dojechaliśmy w niecałe dziesięć minut. Zostawiliśmy samochód przed wejściem na cmentarz w połowie jego południowego zbocza i ruszyliśmy przed siebie. Stróż zapomniał zamknąć bramę, a może dostał łapówkę, by zostawić ją otwartą - na

Czarnej Wyspie jedno i drugie było prawdopodobne. Weszliśmy na cmentarz jak szpiedzy ze świata żywych wkraczający do krainy umarłych. Powietrze wyczuwalnie się zmieniło, było chłodniejsze i wilgotniejsze, oblepiało ubranie i ciało.

- Nie bój się.

- Nie boję się. - Byłam podekscytowana. W końcu miałam okazję porozmawiać z kimś o świecie duchów. Serce zabiło mi mocniej.

- Umarli trwają w nieskończonym sporze, którego nigdy nie wygrają - powiedział Issa. - Zdecydowana większość rezygnuje, ale niektórych ten spór napędza. Dodaje im sił, by uparcie nie przyjmować do wiadomości, że bez względu na siłę własnej perswazji, bez względu na to, jak żywi się czują, i tak jest już za późno, ponieważ są martwi. Właśnie te istoty nazywasz duchami. - Uśmiechnął się tajemniczo. - Chodź ze mną.

Była pełnia. Jasna tarcza księżycy zalewała srebrzystym blaskiem wszystko dokoła nas prócz włosów Issy, których czerń wydawała się niezmienna. Kraczące wrony poderwały się do lotu, gdy je mijaliśmy.

Patrząc na ogrodzenie z kutego żelaza przypuszczałam, że to chrześcijański cmentarz. Myliłam się. Na tym duchowym skrzyżowaniu spotkała się cała ludzkość. Na szarych kamiennych płytach, wyrastających z porośniętej mchem ziemi niczym smocze zęby, widniały taoistyczne swastyki, gwiazdy Dawida, islamskie półksiężyce, a nawet cherubinki o puciołowatych policzkach poczerniałych od pleśni. To był albo neutralny grunt, albo ring, na którym stawały do walki wszystkie dusze.

Szukaliśmy spokojnego miejsca i je znaleźliśmy. Mimo to Issa uparcie prowadził mnie dalej w ciemność.

- Czy tu nie wystarczy?

- Nic nie mów i idź za mną.

Szliśmy, aż wokół nas wszystko znieruchomiało i ucichło tak, że niczego nie słyszałam. Ani ptasiego śpiewu, ani cykania świerszczy, ani nawet szelestu liści. Issa przystanął.

- Każdy cmentarz ma swoje tajemne serce, gdzie nie dociera żaden dźwięk ani wiatr - powiedział. - Dotarliśmy do serca tego cmentarza. Tu jest bezpiecznie. Możemy zaczynać.

- Zaczynać co?

Issa nie nadawał się do towarzyskich pogawędek. Złączył dłonie, skrzyżował nogi i powoli opadł na mokrą trawę. Tak usadowiony, skinął głową.

- Oboje jesteśmy ogniwami w nieskończonym łańcuchu duchów. Jedyna różnica między nami a nimi polega na tym, że my jemy, oddychamy

i krwawimy. - Gestem pokazał mi, żebym również usiadła. - Nazywali mój lud Badjao albo Orang Laut, czyli Morscy Cyganie, albo Ludzie Wody. Te urocze nazwy sugerowały, że jesteśmy nieszkodliwi i spokojni jak prości ludzie, którzy przez całe życie łowią ryby gołymi rękami. Ale na początku mieliśmy tytuł Królewskich Strażników, ludzi radzy. Byliśmy tu od stuleci, na długo przed przybyszami z różnych stron. Patrowaliśmy morza. Utrzymywaliśmy pokój, nie wpuszczając najeźdźców.

W księżycowej poświacie zobaczyłam na jego twarzy niepohamowaną dumę, którą natychmiast pokrył szyderczym uśmiechem.

- Potem nasi królowie zrobili się chciwi. Wpuścili tu obcych w zamian za złoto i srebro. Najpierw tego, potem tamtego, aż w końcu zjechali tu wszyscy. Spójrz, w jakie tarapaty wpadliśmy. Możesz nas uważać za Orang Laut, ale wiedz, że nigdy nie byliśmy rybakami, nie byliśmy prymitywnym ludem. Chcę, żebyś o tym pamiętała.

- Byliście piratami. ., Skrzywił się, ale po chwili na jego twarz powrócił spokój.

- Byliśmy wojownikami - sprostował z naciskiem. - Utrzymywaliśmy pokój, pilnując swojej własności. Jeśli nie wyznaczasz granic, będziesz się poddawała i poddawała, aż nic ci nie zostanie. Nie przyprowadziłem cię tu, żeby rozmawiać o zbójcach. Chcę ci opowiedzieć o ilmu, czyli magii. Z nadejściem najeźdźców moi przodkowie musieli bronić siebie i swojego stylu życia. Zwrócili się w stronę ilmu, ponieważ magii nikt ci nie może odebrać. Ważne, żebyś o tym pamiętała, gdy przyjdzie wojna.

- Nie rozumiesz mnie. Liczyłam, że powiesz mi, jak się uwolnić od duchów.

- Panno Cassandro - pokręcił głową - masz wrodzony dar. Ona cię potrzebuje. Zamarłam.

- Ona?

- Wyspa. Kiedy rozpęta się piekło, będzie potrzebować wielu takich jak my.

Znów mówił tym swoim tonem czarodzieja. Nigdy nie uważałam zdolności widzenia duchów za magię. Dla mnie była raczej przekleństwem.

- Ty też je widzisz?

- Tak. - Uśmiechnął się.

- Więc jak możesz uważać to za dar?

- A jak można nie uważać tego za dar? Robimy rzeczy niedostępne innym ludziom.

- A jeśli odmówię? - Podniosłam głos. - Jeśli wybiorę normalność?

- Nigdy nie będziesz normalna, panno Cassandro. - Zaczął rozpinąć guziki koszuli z długimi rękawami, odsłaniając gładką karmelową skórę na piersi pokrytą plemiennymi znakami. Na jego mięśniach widniały dwa czarne węże zwrócone do siebie głowami. Tworzyły literę S i jej lustrzane odbicie. Poniżej łopatek miał czarne rozety chryzantem. Kiedy koszula opadła na ziemię, napiął mięśnie i pokazał więcej. Czarne cierniste pnącza krzyżujące się na bicepsie. Nigdy wcześniej nie widziałam tych tatuaży. Dobrze je ukrywał. Kapłański sposób ich odsłonięcia sugerował, że oto zaczęła się dla nas obojga wspólna podróż, chociaż ja wyruszałam w nią niechętnie.

- Ubierz się - poprosiłam.

Kontynuował prezentację, jakby mnie nie słyszał.

- Dziadek mnie pomalował, kiedy miałem dwanaście lat. To sproszkowany węgiel drzewny zmieszany ze zmieloną kością tygrysa. Wierzył, że te znaki ustrzegą mnie przed złymi duchami. Ale zło jest względne, prawda?

Uklęknął, znieruchomiał na kilka sekund, po czym zaczął grzebać w ziemi. Po chwili miał ręce pełne żywej piaszczysto-ilastej gleby, przesiąkniętej zapachem grobu i trupiej cieczy. Ostatnie ulewy wzbogaciły jeszcze tę mieszaninę. Skrzywiłam się na widok wijących się, zabarwionych krwią dżdżownic. Issa pomazał sobie tą ziemią ramiona, pierś i szyję niczym główny kapłan pradawnego rytuału, który nagle mógł stać się agresywny.

- Co ty robisz? Przestań.

- Przyłącz się do mnie. - To było jednocześnie wezwanie i zaproszenie. - Musimy się ubrudzić, zanim zaczniemy mówić do duchów. Trzeba się do nich upodobnić, by zyskać ich zaufanie.

- Przyszłam tu, żeby rozmawiać z tobą, nie z duchami!

- Rób, co mówię, panno Cassandro. Nie czas nie dziecinadę. Nie pokażę ci rzeczy, które chcę ci pokazać, póki nie zaczniesz mnie słuchać. Proszę...

Ukucnęłam i zagłębiłam palce w ziemi. Aż kipiała. Przypominała świeży nawóz naturalny, jeszcze ciepły i miękki. Zupełnie jakby przeniknęły do niej płyny z głębokości kilku metrów pod nami. Po pierwszych niepewnych pociągnięciach po odsłoniętych ramionach mój opór minął. Ziemia stała się Pielęgnacyjnym balsamem, pieszczotą, która zintensyfikowała moje odczuwanie życia. Wróciłam pamięcią do nocy spędzonych samotnie w dżungli. Byłam wtedy silna, czujna, nieustraszona. Chciałam zmienić się w czystą i zwyczajną, ale to ciepło było dowodem, że moje ciało jest nierozzerwalnie Wiązane z ziemią. Zdecydowanymi ruchami wysmarowałam ziemią ramiona, szyję i kark, nie myśląc o bawełnianej sukience.

Uklękłam na trawie, zwrócona twarzą w stronę Issy, i z jego miny wyczytałam, że zdałam test. Uśmiechnął się, wyraźnie zadowolony z siebie, co mnie rozsierdziło.

- Nie ciesz się tak!

- Wcale się nie cieszę - odparł, chociaż uśmiezek wyższości nie schodził mu z ust. - W przeciwieństwie do ciebie magia nie jest mi dana. Musiałem ją sobie przyswoić jak moi przodkowie. Można to zrobić na kilka sposobów. Jeden to zgłębianie jej tajników, a w trakcie nauki adept modli się, pości i recytuje Koran, póki nie osiągnie stanu zapomnienia. W końcu magia na niego spływa. Tak robili moi przodkowie. Oni używali ilmu do przewidywania urodzaju ryżu, płci dziecka, szczęśliwych liczb w grze, ale to mnie nie interesowało. Pragnąłem czegoś o wiele potężniejszego, czegoś bardziej... pasjonującego. Dlatego wybrałem inną ścieżkę, chociaż przodkowie mnie przed nią ostrzegali. W noc pełni księżyca, taką jak dzisiaj, poszedłem na grób zamordowanego mężczyzny. Powiedziano mi, że jego wróg wdarł się do domu i poderznął mu gardło, gdy spał. Tylko na grobie zamordowanego człowieka odnajdziesz niespokojnego ducha zwanego badi. Badi zawsze szuka lepszego domu. Usiadłem na grobie. Wziąłem do ręki nóż i zacząłem nim wiosłować, jakbym płynął kanoe. - Słowa zilustrowałem energicznymi ruchami rąk. - Lewa, prawa, lewa, prawa... Po dwóch godzinach, gdy ręce mi omdlewały i już chciałem zrezygnować, świat... uległ przemianie. Nagle siedziałem w czólnie, w prawdziwym czólnie, pośrodku horyzontu. Niebo i morze były niebieskie. Rozdzielała je wyraźna biała linia. Pojawił się na niej starzec i ruszył w moim kierunku, jakby zamiast wody miał pod stopami stały grunt. Wiedziałem, że to musi być badi. Kiedy znaleźliśmy się naprzeciwko siebie, poprosiłem go o trochę magii. Od duchów nie można żądać zbyt dużo na raz. Wtedy badi obdarzył mnie wszystkim.

W tej historii kryło się coś więcej. Niespokojne duchy nie są filantropami. Wiedziałam o tym z doświadczenia.

- Co musiałeś dać mu w zamian? Swoją duszę?

- Po takim rytuale należy umieścić badi w bezpiecznym domu. Zwykle jest to wnętrze warana albo środek drzewa. Ja tego nie zrobiłem. Mój badi zaoferował mi biegłość w ilmu jahat, co wy nazywacie czarną magią, w zamian za wolność. Jak mogłem odmówić? Miałem tylko trzynaście lat.

Przyglądałam mu się uważnie. Z torsem pokrytym ziemią wyglądał wspaniale i śmiesznie, w połowie guru, w połowie dziecko taplające się w błocie. Z takim nastawieniem do niego wierzyłam w tę historię tylko w połowie.

- Skoro posiadasz tę moc, to dlaczego jesteś tylko szoferem? - zapytałam.

- Tylko szoferem? - powtórzył, uśmiechając się. - Dlaczego jesteś tylko damą wiodącą próżniacze życie, skoro mogłabyś dokonać znacznie więcej, wykorzystując swój dar? Nie oceniamy sukcesu według tak prostych kryteriów. Poza tym obcowanie z wpływowymi ludźmi przynosi wymierne korzyści, o czym już sama zdążyłaś się przekonać. A teraz się rozejrzyj.

Nie byliśmy już sami.

Cmentarz zaludnili błakający się zmarli. Kobiety i mężczyźni w każdym wieku mijali się jak na miejskim placu. Każde z nich zatrzaśnięte we własnym świetle, nie zważające na otoczenie. Oni ciągle tu są, pomyślałam.

Oszukał mnie! Wstałam i zaczęłam ścierać z siebie ziemne piętno.

- Zrób coś, żeby odeszli! Nie chcę ich widzieć! Mówiłam, że nie chcę mieć z nimi do czynienia!

- Jak zdołasz dowodzić armią, której nie będziesz widziała, panno Cassandro?

Wyjął z kieszeni spodni zapalniczkę, przechylił się i przeciągnął ją po płycie nagrobnej za moimi plecami. W pomarańczowym błysku ujrzałam arabski napis. Siedzieliśmy na grobie jakiegoś muzułmanina.

- To grób mojego ojca - oznajmił Issa i zamilkł. - Został zamordowany, kiedy byłem dzieckiem - dodał po dłuższej chwili.

Zamordowany. Samo słowo przyprawiało mnie o dreszcze.

Musiałam się uwolnić. Oczyszczyć. Ale błoto nie dawało się usunąć. Im bardziej starałam się je zetrzeć, tym bardziej przywierało do palców, pozostawało wszędzie, gdzie się dotknęłam. Ta ziemia, nasyciona sokami zamordowanego mężczyzny pokryła całe moje ciało. Drżały mi ręce. Byłam głupia, że zaufałam temu wstrętnemu piratowi!

- Boisz się, panno Cassandro? -Nie!

Issa wstał i spojrzał na mnie z poważną miną.

- Strach nie jest zły. Nie powinniśmy bać się strachu. Kiedy się boisz, widzisz świat w nowym świetle. Wyostrza ci się spojrzenie.

Z liturgiczną gracją wyszarpnął zza pasa sztylet. Jego wyszczerbione ostrze pokryte było kwiatowym grawerunkiem tak delikatnym, że przypominał rybie łuski. To był keris, uświęcony nóż Malajów. Mogli go nosić tylko mężczyźni z królewskim rodowodem. Nigdy kobiety. Mimo to miał zamiar mi go przekazać?

- Strach, wściekłość i zło panoszą się na świecie. Aby je pokonać, musisz je zrozumieć...

Zacisnął dłoń na rękojęści. Zagięte ostrze keru błysnęło w powietrzu i opadło na moje lewe ramię nad łokciem. Zanim poczułam ból, uniosło się i trafiło w prawe ramię. Issa chciał mnie zabić.

- Widzisz teraz, jak działa strach? Bierze cię we władanie. - Miał stalowe oczy zwierzęcia.

- Proszę!

- Nie chcę cię zabić. Po prostu pokazuję ci prawdę. - Wetknął mi keru do ręki i zacisnął moje palce na rękojęści. - Zrób to teraz. Wiosłuj.

-Co?

- Użyj obu rąk. Wyobraź sobie, że siedzisz w czóźnie. Wiosłuj. Zerknęłam na upiorne czerwone uśmiechy na moich ramionach. Krew

ciepłymi strużkami spływała mi po rękach i mieszała się z błotem, a moje dłonie wyglądały tak, jakbym miała na nich ciemne kleiste rękawiczki. Rozumiałam okrutną logikę kryjącą się w słowach Issy. Doszedłszy do tego punktu, chciałam poznać jego tajemnice. Zaczęłam wiosłować.

- jesteś zła - stwierdził.

- Jasne, że jestem! Jak mogłabym się nie złościć? Oszukałeś mnie, a potem zraniłeś!

- Dobrze! - Issa zachichotał. - Bardzo dobrze! Użyj tej złości. Zanurz się w niej.

- Przestań się śmiać. Mogłabym cię zabić!

- Pozwól ować się emocjom, Cassandro. Posłuchaj mnie uważnie. Moim badi był starzec, ale twoim może być ktoś inny. Badi zawsze przybiera postać znanej ci osoby. Możesz przeżyć wstrząs, ale panuj nad emocjami. I bądź pokorna, kiedy będziesz prosiła badi o moc.

Wiosłowałam z całych sił. Lewa, prawa. Lewa, prawa. Cmentarne duchy gromadziły się wokół nas, być może przyciągnięte moim cierpieniem.

Otyła Tamilka z brzuchem wystającym spod sari i czarną grzywą zamiatającą trawę. Wychudzony chiński staruszek w zjedzonym przez mole garniturze. Kilkuletni Europejczyk w jasnyniebieskim marynarskim ubranku, drapiący ospowę krostki na buzi. Przyjrzałam się co najmniej dziesięciu następnym - dziewczynie w ślubnej sukni, zaratustriańskiemu kapłanowi, bardzo wysokiemu Hindusowi w palcie. Przybywało ich coraz więcej. Czułam odór ich wspólnej przeszłości: świątynne kadzidło, jaśmin, spocone pachy, przesiąknięty kawą oddech, formaldehyd, tytoń, mirrę...

Te zapachy nie przeszkadzały mi tak bardzo jak ich nieobecne nieszczęśliwe spojrzenia.

Odwróciłam od nich wzrok i skupiłam całą uwagę na nagrobku ojca Issy. Lewa, prawa. Lewa, prawa.

- Tak, właśnie tak trzeba - powiedział Issa. - Ignorować wszystko. Ramiona mi mdlały, mimo to nie przestawałam wiosłować. Łatwiej mi było się skoncentrować, gdy zamknęłam oczy.

- Bardzo dobrze, panno Ling...

- Niech cię szlag, Isso! Mam na imię Cassandra! - Otworzyłam oczy. Otaczała mnie spokojna niebieska woda. Oślepiła nagła jasność. Kiedy

chciałam zasłonić oczy, moja łódź zakołysała się gwałtownie. Siedziałam w drewnianym czólnie - długim, wąskim, prymitywnym. Trzymałam w rękach proste drewniane wiosło. Otaczała mnie woda. Nie widziałam zarysu ładu. Wiedziałam, że jedynym sposobem, by odzyskać równowagę, jest wiosłowanie równym rytmem. Lewa, prawa. Lewa, prawa.

Było tak, jak to opisał Issa. Niebo i morze, i nic między nimi.

Zaraz, zaraz. Na linii horyzontu dostrzegłam spowitą w czerń postać. Stała na wodzie. Moje oczy z ulgą powitały jakiś nowy punkt odniesienia, na którym mogły się skupić. Czarna szata ruszyła w moim kierunku. Z każdym krokiem zdawała się przybliżać o kilometr.

Zanim się spostrzegłam, stanęła w czólnie.

Mimo usilnych prób nie mogłam oderwać oczu od magnetycznej ciemności wyzierającej spod obszernego kaptura.

- Jesteś moim badi - powiedziałam.

- Skoro tego chcesz - odezwała się postać cienkim głosem małej dziewczynki.

Czarna szata opadła z niej jak zdarta niewidzialną ręką. Przedemną stała moja pięcioletnia siostrzyczka z mysimi ogonkami, w różowej piżamce z krótkim rękawem. Pachniała jak uosobienie dobroci: mieszanką wody toaletowej o zapachu pomarańczy, talkiem i świeżo upieczonymi ciasteczkami migdałowymi. O, dołeczki w policzkach! O, włoski na rękach! Chciałam złapać ją i przytulić.

Którą bliźniaczką była? Xiaowen miała dołeczki, a Bao-Bao lubiła ubierać się na różowo... a może było odwrotnie? Zapomniałam.

- *Jie jie*. - Postawiła drobną stopkę na dziobie kanoe i popatrzyła na mnie z czułością. - Spójrz na mnie, *Jie jie*.

Odwróciłam głowę. Ona, a raczej ta zjawa, nie była prawdziwa. W prawdziwym życiu moje bliźniaczki nie były już małymi dziewczynkami. Miały kilkanaście lat. To była sztuczka cementarnego duszka. Sekretna sztuczka.



- *Jiejie*, już o ranie zapomniałaś? Wiesz, którą z nich dwóch jestem: Xia-owen czy Bao-Bao? Nie pamiętasz?

Moje małe siostrzyczki nigdy nie były tak zatroskane. Demon w jednym miał rację: byłam winna zarzucanego mi czynu. Pozwoliłam sobie zapomnieć. Badi postawiła drugą stopę na wąskim zadartym dziobie czółna i przycupnęła na nim ze zgiętymi kolanami, upodabniając się do małego rzygacza. Zyskawszy podporę, pochyliła się do przodu i wyciągnęła palec wskazujący w stronę mojego podbródka. Kiedy dotknęła mojej skóry, poczułam przejmujący chłód sopła lodu.

- *Jiejie*, ranisz moje uczucia. Dlaczego na mnie nie patrzysz? Tak długo czekałam na nasze spotkanie. Już mnie nie kochasz?

Zaskakująco silnym zimnym palcem uniosła mi podbródek, zmuszając do spojrzenia jej w oczy, znajdujące się teraz tuż przy mojej twarzy. Miałam wrażenie, że w nich tonę. W tej samej chwili buchnął od niej smród ziemi; nie tej, którą rozsmarowałam na ciele, lecz bardziej cuchnącej i obrzydliwej, starszej, bardziej wilgotnej i nieprzyjemnie znajomej... Ten sam metaliczny odór roztaczał niewidzialny napastnik z plantacji. Ten sam odór wciągnęłam w płuca, gdy przygwoździł mnie do łóżka, kiedy myślałam, że już po mnie...

- Przybyłaś tu, by mnie o coś poprosić, czyż nie? - wyszczała badi. Z bliska jej dziecięce rysy nabrały szyderczej surowości. Ujrzałam w niej mamę. -A może duma nie pozwala ci błagać?

Zamachnęłam się wiosłem.

Czółno się wywróciło. Wpadłam do morza.

Woda była przeraźliwie zimna. Chłód ścinał mi krew w żyłach. Chciałam płynąć, ale nogi odmówiły posłuszeństwa. Stopy ciążyły niczym kotwice i ciągnęły mnie w otchłań bez dna. Sól paliła gardło i płuca, gdy zagarniała mnie coraz ciemniejsza niebieskość przechodząca w najczarniejszą czerń. Mimo że rozpaczliwie machałam rękami, opadałam coraz niżej i niżej. Spowił mnie i pochłaniał czysty kolor.

Kiedy nie mogłam już opaść niżej, pochwyciły mnie czyjeś żyłaste ręce.

- Coś ty zrobiła?

- To był Issa. Potrząsał mną z wściekłością.

- Cassandro!

Znalazłam się z powrotem na cmentarzu. Leżałam na grobie jego ojca, kurczowo ściskając kerī. Duchy nie zniknęły. Beznamiętni świadkowie mojego oszołomienia. Gardziłam nimi.

- Co się stało? - zapytał Issa.

- Nie mogę... - Podniosłam się z ziemi. Kiedy oszołomienie minęło i zorientowałam się, że moja wyprawa na morze była tylko sztuczką, cisnęłam mu sztylet pod nogi. - Nie prosiłam o to.

Puściłam się pędem przed siebie. Po kilku metrach byłam już poza sercem cmentarza. Od razu osaczył mnie hałas rzeczywistego świata: świerszcze, wrony, żaby, dzikie psy i nocny wiatr. Każdy dźwięk walczył z innym

o dominację. Każdy ranił mi uszy. Nie pomogło zatkanie ich palcami.

- Twój słuch wróci do normy - powiedział Issa. Jego tubalny głos wzniosł się ponad harmider. Wyraźnie słyszałam w nim rozczarowanie. - Poczekaj na mnie w samochodzie.

Chwiejnym krokiem minęłam cmentarne duchy, mrużące bladymi wargami niezrozumiałe sekrety. Ich głosy zlewały się, przypominając szelest tańczących na wietrze suchych liści. Były to wyznania, przeprosiny, modlitwy? Wszystkie zmierzały w jeden punkt. Po chwili zorientowałam się, że tym punktem jest Issa.

- Co się stanie z badi?! - krzyknęłam.

- Idź do samochodu.

- Mogę coś zrobić?

- Powiedziałem: idź!

Odwrócił się do duchów. Dwie kobiety, jedna w sari, druga w stroju panny młodej, stały przed nim w wyczekującej pozie. Podszedł do nich niczym pogański papież z rękami uniesionymi w geście błogosławieństwa. Oba duchy uniosły głowy, a on dłońmi zasłonił im twarze. Przymknął oczy i zaczął poruszać ustami, recytując starożytnie zaklęcia w starożytnym języku.

Obserwując tę scenę, poczułam do niego respekt. Zrozumiałam, na czym polega rzeczywista moc Issy. Do tej pory traktowałam jego opowieści jak ciche przechwałki i bzdury. Bardzo się myliłam, mając go tylko za szofera! Nie mogłam oderwać wzroku od tej sceny. Musiałam zobaczyć, co Issa może

i co robi. Zżerała mnie ciekawość napędzana czystym egoizmem. Byłam zachwycona, że nie jestem już sama, że nie jestem jedyną, która widzi i która musi mieć z nimi do czynienia. Z niewypowiedzianą ulgą przyjął namacalny dowód siły Issy. Póki on brał na siebie ciężar zapanowania nad światem duchów, ja byłam wolna.

Z zaklęć, które padały z jego ust, wyłapałam tylko jedno słowo - *tidur*, po malajsku „spać”. Nie odrywał dłoni od twarzy duchów. Napotkawszy opór, skrzywił się nieco, ręce mu zadrżały, lecz nie przerwał rytuału.

Oba duchy zaczęły zapadać się w ziemię. Widocznie Issa odsyłał je do domu, gdzie miały pójść „spać”. Zapadały się coraz głębiej, aż porwał je podziemny wir i Issa nie musiał już używać swojej mocy. Wkrótce po obu kobietach nie było śladu. Dwa następne duchy odłączyły się od grupy i ruszyły ku Issie.

- Cassandro, idź już! - krzyknął, unosząc ręce i rozpoczynając kolejny pogrzebowy rytuał.

- Słyszę, nie musisz krzyczeć.

Gdy dotarłam do bramy cmentarza, przestało mi dzwonić w uszach. Spojrzałam na swoje ramiona, zastanawiając się, jak wyjaśnię Danielowi, skąd mam rany. Ku mojemu zaskoczeniu zniknęły. Na ubraniu nie było ani kropli krwi. Pozostał jedynie brud - ziemia, którą wysmarowałam twarz i ręce. Złudzenie kerii było kolejnym efektem ilmu Issy.

Czekałam na niego w samochodzie. Wycieńczona, lecz również radośnie podniecona, obserwowałam cienie rzucane przez bramę z żelaza. Dokoła panował niezmałony spokój. Nic nie zdradzało tego, że w sercu cmentarza odbywają się egzorcyzmy. Świat duchów został powstrzymany przez kogoś o wiele zdolniejszego ode mnie.

Ucieszyłam się. To głupawa reakcja w obliczu zbliżającej się wojny, ale w krytycznych sytuacjach serce człowieka często reaguje w zupełnie nieadekwatny sposób.

Tamtej nocy w samochodzie poczułam, że pierwszy raz w życiu - po latach tolerowania słabości taty i nieobliczalności Li - jestem pod opieką mądrych, silnych i władczych mężczyzn: pana Wee, pilnującego spraw ziemskich, oraz Issy, pilnującego spraw duchowych. Dzięki nim wiedziałam, że nie stanie mi się krzywda.

Kiedy w końcu zobaczyłam Issę, miał na sobie koszulę. Jakimś cudem zmył z siebie zaschniętą ziemię. Jego spokój i dostojeństwo napawały mnie dumą.

- Isso!

Szybkim krokiem podszedł do auta i bez słowa uruchomił silnik. Mokra od potu koszula kleiła mu się do ciała. Chciałam otrzeć mu kark chusteczką, ale zanim ją zbliżyłam, dostał gęsiej skórki.

- Myślałam, że jesteś odważniejsza. Ciągle powtarzałaś: „Nie boję się, nie boję się”. A ja ci uwierzyłem - wyrzucił z siebie jednym tchem.

Zaskoczył mnie ten wybuch. Był zupełnie nieuzasadniony, skoro Issa kontrolował sytuację.

- Nie bałam się. Byłam zła.

Milczał.

- Pozbyłeś się badi?

Przełknął ślinę, lecz nadal milczał.

- Co z duchami?

- Miały być twoją armią.

- Przeciwno komu? Przeciwno Japończykom?

- Przeciwno każdemu. Gdzie siła ludzka nie wystarcza, powinniśmy szukać pomocy z zewnątrz.

Nie powiedział nic więcej. Nie naciskałam. Wszystko się w nim gotowało. A ja marzyłam, żeby wreszcie wrócić do domu i zmyć z siebie brud.

Wtedy nie rozumiałam jeszcze, że rezygnując z uczestniczenia w rytuale, straciłam szansę udoskonalenia swojego daru, odwrócenia biegu okrutnej historii. Do dzisiaj nie mogę sobie darować, że nie błagałam Issy o wybaczenie i nie pobiegłam z powrotem na cmentarz, by dokończyć to, czego nie dokończyłam.

Wystarczyło tak niewiele.

Z powodu moich urojeń, uzasadnionych czy nie, z powodu dumy, słusznej czy nie, kochani przeze mnie ludzie zginęli w straszliwy sposób. Oczywiście nie mogę stwierdzić z całą pewnością, ile istnień zdołałabym ocalić, ile rodzin utrzymać razem, jak potoczyłaby się historia, wiem jednak, że z powodu mojego głupiego samozadowolenia tamtej nocy, gdy przedłożyłam mierność nad wybitność, najdroższe mi niewinne osoby straciły życie. Ech, historio, historio.

Już nigdy nie będę czysta.

Wjechaliśmy na most Edinburgh, najstarszy most wiszący na Wyspie, spinający brzegi Black River. Lampy gazowe jarzyły się jasno. Wbrew nazwie stalowa konstrukcja mostu powstała w Glasgow. Pracowali przy niej więźniowie. W 1869 roku statki dostarczyły na Wyspę wszystkie elementy, które na miejscu złożono w całość. Miejskowa policja chlubiła się, że codziennie o zachodzie słońca przegania z niego dzikich lokatorów. Tamtej nocy przy pełni księżyca most był zupełnie pusty.

Wykazałam się wtedy wyjątkową krótkowzrocznością. Kiedy przejeżdżaliśmy tamtędy w milczeniu, w głowie kołatała mi tylko jedna myśl: nie ma na świecie smutniejszego miejsca niż pusty most nocą.

\* \* \*

Powiedziałam Issie, że chcę być normalna. Następnego ranka wydarzenia Potoczyły się tak szybko, że aby dotrzymać im kroku, trzeba było w pierwszej kolejności poświęcić pragnienie normalności,

Śniadanie zostało podane w puszkach: solone śledzie, po nich brzoskwinie w syropie. Pan Wee, Violet, Daniel i ja popiliśmy je herbatą Earl Grey, a potem zebraliśmy się na tyłach domu, by obserwować Subramaniam i resztę ogrodników. Zgodnie z poleceniem pana Wee wykopali z korzeniami krzewy różane rosnące przy skrzydle dla służby. Głębokie dziury po różach wyłożyli glinianymi płytkami. Wtedy służący wynieśli z domu rodzinne skarby - jajka Faberge, serwisy do herbaty z chińskiej porcelany, starą biżuterię pani Wee - i starannie owinięte w grube płótno powkładali je do tych podziemnych szkatulek. Kiedy wszystko zostało rozmieszczone jak należy, do akcji znów wkroczyli ogrodnicy i umieścili krzewy na dawnych miejscach.

Uśmiechnęłam się mimowolnie na myśl, że afera z rubinowymi kolczykami była zwiastunem obecnego zamieszania. Nie wątpiłam, że klejnoty znów wylądowały pod ziemią. I po co był tamten dramat? Teraz wszyscy coś zakopywali i chowali.

- Ostrożnie - napominał służących pan Wee. Wezwał Małą i zdjął z przegubu złotego rolexa. - Owiń go czymś wodoszczelnym i zakop w bezpieczniejszym miejscu. Dobrze je zapamiętaj. To prezent od mojego ojca. Kiedyś chciałbym przekazać go dalej.

Mała skinęła poważnie głową. Trzymała rolexa w złączonych dłoniach i była pod wrażeniem jego wagi.

- Czy mamy zakopać też duży krzyż? - Myślała oczywiście o krzyżu wiszącym w salonie.

Pan Wee namyślał się przez chwilę.

- Nie, niech zostanie tam, gdzie wisi. Niech trochę postraszy Japońców. Pana Wee cechował zwykle nadmiar ostrożności, więc to stwierdzenie

dodało mi otuchy. Pewność siebie opuściła mnie, gdy nieco później pan Wee wszedł do kuchni i zaczął szperać w szufladach. W końcu poszukiwania przyniosły efekt. W jego dłoni pojawiły się stalowe nożyczki z pomalowanymi rączkami, kształtem przypominającymi uszy myszki z kreskówki. Podał je Violet.

- Obetnij włosy - polecił córce.

Violet odruchowo dotknęła starannie ułożonej fryzury.

- Ale tato...

- Zrób to, Vi. Już o tym rozmawialiśmy. Włosy przecież odrosną. - Uśmiechnął się z przymusem. - Bądź posłuszną córką.

Łzy lśniły jej w oczach, gdy sięgała po nożyczki, a potem przygarbiona wchodziła po schodach do swojej sypialni.

- Cassandro - pan Wee zwrócił się teraz do mnie - ty musisz zrobić to samo. To dla twojego bezpieczeństwa. I przestań nosić piękne sukienki. Ostrożności nigdy za dużo. - Wyczuwając mój opór, złapał Daniela za ramię - Dopilnuj, żeby to zrobiła.

Zakopywanie kosztowności to jedna sprawa, ale pan Wee zachowywał się, jakby wróg przeprowadził już desant na Tanglewood i zbliżał się do rezydencji. Zaledwie kilka godzin wcześniej był Ignatiusem Wee, charyzmatycznym przywódcą snującym odważne plany ze swoimi ludźmi. Teraz wyglądał na śmiertelnie znużonego.

Daniel wykonał polecenie ojca.

- Skarbie... - zaczął ostrożnie.

- Zgadzam się - odrzekłam. Pan Wee miał rację, Japończycy zachowywali się jak zwierzęta. - Chcę tylko ostatni raz spojrzeć w lustro.

- Pójdę z tobą. - Mój posłuszny narzeczony objął mnie w tali i delikatnie skierował ku schodom. Przytulił policzek do moich włosów. - Dla mnie zawsze będziesz najpiękniejsza. Bez względu na wszystko.

Z każdym skrzypnięciem schodów powtarzałam sobie jak mantrę: to tylko włosy, to tylko martwe komórki. Ale to przedwczesne przekonanie o klęsce... Poczulałam nagłą chęć ucieczki.

- Chodź, to po prostu środki ostrożności. - Daniel mocniej ścisnął mnie w pasie. - Ostrożność nie zawadzi. Lepiej dmuchać na zimne niż... - Urwał nagle.

U szczytu schodów stała Violet zastygła w bezruchu jak posąg, ze śladami łez na policzkach i z twarzą pozbawioną wyrazu. Nie miała już na głowie większości włosów, swojego największego atutu. Na pierwszy rzut oka można ją było wziąć za chłopca przyłapanego na przymierzaniu ubrań Violet. Jednak kobiece biodra niezawodnie zdradzały jej płeć.

Machinalnie uniosła obie ręce. W jednej trzymała nożyczki, w drugiej czarne kępki, które teraz wolno opadały na ziemię. Akt obcięcia włosów odebrał jej wolę życia.

- Już przegraliśmy, prawda? - wyszeptwała. - A to już w niczym nie pomoże. Wiedziałałam, o czym mówi. Przecież mieliśmy do czynienia z bestiami gwałcącymi dzieci i staruszki.

- Vi... - zdenerwowany Daniel nie wiedział, jak zareagować. - Może wrócisz do swojego pokoju?

Wyrwałam się z jego objęć.

- Ona ma rację. To akt kapitulacji. Nie zrobię tego. Prędzej umrę, niż się na to zgodzę. Po moim trupie!

- Skarbie, chociaż ty nie histeryzuj, proszę! Na dole schodów pojawił się pan Wee.

- Powiem jasno i wyraźnie, Cassandro: nie obchodzi mnie, czy umrzesz. Ale niech Bóg ma cię w swojej opiece, jeśli przez swój upór pogrążysz wszystkich.

- Ależ panie Wee, mówi pan tak, jakby już było po nas.

- Co za arogancja! - Oczy zapłonęły mu złością, jakiej nigdy u niego nie widziałam. - Danielu, zawieź ją do domu na plaży. Tutaj nie możemy pozwolić na takie zachowanie. - Wydał wargi i odwrócił się na pięcie.

- Ojczy! - krzyknęłam z nadzieją, że tym przemówię do jego uczuć. - Ojczy, proszę!

- Nie śpieszmy się z tym zbytnio, Cassandro. - Nawet na mnie nie spojrział. - Danielu, jedź.

Po południu Issa zawiózł nas na wybrzeże. Przez całą drogę ostentacyjnie milczał. Niebo pociemniało od nieprzeniknionej mgły przyniesionej przez wiatr znad morza. Zarys drogi ginął w przedwczesnym zmierzchu. Nie widzieliśmy ani wody, ani plaży. Pojawiły się też inne oznaki zamętu wśród żywiołów.

Zapach morza spotęgował się dziesięciokrotnie. Wciągał się w płuca powietrze przesycone wonią gnijących wodorostów. Nawet w domu, mimo zamkniętych okien, nie mogliśmy uciec przed ich słonawym smrodem.

Daniel chodził nerwowo po pokojach, ściskając obrazki z paczek papierosów podarowane mu przez Kennetha. Źle znosił wygnanie. Bez ojca wydawał się zupełnie zagubiony. Nigdy wcześniej nie widziałam go w takim stanie.

- Szkoda, że nie posłuchałaś taty.

- Twój ojciec zachowywał się tak, jakby wszystko było już przesądzone. Pamiętasz, jak powiedział, że nie dba o to, czy umrę? Wierzę mu, Dan. On naprawdę o to nie dba.

- Ale przynajmniej bylibyśmy w domu wszyscy razem.

Kilka dni wcześniej chciałam mu zaproponować zmysłowy weekend we dwoje w domu na plaży. Moje pragnienie się spełniło, chociaż złośliwy los zrzędził, że nastrój nie sprzyjał intymności. Na przekór temu otarłam się o Daniela i zaczęłam rozpinać mu koszulę.

Odepchnął moje ręce.

- Skarbie, to nie najlepsza chwila...

Niech się dąsa, pomyślałam. Zrzuciłam buty i poszłam na plażę.

Mgła ustępowała. Zza jej zasłony wyzierało coraz intensywniej różowo-pomarańczowe światło późnego popołudnia.

Był odpływ, ale i tak ledwie widziałam piasek. I wcale nie z powodu mgły. Linie brzegową pokrywały spadochrony. Nie te z nieba, lecz z morza, każdy o rozmiarach męskiej chusteczki do nosa.

Meduzy, setki meduz. Krawędzie przezroczystych ciał przypominały delikatne falbanki kobiecych halek, ale ich zwinięte galaretowate ramiona wyglądały jak zaciśnięte pięści, symbolizujące bunt i opór nawet po śmierci. Były wszędzie. Zaścielały cały brzeg. Ciągnęły już ku nim bzyczące roje much.

Martwe meduzy zaniepokoiły mnie o wiele mniej niż te nieliczne ocalałe, w których ciągle pulsowało życie. Centymetr po centymetrze posuwały się wolno w stronę domu. I chociaż nie miały szans na dotarcie tam, ich niezłomna wola zmroziła mi krew w żyłach. Miałam wrażenie, że za wszelką cenę chcą dobrać do nas i ostrzec przed niebezpieczeństwem.

- Danielu! - Wpadłam do domu tylnym wejściem i wparowałam do salonu w chwili, gdy nastawiał płytę Josephine Baker *Blue Skies*, jedną z jego ulubionych.

- Co się stało?

Wzięłam go za rękę i poprowadziłam na tylną werandę.

Kiedy wyszliśmy z domu, gdzieś uruchomił się kosmiczny przełącznik. Dobiegło nas głucho dudnienie, ziemia zadrżała nam pod stopami, drżenie objęło podeszwy, łydki, kolana, uda. Potem rozległ się ogłuszający ryk i drżeliśmy już cali, nie wiedząc, czy nieznana siła oderwała nas od ziemi, czy usunęła nam ziemię spod nóg.

Zlustrowaliśmy horyzont. Rozumieliśmy się bez słów: zbliżało się ku nam tsunami, spiętrzona fala, która wypłyje z dna świata stworzenia o wiele straszliwsze niż meduzy...

Złapałam Daniela za ramię.

- Nadciąga!

I nadciągnęło, tyle że nie od strony morza.

Nad naszymi głowami przez mgłę i szare chmury leciały metalowe krzyże, tworzące w powietrzu literę V. Czerwone okręgi na spodzie skrzydeł przypominały przekrwione oczy, spoglądające na nas z góry.

Zastygliśmy bez ruchu. W tym samym momencie poczułam, że nie chcę umrzeć przyklejona do ramienia syna bogacza, zanim moja przygoda zaczęła się na dobre.

Staliśmy jak sparaliżowani, póki nie zniknęły nam z oczu płetwy ogonowe tych lecących rekinów. Zmierzały w stronę miasta. Nas oszczędziły. Przy-



najmniej na razie. Oderwałam się od ukochanego i weszłam do domu, trzęsąc się jak galareta. Gdyby mnie wołał, nie byłabym w stanie go usłyszeć.

Dom drżał jeszcze od huku silników. Śrubki, gwoździe, filizanki podskakiwały i wibrowały, jakby ożywione tajemną siłą. Igła gramofonu przeskakiwała między rowkami płyty, trafiając w przypadkowe nuty i zacinając się jak zepsuta mówiąca lalka. Szybkim ruchem uniosłam ramię gramofonu, by ratować płytę. Rozchybotany ołówek stoczył się ze stołu na ziemię i pękł na pół.

Kiedy dudnienie w końcu ucichło, opadłam bez sił na krzesło.

W drzwiach stanął Daniel. Spojrzał na mnie z miną dziecka, które wie, że coś przeskrobało, nie wie jednak co. Mój wyraz twarzy chyba złagodniał, ponieważ Daniel rzucił się w moją stronę i zamknął mnie w uścisku.

Załkaliśmy oboje w zgodnym unisono. Z daleka dobiegł przejmujący świst bomb. Rozszlochaliśmy się głośniejsze, by zagłuszyć odgłosy wybuchów. Sześć, siedem, osiem. Gdzie spadły? Na ratusz, esplanadę, zajezdnię tramwajową? Dziewięć, dziesięć, jedenaście. Chinatown. Czy Li i tata zostali ranni? Czy wszyscy zginęli?

Zawyły syreny przeciwlotnicze. Żałośnie późno i żałośnie cienko. Nagle wszystko ucichło.

Nalot się skończył.

Poderwał nas z miejsca inny, znacznie bliższy odgłos. Walenie do drzwi. Jedna seria, po chwili druga. Ktoś się dobijał. Wróg już wylądował na ziemi?

- Kto tam?! - krzyknął Daniel drżącym głosem.

- To ja - odpowiedział znajomy miękki głos. Tak mówił tylko Kenneth Wee.

Daniel oderwał się ode mnie. Walenie do drzwi nie ustawało.

- Zajmę się nim - powiedziałam.

- Przestań, do cholery! - wrzasnął Daniel w stronę drzwi. Wpuściłam gościa do domu. Za nim wcisnął się do środka żalobny chór syren.

Kenneth wyglądał jak zawsze: nienaganny strój, nienaganna fryzura i powściągliwość w obejściu. Przywitał nas beznamiętnym i chłodnym poleceniem:

- Włączcie radio. Spojrzałam na niego.

- Tu nie ma radia - odparłam.

- W takim razie musimy zdobyć informacje z pierwszej ręki. - Podeszedł do okna. Usłyszeliśmy potężny wybuch, odpowiedź słabego ognia przeciwlotniczego, potem wycie syren. Po wargach Kennetha przemknął dziwny uśmiech. Nie byłam pewna, czy sam Kenneth wiedział, co czuje.

- To, moi przyjaciele, są odgłosy umierającego imperium brytyjskiego -oznajmił.

- Co ty tu robisz, Kenny?

- Twój ojciec kazał mi się upewnić, czy nic wam się nie stało.

- Tata? Przecież to on nas tu wysłał. Jak się tu dostałeś?

- Przyjechałem.

- Umiesz prowadzić?

- Nauczyłem się. W Oksfordzie.

- Sami umiemy się sobą zająć. Nie potrzebujemy cię.

Kenneth odetchnął głęboko i wyszedł bez słowa. Nie zdążyłam obsztor-cować Daniela za przykre słowa, gdy Kenneth wrócił z lampą naftową, belą tkaniny do zaciemnienia i butelką ciepłego szampana.

- Zachowajmy spokój - powiedział, starannie unikając wzroku Daniela. - Rano zawiozę was do domu. A do tego czasu nie włączajmy światel. Użyjcie tego do zaciemnienia okien. - Podał mi belę materiału.

- A jedzenie? - zapytałam. - Obawiam się, że nie wystarczy dla trojga.

- Właśnie - Daniel skwapliwie przyznał mi rację. Kenneth uśmiechnął się lekko.

- Mną się nie przejmujcie. Niczego nie potrzebuję.

- Nie pocisz się, nie jesz. Kim jesteś, Kennecie Kee? - zapytałam. Wzruszył ramionami.

- Duchem.

\* \* \*

Tej nocy żadne z nas nie spało. Szampan nie przyniósł ukojenia. Leżąc w łóżku, Daniel i ja słyszeliśmy, jak Kenneth krąży po domu i raz po raz sprawdza wszystkie drzwi i okna. Sam podjął się roli naszego anioła stróża i odegrał ją z wielkim zaangażowaniem, w którym było coś więcej niż poczucie obowiązku.

- Znam go, robi to celowo - powiedział Daniel. - Specjalnie nie daje nam zasnąć.

Jednak to nie z powodu Kennetha nie mogłam spać. Zadręczałam się myślami o Li i tacie. Czy przeżyli bombardowanie? Bałam się, że дума członków samozwańczej straży obywatelskiej zaprowadzi ich na dach któregoś z wieżowców w Chinatown, uniemożliwiając ucieczkę. Były jeszcze oddziały lądowe. Japończycy szybko przeprowadziliby desant na brzeg, najpewniej pod osłoną nocy. Wyspa jest przecież odsłonięta z każdej strony, a my byliby uwięzieni w domu, niedaleko cieśniny...

W zamkniętym na cztery spusty domu powietrze szybko zrobiło się parne i nieświeże. Tak bardzo przywykłam do spania w klimatyzowanych pomieszczeniach, że wilgotność wydawała mi się nieznośna. Zdjęliśmy z Danielem ubranie i odkryliśmy się, ale i to nie pomogło. Odsunęłam się na skraj łóżka, uciekając przed monsunowym ciepłem naszych spragnionych ciał.

- Nie uciekaj. - Daniel przysunął się do mnie, objął w pasie i z powrotem wciągnął do piekła.

- Jest za gorąco na...

Objął mnie jeszcze mocniej, przycisnął twarzą do materaca, odsunął mokre od potu włosy i pocałował w wilgotny kark.

- Nie pozwól, żeby miał na nas wpływ.

-Co?

- Wepchnął się tu i zgrywa bohatera. Zupełnie, jakbyśmy bez niego byli bezradni.

- Na pewno robi tylko to, o co poprosił go twój ojciec.

- Właśnie. Oto problem: mój ojciec. Nikt nie prosił Kennyego, żeby wrócił, ale wrócił. Chodził na ten przekłete spotkanie i zachowywał się jak wspaniały syn. Z jego powodu tam siedziałem. Nie chciałem, żeby przyjaciele ojca uważali go za prawdziwego syna. Zauważyłem, jak na ciebie patrzy. Nie pozwolę, żeby ciebie też mi ukradł.

Jego pocałunki stały się bardziej namiętne. Kiedy próbowałam uwolnić się od żaru jego warg, złapał mnie za ramiona z nieznaną mi gwałtownością i siłą i kolanami rozsunął mi uda.

- Nie waż się... - wysyczał mi do ucha. Zanim dokończył myśl, już był we mnie.

Wstydziłam się swoich jęków. Kenneth był za drzwiami i nie wątpiłam, że słuch ma równie wyostrzony jak dowcip, lecz Daniel robił wszystko, żebym mu uległa i jak najgłośniej dała temu wyraz. Gryząc mnie w szyję - aż krzyknęłam - wchodził we mnie tak brutalnie, że drewniane łóżko skrzypiało głośno przy każdym pchnięciu.

- Wymów moje imię.

- Delikatniej, proszę...

- Nie tego zawsze chciałaś? Wymów moje imię!

Nie chciałam. Złapał mnie za brodę i przyciągnął do swojego ucha.

- Dlaczego nie chcesz wypowiedzieć mojego imienia? Powiedz. - Wykręcił mi ramię. - No, wykrzycz moje imię...

Syreny w mieście ucichły dopiero o czwartej nad ranem.

O brzasku brzeg nadal był zasłany meduzami. W nocy nie wydarzył się cud. Żaden sługa nie zgarnął ich z powrotem do morza i nie przywrócił piasku do idealnego stanu. Natura wykazała się o wiele mniejszą wspaniałomyślnością. Poranne niebo przesłaniała kurtyna, tym razem nie mgły, lecz much. Milionów much, Bóg wie skąd. Truchła meduz zbrązowiały od gorąca, żołądki wzdęły się od nagromadzonych gazów. Brzęczące muchy wisiały nad nimi w oczekiwaniu na początek uczty.

Jedna meduza zdołała dotrzeć do dolnego schodka za domem. Jej żołądek przypominał bochenek nieprzestający rosnąć od nadmiaru drożdży. Groził rozsądzeniem wyschniętego już ciała. Nie mogłam oderwać wzroku od tego zjawiska. Kiedy w końcu pękł z głuchym „buch!”, cofnęłam się gwałtownie, zaskoczona nieznośnym smrodem. Ta pierwsza eksplozja była sygnałem dla reszty. Jak plaża długa i szeroka, galarety zaczęły pękać jedna po drugiej, niektóre cicho, inne z głośnym trzaskiem. Dla much był to sygnał do rozpoczęcia biesiady. Zwabione gnijącą wonią zleciały się mowy.

Z domu wyszedł Kenneth. Skrzywił się na widok zanieczyszczonego brzegu. Wyobrażałam sobie, że zaprzętają go myśli o złowieszczych implikacjach tego wydarzenia.

- Chodź, pora jechać. - Łagodnie poklepał mnie po ramieniu, a potem złapał za rękę, nie spuszczając wzroku z ciemniejącego śladu powyżej łokcia. - Zawsze tak robisz?

Wyrwałam mu się, ignorując to pytanie. Sprawy osobiste powinny pozostać sprawami osobistymi.

- I pozwalasz mu na to? - dodał.

Nie czekając na odpowiedź, odszedł z wielce mówiącym uśmiechem.

Kenneth prowadził bentleya pana Wee z wprawą doświadczonego szofera, który wie, że przyspieszanie to najpewniejszy sposób zaniepokojenia pasażerów, dlatego nie przekraczał dozwolonej prędkości.

Nikt nie odezwał się słowem. Ja nadal czułam się upokorzona brutalnym zachowaniem Daniela w łóżku i moją reakcją, Daniel zaś krytycznie śledził każdy ruch Kennetha. Patrzyliśmy, jak staje na skrzyżowaniu dróg za miastem i zastanawia się, czy pojechać skrótem przez zbombardowane kwartały, czy wybrać okrężną drogę przez południowe obrzeża. Rzucając okiem na Daniela we wsteczny lusterku, wybrał drugi wariant.

- Nie martw się, Dan - powiedział miękko. - Zejdę ci z oczu najszybciej jak to możliwe.

- Nie martwię się - brzmiała odpowiedź.

Objazd wiódł wąskimi uliczkami blisko koszar, potem skierował nas w stronę portu. Żołnierze, w większości śniadzi Hindusi z południa Indii, biegali z workami piasku i zwojami drutu kolczastego. Nie widzieliśmy nikogo, kto nadzorowałby ich poczynania. Wyczuliśmy zapach płonącego paliwa, zanim dostrzeżliśmy smugi czarnego dymu nad portem i wraki dwóch płonących jeszcze statków przechylonych na burty. Z daleka wyglądały jak potężne stalowe wieloryby.

- Zniszczyli HMS „Prince” - stwierdził przerażony Kenneth. - Naprawdę to zrobili.

Pochyliłam się do przodu, żeby lepiej widzieć. Więc to były te sławetne okręty wojenne, HMS „Crown Prince” i HMS „Resilience”, które miały strzec Czarnej Wyspy. Ścierpła mi skóra. Poszukałam dłoni Daniela. Były lodowate i nie dawały ukojenia. Spojrzałam mu w oczy. Szklity się od łez.

Pan Wee stał w drzwiach rezydencji, jakby czekał tam całą noc. Może było to złudzenie wywołane grą świateł, ale włosy miał bardziej przyprószone siwizną niż wczoraj po południu. Kiedy zatrzymaliśmy się przed wejściem, ruszył prosto do auta od strony Kennetha.

- Zaatakowali Pearl Harbor. Uderzyli jednocześnie na nas i na Amerykę - oznajmił.

- Tato! - Daniel wyskoczył z tylnego siedzenia i rzucił się ojcu na szyję, o mało nie miażdżąc go w uścisku.

Kenneth odwrócił się do mnie.

- Jeśli chcesz, mogę cię zawieźć do Chinatown.

Machinalnie skinęłam głową i zdjęta strachem opadłam na siedzenie. Kiedy ruszyliśmy z podjazdu, usłyszałam za nami szybkie kroki Daniela.

- Cassandro! Dokąd on cię zabiera?

- Niech jedzie, Danielu - dobiegł mnie głos pana Wee. Nie obejrzałam się.

High Street była najbardziej ruchliwą ulicą na Wyspie, dzisiaj jednak sprawiała wrażenie wymarłej. Czułam się zażenowana, siedząc na tylnym siedzeniu, podczas gdy Kenneth odgrywał rolę szofera, ale stanowczo odrzucił moją sugestię, że przesiądę się na miejsce obok niego. Najwyraźniej nie zważał na opinię ludzi.

W końcu postanowiłam przerwać milczenie.

- Twoja rodzina też mieszka w Chinatown?

- Być może. - Zauważyłam, że zaciska szczęki. - Przynajmniej kiedyś mieszkała. Nie utrzymywałam z nią kontaktu. Nie byłam najlepszym synem.

- Nie widziałeś się z rodziną od powrotu na Wyspę? -Nie.

- To gdzie się zatrzymałeś?

- W domu z mieszkaniem do wynajęcia. Pozwala zachować anonimowość. Bardzo mi to odpowiada.

Chciałam zapytać, czy lokum opłaca pan Wee i czyjego hojność powoduje u Kennetha wewnętrzne rozdarcie, tak jak u mnie, uznałam jednak, że to nie moja sprawa.

- Martwisz się o bliskich? - Zaskoczył mnie łagodny ton jego głosu.

- Trochę. - Zaśmiałam się nerwowo. - Hm, trochę więcej niż trochę.

- Ja też - mruknął. - Ty i ja jesteśmy tacy sami.

Zatrzymał samochód na Spring Street, która - gdyby nie fragmenty obrócone w gruzy - wyglądała jak dawniej. Gromady dzieci biegały po chodnikach, wołając rodziców i dziadków. Ich zawodzenie niesło się echem po całej ulicy i brzmiało tak, jakby wszystkie szukały kilkorga tych samych ludzi: mamy, taty, babci i dziadka.

Za sąsiednim skrzyżowaniem stał nasz ośmiopiętrowy budynek. Został pomalowany na czarno, żeby zlewać się z mrokiem nocy. W świetle dnia natomiast stanowił wymarzony cel. Mimo wysokości i żałobnej barwy przetrwał nalot. Sąsiadujące z nim kino Pearl River nie miało tyle szczęścia. Jego ośmiokątny dach zapadł się jak stara dynia. Wystająca z ziemi kasa biletowa prawie nie ucierpiała, jeśli nie liczyć wybitego okienka. Namalowany odręcznie plakat reklamujący komedię z Abbottem i Costello z kantońskim dubbingiem był nadpalony, ale cały.

Chciałam, żeby Kenneth pojechał przecnicę dalej, w stronę czarnej wieży, i poszedł ze mną szukać Li i taty, jednak ulicę blokowały ambulansy i szpitalne ciężarówki. Musieliśmy się zatrzymać.

Ludzie, którzy jeszcze wczoraj nie mieli pojęcia, że katastrofa nadejdzie tak szybko, siedzieli zdeorientowani na ziemi skamieniali z bólu. Wiedziałam, że jeśli nas zauważą, mogą się na nas rzucić.

Moje przewidywania się sprawdziły. Na widok auta kobiety zbite w gromadkę na osłoniętym przejściu ruszyły w naszą stronę. Wymachiwały rękami, jakby próbowały zatrzymać taksówkę.

- Lepiej już jedź - powiedziałam, wyskakując z samochodu. - Znajdź swoją rodzinę.

Kenneth odetchnął głęboko i wystawił rękę przez okno. Uścisnęłam ją Pośpiesznie.

- Powodzenia, Cassandro. - Pierwszy raz wymówił moje imię bez sarkazmu.

- Do zobaczenia wkrótce - odparłam, zastanawiając się, czy tak rzeczywiście się stanie.

- Mam taką nadzieję. I obyśmy byli wtedy w jednym kawałku.

Kiedy tylko Bentley zawrócił i zniknął mi z pola widzenia, poczułam dojmujące osamotnienie. Obecność Kennetha, nawet jego osobliwy zgryźliwy humor, mogły mi się przydać podczas poszukiwań brata i taty. Dlaczego, u licha, pozwoliłam mu odjechać?

Rozejrzałam się. Ten krajobraz, na pierwszy rzut oka zupełnie z innego świata, był mi bardzo dobrze znany. Kenneth wysadził mnie na wysepce przy Spring Street, na której jako dziecko przesiadywałam całymi popołudniami. Kamienna ławka nadal tam była. I pniak, na którym stawał kierujący ruchem pan Singh.

Mogłam usiąść i płakać, ale poszłam dalej. To nie był odpowiedni moment na wspomnienia. Wokół mnie dały się słyszeć serie krótkich wybuchów. Dobiegały z pobliskich wieżowców. Czyżby strzelcy wyborowi? Nieregularność tych odgłosów i brak wroga w zasięgu wzroku nasunęły mi przypuszczenie, że to jednak nie strzały, lecz wybuchające butle gazowe, powodujące wypadanie szyb. Mimo to przy każdym kolejnym huku podskakiwałam jak oparzona. Wieżowiec taty oddalał się, zamiast przybliżyć. Miałam nogi jak z waty. Robiłam kilka chwiejnych kroków i zatrzymywałam się. Powolutku, ale do przodu, powtarzałam sobie w duchu. Widziałam już gorsze rzeczy. Radziłam sobie z większymi przeciwnościami losu.

Zbliżyłam się do trzech obdartych kobiet, które próbowały biec do naszego Bentleya. Zwróciłam się do nich po kantońsku. To był uniwersalny język klasy pracującej.

- Szukam swojej rodziny! - Podałam imiona taty i Li. - Znacie ich? Widziałyście ich? Pomóżcie mi.

Wpatrywały się we mnie uporczywie. To one potrzebowały pomocy. Średnia miała głęboką ranę na plecach. Krew przesiąkała przez jej bladoniebieską tunikę. Była prawie nieprzytomna, jej szeroka, grubo ciosana twarz nie zdradzała cierpienia. Towarzyszące jej dwie młodsze kobiety - córki? - podtrzymywały ją, pojękując z wysiłku i strachu.

- Dlaczego pozwoliłaś mu odjechać? - pisnęła jedna z nich w mandaryńskim wprost z lodowatych stepów północy. - Dlaczego?

- Pomóż nam, proszę - jęknęła druga. - Mamę przygniotła ściana. Zanim zdążyłam odpowiedzieć, ziemia zadrżała. Kobiety zaczęły uciekać. Spojrzałam w niebo. Samoloty wracały. Były jednak mniejsze i zwrot-

niejsze niż poprzednio. Dwie latające plamki zmierzały ku nam niczym dra-  
pieżne ptaki.

Zobaczyłam coś jeszcze: sylwetkę mężczyzny wysoko na dachu czarnego  
budynku. Trzymał w rękę jakiś niewielki przedmiot, który wycelował w stronę  
samolotów. Pistolet! Byłam pewna, że to Li. Taka donkiszotowska głupota do  
niego pasowała. Rozległ się pierwszy strzał, zawtórowało mu zwielokrotnione  
echo. Betonowa dolina rozbrzmiała obłąkańczym jodłowaniem, szyderczymi  
gwizdami szaleńca. Nie, to nie mógł być Li. Ten głupiec był o wiele bardziej  
obłąkany niż mój brat. Taką przynajmniej miałam nadzieję.

Samoloty znalazły się nad Spring Street, terkocząc jak najgłośniejsze kosiarki  
na świetle. Wyglądały tak prymitywnie, że zastanawiałam się, jakim cudem w  
ogóle latają. Wiedziałam, że powinnam uciekać, ale nie mogłam się ruszyć.  
Czułam się niczym widz w kinie czekający na rozwój akcji. Musiałam się  
upewnić, że to nie Li szuka bezpośredniej konfrontacji z wrogiem.

Uzbrojony człowiek strzelił do samolotów - cztery, pięć, sześć razy. Patrzyłam  
na dziecko, które pluciem chce wygrać z nawałnicą. Ten człowiek był nie tylko  
szalony. On miał skłonności samobójcze. Przypuszczałam, że lada chwila osunie  
się bezwładnie na dach. Wróg jednak na niego nie zważał. Lufy karabinów  
umieszczonych z tyłu obu maszyn wskoczyły na swoje miejsca i nagle ziemia  
wokół mnie zaczęła tańczyć - piasek, żwir, kamienie wzbily się w powietrze jak  
tumany piasku. Później usłyszałam ogłuszający łoskot strzałów. Odruchowo  
przycupnęłam. Zobaczyłam, że stojący obok ambulans jest podziurawiony  
kulami. To on stanowił cel ataku.

Samoloty śmignęły nam nad głowami i odleciały. Mieliśmy chwilę wy-  
tchnienia. Oszalali ze strachu ludzie wybiegli z pobliskich budynków i minęli  
mnie w pędzie. Setkami zmierzali w stronę administracyjnego centrum miasta.  
Biedne przerażone dusze... Nadal wierzyli, że Brytyjczycy mogą ich uratować.

I właśnie na plecach ostatnich uciekających zobaczyłam cienie - zwiastun  
ponownego pojawienia się obu samolotów.

Tym razem strzelec na dachu doczekał się spełnienia życzeń. Pierwszy samolot  
przyleciał do niego. Nie mając już naboju, buntownik stał wyprostowany,  
miotając szyderstwa. Wróg w samolocie odpowiedział, miotając ogniem.  
Mężczyzna kulił się przy każdym trafieniu jak marionetka poruszana przez  
lalkarza, aż wreszcie zniknął mi z oczu.

Drugi samolot zanurkował nisko, jakby chciał zagarnąć uciekający tłum. Pęd  
powietrza rzucił mnie na ziemię. Kilka sekund później ludzi biegnących przede  
mną dosięgły kule - ich plecy eksplodowały czerwienią, zanim jeden Po drugim  
bezwładnie padli na asfalt.



Przez łoskot silników i krzyki ludzi przebił się dobiegający z nieba szalony chichot. W pierwszej chwili zdawało mi się, że mam omamy słuchowe. Tak jednak nie było. Usłyszałam wyraźne:

- *Banzai! Banzai! Banzai!*

Kiedy samoloty zniknęły, zapadła upiorna cisza. Podniosłam się z ziemi. Z niedowierzaniem patrzyłam na niezwykle widowisko. Na moich oczach podwajała się liczba istnień na ulicy. Duchy zabitych przed chwilą ludzi ukazywały się jeden po drugim i niepewnie krążyły wokół swoich martwych cielesnych powłok. Niektóre zawodziły rozdzierająco, większość jednak była zbyt otumaniona tym, co się stało.

Czyjaś ręka złapała mnie i pociągnęła w stronę obsypanych pyłem sklepów.

- Oszalałaś? - To była jedna z córek rannej matki. - Dziwię się, że jeszcze żyjesz, skoro stoisz w tym miejscu!

Zaciągnęła mnie do zrujnowanego zakładu zegarmistrza. Szybę wystawową wybili już szabrownicy. Gabloty były potraskane i puste. Mimo to wokół nas rozbrzmiewało zwielokrotnione tykanie, zupełnie jakby skradzione zegarki nadal leżały na swoich miejscach i zaznaczały swoją obecność. Po chwili zorientowałam się, że tykają ustawione w szeregu szafkowe zegary, widocznie za duże i nieporęczne dla ewentualnych złodziei. Za zegarami, na podłodze oczyszczonej z odłamków szkła, leżała matka dziewcząt. Oczy miała otwarte, lecz nieobecne. Druga córka trzymała ją za rękę i łkała rozpaczliwie. Dopiero teraz dokonałam szokującego odkrycia: siostry były bliźniaczkami.

- Właśnie przybyliśmy z prowincji Hebei - powiedziała pierwsza, puszczając w końcu moje ramię. - Nikogo tu nie znamy, nie mówimy po angielsku. Musi nam panienka pomóc! Bardzo proszę. Mamie potrzebny szpital.

U zegarmistrza nie było telefonu. Zabrali go złodzieje. Weszłam za kontuar i przejrzałam szuflady. Wszystkie były puste.

- Sprawdziłyście na zapleczu? - zapytałam. Siostry pokręciły głowami. Drzwi prowadzące na zaplecze były uchylone. W ciasnym pomieszczeniu

stało biurko i krzesło. Na podłodze wałały się pudła, z których wypadły karteczki z zamówieniami i inne dokumenty. Między biurkiem i ścianą tkwił stary zardzewiały rower marki Pegasus. Nikt się na niego nie połaszczył. Wyciągnęłam go i wprowadziłam do sklepu. Koła skrzypiały przy każdym obrocie.

- Dokąd jedziesz?

- Sprowadzę pomoc.

- Ale samoloty mogą wrócić.

Wzruszyła mnie jej troska o moje bezpieczeństwo, gdy jej własna matka leżała umierająca na ziemi. Dziewczyna miała rację: słyszałam krząca bombowiec.

- Jak się nazywasz? - zapytałam.

- Nasze nazwisko to Liu. Jestem Liu Shanling. - Uścisnęła mi dłoń. - Moja siostra ma na imię Shanmin.

Usłyszawszy narastające dudnienie, przycupnęłyśmy za ladą. Samolot zrzucił na Spring Street dwa świszczące podarunki. Od wybuchów sklep zatrzęsł się w posadach. W gęstniejącym mroku wiedziałyśmy z Liu Shanling, że jej matka nie przeżyje. Żadna z nas nie musiała mówić tego głośno.

Kiedy ulicę znów spowiła grobowa cisza, a tykanie szafkowego zegara stawało się nie do zniesienia, podprowadziłam rower do drzwi. Liu Shanling znowu złapała mnie za ramię.

- Obiecuj, że po nas wrócisz.

- Obiecuję. - Zwolniła uścisk. Spojrzałam za siebie na umierającą kobietę. - Bardzo mi przykro z powodu waszej mamy.

- Pośpiesz się! - zawołała płaczliwie milcząca dotąd druga bliźniaczka. - Cokolwiek chcesz zrobić, pośpiesz się!

Na Spring Street duchy zabitych wołały do mnie różnymi dialektami: hokkien, mandaryńskim, kantońskim, szanghajskim, teochew, hakka i wieloma innymi, których nie rozpoznawałam.

- Co się stało? Powiesz mi, co się stało?

- Dlaczego nie mogę się ruszyć? Dlaczego nie mogę się ruszyć?

- Spójrz na mnie! Dlaczego na mnie nie patrzysz?

- Pali mnie całe ciało! - To boli! Och, jak boli!

- Ratusz mnie!

Byłam coraz bliżej czarnej wieży. Jej górne piętra płonęły. Mimo obietnicy złożonej Liu Shanling najpierw musiałam sprawdzić, co dzieje się z moją rodziną. Przed wejściem do budynku sanitariusze ustawili blokadę. Oddziały wolontariuszy w mundurach khaki rozwijały drut kolczasty, a policja zawracała ludzi. Pilnujący porządku Gurkha wskazywał szczyt budynku. Ostatnie piętro groziło zawaleniem.

- Czy na górze ktoś jest?! - zawołałam.

- Nie wiem! Robimy, co w naszej mocy! Przyjdź jutro!

Już chciałam zaprotestować, gdy runął fragment najwyższego piętra z oknami. Rzuciliśmy się do ucieczki. Koronkowe białe firanki wydeły się

w powietrzu niczym spódnica baletnicy, lecz kiedy nastąpiło uderzenie, nie było w tym żadnej gracji - tylko gruz, pył i przeraźliwe krzyki.

Uciekałam. Dziura w przednim kole utrudniała jazdę, jednak widząc zniszczenia dookoła, nie mogłam narzekać. Pędziłam w stronę domu.

Po opustoszałej dzielnicy kolonialnej snuły się tylko duchy. Tutaj niektóre budynki też zostały zrównane z ziemią, inne natomiast los oszczędził. Dom towarowy Robinsonów płonął jak pochodnia. Ratusz miejski z fryzami i korynckimi kolumnami nie ucierpiał. Bomby trafiły w stojącą tuż obok salę koncertową, zamieniając wiktoriańską wieżę zegarową w tłący się stos gruzów.

Z największych okien ratusza zwisały jasne flagi, naprędce zrobione z obrusów i zszytych koszul. Wątpliwe jednak, by te widome symbole kapitulacji ocaliły budynek. Piloci bombowców wykazali się demoniczną przewrotnością.

Z ratuszem sąsiedował zielony teren znany jako Padang, czyli w języku malajskim „otwarta przestrzeń”. Dla latających zabójców stanowił szersze pole do działania. Grywali tam w krykieta i rugby wyłącznie Europejczycy. Członków niższych klas dopuszczano tam tylko w dni uroczystych parad. Odziani na prośbę Brytyjczyków w „narodowe stroje”, maszerowali w kolumnach jako element barwnej mozaiki Wyspy. Dostrzegłszy białe ciała leżące na trawie jak porzucone szmaciane lalki, utwierdziłam się w przekonaniu, że elitarna zieleń Padang niczym nie różni się od innych połaci zieleni. Wystarczył wybuch jednej prostej japońskiej bomby, by na środku wypielegnowanej trawy powstał idealny krater.

Zbliżając się do Klubu Krykietowego, mieszczącego się w georgiańskim gmazysku na północnym skraju Padangu, wyczułam mocny smród alkoholu. Na betonowych schodach od frontu błyszczały roztrzaskane w drobny mak butelki. Nie był to skutek bombardowania. Zapłakani opoje o rumianych twarzach tłoczyli się przy oknach na piętrze i zrzucali na ziemię butelki ginu. W środku ktoś grał na pianinie *Weil Meet Again*, czemu wtórował chór fałszujących głosów. Na maszcie przy głównych drzwiach wisiała brytyjska flaga. Nigdy przedtem nie wydawała się równie smętna i opuszczona. Kenneth miał rację: patrzyłam na śmierć imperium brytyjskiego.

Przystanąłam, urzeczona tym smutnym widowiskiem. Większość butelek ze świętym trunkiem nie była nawet otwarta.

Dom. Musiałam jak najprędzej dotrzeć do Tanglewood. Oczami wyobraźni widziałam już siebie w rezydencji Wee, jakby to mogło dopomóc w szybszym dotarciu do celu. Ubranie miałam mokre od potu, zakurzone i przesiąknięte zapachem śmierci. Mięśnie nóg bolały przy każdym obrocie rozchwianych kół.

Po długich jak wieczność pięciu kilometrach wyjechałam z miasta i skręciłam w długą drogę prowadzącą na przedmieścia. Świerszcze cykały histerycznie w figowcach, zagłuszając każdą myśl. Rytmicznie powtarzałam pod nosem imiona bliźniaczek, pomagając sobie w utrzymaniu tempa jazdy.

- Liu Shanling, Liu Shanmin... Liu Shanling, Liu Shanmin...

\* \* \*

Gdy zobaczyłam Tanglewood, nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Ostatnie sto metrów pokonałam pieszo, prowadząc rower. W myślach układałam listę rzeczy do zrobienia: zapytać o Kennetha; dać znać Danielowi, że jestem cała i zdrowa; poprosić o wsparcie w szukaniu taty i Li; zorganizować pomoc dla rodziny Liu Shanling. Marzyłam o jedzeniu, wodzie i długiej kąpieli, ale to oczywiście mogło poczekać.

Bentley stał na podjeździe. Nieuszkodzony. Odetchnęłam z ulgą. Kenneth dotarł szczęśliwie. Rzuciłam rower na ziemię i puściłam się biegiem do wejścia.

- Stój! - Zza węgła wyłonił się tęgi mężczyzna w nasuniętej na oczy czapce khaki i twarzą skrytą za czarną chustą. Wycelował we mnie strzelbę i dodał w mandaryńskim z tak wyraźną domieszką szanghajskiego dialektu, że od razu nastawiłam uszu. - Przedstaw się!

Uniosłam ręce, lecz milczałam. Czyżbym trafiła na szabrownika?

- Powiedziałem: przedstaw się! - Zbliżył się i przycisnął mi lufę karabinu do gardła. Kiedy przyjrzał mi się lepiej, w jego świdrujących oczach pojawił się błysk, a z niewidocznych ust wydobył przejmujący gwizd, prawdopodobnie umówiony bandycki sygnał. Po chwili usłyszałam szybkie kroki.

W drzwiach zobaczyłam twarz, której widok dodał mi otuchy.

- Kenneth!

Kenneth Kee gestem nakazał uzbrojonemu mężczyźnie, by opuścił broń.

- To narzeczona panicza. Mieszka tutaj - wyjaśnił. Nie patrząc na mnie, cofnął się do środka.

- Odnalazłeś rodzinę? - zapytałam.

- Nie - odparł szorstko.

- A chociaż próbowałeś?

- Muszę wracać na zebranie. Pan Wee czeka. - Wreszcie spojrzął mi w oczy. - Cieszę się, że jesteś cała.

Kiedy odszedł, zostałam sama z uzbrojonym zamaskowanym osobnikiem. Teraz przyszła moja kolej na pytania. Posłużyłam się naszym rodzimym dialektem.

- Kim jesteś? Pokaż twarz.

- Nie - cofnął się o krok.

- Co ukrywasz?

- Moja tożsamość ma pozostać tajemnicą. Pracuję dla pana Wee.

- Co oznacza, że także dla mnie. Zdejmij maskę i czapkę. Niechętnie zerwał czarną chustkę. Jego ponura mięsista twarz wydała mi się dziwnie znajoma. Kiedy zdjął czapkę, zobaczyłam nastroszone, zlepione potem włosy i charakterystyczne znamię na czole.

Miałam rację. To właśnie jego widziałam w tramwaju.

- Świerszcz! - Moja radość dorównywała zdumieniu. - To ty, prawda? Przysadzisty młody mężczyzna odwrócił wzrok.

- Nie wiem, o czym panienka mówi. Mogę już zakryć twarz?

Z powodu tego nadzwyczajnego zbiegu okoliczności i zaprzeczeń Świerszcza targały mną sprzeczne emocje. Nie wiedziałam, czy go objąć, czy rzucić się na niego z pięściami.

- Pracowałeś dla mojej rodziny w Szanghaju! Nie udawaj, że nie pamiętasz. Mój brat i ja byliśmy bliźniakami. Ty byłeś chrześniakiem naszej kucharki. Trzymałeś pająki. I to znamię. Siostra Kwan mówiła, że wygląda jak...

- Myli się panienka.

- Nie, wcale nie. Wiesz, co się stało z moją matką i siostrami? Czy wyjechały z Szanghaju? Powiedz!

Na widok przerażenia, jakie przemknęło po jego twarzy, zrobiło mi się słabo.

- Nic nie wiem, panienko. - Wykrzywił się z udawaną irytacją. - Nie znam panienki! - Nagle coś w nim wezbrało. Może ruszyło go sumienie? Zrozumiał, że nie może ciągnąć dłużej tej farsy i westchnął. - Dobrze, już dobrze. Może i jestem tym, za kogo mnie panienka bierze. Nie wiem jednak, co się stało z matką panienki. Uciekłem zaraz po wejściu Japońców. Co za ironia losu: przyplłynąłem tutaj, a teraz oni też tu są.

- Ale na pewno wiesz coś o... kucharce? - Zdażyłam już zapomnieć jej imienia.

- Wszyscy uciekli. Wzięliśmy rzeczy i zwialiśmy. Wszyscy prócz...

- Mojej matki - dokończyłam. , Z wahaniem skinął głową.

- I siostr. Twoja matka, panienko, nie chciała zostawić domu, ale nie pozwoliła nam zabrać małych.

Małe. Moje siostrzyczki nie były już małe. Wzdrygnęłam się na myśl o tym, jak siedzą uwięzione w zaciemnionych pomieszczeniach, gdy na miasto spadają bomby. Po policzkach popłynęły mi łzy.

- Przepraszam - dodał miękko. - Nie powinienem nic mówić. Bałem się tej chwili od dnia, w którym zszedłem na ląd i wpadłem na panienkę.

- Czy jest jakaś szansa, że...

- Panienko, naprawdę nie mogę powiedzieć nic więcej. Po prostu nic więcej nie wiem.

W drzwiach znów pojawił się Kenneth, zdziwiony, że nadal tam stoję.

- Cassandro, Dan na ciebie czeka. Umiera z niepokoju. - Rzucił Świerszczowi srogie spojrzenie. - Zhang, gdzie twoja maska?

Świerszcz z ulgą przyjął polecenie zakrycia twarzy. Ruszyłam do drzwi, przejęta nieoczekiwaną wizytą z przeszłości. Świerszcz... Och, runęły na mnie ściany! W chaosie wojny czułam, jak różne moje światy zaczynają się zderzać - przeszłość, teraźniejszość, bogaci, biedni, żywi, martwi.

W drzwiach Kenneth złapał mnie za rękę.

- Cassandro, zanim wejdiesz... - Urwał, szukając właściwych słów, po czym zniżył głos do szeptu: - Może uznasz moją propozycję za bezczelność, ale Zhang i ja idziemy dziś wieczorem do dżungli, do naszego obozu. Issa, kierowca, już tam jest.

- Issa też?

- Pomyślałem, że może zechciałabyś pójść z nami. Wiem, że masz zobowiązania, ale, psiakrew, mówimy przecież o twoim życiu. O lojalność można spierać się później. Tam będziesz bezpieczniejsza. Japonce nigdy nas nie znajdują. Jesteśmy uzbrojeni po zęby.

Zaczynałam rozumieć. Kenneth Kee - obecny na wszystkich tajemnych zebraniach. Kenneth Kee - zawsze pewny, co robić w kryzysowych sytuacjach. KennethJECee, który tak swobodnie mówi o broni. Wbiłam w niego wzrok.

- Kim ty jesteś? Działasz w ruchu oporu?

- Oficjalnie jesteśmy komunistami. Nieoficjalnie - uśmiechnął się - jesteśmy tymi, którzy przeżyją. Pomyśl o tym. Ruszamy o północy. I błagam, ani słowa Danowi.

Oczywiście nie pisnęłam ani słowa. Po sztucznie radosnym posiłku jedzonym z puszek przy stole oświetlonym blaskiem świec, kładliśmy się spać powściągliwi wobec siebie i nieco zawstydzeni wydarzeniami minionego dnia. Daniel nie miał wybuchowego temperamentu. Jego delikatne pieszczoty były cichymi przeprosinami za przemoc, jakiej użył wobec mnie poprzedniej nocy.

- Nie martw się. Jutro tata pomoże ci odnaleźć krewnych.

Kiedy wodził wargami po moich plecach i pokrywał pocałunkami każdy ich skrawek, patrzyłam na zegarek na nocnej szafce i rozważałam propozycję Kennetha. Dochodziła dwudziesta trzecia. Czy mogłam to wszystko porzucić? Wyrzec się bezpieczeństwa, na które sobie zapracowałam, i dołączyć do zgrai buntowników w błotnistej dżungli? Poznałam inteligencję Kennetha i moc Issy. Kto jednak pokładałby w tym wiarę podczas wojny? Dyplomatyczne zabiegi pana Wee wydawały się rozsądniejszą i bezpieczniejszą drogą. Przy kolacji pan Wee wyraził przekonanie, że Japończycy oszczędzą nasz dom, zapewne w rezultacie skomplikowanych negocjacji, jakie przeprowadził. Pozostanie w Tanglewood oznaczało łóżko, wikt, kąpiel. Gdybym poszła do dżungli... Wybór był prosty.

Mimo wszystko, gdy zegar wybił północ, a za oknem usłyszałam odjeżdżający samochód, poczułam w sercu ukłucie żalu.

Zasnęłam w objęciach Daniela wyczerpana i niespokojna. Przed świtem wyrwał mnie ze snu łoskot samolotów.

- Ciii... - Daniel przytulił mnie i pocałował w szyję. - Wszystko będzie dobrze. Tata powiedział, że nasz dom ocaleje. Nie ma bezpieczniejszego miejsca niż dom.

Z miasta dobiegło wycie syren. Tuż po nim - zdecydowanie za szybko - nastąpiły wybuchy. Mimo odległości od miasta ściany pokoju zadrżały.

Usiadłam gwałtownie. Po plecach przebiegł mi lodowaty dreszcz. Roz-emocjonowana powrotem do domu i spotkaniem Świerszcza zupełnie zapomniałam o bliźniaczkach Liu i ich matce!

- Zostawiłam je tam. Bez jedzenia, bez wody. - Zaniósłam się płaczem. - Och, Dan, obiecałam, że je uratuję! Obiecałam!

Zamknął mnie w uścisku. Bał się, że popędzę przed siebie prosto w noc.

- Uspokój się. Na pewno nic im nie jest. Znajdziemy je rano. Tata nam pomoże. Teraz nic nie zrobimy. Możemy tylko odpoczywać.

Ale ja nie mogłam odpoczywać. Wyskoczyłam z łóżka i zaczęłam się ubierać.

- Zaczekaj.

Po dziesięciu minutach Daniel był gotowy. Uparł się, żeby towarzyszył nam pan Wee. Czekaliśmy więc, aż się ubierze. Przez uchylone drzwi zajrzałam do pokoju Violet. Spała jeszcze, ssąc kciuk jak niemowlę. Ciągle szokowała mnie jej krótka potargana fryzura. Po upływie pół godziny ruszyliśmy w końcu do Bentleya. Pan Wee usiadł na miejscu kierowcy.

- Gdzie Issa? - zapytał Daniel. Jego poczucie ładu zostało zakłócone.

- Chciał dołączyć do rodziny. Pozwoliłem mu.

- Na wsi?

- Tak, Dan, coś w tym rodzaju.

Po opustoszałym mieście poruszały się tylko pojazdy wojskowe i ambulanse. Te drugie mknęły ulicami, ignorując znaki i sygnalizację świetlną. Z trudem odnaleźliśmy zegarmistrza przy Spring Street między stosem gruzów, jakie zostały po kawiarni, a ziejącą czarną dziurą po magazynie żywności. Wczorajsze szaleństwo nie pozwoliło mi ich zauważyć. Sklep zegarmistrza nie ocalał. W jego ruinach dostrzegłam dwa młode ciała oplecione wokół matki. Trzy kobiety zostały pogrzebane pod zwałami tynku i kamieni. Bliźniaczki Liu czekały na mnie, ponieważ dałam im słowo, że wrócę. Wiejskie dziewczęta. Porządne, przyzwoite, ufne wiejskie dziewczęta.

Zasłoniłam oczy w obawie, że zobaczę ich duchy, i rozszochałam się tak rozpaczliwie, że nawet pan Wee był poruszony.

- Jedźmy do domu - wyszeptał, a jego słowa rozbrzmiały echem na pustej ulicy.



*Spójrzcie na siebie z gwiazd - wołałam -  
Spójrzcie na siebie z gwiazd.  
Słyszeli i spuszczaali oczy.*

Wisława Szymborska, *Monolog dla Kasandry*

CZEŚĆ DRUGA

ŁOWCZYNI DUCHÓW

\*\*\*

Ach, jak tęsknię za młodością, nawet za jej przykrymi stronami. Mimo obecności intruzki, która przysłuchuje się uważnie każdemu mojemu słowu. Byłam młoda. Teraz jestem stara.

Moje głupie dłonie. Znow drżą. Ile miniaturowych kaset już zapełniłam? Dziesięć. Wszystkie są starannie ponumerowane. Wieńczę stos najnowszą kasetą, która klekocze, gdy dołącza do swoich starszych sióstr. Stosik chybcze się lekko.

W pogrążonym w ciemnościach salonie profesorka bije mi brawo.

- Bardzo oryginalne. - W jej głosie słychać rozbawienie. - Pierwszy raz słyszę o inwazji meduz. A przeczesalam te plaże dokładnie w trakcie moich badań.

Czyżby sądziła, że kłamię?

- Nie, nie wątpię w pani słowa - zapewnia, jakby słyszała moje myśli. - Była tam pani, ma szczególny dar widzenia. Pani umiejętność współodczuwania ze światem natury jest... niebanalna.

- Usłyszysz pani o rzeczach jeszcze dziwniejszych, pani profesor.

- Nie mogę się doczekać. Chcę wiedzieć o wszystkim. Bez upiększeń. Ze szczegółami.

Nie widzę jej uśmiechu, słyszę go jednak w jej głosie, co rodzi między nami nieco wymuszoną zażyłość. Nagle mrozi mnie strach. Ta kobieta jest przecież zupełnie obca.

Rozglądam się po mieszkaniu. Siedzimy w półmroku, a powinniśmy stać na oświetlonym rogu, żeby uważnie się obserwować. Przekłeta zima. Dopiero wpół do piątej, a za oknem już ciemno.

Wstaję, by zapalić lampę.

- Proszę nie przejmować się ciemnością - mówi. - Ja się jej nie boję. I nie wierzę, żeby pani się bała.

- Nie boję się. - Prawdę powiedziawszy, czuję się lepiej, nie widząc jej twarzy. Twarze bywają wyjątkowo zdradliwe. Ciszę zakłóca głośnie burczenie w moim brzuchu. - Pani profesor, czy pani widzi tak jak ja? - pytam.

- Co pani ma na myśli?

- Widzenie - mówię z naciskiem.

- Aha! Nie. Nie należałabym do środowiska akademickiego, gdybym widziała w ten sposób. Dlaczego pani pyta?

- Ponieważ niedawno był w tym mieszkaniu duch. Milczy przez długą chwilę, potem szepcze nieśmiało:

- Nadal tu jest?

- Szczerze mówiąc, nie wiem. Miałam nadzieję, że pani mi powie. Znowu zapada cisza.

I znowu odzywają się moje wnętrzości. Wszystko przez tę niespokojną noc.

- Może powinna pani coś zjeść - mówi profesorka, zaskakując mnie swoją troską.

- Nie, nie, nic mi nie jest. Kontynuujmy. Mogę?

Omiotam wzrokiem ciemność w poszukiwaniu ducha. Mam nadzieję, że zostanie tu dłużej, usłyszy moją wersję tej historii, i wybaczy mi to, co zrobiłam. Jedna rzecz mnie zastanawia: on i profesorka... jaki mroczny związek ich łączy?

Skryty w ciemnościach przyjacielu - czy słuchasz?

## GLĄBY

Zupełnie zapomniałam o Bożym Narodzeniu. Trzy dni po nalotach jechałam tramwajem i zobaczyłam kolorowe lampki rozpięte nad High Street. Pośrodku każdego sznura wisiała niebieska gwiazdka.

Światelka przyciągnęły moją uwagę, ponieważ świeciły się w środku dnia, zużywając cenną energię. To naruszenie ładu wytrąciło mnie z równowagi tak jak ruiny, które widziałam, ponieważ było przejawem panującego chaosu.

Przez kilka dni żyłam w przeświadczeniu, że moja rodzina zginęła. Wreszcie zadzwonił Li z informacją, że są cali i zdrowi. Błagałam go, żeby do nas przyjechali, ale kategorycznie odmówił. Już dwa razy zaatakowali Chinatown, powiedział. Trzeci raz tego nie zrobią.

Te świąteczne lampki - zadziwiająco optymistyczne, przerażająco nie-ekonomiczne - przypominały mi jego chojracki ton.

Przez godzinę targowałam się z jednym ze znajomych pana Wee, podejrzanym Chińczykiem z Kantonu zwanym Tłustym Waiem, który prowadził swoje czarnorynkowe interesy nieopodal hotelu Balmoral, na terenie rzeźni dostarczającej muzułmanom mięso halal. Pan Wee poprosił, żebym kupiła piersi kurczaka. Tłusty Wai dał mi tylko głowy i szyje. Pan Wee poprosił o puszkę oleju kukurydzianego. Tłusty Wai powiedział, że może dać mi tylko używany i zbrązowiały tłuszcz nieznanego pochodzenia. Zmienił nastawienie, gdy pomachałam mu przed nosem studolarowym banknotem, co jednak nie uchroniło mnie przed kolejną rundą negocjacji. Kiedy w końcu dobiliśmy targu, byłam ledwie żywa.

Czekałam na tramwaj dłużej niż zwykle. Na przystanku stały prócz mnie cztery kobiety, chociaż jedną z nich, krótko ostrzyżoną, można było wziąć za chłopca. Wszystkie przestępowałyśmy nerwowo z nogi na nogę. Wszystkie miałyśmy za sobą wyprawę do Tłustego Waia albo innego nielegalnego sklepu. Wypatrywałyśmy tramwaju, ukrywając zakupy pod gazetami w płóciennych torbach, niczym uliczne przekupki próbujące sprzedać jakieś stare rupiecie. Domyślałam się, że te cztery kobiety są albo służącymi w domach ludzi z wyższej klasy, albo niekochanymi synowymi. Sprawiały wrażenie nienawykłych do jeżdżenia tramwajem. Ponieważ prywatne samochody praktycznie zniknęły z ulic, transport publiczny był najlepszym sposobem zachowania dyskrecji.

W końcu usłyszałam w oddali dzwonienie. Moje towarzyszkę przywitały ten dźwięk z ulgą. Ja jedna wiedziałam, że to nie jest odgłos nadjeżdżającego tramwaju.

Hałas narastał. Zza rogu napłynęła wielka fala rowerów. Setki, może tysiące młodych Japończyków w koszulach z krótkimi rękawami, szortach khaki i płóciennych tenisówkach jechały w milczeniu pustą ulicą. Żaden z nich nie miał broni. Można ich było wziąć za miejscowych uczniów, gdyby nie znieruchomiałe i pozbawione wyrazu twarze oraz białe przepaski na czołach z krwistoczerwonym wschodzącym słońcem.

- Wyglądają, jakby nieśli pokój - mruknęła stojąca obok mnie drobna dziewczyna z obciętymi na krótko włosami. W jej oczach zapalił się niebezpieczny optymizm.

- Nie daj się omamić - szepnęłam.

Rowery zniknęły nam z oczu. Kilka minut później usłyszałyśmy echo wystrzałów niosących się od dzielnicy kolonialnej i Chinatown.

Kiedy godzinę później przyjechał wreszcie tramwaj, byłyśmy roztrzęsione. W obawie przed zasadzką jedna z dziewcząt postanowiła jednak iść pieszo. Wsiadłyśmy do tramwaju we cztery i modliłyśmy się, by szczęśliwie dotrzeć do domu. Zamknęłyśmy oczy, mijając Cudowny Świat. Za jego murami rozbrzmiewały krzyki, którym wtórowały suche wystrzały karabinów maszynowych.

Nazajutrz w południe przez Tanglewood przemaszerowała japońska piechota. Wyżsi oficerowie jechali w dżipach. Najeżdźcy nie byli sami. Prowadzili białych - głównie cywilów i zaledwie paru żołnierzy. Większość więźniów miała na sobie tylko krótkie spodenki i lekkie szlafroki. Nieoczekiwanie wyrwani ze snu, nie zdążyli nawet założyć butów. Słońce paliło im stopy pociemniałe od kurzu i zaschniętej krwi.

Zamiast fanfar słyhać było rozklekotane silniki, zsynchronizowany stukot żołnierskich butów i jęki przestraszonych jeńców. Podczas tego capstrzyku zwycięzców Japończycy zachowywali swoją słynną powściągliwość. Nie dałam się zwieść. Ta powściągliwość była ich świadomym wyborem. Właśnie tak okazywali dumę.

Złapaliście nie tych białych, o mało nie krzyknęłam. Ci nie są ani potężni, ani próżni. To nieszkodliwe pijaczki, do rany przyłoż, wręcz pacyfiści. Ci właściwi ciągle są wolni.

Daniel, Violet i ja obserwowaliśmy tę procesję z okna w salonie. Pan Wee stał w otwartych drzwiach. Uniósł dłoń do czoła, jakby salutował, gdy jeden

z jadących dżipem bydlaków spojrzął na niego spod półprzymkniętych powiek. Poraziła mnie ta uległość. Przypuszczam jednak, że nie miał wyjścia.

- Prowadzą ich do Shahbandaru - powiedział.

Nie musiał mówić nic więcej. Sama nazwa przyprawiała o ciarki na plecach. Do więzienia Shahbandar było około szesnastu kilometrów. Skoro Japończycy zdecydowali się paradować ostentacyjnie pięć kilometrów krętą drogą przez Tanglewood, na pewno mieli zamiar przejść też przez inne europejskie enklawy. Więźniów czekało zatem ponad trzydzieści kilometrów marszu przed dotarciem do zimnych, wilgotnych i zaszczurzonych cel Shahbandaru, wiktoriańskiego więzienia, przeznaczonego wcześniej dla ludzi uznanych za niepoczytalnych. Zawodzenia pensjonariuszy tego przybytku nosły się w promieniu kilku kilometrów.

- Dobrze wam tak, rude świnię! - wyrwało się stojącej w holu Małej. Pan Wee odwrócił się i spiorunował ją wzrokiem. Jej uśmiech zgasł.

Z dżipa zamykającego pochód wyskoczyło dwóch chudych żołnierzy. Mieli nie więcej niż szesnaście lat. Ruszyli w stronę domu. Bardziej ponury z nich niósł złożony w kostkę materiał. Stanąwszy przed panem Wee, podał mu go na złączonych dłoniach. To była flaga. Obaj młodzi żołnierze wskazali balkon na piętrze, dając do zrozumienia panu Wee, gdzie ma ją powiesić.

Japończycy nie zrezygnowali z pompy. Uroczystą i patetyczną przemowę wygłosił przez radio niejaki podpułkownik Jogo, mężczyzna o słabym głosie, który oznajmił, że odtąd nasza Wyspa będzie nosić nazwę Wyspa Latarniowa.

„Drodzy mieszkańcy Wyspy, przypaść mi w udziale zaszczyt przekazania wam dobrych-wieści: wielki naród japoński ustanowił Wschodnioazjatycką Strefę Dobrobytu, w której Wyspa Latarniowa odegra kluczową rolę. Japonia przybyła tu, by wyzwolić was z jarzma zdegenerowanego Zachodu niczym Mojżesz, który kiedyś uwolnił Żydów, czy Budda, który uratował biedaków. Koniec waszej niewoli, przyjaciele. Koniec cierpienia w milczeniu i upodleniu pod rządami białego człowieka. Powstańcie, mieszkańcy Wyspy, na znak szacunku dla naszego wspaniałego hymnu narodowego. Niechaj panowanie cesarza trwa dziesięć tysięcy lat”.

Po tych słowach rozległ się szum płyty. Najpierw odezwały się werble i kornety. Sam hymn, wykonywany przez męski alt, składał się z niemelodyjnych zbitek „ei”, „ii” oraz „oo”. Po nim tę samą melodię powtórzył dziecięcy chór. W jego wykonaniu była równie przykra dla uszu.

Siedzieliśmy w salonie. Pan Wee spojrzął na krwawiącego Chrystusa nad kominkiem.

- Cóż, są skuteczni. Trzeba im to przyznać - powiedział.

Rozległo się pukanie. Po chwili w drzwiach stanęła Mała.

- Panowie przyszli - oznajmiła oficjalnym tonem, jakiego używała w jego obecności.

Pan Wee skinął głową, po czym zwrócił się do Violet i do mnie:

- Panie pozwolą...

Zrozumiałyśmy. Musiałyśmy wyjść, zanim do salonu zostaną wprowadzeni spiskowcy. Violet wzięła kanwę z próbkami haftu i szybko wstała. Przez ostatni tydzień koła nerwy wyszywaniem aforyzmów - dzisiejszy, zaczerpnięty z wiersza Emily Bronte, brzmiał: *Tchórzliwa nie jest dusza moja* - i знаła samą siebie na tyle dobrze, by przyznać, że słuchanie o polityce wytrąciłoby ją z równowagi. Czekałam, aż wyjdzie, po czym zwróciłam się do pana Wee:

- Mam bliskich w Chinatown. Gdyby wprowadził mnie pan w swoje plany, powiadomiłabym brata. Moglibyśmy panu pomóc. Z całym szacunkiem, ale znajomość chińskiego jest bardzo pomocna. Znam mandaryński, szan-ghajski i kilka innych dialektów...

- Cassandro - pan Wee uniósł rękę, wyraźnie zirytowany - i bez tego mam wystarczająco dużo kłopotów.

- Wie pan, że można mi ufać...

- Posłuchaj taty, skarbie. - Daniel wziął stronę ojca, czerpiąc siłę z męskiej solidarności. - Idź na górę. Niedługo do ciebie dołączę.

Wchodziłam po schodach, kiedy przez hol przemknęły tajemnicze postacie i znikły za drzwiami salonu. Gdy przypomniałam sobie, że między nimi nie ma Kennetha, poczułam nagłą pustkę.

Następnego ranka powitało mnie zachmurzone niebo. Boczными uliczkami pojechałam na rowerze do tymczasowego miejsca zamieszkania taty i Li w niewielkiej odległości od Cudownego Świata. Z opisu Li wynikało, że to wielki dom z pokojami i mieszkaniami do wynajęcia. Rzeczywistość okazała się inna. Zamiast wielkiego budynku zobaczyłam slumsy - tworzące prowizoryczną wioskę budy z blachy falistej, stojące ciasno jedna obok drugiej.

Mieszkańcy tej dzielnicy nędzy znali tatę i Li pod przezwiskami Wielbłąd i Gorzki Melon. Nie byli może uwielbiani, ale okazali się pożyteczni. Tata, to znaczy Wielbłąd, nie podniósł ceny zupy z ptasich gniazd, co ludzie uznali za honorowe postępowanie. Li zaś wszedł w rolę nieoficjalnego strażnika slumsów i patrolował teren, wywijając groźnie parangiem. Dzięki temu Wielbłąd i Gorzki Meion zyskali przychylność pana Suna, nieoficjalnego przywódcy slumsów, który udzielił im schronienia w swojej budzie.



Li był sam. Przewiązywał czoło bandanką na modłę japońską, tyle że widniał na niej ręcznie namalowany taoistyczny symbol jin-jang. Sińce pod oczami były objawem nawrotu anemii. Emanował nerwową energią, napędzany kawą lub - czego się obawiałam - jakąś mniej łagodną używką. Na jego widok oczy wezbrały mi łzami. Spalona słońcem skóra i rozjaśnione jego promieniami włosy miały prawie ten sam odcień brązu.

- Po co przyjechałaś? - zapytał obojętnie. Mimo chłodnego przyjęcia wiedziałam, że jest poruszony, ponieważ nie spojrzął mi w oczy.

Rzuciłam mu się na szyję. Mój brat był chudy jak szczapa, a jego skóra pachniała deszczem.

- Li, musisz jechać ze mną.

- Co ty gadasz? Moje miejsce jest tutaj.

Rozejrzałam się. Ślady porannej mżawki jeszcze nie wyschły, a już zbierało się na ulewę. Okno zastępowała siatka na kurczaki, do zardzewiałych puszek po zupie spływała z dachu deszczówka. Poślanie, które Li dzielił z tatą, stanowiły koce leżące na drewnianej pryczy. Na sam widok rozboleły mnie plecy. Cała buda mogła runąć na nich w każdej chwili, jak tamten sklep, w którego ruinach zostały Liu Shanling i Liu Shanmin.

- Nie osądzaj mnie - powiedział nieco łagodniej.

- Nie osądzam. Chcę cię ratować.

- Ratować? Mówisz jak oni. Spróbowałam podejść go inaczej:

- Zgadnij, kogo widziałam? Ni mniej, ni więcej, tylko Świerszcza! Był w naszym domu. Wyobrażasz to sobie?

- Kto to jest Świerszcz?

- Nasz chłopiec na posyłki. Z Szanghaju. Pamiętasz?

- Nie. Niczego stamtąd nie pamiętam. Gdyby przed nami stanęła teraz mama, pewnie bym jej nie poznał.

Zauważyłam na jego czole guza, którego usiłował schować pod bandanką z taoistycznym symbolem.

- Co to? jesteś ranny? - Wyciągnęłam rękę, by dotknąć chustki. Zerwał ją z czoła i złapał wypadający spod spodu złoty dysk. Od razu go

poznałam. Mleczny cukierek, pamiątka po tamtym dniu w parku sprzed wielu lat.

- Nie wierzę, że ciągle go masz.

- To moja jedyna pamiątka - powiedział. - Prócz ciebie i niego, oczywiście.

Pogładził słodki dysk i wsunął go do kieszeni.

Na zewnątrz zadudniły zwielokrotnione kroki, biegnące ciała otarły się o ściany i wprawiły budę w drżenie. Li przyczaił się jak czujny pies.

Złapałam go za spalone słońcem stwardniałe dłonie.

- Posłuchaj mnie. Zostań z nami. Dostaniesz osobny pokój. Będziesz mógł się kapać. Możesz stamtąd bronić tutejszych ludzi.

- Bronić slumsów z rezydencji? - prychnął drwiąco. - Nawet gdybym chciał, to...

Obok budy przebiegli kolejni uciekający, krzycząc z przerażenia.

- *Lopak-tau lei lo!* - „Głaby idą!”. Głabami nazywani byli w miejscowym slangu japońscy żołnierze.

Li wyjrzał ostrożnie zza drzwi. Na widok zdyszanego taty jego twarz stężała.

- Weszli! - powiedział. Nie zauważył mnie. - Rozpytują o młodych zdrowych Chińczyków. Nikt nie wie, czego naprawdę chcą.

Li złapał parang.

- Oni mają broń palną, synu - upomniał go tata. - Dzielnica jest otoczona.

- Nieważne. Zginę, walcząc.

- Przez ciebie zginą inni - odezwałam się. ; Tata odwrócił się w moją stronę. Krew odpłynęła mu z twarzy.

- O, moja córeczka!

- Chcę, żebyście obaj pojechali ze mną. Zanim będzie za późno.

Tata rzucił Li bezradne spojrzenie, zupełnie jakby stracił wolną wolę i scedował podejmowanie decyzji na syna.

- Już za późno - odparł Li stanowczo, chociaż w jego oczach pojawiły się wątpliwości. - Lepiej wracaj do domu. Umiem o siebie zadbać.

Objęłam go raz jeszcze. Delikatnie wyjęłam mu parang z ręki. Tylko tyle mogłam zrobić w tej sytuacji.

- Jeśli spróbują cię zabrać, powiedz im, że jesteś Malajem - wyszeptałam mu do ucha.

Przysunął twarz do mojego policzka i wciągnął głęboko mój zapach. Dreszcze przeszły mi po plecach. Wiedziałam, co chce zatrzymać na zawsze: woń szamponu, perfumowanego mydła i świeżych ręczników, pozostałości utraconego świata. Musnął wargami moją skórę, jakby delektował się egzotycznym kwiatem. Nie pocałował mnie ze względu na obecność taty. Po chwili zmienił zdanie i dotknął wargami moich warg. Były tak miękkie, jak je zapamiętałam.

- Mężczyzna Chińczyk... Chłopak Chińczyk! Mężczyzna Chińczyk... Chłopak Chińczyk!

Wrzaski narastały, w miarę jak żołnierze zanurzali się coraz głębiej w labirynt bud, zbliżając się do jego centrum, w którym staliśmy. Ich wołania przypomniały mi starego karang guni z Bullock Cart Water, przed którym chowaliśmy się z Li jako dzieci. Tyle że teraz nie mieliśmy się gdzie schować.

- Chłopak Chińczyk! - rozległ się tuż obok oschły głos, któremu towarzyszył nagły błysk. Zamarłam, spodziewając się wystrzału. W progu zobaczyłam ubłocone żołnierskie buty i lśniący czubek bagnetu.

Li łagodnie wysunął się z moich objęć i skinął tacie głową. Ten posłał mi grymas, w którym przeprosiny mieszały się z żalem. Widziałam, że on chce ze mną jechać.

- Przekonajmy się, o co im chodzi - powiedział Li. Zanim zdążyłam powiedzieć czy zrobić cokolwiek, on i tata unieśli ręce w geście poddania. Kiedy dopadłam do drzwi, już ich nie było. Zupełnie jakby porwał ich bezcielesny głos.

Kiedy wyszłam z labiryntu bud, zobaczyłam ruszające ciężarówki pełne ludzi. Mężczyźni i chłopcy stłoczeni jak świnie w zagrodzie przytrzymywali się nawzajem w obawie przed upadkiem, gdy auta podskakiwały na wybojach. Jestem pewna, że gdybym zobaczyła między nimi Li, puściłabym się pędem za ciężarówkami, wrzeszcząc jak opętana. Przez ostatnią godzinę chmury zgęstniały i pociemniały. Lada chwila miało lunąć. Wyobraziłam ich sobie na odkrytej platformie samochodu. Bolało mnie, że przemokną do suchej nitki.

Kiedy wsiadłam na rower, zobaczyłam małego chłopca biegnącego w moją stronę przez błotnisty plac. Wyglądał na sześć lat, jego okrągłą buzię znaczyły smugi brudu wymieszanego ze łzami.

- Zabijają ich, zabijają! - krzyczał.

Po chwili zniknął jak Wielbłąd i Gorzki Melon. Na ziemię spadły pierwsze krople deszczu.

Po powrocie do domu nie czułam nóg. Nie mogłam jeść. I nie mogłam Pohamować płaczu.

- Co oni robili w tym strasznym miejscu? - zapytał pan Wee. Okazało się, że wiedział o planowanym ataku na dzielnicę nędzy. Nie

wiedział natomiast, że tata i Li zdecydowali się tam zamieszkać, co było dla niego niewytłumaczalne. Za bardzo się wstydziłam, by powiedzieć o tym Jemu czy Danielowi. Pan Wee przyrzekł, że postara się wyciągnąć moich ludzi, jak się wyraził, z więzienia Queenstown, gdzie „zajęto się” tysiącami Chińczyków. Potem kazał mi iść do łóżka jak choremu dziecku.

- Nie chodzi o to, że ci nie ufam, Cassandro - powiedział - ale moi znajomi są bardzo wymagający i muszę brać pod uwagę ich życzenia. W dzisiejszych czasach życie od śmierci oddziela jeden nieostrożny krok.

Z trudem wchodziłam po schodach. W uszach ciągle rozbrzmiewały mi przerażające słowa małego ghula ze slumsów. Daniel przyszedł do sypialni kilka minut później. Nie zaoferował mi większego ukojenia niż ojciec. Przyniósł szklankę wody i środek nasenny, po czym umieścił je na nocnej szafce.

- Odpocznij, skarbie - powiedział.

- Brałeś udział w tych zebraniach... Musiałeś słyszeć o planowanym ataku. Dlaczego milczałeś?

- O tylu rzeczach się mówi. Nigdy nie wiadomo, co jest prawdą, a co nie. Większość pogłosek okazuje się fałszywa. Tym ludziom najbardziej zależy na utrzymaniu zaopatrzenia w prąd i wodę oraz na bezpieczeństwie ich rodzin.

Własny interes - oczywiście! W mieście nie widziałam żadnych oznak zorganizowanego oporu przeciwko najeźdźcom. Nagle dotarło do mnie, że pan Wee i jego uprzywilejowani kołesie mogą prowadzić podwójną grę: za dnia udają przystosowanie, to znaczy współpracę, nocą - konspirację. Stąd ich obsesyjna dbałość o dyskrecję, stąd ta paranoja, stąd nagłe odejście Kennetha i Issy do dżungli. Tata i Li przynajmniej pozostali wierni swoim zasadom.

- Naprawdę nie rozumiesz?! - krzyknęłam. - Gdybym brała udział w tych głupich zebraniach, mogłabym uratować swoją rodzinę!

- Przecież nigdy o nich nie mówiłaś. Jak możesz nas winić, że nic nie wiedzieliśmy?! - Daniel tracił panowanie nad sobą. Odetchnął głęboko kilka razy, żeby się uspokoić. - Wiem, że jesteś bardzo zła. Daj tacie czas i nie zadawaj zbyt wielu pytań. Robi, co może, żeby zapewnić nam bezpieczeństwo. Znajdzie jakieś rozwiązanie. Przyrzekam. Poza tym pamiętaj, że teraz to my jesteśmy twoją rodziną.

- Szkoda, że nie ma tu Kennetha - usłyszałam własne słowa, zanim zdążyłam ugryźć się w język.

Daniel pobladł.

- Dlaczego?

Pokręciłam głową. Chlapnęłam to bezmyślnie i okrutnie, a tymczasem to moja skłonność do ukrywania różnych rzeczy doprowadziła nas do tego. Objęłam Daniela i modliłam się w duchu, by ten gest wystarczył za przeprosiny. Wybaczył mi po kilku minutach.

Dbałam o moje poletko wolności. Trzy razy w tygodniu pan Wee wysyłał mnie do sklepu Tłustego Waia. Postanowiłam jak najlepiej spożytkować ten czas spędzany poza rezydencją. Wtedy duchy ofiar nalotu nękały mnie bardziej niż żołnierze. Ponieważ opanowałam sztukę nierzucania się w oczy strojem i zakupami, patrole nigdy nie zwracały na mnie uwagi. Zupełnie inaczej było z duchami. Szły przed siebie z urwanymi kończynami, przyciskały do mnie krwawiące brzuchy i wykrzykiwały swoje żądania. Chciały, żebym je ożywiła, znalazła ich krewnych, odnalazła brakujące części ciała. Nie były ani złe, ani groźne. Po prostu tkwiły w absurdalnej sytuacji, ponieważ ich życie dobiegło kresu, a one nie potrafiły tego zaakceptować. Gdybym dokończyła lekcję u Issy, wiedziałabym, jak przywrócić im spokój, a tak mogłam jedynie odwracać wzrok.

Chciałam ich uniknąć, dlatego wybrałam drogę wiodącą przez punkty kontrolne. Duchy instynktownie trzymały się z daleka od wroga. Młodzi żołnierze byli zwykle zbyt zajęci jakąś skradzioną zabawką, żeby się mną przejmować. Ci spokojniejsi czytali nawet książki.

Pewnego ranka wszystko się zmieniło. Jak zwykle poprosiłam Tłustego Waia, krętacza nad krętaczami, o kurczaka. Dzisiaj jednak miał dla mnie dwa ohydne wijące się stwory - utrzymywał, że to ostroboki, chociaż według mnie były to żywe węgorze - oraz śliską kostkę tofu. Z taką zdobyczą musiałam jak najszybciej wracać do domu.

Traf chciał, że tego dnia w punkcie kontrolnym nie było ani jednego żołnierza. Pod nieobecność wrogów na ulicy zaroilo się od duchów. Łapały mnie za ręce, gdy zmierzałam w stronę przystanku tramwajowego. Przeklinając w duchu żołnierzy, torowałam sobie drogę w tłumie zebrzących zmarłych. Z każdym krokiem stawałam się coraz bardziej nieczuła na ich wołania, zamykałam oczy, by nie widzieć ich otwartych ran. Nic nie mogę dla ciebie zrobić, wujaszku. Nie wiem, jak pani pomóc.

Dochodząc do przystanku, zrozumiałam, dlaczego posterunek jest pusty. Dziesięciu, może dwunastu żołnierzy zbiło się w ciasną gromadę, bardzo czymś rozbawieni. Jeden z nich, chłopiec w okularach, którego widziałam wcześniej bawiącego się kieszonkowym zegarkiem, teraz bawił się zupełnie Inną zabawką: dziewczyną.

Poznałam ją. To była dziewczyna z ostrzyżonymi na chłopaka włosami, którą spotkałam kilka dni wcześniej. Powiedziała wtedy o żołnierzach na rowerach, że wyglądają, jakby nieśli pokój. Nie chciałam wierzyć własnym oczom - los okazałby się zbyt okrutny - ale to była niestety ta sama dziewczyna z wielkimi naiwnymi oczami. Leżała naga na drewnianej ławce z rozrzuconymi rękami i nogami.

Przytrzymało ją czterech chichoczących żołnierzy w jej wieku - około siedemnastu lat - a ich dowódca z okularach warstwa po warstwie chudymi palcami odwijał z gazet jej zakupy. Po chwili uniósł w rękę ledwie żywego węgorza. Dziewczyna najwyraźniej też wracała od Tłustego Waia. Z ust podwładnych wydobył się zachęcający wrzask:

- *Banzai!*

W przeciwieństwie do reszty żołnierzy, Okularnik zachował powagę. Z pochmurną twarzą ścisnął węgorza za łeb i wepchnął go w szparę między nogami dziewczyny. Krzyknęła chrapliwie, w kącikach jej ust pojawiła się biała piana. Okularnik wpychał węgorza głębiej, aż ręce spłynęły mu krwią dziewczyny. Kiedy zaczęła dusić się własnymi wymiocinami, zamknął oczy, rozkoszując się efektami działania swojego seksualnego substytutu.

Z obawy, że zauważą mnie jego towarzysze i odkryją moje węgorce, obróciłam się na pięcie i chciałam uciekać. Los zrzucił inaczej. Z pobliskiego sklepu wypadła zgraja Chińczyków wymachujących nożami i kamieniami. Rzucona z rozmachem cegła zatoczyła w powietrzu łuk i trafiła Okularnika prosto w głowę. Runął jak długi na ziemię. Okulary spadły mu z nosa. Pozostali żołnierze puścili dziewczynę i sięgnęli po karabiny. Wyglądały jak dziecięce zabawki, póki jeden z chłopców nie podniósł swojego i nie wystrzelił.

To było wezwanie do walki. Z opętańczym wrzaskiem chińska milicja minęła mnie w pędzie i rzuciła się na żołnierzy. Rozległy się kolejne strzały. Po obu stronach ciała osunęły się na ziemię. Starcie przeniosło się na tory. Przez bitewną wrzawę przebiło się dzwonienie tramwaju. Ruszyłam przed siebie, chcąc wskoczyć do wagonu. Kiedy motorniczy zwolnił, dzwoniąc raz po raz, by ostrzec walczących na torach, ci wpadli do tramwaju i zmusili go do opuszczenia pojazdu z podniesionymi rękami.

- Panienko... - Ktoś objął mnie w pasie.

Wpadłam w panikę. Nie odwracając głowy, puściłam się pędem w uliczkę nawiedzaną przez dusze zmarłych. Mój prześladowca dopadł mnie i zamknął w uścisku. Walczyłam, ale nie mogłam wyrwać się z jego objęć.

- Ciii, nie bój się - powiedział łagodnie po angielsku. - Nie jestem jednym z nich.

Nie był też duchem. Wyglądał na cywila, który tak jak ja przypadkowo dostał się w sam środek awantury. Kiedy mnie puścił, byłam mu wdzięczna za towarzystwo, ponieważ tłum duchów się rozproszył. Odwróciłam się i spojrzałam na niego. Mój wybawca nie tylko mówił z równie zadziwiającym oksfordzkim akcentem jak Kenneth, ale był też wysoki i barczysty, miał szerokie brwi i niewielką brodę. Z takim mężczyzną nie było żartów.

Skłonił nieznacznie głowę.

- Wybacz, jeśli cię przestraszyłem.

Przyjrzałam mu się dokładniej. Jasna skóra, rysy twarzy i pewna staroświecka oficjalność kazały przypuszczać, że pochodzi z północy Chin. Wyczuwałam w nim Pekin - ten wytworny, zdobiony złotym brokatem, nie Pekin biurokratów i gryzipiórków.

- Bałem się, że wpadniesz w środek tej bitwy. Musiałem interweniować.

- Dziękuję. - Z trudem łapałam powietrze. Zerknęłam na swój pakunek. Śmierdzący oślizgły węgorz wysunął się z papieru i wił się teraz na dnie torby.

- Masz rybę - stwierdził nieznajomy rzeczowym tonem.

- To nie ryba. I nie jest moja. Niosę ją dla kogoś.

- Szczęściarze. - Uśmiechnął się. - Mogę cię podwieźć? Mój samochód stoi tutaj. - Wskazał czarnego forda zaparkowanego na ulicy. - Dzisiaj jazda tramwajem nie jest najlepszym rozwiązaniem.

- Och, nie, nie mogę. - Oczywiście mogłam, węgorz wręcz się tego domagał, lecz galanteria nieznajomego była zbyt piękna, żeby była prawdziwa. - Śledziłeś mnie?

Zarumienił się. Ta reakcja rozwiązała nieco moje podejrzenia.

- Nie miałem zamiaru, ale raz na jakiś czas widzę piękną kobietę, która wzbudza mój zachwyt. Żałuję jedynie, że nie wkroczyłem wcześniej, żebyś nie widziała tego, co zrobiły te potwory.

„Co zrobiły te potwory”, powtórzyłam w myślach.

- Przyjmij moją ofertę. Dziewczyna chodząca sama po mieście nie jest teraz bezpieczna.-Zawiozę cię, dokąd zechcesz, i zostawię w spokoju, chociaż jesteś czarująca.

Spojrzałam na auto stojące kilka kroków od nas, potem znów na mężczyznę o łagodnym życzliwym spojrzeniu. Ciężkie obrzydliwe węgorze, za które zapłaciłam Tłustemu Waiowi fortunę, ostatecznie zdecydowały za mnie.

- Dziękuję.

Podczas jazdy podziwiałam jego spokój. Cmoknął z dezaprobatą na widok żołnierzy strzegących Cudownego Świata, którego wysokie czerwone mury Głaby zamieniły w twierdzę. Prócz tego drobnego przejawu niezadowolenia mój nowy znajomy nie okazał żadnych oznak przygnębienia na widok zniszczeń, chociaż mijaliśmy zawałone domy i spalone autobusy. Ta obojętność przypomniła mi Kennetha. Obaj świadomie nie przyjmowali do wiadomości dziejących się okropieństw.

Kiedy dotarliśmy wreszcie do zielonych przedmieść, przesiąkniętych zapachem orchidei i paproci, odprężyłam się i uspokoiłam.

- Studiowałeś w Anglii? - zapytałam. - Mój znajomy studiował w Oksfordzie. Mówisz prawie jak on.

- Anglia? - Zachichotał. - Och, nie. Miałem jednak doskonałych nauczycieli.

- Gdzie w takim razie studiowałeś?

- W Japonii.

Poczułam, że sztywnieje mi kark.

- Hm, to interesujące - zaczęłam ostrożnie. - Ile czasu tam spędziłeś?

- Całe życie. - Posłał mi dziarski uśmiech. - Powinienem się w końcu przedstawić. Nazywam się Taro. To znaczy „chłopiec”. Byłem najmłodszym synem. Miałem dwóch starszych braci. Rodzice nazwali mnie Taro, ponieważ nie chcieli, żebym dorósł. Niestety musiałem ich rozczarować.

Zaniemówiłam. I zastygłam z przerażenia. Dlaczego ten Japończyk mi pomaga? Odezwał się, dopiero gdy dojechaliśmy do Tanglewood, a za oknami widać było opustoszałe posiadłości z zaniedbanymi trawnikami.

- Jak długo mieszkasz... to znaczy dostarczasz ryby tutejszym mieszkańcom? - spytał.

- Niecały rok.

Rzucił mi dziwnie czułe spojrzenie i nie przestawał lekko się uśmiechać, aż zaczęły mnie piec policzki. Było jasne, że przejrzał mnie na wylot. Zamiast jednak wytknąć mi oszustwo, zahamował łagodnie, jakby szykował sobie grunt pod zaloty, a może nawet pocałunek.

Od rezydencji dzieliło nas pięćdziesiąt metrów. Na podjeździe stało kilka aut. Ogarnął mnie niepokój. W domu byli tajemniczy przyjaciele pana Wee. Zerknęłam na Taro. Wyraz jego twarzy nie zmienił się ani trochę. Widok tyłu samochodów na szczęście nie wzbudził podejrzeń.

Właśnie wtedy usłyszałam donośny warkot i zobaczyłam nadjeżdżającego wojskowego dżipa. Ciarki przeszły mi po plecach. Taro nawet nie drgnął-Poważnie skinął głową kierowcy i gestem dał znać, by nas wyprzedził.

Odetchnęłam z ulgą. Niestety tylko na moment. Dżip skręcił gwałtownie, staranował bramę, przejechał przez trawnik i z piskiem opon zatrzymał się przed wejściem do rezydencji Wee.

Taro złapał mnie za nadgarstek. Patrzył z uśmiechem, jak z dżipa wyskakuje czterech żołnierzy i wdzierają się do domu - dwóch od frontu, dwóch od tyłu. Próbowałam się wyrwać, ale palce Taro przytrzymały mój nadgarstek z siłą imadła.



- Ty sukinsynu! - krzyknęłam.

- Damie nie uchodzi tak się wyrażać.

Wjechał na podjazd, akurat gdy zapłakani Daniel i Violet wychodzili frontowymi drzwiami z rękami za głową. Tuż za nimi szedł żołnierz, szturchając Daniela w plecy lufą karabinu.

Daniel rzucił mi spojrzenie bardziej zbolełe niż oskarżycielskie. Spojrzenie zdradzonego kochanka.

- Cassandro, dlaczego?! - krzyknął. Taro spojrział na mnie.

- Masz na imię Cassandra? Cóż ci po takim imieniu, skoro tego nie przewidziałaś. - Błyskawicznie wyciągnął kajdanki i zanim zdążyłam mrugnąć, przykuł mnie do swojego nadgarstka.

- Danielu, posłuchaj mnie! Nie wiedziałam! Naprawdę nie wiedziałam! -zawodziłam.

- Wiedziałam, że z tobą jest coś nie tak! - syknęła Violet. - Pierwsza się zorientowałam, ale nikt mi nie wierzył! Jesteś podła! Jesteś wcielonym złem! Zniszczyłaś wszystko!

Taro zachichotał.

- Ona musi cię bardzo lubić.

Żołnierz dźgnął Violet kolbą w tył głowy i pchnął ją z Danielem pod ścianę.

Z rezydencji wyszli kolejni aresztowani: sześciu mężczyzn w koszulach i krawatach. „Konspiratorzy” pana Wee, tym razem spotykający się po południu. Ustawiono ich, by Taro mógł im się dokładnie przyjrzeć. Bez szali i ciemnych okularów, pozbawieni osłony nocy, wyglądali zwyczajnie i bezradnie. Mrużyli oczy osłepieni słońcem. Spod ich cienkich bawełnianych koszul prześwitywały białe podkoszulki. Wszyscy byli niscy, brzuchaci i łysiejący. Typowi chińscy biznesmeni. Zamiast bohaterskich członków ruchu oporu zobaczyliśmy przestraszonych mężczyzn z błyszczącymi pierścieniami i drogimi zegarkami.

Taro kiwał głową, przenosząc wzrok z jednego na drugiego. Wtedy nastąpił gwóźdź programu - z domu wyprowadzono w kajdankach samego Ignatiusa Wee. Szedł za nim żołnierz z plikiem papierów i jakąś skomplikowaną mapą, prawdopodobnie dowodami podstępnych knowań. Taro znów skinął głową. Twarz pana Wee była czerwona ze zdenerwowania i frustracji. Raz po raz zerkał na skonfiskowaną mapę niczym wynalazca zmuszony do porzucenia dzieła życia przed dokonaniem przełomu. Kiedy zobaczył mnie w samochodzie, w jego oczach odmalowała się trwoga, która na widok Taro przeszła w Ponure zdziwienie.

- Panie oficerze - zaczął, starając się zachować spokój - panie podpułkowniku Rukumoto, obawiam się, że zaszło nieporozumienie. Współpracowałem z pułkownikiem Nagatą. Proszę do niego zadzwonić. Właśnie omawiałem z przyjaciółmi wasze plany dotyczące fabryki. Mieliśmy nadzieję, że...

- Nie ma żadnego nieporozumienia, Ignatius-san - odparł Taro lodowato. - Przepraszam, że przerwałem wam podwieczorek, ale pan nie podzieliłby się tymi planami z nikim, nawet ze swoją żoną, gdyby żyła. „Nawet z samym papieżem”, co powiedział Nagata-san, a ja powtarzam po nim słowo w słowo. Cóż, pułkownik Nagata twierdził, że panu wierzy, ponieważ jest pan spokojnym człowiekiem. Ja panu nie wierzyłem, ponieważ wydawał się pan zbyt spokojny, zbyt układowy. Pochlebiam sobie, że mam nosa do wyczuwania zdrady i zawsze cieszę się niepomniernie, gdy moje podejrzenia okazują się uzasadnione. Więc *arigato*, dziękuję panu.

Wychylił się przez okno i wydał rozkazy szorstkim gardłowym japońskim. Żołnierz pilnujący Daniela i Violet natychmiast zaczął ich popychać kolbą karabinu w stronę dżipa. Drugi żołnierz wskoczył na miejsce kierowcy i czekał na uwięzionych. Kiedy brat i siostra przechodzili przed maską samochodu Taro, Daniel odwrócił ode mnie wzrok, *natomiast* Violet rzuciła mi gniewne spojrzenie, w którym była obietnica zemsty.

- Danielu! Kocham cię! - Nie mogłam znieść, że uważa mnie za zdrajczynię.

Taro odwrócił się do mnie rozbawiony.

- Powiedz, że przyslesz mu czekoladki. Przerażony pan Wee podbiegł do auta.

- Pułkowniku, proszę... błagam, nie zabierajcie moich *dzieci*. *One nie* mają z tym nic wspólnego. Absolutnie nie! Rukumoko-san, proszę, niech pan okaże litość. Dam panu wszystko. Może pan wziąć ten dom! Może pan wziąć dom na plaży. Proszę tylko, żeby pan zostawił moje dzieci. Są niewinne. Nic nie wiedzą! Błagam pana!

Taro machnął ręką. Na ten znak jeden z żołnierzy doskoczył do pana Wee i uderzył go karabinem w głowę. Pan Wee osunął się na ziemię. Strużka krwi spłynęła mu na kołnierzyk koszuli. Żołnierz złapał go jedną ręką i szarpnął *do* góry, a drugą uderzył w twarz. Pan Wee chwiał się, nie mogąc utrzymać równowagi. Japoński oprawca kopniakami skierował go z powrotem do domu.

Daniel i Violet szlochali w dżipie na widok poniewieranego ojca. Zrobiło mi się niedobrze. To wszystko przeze mnie. Zaufałam przystojnemu nieznajomemu. To oczywiście nieprawda, ale wtedy tak właśnie myślałam.

- Dopadnę cię, Cassandro! - krzyknęła Violet bojowo. Taro uniósł brwi i się uśmiechnął.

- Dokąd ich zabierają? - zapytałam. Przestraszyłam się dźwięku własnego głosu, taki był słaby.

- Tam, gdzie jest miejsce dla dzieci zdrajców.

- Przecież oni nie mają nic wspólnego z działaniami ojca. Przysięgam. Błagam! Moje słowa nic nie znaczyły. Silnik dzipa zastartował tak gwałtownie, że kierowcy o mało nie wyrzuciło z siedzenia. Daniel i Violet odjechali pod eskortą uzbrojonego żołnierza na tylnym siedzeniu.

Kiedy znikli mi z oczu, uświadomiłam sobie, że wszystko stało się bez użycia siły. Taro Rukumoto nie wysiadł z samochodu, nie podniósł nawet głosu. I właśnie jego spokój mroził krew w żyłach.

W końcu zdecydował się wysiąść z forda. Wysiadłam za nim, ponieważ ciągle byliśmy skuci. Wszedł do domu. W holu rozejrzał się z przesadnym zachwytem, jak nabywca wymarzonej rezydencji. Zamknął za nami drzwi.

- Cóż za przyjemny dom. Solidna konstrukcja - stwierdził.

W salonie jego uwagę zwrócił duży krzyż nad kominkiem. Uniósł brwi, powstrzymał się jednak od komentarza. Wbrew nadziejom pana Wee nie przestraszył się i nie zaniepokoił. Dostrzegłam tylko w jego oczach przelotny błysk rozbawienia.

Na podjeździe rozległy się wystrzały. Każdy głośniejszy od poprzedniego. Sześć. Istniała więc szansa, że jeden z aresztowanych - pan Wee - pozostał przy życiu. Wtedy na tyłach domu zaczęła ujadać i wyć Agnes, jakby ktoś chciał mi odebrać ostatnią iskierkę nadziei.

- Chodź, moja droga. - Taro pociągnął mnie na schody. - Najwyższy czas poznać się lepiej.

Tego popołudnia mnie nie dotknął. Zrobił za to coś dziwniejszego.

- Gdzie śpisz? - zapytał.

Pokazałam mu sypialnię, którą dzieliłam z Danielem. Taro od razu zaczął szperać w szafie i szufladach, brał do ręki każdą sztukę mojej bielizny. Raz po raz spoglądał na mnie z taką samą czułością, jaką zauważyłam w samochodzie. Czyżby chciał mnie zmusić, żebym się w nim zakochała? Próbował przekonać mnie o swoim uczuciu? W jednym i w drugim przypadku zabiegał o mój współudział. Kiedy skończył przeglądać moje rzeczy, zadowolony, że nie ukrywam broni, rozpiął łączące nas kajdanki.

Natychmiast rzuciłam się do ucieczki, ale zatrzasnął drzwi i zastąpił mi drogę. Kiedy skoczyłam w stronę otwartego okna, sięgnął po rewolwer i wycelował we mnie.

- Naprawdę chcesz umrzeć? - zapytał. - Zastrzelę cię, zanim zdążysz skoczyć. Stał przed wielkim lustrem. Zerknęłam na nie, chcąc się przekonać, czy w pokoju są inni i czy krążą wokół niego tak, jak krążyli wokół Daniela. Niczego nie zobaczyłam. Byliśmy zupełnie sami. Nawet potwory uciekły.

- Czego ode mnie chcesz? - spytałam.

- Chcę, żebyś była sobą. Chcę, żebyś zachowywała się jak co dzień. Jak zwykła pani domu.

Zachowywać się normalnie pod lufą rewolweru? W obecności wroga?

Chciałam krzyknąć, lecz ciało mnie zawiodło. Po nogach spłynął mi ciepły strumień. Na jedwabnym dywanie pod moimi stopami pojawiła się mokra plama.

Taro cmoknął z dezaprobatą, t - Tak się zwykle zachowujesz, Momoko?

„Momoko”? Czy ten wyraz oznacza coś obraźliwego i nienawistnego?

Odłożył broń i skrzyżował ramiona. , - Umyj się. Jesteśmy cywilizowanymi ludźmi, nie małpami, pamiętaj.

Usiadł przy wannie. Nie spuszczał ze mnie oczu, chociaż w jego wzroku nie było cienia lubieźności. Obserwował mnie raczej jak zatroskany lekarz lub nauczyciel. To zachowanie i sposób, w jaki wydawał rozkazy z samochodu, wiele mi o nim powiedziały. Taro nie lubił brudzić sobie rąk. Gdyby chciał mnie zabić, kazałby to zrobić jednemu ze swoich pachółków. Póki byliśmy sami, śmierć raczej mi nie groziła.

- Co zrobiliście z Danielem? - Samo wypowiedzenie tego imienia sprawiło, że zadrżałam.

- Jeśli będziesz dla mnie dobra, Momoko, znów go zobaczysz.

- A pan Wee?

- Momoko...

Uparcie nazywał mnie tym słowem, tym imieniem, które brzmiało, jakby zwracał się do dziecka albo ulubionego zwierzęcia.

Po kąpieli trzęsłam się mimo upału. Wyjął z szafy cheongsam z czerwonego jedwabiu i położył na łóżku. Ubierając się, poczułam zapach kantońskiej kuchni: sos sojowy, olej sezamowy, ocet ryżowy, duszone zielone cebule. Służący! Czyżby zostali w domu?

Odeskortował mnie na dół, mocno obejmując w pasie, niczym mężczyzna prowadzący swoją narzeczoną na bal. Nie budził strachu, nie było w nim

niczego morderczego, i właśnie to najbardziej działało mi na nerwy. Kiedy się ubierałam, wytarłam twarz i szyję mokrym ręcznikiem. Teraz, ze starannie uczesanymi włosami i w czystej koszuli, wyglądał tak elegancko, że mogłby zjeść kolację z rodziną królewską.

Stół był nakryty dla dwóch osób i oświetlony świecami. Chociaż nigdzie nie widziałam służących, w miseczkach czekał na nas biały ryż, a na półmisku leżały dwa tłuste węgorki przybrane posiekanymi porami. Na widok nietkniętych głów, zmętnianych oczu i odsłoniętych zębów tych stworzeń mój głód zamienił się w odrazę. Tamta nieszczęsna dziewczyna na przystanku tramwajowym...

- Nie zjesz ze mną kolacji, Momoko? - Odsunął dla mnie krzesło, potem usiadł naprzeciwko. Zwróciłam uwagę na brak noży, widelców i pałeczek.

- Co zrobiłeś ze służącymi?

- Nic. Przygotowali kolację, a potem wyszli. - Nappełnił mi kieliszek czerwonym bordeaux, po czym stuknął go swoim pustym kieliszkiem. - Na zdrowie.

- A ty nie pijesz? - Mogłabym popełnić fatalny błąd, gdybym nie skłoniła go, by pierwszy napił się wina.

- Wino mi nie służy. Wolę sake. Cofnęłam rękę. ▽

- Nie będę piła sama.

- Rozumiem. - Nalał sobie wina i upił spory łyk, krzywiąc się z obrzydzeniem. - Ale do tej pory powinnaś się już zorientować, że nie chcę cię skrzywdzić. Wręcz przeciwnie, Momoko.

Z uśmiechem wbił łyżkę do nakładania potraw w brzuch węgorka. Skrzela poruszyły się i zatrzepotały. Stworzenie żyło. Przełożył soczysty filec do mojej miski z ryżem. Staralam się ukryć przerażenie.

- Ty pierwszy - wykrztusiłam.

- Dziękuję, ale chińskie jedzenie... - Zmarszczył wymownie nos.

- Więc po co tyle zachodu?

- Chciałem, żebyś ostatni raz skosztowała swojego starego życia. - Posłał mi tęskny uśmiech. - Czyż nie jest to klasyczny chiński przysmak? Kiedyś Podano mi taką potrawę w Szanghaju. Ciało ugotowane, głowa ciągle żywa. Szef kuchni dumnie oznajmił, że to dowód na świeżość ryby, a ja pomyślałam wtedy: barbarzyńcy. Jedz.

Posłuchałam go. Machinalnie nabierałam na łyżeczkę ryż i wkładałam go do ust, nie czując smaku. Kiedy kazał mi wypić więcej wina, nie protesto-

wałam. Szukałam zapomnienia, a wino mi w tym pomagało. Wypijałam jeden kieliszek za drugim, aż paliły mnie policzki.

Nie spuszczałam wzroku z węgorza, licząc, że w końcu znieruchomieje. Jednak skrzela ryby ciągle drgały.

Taro wstał w teatralny sposób i nie spuszczał ze mnie wzroku, podszedł do mojego krzesła.

Staralam się zachować spokój.

- Dlaczego nazywasz mnie Momoko?

- Przypominasz mi dziewczynę o tym imieniu, którą kiedyś znałem. Podobieństwo jest uderzające: takie same przenikliwe oczy, taki sam znamionujący upór podbródek, w jednej chwili flirtowała, a za chwilę zołza. Zupełnie jakbyś została tu zesłana, żeby torturować mnie wspomnieniami o niej. -Urwał. - Momoko była miłością mojego życia. Kiedy dotykałem ją między nogami, zawsze była wilgotna i jedwabście śliska. Miałem wrażenie, że gładzę żywą ostrygę. - Uśmiechnął się. - Kiedyś zamierzałem ją poślubić.

- Czy umarła... z obrzydzenia? - Użyłam najbardziej obcesowych słów, jakie przyszły mi do głowy.

- Nie, żyje i ma się dobrze. Po prostu... nie chciała ze mną być, to wszystko.

- Wcale mnie to nie dziwi.

- Spójrz na mnie, Momoko - powiedział z nagłą surowością.

Stał przede mną i z całej siły pchnął oparcie mojego krzesła. Odchyliło się i z łoskotem runęło na ziemię, a ja z nim. Zrozumiałam, że oto nadeszła chwila, w której Taro pomści swoje sponiewierane ego, podrzynając mi gardło.

Szybkim ruchem wyrwał spode mnie krzesło i cisnął je z impetem na drugi koniec pokoju. Potoczyło się ze stukotem po drewnianej podłodze i uderzyło w ścianę. Potem pochylił się nade mną zaborczo, nie do końca pewny swojej mocy, niczym tygrys obserwujący swoją ofiarę.

- Momoko - szepnął z udręką w oczach.

Jej imię wyzwoliło w nim nagły impuls i pobudziło do działania. W jednej chwili włożył mi rękę pod spódnicę. Czułam, jak wsuwa mi palce między uda.

Ze wszystkich sił próbowałam odsunąć od siebie jego twarz, ale mocno mnie przytrzymał. Musiałam walczyć nie tylko z nim. Byłam otumaniona winem, które spowolniło moje reakcje.

W końcu się poddałam.

Nazajutrz obudziłam się po dwunastej w południe. Byłam sama w łóżku. Czułam się jak w innym wszechświecie. Spokojnym, wolnym od syren przeciwnotycznych i odgłosów strażaków. Czyżbym została uwolniona?

Ostrożnie zeszedłam na dół, półprzytomna po wczorajszej porcji alkoholu. W powietrzu wisiał zapach sosu sojowego i oleju sezamowego, wymieszany z przyprawiającą o mdłości wonią morza. Poza tym nie widziałam żadnych śladów życia. Wydawało mi się, że jestem w domu sama.

Na stole stały dowody wieczornej uczty - wypalone świece, moja miseczka ryżu z tłustym rybim mięsem na wierzchu. Przewrócone krzesło nadal leżało pod ścianą.

Wyglądniawszy postanowiłam skubnąć trochę ryżu. Sięgając po łyżkę, zobaczyłam, że obu węgorzom, leżącym w stężonym tłuszczu na środku stołu, brakuje brzuchów. W ich oczodołach urzędowały już muchy.

W tej samej chwili czarny parchaty kot o żółtych oczach wskoczył z krzesła na stół i zaczął krążyć wokół ryb, odstraszać mnie groźnym syczeniem.

- To wszystko twoje, kotku. Wszystko twoje.

Kusiły mnie frontowe drzwi. Chciałam uciec przed toczącym dom rozkładem wprost w objęcia zewnętrznego świata. Świeże powietrze miało mnie uratować.

Oślepiło mnie jaskrawe światło dnia. Powietrze wypełniała symfonia ptasich śpiewów i cykania świerszczy. Dopiero po chwili uderzył mnie przerażający widok. Z portyku zwisały dwa trupy - mężczyzny i psa, tyle że z zamienionymi głowami. Oba ciała wisiały horyzontalnie, z kończynami wysoko w górze. Kałuże krwi na podjeździe krzepły już na brzegach.

Krzyknęłam przeraźliwie.

Taro pojawił się nieoczekiwanie. Skoczył ku mnie, zamknął mnie w ramionach i kopniakiem zamknął drzwi.

- Nie miałaś ich zobaczyć - powiedział.

Spojrzałam na niego i stanęła mi przed oczami łagodna twarz człowieka, którego miałam poślubić, mojego prawdziwego narzeczonego, nie tego oszusta, nie tego mordercy.

- Danielu! - wrzasnęłam najgłośniejszym głosem, na wypadek gdyby był w pobliżu i mógł mnie usłyszeć, gdyby przetrzymywali go w spiżarni albo w skrzydle dla służby, gdyby nadal wyczuł w moim głosie miłość.

Podpułkownik Rukumoto wymierzył mi cios w twarz wierzchem dłoni. Nie pamiętam, co było dalej.

Minęły tygodnie. Może miesiące. Tego nie wiedziałam. Monsun nadciągnął ospale i równie ospale minął. Potem nadszedł Nowy Rok. Upływ czasu zauważyłam tylko dlatego, że najpierw trwały w nieskończoność parne dni z biblijnymi potokami deszczu, potem wybuchaly petardy, a niedługo po nich zapadła cisza.

Na co dzień podstawą egzystencji było ciało. To ono trzymało mnie przy życiu. Nie moja inteligencja, nie mój hart ducha, nawet nie moja zdolność widzenia duchów, nawiasem mówiąc, zupełnie bezużyteczna w domu, którego duchy ze strachu nie nawiedzały. W ciągu dnia Taro trzymał mnie pod kluczem. Pilnowały mnie jego milczące zbiry. Póki nie uciekałam się do podstępów i nie kontaktowałam ze światem zewnętrznym, mogłam spędzać czas wedle uznania. Co wieczór wzorem staroświeckich biznesmenów Taro wracał do mnie i do swoich wyobrażeń o domowym zaciszu klasy średniej. Mną uśmierzał swój ból. Działałam na niego lepiej niż sake.

Zaczęłam wyglądać jego powrotu. Tęskniłam za rozmową. Oczywiście miała ona swoją cenę. Wkrótce przywykłam do tego handlu wymiennego. Seks stał się dla mnie sposobem na zabicie czasu, ucieczką od teraźniejszości i zapomnieniem. Uciekałam w swoje ciało.

Seks był też sposobem na przetrwanie. Co noc machinalnym aktem zdjęcia ubrania kupowałam sobie - i nieszczęsnemu Danielowi - kolejny dzień wolności i życia. Za każdym razem, gdy nie spełniłam oczekiwań swojego prześladowcy, ten przywoływał imię Daniela - oczywiście mimochodem, ponieważ wystarczyło jedno polecenie i Daniel zniknąłby z powierzchni ziemi. Tymi drobnymi cierpkimi wzmiankami Taro zapewniał sobie moje posłuszeństwo. Nie zawsze był brutalny. Często okazywał zaskakującą, modelową wręcz delikatność, a w wiadome dni miesiąca, kiedy nie mógł mnie mieć, zadowalał się obserwowaniem mnie przy jedzeniu, podczas kąpieli, gdy spałam czy każdej innej codziennej czynności. Nie interesowały go moje pragnienia ani opinie. Dla niego byłam ciekawym okazem, żywą maskotką, przedmiotem.

Im bardziej przyziemną czynność wykonywałam, tym większą przyjemność czerpał z obserwacji. Nauczyłam się nie wpadać w panikę, gdy zakradał się do łazienki i patrzył, jak myję zęby. Sprawiał wrażenie, jakby był świadkiem najbardziej frapującego widowiska na ziemi.

Nazywał mnie swoją żoną. W oczach młodszych oficerów pojawiających się w rezydencji za taką nieoficjalnie uchodziłam, chociaż zwracali się do mnie *okasan*, czyli „matko”. Taro nigdy nie pokazywał mnie światu, nie zabierał na przyjęcia. Jako zdeklarowany tradycjonalista uważał, że świat domowy i świat pracy nie powinny się mieszać. Nigdy nie pozwolił mi wyjść poza teren rezydencji, a kiedy już wychodziłam z domu, pilnował mnie uzbrojony kretyn z kamienną twarzą i dłonią na rękojeści pistoletu.

Pocieszałam się myślą, że dzielę los z uwięzionym Danielem, Li i tatą, chociaż tutaj wszelkie podobieństwa się kończyły. Owszem, harowałam jak niewolnica, sprzątając cały dom, lecz Taro zapewnił mi wszelki możliwy



podczas wojny komfort - prócz brylantów i foie gras. Mieliśmy klimatyzację. Jedliśmy wołowinę. Przywoził mi wino, a nawet koniak, czekoladę oraz książki. W ten sposób udawał, że ma duszę. Nie wymagał ode mnie gotowania. Naszym kucharzem został jeden z jego sługusów, osiemnastoletni chłopak z Kobe, którego rodzina prowadziła tawernę. Moich epikurejskich ofiar oczekiwał wyłącznie w sypialni.

Nie było dnia, żebym nie myślała o Danielu, Li i tacie. Martwiłam się nawet o Kennetha i jego wesołą kompanię w lesie. Jak ci zwykli ludzie mogli walczyć przeciwko bombom? Dobrze wiedziałam, że jako „żona” Taro nie mogę wymawiać imienia swojego narzeczonego. Już moje pytania o możliwość spotkania z Li i tatą Taro kwitował lodowatym milczeniem, jakbym powiedziała coś tak plugawego, że brakło mu słów, i że swoją bezmyślnością naruszyłam święte reguły naszego związku. Wykorzystywał to jako pretekst do upicia się. A z pijanym Taro nie dało się negocjować. W takim stanie nie cenił rozmowy i zamieniał się w brutala.

Kilka razy dziennie spoglądałam w lustra w poszukiwaniu duchów. Nigdy ich nie widziałam. Złapałam się na tym, że modłę się o ich powrót, nawet ducha pana Wee, który miał wszelkie powody, by mnie nienawidzić. Chciałam wydobyć od nich informacje ze świata zewnętrznego i namówić, żeby przeraziły moich prześladowców. Potrzebowałam sprzymierzeńców, swojej armii, jak to ujął Issa.

Och, Issa. Bałam się nie tego, co trzeba. Tamte obrazy z cmentarza zostały przyćmione okropieństwami, jakich niedawno byłam świadkiem. Jak mogłam naprawić swoje tchórzostwo, skoro nie pozwalano mi nawet wyjść na ulicę, a co dopiero mówić o powrocie na Zakazane Wzgórze?

Któregoś ranka, podczas mojej więziennej przechadzki, to znaczy codziennych okrążeń wokół rezydencji, zaświtała mi w głowie pewna myśl. Inspirację zawdzięczałam intensywnej czerwieni róż po deszczu. Ich widok przypomnieli mi ogród różany w Szanghaju. Siostra Kwan twierdziła, że róże zabarwiły się od krwi martwych dzieci.

- Oczywiście - szepnęłam do siebie, gdy pomysł się skonkretyzował. Moi dwaj młodzi strażnicy obrzucili mnie uważnymi spojrzeniami.

- *Okasan?* - odezwał się niższy i miłszy z nich.

- Przestań mnie tak nazywać, dobrze? Nie jestem twoją przeklętą matką.

- Ależ, *okasan*...

Zrzuciłam pantofle i zesłam z betonu na grząskie podłoże. Żołnierze Wymienili zaniepokojone spojrzenia, próbując odgadnąć mój następny krok.

Nigdy dotąd nie zbaczałam z betonowej ścieżki i nigdy się do nich nie odzywałam.

- Co robisz? - zapytał wyższy i surowszy z nich, biorąc się pod boki.

Skoczyłam do najświeższego kopca za krzewami róż. Dla mnie był oczywistym znakiem niedawnego pochówku. W tym miejscu ziemia jeszcze ugięła się pod stopami.

- Przyłączycie się? - zapytałam.

Ich przerażone twarze potwierdziły moje przypuszczenia. W tym miejscu leżeli zamordowani mężczyźni. Nie było to wprawdzie uświęcone serce żadnego cmentarza, nie znałam też słów zaklęć Issy, lecz improwizacja była lepszym wyjściem niż bierność. Nie miałam nic do stracenia. Obaj żołnierze naradzali się gorączkowo, gdy zaczęłam rozpinać bluzkę.

Ten bardziej srogi, mając w pamięci rozkaz Taro zakazujący używania przemocy wobec mnie, warknął zde gustowany:

- *Okasan*, zostań na ścieżce! Nie chcemy, żeby przytrafiło ci się coś złego!

- Coś złego? Chodzi ci o to? - Padłam na ziemię, błoto oblepiło mi spódnicę i golenie. Podwinęłam nogi jak Issa na tamtym cmentarzu i zrzuciłam bluzkę.

Ujrzawszy mnie w samym staniku, ubłoconą, chłopcy wpadli w panikę.

- *Okasan*, masz słuchać poleceń!

Chwyciłam gałąź i zaczęłam odgarniać nią grudy ziemi wokół mnie. Wymarowałam błotem twarz, szyję, ramiona i piersi. Mineralny, żywy zapach ziemi i myśl o zakopanych ciałach przyprawiały mnie o mdłości, mimo to grałam z duchami niczym dziecko robiące babki z piasku. Nie miałam wyjścia.

- Przybądźcie i dołączcie do mnie!

Nie przerywałam, aż śmiertelnie poważny służbista popędził do rezydencji. Domyśliłam się, że ma zamiar zadzwonić do Taro. Jego milszy towarzysz został, by mnie obserwować.

- Proszę, *okasan* - odezwał się błagalnie. - Przestań. Isamu-san chce cię zastrzelić.

Żołądek podszedł mi do gardła, ale nie przestałam się uśmiechać.

- Nie możemy cię tknąć, *okasan*. Taki mamy rozkaz. - Zachowywał bezpieczny dystans, stojąc na skraju betonowej ścieżki, jakby poza nią była tylko płynna lawa. - My cię tylko pilnujemy. Dla twojego bezpieczeństwa.

Zamknęłam oczy i odłączyłam się od świata. Musiałam działać szybko, chociaż było raczej mało prawdopodobne, żeby Isamu zastrzelił żonę swojego przełożonego za niezrozumiałe harce. Chwyciłam gałąź w obie dłonie i zaczęłam wiosłować. Lewa, prawa, lewa, prawa - dokładnie tak jak

wiosłowałam na grobie ojca Issy. Wiedziałam, że brakuje mi pewnych elementów, musiałam jednak spróbować jak na plantacji czy z duchem pierwszej pani Wee. Koniec z biernym przyglądaniem się wojnie. Najwyższy czas skrzyknąć duchy.

- Wybaczcie - szepnęłam do zakopanych ciał.

Nie znając zaklęć Issy, przywołałam z zakamarków pamięci wszystkie modlitwy, jakie słyszałam w dzieciństwie. Intonowałam pod nosem ten wielorodny katechizm w nadziei, że zwyczajowe brzmienie modlitw stanie się językiem transu. Zadanie okazało się trudniejsze, niż myślałam. Nie byłam w spowitym ciszą sercu cmentarza, a mój strażnik nie przestawał powtarzać głosem zniekształconym przerażeniem:

- Nie, *okasan!* Proszę, przestań... Nie!

Odcięłam się od wydawanych przez niego dźwięków.

Lewa, prawa. Lewa, prawa. *Amitabha, Amitabha. Om, om, om. Ojciec nasz, któryś jest w niebie, święć się imię twoje... Nie wódź nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego.* Lewa, prawa. Lewa, prawa. Lewa, prawa. *Allahu Akbar, Allahu Akbar, Allahu Akbar...*

Wiosłowałam coraz szybciej. Intonowałam coraz szybciej, z całych sił zaciągając powieki, odgradzając się od świata. Do powrotu Isamu zostało tylko kilka minut.

Skupiłam się. Myślałam o zamordowanych mężczyznach pode mną, chłonełam ich oburzenie, ich wstrząs, ich strach. Wiedziałam, że poczuję też ich ból tak, jak żadna inna żyjąca dziewczyna.

Lewa, prawa, lewa, prawa, lewa, prawa...

Ziemia zadrżała wcześniej, niż oczekiwałam. A może to morskie fale? Otworzyłam oczy.

- *Okasan!* - Młody żołnierz stał, jakby nogi wrosły mu w ziemię, i patrzył na mnie przerażony, z wyciągniętymi przed siebie rękami. Nie wiedziałam, czy nakazuje mi spokój, czy chce, żebym trzymała się od niego z daleka. Wstrząsy nie ustawały, lecz gdzie była woda? Gdzie był badi?

Próbowałam wstać, poślizgnęłam się jednak na mokrej ziemi i upadłam na plecy. Nogi mi ścierpły, były miękkie i słabe. Z wierzchniej warstwy ziemi rozchodziło się ciepło w postaci widzialnych smużek pary.

Coś się działo.

Kilka metrów ode mnie spod ziemi wyłoniły się palce, potem cała dłoń o poszarzałej skórze i paznokciach szerniałych od śmierci. Ten widok budził we mnie wstręt, a jednocześnie wprowadził w radosne podniecenie. Moje wezwanie okazało się skuteczne.

Ujrzałam więcej palców i drugą dłoń. Obie dłonie szukały teraz oparcia na powierzchni ziemi, zginały się i poruszały, jednocząc siły. Dwie ręce są lepsze niż jedna. Nastąpiło potężne odepchnięcie i spod ziemi wychyłała głowa zjawy wraz z ramionami.

Nie było to jednak widmo martwego człowieka. Zobaczyłam gładki czarny łeb Agnes wieńczący tułów pana Wee.

Krzyknęłam. Byłam świadkiem potwornych narodzin - odrażających, a jednocześnie fascynujących. Czy to możliwe, żeby Agnes była moim badi?

Stwór powoli wydobył się z ziemi i stanął na czterech kończynach. Jego ubranie pokrywały robaki, mchy i błotniste wody płodowe. Wyczuwszy światło słoneczne i powietrze świata żywych, otworzył ciemnobrązowe oczy i spojrzał na mnie. Bez niechęci. Obojętnie. Nie rozpoznał mnie.

Potem otworzył szeroko pysk, szerzej niż to możliwe u żyjących stworzeń. Zęby miał nie psie, lecz ludzkie, tępe, kwadratowe, obwiedzione brązowym śluzem. Wysunął czarny lśniący język.

- Agnes...

To imię poruszyło jakąś strunę w sercu stwora, który zamknął potężny pysk i przysiadł na nogach pana Wee, teraz bardziej upodobniony do człowieka niż do psa.

- Jesteś badi? - zapytałam. - Pomożesz mi? Błagam, pomóż. Stwór przechylił łeb, jakby starał się mnie zrozumieć. Na próżno.

- Możemy wygrać tę wojnę. Pomóż mi, Agnes.

Odskoczył na dźwięk tego imienia warczący, urażony. Schował się za krzewy różane, gdzie stanął z założonymi rękami niczym niezadowolony nauczyciel.

- Momoko! - usłyszałam znajomy głos.

Odwróciłam się i zobaczyłam swojego „męża”. Taro oderwał się od swoich strażników i dziarsko skoczył w błoto. Zawołałam do człowieka-psa:

- Powstrzymaj go, Agnes. Zrób to dla mnie. Proszę!

Stwór zaczął się wycofywać. Nie chciał kontaktu ze mną w obecności Taro.

- Agnes, nie uciekaj! - Odwróciłam się do Taro. - Widzisz to? Wymierzył mi siarczysty policzek. Niczego nie widział.

Dzieliłam uwagę między Taro i ducha. Jeden nadszedł, drugi odchodził. Rozgorączkowana układałam w myślach możliwe scenariusze. Mogło się wydarzyć wszystko, skoro był ze mną mój badi. Ciągle miałam nadzieję. -Ciągle miałam czas. Mogłam jeszcze wszystko uratować.

- Agnes, wracaj! Proszę!

Taro wymierzył mi drugi policzek. Człowiek-pies czmychnął na czterech nogach za róg rezydencji i zniknął.

Eksperyment się nie udał. Poniosłam klęskę. Zamiast przywołać armię, uwolniłam ducha, monstrum, potwora. Nie potrzebowałam Issy, by wiedzieć, że poniosę konsekwencje.

- Jesteś bezwartościowa - powiedziałam do siebie. - Bezwartościowa. Taro przyznał mi rację.

- Przyniosłaś mi wstyd. - Poglądził mnie, w które mnie uderzył, i dodał łagodniej: - Chłopcy myśleli, że straciłaś rozum. Od dzisiaj koniec ze spacerami. Dla twojego bezpieczeństwa.

Pewnego wieczoru zjawili się goście. Póki mi nie powiedziano, że przyjęcie odbywa się z okazji jesiennego przesilenia, nie miałabym pojęcia, że minęło już dziesięć miesięcy, ponieważ na Czarnej Wyspie widziałam tylko dwie pory roku: deszczową i bezdeszczową. Zniosłam już dziesięć miesięcy wstydu.

Taro, jak zwykle w obecności innych trzymał się blisko mnie, by wyjaśniać mi zawłóci zwyczajów swoich rodaków. Widziałam w nich zniekształconą wersję chińskich obyczajów i tradycji, rozbudowanych o sztywny ceremoniał, bardziej fanatyczne przywiązanie do hierarchii i silniejsze opętanie śmiercią. To przyjęcie potwierdziło moje obserwacje.

Każdą twardą płaską powierzchnię w salonie zajmowały świece. Na podłodze siedziało w kręgu dwudziestu żołnierzy w mundurach. W blasku świec ich chłopięce twarze wydawały się jeszcze gładsze.

- To starożytna gra w opowiadanie historii - szeptem wyjaśnił mi Taro. - Chłopcy błagali mnie, żebym pozwolił im się w to zabawić, ale kazałem im czekać do bezksiężycowej nocy. Nastrój jest wtedy bardziej sprzyjający.

Przysunęliśmy się do drzwi, żeby stamtąd dyskretnie obserwować rozwój wydarzeń. Chłopcy zaczęli nerwowo chichotać, może nabrali wątpliwości po ujrzeniu krwawiącego Chrystusa nad kominkiem. Za późno. Ceremonia zaraz się rozpoczęła i Taro - jeśli nie Chrystus - miał ich oceniać.

- Gra zaczyna się od stu świec. Każdy opowiada jedną historię o duchach, krótką, taką jak bajki Ezopa, tyle że bez moralizowania. Potem zdmuchuje jedną świecę. I tak po kolei. Legenda głosi, że kiedy gaśnie ostatnia świeca i w pokoju zapada ciemność, pojawia się duch.

Duch? Prócz tamtej nieudanej próby ich przywołania zmarli więcej się nie pojawili. Byli na to zbyt mądrzy.

- Wierzysz w duchy? - zapytałam,

Uśmiechnął się.

- Nie psuj nastroju.

Szczupły chłopiec o powierzchowności wzorowego ucznia chrząknął. Rozmowy ucichły. Ochoczo zabrał głos, opowiadając swoją historię z powagą wiejskiego gawędziarza. Taro uśmiechał się i pokręcił głową, ale nie przetłumaczył ani słowa. Skończywszy opowiadać, chłopiec wciągnął powietrze i zdmuchnął świecę stojącą najbliżej niego, jego towarzysze nagrodzili go uprzejmymi oklaskami.

- Co opowiedział? - zapytałam Taro.

- Mit o starej kobiecie, która biega dokoła i szuka brakującej ręki. Historia z teatru no. Dosyć dziecinna według mnie.

Drugi i trzeci chłopiec opowiedzieli swoje historie i zgasili świece. I znowu Taro ich dla mnie nie przetłumaczył. Zaczęłam się niecierpliwić.

- Botan Doro - oznajmił, gdy głos zabrał czwarty chłopiec. - Opowiada historię Piwoniowej Latarni. Znasz ją? Wywodzi się z Chin. Wstrząsająca, ale źle skonstruowana, jak zresztą większość chińskich opowieści.

Zgasła czwarta świeca. Zapowiadała się wyjątkowo długa noc, jeśli Taro uparcie nie zamierzał tłumaczyć mi kolejnych historii. Cofnęłam się, zamierzając pójść na górę, ale złapał mnie za rękę.

-Zaczekaj - rzucił, przysłuchując się początkowi opowieści piątego chłopca. Na jego twarzy pojawił się uśmiech aprobaty. - Historia Kiyohi-me. - Wśród słuchaczy wyczułam ekscytację. Oni także nastavili uszu.

- Kiyohime była córką właściciela wiejskiej gospody - zaczął Taro. - Co roku zatrzymywał się w niej przystojny młody mnich Anchin podczas swojej corocznej pielgrzymki do sanktuarium. I co roku Kiyohime zakochiwała się w nim coraz bardziej. W końcu któregoś roku nie wytrzymała i wyznała mu swoje uczucia. Przeraził się. Był przecież mnichem. Uciekł od niej do swojego klasztoru, bo ujrzał w jej oczach szaloną żądzę. Rozgniewana Kiyohime ściagała go bez wytchnienia, aż zatrzymała się nad brzegiem rzeki Hidaka, którą on zdążył już pokonać łodzią. Wściekłość Kiyohime narastała, aż dolna część jej ciała przemieniła się w węża morskiego, dzięki czemu przepłynęła na drugi brzeg. Kiedy mnisi w klasztorze ostrzegli Anchina, że Kiyohime się zbliża, ten ukrył się pod ogromnym świątynnym dzwonem z brązu. Kierując się instynktem węża, Kiyohime odnalazła go bez trudu i owinęła swoje wężowe ciało wokół dzwonu. Ponieważ gotowała się z wściekłości, stopiła dzwon, zabijając Anchina i siebie, i łącząc się z nim na wieczność.

Taro bił brawo najgłośniej. Opowiadający pokraśniał z radości i skłonił nisko głowę. Pozostali odwrócili się w naszą stronę, patrząc na podpułkownika.

Niezmiernie rzadko widywali go zadowolonego. Dobrze wiedziałam, jak rzadko.

- Teraz możesz iść, jeśli chcesz - powiedział, gdy rozpoczęła się szósta opowieść. - Ja zostanę, żeby się przekonać, który z moich chłopców zacznie lamentować jak dziewczyna przed końcem zabawy.

Poszłam na górę i przygotowałam się do snu. Co kilka minut z dołu dobiegały oklaski. Czekałam na piski i okrzyki przerażenia, domyślałam się jednak, że nastąpią one po ostatniej opowieści. Zasnęłam, zanim przyszedł Taro.

Jakiś czas później obudziłam się gwałtownie. Nadal byłam sama. W pokoju panował mrok bezksiężycowej nocy. Z dołu nie dochodziły żadne dźwięki. Czy gra dobiegła końca? Zapaliłam nocną lampkę stojącą przy łóżku.

W pokoju zobaczyłam mężczyznę. Siedział na podłodze ze skrzyżowanymi nogami. Był straszliwie wymizerowany.

Tata!

Był na tyle blisko, że mógł mnie dotknąć kościstą ręką. Bałam się, że naprawdę to zrobi. Nie chciałam poczuć kruchości i słabości tej dłoni, która kiedyś miała energię, by mnie uderzyć. Czy to Taro przywiózł go na spotkanie ze mną? Jeśli tak, to moje oddzielne światy znowu się spotkały.

- Moja ukochana córeczko - zwrócił się do mnie melodyjnym szanghajskim wprost z naszego utraconego świata. Wymówił te słowa tak, jakby to był nasz prywatny język, znany wyłącznie nam, lecz jego głos zabrzmiał przerażająco głucho. - Umarłem.

Dopiero po chwili dotarło do mnie ich znaczenie.

- Nie płacz, moja droga - przemówił z życzliwością, jakiej nie zaznałam od niego od dzieciństwa. - Robiłaś, co mogłaś, wiem o tym. Ulżyło mi, że znów cię odnalazłem.

- Co oni ci zrobili?

- Tamtego popołudnia, kiedy widziałaś, jak nas zabierają, wtrącili nas do więzienia Queenstown. Doszły ich słuchy, że na naszym osiedlu mieszkają chińscy buntownicy. Te pogłoski były prawdziwe. Twój brat był jednym z nich. Dzielny chłopak. Nikt z uwięzionych niczego nie zdradził, więc zawiązali nam oczy i dokądś wywieźli. Wiem tylko, że to była plaża, ponieważ czułem zapach morza i piasek pod stopami. Morze było bardzo spokojne, fale Piskały cichutko, to brzmiało jak szepty dzieci, które wiedzą, że nie można Przeszkadzać dorosłym w rozmowie. Potem kazali nam wejść do wody. Mywałem, że każą nam pływać, aż opadniemy z sił i utoniemy, ale to by za długo trwało. Poczulem, że woda sięga mi do kolan, a potem... zastrzelili nas.

Żołądek podszedł mi do gardła.

- Li był z tobą?

- Właśnie to chciałem ci powiedzieć. Nie zabrali go. Widziałas, że ostatnio skóra mu pociemniała. Pamiętał wiele słów i zdań z naszych czasów na plantacji. Przekonał ich, że jest Malajem. Sprytny chłopak. Wypuścili go. Dziwne, jak coś, co nas zawstydzia, czasem wraca, by przynieść ocalenie.

Dzięki Bogu Li posłuchał mojej rady.

- Tyle jeszcze chcę ci powiedzieć, ale tracę siły. Muszę się spieszyć, Li ocalał dzięki sprytowi, niestety szczęście go opuściło. W zeszłym tygodniu dwaj żołnierze złapali go na kradzieży pierożków. Pierożków! Wyobrażasz sobie? Wiesz, że musi się dobrze odżywiać. Zamknęli go w Shahbandarze i jego anemia bardzo się nasiliła. Musisz go ratować. Odwiedź go przynajmniej, nakarm, upewnij się, że wszystko z nim dobrze.

- Ale mnie trzymają tu pod kluczem! Nie widzisz tego? Ja też jestem więźniem.

- Błagam cię. W tobie cała jego nadzieja... - Jego głos zanikał. - Nasza rodzina...

Drzwi sypialni się otworzyły i kiedy odwróciłam głowę, tata zniknął bez pożegnania. Teraz żałowałam, że nie dotknął mnie kościstą dłonią. Po śmierci był bardziej łagodny i współczujący niż za życia. Poczułam się porzucona, okradziona z naszych ostatnich słów.

Do pokoju wszedł Taro. Cuchnął sake. Już się rozbierał, gdy zorientował się, że nie śpię i lampka jest zapalona. Nie widział wyraźnie mojej twarzy i łez.

- Nie możesz spać? Tak się przejęłaś opowieściami o duchach? - Z westchnieniem opadł na łóżko, rzucając koszulę na podłogę. - Mam nadzieję, że taka rozsądna kobieta jak ty nie wierzy w podobne bzdury. A teraz zgaś światło.

Posłusznie wyłączyłam lampkę i omiotłam spojrzeniem ciemny pokój w poszukiwaniu taty. Na próżno.

- Jak skończyła się gra? - zapytałam.

- Nic się oczywiście nie wydarzyło, a oni i tak zachowywali się jak przestraszone maminsynki. Jeden z chłopców, Takara, zaklinał się, że widział chmurę białego dymu płynącą po schodach na górę. „Taką jak wata?” - zapytałem go. „Nie, panie, odpowiedział. Taką jak oddech zimową nocą”. - Taro urwał na chwilę, po czym roześmiał się i dodał: - Jutro pošlę tego głupca na wartę do dżungli. Samego!

Czekałam, aż ułoży się wygodnie na poduszce, po czym zaczęłam gładzić jego pełen wołowiny i sake brzuch.



- Twoje ręce! - krzyknął i odepchnął je gwałtownie. - Są zimne jak u trupa!  
Oparłam głowę na jego piersi. Moje łzy spłynęły mu na skórę.  
- O co ci chodzi? - zapytał szorstko.  
- Tęsknię za bratem.  
- Skąd nagle to ckliwe przedstawienie?  
- To już za długo trwa. On mnie potrzebuje. Taro zachichotał lubieżnie.  
- Potrzebuje akurat ciebie?  
- Nie jest zwyczajnym bratem. To mój bliźniak. Nie zrozumiesz tej więzi, jeśli nie masz bliźniaka. Nie mógłby z nami zamieszkać? Jest dobry, bardzo dobry. Obiecuję, że nie przysporzy kłopotów.  
- Jak dobry? Powinienem go zdeprawować? Złapałam go za ramię.  
- Jeśli za długo będziemy rozdzieleni, rozplniemy się, znikniemy.  
- Widzę, że przejęłaś się tymi historiami. Ludzie nie są duchami, Momoko, nie rozpliwają się i nie znikają. - Odwrócił się na bok i ziewnął. - Jestem wykończony. Porozmawiamy o tym rano.

\* \* \*

Tak jak się obawiałam, rano nie było żadnej rozmowy.

Taro uznał, że zmiana otoczenia dobrze mi zrobi i wywiózł mnie do posiadłości na plaży. Skwapliwie przyjął „ofertę” pana Wee i uznał dom za swoją własność. Wnętrza kazał urządzić w japońskim stylu. Na podłogach leżały tatami, wszędzie wisiały pogrzebowe lampiony z białego papieru. Zasłony w orchidee zostały zastąpione bambusowymi roletami w tym samym mdłym odcieniu co maty. Drogie krzesła, stoły, sofy rodziny Wee wylądowały w ognisku. Dom, który kiedyś był idyllicznym schronieniem, stał się surowym pustym więzieniem, pozbawionym miękkich sprzętów i luksusu.

Przez okno zobaczyłam leżące na ziemi setki przejrzałych papai, z których zostały tylko pomarańczowe rozbryzgi i bajorka. Taro uważał pewnie, że tropikalne owoce są niegodne jego podniebienia i zakazał swoim ludziom zbierania ich. Zagotowałam się z oburzenia na takie marnotrawstwo. Gdzie indziej na Wyspie porządni ludzie przymierali głodem.

- Wypoczywaj - powiedział Taro na odchodnym, zostawiając mnie w Pustym pomieszczeniu, które kiedyś było salonem. - Przyjadę, kiedy ci się polepszy,

- Jak długo mam tu zostać?

- To zależy wyłącznie od ciebie, Momoko.

Szybkim krokiem ruszył do samochodu. Czterech jego podwładnych z obojętnym wyrazem twarzy utworzyło między nami żywy mur. Nie oglądając się za siebie, mój „mąż” odjechał. Żołnierze ani drgnęli, póki terkot silnika nie ucichł, zagłuszony szumem fał. Dopiero wtedy ożywili się, zrzucili czapki i buty, rozpięli bluzy i zaczęli biegać po domu jak rozbrykane dzieci, nie zwracając na mnie uwagi.

Wysłałam za nimi na tylną werandę. Patrzyłam, jak bieżą jeden za drugim do wody, rozbierając się po drodze do samych przepasek biodrowych.

Upłynęły miesiące od czasu gdy brzeg zasłały meduzy. Zastanawiałam się, czy to właśnie ci chłopcy je uprzętnęli, czy zajęła się tym natura. Bez względu na to, kto zrobił porządek, plaża wyglądała nieskazitelnie.

Chłopcy zbliżyli się do mężczyzn stojących już w szeregu nad wodą. Na liczyłam ich trzydziestu. Mieli na sobie cywilne ubrania, bosymi stopami dotykali morskiej piany. Nie byłam tu jedynym więźniem.

Ale tylko ja żyłam. Mężczyźni na plaży byli duchami.

Szukałam wśród nich taty. Na próżno. Widocznie rozstrzelano mnóstwo ludzi na wielu innych plażach. Utracone dusze spoglądały przed siebie na bezmiar morza, niczym pomniki własnej śmierci. Dla kogo tak stały, nie wiedziałam. Ich męczeńska śmierć miała przejść niezauważona, póki nie pojawi się więcej ludzi widzących to co ja.

Ich osamotnienie głęboko mnie poruszyło. Śmierć bez powodu, śmierć bez spuścizny.

Poszukałam wzrokiem chłopców. Ochłodziwszy się w wodzie, czterej prawie nadzy żołnierze zaczęli zagarniać mokry piasek i przesuwać go dalej od brzegu. Tam, poza zasięgiem fal, zajęli się formowaniem sobie tylko wiadomych kształtów. Od czasu do czasu biegli do wody, nabierali jej w dłonie i polewali swoje rzeźby.

W końcu z piasku wyłoniły się naturalnych rozmiarów kobiety. Każda w innej pozie. Każda z wszystkimi szczegółami anatomicznymi, tyle że z nadnaturalnie wielkimi piersiami - wytworami dziwacznych fantazji. Im bardziej przypominały żywe kobiety, tym bardziej podnieceni byli ich twórcy. Jedna trzymała ręce za głowę, druga miała szeroko otwarte usta. Dwie z nich siedziały, dwie leżały, ale łączyło je jedno: bezwstydnie rozłożone nogi.

Chłopcy zaczekali, aż najwolniejszy z nich ukończy swoje dzieło, po czym przyjrzeni się swojemu haremowi. Oceniali nawzajem swój kunszt, wymieniali krytyczne uwagi, ale kiedy jeden z nich polizał środkowy palec

wepchnął go w krocze piaskowego fantomu leżącej kobiety, rozmowy ucichły-  
W milczeniu zdjęli przepaski. Ogarnięci kontemplacyjnym, wręcz religijnym  
nastrojem, zaczęli dotykać się i pieścić, aż do stwardnienia. Każdy z nich położył  
się albo usiadł okrakiem na swojej wymaginowanej kochance. Trzy nimfy  
wytrzymały zaledwie kilka pchnięć swoich zalotników, po czym ich uda  
rozsypały się i zamieniły w górkę piasku. Tylko leżąca piękność, namaszczona  
palcem swojego stwórcy, pozostała nietknięta. Powstała z wilgotniejszego  
materiału. Ale nawet ona rozpadła się po paru minutach używania. To nie  
powstrzymało chłopców przed całowaniem i pieszczaniem jej resztek, aż po  
donośne paroksyzmy orgazmów na piasku.

Tego wieczoru po kolacji jeden z chłopców wpadł zaaferowany do domu z  
zapiaszczonymi stopami. Reszta pobiegła za nim na plażę z niedowierzaniem w  
oczach. Przemknęło mi przez głowę, że może piaskowe nimfy ożyły. Wszystko  
stało się jasne, gdy wyszłam z domu. Na plażę wróciła ośmiornica.

Nie było mowy o pomyłce. To był morski kochanek pani Nakamury,  
przyniesiony na brzeg falą przyływu. Nieszczęsny zalotnik, bardziej szary niż  
purpurowy, mimo różowej poświaty zachodzącego słońca, tkwił na wąskim  
skrawku linii brzegowej. Osiem ramion pulsowało i gięło się pracowicie, wolno  
przemieszczając *masywny* tułów po piasku, a wielkie oczy omiatały brzeg w  
poszukiwaniu ukochanej sylwetki. Cóż za stałość uczuć, coś za nieustraszonosc!

Podeksytowani chłopcy popędzili do domu. Wrócili ze strzelbami, na końcu  
których błyskały bagnety.

- Nie, proszę, -nie! - wrzeszczałam przeraźliwie, gdy maszerowali na plażę.  
Znowu mnie zignorowali. Zagrzewali się wzajemnie bojowymi okrzykami, aż do  
zdarcia gardeł.

Chwilę później ośmiornica też wydała okrzyk niczym Cezar, gdy cztery ostrza  
zagłębiły się w jej ciele. Ten okrzyk brzmiał jak wysoki gwizd, odgłos pociągu  
towarowego w nocy, rozpaczliwy, niepowstrzymany, posepny. Ginał kolejny  
romantyk, zamieniony w jednej chwili w krwawe strzępy i galaretowatą masę. Z  
tułowia ośmiornicy wyciekały czarne linie, wyglądały jak list miłosny pisany na  
piasku, ale atrament rozmazał się i zniknął, gdy spłynął do męczenników  
stojących po pas w wodzie.

W końcu morze zabrało wszystko. Zagarnęło duchy, ośmiornicę i piaskowy  
harem. Prócz fal nic nie pozostawiło po sobie śladu.

Prócz śladu w mojej pamięci.

Taro wrócił bez uprzedzenia dwa miesiące później. Poruszał się sprężysto, jakby z dala ode mnie odżył.

- Świeże powietrze dobrze ci zrobiło - stwierdził w samochodzie. - Tęskniłaś za mną?

To było podchwytliwe pytanie, ale wiedziałam, co odpowiedzieć.

- Tak.

- A za Danielem?

Na dźwięk tego imienia poczułam ukłucie w sercu.

- Nie.

i - Jesteś ze mną szczerą? -Nie.

Przejechaliśmy kilka kilometrów, zanim znów się odezwał:

- Myślałem o prośbie, jaką wyraziłaś przed wyjazdem. W sprawie twojego brata.

Wyteńczyłam uwagę.

- Co z moim bratem?

- Powiedziałaś, że za nim tęsknisz. Bardzo tęsknisz. Kogo wolałabyś zobaczyć: Daniela czy brata?

Jeszcze bardziej podchwytliwe pytanie. Nie mogłam na nie odpowiedzieć.

- Myślę o wyciągnięciu twojego brata z więzienia. Ale wolność nie będzie mu służyć. Potrzebuje ustalonego porządku. Jest w nim dzikość, którą trzeba poskromić.

- Widziałeś go?

- O tak. Twoje słowa obudziły moją ciekawość. Pomyślałem, że musi być w nim coś magicznego.

- Mógłby zostać z nami? - Natychmiast pożałowałam tych słów.

- Wyciągnę go z więzienia. Na razie tylko tyle mogę obiecać. - Taro wyduł usta.

- Nie robię tego dla niego. To moje ustępstwo wobec ciebie. W tym chłopaku jest ogień. Siedział tam taki chudy i zabiedzony, ale gdy do niego podszedłem, zerwał się i splunął mi w oko.

- Przepraszam za niego. Wybacz mu. - Wargi piekły mnie od własnej służalczości.

Taro odwrócił się do mnie z szerokim uśmiechem, tknięty jakąś zabawną myślą.

- Jak sądzisz, będzie umiał dogadać się z Hindusami?

Li został przydzielony do Szczurzej Brygady. Był jedynym chińskim chłopcem wśród szesnastu Hindusów. Wszyscy pochodzili z biedoty. Zahartowani trudnymi warunkami życia, stali się bezwzględni. Szczurza Brygada miała przeczesywać miasto w poszukiwaniu szczurów, wylapywać je i zwozić do starych magazynów opium nad Black River. Praca była prosta, ponieważ chłopcom nie narzucono żadnych dziennych norm. Wśród nich trwała jednak zażarta rywalizacja o liczbę i rozmiar złapanych szkodników. Pod koniec dnia zwycięzca wygrywał szklanekę mleka sojowego. To był jego lunch.

W poszukiwaniu największych i najlepszych szczurów młodzi łowcy przeczesywali boczne uliczki, nurkowali w stertach śmieci, zakradali się do najbardziej zapuszczonych dzielnic nędzy, nieustannie czujni, by nie dać się porąbać na kawałki chińskim tasakom, malajskim parangom czy rozszarpać zdziczałym psom. Na szczęście dla nich w mieście zostało niewiele czworonogów. Większość skończyła jako posiłek wygłodzonych mieszkańców. Późnym wieczorem chłopcy wracali, by się umyć, zjeść i przespać w kwaterze przypominającej koszary, usytuowanej przy dawnym składzie opium. Byli przecież prawie żołnierzami.

Pomysł utworzenia brygady zrodził się w głowie Taro jako sposób na wyrwanie Li z Shahbandaru. Mimo to trzymał nas osobno. Zabrał mnie na kwaterę, gdy chciał sprawdzić, czy łowcy utrzymują w niej porządek. Była czysta. I wolna od duchów. Nie pozwolił mi jednak zobaczyć brata.

- Doceniam twoją wielkoduszność - powiedziałam, walcząc ze sobą, by nie okazać goryczy - ale czy mógłbyś załatwić mu jakąś pracę przy biurku? Dlaczego nie miałby pracować w naszym domu?

- Wykluczone! Nie chcę go mieć blisko nas.

- On nie jest zakaźnie chory, na litość boską. Ma tylko anemię. Taro pokręcił głową.

- Anemia to nic. Chodzi o szczury. Zupełnie jakby twój brat miał szósty zmysł... do brudu. Dzisiaj usłyszałem, że złapał trzydzieści pięć szczurów. To rekord.

- Co chcesz zrobić z tymi szczurami? Karmić nimi wojsko?

- Nie bądź głupia - prychnął. - Nie jesteśmy dzikusami. Służą nam do badań naukowych.

Tydzień później Taro wrócił do domu uśmiechnięty.

- Myślałem, że to metafora, ale twój brat rzeczywiście zniknął. - Uśmiechnął się jeszcze szerzej. - A tak przy okazji, znalazłem mu pracę przy biurku.

Nazajutrz jeden z jego kierowców wysadził mnie przy wielkim starym magazynie u ujścia rzeki. Kiedyś ten magazyn mieścił biliony funtów indyjskiego opium, ładunku, który z dnia na dzień czynił urzędników krezusami, a Brytanię najbogatszym państwem świata. Zakonnice w mojej szkole zawsze wyrażały się o tej budowli z czcią, ale dopiero gdy stanęłam przed nią jako zakładniczka historii, zrozumiałam, że jest na swój sposób sercem kolonialnego świata, kręgosłupem imperium. Teraz z dachu magazynu zwieszała się olbrzymia japońska flaga, zakrywając większość wyblakłych od słońca liter namalowanych na najszerzej ścianie, układających się w słowa budzące mój sentyment choćby dlatego, że nie były japońskie: KOMPANIA WSCHODNIOINDYJSKA, SPÓŁKA ANGIELSKICH KUPCÓW.

Życie nad rzeką zamarło. Nieliczne stateczki zaopatrzeniowe i płaskodenne sampany chybotwały się smętnie na wodzie, raz po raz trącając dziobami nabrzeże. Wielkie rybie oczy namalowane na każdym dziobie patrzyły na mnie beznamiętnie. Ożywiały się tylko wtedy, gdy po ich rufach biegali kulisi.

Jedyną łodzią sprawiającą wrażenie używanej była łódź motorowa z oczami zamalowanymi czarną farbą - symbolicznie oślepią. Przywiązana liną do trapu prowadzącego na tyły magazynu, kołysała się w rytm terkotania silnika. Na pokładzie nie było nikogo. Przez chwilę napawałam się myślą, że zabiorę stąd Li i ucieknę tą łodzią, ale dokąd mielibyśmy popłynąć w świecie pustoszonej przez wojnę?

Dwaj uzbrojeni strażnicy wprowadzili mnie do magazynu. W przeciwieństwie do ciasnej kwatery łapaczy szczurów, ten był pozbawionym okien hangarem tak ogromnym, że mógł pomieścić sterowiec. Jednak zamiast metalicznego zapachu warsztatu lotniczego unosiła się w nim woń naftaliny i formaldehydu.

W hali stały parawany dzielące ogromną powierzchnię na małe pomieszczenia. Przypuszczam, że zostały ukradzione z domów ludzi z klasy średniej. Na niektórych nadal wisiały duże lustra, zwielokrotniające sylwetki tych, których zobaczyłam. Większość pracowników - jeśli można ich tak nazwać - stanowili ponurzy Japończycy w białych fartuchach. Między sektorami krążyli trzej młodzi Hindusi w skautowskich mundurkach khaki. Pewnie koledzy Li ze Szczurzej Brygady. Ulżyło mi, gdy przyjrzałam im się bliżej. Nie wyglądali na maltretowanych.

Przez gwar ludzkich głosów przebijały się charakterystyczne piski. Tego odgłosu nie można pomylić z niczym innym. To były szczury.

Wskazano mi kąt, w którym pracował Li, oddzielony od innych rzędem drewnianych przegród. Czy ta izolacja była przejawem okrucieństwa

czy wspaniałomyślności Taro? Trudno powiedzieć. Z Taro nic nie było oczywiste.

Na taborecie, pochylony nad blatem, siedział żywy szkielet w mundurze khaki. Podeszłam do niego na palcach i mocno uściskałam, aż poczułam wystające żebra. Przestraszona wypuściłam go z objęć.

- Tak się stęskniłam. Nie pozwalali mi się z tobą zobaczyć.

Li spojrzał na mnie martwym wzrokiem. Pierwszy raz widziałam u niego takie spojrzenie przed wielu laty, w dniu naszych pamiętnych siódmych urodzin. Teraz, jak wtedy, wyglądał na o wiele starszego.

- Zabili tatę - odezwał się.

- Wiem.

W jego oczach pojawiło się przelotne zdziwienie, które ustąpiło innej myśli.

- Więc to prawda. Jesteś jego kochanką. - Zabrzmiało to jak stwierdzenie, nie oskarżenie. Na to Li był za słaby.

- Jestem jego więźniem.

Omiótł spojrzeniem moją świeżo upraną sukienkę i jedwabną apaszkę w kwiaty na szyi.

- Mimo to utyłaś.

Poczerwieniałam z zażenowania. Mówił prawdę. Jadłam, gdy inni głodowali. Miałam szczęście.

Bałam się, że za chwilę usłyszę coś równie kąśliwego i gorzko pożałuję tej wizyty, ale Li przysunął się i szepnął mi do ucha w języku naszego dawno minionego dzieciństwa:

- Wiem, co zrobiłaś. Dziękuję. Już sam twój widok dodaje mi sił.

Po tych słowach wrócił do pracy czekającej na długim obitym aluminium stole.

- Muszę wyrobić dzienną normę. Inaczej nie dadzą mi jeść. Wzdrygnęłam się na widok tej „normy”. To było pięć szczurów. Leżały jeden za drugim, każdy długi na stopę, nie licząc ogona. Na szczęście były martwe.

- Zabiłeś je?

- One tylko śpią. - Włączył lampę i z trudem ustawił jej składane ramię tak, żeby oświetliła gryzonia. Pod wpływem światła ich czarne futerka stały się srebrne. - Muszę zrobić to szybko, zanim się obudzą. Jeśli nie...

Drżącą z wyczerpania ręką sięgnął po zardzewiałą pęsetę, pochylił się nad blatem, a drugą ręką zaczął przeczesywać futerko pierwszego szczura.

- Czego szukasz?

- Pcheł. - Zerknął na mnie przez ramię. - Na twoim miejscu nie stałbym tak blisko.

Zauważył jedną i ostrożnie wyjął ją spomiędzy włosów. W jego kościstej dłoni pęseta sprawiała wrażenie zbyt ciężkiej, ale pcheł się nie ruszała, co ułatwiało zadanie. Włożył czarną kropkę do słoika z wieczkiem, gdzie było już przynajmniej sto innych.

- Wszystkie są martwe?

- Ile razy mam ci powtarzać? One śpią.

- Po co im te pchły?

- Nie wiem, przestałem pytać. Tak jest łatwiej.

Stałam za nim, patrząc, jak pracuje i przeklina za każdym razem, gdy upuścił pcheł. Na koniec umieścił uśpione szczury w metalowej klatce i zamknął klapkę. Zdjął rękawiczki.

- Głowa mi pęka. Oczy mnie pieką. Ręka mi drży. Czuję się koszmaranie. Znowu zamknęłam go w objęciach. Tym razem odwzajemnił ten gest.

Uściskał mnie, ale bardzo słabo. Mój brat umierał.

Spojrzałam w jego wymizerowaną twarz. Wbrew wspomnieniom zaprawionym goryczą nikt nie znał mnie tak dobrze jak Li. Mimo spalonej słońcem skóry, wycieńczenia, wściekłości i rozczarowania nadal był tym samym chłopcem, moją drugą duchową połową, która przepłynęła ze mną ocean i walczyła u mojego boku z tymi samymi demonami. Objąwszy go, poczułam dojmującą samotność wszystkich lat spędzonych w rozdzielaniu.

- Nie całuj mnie - ostrzegł.

- Nie miałam zamiaru.

Odwróciłam się. Dzięki drewnianym parawanom odgradzającym nasz kąt od reszty hangaru byliśmy niewidoczni dla innych. Wyjęłam z torebki nóż do steków owinięty w odkażoną tkaninę.

Li cofnął się na ten widok.

- Przyszłaś mnie zabić.

- Nie, wręcz przeciwnie.

Przeciagnałam ostrze po miękkiej skórze wewnętrznej strony lewego przedramienia. Z rany zaczęły kapać szkarłatne krople. Nie myślałam o bólu. Myślałam o życiu.

- Co ty rob...

Przyłożyłam krwawiące ramię do jego ust, które zabarwiły się na jasną czerwień. Li szarpnął się jak dzika klacz.

- Pij, to twoja jedyna szansa. Jeśli chcesz żyć, pij!



Z jego twarzy zniknęło przerażenie. Prawie niedostrzegalnie skinął głową. Kiedy wziął moje ramię w obie dłonie, zrobił to z zaskakującą siłą, jakby w obawie, że zmienię zdanie i się wycofam. Patrzyliśmy na świeżą krew wypływającą z rany i formującą coraz większą plamę. Jeszcze chwila i zaczęłaby ściekać do łokcia.

Przycisnął wargi do nacięcia. Najpierw oblizał skórę dokoła, by nie uronić ani kropli. Skrzywił się z niesmakiem, ale jego ciało wołało o ozdrowieńczy pokarm i to właśnie ono wygrało. Zobaczyłam na jego twarzy znajomy wyraz skupienia. Do głosu doszła pierwotna potrzeba pożywienia, ucieczki, przemiany. Wyzwał się zahamowań. Nie tylko pił, ssał.

Oparłam się o stół. Przez pięć straszliwych minut bałam się, że Li nigdy nie przestanie.

Po wszystkim ciasno owinęłam ranę gazą, by zatamować krwawienie. Wyraźnie czułam pulsowanie krwi pod opatrunkiem. Li osunął się na ziemię, dysząc ciężko. Zęby i dziąsła miał ubrudzone krwią. Wydawał się bardziej wycieńczony niż wcześniej. Przeraziłam się, że przeze mnie mu się pogorszyło. Powoli uniósł rękę w uspokajającym geście. Nadzieja wstąpiła w moje serce. Ręka Li przestała drżeć.

- Jestem potworem - wyszeptał.

- Nie, wcale nie. - Usiadłam obok niego na podłodze i oparłam mu głowę na ramieniu. - To nie twoja wina, że chorujesz.

Milczał przez dłuższą chwilę.

- A jeśli to moja wina? - zapytał w końcu.

- Co masz na myśli?

Nie odpowiedział. Ponagliłam go delikatnym pocałunkiem w policzek. Odezwał się wreszcie, znowu w dialekcie szanghajskim:

- Muszę ci się do czegoś przyznać.

Poczułam, jak odrętwienie zaczynające się w zranionej ręce, wędruje ku sercu.

- Pamiętasz nasze siódme urodziny? Pamiętasz tamtego starego mężczyznę w parku?

Powoli skinęłam głową.

- Wiedziałem, że tam będzie. Dlatego nalegałem, żeby tam iść. Poprzedniego wieczoru modliłem się do tego kogoś czy czegoś, czekającego tam na nas. Do dzisiaj nie wiem, do kogo czy do czego się modliłem, ale gdy zobaczyłem tamtego starca, wiedziałem, że mnie usłyszał. Modliłem się o wolność. O ucieczkę. Mama mnie faworyzowała, ale wcale nie było mi z tym dobrze. Nie znosiłem, kiedy zarażała nas swoim strachem, bo chciała, żebyśmy stali

się tacy jak ona i dotrzymywali jej towarzystwa w domu, z którego uczyniła swój grobowiec. Ale jako dziecko cóż mogłem zrobić prócz odmawiania modlitw?

Zaczął szlochać. Tacy byliśmy w dzieciństwie: zgodni i zjednoczeni w pragnieniu wolności, a zwłaszcza w naszej nadnaturalnej bezwzględności. Pocałowałam go w ramię.

- Nieważne, czego chcieli w zamian - podjął. - Zrobiłbym wszystko, byle tylko uciec. Wtedy w parku oddałem tamtemu człowiekowi swoje zdrowie.

- Kiedy kazał ci zabić kotka?

Li skrzywił się na to wspomnienie.

- Nikogo innego nie mogę winić za swoją chorobę, tylko siebie. Próbuję z nią walczyć, starając się czymś zająć, ale to nie pomaga. Tęsknota nie mija.

To wyznanie przyniosło mu widoczną ulgę. Na twarz wróciły rumieńce. Moja krew dodała mu sił. Cokolwiek stało się wtedy w parku, wydarzyło się dawno temu, w innym wszechświecie. Bez względu na to, czy zawarł wtedy pakt z siłą wyższą, czy był to zbieg okoliczności, liczyło się jedno: dzięki mnie odżył.

- Lepiej wyglądasz. Jak się czujesz?

- O wiele lepiej. - Spojrzał mi w oczy. - Dzięki.

- Przetrzymamy to, Li. Przeżyjemy tę wojnę oboje, przyrzekam. Objęłam go, ale zamiast spodziewanego przyływu emocji poczułam

strach, że kiedy stąd wyjdę, stracę go na zawsze, jak tatę. Siłą woli oderwałam się od niego i wstałam. Bałam się zostać dłużej. Serce pękało mi z żalu, że nie mogę zabrać brata do domu i go wyleczyć.

Li został na podłodze, a na jego twarzy malował się smutek.

Wsunął dłoń do kieszeni krótkich spodni, wyjął z niej wyschnięte mleczne toffi w kształcie dysku, swój ukochany talizman, i mi go podał. Poczułam się tak, jakbym zobaczyła dawno niewidzianego przyjaciela.

- Zabierz to ode mnie. Za często mnie kusiło, żeby go odwinąć ze złotka i zjeść. Dostałem go od tamtego starego człowieka. Przypuszczam, że gdybym go zjadł, nasz pakt straciłby moc raz na zawsze. Ale się boję. Bardzo się boję, bo nie mam pojęcia, co to właściwie jest.

Wetknął mi toffi do ręki. Wiedziałam, że nie mogę odmówić. Zacisnęłam palce na małym dysku. Stwardniał przez lata i teraz bardziej przypominał monetę niż cukierek - jednego obola dla przewoźnika dusz przez Styks. Papierek był lepki, co kazało mi myśleć - wbrew obawom Li - że to tylko nieszkodliwy kawałek cukru.

- Muszę już iść - powiedziałam i pocałowałam go w czoło. - Ale wrócę.

- Obiecujesz?

- Zrobię dla ciebie wszystko, co w mojej mocy. Pamiętaj o tym.

Kiedy szłam wzdłuż ściany z drewnianych parawanów, kąciem oka podchwyciłam w lustrze czyjeś spojrzenie. Patrzyła na mnie ponura kobieta o ziemistej cerze. Kiedy spojrzałam jeszcze raz, dotarło do mnie, że tą zjawą jestem ja sama.

## SZCZURZA BRYGADA

Czarna Wyspa została siłą wprowadzona w przyszłość. Musieliśmy przestawić zegarki dwie godziny do przodu, by dostosować się do czasu tokijskiego. Do dzisiaj zachodzę w głowę, gdzie podziały się te dwie brakujące godziny.

Były one zaledwie kroplą w oceanie godzin składających się na trzy lata mojej służby w charakterze „żony” Taro. Rok 1943 i 1944 przeżyłam jako jego własność. On dyktował warunki, ja nie miałam nic do powiedzenia. Mając za sobą lekturę wielu wspomnień z tamtych makabrycznych czasów, nie powinnam się skarżyć. Udawane małżeństwo było lepsze niż śmierć.

Jak w każdym zmieniającym się z czasem związku nasze małżeńskie spory, krążące dotąd wokół codziennych spraw, takich jak jedzenie, ubranie i seks skręciły w stronę pytań o los, historię i przyszłość, na których temat mój „mąż” miał ugruntowane i błędne mniemanie.

Nasza wojna na idee i poglądy osiągnęła apogeum w 1945 roku. Dopiero z perspektywy czasu widzę, jak szalona byłam, sądząc, że z tym człowiekiem da się rozsądnie rozmawiać. Była to jednak dla mnie pierwsza sposobność poznania smaku małżeństwa, nie licząc zaręczyn z Danielem, dlatego zrobiłam to, co według mnie powinna zrobić każda rozsądna żona: nie poddawałam się.

Przedstawię jedną ze scen z naszego domowego życia. Dwoje dorosłych ludzi siedzi przy stole i rozmawia. W 1945 roku między mężem i żoną dochodziło do takiej wymiany zdań:

- Twój naród jest ślepy na prześladowania! - peroruje mąż. - To, że najbardziej budowlane na Czarnej Wyspie to budynek Sądu Najwyższego i więzienie Shahbandar, mówi samo za siebie!

- Brytyjczycy zbudowali też drogi i szkoły - ripostuje żona. - A co zrobił dla nas twój wspaniały naród? Nie uważam, że Brytyjczycy są święci. Ale to pod waszą okupacją życie stało się nie do zniesienia.

Rok czy dwa lata wcześniej mąż spoliczkowałby mnie za tę uwagę. Teraz tego nie zrobił. To była na swój sposób miłość.

- Wszystko zależy od definicji postępu. - Mąż zbiera myśli, przygotowując się do dłuższego wykładu. - Porównanie z zachodnimi wzorcami wypada pewnie na naszą niekorzyść, ale japoński ideał harmonii bazuje na przekonaniu, że na świecie panuje mrok, a prawdę najczęściej tworzą cienie.

Wyjątkowa cecha japońskiego domu, której jeszcze nie nauczyłaś się cenić, opiera się na tajemnicy cieni. Gra ciemności i gra światła. W ciemnych miejscach rozkwitamy: nasze jedzenie wygląda lepiej, nasza sztuka wygląda lepiej, a przede wszystkim skóra wygląda lepiej. Ludzie Zachodu są jak dzieci, które boją się ciemności. W ich pojęciu cień uosabia to, co nieznanne - i być może niepoznawalne - a tego naprawdę się boją. Nie wyobrażają sobie, że można oswoić ciemność przez kontemplację i akceptację. Właśnie dlatego, kiedy Amerykanie i Brytyjczycy usilnie próbują wyplenić ze świata to, co uważają za jego cienie, my - ludzie o żółtej skórze, którzy żyli w ciemności - powstaniemy. Do końca tego stulecia Japończycy doprowadzą Zachód do upadku. - Tu mąż posyła żonie triumfalny uśmiech. - Do dwutysięcznego roku. Wspomnisz moje słowa.

W pierwszej połowie 1945 roku Taro ufał mi już na tyle, że raz w miesiącu pozwalał mi odwiedzać Li. Podczas sekretnych spotkań w starym magazynie opium zawsze miałam przy sobie nóż i karmiłam wygłodniałego brata.

Co miesiąc też, chociaż mój kierowca trzymał się stałej trasy, obserwowałam, jak zmienia się miasto. I jak się nie zmienia. Zamiast skwapliwie wykorzystać gorączkę budowlaną, która odmieniła oblicze Wyspy Dusz przed ich przybyciem, Głaby wstrzymały wszystkie inwestycje. Mimo żarliwych przemów Taro o postępie, porządku i triumfie, ruiny pozostały ruinami. Splądrowane sklepy i restauracje straszyły wybitymi oknami i pustymi wnętrzami, niczym żalosne ruiny Pompei. Najlepsze budynki przeznaczyci na mieszkania i biura: hotel Balmoral, klub Teutoński, nawet teren należący do szkoły Świętej Anny.

Cudowny Świat stał się ufortyfikowanym burdelem, gdzie wojskowi szukali ukojenia. Na szczycie czerwonego muru pojawiły się zwoje drutu kolczastego, co miało zniechęcać tamtejsze kurtyzany do ucieczki. Wyżsi rangą oficerowie bywali w klubie zwanym niegdyś Klubem Milionerów, mieszczącym się w Dzielnicy Kwiatowej Chinatown. Tam swoje usługi oferowały wyspecjalizowane kobiety w kimonach. Były nie tylko młodsze i bardziej uległe, umiały też podawać opium. Kiedy Taro nie wracał na noc do domu, serce zatruwała mi zazdrość podszyta strachem. Przypuszczałam, że bawi w Klubie Milionerów i rozgląda się za moją następczynią. Ilekroć z okna samochodu widziałam włoską fasadę klubu, zamykałam oczy i walczyłam ze złymi myślami.

Reszta miasta przeżywała regres. Na głównych arteriach roilo się od wróżbitów interpretujących sny w hokkien, teochew, po kantońsku, malajsku, tamilsku, a co bardziej śmiali robili to nawet po japońsku. Na starym

Moście Edynburskim kwitł czarny rynek. Uliczni przekupnie handlowali sosem sojowym i puszkami fasolki. Po zniknięciu Brytyjczyków nikt ich stamtąd nie przeganiał. Na Czarnej Wyspie zapanował chaos.

Bez względu na to, co sprzedawali czy wykrzykiwali ludzie, kiedy nadchodził Głęb - nieważne jak młody, jak tępy, jak pijany, jak złośliwy - wszyscy bez wyjątku musieli kłaniać się w pas, póki nie odszedł. Nieposłuszeństwo było surowo karane. Jadąc kiedyś do Li, widziałam, jak żołnierz katuje starszą kobietę, która mogłaby być jego babcią. Leżała bezwładnie na chodniku, a on kopał ją w głowę. W drodze powrotnej zobaczyłam na poboczu jej skulone ciało. Nikt nie odważył się go przenieść. Jej dusza stała przy zwłokach, trzęsąc się z oburzenia i rzucając plugawe kantońskie obelgi pod adresem wszystkich przechodniów.

Najbardziej nieoczekiwanym efektem okupacji była masowa konfiskata klimatyzatorów. W urzędach widziałam ziejące dziury i szare ślady w miejscach po urządzeniach chłodzących. Nie wątpię, że okupanci chcieli w ten sposób złamać ludzi nawykłych do chłodu w pomieszczeniach biurowych, ale gdzie się podziały tysiące tych urządzeń, pozostało dla mnie zagadką.

Kiedy w lutym 1945 roku przyjechałam w odwiedziny do Li, nie zastałam go przy stole. Na widok pustego stołka serce załomotało mi w piersiach. Tak przywykłam do naszych spotkań - do wszystkich rutynowych czynności - że najdrobniejsze odstępstwo od ustalonego porządku wyprowadzało mnie z równowagi. Podczas wojny niespodzianki nie wróżą niczego dobrego. Nie miałam jednak wyjścia, musiałam czekać na Li w jego boksie. Kiedy w końcu się zjawił, sprawiał wrażenie oszołomionego. Na jego mundurze widniały ciemnoczerwone plamy.

- Mój przyjaciel Samy - zaczął. - Obcięli mu rękę...

- O czym ty mówisz?

- Obcięli mu rękę! Nieśliśmy im pchły tam, na koniec hangaru. Jeden szczur uciekł i ugryzł go w palec. Zwykle nie zwracają sobie głowy takimi drobiazgami. Spójrz. - Wskazał stare ślady po ugryzieniach na rękach. - Ale z jakiegoś powodu złapali Samy ego i... po prostu obcięli mu całą rękę! Bez ostrzeżenia! Widziałem to. To się stało... sam nie wiem... tak nagle.

Wstrząśnięty osunął się na taboret. Zrobiło mi się niedobrze.

- To się stało na końcu hangaru?

- Tak, tam, gdzie widać ten labirynt pomieszczeń.

- Gdzie jest teraz twój przyjaciel?

- Nie wiem. Z bólu stracił przytomność. Najgorsze, że z tego szoku nie mogłem się ruszyć. I wszystko widziałem. Krew, mięśnie, kości... Bałem się, że będę następny, ale nogi odmówiły mi posłuszeństwa. W końcu wyrzucili mnie z pokoju i zamknęli drzwi.

Z jednej strony wszystko brzmiało logicznie, z drugiej - wydawało się koszmarnie przesadzone. Oni - kimkolwiek byli - musieli się obawiać, że szczur roznosił jakąś zakaźną chorobę. Ale nawet to nie wyjaśniało tak drastycznych metod.

- Kim są ci „oni”? - zapytałam szeptem po szanghajsku.

Li rozejrzał się nerwowo, chociaż w pobliżu nikogo nie było. Odpowiedział w tym samym dialekcie:

- Ci na białą, oczywiście.

- Lekarze?

Tego nie wyjaśnił, tylko dodał, wzdrygając się:

- W tamtych pomieszczeniach jest zimno. Bardzo zimno. - Zerknął na moje lewe ramię i posłał mi bezbrzeżnie smutne spojrzenie. - Nie mam dzisiaj ochoty pić.

Gdy tylko Taro stanął w drzwiach, zasypałam go pytaniami.

- Kim są ludzie w białych fartuchach? Czym się zajmują?

- Uspokój się. Nie rozmawiam z wściekłymi kobietami, tym bardziej z wściekłą żoną.

Rozwiązał sznurowadła, zdjął buty i postawił je koło schodów. Założył kapcie i poszedł nalać sobie brandy. Z rozmysłem robił wszystko w ślimaczym tempie. Czekałam, aż wyjmie z zamrażalnika trzy kostki lodu i wrzuci je do szklanki. W końcu rozsiadł się w swoim ulubionym fotelu, potrząsnął drinkiem i upił spory łyk.

- Tak przy okazji, to powinien być twój obowiązek: buty, kapcie, drink. Jestem chyba najbardziej pobłażliwym i uległym mężem w okolicy. Moja matka spaliłaby się ze wstydu.

- Zwłaszcza gdyby się dowiedziała, że miałam być żoną innego mężczyzny. Jego twarz zapłonęła gniewem.

- Czego chcesz, Momoko?

- Czym zajmują się ludzie w białych fartuchach w tamtym magazynie?

- Jakim magazynie? Konkrety, Momoko.

- Dobrze wiesz, o który magazyn mi chodzi.

- Już ci to kiedyś wyjaśniałem. To naukowcy.

- Jaką dziedziną nauki się zajmują?

- Czyżby moja Momoko nagle odkryła w sobie zainteresowanie nauką? -Posłał mi pełen wyższości uśmiech, który miał zbić mnie z tropu.

- Dzisiaj ci „naukowcy” na oczach Li obcięli chłopcu całą rękę.

- Chyba powinienem zabronić ci spotkań z bratem. Wytrącają cię z równowagi.

- Nie o to mi chodziło! - krzyknęłam, dając upust wściekłości. Skarciłam się w duchu za ten wybuch i zmusiłam do trzymania nerwów na wodzy. -Jestem ciekawa. Chcę po prostu wiedzieć, co robią. To wszystko.

- A, to wszystko, tak? - Taro dopił drinka i wolnym krokiem ruszył po butelkę. - Zdajesz sobie sprawę, że raz po raz ci ulegam? Prosiłaś, żebym wybaczył twojemu bratu pasożytowi i znalazł mu pracę pod dachem. Spełniłem twoją prośbę. Chciałaś widywać tę gnidę, i pozwoliłem ci na to. A teraz co? Chcesz, żebym zdradził ci tajemnice wojskowe, bo zżera cię ciekawość? Gdybym to zrobił, czy potem zachciałoby ci się mnie pouczać, jak rozlokować moich ludzi, jak zabezpieczyć granice, jak ścisnąć dłonie generałom? Momoko, czy przypadkiem nie zaślepia cię pycha?

Czekałam, aż przyrządzi sobie kolejnego drinka. Tym razem zostawił kostki lodu na stole. Coraz bardziej poirytowany po prostu o nich zapomniał.

- Miałem udany dzień w pracy - powiedział, sadowiąc się w fotelu. - Zamiast zapytać mnie, jak miął mi dzień i podać mi kaptcie jak każda normalna żona, ty myślisz tylko o sobie i swojej ciekawości.

- Przecież nie chcesz rozmawiać o swojej pracy. Wyraźnie dałeś to do zrozumienia.

- A! - Zachichotał. - W tej kwestii okazałaś bezwzględne posłuszeństwo.

- Jak ci minął dzień, kochanie? - Obdarzyłam go przesłodzonym uśmiechem i ukłonem tak nieszczerym, że nawet on musiał się roześmiać.

- Mój dzień, moja droga żono, był bardzo udany - odparł, trzymając się tej samej konwencji. - Odnieśliśmy znaczące zwycięstwo. Kilka dni temu moi chłopcy natknęli się w dżungli na obóz zbuntowanych komunistów. Dwustu, może trzystu żyjących na bagnach jak szczury, rozwścieczone szczury. Doszło do serii potyczek. Dzisiaj po południu moi chłopcy doprowadzili pozostałych przy życiu buntowników do Shahbandaru. Dwunastu, a właściwie jedenastu. Jeden zmarł po drodze. Musieli wyrzucić go z dżipa... Kiedy ciało znalazło się na ziemi, z zarośli wyskoczył tygrys i odgryzł trupowi głowę!

Tą przesadną wesołością chciał mi dokuczyć. Wiedziałam o tym, a jednak moje serce trawił niepokój. Czy Issa i Kenneth zginęli? Zawsze uważałam, że



Kena czeka wspaniała przyszłość, chociaż historia odmieniła już niejedno przeznaczenie.

- Nic nie mówisz - zauważył Taro, nagle poważniejąc. - Myślisz o innym narzeczonym czy bracie wśród buntowników? Wiem, że niektórzy byli towarzyszami Ignatiusa Wee. Ale tamci byli naiwniakami bez pieniędzy i wpływów, którzy poszli walczyć na bagna, podczas gdy Ignatiussan i jego kumple siedzieli sobie w klimatyzowanych rezydencjach, jedli nasze steki i spiskowali przeciwko nam. Szczerze mówiąc, podziwiam tych komunistów. Mają odwagę i przekonania. Jest w nich duch walki. Oczywiście to wcale nie znaczy, że nie zamknę ich w Shahbandarze i nie zafunduję im tam niezłej zabawy. Jest zatem coś, co powinienem wiedzieć o którymś z nich?

Pokręciłam głową. Piekły mnie oczy. Wzmianka o przyjaciółach - o ile nadal żyli - naraziłaby ich na jeszcze gorsze traktowanie.

Wstałam, by pójść na górę. Nie miałam zamiaru okazywać emocji i dawać mojemu dręczycielowi satysfakcji.

- Wykazali się zuchwałością. Dwustu komunistów uznało, że nas pokona, dysponując jedynie przestarzałą radziecką bronią. A skoro już mówimy o liczbach, to powinienem pochwalić się imponującym wynikiem: osiągnęliśmy liczbę stu tysięcy.

Ruszyłam do schodów. Nie chciałam na niego patrzeć. Nie chciałam wiedzieć.

- Gdzie się podziała twoja legendarna ciekawość, Momoko? Nie interesuje cię, sto tysięcy czego? Dolarów, małąp, tygrysów, bananów?

Byłam na górze schodów, gdy usłyszałam jego wrzask:

- Sto tysięcy martwych Chińczyków!

\* \* \*

Zanim Taro odzyskał humor, upłynęło kilka miesięcy. Nastrój poprawił mu się tuż przed Obon, japońskim świętem zmarłych. Po raz kolejny przekonałam się, że nic tak nie raduje Japońców, jak myśli o śmierci, może z wyjątkiem obchodów ich narodowego święta, upamiętniającego szczególnie poranek 660 roku przed naszą erą, kiedy to pewien maleńki żyłasty człowieczek spadł ze słońca i ogłosił się cesarzem. Naturalnie przeinaczam i upraszczam ich historię, nie bardziej jednak, niż oni przeinaczyli moją.

Dziwnym zrzędzeniem losu święto Obon przypadło w dniu moich dwudziestych trzecich urodzin - trzeciego sierpnia 1945 roku. Nie tylko z tego powodu zapamiętałam tamtą noc na zawsze.

Taro i ja zjedliśmy lekką uroczystą kolację złożoną z zupy miso i grillo-wanej dorady. Po kolacji zostaliśmy jeszcze przy stole. Taro trzymał wypełnioną po brzegi czarkę sake. Nie uronił ani kropli. To była jego szósta czarka. Ten pokaz służył udowodnieniu, że panuje nad sobą mimo takiej dawki alkoholu. W końcu na mnie spojrzał.

- Chcesz zobaczyć starego przyjaciela? Księżę Shahbandaru pytał o ciebie. Zerwałam się na równe nogi. Z tych słów jasno wynikało, że Kenneth żyje.

- Oczywiście, że tak!

Taro skrzywił się z teatralną afektacją.

- Ech, gdybyś mnie okazywała takie zainteresowanie, Momoko. Jak ten czas ostudził nasze zapały...

Musiałam zapobiec zmianie tematu.

- Więc kiedy mogę zobaczyć Kennetha?

- Kennetha? - Taro wyglądał na zaskoczonego.

Uświadomiłam sobie swoją pomyłkę. Najlepszą odpowiedzią było milczenie.

- Nie myślisz o Danielu, swoim narzeczonym? On też poszedł w zapomnienie, jak ja? - Uśmiechnął się chytrze. - Tak, mam w Shahbandarze człowieka o imieniu Kenneth. Nazywa się Kenneth Kee. Wątpię, by był w twoim typie. Jest nieokrzesany, szpetny, pochodzi z nizin społecznych i kłął jak marynarz, kiedy moi chłopcy go złapali. Znaleźli go na bagnach i powinni go tam zostawić. Co do Daniela, to zachowuje się bez zarzutu. Najbardziej posłuszny i zdyscyplinowany więzień, jakiego mieliśmy. Prosi i dziękuje za wszystko. Dlatego nazywają go Księciem. Pomyślałem, że najlepszą nagrodą będzie dla niego wizyta starej przyjaciółki, ale ta już go porzuciła.

- Wcale go nie porzuciłam. - Gasnąca nadzieja ujrzenia Daniela podsyciła niestety obawy o Kennetha. Jakby piekła Shahbandaru było mało, wspominając jego imię, sprowadziłam na niego jeszcze większe niebezpieczeństwo.

- Dobrze, dobrze. Obiecałem twojemu Danielowi, że cię zobaczy. - Taro pochylił się do przodu i pocałował mnie w ucho. - Wiesz, że nie lubię cofać danego słowa.

Tego wieczoru o dwudziestej drugiej Taro zabrał mnie na obchody Obon ze znajomymi oficerami. Po raz pierwszy mieli mnie zobaczyć jego koledzy. Nie wiedziałam, czy ta nagła zmiana strategii oznacza rzeczywistą zmianę

jego nastawienia do mnie, czy w kuchni po prostu potrzeba dodatkowej pary rąk do pomocy.

Uroczystość odbywała się w domu na plaży. Na tę okoliczność podjazd rozświetliły rozmieszczone wzdłuż niego papierowe lampiony, tworzące scenę dla wkraczających gości. Nie mogę zaprzeczyć, była w tym wyważona elegancja drzeworytów japońskiego artysty Hokusai. Nigdzie nie widziałam czterech żołnierzyków, którzy mnie przedtem pilnowali. Może wyszły na jaw ich grzeszki? Dom przypominał teatralną dekorację ustawioną i oświetloną przez techników znikających wraz z nadejściem aktorów.

Ten uroczy obrazek przypominał mi, że Głaby przybyły z kraju o wysublimowanej tradycji estetycznej, chociaż odznaczały się wyjątkową umiejętnością wykorzystywania jej w służbie zła. Dlatego nie ufałam zewnętrznym przejawom piękna. Jakie inne współczesne społeczeństwo otaczało czią kamienie i wznosiło świątynie dla drewnianych duszków, a jednocześnie sankcjonowało żądzę krwi, podnosząc ją do rangi uświęconego rytuału?

Wchodząc do domu u boku Taro, nie miałam pojęcia, że wydarzenia tej nocy będą wracać do mnie przez kolejne dekady w upokarzających wspomnieniach. W przeciwnym wypadku stos samurajskich mieczy pozostawionych przy drzwiach uznałabym za zły omen. Przywykłam jednak do japońskich zwyczajów i te miecze stały się dla mnie impulsem do złośliwych przytyków pod adresem przyjaciół Taro: czyżby w ten sposób rekompensowali sobie męskie niedostatki?

Włożyłam ulubioną czerwoną suknię, tę z wąskimi ramiączkami, skopiowaną ze zdjęcia Myrny Loy w jakimś czasopiśmie. W końcu były to moje urodziny. Z czerwoną jedwabną kokardą w pasie wyglądałam jak własny prezent urodzinowy. Jeśli męskie ego Taro potrzebowało dowartościowania w oczach wyższych stopniem oficerów, byłam gotowa odegrać rolę wzorowej żony, żeby potem nie mieć do siebie pretensji. Wszystko dla nagrody obiecanej przez „męża”. Dla Daniela.

Głaby uwielbiały sake. Wiedziano o tym powszechnie, a jeśli sama nie miałam zbyt wielu okazji do obserwacji, to utwierdzały mnie w tym przekonaniu sztuka, literatura i kroniki występków. Na zakrapianym przyjęciu w domu na plaży zjawili się dziesięciu kolegów Taro. W oliwkowych mundurach wyglądali jak zastęp podekscytowanych, choć przerośniętych skautów. Różnił ich wiek - najmłodszy miał około trzydziestu, najstarszy około sześćdziesięciu lat, łączyła, prócz miłości do sake, powierzchowność bankowców na kierowniczych stanowiskach. W niczym nie przypominali inżynierów śmierci. Wydawali się stworzeni do nudnej papierkowej roboty za biurkiem

i podrzucania tłustych dzieci na kolanach w chwilach wolnych od pracy. Spodziewałam się, że poznam ich „żony”, z którymi będę mogła porównać małżonków i oddzielić pogłoski od faktów, ale żaden z nich nie przyprowadził kobiety.

Większość oficerów patriotycznie nosiła na naramiennikach trzy białe *sakura* - kwiaty kwitnącej wiśni. Taro, chociaż był gospodarzem, miał ich najmniej - tylko jeden. Wziąwszy pod uwagę obsesyjną dbałość Japończyków o zachowanie twarzy, ta okoliczność wydała mi się komicznie przejmująca. Oznaczało to bowiem, że wszyscy zaproszeni są wyżsi rangą: majorzy, kontradmirałowie i tacy, którzy poszli na wojnę ośmieleni obietnicą odrodzenia się po śmierci w postaci kwiatu wiśni. W miarę trwania przyjęcia niska szarża Taro okazała się zaletą. Im więcej bowiem oficer miał kwiatów na naramiennikach, tym więcej sake musiał wypić, jakby na potwierdzenie mojej obserwacji o japońskiej skłonności do destrukcji.

Wyłączony z tego współzawodnictwa Taro obserwował pijących gości. Grałam uległą panią domu i usługiwałam im niezmordowanie, lejąc chłodzoną sake z prostych glinianych butelek do ich maleńkich czarek, które wyciągali w moją stronę, siedząc ze skrzyżowanymi nogami na matach. Ta ceremonia wydawała mi się trochę nierzeczywista. Czułam się jak gospodyni podwieczorku dla pluszowych misiów, nalewająca wodę do maleńkich filiżanek, tyle że moje misie z każdym kolejnym łykiem coraz bardziej się ożywiały. Z upływem godzin, gdy w salonie wisiała już chmura dymu tytoniowego, ich twarze poczerwieniały i przybrały groteskowy wyraz. Niektórzy nawet wstali, by zatańczyć w rytm muzyki granej na trójstrunowym samisen, odtwarzanej z płyty gramofonowej. Kiedy tupali, podskakiwali i padali na maty, śmiejąc się i kaszląc na przemian, sprawiali wrażenie naprawdę szczęśliwych. Czegoś jednak w tym zgromadzeniu brakowało: gejszy i tancerki.

Taro obserwował coraz głębsze zachowanie swoich przełożonych z dziwnie obojętnym uśmiechem. Szorstkim gestem pociągnął mnie na matę i posadził obok siebie. Przez chwilę spodziewałam się, że przyzna się do zatrucia sake. Zamiast tego jednak złapał mnie za nadgarstki i pocałował na oczach swoich odurzonych towarzyszy. Trzymał mnie, póki jeden z nich nie krzyknął, że z butelki, którą trzymam w ręku, wylewa się cenny płyn.

Siwy oficer z trzema *sakura* ryknął rozochocony i zaczął klaskać, domagając się bisów.

- *Ankom!* - krzyknął na zachętę.

Inni poszli w jego ślady. Taro zafundował zgromadzonym pokaz swojej skromności. Zmusił mnie, żebym wstała razem z nim, po czym zgiął się

w głębokim pokłonie. Nagle z całej siły uderzył mnie w twarz. Zaskoczona tym atakiem upadłam na ziemię, upuszczając butelkę z sake. Mężczyźni zawyli ze śmiechu. Wtedy dotarło do mnie, że prawdziwa zabawa dopiero się zaczyna i że ja mogę być jej częścią.

Taro zdjął górę munduru i odrzucił ją na bok. Jego wściekłość wprawiła mnie w zdumienie. Do tej pory przypuszczałam, że jest w dobrym nastroju. W tamtej chwili odniosłam wrażenie, że znalazł sposób na okazanie mi całej swojej złości i pogardy jednym spojrzeniem. Jego towarzysze cofnęli się pod ściany pokoju, zostawiając nas pośrodku areny. Światła zaczęły przygasać. Otaczający nas mężczyźni stawali się cieniami za przesłoną dymu.

Ledwie podniosłam się z ziemi, Taro rzucił się na mnie. Kilku oficerów wydało tłumiony okrzyk. Tym razem uchyliłam się i uniknęłam ciosu. Kopnęłam go w czułe miejsce na kolanie. Skrzywił się z bólu i wściekłości. Chciałam uciec, ale po trzech krokach wylądowałam na ziemi. Taro przygniótł mnie i wcisnął mi twarz w podłogę niczym zawodnik sumo.

Kiedy oficerowie bili mu brawo, wyszeptał mi do ucha:

- Bądź dzielna, Momoko. Pomyśl o Danielu. Pomyśl o swoich przyjaciółach. Ci ludzie mogą decydować o ich życiu i śmierci. Musimy ich zadowolić. -W przeciwieństwie do zachowania, jego głos był łagodny. - Nie zwracaj na nich uwagi. Zachowuj się jak zawsze w takich chwilach. Podporządkuj mi się.

Nim wyraziłam swój sprzeciw próbą wierzgnięcia, postawił mnie na nogi i zaczął drzeć na mnie sukienkę. Obnażał mnie kawałek po kawałku, poczynawszy od pleców, tak że moja nagość pozostawała niewidzialna dla świadków tej sceny. Czułam się jak zwierzę na targu. Twarz, szyja, brzuch, biodra - każda cząstka ciała pałała wstydem, wiedziałam jednak, że muszę to przetrzymać. Chodziło o czyjeś życie. Taro nie ograniczył się do rozbierania mnie. Gładził każdy skrawek dopiero co obnażonej skóry. Pieścił i dotykał mnie tak samo jak wtedy, gdy byliśmy sami w łóżku.

Kiedy ostatni kawałek mojej sukienki opadł na ziemię, rozpiął mi stanik i złączył dłonie pod moimi drżącymi piersiami.

Pochylił się do mojego lewego ucha i wyszeptał z rozmarzeniem:

- Zamknij oczy.

Szum fal na plaży, szelest poruszanych wiatrem rolet, dźwięki strun samisen, westchnienia dobiegające z kątów salonu - wszystkie odgłosy świata odpłynęły.

Byliśmy tylko Taro i ja. I dźwięki, jakie wydawaliśmy. Jawna przyjemność, jaką starałam się okazywać, miała zachęcić Taro do okazania dobrej

woli, umożliwić mu zachowanie twarzy przed przełożonymi, a nade wszystko chronić życie moje i moich najbliższych.

Szybko odkryłam zalety tatami. Nie ograniczała nas jak łóżko. Podłoga dodała nam odwagi. Po akcie w najczęstszej dla nas pozycji spróbowaliśmy nowych. Zniknęła obawa, że spadniemy z materaca. Zniknęły wszelkie zahamowania. Usiadłam na nim okrakiem, doprowadziłam na skraj spełnienia, ale podniósł mnie i rzucił na plecy. Otworzyłam oczy. Nie tak szybko, mówiło jego spojrzenie. Najpierw chcę zadowolić ciebie. Wsunął we mnie trzy palce. Dotykając najbardziej wrażliwego punktu, dawał mi coraz intensywniejszą rozkosz. Wiedziałam, że się popisuje, demonstruje innym, że jestem instrumentem, na którym tylko on ma przywilej grać. Ta świadomość w niczym nie umniejszała mojej przyjemności. Wyjął palce lśniące od wilgoci, włożył je do ust i ssał.

Łaknąc więcej, kucnął, uniósł mi uda, oparł sobie moje łydki na ramionach i wniknął we mnie językiem. Centymetr po centymetrze kładł się, nasuwając mnie na siebie. Krzyczałam i drżałam, krew i adrenalina pulsowały mi w mózgu, a on chwycił mnie w tali i rytmicznie przyciągał ku spragnionym wargom, aż fale ekstazy zagarnęły mnie i straciłam kontakt z rzeczywistością. Kiedy pozwalałam się porywać, świat zniknął, zniknęła wojna. Odzyskałam wolność, a Taro ostatecznie dowiódł swojej władzy nade mną.

Zlani potem opadliśmy bez tchu na tatami. Byłam osłabiona i bezwładna, ale znając Taro, wiedziałam, że dla niego to zaledwie początek. Czekać na chłodzący powiew wiatru, spojrzałam w jego zamglone oczy i zobaczyłam ciepły uśmiech. Z wielką tkliwością wyszeptał bezgłośnie: „Momoko”. Przez chwilę czułam się, jakbym patrzyła w kochające oczy Daniela. Zdradzając, chroniłam jego życie.

Członek Taro prezentował się w całym swoim erotycznym majestacie. Czułam nieodpartą chęć oddania mu hołdu. Kiedy liźnięciami i ugryzieniami znaczyłam drogę od piersi Taro ku jego łydźwiom, z ciemnych kątów salonu dobiegły tłumione westchnienia. Były ostatnimi dźwiękami, jakie słyszałam, zanim zapadłam w znajomy stan snu na jawie. Kiedy oddech Taro przyspieszył i przeszedł w serię głośnych jęków, a ja poczułam, że rośnie mi w ustach, gotów za chwilę eksplodować, odepchnął mnie gwałtownie. Upadłam, czując na plecach ukłucia wystających z maty twardych żdziebeł.

Uśmiechnął się. Jeszcze nie teraz. Drżały mi usta, wołając o pocałunek, ugryzienie, nawet cios. Pragnęły urozmaicenia. Potrzebowałam jeszcze większej intensywności doznań, które zatarłyby granice między zmysłami. Taro o tym wiedział. Podniosłam się, a wtedy rzuciliśmy się na siebie jak wygłodniałe zwierzęta.

Całował mnie głęboko. Miałam zamknięte oczy. Szeroko rozwarłam nogi. Pragnęłam poczuć, jak znów wypełnia mnie sobą, ale zamiast mnie wziąć, cofnął się. Chwilę później powietrze przeciął trzask, a mnie zapiekł policzek. Z doświadczenia wiedziałam, że to musiał być pasek o płaskich krawędziach. Coś słonego i gorącego spłynęło mi na wargi. Nie zdążyłam ich dotknąć i sprawdzić, czy to krew, bo Taro okręcił mnie gwałtownie i związał mi ręce z tyłu skórzanym paskiem, którym mnie uderzył. Nie byłam zaskoczona. Zawsze nadchodził taki moment, w którym jego przyjemność brała górę. Czerpał ją ze mnie na własnych warunkach.

Otworzyłam oczy. Zbliżył twarz do mojej i pożerał mnie wzrokiem. Zaufaj mi, mówiło jego spojrzenie.

W pewnej chwili sen się skończył. W ciemności rozległ się szelest. Czyjeś lubieżne ciało ocierało się o tatami. Któryś ze świadków tego widowiska najwyraźniej się podniecił. Pierwszy raz tej nocy przestraszyłam się, że siwy oficer wyskoczy z cienia i się na mnie rzuci. Z trzema *sakura* na naramiennikach był dla innych nietykalny. Nikt nie odważyłby się mu przeciwstawić.

Postękiwania i szelest tatami narastały, lecz nikt z zebranych na to nie zważał. Wyrwałam się z objęć Taro i zaczęłam zbierać resztki ubrania. Pąsowiałam z każdą chwilą coraz bardziej, potwornie zawstydzona.

Taro z lekkim uśmiechem przyglądał się mojej reakcji na zachowanie niewidzialnego intruza, rozbawiony moimi bezradnymi próbami zasłonięcia nagości. Nie miałam czym się okryć. W końcu rzucił mi swoją koszulę. Nie zdziwiłabym się na widok drugiej wiśni wyhaftowanej na jego epoletach w dowód uznania za przedstawienie dla oficerów, ale nadal widniała tam tylko jedna sakura. Wolno wkładał bieliznę i spodnie, rozkoszując się smakiem tej chwili i nie spuszczać ze mnie wzroku. Pod wpływem tego spojrzenia chwycił mnie za gardło obezwładniający strach. Coś było nie tak. Odgłosy w ciemności nie ustawały.

- Każ temu zboczeńcowi przestać! - syknęłam.

- Byłem ciekawy, kiedy go zauważysz - powiedział Taro, poprawiając mi kołnierz koszuli.

Wymamrotał coś do skrytych w cieniu kolegów. Ktoś zapalił światło. Bałam się tego, co ujrzę, ale w najgorszych koszmarach nie przypuszczałam, co mnie czeka.

Za plecami oficerów zobaczyłam przesuwane drzwi, zainstalowane tam na polecenie Taro w ramach japonizacji domu. Przez szparę między nimi patrzyły z ukosa czyjeś szeroko otwarte oczy. Nogi się pode mną ugięły,

jakby ten dodatkowy obserwator przeważył szalę poczucia przyzwoitości i obnażył groteskowość naszego pokazu. Dziwna rzecz, ale po wstydzie przyszło oburzenie. Ten człowiek był pasażerem na gapę, wielką niewiadomą.

Zbierając resztki godności, jaka mi jeszcze została, rzuciłam się do drzwi i je rozsunęłam.

- Danielu!

Leżał na boku związany i zakneblowany. W jego wytrzeszczonych oczach zobaczyłam przerażenie. Jeden ze znanych mi już młodych żołnierzy próbował go przytrzymać. Daniel szarpał się i wierzgał. Kucnęłam przy nim, ujęłam jego głowę i przytuliłam ją do piersi. Nawet wtedy nie przestał się wyrywać. Uspokajałam go najlepiej jak umiałam, stopniowo pokonując jego opór, aż dał za wygraną, a całym jego ciałem wstrząsnął szloch. Trzymałam go w ramionach i czułam, jak wraca do mnie nasza przeszłość. Nasza czysta, niewinna przeszłość.

- Nie miałam wyjścia - mówiłam, okrywając jego czoło pocałunkami. - Nie dał mi wyboru. Musiałam. Inaczej nie zobaczyłabym ciebie, Dan.

Odwrócił ode mnie twarz. Potrząsał głową i bełkotał niezrozumiale przez knebel. Próbował coś mi powiedzieć, a ja bałam się to usłyszeć. Nie dawał za wygraną, wił się i rzeził, aż rozwiązałam płótno zasłaniające mu usta. Młody żołnierz odskoczył, jakbym zdetonowała tykającą bombę.

- Vi miała rację. Jesteś dziwką - wydyszał Daniel łamiącym się głosem. Przypatrywał mi się uważnie, jakby zbierał siły, by zadać mi dręczące go od dawna pytanie. - Muszę wiedzieć. Kolczyki ciotki Betsy... Ukradłś je, prawda?

- Nie! - krzyknęłam. To chciał wiedzieć? - Oczywiście, że nie! , Pokręcił głową.

- Mów prawdę.

- Dan, wyjaśnię ci to później. Teraz to naprawdę bez znaczenia.

Nie spuszczał ze mnie wzroku, jakby moja odpowiedź potwierdziła tylko podejrzenia, które dotąd próbował od siebie odsuwać.

- Jasne, że ma! - Znalazł w sobie siłę na krzyk, lecz w następnej chwili uszła z niego cała energia. Posmutniawszy, odwrócił twarz. - Byłem taki głupi...

- Dan, zaufaj mi...

Poczułam na ramieniu czyjaś dłoń. Podniosłam głowę. Za mną stał Taro, dumny reżyser nocnego przedstawienia teatru lalek, zachwycony swoimi marionetkami. Idealnie wpisaliśmy się w jego scenariusz.

- Brawo - powiedział scenicznym szeptem i zaczął klaskać. Pozornie dla nas, ale tak naprawdę dla siebie. Koledzy poszli za jego przykładem z entu-



zjazmem, choć nieco zdezorientowani. Taro odwrócił się i z udawaną skromnością mistrza skłonił się nisko publiczności.

Obserwowałam jego zachowanie. Uosabiał sposób, w jaki jego okrutny naród prowadził tę wojnę: arogancję i deprawację udającą sztukę, wyższą kulturę. Za długo mu ulegałam. Za długo. Pozwoliłam manipulować sobą jak zabawką. A teraz jeszcze to.

Naśladując powagę Taro, wstałam, złożyłam głęboki ukłon, a kiedy on rzucił znaczące spojrzenie swoim towarzyszom, z całej siły kopnęłam go w krocze. Nie oglądając się za siebie, rzuciłam się do drzwi, gdzie goście zostawili swoje miecze.

Chwyciłam najbliższy i poczułam nagły przyływ odwagi. Nie mogłam tak po prostu uciec. Teraz musiałam go użyć. Trzymając rękojeść oburącz, skoczyłam do Taro. Oficerowie wydali tłumiony okrzyk, gdy zamierzyłam się na niego. Nim trafiłam go w szyję, Taro błyskawicznym ruchem wyrwał mi miecz z ręki. Tępa krawędź drasnęła go w łokieć. Na skórze pojawiła się krew, ale szyja niestety pozostała nietknięta. Jego następny ruch był równie szybki. Zamknął mnie w duszącym uścisku od tyłu, przyciskając mi szyję zgięciem łokcia. W każdej chwili mógł skrócić mi kark.

Dwaj oficerowie zaczęli klaskać. Przestali, gdy dotarło do nich, że nie jest to część przedstawienia.

- Wszystko szło tak dobrze, Momoko - powiedział Taro. Czułam, jak wzbiera w nim wściekłość. - Dlaczego to zepsułaś?

Próbowałam spojrzeć na Daniela, ale żelazny chwyt nie pozwalał na żaden ruch głową. Jedyne, co widziałam, to wrogie kamienne twarze japońskich oficerów.

Ramię Taro zacisnęło się jeszcze mocniej na moim gardle. Chciałam zawołać Daniela, ale zabrakło mi powietrza.

Mogłam umrzeć. Powinnam była umrzeć, lecz nie wyczerpałam jeszcze przeznaczonej mi dozy rozpacz. Historia szykowała dla mnie okrutniejsze doświadczenia.

Ocknęłam się w ciemności. W nos uderzyła mnie woń pleśni i zgnilizny. Leżałam w jakimś dole, ograniczona miękkimi gliniastymi barierami, które ustępowały pod naciskiem dłoni i wydzierały cuchnącą maź. Czułam ból w całym ciele. Byłam zbyt słaba, żeby wpaść w panikę. W mojej głowie kołatała się tylko jedna myśl: to już koniec... koniec... koniec...

Po kilku godzinach, a może dniach, dwie pary rąk wyciągnęły mnie z rowu i rzuciły na nosze. W przebłysku świadomości dotarło do mnie, że leża-

łam w zbiorowej mogile, dzieląc ją nie tylko z ludzkimi szczątkami, lecz także z psami, szczurami i Bóg jeden wie, z czym jeszcze.

Zawieziono mnie do rezydencji Wee i wsadzono do wanny. Pamiętam, że woda była bardzo gorąca i od brudu zabarwiła się na brązowo. Tamtego wieczoru, owinięta w ręcznik, zostałam postawiona przed obliczem Taro, usadowionego wygodnie w ulubionym fotelu, z wysoką szklanką lemoniady w ręku, którą kilkakrotnie potrząsnął. Usłyszałam chrzęst kostek lodu. Miałam usta wyschnięte na wiór, mimo to zaczęłam się ślinić. Ledwie stałam na nogach, nie miałam więc siły, żeby wyrwać mu szklankę z ręki.

- Zaimponowałaś mi - odezwał się. - Nie dajesz się śmierci. Twoja determinacja jest prawie... japońska.

Ostatkiem sił wskazałam lemoniadę. Zamiast podać mi szklankę, uniósł ją do ust i upił spory łyk. Widząc, jak bardzo łaknę czegoś do picia, upił jeszcze kilka łyków. Na jego naramienniku dostrzegłam nowy element. Do samotnego kwiatu wiśni dołączył drugi. Dostał awans. Bez wątpienia za obsceniczne przedstawienie kabuki w naszym wykonaniu.

- Ludzie podtrzymują się na duchu fantazjami. Dzięki nim potrafią być zdumiewająco nieustępliwi i wytrwali. W tej chwili na przykład masz nadzieję na łyk mojej lemoniady. Liczysz, że przez wzgląd na naszą przeszłość... wzajemne zrozumienie... istnieje szansa, wprawdzie niewielka, że zaoferuję ci choć trochę. Mam rację?

Oparłam się pokusie potaknięcia czy zaprzeczenia.

- Na tej samej podstawie przypuszczam - ciągnął - że przy życiu trzymała cię iskierka nadziei na ujście twojego przyjaciela. Nadzieja jest zaiste wzruszającą fanaberią. - Uśmiechnął się. - A gdybym ci powiedział, że nie dostaniesz lemoniady? - Zacisnął palce na szklance, przytknął wargi do jej brzegów i przechylił. Patrzyłam, jak grdyka podskakuje mu przy każdym łyku. Na koniec zagrzechotał jeszcze kostkami lodu, dopił ostatnie krople i podał szklankę młodemu żołnierzowi, który natychmiast wyniósł ją z salonu. -Co wtedy? - Uśmiech nie schodził mu z ust. - Co się stanie z tą nadzieją?

- Gdzie jest Daniel? - wychrypiałam.

- A, nareszcie. Wracamy do twojego starego przyjaciela. - Urwał z teatralną przesadą. - Przekazałem go do jednostki Siedem Trzydzieści Jeden.

- Gdzie?

- Zamiast „gdzie” pytanie powinno brzmieć „co to jest?” Jednostka Siedem Trzydzieści Jeden to instytucja badawcza o bardzo długich rękach. Jej palce sięgają wszędzie. Byłaś w jednej z placówek więcej niż raz: magazyn, rzeka, szczury...

- Przejdź do sedna...

- Sedno leży w tym, Momoko, że twój przyjaciel został poświęcony nauce. W oddziałach jednostki Siedem Trzydzieści Jeden na całym świecie nasi lekarze badają granice ludzkiej wytrzymałości. Przeprowadzają eksperymenty, sprawdzając, jak ludzkie ciało reaguje na elektryczność, odmrożenia, oparzenia i różne inne rzeczy. Jeśli chcemy podbić świat, musimy wiedzieć, jak ten kruchy wehikuł życia zachowuje się w różnych warunkach. Powinnaś zobaczyć Koreańczyka, którego zakonserwowaliśmy w zbiorniku formaldehydu. Został przecięty wzdłuż na pół i ciągle krzyczał. On pierwszy unaoczniał mi znaczenie złamanego serca. Dosłowne znaczenie. Lekarze nabierają praktyki w operacjach mózgu. Wiem, że to brzmi jak okrutny żart, ale chirurgia to sztuka, a jak artyści mają doskonalić swoją sztukę, jeśli nie poprzez praktykę? Niestety, w naszym lokalnym ośrodku nie mamy wyposażenia odpowiedniego do realizacji takich fantazji. Korzystamy najlepiej jak umiemy z tego, czym dysponujemy. A to znaczy, że bawimy się piaskiem, nożami, fajerwerkami. I szczurami. Dzięki pracy takich zuchów jak twój brat uzyskaliśmy bardzo cenne patogeny. Wiesz jakie? Zarazki. W wioskach w całych Chinach nasi lekarze podarowali je głodującym dzieciom w mleku i makaronie. Zadziwiające, jak łatwo przełamać opory uśmiechem i paroma komplementami. Sama się o tym przekonałaś podczas naszego pierwszego spotkania. Mniej zadziwia to, jak skuteczne są nadal takie staromodne choroby jak dżuma. One nigdy nie wyjdą z mody. Gdybyś zagłębiła się w zakamarki magazynu i trafiła do chłodni, gdybyś wykazała się wystarczającą ciekawością, zobaczyłabyś badania nad odmrożeniami. Jak ciężarna kobieta w mokrym ubraniu reaguje w temperaturze zero stopni Celsjusza? Jak reaguje płód? Co się dzieje przy minus dziesięciu? W którym momencie ludzkie ciało zamarza? Kiedy ciało przestaje czuć ból, gdy odcina się palce u rąk i nóg? A ręce? A nogi? To wszystko są uzasadnione naukowe pytania.

Taro mówił i mówił, a ja miałam w głowie coraz większą pustkę. Uleciały z niej wszystkie myśli. Nie pytałam „dlaczego?” ani „jak mogłeś?”, ponieważ takie pytania może stawiać trzeźwy umysł w normalnych okolicznościach, a ani jeden, ani drugi warunek nie był spełniony.

Opadłam na kolana. Gdybym miała czym wymiotować, zwróciłabym całą zawartość jelit, by wyrzucić z siebie wszystkie te obrzydliwości.

- Daniel Wee był interesującym okazem - usłyszałam nagle. - Ale w przeciwieństwie do ciebie, miał słaby kręgosłup...

-Przestań...

- Nie dosłownie. - Uśmiechnął się. - Nie używam aż tak naukowego języka. - Zawiesił głos i przybrał poważny wyraz twarzy. - Błagał, żebyśmy go oślepiłi. I spełniliśmy jego życzenie. Nie przypuszczałem, że można umrzeć od ślepoty, póki tego nie zobaczyłem. Jak on krzyczał, jak krzyczał... - Taro wzruszył ramionami, jakby człowiek, którego kochałam, był dla niego muchą. - Urządziliśmy wam obojgu romantyczny pogrzeb. Pochowaliśmy was obok siebie jak Romea i Julię. Może przypominasz sobie, jak ocknęłaś się u jego boku...

\* \*\*

Nie zostało mi nic. Straciłam nadzieję, straciłam marzenia, straciłam przyszłość. Nie było już nic do powiedzenia, nic do zrobienia.

Na swojej drodze spotkałam udręczone duchy i demony żywiące się krwią, stoczyłam z nimi walkę, nic mnie jednak nie przygotowało na okrucieństwo ludzkich istot wymierzone przeciwko innym ludzkim istotom. Po śmierci taty i Daniela, z Li zredukowanym do bezrozumnego szkieletu, i Kennethem, któremu najpewniej groził równie straszliwy los, zrezygnowałam z walki. Z gazet i radia płynęły chępliwe raporty o dzielnych Japończykach wygrywających wojnę, podbijających Pacyfik i szykujących się do inwazji na Stany Zjednoczone. Czy jeden człowiek ma szansę w starciu ze zbiorowym szaleństwem? Nie byłam wojowniczką. Byłam pomocnicą wroga, współuczestniczką, a nawet żoną.

Przedstawienie mojego teatru lalek dobiegało końca.

Prowadzono mnie po schodach jak na szubienicę. Eskorta wiedziała, że kajdanki są zbędne. Wystarczyło jej moje martwe spojrzenie i ciężkie jak ołów nogi, dla których każdy kolejny krok mógł być ostatnim. Kilka górnych stopni pokonałam na czworaka. Do sypialni żołnierze musieli mnie wnieść.

Mimo wszystko tliła się jeszcze we mnie iskierka życia. Kiedy za żołnierzami zamknęły się drzwi, sturlałam się z łóżka i podczołgałam do toaletki, gdzie trzymałam kasetkę z biżuterią. Z rozmysłem nie spojrzałam w lustro z obawy, że na widok swojej twarzy stracę resztki odwagi.

Pod sznurami pereł i brylantowymi broszkami leżało stare toffi mojego brata. Wyjęłam je, położyłam na otwartej dłoni i podziwiałam przez dłuższą chwilę - nie za złotko, którego blask dawno przeminął, ale za jego tajemną moc. Ten mały przedmiot trzymał mojego kochanego brata w niewoli od dnia naszych siódmych urodzin.

Musiał być zatruty. Inaczej nie miałby takiej mocy.

Z trudem odwinęłam papierek. Do starej zbrązowiałej masy przypominającej monetę przykleiły się drobinki złotka. Poprzecinana siecią kresek i fałdek musiała na przemian roztopić się i twardnieć. Miała własną topografię, złożoną historię swojego istnienia oraz zdolność unicestwiania jednego świata i powoływania w jego miejsce nowego. Trucizno, trucizno, niech zadziała twa ciemna moc...

Położyłam toffi na języku, spodziewając się intensywnego gorzkiego smaku. Tymczasem poczułam w ustach tylko znajomą maślaną słoność, a po niej skoncentrowaną słodycz karmelu. W kontakcie ze śliną rozkruszył się na kawałki.

Ssałam i przeżuwałam te wysuszone drobiny, przygotowując się na ból całego ciała. Miałam wrażenie, że jem słodką jak miód kredkę.

Położyłam się i czekałam na śmierć. Ból nie przychodził, zmysły działały jak przedtem, tylko pragnienie narastało. Z zaschniętym gardłem marzyłam o wodzie, by wypłukać z ust skoncentrowaną słodycz. Czułam nieludzkie zmęczenie. Nie walczyłam z nim, otworzyłam się na nie z ulgą. Zerknęłam na zegarek. Było pięć po jedenastej. Nie zadałam sobie nawet trudu, żeby się pożegnać.

Obudził mnie przeraźliwy warkot silnika, a potem pisk opon. Leżałam w łóżku. Nie umarłam. Sądząc po odgłosach zza okna, świat także nie umarł.

Gdybym zwlokła się z łóżka i wyjrzała przez okno, zobaczyłabym na podjeździe dżipa z pracującym silnikiem. Nadal byłam słaba, więc postanowiłam zostać w łóżku. Usłyszałam szybkie kroki, a potem gwałtowne walenie do drzwi wejściowych. Zamieszanie przeniosło się do środka. Na dole rozbrzmiał gwar niespokojnych głosów. I grad pytań, które pozostały bez odpowiedzi. Chwilę potem znów zawył silnik dżipa, który odjechał spod rezydencji, o mało nie taranując bramy wjazdowej.

Zapadła głucha cisza.

Przerwały ją głośnie kroki na schodach. Poznałam, że to idzie Taro. Wpadł do pokoju z szaleństwem w oczach, szukając czegoś, co pozwoliłoby mu odzyskać orientację - wszystkiego prócz mnie. Zamknął drzwi i zaczął przemierzać niespokojnie pokój jak osaczone zwierzę, które jeszcze nie chce ulec prześladowcom.

Sprawiał wrażenie ogłuszonego. Niedawną sadystyczną wesołość zastąpiła dezorientacja chłopca, który właśnie usłyszał o śmierci rodziców. Łzy

płynęły mu po policzkach, gdy najwyższym wysiłkiem woli tłumił szloch. Znając jego humory, spodziewałam się zaraz wybuchu wściekłości, którym pokryłby swoje zawstydzenie łzami. Myliłam się.

- Hiroszima - szeptał raz po raz. Wstrząsnął nim spazmatyczny szloch. Odwrócił się do mnie z niedowierzaniem w oczach i powtórzył to dziwne słowo, tym razem w formie pytania: - Hiroszima?

Na dole wypaliły pistolety. Każdy strzał był głośny i przejmujący jak strzały sprzed wieczności, gdy Japończycy zabili pana Wee i jego towarzyszy. Tyle że teraz kule oznaczały coś innego. Żal na twarzy Taro powiedział mi wszystko: mój „mąż” rozkazał swoim żołnierzom umrzeć. Jeden po drugim młode głosy wykrzykiwały przysięgę i milkły, gdy żołnierze ginęli z własnej ręki.

Ta śmierć nie sprawiła Taro radości. Podskakiwał nerwowo przy każdym wystrzale, szepcząc czule imię każdego martwego chłopca.

Amerykanie zrzucili bombę atomową na Hiroszimę szóstego sierpnia 1945 roku. Zginęło sto czterdzieści tysięcy ludzi. Rankiem dziewiątego sierpnia zrzucili kolejną bombę, tym razem na Nagasaki, unicestwiając osiemdziesiąt tysięcy istnień.

Pozostawię historykom komentarze na temat niewspółmiernej liczby zabitych japońskich cywilów. Jednak brutalność tego ataku nie była dla mnie zaskoczeniem. Pod płaszczykiem wojny ludzie są zdolni do większych potworności niż jakakolwiek naturalna - czy nadnaturalna - siła. Istotne dla mojej opowieści jest to, że obie bomby położyły kres japońskiemu głodowi wojny. Cesarska armia została zmuszona do kapitulacji.

Na Wyspie niewiele się jednak zmieniło. Pod pewnymi względami nawet się pogorszyło. Fanatyczni żołnierze, uważający się za roninów, wykorzystali ostatnią szansę na szturm na szpitale i szkoły. Mieszkańców Wyspy przyłapanych na zdejmowaniu japońskich flag rozstrzeliwali na miejscu.

Nadal byłam więźniem. Taro szybko odzyskał spokój po samobójstwie swoich żołnierzy. Nie zdradzał swoich zamiarów wobec mnie. Mógł mnie zabić albo wypuścić. Rozwagał pewnie oba warianty, decyzji jednak nie podjął. Chociaż koniec wojny położył kres naszemu „małżeństwu”, nadal trzymał mnie w swoim łóżku. Spał obok mnie, niczego więcej nie robiąc. Myślałam o ucieczce, ale uważnie obserwował każdy mój krok.

Wieczorem, w przeddzień oficjalnej kapitulacji cesarskiej armii, Taro postanowił wydać przyjęcie. Zaprosił wszystkich na ostatniego drinka do domu na plaży.

- Bez obaw - powiedział, prowadząc mnie do samochodu - tym razem nie musisz urządzać przedstawienia.

Dom wyglądał na opuszczony. Młodzi żołnierze zniknęli. Domyślałam się, że rozpoczęli już życie po życiu jako kwiaty wiśni. Z braku pomocników sama musiałam wnosić z Taro skrzynki z sake, koniakiem i szampanem. Skąd je ukradł, nie miałam pojęcia, ale zapasy wydawały się nieprzebrane. Ta ilość alkoholu wywołałaby marskość wątroby u całego batalionu, a co dopiero u dziesięciu oficerów.

Przed przybyciem gości Taro z oficjalną miną wziął mnie na stronę. Było w tym coś złowieszczonego. Wyrecytował mi japoński poemat z XV wieku, ułożony ponoć tuż przed śmiercią przez adepta sztuki wojennej zdradziecko pchniętego nożem:

*Gdybym nie wiedział że już umarłem, oplakiwałabym własną śmierć.*

Był to pierwszy wyraźny znak, że czeka nas niewesoła ceremonia. Po nim pojawił się drugi, równie wyraźny. Goście przybyli tak jak Taro w galowych mundurach z wypolerowanymi guzikami, przepasani szarfami z kompletem medali. Tym razem przywieźli swoje „żony”. Ich stan wprawił mnie w jeszcze większy niepokój. Piękne młode kobiety o twarzach bez wyrazu zataczały się, niezdolne przejść samodzielnie przez salon. Trzeba je było prowadzić za rękę. Z żadną z nich nie udało mi się nawiązać rozmowy.

- Sądysz, że jutro nas uwolnią? - zapytałam najbardziej przytomną z nich.

Bezmyślnie skinęła głową.

- Dokąd wtedy pójdziesz?

Ściągnęła brwi, po czym znów pokiwała głową.

Od żadnej z kobiet nie oczekiwano, że będzie nalewała alkohol do szklanek. Każdy obsługiwał się sam. Butelki stały pod ścianą w czterech rzędach. Mężczyźni sięgali po jedną albo dwie od razu, otwierali je i żłopali bez zahamowań. Mimo szowinistycznego patriotyzmu, mając do wyboru Dom Pérignon i sake, wszyscy oficerowi wybrali szampana.

Mimo rozluźnienia wywołanego alkoholem nieustannie spoglądali na zegarki, świadomi upływających minut. Największy niepokój widziałam

u Taro. Przyklejony do twarzy uśmiech jeszcze wyraźniej uwidaczniał zaciśnięte szczęki. Im bliżej północy, tym częściej w salonie zapadała cisza, jakby alkoholowe zamroczenie sięgnęło zenitu, a dalej była już tylko przejrzystość myśli. Mężczyźni litrami wlewali w siebie szampana w nadziei na powrót do szczęśliwszego stanu pijackiej nieświadomości, ale bez względu na to, jak dużo pili, jasność umysłu nie chciała ich opuścić.

Instynkt podpowiadał mi, że nadchodzi śmierć. Nie wiedziałam, kiedy i jak, ale nie chciałam być częścią tego spektaklu. Zaczęłam wycofywać się na tyły domu, licząc, że zdołam wymknąć się niepostrzeżenie.

Taro zatrzymał mnie w kuchni. Stał sam przy tylnych drzwiach z butelką rosyjskiej wódki w ręku.

- Dokąd się wybierasz? - Wydawał się spokojniejszy od swoich towarzyszy, co wcale nie rozwiało moich obaw.

- Muszę skorzystać z toalety.

- To chyba nie jest droga do toalety, prawda? - Upił łyk wódki z butelki, mierząc mnie podejrzliwym wzrokiem. - Daj mi buty.

Oddałam mu balerinki. Chcąc bardziej go ułagodzić, wyrwałam mu butelkę i wypłam spory haust. Dziarskim krokiem ruszyłam do łazienki. Po chwili odwróciłam się i zobaczyłam, że Taro śledzi moje poczynania.

Bezpieczna za drzwiami łazienki, poczułam przyspieszone bicie serca. Nie miałam wątpliwości, że o północy coś się wydarzy. Spojrzałam na okrągły zegar elektryczny wiszący na ścianie. Głośnym tykaniem obwieszczał upływ każdej sekundy. Do północy zostały tylko cztery minuty.

Teraz albo nigdy. Otworzyłam okno najszerzej jak mogłam, wspięłam się na umywalkę i zaczęłam przeciskać się przez nie, obcierając ręce do krwi.

Poniżej nie było żadnego występu, na który mogłabym się opuścić. Od ziemi dzieliły mnie dwa metry.

Skoczyłam. Wylądowałam niezgrabnie, szorstka trawa podrapała mi ręce i boscie stopy. Nie miałam czasu przejmować się stłuczeniami i siniakami. Nie oglądając się za siebie, popędziłam na plażę. W ciemnej wodzie zobaczyłam zabitych. Ich głowy wystawały ponad falą przypląwu niczym rząd kamieni.

- Ratunku! - zawołałam. - Pomóżcie mi!

Żaden nie odwrócił się w moją stronę. Pozostali na wieczność uwięzieni we własnym bohaterstwie i śmierci. Moją jedyną nadzieją była pobliska grotka. Wiedziałam, że mogę tam przeczekać noc. Może nawet zostać do powrotu Brytyjczyków.

Byłam w połowie drogi, kiedy nagle jakaś siła oderwała moje stopy od ziemi. Powietrzem wstrząsnęła potężna eksplozja. Głośniejsza od wystrzału.



Upadłam na piasek. Dzwoniło mi w uszach, świat wokół mnie zadrżał w posadach. Zostałam ranna? Pomacałam się, ale na szczęście byłam cała. Spojrzałam za siebie. W moją stronę płynęła chmura piasku. Drobinki wciskały mi się do oczu, oślepiając jak namacalna mgła.

Kiedy tuman opadł, zobaczyłam dom na plaży. Z każdego otworu buchały pomarańczowe jęzory ognia pochłaniające okna i drzwi. Lizały zewnętrzne ściany, rozświetlając czerń nocy. Dziękowałam w duchu za głośny trzask ognia, który zagłuszył krzyki ludzi w środku.

Chciałam uciec, ale nawet dzisiaj niechętnie przyznaję, że płakałam. Taro został w płonącym domu. Wtedy myślałam tylko o jego strasliwym bólu. W obliczu śmierci stał się najbardziej niejapoński. Z trudem wyobrażałam go sobie, jak ze stoickim spokojem poddaje się płomieniom niczym hinduska wdowa na stosie pogrzebowym zmarłego męża. Jak wyszedł naprzeciw swojemu przeznaczeniu? Krzyczał ze strachu?

Serce waliło mi jak młotem. Gdybym poruszała się wolniej, spłonęłabym tam żywcem, zamieniając się w popiół nieodróżnialny od popiołów ludzi, którzy uczynili mnie niewolnicą. Roztrzęsiona podniosłam się z ziemi i pobiegłam do grotu. Poszukiwania ducha Taro odłożyłam do jutra.

Z nastaniem dnia otrzepałam się z piasku, który osiadł na mnie w czasie snu. Opuściłam grotę i poszłam brzegiem morza, trzymając się w bezpiecznej odległości od tłących się zgliszczy. Nie chciałam oglądać ciała. Szukałam duchów. I duchy się pojawiły. Cztery stały, zawodząc, pośrodku szerniałych ruin. Taro nie było. Żyjąc z nim tak długo, jedno wiedziałam na pewno: będzie miał ducha. Ten człowiek zasłużył na pośmiertną udrękę.

Z niedowierzaniem jeszcze raz przeczesalam plażę, wypatrując bezskutecznie jego ducha. Zaniepokojona i zawiedziona ruszyłam w głąb lądu.

Słońce prażyło już mocno, droga pod stopami paliła jak rozgrzane węgle. Po trzech kilometrach natknęłam się na zwłoki mężczyzny leżące twarzą do ziemi na poboczu. Serce podeszło mi do gardła, ale to nie był Taro. Zdjęłam mu buty. Mokasyny były przynajmniej o dwa numery za duże, ale lepsze to niż nic. Podziękowałam duchowi czuwającemu w milczeniu przy ciele i poszłam dalej.

Do miasta miałam dwadzieścia cztery kilometry. Nigdy przedtem nie doświadczyłam Wyspy tak bezpośrednio i zmysłowo jak tamtego upalnego sierpniowego dnia, wędrując pieszo ze wschodniego wybrzeża ku jej administracyjnemu sercu na środkowym południu. Krajobrazowi daleko było do malowniczości. Pod równikowym słońcem żaden jego element mnie nie oczarował. Mimo wszystko po latach uwięzienia coś we mnie drgnęło.

Ze stanu dróg, oznakowania, zieleni i agresywności komarów można się dowiedzieć, które części kraju cieszą się specjalnymi względami władzy. Brytyjczycy nie dbali o Małe Indie i Kampung Klang, gdzie mieszkali Malajowie. Nieco więcej uwagi poświęcali Chinatown, którego mieszkańców uważali za przydatnych. Na tych obszarach rosło niewiele drzew, drogi były nierówne, a kanały ściekowe pełne odpadków. Oczywiście wiedziałam o tym już przedtem, ale tego dnia - pierwszego dnia wolności - rozjaśniło mi się w głowie. Uwierzyłam, że mogę pomóc naprawić tę sytuację, a przynajmniej upomnieć się o sprawiedliwość.

Im bliżej miasta byłam, tym większe zmiany dostrzegałam w krajobrazie. Czarno-biały świat zabarwiał się i stopniowo nasycił kolorami. Punktem zwrotnym był Cudowny Świat. Jego jasnoczerwone blanki wdarły się do mojej świadomości. Brama stała otworem. Wokół kłębiły się tłumy ludzi pragnących wejść na teren miasta za murem. Niektórych przygnała chorobliwa ciekawość, większość jednak przysła dlatego, że wreszcie mogła swobodnie przekroczyć tę bramę. A potem z poszarzałymi ze zgrozy twarzami przedzierali się przez napierającą ciżbę, by znaleźć się jak najdalej od widoku opustoszałych baraków, gdzie żony, córki i siostry mieszkańców Wyspy były więzione i gwałcone.

Teraz każdy inny rejon miasta prócz Cudownego Świata przypominał park rozrywki. Kobiety i mężczyźni tłoczyli się na High Street, pluli na japońskie napisy i znaki i walczyli między sobą o prawo pierwszeństwa do ich zniszczenia.auta trąbiły, torując sobie drogę przez tłum, zderzały się jak samochodziki w wesołym miasteczku i beztrudnie ignorowały przepisy.

Nad Zakazanym Wzgórzem strzelały fajerwerki. Nikt nie wiedział, kto urządza ten pokaz, co czyniło go jeszcze bardziej porywającym.

Dotarłszy do magazynu, w którym mieściła się Szczurza Brygada, czyli jednostka Siedem Trzydzieści Jeden, jak nazywał ją Taro, przekonałam się, z jaką starannością Japończycy zatarli ślady swojej działalności. Z kompleksu zniknęło całe wyposażenie. Opanowali go teraz dzicy lokatorzy. Woń naftaliny i formaldehydu uleciała, ustępując miejsca odorowi niemytych ciał. Zniknęły chłodnie na tyłach magazynu. Prócz krwi, która zabarwiła na brązowo fugi między płytkami na podłodze, nic nie zdradzało ponurej przeszłości tego miejsca.

W byłych chłodniach roilo się od zmarłych. Zbili się w gromadę, ciągle drżący i zdezorientowani długo po tym, jak ich okaleczone ciała wylądowały na wysypisku śmieci. Ani wśród żywych, ani wśród umarłych nie widziałam Li.

Usiadłam na ziemi i zapłakałam nad tymi, których straciłam. Myślałam o tacie i Li, o panu Wee i Danielu. I o Kennecie. Przypuszczałam, że on też nie żyje. Pomyślałam nawet o Violet Wee, chociaż nigdy się nie polubiłyśmy.

Tamtego wieczoru w tłumie na ulicy widziałam tylko obce twarze.

Byłam bez grosza przy duszy, nie zdecydowałam się jednak zanoć w rezydencji Wee. Wspomnienia były zbyt świeże. Uwolniony więzień nie myśli o powrocie do celi. Poza tym nie czułam się wtedy bezdomna. Podczas długiego marszu do miasta dotarło do mnie, że cała Wyspa Dusz jest moim domem - każdy jej centymetr, od dżungli na północy po tętniący życiem port na południu. Kochałam tę Wyspę. Kiedy spłynęło na mnie to objawienie, zaczęłam na przemian śmiać się i płakać, nie wiedząc, czy to ze szczęścia, czy ze smutku, i czy to w ogóle ma jakieś znaczenie.

Nie byłam jedyną, która tego dnia wróciła do miasta. Po odejściu Japończyków wrócili zmarli, by tak jak ja odzyskać utracony dom.

## KWARTET

Brytyjczycy przemaszerowali przez miasto, śpiewając pieśni na cześć króla i kraju. Kiedy opadł kurz po defiladzie, nasza euforia zniknęła. Po żołnierzach zjawili się funkcjonariusze służby cywilnej z brytyjskimi flagami, które kazali ludziom wieszać.

Nadal czuję zapach tych flag: stęchlizna, tytoń i goździki. Pamiętam, jak się zastanawiałam, w czyich szafach były przechowywane i w jakim odległym zakątku imperium. W Rodezji? W Kairze? W Kalkucie? Wyobraźnia podsuwała mi obrazy minaretów, bosych dzieci i zakurzonych dziedzińców. Te romantyczne rozmyślania zostały szybko przerwane okrzykami: - Raz, raz, ruszać się!

Samozwańczy nadzorcy poganiali nas w obelżywym narzeczu, jakby każda sekunda nagle nabrała dla nich wartości, jakby mieli do czynienia z bezmyślną służbą albo z psami, jakby nie mieli pojęcia, przez co przeszliśmy w ostatnich latach albo zupełnie ich to nie obchodziło. Tymi okrzykami cofnęli czas do 1939 roku.

Jednym z pierwszych posunięć Brytyjczyków po powrocie było wyrzucenie zdesperowanych rodzin gnieźdzących się w hotelu Balmoral i przywrócenie zasady „wstęp tylko dla Europejczyków”. Zanim zaczęli odwiedzać szpitale i karmić biednych, nie omieszkali przypomnieć nam, że jesteśmy na naszej ziemi ludźmi drugiej kategorii.

Zaledwie kilka dni wcześniej wraz z tysiącami innych ludzi radośnie niszczyłam japońskie symbole, którymi usiane było miasto. Zagrzewani piosenkami w stylu *It s a Long Way to Tipperary* pastwiliśmy się nad nimi, aż krwawiły nam ręce. Cóż za optymizm! Kiedy kolonialiści zaczęli wykrzykiwać rozkazy, doświadczyliśmy zbiorowego *déjà vu*.

Wróciła stęchła woń przeszłości. Większość z nas porzuciła wszelką nadzieję, a wraz z nią brytyjskie flagi. Były deptane, leżały w rurach ściekowych, fruwały niesione wiatrem. Brytyjscy nadzorcy patrzyli z niedowierzaniem, jak otwarcie ignorujemy ich polecenia. Nie mogli nic na to poradzić. Było nas zbyt wielu. W końcu to do nas dotarło.

Szukałam pracy w szpitalu ogólnym przy Alexandra Road, wysadzonej drzewami deszczowymi alei w pobliżu portu. Brakowało im personelu,

a mnie środków do życia. Jak setki innych spałam w pozabijanym deskami pasażu handlowym przy High Street. Dni, kiedy mogłam rozkoszować się smakiem czekolady i koniaku oraz czytaniem do woli stały się odległym wspomnieniem.

Mogłam pójść do ogrodu na tyłach rezydencji Wee i wykopać część ich cennych rodzinnych pamiątek, przerażała mnie jednak myśl o okropnościach, na jakie mogłam się przy okazji natknąć.

Szpitalna recepcja mieściła się przy filarze podziurawionym kulami. Gromada pacjentów, pielęgniarek i duchów zgromadziła się wokół radioodbiornika i słuchała wywiadu z krewkim brytyjskim generałem.

„Nie, nie, nie! Nie byli lepszymi żołnierzami - poprawiał swojego rozmówcę. - To wierutne bzdury! Jeden brytyjski żołnierz równa się dziesięciu japońskim żołnierzom, niestety było ich jedenastu. Powtarzam, że wszystko sprowadza się do liczb...”

Ktoś zaśmiał się szyderczo, nikt jednak nie ruszył palcem, by wyłączyć radio. Czułam ulgę, że na falach eteru słyszeć coś innego niż napastliwe przemowy japońskich bestii, a słuchacze zastygli w nabożnym skupieniu, spragnieni choćby mitów. Zdegustowana kłamstwami generała wyszłam z budynku i nikt - ani żywy, ani umarły - nie zwrócił na mnie uwagi.

Poszłam do Woodbridge, szpitala psychiatrycznego tuż obok. Takich miejsc było na Wyspie nieproporcjonalnie dużo. Zaspokajały potrzeby wszystkich - od żon i córek kolonialistów, które nie umiały przystosować się do równikowej apatii, po tłum przepracowanych ludzi z Indii i Chin, którzy udawali szaleństwo, byle tylko spędzić kilka nocy z dala od brudnych i przepełnionych kwater.

Szpital Woodbridge był najlepszym z nich - największym, najnowszym, najskuteczniejszym w dozorowaniu pacjentów. Po jego powstaniu w 1935 roku wszystkie wiktoriańskie zakłady dla obłąkanych stały się zbędne. Woodbridge zgromadził wszystkich szaleńców pod jednym dachem, dzięki czemu starsze budynki zyskały nowe życie jako szkoły, biblioteki i hotele - wszystkie nawiedzone. Chociaż wielbiciele brytyjskiej architektury kolonialnej narzekali na surowość Woodbridge, który porównywali do bunkra, mnie cieszył brak kunsztownych zdobieć.

Od razu dostałam tam posadę recepcjonistki. Nikt nie pytał o referencje. Wystarczył im rzut oka na moje zniszczone dłonie. Miałam wszystkie palce, co czyniło ze mnie materiał na dobrą pracownicę. Personel był przepracowany, obciążony ponad siły opieką nad nowymi pacjentami - siostra przełożona rzuciła mi gniewne spojrzenie, gdy nazwałam ich więźniami - i potrzebna

była każda para rąk do pomocy. Większość pacjentów została przywieziona z przeludnionych szpitali i nie miała zaburzeń psychicznych. „Przynajmniej na razie”, mruknęła ponuro panna Joseph i gestem nakazała mi, bym poszła za nią.

Wzięła mnie na szybki obchód po oddziałach. Wszędzie unosił się zapach taniego środka odkażającego. Pacjenci byli różni - od podręcznikowych wariatów przywiązanych pasami do krzeseł po uległych głupków smarujących włosy jedzeniem, lecz znających imię każdej pielęgniarki. Umieszczono ich na różnych piętrach w zależności od stopnia zaawansowania choroby: najbardziej agresywnych na parterze, spokojniejszych na drugim i trzecim piętrze, a nieszkodliwych na samej górze.

Serce o mało nie zamarło mi w piersi, kiedy na czwartym - najwyższym - piętrze, w cichej sali przeznaczonej dla „śpiochów” zobaczyłam znajomą postać. Siedziała na pryczy. Wszyscy inni spali.

To był Li.

W pierwszej chwili nie wierzyłam własnym oczom, ponieważ zwróciłam się do niego po imieniu, a jego twarz nawet nie drgnęła. Kiedy podeszłam bliżej, przekonałam się, że to naprawdę Li, mój Li, w niebieskiej piżamie szpitala Woodbridge. Po paru sekundach zrobił zdziwioną minę, niczym mały chłopiec wyrwany ze snu. Wiedział, że powinien mnie rozpoznać, ale pomimo wysiłków nie potrafił.

- Nie patrz mu w oczy, Cassandro - upomniała mnie panna Joseph. -Zostaw to profesjonalistom.

- Może mi pani powiedzieć, co się z nim stało? - zapytałam drżącym głosem. - To mój brat.

Panna Joseph spojrzała na mnie zaskoczona. Jej oczy złagodniały.

- Cuda ciągle się zdarzają. - Podeszła do metalowej kieszeni na ścianie w końcu sali i wyjęła z niej zniszczony zeszyt. - Ach, tak. Nie został przeniesiony z innego szpitala. Jakiś Japonec przyprowadził go osobiście późną nocą, kiedy lało jak z cebra. Obaj byli przemoknięci do suchej nitki. Miałam nocny dyżur, siedziałam w recepcji. Pomyślałam sobie wtedy, że to bardzo dziwne. Prawdę mówiąc, dostałam gęsiej skórki. Japonec nie podał jego imienia, a ja oczywiście nie zapytałam. Był dosyć wysoki, zasadniczy, miał trzydzieści, może trzydzieści pięć lat. Japonec pomagający Chińczykowi... Takich rzeczy nie widywało się często, a to się stało jeszcze przed ich kapitulacją.

Wysoki, zasadniczy, po trzydziestce. Tym Japończykiem mógł być Taro. Z drugiej strony, dlaczego miałby spełnić ten dobry uczynek, a potem nic mi o tym nie powiedzieć i nie przypisać sobie zasług?

Zerknęłam na Li. Odniosłam wrażenie, że na mnie patrzy, uległam jednak złudzeniu. Li wpatrywał się w jakiś punkt pomiędzy nami. Panna Joseph czytała notatki ze ściągniętymi brwiami.

- Z tych informacji wynika, że rozumował jasno, ale kilka minut po Hiroszynie nagle dostał konwulsji i zapadł w śpiączkę. Dlatego go tu przysłali. Wygląda na to, że odzyskał świadomość dopiero dzisiaj rano. Teraz znajduje się w tak zwanym okresie adaptacyjnym. Stopniowo będzie znowu przystosowywał się do świata. Jeśli dopisze mu szczęście.

Kilka minut po Hiroszynie? Czy to miało coś wspólnego z tom? Pielęgniarka poklepała mnie po ramieniu.

- Szybko stąd nie wyjdzie. Nawiąż z nim kontakt wzrokowy do woli.

Po zapoznaniu mnie z zakresem obowiązków - znajomość języków miała mi się przydać w recepcji - zaprowadziła mnie do pokoju w budynku za szpitalem. Miła odmiana po pasażu handlowym. Podziękowałam jej i wróciłam pędem na czwarte piętro, przeskakując po dwa stopnie naraz. Bałam się, że Li zniknie, że miałam halucynacje. Był jednak tam, gdzie go zostawiłam. Siedział czujny jak surykotka. Jedyny przytomny między trzydziestoma kilkoma śpiącymi duszami. Wycelował we mnie palec wskazujący.

- Ja cię znam - powiedział w dialekcie szanghajskim. Miał ochryply głos.

- Oczywiście, że mnie znasz.

Podbiegłam do niego i mocno objęłam. Nie wstrzymywałam łez. Dzięki Bogu pielęgniarki karmiły go dożylnie, nie przypominał więc szkieletu, ale przez cały czas trzymał ręce opuszczone wzdłuż tułowia. Pragnęłam, żeby przypomnieli sobie ciepło mojego ciała i zapach. Nie reagował, więc puściłam go i przysiadłam na brzegu łóżka. Czekałam, aż sam przemówi.

- Znam cię - powtórzył - ale nie wiem kogo. Jestem zagubiony.

- Nie spiesz się. Wojna się skończyła. Najważniejsze, że żyjemy, Li. Ty i ja. - Znowu go objęłam. I znowu nie odwzajemnił uścisku.

- Wojna? - Skrzywił się i zamyślił. - Czy jesteś moją matką?

Chciało mi się płakać. Ale zamiast tego się roześmiałam. Dla jego dobra.

- Jestem twoją siostrą. Bliźniaczką. Jesteśmy w tym samym wieku. Co do dnia. Urodziliśmy się w Szanghaju. Razem przyплыliśmy na Czarną Wyspę. Na statku. Z naszym ojcem. Pamiętasz Szanghaj? Bullock Cart Water? Plantację?

Zacisnął powieki, zbierając myśli.

- Pamiętasz toffi? - drażylałam. Nagle otworzył oczy.

- Szanghaj! - Wykrzyknął rozpromieniony jak małe dziecko.

Ścisnęłam mu dłoń. Nie był całkiem stracony dla naszego świata.

- I toffi. - Uśmiechnął się szeroko. - Lubię toffi. Przyniosłaś mi?

- Nie, nie dzisiaj. Może jutro. Powiedz mi, Li, pamiętasz swoje specjalne toffi, które wszędzie ze sobą nosiłeś?

Pokręcił głową niezadowolony, że sprawdzam go, a może nawet oszukuję. Nagle oczy mu rozbłyły.

- Pamiętam, tak! - wykrzyknął. - Bliźnięta! Dzieci. Miały włoski na rękach. Są tu? Chcę je zobaczyć. Chcę się z nimi bawić.

- Nie ma ich tu, Li... Nie zabraliśmy ich na wyspę.

- Jak mogliśmy je zostawić?

Miał rację. Jak mogliśmy? Łzy stanęły mi w oczach.

- To było bardzo dawno temu.

- Ale ja chcę się z nimi pobawić - jęknął jak marudne dziecko.

Zanim zdążyłam powiedzieć coś uspokajającego, zaniósł się gwałtownym płaczem jak maluch domagający się od matki, żeby spełniła jego zachciankę.

- Chcę, żeby tu przyszły!

Do sali wbiegła pielęgniarka o euroazjatyckich rysach. Rozejrzała się, sprawdzając, czy swoim zawodzeniem Li nie obudził innych chorych. Trzymała w ręku strzykawkę. Na jej widok Li zdążył wydać serię nerwowych okrzyków, zanim igła zagłębiła się w jego udzie. Chwilę później osunął się bezwładnie na posłanie.

- Co mu siostra zrobiła!

- Nie tolerujemy tu krzyków. Dwanaście godzin snu powinno go uspokoić.

- Przecież rozmawialiśmy.

- Proszę wyjść albo zaaplikuję pani to samo - powiedziała gniewnie. Wróciłam do Li następnego ranka. W jego adaptacji do świata nastąpił

nieznaczny postęp. Wszystko, co pamiętał, zaczynało się w Szanghaju i tam kończyło. Wszystko, co kochał, zaczynało się na bliźniaczkach i na nich kończyło. Próbowałam odświeżyć mu pamięć. Podałam nazwę jego szkoły, imiona ulubionych kolegów, opowiedziałam o śmieciarzu, którego tak się baliśmy, a nawet o pontianak. Bez rezultatu. To samo było nazajutrz, dzień później, a nawet po przeniesieniu na oddział, po którym mógł się poruszać.

Mimo odzyskanej swobody Li pozostał więźniem przeszłości. Była melodią, od której nie mógł się uwolnić, jedyną, jaką znał. Przynajmniej żyje, mamy czas, trzeba dać mu czas, powtarzałam sobie.



Walczyłam z tym, ale zaabsorbowanie mojego brata przeszłością sprawiło, że mój umysł wypełnił się duchami.

Nie wiedziałam, jak albo gdzie zacząć szukać naszych sióstr. Na brytyjskie władze z pewnością nie mogłam liczyć. Musiałabym poznać, a potem podtrzymywać znajomość z ludźmi mającymi kontakty w Chinach, którzy chcieliby pisać listy albo przedsięwziąć kłopotliwe podróże w moim imieniu. To wszystko trwałoby miesiące, może nawet lata. Szczerze mówiąc, nie chciałam rozpoczynać poszukiwań, które przyniosłyby odpowiedź, jakiej nie byłam gotowa usłyszeć. Ważniejsze było, żebym najpierw stanęła na nogi i znalazła dla siebie miejsce w nowej sytuacji.

Kilka tygodni po powrocie Brytyjczycy urządzili w Padangu ceremonię na cześć cywilnych bohaterów wojny na Wyspie. Zaprosili wszystkich mieszkańców, ale ponieważ ten teren nadal kojarzył się ludziom z wykluczeniem wielu grup, na uroczystość przybyło tylko dwieście osób. Obserwatorzy, głównie ludzie z Zachodu, zgromadzili się na schodach ratusza. Organizatorzy spodziewali się tysięcy gości, którzy mieli zająć miejsca na trawie. Megafony okazały się właściwie zbędne.

Wmawiałam sobie, że idę, ponieważ nie mam nic lepszego do roboty, ale to nie była prawda. Jako ocalała z wojny mieszkanka Wyspy czułam się uprawniona do pójścia. Ciekawiło mnie, kogo nagrodi władza. Czy docenią miejscowych bohaterów, czy namaszczą raczej europejskich pracowników swojej administracji?

Zgodnie z moimi przewidywaniami zaczęli od wręczania medali brytyjskim mężczyznom i kobietom. Tylko nieliczni wyszli z wojennych opresji bez szwanku<sup>^</sup>- takie przynajmniej sprawiali wrażenie. Innych tak naznaczyły lata pobytu w Shahbandar, że nie mogli o własnych siłach wejść po schodach. Współczułam im, ale z antypatią myślałam o Komitecie, który zlekceważył miejscowych i najwyraźniej uznał, że wśród nich nie ma bohaterów. Ceremonia odbywała się wyłącznie w języku angielskim. Widziałam wzburzoną malajską rodzinę w odświętnych strojach, która szybkim krokiem opuszczała Padang. Zrozumieli zaledwie kilka słów. W końcu ja także wyrwałam się z tłumu. Chcąc wyładować złość, weszłam na Padang i skierowałam się do miejsca, gdzie trafiły pierwsze i największe bomby.

Środkowy krater był już wypełniony ziemią, która pozostała jednak łąsa. Przez cztery lata trawa tam nie odrosła. Dziwne, bo według popularnego na Wyspie powiedzenia, wystarczy w dowolnym miejscu wsadzić do ziemi patyk po lodach, a następnego dnia będzie tam drzewo.

Szybko zrozumiałam, dlaczego nie ma trawy. Moim oczom ukazała się grupa białych chłopców i dziewcząt, którzy udeptywali ziemię na brzegach dolinki. Byli opiekunami własnego grobu. Tratowali każdy kiełek wschodzący w miejscu wybuchu, gdzie dopadła ich śmierć.

- Nie chcę, żeby o nas zapomnieli - zwrócił się do mnie chłopiec o jasnych rzęsach.

Już miałam pocieszyć go jakimś frazesem, gdy nagle nastawiłam uszu. Przez megafon popłynęły niezachodnie nazwiska.

- Pan Zhang Ming... pan Iskandar Ibrahim... pan Kenneth Kee.. Kenneth? Więc on żyje? Pędem ruszyłam w stronę ratusza.

Kiedy dobiegłam na miejsce, ujrzałam schodzące po schodach trzy znajome sylwetki, każda przepasana czerwoną szarfą i z mosiężnym medalem na piersi. Uśmiechałam się tak szeroko, że rozboleły mnie policzki. Miałam przed sobą Świerszcza z charakterystycznym różowym znamieniem, Issę pozbawionego bujnych włosów oraz jedyne i niepowtarzalne Kennetha Kee. Ten osobliwy triumwirat uśmiechał się do zgromadzonych z powściągliwą wdzięcznością.

Byli zdumiewająco chudzi, zwłaszcza Świerszcz, którego kręłą sylwetkę dobrze pamiętałam jeszcze z Szanghaju. Kenneth nie wyglądał na wycieńczonego, poruszał się sprężysto i wytwornie.

Wysłałam im naprzeciw. Spodziewałam się, że zobaczę ich u podstawy schodów w otoczeniu dumnych i wzruszonych krewnych ale byli sami.

Kenneth dostrzegł mnie pierwszy. Oczywiście zachował kamienną obojętność, jakby spodziewał się mnie od dawna.

- Cuję się trochę śmiesznie, jak zdobywca brązowego medalu za pchnięcie kulą albo zut oscepem. - Uniósł brązowy medal z wytłoczonym kursywą napisem: „Za odwagę”. - Nie to co Kysz Wiktorii, prawda?

Miał dziwny głos. Sepleniał z zaciśniętymi szczękami, jakby brakowało mu zębów albo miał spuchnięty język. Nie odważyłam się go objąć, chociaż miałam na to ochotę. Sprawiał wrażenie człowieka, który gardził takimi przejawami bliskości. Tymczasem to Świerszcz nieoczekiwanie mnie uściskał.

Kenneth położył dłoń na ramieniu przyjaciela.

- Wystarczy, Zhang - powiedział - bo każą ci oddać medal.

Tylko Issa - czyli Iskandar Ibrahim, jeśli prowadzący poprawnie odczytał przez megafon jego nazwisko - zachował dystans. Zniknęły gdzieś jego złote kolczyki. Brakowało mu kciuka. Mimo to nadał roztaczał wokół siebie szamańską aurę. Jego bezmierna arogancja nie doznała w czasie wojny uszczerbku. Stał z dala od nas ze skrzyżowanymi na piersi rękami, w końcu raczył

nieznacznie skinąć mi głową. Wiedziałałam, że to ja muszę zrobić pierwszy krok. Nie zapomniałam, że zawiniłam wobec niego. Ja też nie zapomniałam.

- Bez włosów wyglądasz młodziej - zagadnęłam. Głupie słowa, ale nic innego nie przyszło mi do głowy.

Odchrząknął, a potem odezwał się tonem nie do końca nieprzyjaznym:

- Ty też nieźle wyglądasz, Cassandro. - Ostentacyjnie pominął „panno”. Już nie był moim sługą. Przyjęłam to do wiadomości.

W ten sposób zawarliśmy kruchy rozejm.

- Umieram z głodu - oznajmił Kenneth. We czworo oddaliśmy się od ratusza, nie czekając na zakończenie ceremonii.

Zanim znaleźliśmy się na ulicy, mężczyźni schowali odznaczenia do kieszeni. Kenneth zaprowadził nas do przydrożnego straganu indyjskiego muzułmanina. Tam usiedliśmy na stołkach i spałaszowaliśmy curry z dodatkiem prata, najsmaczniejszych placków na Wyspie. Na pytania o moje wojenne losy wykręciłam się stwierdzeniem, że miałam po prostu szczęście. Oni nie opowiadali o potwornościach więzienia Shahbandar. Wystarczyło jedno spojrzenie, by zrozumieć, jak bardzo stali się sobie bliscy. Dzielili się jedzeniem niczym bracia z biednej wielodzietnej rodziny. Zamknęli przedwojenne rozdziały swojego życia i odcięli się od dzielących ich różnic klasowych.

Uradowani tak szczęśliwym spotkaniem po latach, zamówiliśmy jedzenie, którego wystarczyłoby dla sześciorga. Objedliśmy się nieprawdopodobnie. Issa rzucił resztki gromadzie głodnych kotów z sąsiedztwa. Kenneth nie pozwolił, by cokolwiek się zmarnowało. Sięgnął po moją miskę z niedojedzonym curry.

- Zjem to - powiedział. Naśladując koty, zaczął chleptać gęsty sos. Przez chwilę mignął mi przed oczami jego język. Był czarny i do połowy rozwidlony.

Podchwycił moje spojrzenie.

- Pseraziłaś się? - zapytał, odsuwając miskę.

- Nie - skłamałam.

- Mas prawo się pserazić. Tez bym się pseraził, gdyby stary psyjaciel pojawił się nagle po kilku latach, a ja bym zobaczył, że psypomina węza. - Przesadził, ale była to przesada zamierzona. Po chwili jad zniknął. - Pomysłowi ludzie z tych Japońców. Psecięli go pośrodku nozyckami.

Och, Kenneth. To, że mówił zrozumiale, było z pewnością heroicznym aktem woli, efektem katorżniczego treningu i umiejętnego unikania trudnych słów, na przykład mojego imienia.

- Widziałam gorsze rzeczy - odparłam.

- Nie wątpię. - W jego oczach zapaliły się iskry gniewu. Jednym, surowym, świdrującym spojrzeniem dał mi do zrozumienia, że wie wszystko o moim życiu w klimatyzowanych pokojach, gorących kąpielach, jedzeniu do syta, porządnym posiłkach i śpianiu noc w noc z człowiekiem, który zamordował nie tylko pana Wee, naszego dobroczyńcę, ale także Daniela, jego przyjaciela. Tylko skąd to wiedział? Nie zdradziłam się ani jednym gestem, ani jednym słowem.

Zapiekły mnie policzki. Na ratunek przyszedł mi Świerszcz.

- I jak, powiemy jej? - zwrócił się do Kennetha. Zdziwiło mnie, że mówi po angielsku. Jeszcze bardziej zdziwiło mnie, że to była dobra angielszczyzna.

Kenneth cmoknął niezadowolony.

- Chciałem zacekać do podwiecorku, ale skoro poruszyłeś ten temat, niech ci będzie. - Rozejrzał się uważnie. Upewniwszy się, że nie ma w pobliżu niepowołanych uszu, zwrócił się do mnie: - Psegrupowujemy się jak skodniki, jak bakterie. To jeszcze nie koniec wojny. Chyba wiesz, o czym mówię. Chcą kupić naszą psychylnosć pieniędzmi, medalami, jakby mieli do czynienia z dziećmi. Takie z nas dzieci jak z Mohandasa Gandhiego, Candra Bosego i całej reszty, która spędza im sen z powiek w Birmie, Egipcie i Palestynie. Wszyscy zmierzamy ku temu samemu pseznaceni. Wiesz, że nie jestem romantykiem, ale nase dzisiejsze spotkanie to nic innego jak pseznacenie. To, że żyjes, dowodzi twojej wytsymałości. - Ostatnie słowo wymówił z gorzką ironią. Takie przynajmniej odniosłam wrażenie. - Psydałaby nam się taka kobieta jak ty, o wyjątkowych umiejętnościach.

Spiorunowałam Issę wzrokiem. Czyżby zdradził Kennethowi prawdę o moim darze? Issa mrugnął do mnie prawie niedostrzegalnie, zapewniając, że nie zdradził naszego sekretu. Dobrze. Czy Kenneth wie o Taro? Taro -mój wstyd i ból. Poczułam ściskanie w żołądku.

- Słuchasz mnie, Ca? Obchodzi cię to? Pytam, czy do mnie dołączysz. Do nasej trójki.

Milczałam oszołomiona. Powróciły wszystkie bolesne pytania „co by było gdyby?”, które od dawna próbowałam od siebie odsunąć. Co by było, gdybym przyjęła pierwszą propozycję Kennetha i poszła z nim do dżungli? Co by było, gdybym wspólnie z Issą przywołała armię duchów? Co by było, gdybym nie spotkała Taro? Co by było, gdyby pan Wee i Daniel nadal żyli? Czy wtedy dołączyłabym do Kennetha?

- Tak, oczywiście! - o mało nie krzyknęłam na całe gardło. Los dawał mi cel, drugą szansę. Tym razem jej nie zmarnuję. I wtedy poczułam w sercu szarpnięcie. Przypomniałam sobie o Li.

I znów Kenneth szybko mnie rozszyfrował.

- Ale mas wątpliwości.

- Chodzi o jej brata - mruknął Świerszcz.

- Wież mi - powiedział Kenneth tonem doświadczonego agitatora - rodzina jest cierpliwa. Historia nie.

Historia potrzebowała także pieniędzy. Przez kilka dni walczyłam z wyrzutami sumienia, w końcu powiedziałam Kennethowi o skarbach zakopanych w ogrodzie rezydencji Wee. Czy okradanie zmarłych jest niemoralne? Trudno osądzić. Wiedziałam jedno: sprawa wymagała funduszy.

Kiedy we czworo zajechaliśmy pod stary adres, poprosiłam Issę, który jak zwykle siedział za kierownicą, by wysadził mnie przed bramą wjazdową. W przeciwieństwie do pozostałych, których emocjonalne więzi z tym miejscem zostały zerwane przez lata spędzone w więzieniu albo nigdy nie istniały, ja nie mogłam zmusić się do wejścia na teren posiadłości.

Dżungla upomniała się o swoje. Trawa wybujała, dając schronienie wężom, ropuchom i waranom. Ci niewidoczni mieszkańcy nie budzili we mnie takiego niepokoju jak ci, których mogłam zobaczyć: bezimienne duchy snujące się wokół rezydencji. Niektóre były zapewne towarzyszami pana Wee, inne japońskimi żołnierzami, ale zza bramy nie mogłam ich rozróżnić.

Najbardziej przerażała mnie perspektywa spotkania z psem-człowiekiem. Czy był badi, czy tylko niespokojnym duchem, stanowił dowód mojego niepowodzenia. Kolejny powód do wstydu, o którym chciałam zapomnieć.

- Nie bój się żandarmerii - powiedział Kenneth, kiedy oznajmiłam, że stanę na czatach. - Nie patrolują jus tej okolicy. Teraz to my wypatrujemy sabrowników.

Świerszcz kiwnął głową i wręczył mi naładowaną strzelbę, co przyprawiło mnie o jeszcze większy niepokój. Zerknęłam na Issę, który posłał mi pełne zrozumienia spojrzenie. Tylko on wiedział, jak bardzo niepokoi mnie widok snujących się tu duchów. Nie wiedziałam, czy ma zamiar je „uśpić”, jak zrobił to z duchami z Zakazanego Wzgórza. Poza tym nie chciałam mówić mu o człowieku-psy.

- Pod różami. - Ta zwięzła wskazówka wystarczyła, by Issa wiedział, gdzie kopać.

Cała trójka rozplynęła się w ciemnościach z łopatami i jutowymi workami. Tylko cykady i ropuchy rozpraszały ciszę Tanglewood. Słyszałam każdy swój oddech na przemian z uderzeniami łopat o ziemię.

Powtarzałam sobie w duchu, że pan Wee chciałby przekazać te kosztowności młodemu człowiekowi, którego kochał jak syna. Gdybyśmy je zostawili, wpadłyby w ręce Brytyjczyków, którzy prędzej czy później zaczęliby zajmować opuszczone posiadłości. Mimo racjonalności tego rozumowania nadal czułam się jak złodziejka.

Godzinę później z ciemności wyłonił się Issa. Tuż za nim szli Kenneth i Świerszcz. Wszyscy nieśli pełne worki. Kiedy mnie minęli, wyczułam metaliczny zapach mokrej ziemi. Nocą w tropikach, zwłaszcza po ulewnym dniu, ziemia zawsze pachniała krwią.

Mężczyźni bez słowa zaczęli upychać worki do furgonetki, którą jak zawsze przedsiębiorczy Kenneth pożyczył od strażnika w fabryce. Mieli posępne miny. Najbardziej ponury był Świerszcz. Zrozumiałam, że natknęli się na ciała.

Roztrzęsiony Świerszcz upuścił na podjeździe łopatę. Rozległ się głośny łoskot. Zamarliśmy, ale prócz ujadającego gdzieś daleko psa świat nie zwrócił na nas uwagi.

Kiedy ruszaliśmy, zauważyłam na przegubie Kennetha złotego roleksa pana Wee. Lśnił nieco przyćmionym blaskiem, stanowiąc jedyny jasny punkt w ciemnym wnętrzu samochodu. Był trochę za luźny, ale Kenneth nosił go z subtelną dumą prawowitego właściciela. Nie okazywał tego, domyśliłam się jednak, że właśnie ten zegarek - a nie brązowy medal - traktuje jak prawdziwą nagrodę za odwagę, prawdziwe zadośćuczynienie za okaleczony język.

Miał rację co do siebie - nie był romantykiem. Miał pragmatyczną naturę. Wierzył w sprawiedliwość, równość, a nade wszystko w zapłatę za wykonaną pracę.

- Nie jesteśmy złodziejami - oznajmił stanowczo, gdy pod osłoną nocy opuszczaliśmy Tanglewood.

Nadal pracowałam jako recepcjonistka w Woodbridge. Codziennie odwiedzałam brata. Wieczorami chodziłam na zebrania z Kennethem i jego przyjaciółmi, szykując się do życia bojowniczką o wolność.

Li tkwił w potrzasku umysłu siedmiolatek. I miewał napady złości niczym siedmiolatek. Kiedy tylko wywierałam na niego presję, by przypomnieli sobie cokolwiek poza czasami w Szanghaju, zaczynał zawodzić albo zamykał się w gniewnym milczeniu. Panna Joseph radziła mi wtedy, bym dała mu czas.

Zawsze to samo słowo: „czas”. Tylu ludzi ulega wygodnemu złudzeniu, że czas - utożsamiany z cierpliwością i z biernością - leczy wszystkie rany.

Zapominają, a może nie wiedzą, że sam czas powoduje bolesne rany, pochłania wszystko i wszystkich.

Miałam dwadzieścia sześć lat, kiedy opuściłam Li, by dołączyć do Kennetha i jego oddziału. W 1948 roku dżungla w głębi Wyspy była już inna. Spodziewałam się, że pozostała nieprzebyta i wieczna. Nie wzięłam pod uwagę, że chociaż ona sama zadowala się trwaniem w niezmienności przez setki lat, cywilizacja w pędzie ku postępowi wdziera się na jej terytorium i zawłaszcza je dla siebie. Plantacje kauczuku zajmowały teraz dwa razy większą powierzchnię niż podczas naszego pobytu w Melmoth. Japończycy, którzy zajęli Wyspę rzekomo z racji jej strategicznego położenia, chcieli położyć łapę na tutejszych uprawach kauczuku. W czasie wojny plantacje na Wyspie, zamiast ulec zniszczeniu, rozkwitły. Po wojnie plantatorzy - głównie Brytyjczycy - przeprowadzili kalkulację i posadzili jeszcze więcej kauczukowców. Pod nowe uprawy przeznaczycyli obszar wokół Ulu Pandan. Kauczuk stał się dla rządu największym źródłem dochodów, a Kennetha owładnęła obsesja niszczenia plantacji.

Założył obóz na karczówisku, gdzie kiedyś mieściła się farma malajskiej rodziny.

Na grządkach jego ludzie ułożyli tor do biegania i zbudowali strzelnicę. Kuchnię i magazyn zaimprovizowali w stodole. Było nas w sumie trzydzieścioro. Spaliśmy w namiotach, gotowi zebrać się w każdej chwili. Co kilka miesięcy musieliśmy zmieniać miejsce pobytu.

Kenneth może i demonstrował swoje przywiązanie do komunizmu, ale ani razu nie widziałam go z książką Marksa czy Engelsa w ręku. Nigdy też nie głosił ich teorii. Jedyne rosyjskie dzieła, które czytał, to były powieści: *Wojna i pokój* oraz *Zbrodnia i kara*. Szybko się zorientowałam, że komunizm był praktycznym sztandarem, pod którym Kenneth jednoczył bardzo różnych ludzi. Miał cel bardziej elementarny i jednocześnie ambitniejszy: niepodległość. To ona była naszą jedyną religią i wyznawaliśmy ją z zapałem neofitów.

Wiele akcji, jakie podejmowaliśmy w imię niepodległości, spotyka się dzisiaj z negatywną oceną. Trochę mi wstyd mówić o szczegółach. Wystarczy powiedzieć, że wielu członków grupy Kennetha studiowało mapy, sporządzało plany, strzelało i konstruowało bomby.

Wielu, lecz nie Cassandra. Kenneth wyłączył mnie z tych działań i powierzył mi „domowe” obowiązki. Wraz z pięcioma innymi kobietami gotowałam, sprzątałam, hodowałam ptactwo i warzywa. Wszystko w służbie mężczyznom. Oburzała mnie ta rola, ale nie mogłam się skarżyć. Widziałyśmy

wracających z akcji rannych bojowników, widziałyśmy ich cierpienie. Młodego Samuela Lee zagryzły psy. Jego zmasakrowane ciało zostało na terytorium wroga.

My, kucharki, zawsze wiedziałyśmy, kiedy stało się coś strasznego. Kolacja przebiegała w grobowej ciszy, jedzenie pozostawało nietknięte, za to whisky szybko się kończyła. Moim papierkiem lakmusowym stał się Świerszcz. Drżenie jego rąk wiele mi mówiło. A piorąc ubrania mężczyzn, widziałyśmy bardzo osobiste dowody strachu znaczące ich bieliznę.

Odnowiłam moją znajomość z dżunglą. Poznałam rośliny i zwierzęta. Nasze żołądki zależały od jej hojności. Nie mogłam znieść myśli, że nasi mężczyźni, którzy codziennie ryzykują życie, mieliby usiąść do kolacji złożonej z gotowanych kłaczy pochrzynu i zupy z trawy. Minimum potrzebne do przeżycia nie musiało być monotonne. I nie było, skoro dżungla dostarczała mango, banany, kokosy i marakuje. Przynosiłam duszone ptactwo z warzywami z dodatkiem pieprzu i goździków kradzionych z pobliskich plantacji.

Tak żyłam przez trzy lata: mówiłam ściszym głosem, nie wychylałam się, zadowolona, że moja praca przynosi widoczne efekty: pełne brzuchy, czyste ubrania, dzielnych mężczyzn.

Tak się złożyło, że nasz piąty i ostatni obóz założyliśmy w pobliżu plantacji Melmoth. Doprowadzona do ruiny przez moją rodzinę, nigdy nie podniosła się z upadku. Dzięki temu okazała się teraz idealnym miejscem. Zarośnięte zielskiem połowy Kenneth przeznaczył na poligon dla oddziału.

Udając komiwojażera, spotkał się z obecnymi właścicielami Melmoth. Było to młode angielskie małżeństwo o nazwisku Manning, które kupiło majątek prawie za darmo. Traktowali to chyba bardziej jak romantyczny eksperyment niż przedsięwzięcie mające przynieść zysk. Uzbrowieni w kilofy próbowali sami przywrócić do życia ocalałe drzewa. Nie zatrudnili pracowników, co było tragicznym błędem, jeśli naprawdę zależało im na wznowieniu produkcji kauczuku. Kenneth szybko pojął, że Manningowie nigdy nie nadażą za dżunglą i chyba nawet nie mają takiego zamiaru. Jak na ironię, to właśnie ich nieporadność stanowiła najlepszą tarczę ochronną przed planami Kennetha. Spodobało mu się, że zamiast brytyjskiej flagi na przerdzewiałym maszcie przed domem powiewała piracka bandera.

Manningów łatwo można było wykończyć, Kenneth jednak uparcie chciał wierzyć, że są wyjątkowi. Słyszac stukot maszyny do pisania dobiegający codziennie z domu nadzorcy uznał, że są poetami. Kiedy nie mówił o niszczeniu wrogów, snuł czułe opowieści o Manningach: pan Manning



miał kręconą brodę, nosił batikowe koszule i był mołem książkowym. Eteryczna jasnowłosa pani Manning lubiła grać na fletni Pana własne kompozycje. Kenneth nazywał je „pogańskimi sielankami budzącymi leśne duchy w noc letniego przesilenia”.

- Psypominają mi wielu dobrych ludzi, których poznałem w Oksfordzie - oznajmił kiedyś podczas posiłku tonem graniczącym z parodią humorystycznego języka Wodehousea. - Podoba mi się tych dwoje. Są jak urocze maskotki.

Świerszcz zawierał w lesie własne przyjaźnie. Chociaż trudno to było pogodzić z jego drżącymi rękami, wszyscy wiedzieli, że jest najlepszym zabójcą w oddziale. Doskonale strzelał i niezawodnie posługiwał się nożem myśliwskim.

Od czasu do czasu koił nerwy, powracając do swojego młodzieńczego zamiłowania do owadów. Widywałam go o zmroku, jak wynurzał się z zarośli z jasnozielonymi patyczakami, czerwonymi ćmami i barwnymi motylami wczepionymi w jego włosy i ubranie. W takich chwilach wyglądał majestatycznie i spokojnie. Jego różnobarwne odkrycia wносиły do naszego obozu tak potrzebny powiew optymizmu.

W obozie obserwowałam, jak do głosu dochodzi Kenneth Przywódca, a odchodzi mój stary znajomy Kenneth Kee.

Nie tylko wykluczył mnie z głównego nurtu wydarzeń i skazał na rolę drugoplanową, ale też celowo się ode mnie odsunął. Nie wprowadził mnie w krąg wtajemniczonych, kiedy zjawiłam się w obozie, lecz potraktował jak kolejnego rekruta, z którym nic go nie łączyło. Rzadko rozmawiał ze mną na osobności, a kiedy już się odzywał, wydawał polecenia dotyczące kuchni albo przekazywał skargi, a wszystko tym swoim przeklętym neutralnym tonem. Przez trzy lata widywałam go niemal codziennie i w tym czasie dowiedziałam się o nim mniej niż w trakcie naszych przelotnych rozmów w pierwszych dniach inwazji, kiedy bezceremonialnie wtargnął w moje życie z Danielem.

Nie trzymał mnie tam altruizm. To było coś więcej, coś bardziej złożonego, trudnego do zdefiniowania. W końcu to ja wskazałam Kennethowi miejsce ukrycia kosztowności rodziny Wee. Co niedzielę, gdy zasiadaliśmy do wspólnej kolacji, wyobrażałam sobie zastawioną jadeitową broszkę albo srebrną łyżeczkę, dzięki którym jedliśmy ten posiłek. Przy każdym wybuchu bomby wspominałam brylantowe kolczyki pani Wee. Nie wątpię, że takie myśli przychodziły też do głowy Kennethowi. Bez względu na to, czy była

między nami duchowa więź, złoty roleks, który nosił nawet w najbardziej parne dni, przypominał mi nieustannie o naszej więzi materialnej.

Przez trzy lata obserwowałam, jak poświęca energię na przygotowywanie sekretnych planów, kontrolując ciało i język - mówił już normalnie - wiedząc mniesie życie samotnika. Nie znaczy to wcale, że stał się mistrzem zen. Wiele razy zachowywał się jak odrzucone dziecko, gotowe ciskać kamieniami w przyjaciół.

To oddalenie budziło we mnie jeszcze większą chęć odzyskania jego sympatii, a przynajmniej serdeczności łączącej nas przed wojną. Pozostawała kwestia zwrócenia na siebie uwagi. Kennetha coraz bardziej pochłaniały plany i koncepcje. Issa i Świerszcz strzegli go jak dwa sfinksy. Był dla nas niedostępny. Nawet kiedy pewnej niedzieli podczas posiłku siedzieliśmy obok siebie, odezwał się do mnie tylko raz. „Podaj sól”, prosił, co było wyrażoną nie wprost krytyką.

Wielu na jego miejscu wykorzystałoby swoją pozycję i postarałoby się o kochanki. Ale nie Kenneth Kee. O ile mi wiadomo, zawsze sypiał sam.

Po naszych atakach bombowych na kilka plantacji Brytyjczycy przystąpili do działania. Otoczyli swoje posiadłości wysokimi ogrodzeniami, uzbroili pojazdy, zatrudnili najemników do przeczesywania dżungli.

Nie mieliśmy wyjścia, musieliśmy bezustannie przenosić się z miejsca na miejsce jak zbiegowie. Mimo iż nasi przeciwnicy rośli w siłę, Kenneth nie miał zamiaru rezygnować z walki. Cóż za ironia losu, że obie strony zahartowała przegrana z Japończykami.

Pewnej nocy na początku 1951 roku, po kilku przygnębiających tygodniach w ulewnym deszczu, Issa zebrał całą pozostałą przy życiu piętnastkę wokół niewielkiego ogniska. Człowiek, który nienawidził przemawiać, po raz pierwszy zwrócił się do nas w tak oficjalny sposób. Już samo to wzbudziło mój strach.

- Znaleźliśmy się w punkcie zwrotnym - zaczął poważnie. - Dziś rano byłem w mieście. Ogłoszono stan wyjątkowy. Chińscy studenci prowadzą bojkot, urządzają protesty tak jak w Chinach. Od tygodni szkoły są zamknięte. Widziałem policję szturmującą Chinatown. Wymachiwali pałkami, nie bali się ich używać, bili nawet dzieci. Nie tylko w Chinatown źle się dzieje. Strajkują robotnicy w fabrykach. Strajkują kierowcy autobusów. Ludzie wyszli na ulice. Wszędzie pełno glińiarzy, szabrowników, rabusiów. Niepokój udzielił się wszystkim. Jak kiedyś, tyle że strach jest inny. Panuje chaos.

Słuchacze szeptali między sobą. Nie mówiąc tego wprost, Issa wzbudził wątpliwości, które trapiły ich samych od tygodni. Czy będąc w dżungli, walczymy po złej stronie? Tym razem cieszyłam się, że Li jest w Woodbridge i nie rozpętuje piekła na ulicach.

Issa odczekał, aż szepty ucichną.

- Uważam, że powinniśmy wrócić do miasta i tam podjąć walkę.

- Bzdura - wszedł mu w słowo Kenneth. - Niech uczniowie robią zamieszanie na ulicach. Szansę na zwycięstwo mamy tutaj.

Issa się nie spierał. Wyraził swoją opinię, tyle chciał zrobić. W milczeniu skinął głową i zniknął w ciemności.

Wszyscy ze Świerszczem włącznie poszli do namiotów. Tylko Kenneth i ja zostaliśmy przy dogasającym ognisku. Żar rzucał blask na jego zmęczoną, wymizerowaną twarz. Kenneth potrzebował snu i - czułam to - przyjacielskiego wsparcia.

- Ken... - zaczęłam.

Odwrócił się. Może chciał mnie odtrącić, a może zachęcić, żebym podeszła bliżej. Nie wiedziałam. Po kilku minutach milczenia, którego nie potrafiłam zinterpretować, zostawiłam go samego.

Tamtej nocy poszłam do namiotu Issy. Zerwał się gwałtownie i chwycił malajski sztylet. Mój widok nie stał niepokojem z jego twarzy.

- Potrzebuję twojej pomocy - szepnęłam. - Sama tego nie zrobię. Zrozumiał od razu. Nasza rozmowa została przerwana dawno temu, lecz nadeszła pora, by ją dokończyć.

Poszłam za nim do dżungli. Znów miałam wrażenie *déjà vu*, kiedy uświadomiłam sobie, że odrosły mu włosy i lśnią tak jak kiedyś, choć posiwiwały. Przestał mnie onieśmielać. Chwilami stapał niepewnie, a niesprawna prawa ręka, której nie mógł zaciskać w pięść, była straszną pamiątką po torturach, jakie przeszedł. Już nie przypominał bezwzględного pirata. Był raczej starzejącym się wodzem odrzuconym przez własne plemię.

Przeszliśmy ponad kilometr i wtedy nagle się zatrzymał.

- Wiesz, gdzie jest najbliższy cmentarz? - spytał.

Zrozumiałam jego intencje i przejęłam prowadzenie. Ruszyłam przez ciemniejszy las w stronę Krwawego Wzgórza na terenie Melmoth.

Ponieważ romantycznie usposobieni Manningowie nie ogrodzili posiadłości drutem kolczastym, nie trzymali nawet psów, po prostu weszliśmy na ich teren. W domu nadzorca było ciemno. Najwygodniej było zaszyć, że młodzi małżonkowie już śpią. Oczywiście, gdyby któreś z nich

wybiegło z naładowaną strzelbą, byłoby po nas. Wzięliśmy *tylko* parangi, by torować sobie drogę i obronić się przed ewentualnym atakiem dzikich zwierząt.

- Już dawno chciałam cię o to spytać - odezwałam się, przystając. - Dlaczego Wee nazywali cię Issa, skoro nazywasz się Iskandar Ibrahim?

W srebrzystej poświacie zobaczyłam jego uśmiech.

- Nie mam pojęcia. Przypuszczam, że *łatwiej było im to* wymawiać. Nigdy ich nie poprawiałem. Przynajmniej nie zwracali się do mnie Ahmadzie, chociaż tak nazywali każdego innego Malaja, z moim ojcem włącznie, który naprawdę miał na imię Abdullah.

Nie miał w sobie starej goryczy. Zaskoczył mnie tym. Kiedy ruszyliśmy dalej, uznałam, że powinnam przyznać się do moich przygód w tych lasach.

- Przed laty - zaczęłam - kiedy mieszkałam tutaj, spotkałam... spotkałam pontianak.

- Spotkałaś pontianak? A może również bomoh?

- Tak, złego bomoh.

- Miałaś wtedy...

- Tak, to był ten czas w miesiącu.

- Cóż, krew i czarna magia. Bardzo niebezpieczne połączenie. Zabawa z trupami w kotka i myszkę to niezupełnie moja dziedzina. Ty też nie powinnaś się tym zajmować. Mam nadzieję, że ta historia dobrze się skończyła.

- Tak sądzę.

- I w tej chwili nie masz...

- Nie - uspokoilałam go. Odetchnął głęboko.

- Musimy iść, Cassandro, jeśli chcemy wykonać nasze zadanie przed wschodem słońca.

-Abadi?

- Co z badi, Cassandro?

Chciałam przyznać się do nieudanego wezwania duchów, ale speszył mnie ton jego głosu - mówił jak troskliwy, choć zniecierpliwiony nauczyciel. Po co wracać do tamtej zawstydzającej historii? Teraz mieliśmy wszystko naprawić. Zacząć od nowa.

- Racja - powiedziałałam. - Musimy iść.

Krwawe Wzgórze było takie, jakim go zapamiętałam - pozbawione roślinności. Wspięliśmy się na czubek i rozejrzeliśmy po moich dawnych posiadłościach. Nawet w srebrnym blasku księżyca widziałam, gdzie kończą się bliźniacze części plantacji i zaczyna dżungla. Jaki mały był wtedy mój świat.

- Z Kennethem jest źle - zagaił Issa, gdy przysiedliśmy na suchej ziemi. - Psychicznie, fizycznie. Przywiązuje zbyt wielką wagę do niepodległości. Uważa, że to jego sposób na poprawienie historii.

- Poprawienie? Co masz na myśli?

- Od pobytu w Shahbandar ciągle rozmyśla o przeszłości. Niektórzy w ten sposób uczą się na starych błędach. Ale nie Kenneth. On je rozpamiętuje. - Issa nabrał powietrza. - Daniel też był w Shahbandar.

Oczywiście. Zrobiło mi się słabo na samą myśl.

- Nie obawiaj się. Kenneth obwinia tylko siebie. Ale gdybyś tym razem do nas nie dołączyła, nie wiem, co by zrobił. - Issa wyciągnął ręce i rozejrzał się. - W dżungli nie widzisz chyba zbyt wielu duchów?

Zmiana tematu. Dobrze.

- Nawet w moim dzieciństwie było tu dość czysto.

- Wiesz dlaczego?

- Mniej tragicznych śmierci?

- Chciałbym, żeby tak było. Ludzie umierali tu od tysięcy lat i zapewniam cię, że większość z nich nie była szczęśliwa. Panuje tu cisza, ponieważ duchy dżungli żyją we wnętrzu drzew. W czasach moich przodków mieliśmy rytuały bomoh, które umożliwiały umieszczenie tam duchów. Kiedy człowiek widzi duchy w dżungli, to powód do zmartwienia. To znaczy, że każde drzewo jest już zajęte. - Dotknął mojej prawej ręki zniekształconą dłonią. - Dzisiaj musimy je wezwać. Zawsze dobrze jest zacząć od cmentarza.

Moją rękę pokryła gęsia skórka. Nawet przy słabym świetle księżycy jego dłoń budziła mój wstręt. Z wyglądu i w dotyku przypominała zmumifikowanego szczura.

- Zrozum, Cassandro, że nie wierzę w wykorzystywanie duchów do własnych celów. To nie zabawki. Kiedy je wezwiemy, spróbujemy zmusić je do posłuszeństwa, ale duchy są jak ludzie i to one zdecydują. Ale plan Kennetha... Prędzej czy później Brytole nas znajdą. Drugiej odsiadki w Shahbandar nie przeżyję...

Skinęłam powoli głową, rozważając konsekwencje swojej zgody. Wiedziałam, że to niebezpieczna misja.

- Wyczuwasz zło na tym wzgórzu? - zapytał.

- Nie. - Mówiłam prawdę. To miejsce było czyste. - Kiedy tu mieszkałam, ludzie mówili, że chowano tu nowo narodzone niechciane dziewczynki. Albo żony oskarżone o niewierność. Tak czy siak, to były ofiary. Wątpię, żeby ich duchy okazały się złe albo trudne do opanowania.

- Obyś miała rację. Sprawy mogą bardzo szybko wymknąć się spod kontroli. -  
Milczał przez dłuższą chwilę. - Ile dusz jest tu pochowanych?

- Prawdę powiedziawszy, nie wiem. Dziesięć, nie więcej.

Issa już rozpinał koszulę. Tam, gdzie spodziewałam się ujrzeć wytatuowane węże i rozetki, zobaczyłam żywą mapę bielejących śladów po uderzeniach i różowych blizn.

- Jak widzisz, nie jestem już taki jak kiedyś. - Nie było w jego głosie urazy ani oskarżenia. - To nie jest robota Japońców. Sam sobie to zrobiłem zaraz po inwazji. Nie chciałem, żeby obdarli mnie ze skóry dla tych sekretów.

Księżyc spowiły gęste chmury i na kilka sekund świat utonął w ciemności.

- Mam zacząć wiosłować? - zapytałam.

Pokiwał głową zadowolony, że nie zapomniałam rytuału. Wbił we mnie wzrok, zanurzył palce w ziemi, wziął trochę grudek i rozsmarował je na twarzy i piersi. Poszłam w jego ślady. Ziemia na wzgórzu była dziwnie sucha i bezwonna. Pozbawiona korzeni roślin i owadów przypominała dziewiczą glebę, której nikt dotąd nie uprawiał. W przeciwieństwie do ciepłego mułu z Zakazanego Wzgórza, była chłodna.

- Oczyść myśli, moje dziecko, i skup się. Pamiętaj, przygotuj się na coś nieoczekiwanego. Zachowaj spokój, gdy spotkasz badi.

Wzdrygnęłam się. To słowo przypomniało mi o psie-człowieku.

- Nie ulegaj mu bez względu na to, jak będzie cię kusić. A nade wszystko bądź dzielna.

Wręczył mi nóż i zaczął mamrotać zaklęcia. Od lat nie słyszałam arabskiego i ze zdziwieniem przypominałam sobie, jak kojąco działa na mnie jego rytm i intonacja. Chwyciłam mocno rękojeść, zamknęłam oczy i zaczęłam wiosłować.

Robiłam to w imię wolności Wyspy. Robiłam to w imię własnej wolności.

Wiosłowałam w nieskończoność. Chociaż spodziewałam się takiego wysiłku, zapominałam, jak bardzo czas będzie się dłużył i jak szybko ręce odmówią mi posłuszeństwa. Kiedy myślałam, że dłużej nie dam rady...

Nadeszło wybawienie. Moje uszy wychwyciły szum fal, a powieki drgnęły, gdy padł na nie snop słonecznego światła.

Był dzień. Siedziałam w łodzi na morzu, otaczał mnie spokój. Wszystko było krzepiąco znajome. Przepatrywałam horyzont w poszukiwaniu badi. I zobaczyłam je w oddali, w czarnej szacie, tyłem do mnie. Czekałam, ale badi nie zwracało na mnie uwagi. Chciałam przywołać je krzykiem, lecz się powstrzymałam. Tym razem obiecałam sobie przestrzegać wszystkich zasad.

Kontynuowałam wiosłowanie. Oślepiające słońce paliło mi skórę i włosy. Z każdym pociągnięciem wiosła moje plecy i ramiona przeszywał ostry ból. Złapał mnie kurcz szyi i stawał się coraz bardziej dokuczliwy.

Kiedy dotarłam do granic wytrzymałości, postać w pelerynie odwróciła się w moją stronę.

Kim się okaże? Tata? Mama? Danielem? Zbliżała się. Tylko nie pies-człowiek. Błagam, tylko nie pies-człowiek...

Dwadzieścia stóp ode mnie badi zrzuciło pelerynę.

- A niech mnie, Cassandro - powiedziało.

Na falach stał ktoś, komu wiatr przeczesywał włosy i kto wyglądał, jakby miał wrodzony dar chodzenia po wodzie. Kenneth Kee. Nie ten z dżungli, lecz ten sprzed wojny - serdeczny, wolny od wątpliwości, pełen fantazji. Uśmiechnięty Kenneth.

Spokojnie, powtarzałam w duchu, spokojnie. To tylko złudzenie.

Badi Kenneth nieśpiesznie pokonał dzielący nas dystans i zatrzymał się tuż przed łodzią.

- Możesz już przestać wiosłować - powiedział. - Puść wiosło. Nie uwierzyłam mu.

- Zaufaj mi - dodał z naciskiem i oparł stopę o dziób, by unieruchomić łódź. - Nie wywrócisz się, póki tu jestem. Nie pozwolę na to.

Rzuciłam wiosło. Ramiona mi mdlały. Miałam wrażenie, że nie są już częścią mnie.

- Widzisz? Możesz mi zaufać.

Chciałam mu zaufać. Jego obecność obudziła we mnie tęsknotę za Kennethem, którego kiedyś znałam: młodym i pewnym siebie, mającym świat u stóp.

- Wyglądasz na szczęśliwego! - wyrwało mi się. Posłał mi uśmiech.

- Jestem szczęśliwy. Pytanie, czy ty jesteś szczęśliwa? Zebrałam się na odwagę.

- Byłabym szczęśliwa, gdybyś uwolnił dusze z tego cmentarza. Chciałabym je wypożyczyć na jedną noc. Bądź tak łaskaw i zrób to dla mnie.

Zaśmiał się.

- A ja myślałem, że będziesz chciała czegoś innego: żebym cofnął **czas** i zwrócił ci ukochanego Daniela.

Milczałam. Badi kusiło obietnicą spełnieniem życzenia niemożliwego, tak jak ostrzegał Issa. Za niemożliwe życzenia trzeba płacić jeszcze bardziej niemożliwą cenę.

- Jeśli tylko tego chcesz, to bardzo dobrze. Wyciągnęłaś wnioski z poprzedniej lekcji. Brawo. - Klasnął kilka razy. - Co dostanę w zamian?

Spojrzałam na młodzieńczy blask badi i porównałam go z ponurym obliczem dzisiejszego Kennetha.

- Chcę, żebyś był szczęśliwy.

- Cóż to za obsesja na punkcie szczęścia, Cassandro? Nie wiesz, że szczęście nie jest nagrodą za trud, jak medal albo, jak ujęła to Charlotte Bronte, ziemniak? Nie ma dyplomu ze szczęścia. Szczęście istnieje tylko w dążeniu do szczęścia, w walce. Nie można go kupić. Nie można na nie zapracować. Musi być przeżywane. Nie mydl mi oczu szczęściem. Zaoferuj mi coś solidnego, co mogę trzymać, czego mogę użyć. Jak twoje ciało.

Wszedł do łodzi i usiadł twarzą do mnie, zwieszając nogi do wody. Miał promienną opaloną skórę. Nigdy nie był równie czarujący.

- No, dalej, Cassandro. Jesteśmy bratnimi duszami. Oboje to wiemy. I oboje wiemy, że zawsze mnie pragnęłaś. Ech, te wszystkie samotne noce w dżungli. Wiedziałaś, że jestem sam, mimo to nigdy nie przyszłaś. Dlaczego? Z nieśmiałości? Ze strachu przed odrzuceniem? Przestań oszukiwać swoje łono, moja droga. Oboje wiemy, jaka z ciebie nienasycona istota, jak bardzo kierują tobą zwierzęce żądze. - Przysunął się tak blisko, że nasze twarze prawie się stykały. - Jak mokra się robisz, myśląc w ciemnościach, jak się pieprzymy?

Wyciągnął rękę do szpilki, która podtrzymywała moje upięte w kok włosy. Wyjął ją szybkim ruchem. Włosy opadły mi na ramiona. Zachowałam spokój, powtarzając w duchu, że to tylko projekcja mojego umysłu. Nieważne, co ten oszust mówi czy robi, ponieważ nie jest prawdziwy.

Podjęłam wyzwanie. Zaczęłam rozpinać białą bluzkę z długim rzędem maleńkich guziczków. W końcu niecierpliwie zdjęłam ją przez głowę i wrzuciłam do wody, gdzie natychmiast porwał ją prąd. Rozpięłam stanik i rzuciłam go w ślad za bluzką.

Czekałam, aż mnie dotknie, ale on cofnął się i otaksował w poszukiwaniu niedoskonałości. Potem zakręcił palcem.

- Jeszcze.

Wstałam ostrożnie w obawie, że łódź się rozkołysze, po czym zdjęłam spódnicę i ją także wyrzuciłam za burtę. W końcu przyszła kolej na bawełniane majtki, które odpłynęły jak papierowy stateczek. Staralam się zachować kamienną twarz w obliczu wpatzonego we mnie demona.

- Wystarczy - rzucił nieznoszącym sprzeciwu tonem i zachichotał. - Trochę za pulchne tutaj, zdecydowanie za bardzo trzęsące się tam. Mam



nadzieję, że nie pierwszy o tym mówię, ale jesteś potwornie... asymetryczna. Zupełnie nie w moim typie.

Poszukałam wzrokiem swoich ubrań. Fale zabrały je daleko.

Badi Kenneth wyjął nogi z wody - jakimś cudem jego spodnie pozostały idealnie suche - przykucnął na dziobie łodzi zwrócony twarzą w stronę morza. Pałałam żądzą zepchnięcia go do wody.

- Nic na siłę. - Łypnął na mnie okiem. - Romantycznego porywu nie można zaplanować.

- Rozumiem.

Wstał i wszedł na wodę. Poddała się jego ciężarowi, a potem wypchnęła jego stopę na powierzchnię jak gąbczasta piana. Poprawił ubranie i włosy - chciał mi pewnie jeszcze bardziej dokuczyć - po czym ruszył przed siebie.

- Stój! - krzyknęłam. - Nie pozwoliłam ci odejść. Odwrócił się z udawanym zdumieniem.

- To ja cię wezwałam. I ja decyduję, kiedy możesz odejść. Nie puszczę cię, póki nie wypełnisz swojej części naszej umowy. Pożycz mi dziewczęta.

Ściągnął brwi.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- O kobietach pochowanych na tym przeklętym wzgórzu.

- Uspokój się, żartowałem. Oczywiście wiem, o które ci chodzi, nawet jeśli ty tego nie wiesz. Krwawa część umowy wymaga jednak dodatkowej zapłaty. - Zaczął się ode mnie oddalać. - Już na ciebie czekają. - Odwrócił się ostatni raz, przechylił głowę i odezwał tubalnym głosem: - Zostawiłem cię samą sobie, Cassandro?

Po tych słowach pomknął po wodzie niczym wiatr.

Po zniknięciu badi spojrzałam na swoje nagie ciało. Nie mogłam już ocalić ani swoich ubrań, ani godności.

Zanim na dobre zaczęłam się nad sobą rozczulać, świat zawirował zgodnie z ruchem wskazówek zegara, jakby dostał się nagle pod wpływ diabolicznego magnesu. Bez wiosł w łodzi byłam bezradna. Mogłam tylko patrzeć, jak horyzont wiruje i wiruje, i wiruje. Nic z tego, co się dzieje, nie jest prawdziwe, powtarzałam. Nic a nic.

Wirowanie stało się szybsze, jakaś siła zassała mnie razem z łodzią i ubraniami unoszącymi się daleko na wodzie.

Zapadałam się w coraz głębiej rozwibrowany tunel obracający się tak szybko, że widziałam jedynie kurczący się skrawek błękitu. Owionęło mnie lodowate powietrze, gdy ciemne płynne ściany zbliżały się z każdej strony. Kiedy woda miała dotknąć mojej skóry, wchłonęła mnie ciemność.

Wszystko było czarne, póki nie zaczęłam rozróżniać stopni natężenia światła i cienia. W poświęceniu księżycy siedziałam ze skrzyżowanymi nogami na szczycie Krwawego Wzgórza, zwrócona twarzą do Issy, dokładnie tak jak przedtem. Z jedną różnicą - byłam naga.

- Okryj się. - Issa podał mi moje ubranie leżące na ziemi obok mnie. Przez cały czas odwracał wzrok.

Nie byliśmy sami.

Otoczała nas może setka dziewczynek, które nie weszły jeszcze w wiek dojrzenia. Miały podkreślone cynobrem usta, powieki obwiedzione kadzalem, rzucały nam trwożliwe spojrzenia panien młodych. Poważne, wręcz dostojne, odziane były w złote i srebrne ceremonialne szaty. Uderzyła mnie jedna rzecz: wszystkie były ogolone, nie miały nawet rzęs.

Niewinne istoty pochowane na wzgórzu. Zdziałało! Jak bardzo się jednak myliłam, sądząc, że jest ich zaledwie dziesięć.

- Witaj z powrotem, Cassandro - rzekł Issa. W jego głosie pobrzmiewał nieznany mi dotąd ojcowski ton. Był ze mnie dumny. - Rozmawiałem z naszymi młodymi przyjaciółkami. Pogłoski o nich potwierdziły się tylko w części. Nie zawiadły swoich rodziców ani mężów. Wszystkie były ukochanymi córkami i dlatego zostały wybrane na ofiarę. Zgodnie ze zwyczajem należało ułagodzić duchy przodków złożeniem dziewic w ofierze. Niestety, przodkowie nie prosili o nic takiego. Biedne dziewczynki umarły na darmo.

Ciągle nie mogłam złapać oddechu. Odsuwałam od siebie natrętne myśli o przerażeniu, jakie ogarnęło je w chwili śmierci. I jak bardzo musiały czuć się zdradzone.

- Są dwie nowe komplikacje - oznajmił Issa. - Po pierwsze: jest ich więcej, niż się spodziewaliśmy...

- Sama to widzę.

- Po drugie: okazałaś się potężniejsza, niż oczekiwaliśmy. Musimy mieć nadzieję, że obie rzeczy zrównoważą się wzajemnie i pozwolą kontrolować sytuację.

- Powiedziałeś im - zaczęłam drżącym głosem - czego od nich oczekuję?

- Tak. Nie było cię długie godziny.

Dziewczynka stojąca najbliżej nas, wyglądająca na osiem, najwyżej dziewięć lat, miała szarą skórę i nieruchome spojrzenie bardzo starej kobiety. Położyła drobną dłoń na ramieniu Issy i zwróciła się do niego łagodnie w nieznanym mi języku, składającym się z serii syczących spółgłosek.

- Mówi, że wykonają nasze polecenie dzisiaj w nocy, jeśli potem pozwolimy im odejść.

Pokiwałam głową.

-Ma moje słowo. Powiedz, że jestem im bezgranicznie wdzięczna. -I bardzo zasmucona, chciałam dodać, lecz nie był to odpowiedni czas ani miejsce na wyrazy współczucia. Musieliśmy wykorzystać ich oburzenie, ich gniew.

Dziewczynka i Issa szeptali między sobą. Spojrzałam na moje żołnierki. Miały na rękach srebrne bransoletki i filigranowe kolczyki, które wyglądały na drogie. To naprawdę były ukochane córki zwiedzionych ludzi.

- Mówi, że teraz powinniśmy położyć się spać. Tutaj, na wzgórzu - powiedział Issa. - W tym czasie one wykonają zadanie. Wszystko odbędzie się bardzo szybko.

- Spać tutaj? - Mimo odniesionego triumfu nie mogłam sobie wyobrazić pozostania na cmentarzu, zwłaszcza takim, gdzie duchy miały nad nami liczebną przewagę.

- Nie mamy wyjścia, Cassandro.

Dziewczynki otoczyły nas ciasnym kręgiem, a płuca wypełnił mi zapach pleśni i wilgotnej ziemi. Te stojące w pierwszym rzędzie wyciągnęły szare ręce i gładziły siwe loki Issy. Siedział nieruchomo, powieki ciążyły mu coraz bardziej, aż opadły, zmorzone snem. Teraz dziewczynki zajęły się mną: przeczesywały mi włosy palcami, pocierały dłońmi. Ich ręce były lodowate i szorstkie jak zmrożone gałązki.

- Nie walcz ze snem, Cassandro.

- Isso...

Wyciągnęłam do niego rękę. Byliśmy za daleko od siebie. Nie odwzajemnił tego gestu. -

- Nie walcz - szeptał. - Nie walcz.

## NOC PŁONĄCYCH DRZEW

Otworzyłam oczy i zobaczyłam padający śnieg. Nie były to wielkie płatki z piosenki Binga Crosby ego o zimowych cudach. Były przykurzone, ciepłe w dotyku, a kiedy topniały, robiły się najpierw szare, a później czarne. I nie można ich było strzepnąć. Miałam wyschnięte usta, czułam w nich gorzki smak popiołu, którego nie mogłam się pozbyć. Smak końca świata.

Issa spał kilka metrów ode mnie pokryty tym dziwnym śniegiem. Przypominał kamienny posąg ciemniejący z każdą *chwilą*. Kiedy tuman opadł, moim oczom ukazała się plantacja Melmoth.

Nawet kiedy podupała, w jej granicach rosły tysiące drzew. Nie ocalało ani jedno. Obie połowy plantacji wyglądały jak spustoszone przez tysiące błyskawic, które zostawiły po sobie jedynie zwęglone kikuty. Stojąc na szczycie wzgórza, widziałam dokładnie każdy skrawek ogołoconej z drzew plantacji.

Potrząsnęłam Issą. Poderwał się gwałtownie. Sądząc z jego szalonego wzroku, był równie zażenowany jak ja, zupełnie jakbyśmy spili się razem do nieprzytomności i ulegli zakazanej żądzy.

Na widok zniszczeń jego przerażenie wzrosło.

- Tych dwoje! - krzyknął, po czym puścił się pędem w dół zbocza. Pobiegnęłam za nim.

Na końcu prostego odcinka gruntowej drogi stał dom nadzorcy, a raczej to, co z niego zostało: pozbawiony dachu prostopadłościan o osmalonych ścianach, grożący zawaleniem przy najlżejszym dotyku.

Nie musieliśmy kopniakiem wyważać drzwi. Drzwi nie było. Nie uchowało się też ani jedno okno. Dach wyglądał jak zmieciony jednym podmuchem tornada, tyle że tornado miłosiernie pozostawiłoby chociaż krokwie. Prawie wszystkie meble zostały zamienione w popiół. Można było rozróżnić tylko nieliczne przedmioty z metalu: żelazny piec, mosiężną ramę łóżka, dwa biurka z maszynami do pisania. Wszystko wyglądało jak rzeźby z czarnego piasku.

- Jest tam kto?! - wrzasnęłam z nadzieją na cud. Odpowiedziała mi cisza.

- Może zauważyli ogień i odjechali - powiedziałam.

Wszelkie nadzieje na cud rozwiały się, gdy na tyłach domu zobaczyliśmy spaloną ciężarówkę marki Chevrolet. Stała na podjeździe, jej stopione opony przypominały lepką pastę.

Issa rozejrzał się uważnie.

- Mogą gdzieś tu być. Sprawdźmy plantację.

Pobiegliśmy z powrotem w stronę Krwawego Wzgórza. Issa zwalniał, coraz bardziej zmęczony. Na rozwidleniu dróg, tuż za wzgórzem, znaleźliśmy parę młodych Anglików.

A raczej to, co z nich zostało. Byli poskręcani i czarni, zupełnie jakby ktoś ułożył dwa sklepowe manekiny w pozach ludzi skręcanych w przedśmiertnych parkosyzmach, a potem zanurzył je w smole. Gdybym widziała to ze wzgórza, wzięłabym ich za gałęzie drzew. Z bliska taka pomyłka była niemożliwa. Bił od nich zapach gotowanego mięsa pokrytego powłoką zjełczałego tłuszczu. Zasłoniłam nos i się cofnęłam.

- Jak mogłeś pozwolić dziewczynkom na coś takiego? - zapytałam, z trudem tłumiąc wściekłość. - Nie dałeś im konkretnych instrukcji?

Issa zrobił krok do tyłu, zaskoczony moim wybuchem.

- Poprosiłem, żeby zniszczyły plantacje. Tylko plantacje. - Pokręcił głową. - Ale było ich więcej, niż się spodziewaliśmy. Ja sam nigdy nie przywołałem aż tylu duchów. Nie przypuszczałem, że ty... kobieca moc... że okaże się taka... Powinienem to przewidzieć.

Zgarbił się, przytłoczony świadomością porażki. Wielki Issa nagle wyglądał na zagubionego i bezradnego.

- Wybacz mi, Cassandro. - Osunął się na kolana. Łzy trysnęły mu z oczu, spływając dwiema czarnymi strugami po okrytych popiołem policzkach. -Odnajdę ich dusze. Przyniosę im spokój.

Łkając, pomogłam mu wstać.

- Żaden mój przyjaciel nie powinien padać na kolana - powiedziałam, zamykając jego okaleczoną dłoń w swoich dłoniach. - Rób, co musisz, Iskandarze.

Ruszyłam przed siebie w tumanie popiołu wznieconym podmuchem zmieniającego kierunek wiatru. Opadające płatki nie były już białe. Wilgoć przydała im szarości i na moich oczach ściemniło się jak o zmierzchu.

Biegłam przez pasy spalonej ziemi. Dogasający żar syczał pod moimi stopami, przypalając podeszwy butów, z których unosiły się smużki gryzącego dymu.

Z oddali dobiegł krzyk Issy:

- Nie mów Kennethowi...

Nie musiałam nic mówić Kennethowi. Nawet ślepiec wyczułby skalę zniszczeń. To, co zobaczyłam, napełniło mnie śmiertelnym przerażeniem. Kłamałabym jednak, gdybym nie przyznała, że poczułam respekt wobec własnej siły. Issa miał rację: to moja moc wywołała tę straszliwą, a jednocześnie niesamowitą w swoim pięknie apokalipsę. Moje działanie. Gdyby udało mi się wezwać te duchy w czasie wojny... gdybym skierowała je przeciwko Taro...

Nie tylko farma Melmoth uległa zniszczeniu. Ogień strawił ogromne brytyjskie plantacje oraz doskonale prosperujące firmy należące do amerykańskich potentatów produkcji opon - Firestone i Goodyear - chociaż, prawdę powiedziawszy, nie mieliśmy nic przeciwko Amerykanom. Daleko stąd dżungla pozostała bujna i nietknięta, ale obok nas świat przybrał barwę węgla. Akkr po akkrze przemierzałam wypalone połacie ziemi, zaledwie dzień wcześniej pokrytą zastępami kauczukowców. Teraz nic się tam nie poruszało, zamarło wszelkie życie. Prócz własnych kroków i oddechu nie słyszałam żadnych innych odgłosów - ani ludzi, ani zwierząt, ani nawet ptaków.

Czy dziewczynki unicestwiły wszystkie żywe istoty?

Uparcie szłam przed siebie. Paliły mnie oczy. Płuca drażnił wdychany pył. W powietrzu wisiało coś złowieszczonego, jakbym przedzierała się przez niezmierny gąszcz pajęczyn. Na mojej skórze i włosach osiadło tyle sadzy, że im dłużej biegłam, tym bardziej upodabniałam się do upiora.

Kiedy dostrzegłam pierwsze oznaki życia - malajskich zbieraczy mleczka kauczukowego, ratujących co się da z tlących się jeszcze baraków, europejską rodzinę wsiadającą do forda - byłam już tak przepełniona bólem, że nie mogłam przystanąć i się tym cieszyć.

Chciałam jak najszybciej opuścić to wypalone pustkowie.

Wreszcie dobiegłam do wilgotnej zielonej dżungli. Potknęłam się o wronę z postrzępionym skrzydłem, która kuśtykała, usiłując zejść mi z drogi. Przyklęłam zdyszana. W zaroślach kryły się inne ranne stworzenia - żaby, polne myszy, lemury, łuskowce, wszystkie w szoku. Te nieszczęsne istoty wałęsały o każdy haust powietrza, ich przerażone oczy wpatrywały się we mnie zza liści. Teraz musiałam uważnie stawiać kroki, by nie podeptać ich małych łapek i ogonów.

- Przepraszam - wydyszałam. - Przepraszam.

Nie wiedziałam, dokąd idę. Wiedziałam jedno: muszę się podnieść i biec. Kilometr dalej ominęłam olbrzymią cykadę na pierzastym liściu palmy i - bum! - wpadłam na kogoś, kogo przewróciłam.

- Cassandro!

Podskoczyłam z wrażenia. To był Kenneth. Miał głuchy ochryply głos, zupełnie jak tamta martwa dziewczynka na Krwawym Wzgórzu. Był zaszokowany i wyczerpany, w jego oczach zobaczyłam jednak ogromną ulgę. Pomogłam mu wstać. Nad naszymi głowami rozpościerał się baldachim fikusa bengalskiego, który wyglądał, jakby miał tysiąc lat. Jego mądre powietrzne korzenie pokrywał popiół.

- Przepraszam - powiedziałam.

Staliśmy przez chwilę bez ruchu, dwoje przyjaciół obsypanych pyłem, z przedwcześnie posiwiałymi włosami. Niewiele myśląc, objęłam go. Odważemnił mój uścisk równie spontanicznie. Trzymał mnie w ramionach długo, bardzo długo.

- Wygraliśmy - szepnął. - Myślę, że wygraliśmy.

Wróciliśmy do miasta, w którym ogłoszono stan wyjątkowy. Zamieszki wybuchały w dzień i w noc.

Jeden ze współwięźniów Kennetha prowadził dom z pokojami do wynajęcia i pozwolił mi, Issie, Świerszczowi oraz mnie zamieszkać tam, póki się nie upewnimy, że nikt nas nie szuka. Do tego czasu mieliśmy nie zwracać na siebie uwagi i obracać się tylko w zaufanych kręgach ludzi w Chinatown, gdzie Brytyjczycy nie mieli informatorów. Wyglądało na to, że nie jesteśmy poszukiwani, nie mogliśmy jednak uważać swojej anonimowości za coś pewnego. Zdesperowana władza, gotowa aresztować każdego, kto miał jakieś powiązania z chaosem w głębi Wyspy, wyznaczyła wysokie nagrody za wszelkie informacje. A zdrada jest przecież jednym z motywów przewodnich rewolucji.

Moje dzieło przez długie tygodnie nie schodziło z pierwszych stron gazet, a wraz z nim porażające liczby: w pożarze straciło życie trzydziestu sześciu plantatorów i ponad stu pracowników. Nie żałowałam start materialnych, ale modliłam się za duszę każdej z ofiar.

W którymś momencie jeden z redaktorów z „Daily Monitora” napisał tekst *Noc płonących drzew*. Obrazowy tytuł dał tej tragedii drugie życie. Mijały miesiące, a prasa bulwarowa nie przestawała publikować relacji naocznych świadków. Plantatorzy, którzy uszli z życiem, mówili o „mgiełkach” wylaniających się z ciemności, opowiadali historie o złotych i srebrnych „flagach” połyskujących między drzewami. Ich żony opisywały kroki oraz „przenikliwy i złośliwy śmiech małych dziewczynek zajętych zabawą”. Najbardziej przerażająco brzmiały świadectwa malajskich i tamilskich zbieraczy

mleczka kauczukowego, którzy spali najbliżej upraw. Ci ludzie widzieli błyskawice pojawiające się „nie wiadomo skąd” i wywołujące pożary, przed którymi zdołali uciec tylko najszybsi.

W mieście każdy miał swoje zdanie o tym wydarzeniu. Władza jak zwykle winała komunistów. W kawiarenkach Chinatown nieraz słyszałam, jak sklepikarze i sprzedawcy z niezachwianym przekonaniem powtarzali, że to sami Brytyjczycy zaplanowali ten sabotaż. Na targowiskach zalęknione gospodynie domowe oskarżały niewidzialne siły Wyspy Dusz i powtarzały: „To bardzo, bardzo nieczyste”.

Jestem pewna, że Kenneth stworzył własną zawiłą teorię na ten temat, nigdy jednak nie podzielił się nią z innymi. Obdarzony wyczuciem historii, miał rację, gdy w lesie przewidywał nasze zwycięstwo. Wygraliśmy - przynajmniej w głębi Wyspy. Większość kolonizatorów opuściła swoje plantacje, wielu wyjechało. Nie wiedziałam jednak, czy Kenneth uważał ten pożar za rękę Boga czy za ludzki błąd. Kiedy przebiegał wzrokiem nagłówek w gazetach, zatrzymywał się tylko przy interesujących go liczbach: bilansie strat finansowych, gwałtownym spadku popularności rządu. Nie okazywał natomiast zainteresowania innymi liczbami, które dotyczyły ludzi.

Nie wiedział o śmierci Manningów, póki nie przeczytał o nich pewnego wieczoru w kiosku z gazetami przy Cantonment Road. Krew odpłynęła mu z twarzy. Musiał oprzeć się o stojak z czasopismami o filmach w języku hindi.

- Dobry Boże... - wyszeptał. Trzy miesiące po pożarze dotknął go w końcu tragiczny, ludzki wymiar Nocy Płonących Drzew. - Miałem nadzieję nawiązać z nimi bliższą znajomość, kiedy wszystko by się zaczęło. Nigdy nie spotkałem ludzi, którzy czytali i pisali dla przyjemności. Nie na Wyspie. Może zabrzmi to głupio, ale czułem, że oni by mnie zrozumieli, że moglibyśmy zostać przyjaciółmi, towarzyszami, ludźmi równymi sobie. Moglibyśmy chodzić na filmy, toczyć poważne dyskusje o książkach i ideach przy kolacji i drinku. Może nawet odwiedziłbym z nimi Anglię. Jeździlibyśmy na wycieczki rowerowe po okolicy z babeczkami i gęstą śmietaną w piknikowych koszykach, rozmawialibyśmy, łowilibyśmy ryby, czytali i marzyli... - Złapał się za głowę. - Nie widziałem, żeby Issa kiedykolwiek otworzył inną książkę niż Koran, a to właściwie się nie liczy. Co do Zhanga, to czasem jest tak tępy, że zastanawiam się, czy umie się chociaż podpisać.

Mówił tak i mówił, a oczy zachodziły mu łzami. Wtedy zobaczyłam wyraźnie, z jakim poczuciem osamotnienia się zmagał. Był u kresu wytrzymałości. Jego samotność przebiła pancierz chłodnego opanowania. Babeczki



i śmietana? Kenneth Kee przeżywał załamanie nerwowe. Chcąc powstrzymać się od płaczu, sięgnął po pierwszą z brzegu gazetę i zgniół ją obiema rękami.

Patrząc na ten wybuch tłumionych emocji, przypominający dziecięcy atak wściekłości, zrozumiałam, jak wielką dysponuję mocą w porównaniu z nim. Ja, dziewczyna bez pieniędzy i koneksji, mogłam dokonywać wielkich tajemnych czynów, do których Kenneth Kee, błyskotliwy bohater wojenny, nie był zdolny.

- Chciałbyś coś zjeść? - zapytałam w końcu.

- Nie jestem głodny.

- Chodź, pójdziemy coś przekąsić. Nawet Mao je.

Zabrałam go na kurczaka z ryżem do restauracji U Mitzi, mojej ulubionej, od czasu pamiętnego wypadu z rodziną Wee. Po raz pierwszy od chwili naszego spontanicznego uścisku w dżungli Kenneth i ja byliśmy sami. Przypuszczałam, że to zaskakujące dla mnie okazanie emocji było dla niego powodem zażenowania. Wybraliśmy boks w rogu gwarnej sali. W oczekiwaniu na danie popijaliśmy herbatę Pu-erh.

- Nie znoszę tego miejsca - odezwał się. - Zawsze uważałem, że przychodzą tu bogacze, kiedy chcą udawać zwyczajnych ludzi albo przypomnieć sobie, co zwykli ludzie jedzą. Prawda jest taka, że „zwykli ludzie” nigdy tu nie jadają. Wszyscy wiemy, że to przybytek dla bogatych, do którego dobroczyńcy zabierają kochanki w tygodniu, a rodziny w niedzielę. Prawdziwi zwykli ludzie jedzą w ulicznych barach bez nazw, gdzie trzeba dzielić stół z innymi, a herbata zawsze jest zimna. Tam jadam kurczaka z ryżem. A tak przy okazji, czy wiesz, że U Mitzi była jedną z pięciu czy sześciu restauracji na Wyspie, które działały w czasie wojny?

- To była ulubiona restauracja pana Wee.

- Więc rozumiesz, o czym mówię. - Kenneth upił łyk herbaty. - Mam nadzieję, że nie odbierasz tych uwag jako mojej niewdzięczności.

- Kenneth, przyszedłszy tu na obiad. To nie jest aż tak skomplikowane. Nic nie jesteś mi winien.

- Nie mówiłem o wdzięczności wobec ciebie, lecz wobec pana Wee. Szczerze mówiąc, o wiele łatwiej dawać niż brać, nie sądzisz?

O co mu chodziło? Na mgnienie oka mój wzrok spoczął na jego złotym foleksie. Kenneth oczywiście zauważył moje spojrzenie i natychmiast zareagował. ....

- Nienawidzisz mnie, Cassandro?

-Nienawidzę?

- Tak. Czy to takie dziwne pytanie? Przecież ja nienawidziłem cię przez lata. - Przyglądał mi się uważnie, oczekując odpowiedzi.

- Nie robiłam tego z własnej woli. Chciałam przeżyć.

- Nie, nie chodzi mi o lata, kiedy byłaś dziwką. Nie podoba mi się to, ale rozumiem. Nienawidzę tego, że zaręczyłaś się z tym lizusem Danielem. Właśnie to mnie przekonało, że nigdy nie będzie sprawiedliwości, skoro nawet ktoś, kto powinien wiedzieć swoje, zawsze przedkłada bogactwo nad synchroniczność.

O czym on mówi? Oskarża mnie, że wybrałam Daniela zamiast niego, czy po prostu snuje ogólne rozważania na temat podziałów klasowych? Warknął jak dziecko, które nie umie się powstrzymać.

- Był taki cholernie dobry. Taki bezproduktywnie dobry. Jak wielkim można być nudziarzem? Boże, jak ja nienawidziłem tych jego szczenięcych oczu! Co za cholerne książątko!

W tej samej chwili spięty młody kelner przyniósł nam aromatyczne półmiski z kurczakiem i ryżem.

- Przestań. Tylko straszysz tego biednego chłopca - powiedziałam, posyłając wymuszony uśmiech kelnerowi, któremu wcisnęłam do ręki napiwek.

- Cassandro, nie obchodzi mnie, kogo straszę. Mówię ci prawdę. Nareszcie. A jeśli nie mogę się przed tobą otworzyć, to... - zachichotał, by mnie przekonać, że żartuje. - Jasne, mały Danny był miły, ale głupcy często są mili. Uważał, że wszystko mu się należy. I skaził wszystko, czego dotknął.

- Mnie także?

- Oczywiście. - Keneeth uśmiechnął się znacząco. - Być może najbardziej. Odsunęłam talerz.

- Ty wężu, jak śmiesz mówić tak o Danielu? To on wprowadził cię do swojej rodziny, dobrze cię traktował, nawet kiedy na to nie zasługiwałeś. Wiedz, że wolałabym siedzieć tu dzisiaj z nim niż z tobą. Źle się stało, że to on odszedł, a nie ty. A skoro już mówimy o sprawiedliwości, to zawdzięczasz mu wszystko, nie tylko ten głupi zegarek!

Wstałam od stołu. Chciałam wyjść. Kenneth wyglądał na zaskoczonego, że jego przytyki tak mnie ubodły.

- A ty nie? - zapytał,

- Co?

- Nie zawdzięczasz mu wszystkiego? - Spojrzał na mój talerz. - Na dodatek jesteś rozrzutna. Mogłaś to dokończyć. Już zapłaciłaś.

Powinnam była wtedy wyjść. Moja opowieść mogłaby mieć szczęśliwsze zakończenie. Ale ja nie ruszyłam się z miejsca.

Kenneth doprowadzał mnie do szału. Zaczęłam kolację na własnych warunkach, z pozycji siły, a on tak mnie skołował, aż przejął kontrolę nad sytuacją. Gdybym teraz wyszła, przyznałabym się do porażki. W końcu wygrał głód. W chwili, w której usiadłam, mój los został przypieczętowany. Ponieważ skusił mnie talerz kurczaka z ryżem, ponieważ nie miałam nic lepszego do roboty, a przede wszystkim dlatego że widziałam go płaczącego, nie umknęłam przed pajęczyną tkaną przez Kennetha Kee.

W milczeniu dokończyliśmy jedzenie. Oboje byliśmy wygłodniali. Obiady z gotowanego pochrzynu na kwaterze były okropne. Z każdym kęsem oddawałam pole Kennethowi, znów pozwalając się wciągnąć w wymowne pauzy, aluzje i zawoalowane myśli.

- Sądysz, że sytuacja kiedyś się poprawi? - zapytał, gdy zniknął ostatni kęs. Miał spokojny głos, jakby kontynuował przyjacielską pogawędkę. - Że wszystko, przez co przeszliśmy, było tego warte?

Te słowa mnie poruszyły. W charakterystyczny dla siebie mętny sposób Kenneth prosił o potwierdzenie.

- Oczywiście - odparłam.

- Dobrze. - Uśmiechnął się. - Też tak myślę, ale chciałem usłyszeć to od ciebie.

Wolnym krokiem wróciliśmy na kwaterę na skraju Chinatown, które stało się teraz labiryntem domów z tanimi pokojami do wynajęcia. Wiele z nich pełniło funkcję burdeli. Ścisły podział na strefy został złagodzony. To posunięcie władz było ostatnią rozpaczliwą próbą uspokojenia miejscowej ludności. Jakkolwiek nedorzecznie to brzmi - posługiwanie się prostytutką do stłumienia niepokojów - prawodawcy byli przekonani, że ten sposób zadziała. I chyba mieli rację. W ostatnich tygodniach coraz rzadziej dochodziło do rozruchów.

Godzina policyjna obowiązywała od dwudziestej pierwszej. Chociaż zostało jeszcze pół godziny, na naszej ulicy mężczyźni w różnym wieku całowali na pożegnanie towarzyszące im kobiety, żeby zdążyć na ostatni kurs do domu. Kenneth przyglądał im się beznamiętnie, jakby analizował antropologiczne okazy. Spodziewałam się, że usłyszę zjadliwe uwagi o starzejących się kurtyzanach albo o nieprzemijalności najstarszego zawodu świata, ale on Przez całą drogę do domu nie odezwał się słowem.

Nasze pokoje mieściły się na trzecim piętrze. Kiedy stanęliśmy pod moimi drzwiami, życzyłam mu dobrej nocy.

- Dobranoc? - mruknął z dziwnym uśmiechem.

Przyciągnął mnie do siebie i zamknął w niezdarnym uścisku mężczyzny nienawykłego do obejmowania innych. Przeniósł swój ciężar na mnie. Musiałam oprzeć się o ścianę, żeby utrzymać równowagę. Czułam się, jakbym podtrzymywała upadającą zbroję. Kiedy wreszcie się rozluźniłam i poddałam, jego uścisk stał się wymowny. Kenneth dziękował mi za kolację, przepraszał za wybuchy złości, cieszył się, że życie w dżungli dobiegło końca i obawiał się o los naszego ukochanego miasta. Przypadkowy obserwator pomyślałby, że jesteśmy w jakiś osobliwy sposób zjednoczeni.

I do pewnego stopnia miałby rację. Kiedy przesycone wonią czosnku usta Kennetha otarły się o moje ucho i szyję, zrozumiałam, że jego wybuch przy kolacji dotyczył spraw osobistych.

To było pożałowania godne uwodzenie. Bardziej atak niż zaloty. Mimo to otworzyłam drzwi do pokoju, by skryć się z nim przed niepowołanymi spojrzzeniami i nie dać powodów do plotek.

Wziąwszy pod uwagę wszystko, co się potem stało, trudno uwierzyć, że nie pamiętam nic więcej z tamtej pierwszej nocy z Kennethem Kee. Nie uważałam go za przystojnego czy pociągającego i jestem pewna, że nawet kiedy leżał już w moim łóżku, nie myślałam o nim w tych kategoriach. Prawdę powiedziawszy, Kenneth wydał mi się czarujący tylko w jednym momencie: gdy został ożywiony za sprawą badi, które - znając moją naturę - wiedziało, jak mnie pobudzić. Jako Kenneth Kee z krwi i kości stanowił osobliwą kompozycję. Miał zbyt ostre rysy, za wąską twarz, za blisko osadzone oczy. Śmierdział pomadą do włosów. Na dodatek był tego samego wzrostu co ja, a więc niski, jak na mężczyznę. Widziałam wszystkie jego niedoskonałości, jakie zauważyłam podczas naszego pierwszego spotkania w bibliotece rezydencji Wee.

Niewiele pamiętam też z naszych późniejszych schadzek.

Pamiętam natomiast dokładnie, że ciągnęła nas do siebie inna siła, wolna od zwyczajowych ram cielesnego piękna. Od czasu harców z Li w domu na plantacji z nikim nie czułam tak intensywnego porozumienia. Rozproszyliśmy samotność naszych dusz. Wykorzeniliśmy z nich poczucie wyobcowania. Razem poczuliśmy się normalni. W każdym razie ja na pewno.

Normalność może uzależniać w każdych czasach, a w dniach *stanu* wyjątkowego, kiedy na ulicach roiło się od uzbrojonych policjantów, jej działanie było szczególnie silne. Nie mówię tego, by się usprawiedliwiać, ale tylko tak mogę wyjaśnić niewytłumaczalne przywiązanie do kapryśnego mężczyzny, który często mnie odstręczał.

Spotykaliśmy się kilka razy w tygodniu, zawsze w moim pokoju i zawsze w tajemnicy. Kenneth nie chciał, żeby Issa i Świerszcz się o nas dowiedzieli.

To była jedna z wielu rzeczy, o których nie musiał mówić, ponieważ bezbłędnie je wyczuwałam. Staralam się utrzymać nasz romans w tajemnicy, chociaż czynił mnie współwinną jego wstydu. Bo czyż nie było wstydem sypianie ze splamioną kurtyzaną, narzeczoną zmarłego mężczyzny?

Częstotliwość, z jaką deklarował, że mnie nienawidzi, feministki wprawiałyby w święte oburzenie. Na początku mówił to ze złośliwą satysfakcją, później z ironią, a w końcu powtarzał to jak zaklęcie, aż „nienawidzę cię” straciło pierwotne znaczenie i stało się perwersyjną wersją godowego nawoływania. Przypuszczałam, że używał tych słów, tylko dlatego że nie potrafił zdobyć się na wyznanie prawdziwych uczuć.

Niekiedy zdarzały mu się chwile wylewności. Leżąc wtedy po ciemku u jego boku, na krótko zyskiwałam dostęp do wnętrza tego wyjątkowo powściągliwego mężczyzny. Opowiedział, jak w Oksfordzie nauczył się prowadzić samochód i pracował jako szofer dla kilku profesorów, by dołożyć do studiów. Dowiedziałam się, że gdyby nie śmierć pana Wee, wróciłby na uniwersytet. W Balliol College zawarł wiele przyjaźni, zwłaszcza ze studentami z Afryki i Środkowego Wschodu, którzy - jak na ironię - przybyli do Oksfordu, by dowiedzieć się, jak obalić rządy Brytyjczyków w swoich krajach. Gdyby skończył studia, jako pierwszy w rodzinie miałby dyplom wyższej uczelni. Nie był jednak zżyty z rodziną. O bliskich powiedział tylko, że rzadko ich widuje. Pierwszego dnia każdego miesiąca wkładał do koperty gotówkę za dorywcze prace, których się imał, i wsuwał ją pod drzwi domu rodziców.

Chociaż żaden z jego „sekretoów” nie był ani szczególnie wstydlivy, ani nie rozjaśniał najgłębszych zakamarków jego duszy, on przedstawiał je niczym najintymniejsze wyznania, czułam więc presję odwzajemnienia się tym samym.

Kiedy, szlochając, powiedziałam mu o swoich utraconych siostrach, nic nie powiedział. Kiedy przyznałam, że jestem rozdarta wewnątrz, ponieważ rzeczy sprawiające mi przyjemność - czekoladę, koniak, dobrą książkę - poznałam dzięki Taro, tylko uśmiechnął się z wyższością. Pewnej nocy, gdy patrzyliśmy na uliczne cienie igrające na suficie, zdradziłam więcej niż zamierzałam.

- Co wiesz o duchach? - Zapaliłam papierosa, by czuć się swobodniej.

- Wiem, że mam ich mnóstwo - odparł. Przypalił swojego papierosa od żarzącej się końcówki mojego. - Dlaczego pytasz? Chcesz porównać nasze Przemyslenia na ten temat?

- Nie pytam w sensie metaforycznym.

- Ale to jedyne duchy warte naszego czasu. Inne są dla wariatów.

Dla wariatów? Znowu natychmiast odrzucił coś, o czym nie miał pojęcia. Dlaczego w ogóle zawracałam sobie głowę mówieniem mu o duchach?

- Och... - urwał. - Chodzi ci o prawdziwe duchy, tak? Milczałam.

- Dlaczego? Widzisz je albo coś w tym stylu?

- Coś w tym stylu - odparłam powoli.

- Ach - zaciągnął się dymem - tak mi się wydawało. - Nie wiedziałam, czy mówi prawdę, czy blefuje. - No, dalej, nie każ się prosić.

- I wyjdę na wariatkę?

- Och, nie bądź taka drażliwa. - Podał mi popielniczkę i usiadł. Patrzył na mnie, a jego oczy błyszczały w ciemności. - Więc to prawda?

- Od siódmego roku życia. - Są wokół nas?

- - Zawsze.

- A tutaj? Teraz? W tym pokoju?

Rzuciłam okiem na starego kulisa przycupniętego w kącie. Trwał w tym samym miejscu, odkąd zamieszkałam w tym pokoju, ale nigdy mi nie przeszkadzał.

- Jest jeden.

- Tak myślałem. - Uśmiechnął się i jeszcze bardziej wyprostował. - Widzę ducha tego ducha w twoich oczach. Opisz go.

- Chińczyk, około sześćdziesiątki, skóra i kości. Prawdopodobnie kulis. Siedzi w kącie. Nie przeszkadza. Patrzy na nas, ale chyba nie rozumie angielskiego.

Kenneth zerknął w tamtą stronę.

- Był tutaj, kiedy my... Widział to wszystko?

- Tak, ale nie przejmuj się. On nie bierze w tym udziału.

- Wiesz co? Jesteś wariatką, ale nie taką, za jaką cię uważałem. - Z szerokim, pełnym niedowierzania uśmiechem odrzucił kołdrę, położył się na plecach i westchnął głęboko. - O rany! - Dopalił papierosa, zapalił następnego, po czym zaczął wygłaszać coś na kształt szeptanego monologu. - Lepiej, żeby to nie był kawał. - Spojrzał w kąt pokoju, a potem odwrócił się do mnie. Wypuścił dym. - Jasna cholera. - Zaciągnął się i zachichotał radośnie. Z jego nosa i ust wydobyły się smużki dymu. - Cały ten czas. Umiesz utrzymać sekret. - Znowu zaciągnął się i wypuścił dym. Jego umysł pracował na najwyższych obrotach. - Powiedziałaś komuś jeszcze?

- Nie. - Odwróciłam wzrok, żeby nie dostrzegł w moich oczach Issy.

- Danielowi o tym nie mówiłaś?

-Nie.

- Nigdy?

- Jesteś pierwszy, Kennecie Kee.

Zachichotał, powodowany irracjonalną radością. Czułam ulgę, że zrzuciłam ten ciężar z serca, ale entuzjazm Kennetha wytrącił mnie z równowagi.

- Jasna cholera - powtórzył roześmiany i wyciągnął lewą rękę. - Spójrz. Gęsia skórka. Nie pamiętam, kiedy miałem ją ostatni raz.

Przesunęłam palcami po chłodnej łuszczącej się skórze na jego bicepsie -w przeciwieństwie do mnie Kenneth w ogóle się nie pocił - i wyczułam, jak pod wpływem mojego dotyku pojawiają się nowe wypukłości.

- Podoba ci się? - zapytał.

- Twoja jaszczurcza skóra?

Klepnął mnie w rękę za to, że udaję głupią.

- Widzenie duchów.

- Nie, w ogóle. Ale to nie był mój wybór, więc nie mogę myśleć o tym w tych kategoriach, a raczej nie mogę sobie pozwolić tak myśleć. Był czas, że z tym walczyłam. Przez lata. Ale człowiek dorasta i przystosowuje się do sytuacji. To jak ułomność. Trzeba się dostosować.

- Ułomność?

Patrzyłam, jak Kenneth zaciska usta, aż stają się jedną wąską linią. Jego mózg znowu pracował na najwyższych obrotach. Potem przewrócił mnie na poduszkę i przycisnął wargi do moich ust. Czułam, jak wsuwa w nie język, penetruje od góry i od dołu jednocześnie, jakby miał dwa języki.

- Bardzo dziwna z ciebie dziewczyna, Cassandro. Nad wyraz osobliwa.

Trzeba przyznać, że Kenneth zachował spokój godny polityka. Albo gada. Odczekał dwie noce, zanim wspomniał o tym, co pewnie przyszło mu do głowy natychmiast, gdy usłyszał o moim sekrecie. Spokojnie wybrał też najlepsze miejsce do kontynuowania tej rozmowy. Pierwszy raz zaprosił mnie do swojego łóżka.

Jego pokój był przestronny i schludny, zupełnie jakby Kenneth zajął go zaledwie kilka dni temu i nie zdążył się rozpakować. Właściwie miał za mało rzeczy, żeby zrobić bałagan. Na biurku leżał stos słowników, obok stał kubek z zaostrzonymi ołówkami. Łóżko było obrazem klasztornej ascezy: biała kołdra, białe prześcieradło, jedna twarda poduszka, od której bolała mnie szyja. To wewnątrz było tak nieskazitelnie czyste, że nie mógł pojawić się tam ani jeden duch.

- Myślałaś kiedyś o wykorzystaniu swojej „ułomności”? - zapytał swobodnym tonem. - Wykorzystaniu w taki sposób, żebyś zaczęła ją doceniać, zamiast uważać za brzemię?

- Na przykład do zdobycia bogactwa albo uratowania świata?

- Więc jednak brałaś to pod uwagę. - Zdjął mi z obojczyka jakiś kłaczek. - Spędziłaś sporo czasu z Issą?

- Nie. Szczerze mówiąc, on mnie trochę przeraża.

- Może kiedyś budził przerażenie, ale teraz przypomina raczej pomarszczonego stracha na wróble. - Usiadł i podał mi papierosa. - Podczas wojny, kiedy zaszyliśmy się w dżungli, opowiadał o swoim dziadku czy prapradziadku, który był jakimś szamanem mórz południowych. Zawsze uważałem to za bzdury -nie znoszę ludzi, którzy chwają się swoimi przodkami - i traktowałem jak rekompensatę za rozgoryczenie z powodu utraty ziemi, wód i czego tam jeszcze. Ale z upływem czasu jestem coraz bardziej skłonny uwierzyć, że miał albo ma -nie wiem, jak to ująć - jakiś związek ze światem duchów. Jak podczas Nocy Płonących Drzew. Zawsze podejrzewałem, że Issa maczał w tym palce.

- Przypuścimy, że tak - rzekłam ostrożnie. - Nie powiedziałaby ci o tym?

- Jasne, że nie. Czy gracz ujawniłby asa, którego ma w rękawie? Nie jest taki głupi, na jakiego wygląda.

Czy Kenneth dawał mi w ten sposób do zrozumienia, że jestem głupia, skoro przyznałam się do swoich zdolności?

- Issa jest jednym z twoich najbliższych przyjaciół - przypomniałam.

- Jest towarzyszem... na razie. - Zauważył moją konsternację. - Nie udawaj naiwnej, Cassandro. To ci nie pasuje.

- Daleko mi do naiwności. Zapalił papierosa.

- A wracając do wykorzystania twoich talentów z pożytkiem dla dobra ogółu. - Spojrzał na mnie czule. - To tylko sugestia, ale może spróbowałabyś nawiązać bliższą znajomość z Issą? Może oboje moglibyście, nie wiem... współpracować?

- Przy czym? Mielibyśmy urządzać seanse spirytystyczne?

- W tym mieście są ludzie, których trzeba zastraszyć, żeby skłonić ich do właściwego działania, i dobrze wiesz, kogo i co mam na myśli. Skoro możemy przyspieszyć ten proces, nie widzę powodu, żeby tego nie robić. Bóg mi świadkiem, nasi ludzie zaczynają się niecierpliwić. Nie możemy zmarnować takiej okazji. - Jego oczy nagle stały się zimne i złowrogie. - Oczywiście mam nadzieję, że tym razem oboje racycie się ze mną skonsultować, zanim wyrządzicie niepotrzebne szkody.



Następnego dnia po południu wybrałam się jak co miesiąc w odwiedzinach do Woodbridge. Jak na kochającą siostrę, za rzadko tam chodziłam. Dla Li czas się jednak zatrzymał. Kiedy pobiegłam do niego po latach spędzonych w dżungli, jego nonszalancja uświadomiła mi, że nawet nie zauważył mojej nieobecności.

Li był odtrutką na zmienne nastroje i skryte zamiary Kennetha. Póki nie starałam się przypomnieć mu czegoś, czego nie pamiętał, pozostawał siedmioletnim chłopcem.

Zastałam go włóczącego się po ogrodzie w szpitalnej niebieskiej piżamie. Wąchał krzewy hibiskusa jak róże, chociaż hibiskusy nie pachniały. Jak zwykle pierwsze spojrzenie na niego wytrąciło mnie z równowagi. Niełatwo patrzeć na twarz dorosłego mężczyzny zachowującego się jak dziecko. Nauczyłam się jednak minimalizować oczekiwania, a wręcz doceniać jego prostolinijność.

Gdy mnie zobaczył, rzucił się pędem w moją stronę.

- Zaliczyłem śpiewająco - oznajmił, machając rękami jak ptak. Pod pachami miał plamy potu.

- Miałeś jakiś egzamin?

- Badania, głupia! - Podwinął lewy rękaw i pokazał mi bandaż na ramieniu. - Panna Joseph mówi, że już nie jestem chory. Krew jest już dobra.

Zastanawiałam się, czy to prawda, czy to kolejne z jego urojeń.

- Jak się czujesz?

Wykonał kilka tanecznych figur i zrobił gwiazdę, o mało nie wpadając na trzy katatoniczki na wózkach. Wylądował na tworzących żywopłot iksorach. Natychmiast zjawiała się pielęgniarka w średnim wieku. Gestykulowała żywo, a w jednej ręce trzymała niedojedzoną kanapkę z szynką.

- Nie mogę cię zostawić nawet na chwilę! - warknęła, po czym zwróciła się do mnie: - On ma tyle energii, że musimy znaleźć mu jakieś zajęcie. Biega po całym ogrodzie. Kiedy w nocy robimy obchód, a jego nie ma, wychodzimy z budynku i znajdujemy go śpiącego na trawie.

- Przepraszam, panienko - powiedział Li. Trzymał ręce za plecami i z trudem ukrywał szelmowski uśmieszek. Do wszystkich pielęgniarek zwracał się „panienko”, ponieważ tak nazywali je starsi kantonscy pacjenci, a poza tym wiedział, że akurat ta pielęgniarka wyjątkowo nie lubi tego słowa.

- Czy naprawdę badano mu krew? - zapytałam ją.

- Tak. Ma doskonałe wyniki. Nikt tutaj nie ma lepszej morfologii. To chyba wyjaśnia jego niespożytą energię.

Li uśmiechnął się szeroko.

- Widzisz? Mówiłem ci!

Pielęgniarka poklepała go po plecach i poszła dokończyć lunch. Usiadłam z Li na kamiennej ławce w cieniu drzewa deszczowego.

- Och, och, och! - Zerwał się na równe nogi. - Prawie zapomniałem ci powiedzieć. Rozmawiałem z bliźniaczkami. - Zgiął palce wskazujące. - Xia-owen, Bao-Bao, Xiaowen, Bao-Bao, Xiaowen, Bao-Bao...

Te imiona. Nie słyszałam ich od lat.

- Przyszły do mnie. Chciały mnie zobaczyć. - Wskazał przestrzeń między dwoma krzewami czerwonego hibiskusa. - Były tam!

Spojrzałam w tamtą stronę. Nie zobaczyłam nikogo, ale przestrzeń była w sam raz dla dwóch małych dziewczynek.

- Kiedy je widziałeś?

- Nie wiem. - Li wzruszył ramionami. - Spałem, a one mnie obudziły. Spałem w środku, a one obudziły mnie na zewnątrz. Mam ci powiedzieć, żebyś się nie martwiła. Powiedziały, że są szczęśliwe, bo są razem.

- Li... - zaczęłam ostrożnie - czy to były duchy?

- Nie! - zapisał rozbawiony. - Jak możesz mówić coś takiego?

- Na ile lat wyglądały? Zastanawiał się przez chwilę.

- Jak ty. Wyglądały jak ty. - Kiwał głową, potwierdzając własne wspomnienia. - Ciągłe mają włoski na rękach, jak w dzieciństwie.

- Mówiły coś o mamie?

- Zbudowały jej wielki, wielki dom, cały biały. Jest tam ogród różany, wielkie, wielkie pola i labirynt. Powiedziały, że kiedy przyjedziemy do nich w odwiedziny, możemy tam zostać. Teraz są bardzo zajęte, bo muszą wszystkim ścisnąć dłonie.

- Czy tobie też ścisnęły dłonie?

- Jasne! - Westchnął demonstracyjnie. - Tylko nie mów mi, że myślisz, że one są duchami. Tylko wariaci widzą duchy, *jie, jie*.

Pokazał mi prawą dłoń. Była poplamiona jasnoczerwonym sokiem jakiegoś nieznanego kwiatu.

Nie mogłam doczekać się spotkania z Issą, ale on od powrotu do miasta trzymał się na dystans. Po kilku tygodniach wyprowadził się z naszego budynku do hoteliku w islamskiej dzielnicy na drugim końcu miasta. Stwierdził, że lepiej będzie się czuł „między swoimi”. Czy ta decyzja miała coś wspólnego z Nocą Płonących Drzew? Nawet Kenneth często nie wiedział, co

Issa porabia. Godzina policyjna i blokady ulic sprawiały, że jazda przez miasto była męką, której wszyscy staraliśmy się unikać.

Po kilku telefonach Issa zgodził się spotkać ze mną w kafejce Kandahar obok meczetu o białych ścianach. Powiedział, że wynajmuje pokój nieopodal. Koloniałści nigdy nie zapuszczali się w te wąskie brukowane uliczki nawet po to, by obejrzeć złote minarety i jadeitowe płyty na podłodze słynnego starego meczetu.

Był piątek tuż po popołudniowej zbiorowej modlitwie. Zapach curry i przypraw wiszący w powietrzu sprawiał, że dzień wydawał się jeszcze bardziej upalny i parny, niż był, mimo to mężczyźni wychodzący z meczetu po modlitwach mieli na sobie długie białe szaty i zawoje na głowach. Kiedy kilku z nich spiorunowało mnie groźnym wzrokiem, zorientowałam się, że na ulicach w tej części miasta obowiązuje segregacja płci. Tutaj kobiety były niemile widziane.

Nawet te wrogie spojrzenia okazały się łagodniejsze niż wzrok czterech policjantów Gurkhów stojących na pobliskim skrzyżowaniu. Po ogłoszeniu stanu wyjątkowego policja stała się wszechobecna. Ta czwórka trzymała dłonie na pistoletach. Miałam wrażenie, że moją obecność uważają za zagrożenie.

Zanim któryś z nich ruszył w moją stronę, spostrzegłam w tłumie siwą grzywę Issy i różowe blizny na ramionach. Pierwszy raz widziałam go w koszuli z krótkimi rękawami. Nadal wyglądał jak pirat lub dzin, ale Kenneth miał rację: było w nim coś ze stracha na wróble.

- Iskandarze! - zawołałam. ; Odwrócił się kiśmiechnął na mój widok.

- Witaj w getcie.

Co pomyśleli o mnie policjanci i wierni? To lepiej czy gorzej, że przyszłam na spotkanie z mężczyzną? Issa zaprowadził mnie do ciemnej pieczary, jaką była kafejka Kandahar, i wybrał stolik w kącie.

- On wie - oznajmiłam, gdy usiedliśmy. Issa skinął głową.

- To było nieuniknione.

- Chce, żebyśmy działali razem.

- Chce nas na siebie napuścić. - Zaśmiał się.

- Nic podobnego. Wszyscy chcemy tego samego, świat chce tego samego. Wypędźmy ich stąd. Oni sami już palą się do odejścia, trzeba ich tylko ponaglić. Jakaś akcja na niewielką skalę: minimum zamieszania, maksimum efektu. Najwyższy czas, Isso.

Moje słowa zawisły w powietrzu. Issa popijał swoją herbatę z mlekiem, ja popijałam swoją.

- Powiedz mi, kochasz go? - przerwał wreszcie milczenie. Zaskoczyło mnie to pytanie. Czy kochałam Kennetha? Bez względu na

to, co czułam, to nie była sprawa Issy. Nie zamierzałam pozwolić, by zmienił temat.

- Nie chcesz odzyskać Wyspy? Myślałam, że pragniemy tego samego - powiedziałam.

Uśmiechnął się.

- Masz rację, los Wyspy leży mi na sercu. Ale bardzo obchodzi mnie również to, że oddałaś mu zwierzchnictwo nad sobą, pozwoliłaś, żeby posyłał cię w tak błahych sprawach.

- Jestem tu z własnej woli.

- On wie, gdzie mieszkam. Wie, jak mnie znaleźć. To tutaj spotykamy się raz w tygodniu. Byliśmy tu wczoraj. Siedzieliśmy przy tym samym stoliku i dyskutowaliśmy.

Więc Kenneth już wszystko zaaranżował. Dlaczego w takim razie mnie tu przysłał?

- Posłuchaj, jestem za stary na jego gierki. Kiedy cię poznałem, byłaś najbardziej pewną siebie i nieustępliwą młodą kobietą, jaką znałem. Wyjątkowo upartą. A teraz... - Spojrzał na mnie z troską.

- Byłam głupią dziewczyną. Teraz znalazłam wzniosły cel. Mogę okazać się użyteczna.

- Cassandro, to ty masz moc, nie on. Nie zapominaj o tym.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Znowu uderzyła mnie przemiana Issy: z enigmatycznego groźnego wroga w mądrego wujka.

- Oczywiście, że to zrobię - odezwał się w końcu. - Już mu o tym powiedziałem.

Musiałam uśmiechnąć się zbyt radośnie, ponieważ zaraz dodał:

- Nielatwo mi to przyszło. Pomimo tego, jak czasem działa, nie jestem jego Kalibanem. Chcę, żebyś wiedziała, w co się pakujesz. Jesteś dowódcą, nie jego żołnierzem. Dokończymy to, co zaczęliśmy w dżungli, ale nie możemy powtórzyć tamtych błędów. Jeśli znowu świadomie odbierzemy niewinnym życie - choćby jedno - zapłacimy za to później naszymi duszami. Staniemy się duchami. Pamiętaj.

Ta myśl szybko mnie otrzeźwiła.

- To była arogancja z mojej strony, że myślałam o duchach jak o armii - ciągnął Issa. - Duchy są nam równe. Kiedy nadejdzie czas zapłaty, Kennetha

to nie dotknie. Zapłacimy tylko ty i ja. Cena będzie bardzo wysoka. Jak wiesz, sprawy mogą wymknąć się spod kontroli. Wielu bomoh jest w stanie przeżyć tylko jedno przyzwanie duchów w życiu. A my chcemy podjąć drugą próbę w niecały rok po pierwszej. Zakładając, że wszystko pójdzie dobrze, przez długie lata będziemy osłabieni fizycznie i psychicznie. Lata, Cassandro. Nie rok, nie dwa lata, lecz pięć, sześć... Widziałem ludzi chodzących jak błędni przez dziesięć lat. Możliwe, że nie będziesz już taka sama. Twój refleks osłabnie, umysł się stępi. Postarzejesz się. O ile wszystko pójdzie dobrze. Jeśli pójdzie źle, umrzemy.

Roztoczywszy tę ponurą wizję, posłał mi uśmiech.

- Jest jeszcze inna cena. Kenneth to wyjątkowo zdolny człowiek, ale nie ma tego daru co my. I nigdy nie zrobi tego, co my. Jeśli nam się uda, poczuje, że zaciągnął u nas wielki dług. Ta świadomość będzie mu ciążyć. Dobrze wiesz, że tak.

Miał rację. Roleks na przegubie Kennetha przypominał mu codziennie o długu wobec rodziny Wee. Ten zegarek był jego złotymi kajdankami.

Zadałam sobie w duchu pytanie, czy mogłabym żyć z czystym sumieniem, gdybym nie wykorzystała tej okazji, jak wtedy przed wojną? Wyspa mnie potrzebowała. Niezależność, o jaką walczyłam przez całe życie, była teraz spleciona z jej losem. Skoro mogłam przynieść wolność ludziom na Wyspie, cóż znaczyła utrata paru lat zdrowia? Poświęciłabym życie, gdyby dzięki temu Wyspa wreszcie stała się nasza.

- Jesteś gotowa ponieść te konsekwencje, Cassandro?

- Przed chwilą mówiłeś, żebyśmy nie zapominała o mojej mocy. - Wzięłam go za rękę. - Naucz mnie swojego zaklęcia.

Kiedy instynkt popycha ku czemuś ludzi, usunięcie ostatniej przeszkody nie nastęrcza trudności. Brytyjczycy pragnęli odejść. To pragnienie malowało się na ich twarzach, kiedy w samo południe sączyli gin w barach, w sposobie, w jaki trzymali za ręce swoje dzieci na postojach taksówek. Czy w takiej sytuacji mogliśmy zmusić ich do pozostania?

Wiedziałam, że nie obędzie się bez ofiar.

Nie obędzie się bez żalu.

Ale na tym mieli zyskać wszyscy - wyspiarze i Brytyjczycy, żyjący i zmarli.

Dwa tygodnie po naszym spotkaniu zignorowaliśmy z Issą godzinę policyjną i ostatnim trolejbusem pojechaliśmy w stronę Zakazanego Wzgórza, w miejsce mojej niedokończonej lekcji sprzed lat, gdzie Brytyjczycy zamierzali postawić luksusowy hotel.

Zawczasu omówiłam z Issą wszystko, dlatego dokładnie wiedziałam, o co poprosić naszych sojuszników ze świata zmarłych. Mieli przerazić Brytyjczyków, ale ich nie zabijać. Oszczędzić dzieci. Brytyjczycy czuli się już wystarczająco niepewnie i spektakularne akcje w nich wymierzone nie były konieczne. Najważniejszy był umiar - nagłe podmuchy chłodu, dziwne miazmaty, przedmioty zmieniające miejsce, okna i drzwi otwierające się i zamykające bez ingerencji człowieka, różne niepokojące drobiazgi, pod których wpływem zaczęliby się zastanawiać, czy przypadkiem nie postradali zmysłów. Chcieliśmy dać kolonialistom impuls, ale oni musieli wierzyć, że sami podejmują decyzję o opuszczeniu Wyspy. W ten sposób pozwolilibyśmy im zachować twarz.

Dzień w dzień doskonaliłam intonowanie arabskich zaklęć Issy. On nazywał to śpiewem. Wkrótce zrozumiałam dlaczego. „Pieśń” rozpoczynała się suficką inwokacją zwaną dhikr, złożoną z imion muzułmańskiego boga przeplatanych imionami świętych oraz szamańskich przodków Issy. Śpiewanie jej było nie tyle sprawdzianem mojej pamięci, ile testem na siłę woli, ponieważ z każdą sekwencją imion wiązały się konkretne emocje - radość jako pochwała życia, smutek z powodu przemijania, pasja i pokora poszukiwacza prawdy. Celem było powtórzenie całej sekwencji imion tak gładko, by w końcu zabrzmiały nie jak imiona, lecz jak prawdziwie poetyckie frazy nasycone emocjami. Wtedy mogłam wprowadzić się w trans.

- Myśl o każdej linijce imion jak o wonnej girlandzie - poradził Issa, gdy zamknęłam oczy i zaczęłam widzieć to, co opisywał. - Połóż girlandę smutku na girlandzie radości, girlandę pokory na girlandzie dumy, aż powstanie wieża z wieńców godna grobowca króla.

Moja wieża wieńców, powołana do życia śpiewem, była dla mnie równie rzeczywista jak każda inna z cegieł i zaprawa murarska. Wkrótce wyrosły przede mną kolejne, na moich oczach przybywało pachnących girland. Ujrzałam siebie, maleńką i nieistotną, w tym kwietnym korytarzu. Zanurzyłam się w nim, zalewana falami emocji. Była w tym nie tylko radość wywołana żywymi barwami i wonią kwiatów, lecz wszechogarniający zachwyty urodą i różnorodnością - wspaniałością - życia. Potem przyszło wyczulenie na widok każdego opadającego płatka i pączka, co napawało mnie głębokim smutkiem. Wspaniałość nie trwa wiecznie. Kiedyś nadchodzi jej kres. Aby ukoić żal, musiałam wznieść się na wyższy poziom świadomości. Tęsknota za pięknem i trwałością przeistoczyła się w głód duchowy, który zaspokoić mogło tylko poznanie prawdy. Mądrość, gdy już przyszła, okazała się bolesna. Zrozumiałam, że muszę zaakceptować własną nikomość w konfrontacji z wszechświatem. I wtedy znowu odczułam podziw dla wież z wieńców, które otaczały mnie ze wszystkich stron.

Po tej lekcji Issa wręczył mi fiolkę ze sproszkowaną kością.

- Zaraz po powrocie do domu rozsyp to przy drzwiach i oknach. Powstrzyma ich przed wejściem - powiedział.

- Mogę spytać, kto to był? - Przyglądałam się badawczo zawartości fiołki.

- Nie, ponieważ nie mogę tego powiedzieć - odparł z poważnym uśmiechem.

Na cmentarzu od razu zaczęłam śpiewać. Nie musiałam wiosłować ani znosić obecności badi i jego gierek. Śpiewałam przez długie godziny, aż do zdarcia gardła. Z Issą u boku nie czułam strachu.

W bezksiężycową noc patrzyłam, jak duchy gromadzą się wokół nas, urzeczony brzmieniem tej inwokacji. Jak kiedyś, uderzyła mnie różnorodność wieku, ras i wyznania zmarłych. Zadziwiające, że egzystowali obok siebie ograniczeni do tego mrocznego miejsca. Kiedy wstali wszyscy, których można było wezwać, spłynął na mnie spokój. Złożyłam obietnicę swoim sprzymierzeńcom w pięciu znanych mi językach: angielskim, malajskim, szanghajskim, kantońskim i mandaryńskim.

- Przyjaciele, smutny los czeka waszą siedzibę, jeśli Brytyjczycy tu zostaną. Zamierzają wyrównać Zakazane Wzgórze, by postawić na nim hotel. W zamian za waszą pomoc obiecuję, że Zakazane Wzgórze pozostanie waszym domem na wieczność. Dopilnuję, by nikt nie zakłócił waszego spoczynku.

Kiedy wyjaśniałam, na czym polega zadanie, moi żołnierze słuchali nie-poruszeni. Czy rozumieli, co do nich mówię? Zerknęłam na Issę. Na jego twarzy malował się niezmacony spokój.

Wysłuchawszy-mnie, duchy odeszły, poruszając ustami w rytm dziwnych modlitw. Mnie pozostało tylko czekać. Jedno już wiedziałam: Issa miał rację, przywołanie zmarłych o mało mnie nie zabiło.

Musiał znieść mnie ze wzgórza i wsadzić do taksówki. Niczego więcej nie pragnęłam, jak tylko położyć się do łóżka. Przeleżałam w nim siedem dni i siedem nocy. Czułam się, jakbym złapała grypę. Symptomy były podobne: gorączka, ból głowy, bóle mięśni, brak energii i apetytu. Tyle że to nie była grypa. Chyba że przewlekła. Te dolegliwości ciągnęły się miesiącami.

Niestety sytuacja za oknem nie uległa zmianie.

- Może trzeba to powtórzyć? - zasugerowałam Issie, gdy złożył mi wizytę.

- Już zrobiłaś więcej, niż do ciebie należało. Kolejna próba byłaby kuszeniem losu - odrzekł. On też był osłabiony, chociaż mniej niż ja. Śpiewający zawsze cierpiał najbardziej. - Zmarłych nie można poganiać. Noc Płonących

Drzew była wyjątkowa. Tamte dziewczynki okazały się niecierpliwe. Prawdę powiedziawszy, zbyt niecierpliwe.

Ja też się niecierpliwiłam. Do pasji doprowadzała mnie myśl, że poświęciłam zdrowie na darmo. Wciąż widziałam nieruchome i nieprzeniknione twarze moich żołnierzy z Zakazanego Wzgórza. Czy nie poczuli się do odpowiedzialności za obronę miejsca swojego wiecznego spoczynku?

Kiedy tylko odzyskałam siły i znowu mogłam chodzić sama po ulicach, odszukałam dwa mniejsze miejsca pochówków - taoistyczne mauzoleum w Chinatown pełne prochów samotnych służących i zarośnięte pole w Małych Indiach, będące zbiorową mogiłą hinduskich skazańców. Tam, już bez Issy, wymówiłam zaklęcie i poprosiłam ochotników, by pomogli oswobodzić Wyspę.

W następnych dniach śledziłam wszystkie informacje i czekałam na jakiś znak.

Pierwsza wiadomość nadeszła z klubu polo. Podczas meczu między reprezentacjami Wysp i Nowej Zelandii konie obu drużyn zaczęły wierzgać bez powodu i zrzuciły wszystkich graczy bez wyjątku. Killian Ross, kapitan drużyny wyspiarzy, został stratowany przez własnego wierzchowca i stracił prawe oko. Kilku innych zawodników doznało różnych złamań. Nikt nie potrafił wyjaśnić tego incydentu, który jednak szybko poszedł w zapomnienie. Konie to przecież tylko zwierzęta.

Trudniej było zlekceważyć wypadki, do których doszło dwa tygodnie później. Radny Cyril Cunning, który jako pierwszy rzucił pomysł o zrównaniu Zakazanego Wzgórza, obudził się z powiekami zaszytymi czerwoną taoistyczną nitką. Tego samego popołudnia jego żona zaczęła pakować rzeczy. Następnego dnia tuż przed lunchem Alan Topper, sędzia pokoju znany z podłości, usiadł do pracy przy dokumentach. Ostry brzeg lukratywnego kontraktu na budowę trafił go w oczy i przeciął obie źrenice. Sędzia wybiegł z biura zalany krwią, wrzeszcząc wniebogłosy: „Nic nie widzę!”.

Oczy. Musiałam się uśmiechnąć. Duchy celowały w słabe punkty kolonialistów.

Dwa tygodnie później nastąpił kolejny incydent. Na zarośniętym polu do ćwiczeń, w niewielkiej odległości od boiska do polo, wartownicy zauważyli w nocy nagich Tamilów. Na komendę „stój!” po prostu zniknęli. A kule wystrzelone w ich kierunku przeszły na wylot, nie czyniąc im krzywdy. Szwadron Gurkhów, dzielnych wojowników, którzy utrzymywali porządek podczas krwawego podziału Indii, zrezygnował z pościgu w obawie o życie.

Po tym zdarzeniu nastąpił spokój. Mijały miesiące i nic szczególnego się nie działo. Bałam się, że tak jak ja zmarli opadli z sił.



\* \* \*

Pewnego popołudnia wybrałam się do nowo otwartego Akwarium Van Kleeffa, ogromnego modernistycznego sześcianu w pobliżu ratusza. Byłam przygnębiona. W wieku dwudziestu dziewięciu lat kuśtykałam o lasce i nie mogłam skupić się nad książką dłużej niż kilka minut. Zrzunowałam sobie zdrowie, a Brytyjczycy ciągle siedzieli na Wyspie.

Traf chciał, że wybrałam najgorszy możliwy dzień. Był dwudziesty czwarty maja, czyli Święto Imperium. Dzień wolny od nauki. Budynek był pełen jasnowłosych maluchów w zielonych mundurkach przedszkola British Council. Z powodu obecności tylu dzieci sprzedawca biletów zamknął miejsce dla innych zwiedzających prócz mnie. Być może zrobiło mu się żal nieszczęsnej kuternogi.

Wciśnięta z setką dzieci w ciemne przejścia między akwariami pomyślałam, że te co bardziej niesforne mogę przegonić zdecydowanym stuknięciem laski, ale tak drastyczne środki nie okazały się potrzebne. Dzieci chodziły parami, trzymając się za ręce. Na jedną opiekunkę przypadało dwadzieścioro. Każde z nich, dla uczczenia urodzin królowej Wiktorii, miało na głowie papierową koronę. Mali władcy pokonywali tunel za tunelem w ciszy, z wybałuszonymi oczami. Żadne dziecko nawet nie zachlipało. Będąc w ich wieku, zeszywniałabym z przerażenia na widok dziwacznych stworów przemykających w fioletowych oknach.

Po obejrzeniu ukwiałów, rozgwiazd i niewzruszonych naszą obecnością ryb - wszystkie zostały złapane w okolicznych wodach, jak informowały napisy - weszliśmy do sali, w której znajdowała się duma akwarium: Wielki Błękit. Największy tego typu zbiornik na Wschodzie miał dwa piętra wysokości i był domem dla podmorskiej menażerii sprowadzonej z daleka. Koralowce, mureny i ośmiornice wyłowiono ze środkowego Pacyfiku, a cztery białe rekiny - każdy wielkości czółna - z wód wokół Australii.

Krzycząc z wrażenia, dzieci zaczęły przepychać się do przodu, aż stanęłam po pas w morzu małych koronowanych głów. Dzieci przyciskały buzie do szyby, mimo iż nauczycielki raz po raz powtarzały, że mają się cofnąć. Nie dziwiła mnie reakcja małych zwiedzających. Błękitna sala robiła piorunujące wrażenie. Przeniosła nas do nieistniejącego oceanu, gdzie rekiny i ośmiornice żyją w przyjaźni.

Morskie stworzenia były nienaturalnie spokojne. Wyglądały jak zahipnotyzowane. Rekiny pływały w zwolnionym tempie, zamiast zgodnie ze swoim zwyczajem wystrzeliwać jak z procy. Tylko ich skrzela poruszały się rytmicznie.

Dzieci były urzeczone. Wpatrywały się w nieszkodliwe rekiny i gąbczaste ramiona ośmiornic, jakby gotowe do uścisku. Cisnęły się przy szybie, szukając odpowiedzi na pytanie: to sztuczne czy prawdziwe?

Przepuściłam je wszystkie i wycofałam się na tył sali. Wtedy zauważyłam czarne gniazda wodorostów. Wyłoniły się zza rekinów i podpłynęły do szyby. Przyjrzałam im się dokładniej. To nie były rośliny. Patrzyłam na pofalowane czarne loki należące do dwóch istot, które nie powinny się tu znaleźć.

W akwarium pływały demoniczne nagie menady o białych oczach ślepców. Pływały, i to doskonale, zataczając kręgi wokół sennych rekinów, wśród ławic bąbelków powietrza.

I wtedy zaczęło się szaleństwo.

Menady wyprężyły się jak struny i storpedowały szybę z donośnym głuchym bum! Instynktownie zerknęłam w stronę wyjścia. Nikt inny nie zareagował. Nie słyszeli tego dźwięku?

- Odsuńcie się od akwarium! - krzyknęłam do dzieci.

Obejrzał się tylko chłopiec o kręconych włosach, zdziwiony moim zachowaniem. Mój okrzyk jeszcze bardziej rozpałił ciekawość dzieci, które przykleiły się do szyby.

Menady cofnęły się, jakby zniechęcone widokiem tyłu małych buź. Po chwili machnęły szarymi ramionami, śmignęły naprzód i znów uderzyły w szybę. Bum! Tym razem odgłos był na tyle donośny, że dzieci odskoczyły. Żadne z nich nie rozumiało, co się dzieje. Chłopiec z lokami podszedł do mnie, rzucając przestraszone spojrzenia w stronę akwarium.

- Niech pani każe dzieciom się odsunąć! - krzyknęłam do stojącej najbliżej nauczycielki, która wydawała się oczarowana znieruchomiałymi rekinami. Nie zareagowała. - Szybciej, dzieci! - Dałam im przykład, łapiąc chłopca za rękę i ruszając w stronę wyjścia. - Chodźcie za mną! Tędy!

Menady ponowiły atak. Uderzyły w szybę jeszcze raz. Tym razem rozległ się wyraźny trzask pękającego szkła. Nie słyszałam, jak szyba rozbija się o ziemię, bo zagłuszyły ten dźwięk krzyki dzieci i szum wody wylewającej się z pękniętego zbiornika. Stałam przy wyjściu awaryjnym, gdzie po chwili woda sięgnęła mi łydek. Ryby i szkło płynęły wartkim potokiem. Ogromna sala zamieniła się w jezioro. Zimna woda pochłaniała skamieniałe z przerażenia dzieci. Boże, jeszcze chwila i utoną!

To, co nastąpiło potem, było jeszcze gorsze. Uwolnione z akwarium rekiny ocknęły się z letargu. Rzuciły się ku dzieciom, łakomie kłapiąc szczękami-Nie powodował nimi tylko głód. Wpadły w szal wywołany obfitością

łatwego łupu. Krew tryskała z małych ciał, gdy bestie miały się po sali, odgryzając raz rękę, raz nogę. Wypluwały to, co odgryzły, gdy w zasięgu szczęk znajdowały coś lepszego. Woda kotłowała się i pieniała, coraz bardziej czerwona. Nie wątpiłam, że mureny i ośmiornice podzielią się zdobyczą wzgardzoną przez rekiny.

To wszystko trwało zaledwie sekundy. Poczułam przypływ sił. Otworzyłam wyjście awaryjne, uruchamiając przy okazji dzwonek alarmowy, i wyniosłam na rękach chłopca z kręconymi włosami. Czerwona rzeka popłynęła za nami, rozlewając się szeroko. Kiedy woda opadła, postawiłam mojego roztrzęsionego podopiecznego na ziemi.

- Jesteś bardzo dzielny - powiedziałam.

Odwróciłam się i zobaczyłam menady stojące w pustym akwarium. Ich uśmiechy powiedziały mi wszystko. Takiej wysokiej ceny zażądały dla siebie bezwzględne upiory, które tak jak ja nie zawsze przestrzegały zasad.

Historia z akwarium o mało mnie nie zabiła. Choć brzmi to melodramatycznie, tamta chwila zmieniła mnie na zawsze. Czytać o niktzemnikach płacących za swoje podłogi to jedno, ale patrzeć na rozszarpywane dzieci to zupełnie inna sprawa. Morfina nie odpędziła koszmarów, które mnie dręczyły. Pod jej wpływem tylko dłużej spałam, wciąż od nowa odtwarzając przerażającą scenę. Przez długie tygodnie nie wychodziłam z pokoju.

- Nigdy więcej nie pozwól mi wchodzić w kontakt ze światem duchów - błagałam Issę. - Wolę umrzeć niż skrzywdzić kolejne dziecko.

Ku mojemu zdumieniu Issa był spokojny. Zbyt spokojny.

- Rozruchy ustają - powiedział. - Kiedy duchy się nasycą, wrócą do grobów. Nawet te niezdyscyplinowane. Tak powinniśmy na to patrzeć. Przynajmniej żadne dziecko nie zginęło.

- Zostały okaleczone!

- Skoro chcesz się obwiniać, twoja wola. Nie można wygrywać wszystkich bitew, Cassandro. Cieszymy się z jednej wygranej.

Issa miał rację co do bitwy. Choć rządowa gazeta „Tribune” próbowała umniejszać znaczenie tego zjawiska, dowody exodusu widzieliśmy na każdym kroku. Po High Street kursowały puste taksówki. Hotele Balmoral i Metropol opłacały chińskich i hinduskich naganiaczy, zapraszających miejscową klientelę do restauracji i barów w obu hotelach. Pewnego poniedziałkowego wieczoru rodzina Fitzpatricków, od stu lat prowadząca sklep spożywczy zaopatrujący kilka pokoleń stęsknionych za krajem Brytyjczyków, zamknęła interes na dobre.

Oficjalne zmiany dokonały się wiele miesięcy później. Służba cywilna, zmuszona zapłacić wakaty po brytyjskim personelu, podjęła przełomową decyzję: do starania się o stanowiska w administracji zachęciła nie-Europejczyków. Kenneth naturalnie zgłosił się jako pierwszy - w maju 1954 roku.

Kiedy jego kandydatura została przyjęta, w cudowny sposób wróciła mi energia. Po dwóch długich latach wyczerpania poczułam przypływ sił.

Kenneth i ja świętowaliśmy to na swój sposób - prywatnie. Zarezerwował pokój w hotelu Balmoral, który otworzył swoje święte podwoje dla Azjatów, choć po bardzo zawyżonych cenach.

- Kogo obrabowałeś, żeby zapłacić za ten pokój? - zapytałam, gdy powitał mnie przy wejściu.

- Nikogo - odparł, pokazując mi pusty przegub. - Nareszcie jestem wolny.

Ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu hotel nie dorównywał temu, co wyobrażałam sobie na jego temat. W wysokim holu, mimo wentylatorów pracujących na najwyższych obrotach, panowała duchota. We wnętrzach królowała monotonna biel - od uniformów hinduskich odźwiernych i rattanowych kanap po ściany i marmurowe posadzki. Biel mogła obowiązywać w wytwornych nadmorskich hotelach w Brighton czy Hastings, ale w tropikach zdecydowanie się nie sprawdzała. Korytarze hotelu Balmoral były pokryte zielonymi, żółtawymi i szarymi liszajami pleśni. Nie chciałam psuć Kennethowi nastroju - przecież zastawił cennego roleksa - dlatego zachowałam swoje obserwacje dla siebie.

W naszym pokoju ze szczęśliwą trzynastką\* na drzwiach stało łóżko z baldachimem. Balkon wychodził na przyjemny dziedziniec, ale dywan - kiedyś biały, teraz pokryty patyną czasu - cuchnął jak mokry pies.

- Skoro już zostałeś dopuszczony do administracji - powiedziałam, sadowiąc się na łóżku - nie możemy zapomnieć o duchach. To dzięki nim jesteśmy w tym pokoju, na tym łóżku. Musimy zrobić wszystko, żeby Zakazane Wzgórze pozostało nietknięte.

- Zrobię, co w mojej mocy. - Kenneth usiadł po swojej stronie łóżka. Sprężyny materaca jęknęły pod nim, jakby niedowierzały jego solennym zapewnieniom.

-Obiecujesz?

- Tak, oczywiście. - Znowu skrzypnięcie.

- Może poprosimy o inny pokój?

\* Chińczycy uważają trzynastkę za liczbę przynoszącą szczęście.!

- Wyszlibyśmy na prostaków. Anglicy znoszą niewygodę. Wręcz się nimi delektują.

Butelka szampana złagodziła niedostatki pokoju. Nawet więcej - pozwoliła dostrzec ich zabawne strony. Zupełnie jakbyśmy zajrzeli do komnaty władcy i odkryli, że wypełnia ją siano. Szampan zadziałał też na innych polach. Tego wieczoru pierwszy raz dostrzegłam w Kenecie przystojnego mężczyznę. Wróciła mu pewność siebie. Dwoma krawatami przywiązał mi ręce do kolumnienek podtrzymujących baldachim i zrobił to, co - jak się zaklinał - chciał zrobić ze mną już w dniu, kiedy spotkaliśmy się w bibliotece.

Po raz pierwszy całkowicie mu uległam.

- Czy z nim posunęłaś się do czegoś takiego? - zapytał, gdy leżeliśmy oszołomieni.

- Nie psuj tego, Ken.

- Ile razy?

- Przestań.

W poświęceniu księżycy wpadającej do pokoju przez otwarte drzwi balkonowe przyglądałam się mocno zarysowanej szczęce przyszłego męża stanu i oczom pałającym ambicją równie nieposkromioną, jak jego pożądanie. Pocałowałam dołeczek w policzku, którym kiedyś miał oczarowywać starsze panie. Cieszyło mnie, że znam moc jego uścisku, którym miał zadziwiać wrogów przy podawaniu ręki.

Chociaż wcześniej spaliśmy z sobą wiele razy, ta noc była pierwszą, której szczegóły dokładnie pamiętam. Być może dlatego że towarzyszyła jej radość płynąca z leżenia w luksusowej pościeli o zapachu orchidei i zamówienia szampana bez liczenia się z kosztami. Czułam się taka dorosła, mogąc zapłacić za swoją ekstrawagancję.

A może pamiętam tę noc z innego powodu? Kiedy leżałam z uchem przyściśniętym do piersi Kennetha Kee, wsłuchana w dziwnie powolne bicie jego serca, powiedziałam mu, że go kocham.

\* \* \*

- Kochała go pani? - pyta Mary Maddin. Po raz pierwszy od wielu godzin przerywa moją opowieść.

- Jestem człowiekiem. Albo byłam, jeśli pani woli.

- Cassandro... - wymawia moje nowe imię z rozmysłem, tak jak wymawiała stare. - Ustaliłyśmy, że mówi pani prawdę. Umowa zostanie unieważniona, jeśli będzie pani upiększała rzeczywistość.

- Upiększać? Nie słyszała pani, kiedy powiedziałam, że w pożarze straciło życie trzydziestu sześciu plantatorów i stu robotników? To ja wywołałam ten pożar. - Na wspomnienie tamtych wydarzeń zaczynam się trząść. Muszę nad tym zapanować. - Nie ukryłam tego i teraz nie ukrywam, że wyznałam Kennethowi miłość. Nie jestem z tego dumna, tak jak nie jestem dumna z wielu innych rzeczy, ale to właśnie zrobiłam. Mówię prawdę. Gorzką prawdę.

Mary Maddin milczy. W spowitym ciemnością salonie słyszę, jak bawi się żakietem. Mam wrażenie, że paznokciem próbuje zeszkrobać zaschniętą plamę jedzenia. Po długiej chwili przerywa pełną napięcia ciszę:

- Okłamała go pani, wprowadziła w błąd. Biorąc pod uwagę, co zrobiła mu pani później, nie mogła go pani kochać.

Jej słowa głęboko mnie poruszają.

- Pani wie, co się potem stało?

- Wszyscy to wiedzą. Piszą o tym podręczniki historii.

- W takim razie niech mi pani przypomni, po co pani tu przyszła.

- By usłyszeć to, o czym nie można przeczytać w podręcznikach historii. Czego nigdy tam nie było.

- Więc niech powie o tym nagranie. Nowa kaseta. Kochałam Kennetha Kee. Nawet kobieta o wyjątkowym darze widzenia w sprawach sercowych okazuje się krótkowzroczna. Pozwoli mi pani kontynuować opowieść? -

Słyszę jej głębokie oddechy. A może to westchnienia mojego ducha? W końcu odzywa się niemal szeptem:

- Tak, proszę.

## CZAROWNICY NIE MAJĄ WOLNEGO

W 1957 roku wolność była na wyciągnięcie ręki. Zgodnie z umową Brytyjczycy mieli opuścić Wyspę do końca 1959 roku. Nastał czas przygotowań do niepodległości.

W przeciwieństwie do Francuzów i Holendrów, Brytyjczycy pragnęli wysłać w świat komunikat, że próbują zachować się rozsądnie wobec swojej małej wyspiarskiej kolonii. Przed odejściem przygotowali szereg prób dla nowych władz na Wyspie. Gdyby zdały ten egzamin, oni mogliby odejść z czystym sumieniem, ponieważ ich podopieczni udowodnili, że są dojrzałi. Gdyby nie zdały, mieliby doskonałe alibi, żeby wycofać się z umowy: próbowaliśmy ucywilizować tych ludzi, ale okazało się, że... Boże drogi! Tak przynajmniej widział to Kenneth.

Odkąd wstąpił do służby cywilnej, zdobywał popularność, wykorzystując swoją niezwykłą umiejętnością wyczuwania nastrojów społecznych. Mimo iż był niższym rangą urzędnikiem w Ministerstwie Spraw Społecznych, przez trzy lata dał się poznać jako urodzony przywódca, który podczas przerw na lunch zapuszczał się w labirynt zatłoczonych uliczek Chinatown, Małych Indii i Kampung Klang i wychodził stamtąd z pomysłami na poprawienie losu ludzi. Jego przełożonych zdumiewała łatwość, z jaką chodził od drzwi do drzwi i koł obawy ludzi najmocniejszym uściskiem dłoni w kraju.

Kolonialne grube ryby, którym zdarzało się przemykać tymi ulicami z obowiązku, nie ściskali rąk mieszkańcom Wyspy, nie mówiąc o ubrudzonych smarem dłoniach niepiśmiennych mechaników samochodowych czy tych, którzy wynosili wiadrami nieczystości. Kenneth jednak szukał tych brudnych rąk pracujących ludzi. Im niżej w hierarchii stał człowiek, tym chętniej Kenneth ściskał mu dłoń. Każdemu patrzył prosto w oczy, jakby chciał dołączyć twarz jego czy jej do starannie gromadzonej kolekcji zapamiętanych twarzy. Na wieść o wizycie Kennetha Kee tłumy wylewały się z przeludnionych domów i dzielnic nędzy i wyciągały ręce w oczekiwaniu na spotkanie z nim. Nawet dzieci wyrwały się z objęć matek, by musnąć paluszkami rękaw koszuli wujka Kennetha.

Słyszałam, że w prywatnych rozmowach Brytyjczycy nazywali go - oczywiście nieprzychylnie - kameleonem, ale byli w błędzie. Towarzyszyłam Kennethowi w tych wędrówkach podczas godzinnej przerwy na lunch w Woodbridge i tłumaczyłam dla niego mniej znane chińskie dialekty (do spółki ze Świerszczem rozumieliśmy je wszystkie) i dla mnie był nie tyle kameleonem, ile brzuchomówcą. Jego nastawienie nigdy się nie zmieniało. Kenneth po prostu uważnie słuchał ludzi, gdy mówili o swoich nadziejach i marzeniach, a potem powtarzał to wszystko, tyle że swoimi słowami, i sprytnie wplatał różne sugestie. Zostawiał ludzi w przekonaniu, że nie mogą dłużej żyć bez ciepłej wody, ulicznych latarni, tańszych przejazdów autobusowych, bezpieczniejszych ulic. Ponieważ nadawał konkretny kształt ich marzeniom i głośno je formułował, ludzie uważali go za erudytę, chociaż oczywiście nigdy nie używali tego słowa.

Przez myśl im nie przeszło, że po każdym spotkaniu pędził do najbliższej umywalki i szorował ręce. Nosiłam dla niego buteleczkę lizolu, a Issa szczoteczkę do paznokci.

Kiedy niepodległość zbliżała się wielkimi krokami, Kenneth Kee, budzący strach i podziw starej gwardii z powodu swojej popularności, został poproszony o zaprojektowanie flagi młodego narodu. Od samego początku wiedzieliśmy, że ten test jest bronią obosieczną. Dobrze zaprojektowana flaga miała potencjał zjednoczenia odmiennych grup żyjących na Wyspie. Zły projekt wystawiłby nowy kraj na pośmiewisko całego świata.

Pewnej nocy, kilka godzin przed terminem oddania projektu flagi, obudził mnie dzwonek telefonu.

- Potrzebuję cię - powiedział Kenneth i odłożył słuchawkę, zanim zdążyłam odpowiedzieć.

Mieszkał kilka przecznic ode mnie przy cichej podmiejskiej Clemenceau Avenue. Wynajęłam mieszkanie w tej spokojnej dzielnicy w budynku bez windy jako antidotum na nową nerwową posadę w charakterze nadzorczyni pielęgniarek w Woodbridge. Słuchając, jak wychwalam tę okolicę, Kenneth też się tu przeprowadził. Jedną z niewątpliwych zalet mieszkania na przedmieściach było to, że nigdy nie musiałam bać się ludzkich spojrzeń, nawet jeśli biegłam w nocnej koszuli, jak po tamtym telefonie od Kennetha. Już dawno przestałam przejmować się opinią duchów o moim wyglądzie, a co do zgrzybiałych sikhijskich strażników na naszej ulicy, to o tej porze wszyscy smacznie spali na swoich posterunkach.

Kiedy drzwi otworzył mi Issa, krzyknęłam zaskoczona. Nie spodziewałam się go w ciasnym mieszkaniu Kennetha z jedną sypialnią. Nie



spodziewałam się też Świerszcza, który stał pośrodku zadymionego pokoju ze szklanką szkockiej w ręku. Obaj wyglądali na wykończonych, jakby od wielu godzin nie robili nic innego, tylko palili, pili i zajadle dyskutowali.

Na mój widok wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Nocny strój i włosy w nieładzie potwierdziły ich przypuszczenia, że Kenneth i ja jesteśmy kimś więcej niż znajomymi.

Kenneth, który siedział nad papierami przy mikroskopijnym stole, miał ważniejsze sprawy na głowie niż zachowywanie pozorów.

- Pośpiesz się. - Machnął na mnie. - Zostało niewiele czasu.

Obok popielniczki, z której wysypywały się niedopałki, leżało około stu szkiców flag pokolorowanych kredkami. Kilka było prostych, na większości pyszniły się jednak orły, lwy, tygrysy, a nawet jednorożce - przebrzmiałe symbole angielskiej heraldyki, które musiały zrobić na Kennecie wrażenie. Powstrzymałam się od śmiechu.

- Już nie wiem, co robić. - Pokręcił głową i wybrał dla mnie kilka najbardziej obiecujących projektów. - Chyba muszę zacząć wszystko od zera.

- Nie zapomnij o półksiężycu - podpowiedział Issa.

- Pieprzyć twój księżyc! Mam dość tego cholernego księżycyca! - Kenneth wyjął szklaneczkę z ręki Świerszcza. Upił solidny łyk i zwrócił się do mnie: -Jak widzisz, kolegielnie nic nie da się ustalić. Każdy ma coś do powiedzenia.

- Na tym polega demokracja, prawda? - powiedziałam. Kenneth prychnął.

- Najpierw flaga, potem możemy rozmawiać o demokracji. Ale nic z tego nie będzie, jeśli nie wymyślimy flagi. - Machnął na Issę i Świerszcza. - Idźcie już. Zmęczyliśmy się sobą. Jeśli ta dyskusja się przedłuży, zacznę ziać jadem.

Świerszcz rzucił na odchodnym ostatnią podpowiedź:

- Wymyśl coś prostego.

- Prostego? - Kenneth nawet nie podniósł głowy znad projektu. - Nie mów mi, co mam robić, Chińczyku. Co ty wiesz o moim kraju?

Issa i Świerszcz przyjęli tę zniewagę zaskakująco spokojnie. Jak rodzina, która wie, że raz jest dobrze, a raz źle. Ich twarze wyrażały wdzięczność, że przyszłam, by zdjąć z nich ten ciężar.

- Nieważne, co wam wyjdzie - szepnął Świerszcz - ale nie pozwól mu więcej pić.

Nie pozwoliłam. Kenneth i ja rozmawialiśmy i rysowaliśmy projekty flag przez całą noc. Nie przeprosił, że wyrwał mnie ze snu. Prawdę powiedziawszy, nie oczekiwałam przeprosin. Nie był zły, że przyszłam w nocnej

bieliźnie, zdradzając jego przyjaciółom naszą zażyłość. Może tak jak ja poczuł ulgę, że nasz stary sekret wreszcie został ujawniony.

Moim głównym wkładem w pracę była sugestia, że na fladze powinien znaleźć się kolor czerwony, ponieważ symbolizuje siłę życiową napędzającą każdego mieszkańca Wyspy Duszy bez względu na pochodzenie. Mimo wielkich oporów Kennetha przekonałam go też, żeby umieścić na niej półksiężyc. Rozumiałam argumenty Issy. Muzułmanie stanowili jedną trzecią populacji Wyspy.

- Chyba liczysz na ich głosy? - zapytałam retorycznie.

Ten argument do niego przemówił. Reszta flagi była jego dziełem. Ja siedziałam tylko obok niego, parzyłam mu kolejne kawy i całowałam w zmarznięte czoło. Efekt pracy okazał się na wskroś demokratyczny. Kenneth uwzględnił nawet sugestię Świerszcza o prostocie.

- Dla dobra uczniów, drukarzy i niezbyt rozgarniętych pozbędę się mojego galopującego jednorożca. - Westchnął. - Wy też żegnajcie, mój wężu i moje berło.

O brzasku narodziła się flaga Czarnej Wyspy - zgodne trio czerwieni, bieli i niebieskiego.

Pierwsze narodowe święto Wyspy zostało wyznaczone na trzydziestego pierwszego sierpnia 1959 roku. Dzień był dżdżysty, w sam raz, by wylegiwać się w łóżku, mimo to na Padang przyszły tysiące ludzi, by zobaczyć nową flagę i uczestniczyć we wciągnięciu jej na maszt.

Staliśmy przejęci, jak dumni rodzice dzielący wspólny sekret. Nazwisko autora flagi miało pozostać nieznane. Były gubernator postanowił, że flaga powinna zrodzić się w tajemnicy, nieobciążona historią i wspomnieniami. Kiedy nadeszła chwila odśpiewania nowego hymnu, granego przez orkiestrę dętą w jasnożółtych płaszczach przeciwdeszczowych, Kenneth i ja milczeliśmy. Nie byliśmy jedyni. Tylko uczona garstka potrafiła powtarzać słowa hymnu wydrukowane na programach. Wykonując spóźniony, symboliczny ukłon w stronę rdzennych mieszkańców Wyspy, Brytyjczycy zarządzili, że hymn powinien być napisany po malajsku. Tyle że nie miał to być potoczny malajski używany na targowiskach, znany wielu tutejszym mieszkańcom. Hymn przywołał dawną wersję tego języka, używaną niegdyś na królewskich dworach, a dzisiaj zapomnianą.

Pozostawało wierzyć, że melodia - ani brytyjska, ani azjatycka - kiedyś się w nas zakorzeni i dojrzeje, jak dojrzało nasze państwo. Na szczęście ta wiara już zaczęła kiełkować. Widziałam łzy w oczach ludzi, nawet w oczach Kennetha.

Zramolały gubernator Pickering właśnie zaczął wystąpienie, gdy mżawka przeszła w ulewę. Lord przemawiał bez ładu i składu. Nie wiedziałam, czy to mowa pogrzebowa, czy chrzest. Kiedy niebo rozświetliły błyskawice, przez skrzeczące megafony ogłoszono wcześniejsze zakończenie ceremonii. Prawie wszyscy uczestnicy święta rzucili się szukać schronienia przed deszczem, osłaniając głowy moknącymi programami. Na miejscu trwali tylko ci najbardziej zarliwi.

Zostaliśmy z Kennethem sami, na schodach ratusza, przemoczeni do suchej nitki, w drogich, szytych na miarę ubraniach. Prócz jedwabnej sukienki sprawiłam sobie skórzane czółenka i trwałam w najlepszym salonie fryzjerskim przy High Street. Teraz mogłam tylko dotykać swoich rozprostowanych loków i się z tego śmiać. Nie mogąc już bardziej przemoknąć, usiedliśmy na mokrych schodach i patrzyliśmy, jak deszcz pokrywa trawę Padangu warstwami wibrującego szkła. Kenneth też się śmiał, ale z innego powodu. Wpatrywał się we flagę na maszcie, zbyt mokrą, by powiewać dumnie na wietrze.

- Gdybym wiedział, że hymn będzie po malajsku, nie umieściłbym na fladze półksiężycy. Teraz będzie na niej trwała skaza.

- To nie skaza. Poza tym gubernatorowi się spodobało.

- Byłemu gubernatorowi, dla ścisłości. W ten sposób zagłusza poczucie winy. Teraz cały świat uzna, że jesteśmy kolejnym niestabilnym, podzielonym krajem. Drugi Pakistan.

- Nieprawda. - Wzięłam go za rękę. - Tak czy siak, flaga jest całkiem udana.

- Wcale nie. Księżyc ma usta i się z nas śmieje.

- Nikt prócz ciebie tak tego nie widzi.

- Ja zawsze będę tak to widział. - Kenneth się skrzywił. - Nasza narodowa mentalność zawsze miała w sobie i coś angielskiego, i coś chińskiego. Jest w nas angielska rezerwa i chińska przebiegłość. Ta mieszanka ma wielki potencjał, jeśli nie będzie się manipulować przy jej składzie. Muszę sobie tylko powtarzać, że półksiężyc to atropa.

Jeszcze przez chwilę patrzyliśmy na deszcz. Na trawniku przybywało błota. Padang zamienił się w jezioro mleka czekoladowego. Żaby rozpoczęły hałaśliwą symfonię rechotów zwykle słyszaną w nocy.

- Boże, jak ja nienawidzę tropików. - Kenneth westchnął. - Chciałbym, żeby Wyspa podniosła kotwicę i popłynęła w jakieś lepsze okolice. Zaslugujemy na więcej niż to.

Mimo pewnych uścisków dłoni jednej obawy Kenneth Kee nie mógł rozproszyć. Po Nocy Płonących Drzew i tajemniczych zdarzeniach prowadzących do odzyskania niepodległości nasi obywatele dostali obsesji na punkcie zmarłych.

- To czas, kiedy powinniśmy myśleć o przyszłości, a nie o przeszłości - powiedział kiedyś. - Ty widzisz ich przez cały czas, a nie masz nawet w połowie takiego bzika jak oni.

- Pewnie dlatego, że widzę ich bez przerwy, nie są dla mnie nawet w połowie tak interesujący jak dla innych.

W kioskach z gazetami roiło się od powieści o siłach nadprzyrodzonych, a dla niepiśmiennych radio nadawało przerażające historie w różnych językach. Nawet jeśli ktoś się tym nie interesował, i tak nie mógł uniknąć skażenia tym zabobonami. Na najważniejszych ulicach handlowych pojawili się samozwańczy spirytyści, którzy na jarmarcznych szyldach obiecywali wymianę informacji z duszami po drugiej stronie. Nawet nudna „Tribune” zaczęła publikować artykuły o duchach, szerząc plotkę, że damska toaleta U Rexa jest nawiedzona przez zawodzącą kobietę - nieważne, że była to prawda.

Ta gorączka naturalnie kolidowała z racjonalizmem Kennetha. Raz wykorzystawszy duchy, nie chciał mieć z nimi do czynienia.

- Ludzie na świecie wezmą nas za głupców, albo jeszcze gorzej, za szamanów! - grzmiał. - To kluczowe lata. Decyduje się kształt Wyspy, jej reputacja. Nie możemy pozwolić, żeby od samego początku zaczęli nas traktować niepoważnie.

Droga od niepodległości do powszechnego poważania w świecie wymagała kolejnej zmiany biegów. Mózg Kennetha pracował na najwyższych obrotach.

W sierpniu 1960 roku, prawie rok po odzyskaniu niepodległości, Kenneth zabrał mnie do słynącej ze steków restauracji Ship, zbudowanej na wzór statku. W ten sposób chciał uczcić moje trzydzieste ósme urodziny. Ja wolałam ignorować takie okazje, jednak Kenneth, mający głowę do liczb, zawsze o nich pamiętał.

Przyszłam do restauracji, starając się nie podsycać w sercu nadziei, że w tym roku Kenneth podaruje mi inny prezent. Przez osiem lat naszego romansu mieszkaliśmy oddzielnie, co w tamtym czasie było naturalne dla pary niebędącej małżeństwem. Kenneth nigdy słowem nie wspomniał o Możliwym Kolejnym Kroku, dlatego starałam się pogodzić z myślą, że to nigdy nie nastąpi.

Czy małżeństwo było aż tak ważne? Współczesne kobiety mogą przewrócić oczami na te słowa, ale wtedy oznaczało to zagwarantowanie sobie serca Kennetha. Nie byłam oczywiście wiktoriańską kokietką w falbaniastym bezrękawniku, czekającą na pana Darcy'ego i jego sakiewki złota. Byłam silną kobietą, która potrafiła przywołać duchy i w ciągu tygodni dokonać tego, czego Kenneth przez lata nawet nie zaczął. Jednak w kwestii zrobienia pierwszego kroku pozostawałam tylko kobietą. A w tamtych czasach w tej nieoświeconej części świata kobiety nie proponowały małżeństwa. Oświadczyńy należały do mężczyzny bez względu na to, jak był postępowy i jak odważną miał ukochaną. Jeśli Kenneth nie chciał się żenić, nie mogłam ryzykować, że odsunie się ode mnie, zniechęcony moim pragnieniem zamążpójścia. Gdyby ta myśl choć raz zaświtała mu w głowie, miał wiele okazji, by ją wyrazić. Byliśmy nie tylko kochankami, lecz także najlepszymi przyjaciółmi.

- Atmosfera jest skażona sentymentalizmem - powiedział, krojąc średnio wysmażony stek wellington, który zamówiliśmy oboje. - Wiem, że przeżywaliśmy dramat niepewności - okupacja, stan wyjątkowy, odzyskanie niepodległości. Ale życie jest pełne niepewności. Ludzie nigdy nie robią kroku naprzód, jeśli tego nie rozumieją. To ich poniża. Zamienia w dzieci.

Już przedtem mówił takie rzeczy, ale tamtego wieczoru jego słowa miały drugie dno. Zupełnie jakby krytykował moje wieloletnie romantyczne oczekiwania albo coś, co za nie uznawał. Kelner dolał nam szampana. Patrzyliśmy na siebie w narożnej wnęce udającej kajutę kapitana. Odkąd Kenneth stał się osobą publiczną, chodził tylko do restauracji z ustronnymi zakątkami, gdzie mógł jeść z dala od natrętnych spojrzeń. Z początku sądziłam, że wstydzi się swojego języka. Później zrozumiałam, że obawiał się czego innego. Jego wizerunek bohatera klasy pracującej ucierpiałby, gdyby ludzie odkryli jego upodobanie do dobrego jedzenia i, co gorsza, drogiego wina.

Na urodziny zawsze zamawiał szampana. Przez lata zdążyłam się jednak zorientować, że o wiele bardziej urzekająca go sama idea szampana niż jego smak. Wypijał go zbyt szybko i zbyt szybko się upijał.

Już nieco wstawiony, pochylił się do przodu i oparł o stół.

- Posłuchaj, mam dwie propozycje, które chciałbym teraz z tobą omówić. - Wiedziałam, że nie powinnam mieć nadziei. Kenneth jak zwykle bawił się słowami. - Przypomnij mi, jakiego słowa używałaś na określenie terenu wolnego od duchów?

- Czysty - odrzekłam, sącząc szampana.

- Tak, czysty. Zawsze podobało mi się to określenie. Proste i treściwe, mówi wszystko. Dużo myślałem o tym, jak uczynić Wyspę czystą. Musimy

wyrwać ludziom płyty w mózgu, w których zagnieździła się ta straszna sentymentalna fiksacja.

- Ken, nie sądzę, żeby to był sentymentalizm. Moim zdaniem to strach.

- Jak zwał, tak zwał. Cokolwiek to jest, paraliżuje nas. Mam dwa pomysły na rozwiązanie tego problemu. Od czegoś trzeba zacząć.

Pokiwałam głową. Uśmiechnął się i upił spory łyk szampana.

- Dzisiaj mianowali mnie wiceministrem.

Ta informacja mnie zaskoczyła. Do tej chwili Kenneth nie dał niczego po sobie poznać. Co więcej, sprawiał wrażenie poirytowanego. Ta funkcja wydawała się dla niego osiągalna, ale nigdy bym nie przypuszczała, że Kenneth awansuje tak szybko. Tym bardziej, że stery nadal dzierżyło pokolenie starszych aktywistów z dołów społecznych, którzy nienawidzili wykształconych elit. Jako wiceminister spraw społecznych Kenneth utrzymywałby kontakt z robotnikami w fabrykach oraz ludźmi zajmującymi wysokie stanowiska w świecie biznesu. O takiej swobodzie poruszania się w społeczeństwie zawsze marzył.

- To cudownie! - Wzięłam go za rękę.

- Tak, tak, oni też lubią uścisk mojej dłoni. Nigdy się do tego nie przyznają, ale lubią go, dlatego że ściskam ręce jak Amerykanin.

- Kiedy nastąpi oficjalne ogłoszenie twojej nominacji?

- Komunikat prasowy ukaze się jutro. Dlatego chciałem świętować tę okazję dzisiaj, oczywiście jako dodatek do twoich urodzin. Jeszcze nie mówiłem o tym Issie i Zhangowi. - Znowu się uśmiechnął. - A myślałaś, że tylko ty umiesz dotrzymać tajemnic.

Podniosłam jego dłoń do ust i dyskretnie pocałowałam.

- Co do moich propozycji, to pierwszą podam do publicznej wiadomości jutro. Druga pozostanie wyłącznie między nami.

Puściłam jego rękę, dając do zrozumienia, że zamieniam się w słuch.

- Po pierwsze: zamierzam zaproponować plan oświetlenia każdego ciemnego zakątka na tej wyspie. Zaczniemy oczywiście od miasta. Oświetlimy wszystkie boczne uliczki i slumsy. Będziemy posuwali się coraz dalej, aż dotrzemy na przedmieścia, i dalej do wsi. Jasne latarnie powinny stać wszędzie, gdzie może wylęgać się i szerzyć ignorancja. Chcę, żeby wszystkie miejsca publiczne, drogi, cmentarze i otwarte tereny zostały oświetlone. Wtedy ludzie będą poruszali się swobodnie, bez strachu, o każdej porze. - Uśmiechnął się kpiąco. - Jeśli nie możemy mieć kontroli nad umysłami tych głupków, dlaczego nie zneutralizować ich ciemnoty światłem?

- Na duchy to nie podziała. One są bez względu na światło czy ciemność.

- Ale podziela na ludzi. Moje plany nie dotyczą duchów. Duchy nie głosują. Jeśli uwolnimy ludzi od przesądów, pomyśl, jak dużo zdołamy osiągnąć! Pomyśl, o ile bardziej wydajni i pożyteczni bylibyśmy, gdyby każdy spędzał mniej czasu na modlitwach i idiotycznych rytuałach. To niewiarygodna strata czasu, energii, surowców. - Głos miał coraz bardziej przytłumiony, ale ciągle brzmiało w nim to samo głębokie przekonanie. - Wiem, że dla ciebie duchy są rzeczywiste. Ale dla całej reszty nie muszą takie być. I właśnie z tym wiąże się moja druga propozycja.

- Ta, która ma pozostać między nami? Wolno pokiwał głową.

- Założymy biznes. Będziemy polowali na duchy. Nie wiedziałam, czy mówi poważnie.

- Coś jak zwalczanie szkodników?

- Jeśli tak chcesz to nazwać, proszę bardzo. - Uśmiechnął się, ale ton jego głosu pozostał poważny. - Mówię „polowanie na duchy”, ponieważ brzmi to bardziej intrygująco. Będę ci podsyłał klientów. Nie jakichś tam Tomów, Dicków czy Harrych, ale ważnych ludzi, którzy potrzebują takiej usługi, a jednocześnie chcą zachować anonimowość. Jest taka potrzeba, zapewniam cię. Jutro podam ci kilka nazwisk. To ludzie, którzy godziwie cię wynagrodzą. Jest tylko jeden warunek: nie możesz zostawiać żadnych śladów. To ma być tajemnica.

- Ken - zniżyłam głos do szeptu - nie pamiętasz, co było ostatnim razem? O mało nie umarłam. To nie jest gra.

Złapał mnie za nadgarstki.

- Cassandro, proszę cię, żebyś je przegoniła. To przecież przeciwieństwo przywoływania. Ja będę pracował w świetle, ty w cieniu. Razem sprawimy, że ta brudna mała wyspa stanie się czysta.

Kenneth proponował, żebym została jego duchową gosposią. Nawet język, jakim się posługiwał, był obraźliwy.

- Daj mi czas do namysłu - poprosiłam, uwalniając nadgarstki z jego uścisku. Dałam wymijającą odpowiedź, ale już wiedziałam, że nie chcę brać w tym udziału.

- A nad czym tu się zastanawiać? To ty i ja, Cassandro. Tylko ty i ja. Spojrzałam mu w oczy. Mimo zuchwałości tego planu, mimo wybujałych

ambicji, jakie ujawnił, w niczym nie przypominał rozgorączkowanego wizjonera. Kenneth nigdy nie wyglądał na bardziej trzeźwego i pewnego swoich racji. Z jego wzroku wyczytałam, że on wie lepiej, co jest dla mnie dobre.

Nazwał to eufemistycznie propozycją, chociaż miał już plan i zaczął wprowadzać go w życie.

Kiedy następnego ranka zjawiłam się w pracy, powitała mnie lodowato panna Joseph, siostra przełożona, która stała się kimś w rodzaju wielkiej damy Woodbridge. Przez lata jej obojętne oblicze zastygło w posępną maskę chłodu, budzącą strach zarówno wśród pacjentów, jak i pielęgniarek. Do mnie żywiła szczególną niechęć. Ulitowała się nade mną przed laty, przyjęła do pracy, a ja, zręcznie manipulując, sięgnęłam po posadę nadzorczyńi jej personelu pielęgniarskiego. To była oczywiście jej wersja. Ja widziałam to inaczej. Na awans zapracowałam uczciwie po długich i trudnych latach w recepcji. W przeciwieństwie do niej, kosztem własnej wygody pracowałam w nocy, siedząc sama w ciemnościach.

- Twoje życzenie się spełniło - oznajmiła, nie odrywając wzroku od kubka z kawą.

- Moje życzenie?

- Och, nie udawaj skromnisi.

Wyjęła z dziennika złożoną kartkę, rozprostowała ją i rzuciła mi w twarz.

Zobaczyłam szpitalną czerwoną pieczęć z napisem „Zatwierdzone”. Zaczęłam czytać. To było starannie napisane na maszynie oficjalne pismo informujące nieco protekcyjnym tonem, że rezygnuję z pracy w Woodbridge z powodu przyjęcia oferty innego pracodawcy, który jest pełen uznania dla moich umiejętności. Na dole widniał mój podpis podrobiony przez Kennetha.

Czekał na mnie w domu. Siedział w moim fotelu z nogą założoną na nogę i czytał „Tribune”.

- Wczoraj zapomniałem o prezencie dla ciebie. - Na jego kolanach leżały oprawiona w skórę książka, tabliczka czekolady i mała butelka koniaku.

-Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, kochanie.

- Jak śmiałeś!

Rzuciłam się na niego, chcąc wymierzyć mu policzek. Odchylił głowę i nie trafiłam.

- Wystarczyłoby zwyczajne „dziękuję”. - Posłał mi kpiący uśmiech. -Książka, czekolada, koniak... mam nadzieję, że to nadal twoja święta trójca.

- Za kogo ty się uważasz? Zrobiłeś ze mnie idiotkę! Nie zgodziłam się na twoją propozycję. Powiedziałam, że się zastanowię! Nie liczysz się z tym, czego ja chcę?

- Liczę się i właśnie dlatego to zrobiłem. Jesteś za dobra do tego szpitala, dobrze o tym wiesz.

- Nie mogę sobie narobić wrogów w Woodbridge. Li ciągle tam jest.



- Więc go zabierz. Są w mieście lepsze miejsca. Wkrótce będziesz mogła opłacić pobyt Li w każdym z nich.

Z kieszeni koszuli wyjął złożoną karteczkę i mi ją podał. Było na niej pięć nazwisk z numerami telefonów i adresami.

- Zgodnie z obietnicą. Będzie z tego roczna pensja, jeśli nie więcej. Znałam te nazwiska. Pojawiały się w gazetach. G.B. - właściciel domu

towarowego Robinsonów; doktor S.Y. - główny chirurg w szpitalu Mount Alvernia; W.K.B. - prezes firmy autobusowej Green Spot. Oraz dwóch ważnych inwestorów budowlanych. Rozumiałam, dlaczego ci ludzie potrzebują opinii „oficjalnego medium”. Większość przedsięwzięć budowlanych na Wyspie powstawała w konsultacji z geomantami. Ponieważ byli to ludzie o podejrzanym reputacji, możliwość skorzystania z usług medium poleconego przez Kennetha Kee, uważanego powszechnie za człowieka z przyszłością, w wyższych kręgach społecznych miała znaczenie.

Potrzebowałam pieniędzy. Dzięki nim mogłam zapewnić Li właściwą opiekę. Tylko czy chciałam znowu wchodzić w ten świat? Ciągłe nawiedzały mnie wspomnienia tamtych zdarzeń: szary śnieg popiołu w dżungli, rzeki krwi, fizyczny i emocjonalny zamęt, który mógł mnie zabić.

- Nie powinienes być w pracy? - odezwałam się w końcu. - Mówiłeś, że komunikat w prasie miał się ukazać dzisiaj.

- Ukazał się. Ale odczekam trochę, żeby minęło poruszenie i opadły emocje. Nie każdy mnie lubi. Nie chciałem tam iść, nie przekonawszy się najpierw, czy na tym polu wszystko gra. - Zerknął przelotnie na listę nazwisk w moim ręku. - Ułożyłem kolejność według znaczenia. Znaczenia osoby, nie problemu. O ile mi wiadomo, wystarczy im hydraulik. Albo podiatra. Jesteś dyskretna. Nie dopuścisz, by poczuli się jak głupcy. A jeśli trafi się jakiś duch...

- Ken, to niczego nie zmienia. Potrzebuję czasu do namysłu. Wstał z fotela.

- To powinno ci pomóc w podjęciu decyzji. - Wziął książkę, którą mi podarował, i postukał palcem w wytłaczaną złotem okładkę: Thomas Hardy, *Juda nieznany*. Uśmiechnął się. - To najlepsza książka o niewykorzystanych szansach, jaką kiedykolwiek napisano.

Trzy tygodnie później zobaczyłam swojego pierwszego klienta, G.B., właściciela domu towarowego Robinsonów. Spotkaliśmy się w jego prywatnym klubie tylko dla wtajemniczonych, na drugim piętrze zwyczajnego biurowca przy D Almeida Street. Kiedy przekroczyłam próg tego przybytku,

natychmiast zorientowałam się, że nie jest to zwyczajna knajpa dla elity, lecz miejsce dla ludzi interesu, gdzie odbywają spotkania, o których ani bliscy, ani współpracownicy nie powinni wiedzieć. Największa sala mogła pomieścić dwadzieścia osób, ale w mniejszych stał tylko jeden stolik. Usiedliśmy w takiej właśnie małej salce. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że przez dziesięć lat będę tu wracała regularnie.

G. B. był zażywnym Euroazjatą w napomadowanej peruczce. Wyglądał dokładnie jak na zdjęciach w prasie. Ku mojemu zaskoczeniu okazał się mężczyzną łagodnym w obejściu. Nie żałował sobie cukru i śmietanki do herbaty, a trzymając filiżankę, odgiął mały palec. Po krótkiej uprzejmej pogawędce podał mi kartkę z adresem.

- To mój magazyn manekinów - powiedział. - Używamy ich w moim sklepie. Sprowadzam je z Czechosłowacji. Są dobrej jakości, w przeciwieństwie do tanich manekinów, jakich używa konkurencja. Tak czy siak, moje manekiny urządzą sobie nocne tańce. - Przyjrzał mi się bacznie. - Nie uważa mnie pani za dziwaka?

- Czy coś zginęło albo uległo zniszczeniu?

- Nie, nic. Po piątej takiej nocy wiedziałem, że to nie może być psikus. Żaden żartowniś nie jest aż tak wytrwały. To zabrałoby mu zbyt dużo czasu. Sama się pani przekona.

Wręczył mi wypchaną kopertę, której zawartość uzgodnił wcześniej z Kennethem. Moje sześciomiesięczne wynagrodzenie z Woodbridge. Staralam się powstrzymać okrzyk na widok pliku nowiutkich banknotów. Nie podpisałam z G.B. żadnej umowy. W tamtych czasach dorośli ludzie ufali sobie i trzymali język za zębami.

O dwudziestej pierwszej pojechałam do magazynu. Ciągnął się na długość ulicy na południowo-zachodnim skrawku Wyspy, który zaledwie kilka lat temu zajmowały mokradła. Nie byłam sama. Zgodnie z informacją G.B. magazynu strzegli Gurkhowie z nagimi torsami, palący papierosy o zapachu goździków. G.B. zaoferował mi też psy, ale uprzejmie odmówiłam. Psy nigdy za mną nie przepadały.

Z włosami upiętymi w ciasny węzeł, w czarnej bluzce, czarnym szalu i czarnej spódnicy wzbudziłam wśród strażników lekki niepokój.

- Dobry wieczór, proszę pani. - Wyjęli papierosy z ust i ukłonili się nisko. Bez słowa skinęłam im głową.

To był prosty magazyn. Księżyc zaglądał do środka przez otwory wentylacyjne w ścianach. Weszłam sama. Ostrożność przede wszystkim. Nie włączyłam światła, żeby nie spłoszyć winowajców. Nie wykluczałam umyślnego

działania ludzi. W osrebrzonych poświatać ciemnościach zobaczyłam zarys setek manekinów - łysych, nagich, uśmiechniętych. Same kobiety. Stały w równych rzędach, gotowe do ożywienia niczym armia mechanicznych konkubin.

Zajęłam miejsce w najciemniejszym kącie.

Przez kilka godzin nic się nie działo. Żadnego dźwięku, żadnego ruchu. Nie słyszałam nawet tupotu szcurzych łapek. Zaczęło się przed północą.

Z końca hali dobiegł przeraźliwy zgrzyt. To był dźwięk przekręcanej kończyny manekina. Po nim nastąpił kolejny, tym razem bliżej środka hali. Wstałam powoli. Usłyszawszy trzecie zgrzytnięcie, ruszyłam w stronę jego źródła. Ujrzałam trzy manekiny zwrócone twarzami do siebie, z wyciągniętymi ramionami, jakby chciały wziąć się za ręce i utworzyć kółko.

Po chwili dały się słyszeć szybkie kroki. Między manekinami przemykał jakiś cień. Przypominał człowieka, poruszał się jednak zbyt szybko, jak na ludzką istotę. Przypuszczenia moje klienta się potwierdziły: to nie był zwykły złodziej.

Nie miałam wyboru, musiałam zapuścić się w ten beżowy labirynt.

Odstępy między manekinami były niewielkie. Ledwie się między nimi przeciskałam, czując dotyk ich twardych plastikowych ramion. Dostałam gęsiej skórki na całym ciele. Wszystkie te łyse kobiety były jednakowe: niebieskie oczy, ciemne słowiańskie brwi, rubinowe usta, piersi bez sutków i ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Jakie fantazje G. B. chciał rozbudzić tymi figurami? Żadna pani domu na Wyspie ani trochę ich nie przypominała.

Moje myśli zagłuszyły przeraźliwe zgrzyty. Znieruchomiałam.

Nagle zgrzyty zamieniły się w narastający łoskot. Plastikowe kobiety zaczęły przewracać się jak domino. Ta, przed którą stałam, upadła pod ciężarem swoich siostr i przygwoździła mnie do ziemi sztucznym uśmiechem.

Była lodowata. Krzyknęłam.

Nagle w magazynie zapadła niesamowita cisza.

- Kto tu jest? - rozległ się niespokojny głos młodej dziewczyny.

- Przyjaciółka - odpowiedziałam, gramoląc się spod przygniatającego mnie manekina. - A ty?

Na końcu hali zobaczyłam hinduską dziewczynkę stojącą na dwóch przewróconych manekinach. Miała około trzynastu lat. Była ubrana w sari, które lśniło na różowo nawet w ciemności.

- Widzisz mnie - powiedziała.

- I słyszę - dodałam.

Wstałam, żeby mnie zobaczyła. Ruszyła ku mnie, używając manekinów jak mostu. Nieustraszone dziecko.

Kiedy *znalazła* się bliżej, na jej policzkach i szyi dostrzegłam czarne ślady po ospie wietrznej. Jej widok - takiej młodej, takiej ożywionej, a takiej martwej - sprawił, że ścisnęło mnie w gardle.

Taksowała mnie uważnym spojrzeniem.

- Nie zapaliłaś światła. Oni zawsze je zapalają, kiedy wchodzą.

- Pomyślałam, że na mój widok uciekniesz.

- Nie boisz się mnie? - zapytało chępliwie małe stworzenie.

- Szczerze mówiąc, bardziej boję się ich. - Wskazałam kilka manekinów ze sterczącymi kończynami i niezmiennym uśmiechem.

Zaśmiała się.

- Są takie ładne! Chciałabym wyglądać jak one. Z włosami oczywiście. I ubraniem. Nie w jakimś głupim sari, ale we współczesnych ubraniach. Takich jak w domu towarowym.

- Nie rozumiem. Dlaczego nimi rzucasz? Dla zabawy?

- Nie mogę spać! - Z całej siły kopnęła najbliższego manekina. - To niesprawiedliwe. Mam duszę, ale nie mam ciała. A tutaj są ciała bez duszy!

Znowu się zaśmiała, ale tym razem popatrzyła na manekiny z tęsknotą zmieszaną ze smutkiem.

- Nie można mieć wszystkiego, moja droga - powiedziałam łagodnie.

- Nie proszę o wszystko. Nie mam nic! Nie miałam nic za życia i po śmierci też nic nie mam! Spójrz na mnie! - Odśloniła ramiona i nogi zdeformowane przez chorobę. - Chcę tylko pięknego ciała, w którym mogłabym spać, to wszystko. Jeśli będę miała jedno takie ciało, tylko jedno, wreszcie zasnę.

- Dlaczego sobie nie wybierzesz?

- Nie mogę znaleźć odpowiedniego.

- Przecież one są jednakowe.

- I na tym polega kłopot! - Zachichotała nerwowo i zdzieliła pięścią jednego manekina. Przeleciał kilkanaście metrów i z łomotem runął na ziemię. - Nienawidzę cię! - wrzasnęła.

W pierwszym odruchu chciałam ją uspokoić. Zaczekaj, nakazałam sobie w duchu. Ona nie potrzebuje twojego współczucia. Potrzebuje pomocy.

- A gdybym ja wybrała coś dla ciebie, czy zaakceptowałabyś mój wybór? Spojrzała na mnie, zaskoczona propozycją. .

- Skąd będziesz wiedziała, który wybrać? Wskazałam pierwszego z brzegu manekina.

- Powiedzmy, że ten jest trochę ładniejszy od reszty.

Dziewczynka przyjrzała mu się sceptycznie. Instynkt zwyciężył. Podskoczyła do niego i zaczęła dokładnie oglądać każdy skrawek swojej potencjalnej powłoki.

- No nie wiem - mruknęła po oględzinach. - A jeśli to nie ta?

- Miałam wybrać za ciebie. Myślę, że ta się nada. - Zdjęłam z włosów czarną wstążkę i przewiązałam nią lewy przegub manekina. - Widzisz, oznaczyłam ją. Teraz odróżnia się od reszty.

Dziewczynka pokiwała głową. Położyła się na manekinie i tak długo się wierciła, aż znalazła najlepszą pozycję: zarzuciła mu ręce na szyję, oplotła talie nogami. Wyglądała jak zrozpaczone dziecko kurczowo wczepione w matkę. Wydawało mi się, że jest jej niewygodnie, ale dziewczynka ziewnęła raz i drugi i po kilku minutach zaczęła znikać. Ostatnie rozpląnęło się w powietrzu uważne spojrzenie jej oczu.

Wyniosłam nawiedzonego manekina na dwór i oparłam go o drzwi magazynu. Gurkhowie odsunęli się od niego, nawet nie patrząc w tamtą stronę.

Następnego dnia spotkałam się z panem G. B. w klubie i kazałam wybrać dla oznaczonego czarną wstążką manekina porządną perukę oraz najmodniejszą sukienkę ze sklepowej kolekcji, po czym zanieść go do hinduskiego kapłana, by odprawił tradycyjną ceremonię pogrzebową.

- Wreszcie tańce manekinów się skończą - zapewniłam go.

Po policzku mojego klienta spłynęła pojedyncza łza. Do dziś pamiętam, jaka byłam wtedy szczęśliwa.

Sprawiłam sobie czarne stroje - eleganckie i szykowne, które w niczym nie przypominały tradycyjnych i nudnych żałobnych szat.

Wzywano mnie raz, czasem dwa razy w miesiącu. Najczęściej rozpoznawałam sytuację już po kilku minutach, ale gdybym rozwiązywała problemy tak szybko, moje diagnozy straciłyby na wartości. Klienci, wysoko postawieni biznesmeni, mający pod sobą wielu ludzi, musieli wierzyć, że płacą prawdziwej znawczynie za dogłębną analizę, która wymaga czasem długich tygodni, nie zaś ustosunkowanej dyletantce, która nie wkłada serca w to, co robi.

Na ich potrzeby przygotowałam efektowną pantomimę. Z poważną miną chodziłam po terenie budowy przez długie godziny, czasem dni. Z głębokim namysłem wtykałam palce w ziemię, węszyłam w powietrzu, gładziłam framugi drzwi. „Nieczyste, mówiłam, kręcąc głową. Bardzo nieczyste". Mimo bezsprzecznej teatralności mojego zachowania nie było w tym szarlatanerii. Zawsze mówiłam klientom prawdę, nawet niewygodną. Tak było, gdy

miałam do czynienia z duchami mężczyzn zmarłych dawno temu. Te duchy nie dawały się przegonić kobiecie. Wymagały dodatkowych starań - sekretnych gróźb i zaklęć, które powinnam zabrać ze sobą do grobu.

Tylko raz kategorycznie zabroniłam budowy. Król autobusów wycieczkowych L.W.T. chciał postawić swój „hotel z widokiem” na szczycie Zakazanego Wzgórza. Położenie było idealne, ale duchy straciłyby swój wieczny dom. Nie mogłam złamać danej im obietnicy. Powiedziałam o tym Kennethowi, który niechętnie zaakceptował mój werdykt.

Zwykle informowałam o ryzyku związanym z daną lokalizacją, a ostateczną decyzję - budować czy nie - pozostawiałam klientowi. Byłam tylko mediatorką między światem *żywych* i umarłych, która minimalizowała prawdopodobieństwo konfliktu. Nigdy nie zapomniałam, by czujnie rozglądać się za psem-człowiekiem, moim zbiegłym badi. To, że nie spotkaliśmy się przez tyle lat oznaczało, iż nękał mnie bardziej niż duchy, które widziałam.

Wyspa Dusz była bardzo nieczysta, więc pracy mi nie brakowało. Kiedy kończyłam zlecenia dla klientów z jednej listy, Kenneth skwapliwie dostarczał mi kolejną, powtarzając za każdym razem: „Czarownicy nie mają wolnego”.

Wpłacałam gotówkę na rachunek oszczędnościowy i patrzyłam, jak rośnie: w niespełna rok zgromadziłam kwotę równą sześciu rocznym pensjom w Woodbridge. Na życie wydawałam niewiele - niezbędne minimum - i tylko od czasu do czasu pozwalałam sobie na przyjemności typu koniak, czekolada i oprawione w skórę wydania ulubionych książek. Ciągłe żywe wspomnienie biedy sprawiało, że nie szastałam pieniędzmi. Rozkoszowałam się luksusem w marzeniach - włoskimi torebkami i butami, sukienkami z „Voguea”, kolacjami w Ship.

Trwało to ponad dziesięć lat, ale w końcu przewyciężyłam powojenną inercję. Mój los - i los Wyspy - nareszcie zmienił się na lepsze.

Z moją sekretną pomocą wszędzie rosły nowe budynki wysokie na dziesięć, dwanaście, piętnaście pięter. Dzięki mnie oczyszczono teren pod rozbudowę hotelu Balmoral, który coraz częściej gościł wycieczki z Anglii, Ameryki, a nawet Niemiec. Największą dumą napawał mnie jednak mój wkład w budowę Holland Halt, osiedla mieszkaniowego dla dziesięciu tysięcy osób, które ukończono w 1964 roku.

Kenneth był mniej zachwycony moim powodzeniem, niż się spodziewałam. Uznał, że cień za bardzo wysforował się przed mistrza, chociaż to mistrz zdobywał uznanie za wszystko, co ten cień robił.

- Puszysz się! - powiedział pewnej nocy, gdy leżeliśmy w moim łóżku.
- Widziałem twoje nowe buty.
- Nie puszę się. To tylko dwie pary.
- I obie od Christiana Diora. Licho wie, co jeszcze ukrywasz.
- Zaczynj od siebie. To ty grasz w golfa.
- Nie zmieniaj tematu. Ta misja miała być tajna, Cassandro. Ściśle tajna.
- I jest. Nikt o tym nie wie. A moi klienci - o, przepraszam, nasi klienci -z pewnością nie będą opowiadali o mnie na mieście. Oni zawsze wstydzą się swoich problemów. Czasem czuję się jak seksuolog.
- Nie wątpię. Słyszałem, jak mówią o tobie po wszystkim. Są tacy... zadowoleni, nasyceni.
- Nie bądź idiotą. Milczał przez długą chwilę.
- Chcę trzydziestu procent. Opłata za pośrednictwo.
- Przecież już spijasz śmietankę, czyż nie? Cisza.
- Dziesięć procent - zaproponowałem.
- Dwadzieścia pięć.
- Piętnaście.
- Zgoda.

W 1962 roku Kenneth obchodził czterdzieste drugie urodziny. Przyniosłam mu ciasto Czarny Las z cukierni w hotelu Balmoral i oczywiście butelkę tak cenionego Dom Perignon. Mogłam zaprosić Issę i Świerszcza, ale stało się niepisany zwyczajem, że jego urodziny świętujemy tylko we dwoje.

- Naciesz się widokiem - powiedział wesoło, gdy zaczęliśmy wcinać ciasto przy kiwającym się stoliku - ponieważ niedługo zniknie.

- Co? Twoja dziewczęca sylwetka?

- Niestety nie. - Uśmiechnął się. Na górnej wardze miał odrobinę śmietany. - Chodzi o to paskudne mieszkanko z paskudnymi pokoikami, paskudnymi ścianami i paskudnymi kuchennymi zapachami z paskudnego mieszkania piętro niżej i paskudnego Sikha śpiącego w paskudnej wartowni bez względu na porę paskudnego dnia i paskudnej nocy.

Parsknęłam śmiechem.

- Czy zrównają to paskudne miejsce z ziemią? Mam prawo wiedzieć. Przecież mieszkam po sąsiedzku.

- Wyprowadzam się pod koniec miesiąca. Znalazłem ładne nowe miejsce przy ogrodach. Dwie sypialnie, dwie łazienki, duży balkon. „Wszystkie wygody”, jak mówią. Kupuję, nie wynajmuję.

- Ach... - Staralam się ukryć nieufność. - Nie powiedziałaś ani słowa. To chyba drogie przedsięwzięcie?

Teren wokół ogrodu botanicznego był enklawą młodych ambitnych już w czasach brytyjskiego zwierzchnictwa. Nadal dominowały tam czarno-białe rezydencje dyplomatów i polityków. Najwyraźniej podjęto decyzję o budowie nowych domów dla ludzi nowej władzy, chociaż nikt tej lokalizacji ze mną nie konsultował.

- Owszem, drogie, ale wysokość zaliczki jest do strawienia. Wiem, wiem, przed podpisaniem papierów powinienem poprosić cię o sprawdzenie tego terenu, ale - wzruszył ramionami - chyba straciłem głowę. Nie chciałem słuchać o bezgłowym sadhu w mojej kuchni albo czymś podobnym. Wiesz, jak to jest.

- Gdybyś nie chciał wiedzieć, nic bym ci nie powiedziała.

- Tak, ale zawsze widzę to w twoich oczach. - Ścisnął moją dłoń. - Duch ducha, zawsze widoczny.

Odczekałam, aż skończy porcję tortu, po czym znowu się odezwał:

- Nie miałam pojęcia, że się za czymś rozglądasz. To wyjątkowa dyskrecja, nawet według twoich standardów.

Oczy mu się zaszklily. Dałabym głowę, że zobaczyłam w nich błysk sentymentu.

- Któregoś dnia wpadłem na przyjaciela z prehistorycznych czasów. I to spotkanie dało mi do myślenia: o przemijaniu, o korzystaniu z okazji. Mam czterdzieści dwa lata. Najwyższy czas podjąć jakieś zobowiązania, nie sądzisz? - Spojrzał na mnie sarnimi oczami, chociaż dla mnie jak zwykle i tak był podobny do wilka.

- Kim jest ten przyjaciel z „prehistorycznych czasów”? - Z jakiegoś irracjonalnego powodu pomyślałam o Taro i poczułam ucisk w żołądku.

Zbył moje pytanie radosnym dzwonieniem kluczami.

- Chcesz obejrzeć mieszkanie czy nie? Możemy się tam przejechać. Pokręciłam głową.

- Zepsułem nastój, tak? - Westchnął ciężko. - Liczyłem, że się ucieszysz z mojego powodu.

- Cieszę się... z twojego powodu. Ale wolę mieć cię blisko siebie. Podszedł do mnie, objął i zaczął głaskać po głowie, przyciskając ją do piersi. Widziałam go już w takiej sytuacji - na oddziale onkologicznym, gdy



ściskał nieuleczalnie chorych pacjentów. Później tłumaczył, że dzięki temu nie musiał patrzeć im w oczy.

- Już dobrze, dobrze - powtarzał. Wyrwałam się z jego objęć.

- Jeśli chciałeś ode mnie uciec, zerwać, wystarczyło powiedzieć.

- Zerwać? - Wytrzeszczył oczy. - Niczego takiego nie chcę. Co bym bez ciebie zrobił? Co Wyspa by bez ciebie zrobiła? Byliśmy razem na dobre i złe. Jesteśmy zespołem.

Zespołem. To było wyjątkowo nieromantyczne, nawet jak na Kennetha Kee.

- Może jednak się przejedziemy? Świeże powietrze dobrze nam robi. Ten tort... Może to jest powód, dla którego Niemcy zawsze są w paskudnym nastroju.

- Powiedziałam, że nie chcę oglądać twojego cholernego mieszkania.

- Nikt cię do tego nie zmusza. Po prostu wybierzmy się na przejażdżkę.

- Uśmiechnął się. Policzki mu spąsowiały od wypitego szampana. - Zgódź się. Bądź miła. Dzisiaj są moje urodziny.

Poprowadził mnie do kupionego trzy tygodnie wcześniej kabrioletu MG w kolorze wodorostów. Uwielbiał go ponad wszystko. Może powinnam była dostrzec w tym zakupie zapowiedź zmian, ale nie interesowałam się motoryzacją i widziałam w tym kabrioecie tylko auto i nic więcej.

- Dokąd jedziemy?

- Zobaczysz.

- Tę kwestię zawsze wygłasza czarny charakter przed zrzuceniem narzeczonej z klifu. ^

- Otóż to! - skwitował wesoło Kenneth.

Jechaliśmy ze złożonym dachem. Kenneth skierował się nie w stronę ogrodu botanicznego, lecz na wschód, ku morzu. Z radia sączyły się dźwięki piosenki Bali Hai z filmu *Południowy Pacyfik*. Idealnie pasowała do tej chwili - oda do tropików, wibrujące dźwięki fletów, delikatna harfa naśladująca wiatr i fale. Najlepszą częścią był oczywiście niesamowity chór widm śpiewający: *Here I am, your special island I Come to me, come to me...*

W chwili gdy głos filmowej Bloody Mary przeszedł w urzekające crescendo, na horyzoncie zamajaczyły palmy kokosowe. Dostałam gęsiej skórki na rękach. Zmierzaaliśmy ku czyjejs fantazji.

Na widok sylwetek kazuaryn zrozumiałam zamysł Kennetha. Latarnia morska tylko potwierdziła moje przypuszczenia: jechaliśmy do starego domu na plaży.

Kenneth doskonale wiedział, że nigdy nie chciałam tam wrócić. Nie chciałam widzieć zgliszczy, gładów, wśród których znalazłam schronienie, a zwłaszcza duchów. Gdybym zobaczyła wśród nich Taro, nie wiem, do czego bym się posunęła, żeby zadać jego duchowi ból.

- Po co mnie tu przywiozłeś? - W moim głosie chyba pobrzmiwała złość, chociaż, prawdę mówiąc, byłam bardziej poruszona i niespokojna niż zła.

Kenneth wyłączył radio.

- Chcę ci coś pokazać.

- Natychmiast zawróć! Wiesz, że nie chcę tam być.

- Uspokój się. Chcę ci pokazać, nad czym pracowałem... dla ciebie. :

- Nienawidzę cię.

- W końcu to przyznałeś.

Zwolniliśmy u wylotu starej drogi. Kiedyś prywatna, przeszła na własność państwa i została przebudowana. Miała teraz dwa świeżo utwardzone pasma, każde wystarczająco szerokie, by pomieścić autobus. Przed nami szła malajska rodzina z trójką dzieci. Ojciec niósł najmłodsze na barana. Kenneth machnął do nich przyjaźnie, kiedy się odwrócili, przestraszeni światłem naszych reflektorów. Zrozumiawszy, że nic im nie grozi, ojciec odpowiedział takim samym przyjaznym machnięciem i posłał nam serdeczny uśmiech. Jego żona niosła na ramieniu pleciana torbę, z której wystawały rakiety do badmintonu.

- I jak? Nadal chcesz zawrócić? - spytał Kenneth.

Nie odpowiedziałam. Jechał dalej, a w kącikach jego ust igrał uśmiech. Zwolnił, gdy mijaliśmy inne rodziny idące ciemną drogą. Luksusowe domy na plaży zostały zrównane z ziemią. Wycięto też większość kazuaryn, które rosły kiedyś po obu stronach drogi. W ten sposób zniknęły ślady po ekskluzywnym ustroniu dla dżentelmenów. Kamień spadł mi z serca, gdy okazało się, że rezydencja rodziny Wee wraz z rosnącymi wokół niej papajami również przestała istnieć.

Teraz z drogi otwierał się widok na morze.

Nabrzeże wzdłuż plaży zostało zamienione w futurystyczny plan zabaw. Niczym gigantyczne grzyby wyrastały z piasku betonowe stanowiska do grillowania. Z tuzina wysokich słupów, na których szczytach zamontowano wielkie żarówki, biło tak jasne światło, że plaża wyglądała jak pokryta śniegiem, nie piaskiem. Ten widok wydał mi się upiorny, zwłaszcza po wielu kilometrach jazdy nieoświetloną drogą.

- Przekonałem ministerstwo, żeby pozwoliło mi zamienić to miejsce w raj dla robotników. Oficjalne otwarcie dopiero w przyszłym tygodniu, ale

powiedziano mi, że ludzie już je odkryli. Znasz mnie, musiałem przekonać się o tym na własne oczy. - Zgasił silnik. Siedzieliśmy w cieniu, patrząc na plażę. Kenneth promieniał. - To dopiero prototyp. Jeśli mój plan się powiedzie, urządzimy więcej takich miejsc w Woodlands, Kampung Klang, Ta-man Seletar, a pewnego dnia może nawet w tych strasznych slumsach w pobliżu Cudownego Świata. Ludzie mają dość ciemności.

- Cieszę się, Ken, naprawdę bardzo się cieszę. Nie rozumiem tylko, co to ma wspólnego ze mną.

Odpiął pas i przysunął się do mnie. Spojrzał mi w oczy.

- Co ty powiesz!

- Skończ z tymi cholernymi łamigłówkami.

- Nie widzisz ich, prawda?

- Kogo?

- Duchów. Nie widzę ich w twoich oczach.

Wysiadłam z samochodu i omiotłam spojrzeniem linię brzegową w poszukiwaniu duchów buntowników, którym kiedyś miałam za złe, że zignorowali moje wołanie o pomoc. Spodziewałam się, iż będą tkwili nieruchomo w wodzie, obojętni na zmiany, jakie zaszły na plaży. Nie zauważyłam ani jednego.

Wyteżyłam wzrok, przygotowując się na widok Taro - mojego wstydu i żalu - którego dusza, tego byłam pewna, nigdy potulnie nie podporządkowałaby się nocy. W oślepiającym blasku lamp widziałam grzebienie fal uderzających o brzeg i niewyraźne cienie.

- I jak? - zapytał Kenneth wesóło. - Bardzo czysto, prawda?

- Tak. - Niejniałam sumienia psuć mu radości prawdą, że duchy nie zniknęły, lecz dobrze się ukryły.

- Rozumiesz już, jakie to głupie, że kwestionujesz naszą więź? Jesteśmy związani, Cassandro. Ty i ja. Ciemność i światło.

- Jak to zrobiłeś?

- Eksperymentalne żarówki z Japonii. Nie są jeszcze produkowane na masową skalę. Palą się o wiele jaśniej i dłużej niż te tradycyjne. Otrzymaliśmy pierwszy transport z Hiroszimy. Facet, który je wymyślił, powiedział, że zainspirował go wybuch. - Kenneth zaśmiał się ponuro. - Wyjątkowa jasność odmienia krajobraz, zaciera wszystkie stare skojarzenia powiązane z konkretnym miejscem. Innymi słowy, wymazuje z pamięci. Bez punktu zaczepienia dla wspomnień, zmarli znikają. Taką przynajmniej stworzyłem teorię, która dzięki tobie się potwierdziła.

- I wymyślili to Japończycy?

- Nie bądź małostkowa. Oni też chcą iść naprzód. Stali się specjalistami w ulepszaniu tego, co wymyślił ktoś inny. To dobry interes dla wszystkich.

Zerknęłam na zalaną białym światłem plażę. Między bawiącymi się ludźmi zobaczyłam więcej cieni. Były niewyraźne i pewnie nieszkodliwe, niemniej były. I snuły się bez celu.

- Czy te żarówki wywołują jakiś rodzaj wizualnego efektu... - Urwałam, szukając odpowiedniego słowa - sita?

- Nie, to światło, czyste światło. - Kenneth westchnął zadowolony. - Ty i ja nigdy nie siedzieliśmy z założonymi rękami, czekając na to, co przyniesie los. Ty i ja braliśmy sprawy w swoje ręce. Ta sama zasada działa tutaj. Wystarczy pozbyć się ciemności, negatywnego nastawienia, a wtedy nawet najgorsze miejsca zapomną o swoich ranach. Zacznie się proces zdrowienia. Wyspa nie powinna być nieczysta. Duchy nie muszą żyć wiecznie.

Przez chwilę obserwowaliśmy ludzi grających w badminton. Czy Kenneth nie widział, że światło zmieniło ich w bledszą, bardziej szarą - upiorną - wersję samych siebie? :<

- Nie czujesz sentymentu? - Pogładził mnie po policzku.

- Ani trochę.

- Widzisz? - Pochylił się, żeby mnie pocałować. - Mówiłem, że świeże powietrze dobrze ci zrobi.

W ciągu długich lat naszej znajomości dowiedziałam się o Kennecie wielu rzeczy, między innymi tego, że najbardziej zdradziecki był w chwilach pozornie największego szczęścia.

Z perspektywy czasu muszę przyznać, że cieszę się, iż o jego zbliżającym się ślubie dowiedziałam się z gazet. Dzięki temu mogłam przetrwać tę informację w samotności. Gdyby poinformował mnie o tym osobiście, na przykład w restauracji, musiałabym zapanować nad złością, złożyć gratulacje i tak dalej. Miałby satysfakcję, obserwując, jak się wiję, aż w końcu wzburzona rzuciłabym się na niego z nożem do steków.

Najbardziej zabolalo mnie to, że jego przyszłą żoną okazał się wyjątkowo przerażający duch z przeszłości, którego nie widziałam od powrotu do miasta: Violet Wee. Czy to ona była tym „starym przyjacielem z prehistorycznych czasów”, na którego wpadł przypadkiem? Bardzo możliwe.

Pamiętam gwałtowną reakcję Kennetha na sam dźwięk jej imienia i swoją radość ze spotkania kogoś, kto podzielał moje zdanie o Violet. Ileż to razy śmialiśmy się z tej pulchnej ponuraczki i jej demonicznego psa. Niechęć do Violet była pierwszą rzeczą, która nas połączyła.

Ogłoszenie na pół strony, które Kenneth wykupił w prestiżowej „Tribune”, było równie jarmarczne, jak umieszczona poniżej reklama bibulek matujących do twarzy. Krój liter pasował do kształtu podkreśnianych wąsów zawadzia-ki z obrazka. W ogłoszeniu znalazłam odpowiedź na kilka moich pytań o losy Violet, chociaż nie na wszystkie. Po wojnie wyjechała do przyjaciół rodziny mieszkających w Londynie w prestiżowej dzielnicy Belgravia i przebywała tam aż do tej pory. Prawdopodobnie to właśnie jej związki z Londynem przesądziły o zmianie nastawienia pana Kennetha Anglofila Kee.

Ty i ja, Cassandro. Jesteśmy zespołem. Słuchając w łóżku jego intymnych wynurzeń, uwierzyłam, że jesteśmy dwojgiem samotnych ludzi podobnie parzących na świat, których czas uczynił bratnimi duszami. Teraz na samą myśl o tym chciało mi się śmiać. Byłam nie tyle wściekła z powodu jego zdrady, ile zawstydzona własną słabością i ślepotą.

Oczywiście nie zostałam zaproszona. Ucieszyłam się, ponieważ to oszczędziło mi męki i wydatku na prezent ślubny. Brak zaproszenia nie oznaczał jednak zakazu obejrzenia uroczystości.

Czy mogłam sobie tego odmówić? Musiałam zobaczyć Violet w stroju panny młodej i przekonać się, czy Kenneth choć na ten jeden dzień przeprosi się z pomadą do włosów.

Zakradłam się między kamienne nagrobki na cmentarzu przy kościele Świętego Andrzeja, z dala od gości, ubrana w bawełnianą sukienkę z kołnierzykiem w tym samym szarym odcieniu co płyty nagrobne, między którymi stałam. Na wypadek, gdyby ktoś wziął mnie za gościa weselnego, trzymałam w ręku bukiet chryzantem, białe kule żałoby. Wyglądałam jak kobieta oplakująca czyjąś śmierć, co na swój sposób robiłam. Znowu zostałam wdową.

Goście młodej pary tworzyli dwie grupy. Pierwszą stanowili zramolali Peranakanie w batikach z żonami o smutnych twarzach, prawdopodobnie starzy towarzysze zmarłego pana Wee. Biło od nich przekonanie o własnym prestiżu i świętym prawie do bycia w tym miejscu. Druga grupa prezentowała się znacznie skromniej. Łączyło ją rodzinne podobieństwo. Mieli ptasią budowę ciała i byli wzruszająco nienawykli do tego, że ktoś otwiera im drzwi samochodu. Tych gości przypisałam panu młodemu. Próbowałam zgadnąć, która ze starszych kobiet jest matką Kennetha. Adresatkę wysyłanych co miesiąc grubych kopert z gotówką, milczącego świadka sukcesów syna musiała przepełniać zauważalna duma. Jednak wszyscy goście ze strony Kennetha, kobiety i mężczyźni, młodzi i starzy, wydawali się przestraszeni, przytłoczeni, a nade wszystko wdzięczni za zaproszenie. Nie spodziewałam się, że ich pokora tak mnie poruszy.

Z ostatniego sedana wysiadły dwie znajome osoby - Issa i Świerszcz -skrepowani i sztywni w szytych na miarę białych garniturach. Ruchy Issy były jeszcze bardziej niezgrabne, ponieważ utykał i Świerszcz musiał mu pomóc wygramolić się z tylnego siedzenia. Jego gniewne grymasy zdradzały, że wstydzi się swojej ułomności. Przyjechały z nimi dwie kobiety, Hinduski w jednakowych wrzosowych sukniach. Domyśliłam się, że to druhny Violet. Dopiero po bliższym przyjrzeniu się rozpoznałam żonę i nastoletnią córkę Świerszcza.

W końcu nadjechał czarny rolls-royce, jedyny taki egzemplarz na Wyspie. Hotel Balmoral wypożyczał go za niebotyczne stawki. Byłam ciekawa, czy Kenneth wytargował zniżkę, czy musiał zapłacić całą sumę. A może to Violet uregulowała rachunek? Z auta wysiedli państwo młodzi. Nie towarzyszyły im dziewczynki sypiące kwiatki, wiwatująca świta ani wielka pompa, za którą chciałam ich w duchu wykpić.

Mimo pojazdu, którym przyjechali, mieli spokojne wejście. Kenneth w szykownym, chociaż prostym garniturze; Violet, szczupła nie do poznania, w najbardziej eleganckiej sukni ślubnej, jaką widziałam, której nie powstydzilaby się sama Audrey Hepburn: dopasowana do figury, odsłaniająca plecy biała góra przechodząca w powłóczystą, rozszerzającą się ku dołowi spódnicę. Ręce, kiedyś tak pulchne, okrywały jedwabne rękawiczki sięgające do łokcia. Twarz tej dziwnej kobiety była twarzą dawnej Violet, ale jej sylwetka stała się elegancko wątła. Tylko bogaci wiedzieli, jak tego dokonać.

Wyglądali na radosnych, ale zachowywali się powściągliwie. Nienawidziłam ich za tę nadwyżkę radości, jakiej nie okazywali w jednym z najbardziej naładowanym emocjami dniu w życiu.

Zatrzymali się na chwilę przy rolls-roycie, pozując do zdjęć. To samo zrobili przy wejściu do kościoła. Potem zniknęli w środku. Jediną fałszywą nutą w tym teatrze wyważenia, jedynym akcentem zdradzającym zbytek, była ozdoba na lewym nadgarstku Kennetha. Nawet z miejsca, w którym stałam, widziałam wyraźnie wielki złoty zegarek - luźny i niezgrabny jak pamiątka, którą tak kiedyś hołubił. Według wszelkiego prawdopodobieństwa był to ten sam zegarek.

Przemiana Kennetha Kee dokonała się ostatecznie.

Stojąc na przykościelnym cmentarzu, miałam ochotę przywołać rezydentów znajdujących się tam grobów. Oparłam się jednak pokusie. Za bardzo szanowałam zmarłych, by wciągać ich w błahe sprawy wzgardzonej kobiety.

Nie odmówiłam sobie jednego: w chwili, gdy rozległy się pierwsze dźwięki starych organów, zostawiłam bukiet białych chryzantem na schodach kościoła.

Kiedy obejrzałam się, by jeszcze raz popatrzeć na cmentarz, dotarło do mnie, że nie jestem sama. Kilka metrów za mną o grobowiec opierał się pies-człowiek. W przeciwieństwie do mnie nie rozumiał, że czas odejść.

## DZIEDZICTWO

Czy nadal był moim przyjacielem? Czy kiedykolwiek nim był? Nie mieliśmy czasu na etykiety. Zadowalało nas bycie kochankami, nie nazywaliśmy tej relacji, ona istniała między słowami.

Z drugiej strony było moje ciało, namacalne i rzeczywiste. Tydzień po ślubie Kennetha zaczęłam zauważać drobne zmiany - zaokrąglenie brzucha, pełniejsze biodra - jakbym to ja przeszła przez rytuał małżeństwa. Kiedy nie dostałam okresu i to samo powtórzyło się w kolejnym miesiącu, poczułam strach. Ale dopiero słowa lekarza, dla niego rutynowe i pozbawione emocji, odebrały mi mowę. Nie osądzał mnie. Zapłaciłam mu nie za ocenę moralną, lecz za diagnozę.

Trzy dni przeleżałam w łóżku, wściekła na moje ciało za zdradę, jakiej się dopuściło, nie chcąc zaakceptować rosnącego we mnie intruza. Kilka kolejnych dni przepłakałam, ale wtedy łzy były już łzami radości. Miałam czterdzieści lat i zrozumiałam, że to chyba moja ostatnia szansa na dziecko. Pozostała jednak kłopotliwa kwestia ojca. Dziecko było w połowie jego. Postanowiłam wychować je sama, bez względu na to, czy Kenneth zechce mieć z nim coś wspólnego, czy nie. Było w tej decyzji zdecydowanie mniej odwagi niż chęci ochrony siebie. W głębi serca wiedziałam, że nie muszę o nic pytać. Kennethowi nie zależało na ojcostwie. Widziałam, jak na spotkaniach z ludźmi unikał dzieci. „Są takie nieracjonalne”, powiedział kiedyś.

Samotne macierzyństwo nie sprawiłoby mi kłopotu. Nie miałam krewnych, których powinnam się wstydzić, nie musiałam spełniać rygorystycznych społecznych oczekiwań. Byłam kobietą niezależną finansowo, która trzymała się z boku. W najgorszym wypadku, gdyby zaszła taka potrzeba, chroniliby mnie najpotężniejsi mężczyźni na Wyspie, którzy potrzebowali moich usług.

Wiedziałam jednak, że muszę poinformować o tym Kennetha. W przeciwieństwie do niego pragnęłam, żeby nasza relacja była możliwie jak najmniej skomplikowana. Z takim nastawieniem zaprosiłam go na kolację, kiedy miał mi przekazać nową listę klientów. Musiałam odłożyć na bok uczucia - a wymagało to ogromnego wysiłku - ponieważ nadal byliśmy współnikami w interesach.



Ty i ja jesteśmy zespołem. Z korzyścią dla obojga, symbiotycznym, a teraz połączonym więzią biologiczną.

Kiedy stanął w drzwiach mojego mieszkania, zadzwoniwszy do nich jak obcy, serce mi zadrżało. Nigdy przedtem nie wyglądał tak wytwornie i elegancko. W koszuli od Pierrea Cardina. Język jego ciała - wyprostowane plecy, uniesiony podbródek - mówił wyraźnie: rozmowa o moim małżeństwie jest wykluczona. O mało nie straciłam odwagi.

Jego uśmiech zgasł.

- O co chodzi?

- Będę miała dziecko.

-Moje? : :

Na chwilę odebrało mi mowę. Byłam wstrząśnięta, że bierze pod uwagę inną możliwość.

- Oczywiście... ale nie chcę, żebyś czuł się za nie odpowiedzialny. Doskonale sobie poradzę...

Nieoczekiwanie wyciągnął ręce i wziął mnie w objęcia. Wtulił głowę w moje ramię. Usłyszałam serię krótkich urywanych oddechów, poczułam drżenie i strzyk wilgoci na szyi. Kenneth szlochał. Nie wiedziałam tylko, czy to łzy radości, czy złości. Przesunął dłonie na moją talię i z jakąś neurotyczną tęsknotą zaczął gładzić mi brzuch. Wstrzymałam oddech.

- Nie mogę w to uwierzyć - wyszeptał. - Będziemy mieli dziecko. Kiedy oderwaliśmy się od siebie, zobaczyłam jego pełne łez oczy.

- A ty myślałaś, że nie zechcę dzielić z tobą tego... wydarzenia. Za jakiego potwora mnie masz?

- Za żonatego mężczyznę.

Zaśmiał się głośno. Ten śmiech był wolny od sarkazmu czy ironii. Po policzkach spłynęła kolejna porcja łez.

- Po tym wszystkim, po tylu latach... Cassandro? - Wymówił moje imię jak cudowne zaklęcie. - Dzieliliśmy większe sekrety niż ten. Większe i bardziej ponure. Dopilnuję, żebyś ty i... nasze dziecko... żebyście mieli właściwą opiekę. Bez względu na wszystko obiecuję, że będę częścią waszego życia.

Zabrakło mi słów.

Znowu mocno mnie objął, wodził dłonią wzdłuż kręgosłupa, po talii, udach, przytulał coraz mocniej, aż nasza trójka stała się jednym. Zamknięta w tym ciasnym uścisku, miałam dziwne wrażenie, że to dziecko jest bardziej jego niż moje. Gdyby płód miał wybór, na pewno przeskoczyłby z mojego brzucha do brzucha Kennetha, trzymając się rodzica, który kochał go bardziej i z radością przyjął wieść o jego istnieniu.

- Czuję większą bliskość z tobą niż kiedykolwiek - wyznał Kenneth. -Jakbym chorował i został uleczoney. To najszczeńliwsza chwila w moim życiu.

Byłam gotowa się rozplakać. Doświadczenie podpowiedziało mi jednak, by serce nie ufało uszom, póki nie przeanalizuję na spokojnie słów Kennetha.

Usiadł na krześle i przyciągnął mnie do siebie. Uniósł mi bluzkę i wtulił twarz w mój brzuch.

- Muszę zrobić jakieś plany - powiedział. Oderwał się ode mnie na chwilę i podniósł wzrok. W jego oczach zobaczyłam filuterny błysk radości. -Musimy się przygotować.

- Ken, nie chcę... Doskonale poradzę sobie sama.

Sprawał wrażenie, jakby moje słowa do niego nie dotarły. A może świadomie nie przyjmował ich do wiadomości?

- Zastanawiam się, na ile, jeśli w ogóle, ten stan wpływa na twoją przenikliwość.

- Przenikliwość? - Szybko domyśliłam się, o co mu chodzi. - Nie ucierpiała ani trochę. Prócz porannych nudności muszę tylko przywyknąć do chodzenia z tym małym człowiekiem w brzuchu.

- Póki twoje oczy zachowają ostrość widzenia.

- Mój stan niczego w tym względzie nie zmieni. Nie będzie miał wpływu na moją pracę, jeśli o to się martwisz.

Sięgnął do kieszeni. Spodziewałam się, że wyjmie z niej nową listę klientów i wypowie zwyczajową kwestię o czarownikach, którzy nie mają wolnego. Jego ręka zawisła w powietrzu. Pokręcił głową i uśmiechnął się jakby ze wstydem.

- Co ja wyprawiam? Nie psujmy tego wyjątkowego wieczoru interesami. Listę dam ci jutro.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Widziałam nas w lustrze na ścianie. Każde patrzyło w inną stronę. Nasze twarze zdradzały nasz prawdziwy stan: wyczerpanie, dezorientację, zwątpienie. Nadal przetrawialiśmy wieść o ciąży, ale przypominaliśmy raczej parę tuż po sprzeczce.

Pragnęłam tylko jednego: żeby Kenneth jak najszybciej wyszedł z mojego mieszkania. Nie chciałam widzieć, jak zmienia zdanie, jak zaczyna żałować wcześniejszych słów, jak szuka wymówek, a zwłaszcza jak nerwowo popija. Tego bym nie zniosła. On też to wiedział.

- Była bohaterką wojenną, wiesz? - mruknął, stojąc przy drzwiach. -Trzy lata w Cudownym Świecie.

Co chciał mi przez to powiedzieć? Że ożenił się z Violet z poczucia winy? Ze współczucia? Z podziwu?

Kiedy milczałam, podjął jeszcze jedną próbę: - Dasz sobie radę?

Skinęłam głową. Wtedy wyszedł. .

Wczesnym rankiem znalazłam pod drzwiami brązową kopertę. Wiedziałam, że to nowa lista. Wsunął ją tam w taki sam sposób, w jaki co miesiąc przekazywał matce pieniądze. Już samo patrzenie na kopertę - nie wątpiłam, że taką samą, jakiej używał do tamtych przesyłek - budziło niepokój. Czyja także miałam zostać odbiorczynią jego regularnej, choć beznamiętnej szczodrości?

Na pierwszym miejscu listy zobaczyłam Hiramą Deskera. To oznaczało, że jego sprawa jest priorytetowa. Nigdy nie słyszałam tego nazwiska, nie było w tym jednak niczego dziwnego. Ten człowiek mógł trzymać się w cieniu, jak ja. Mielśmy spotkać się w starym magazynie opium nad Black River, który znałam jako siedzibę budzącej grozę Szczurzej Brygady.

Kenneth nie miał powodu do obaw. Moje oczy działały jak zawsze.

W południe wysiadłam z taksówki przy Moście Edynburskim i przeszedłam na drugą stronę rzeki. Przy słońcu w zenicie ani żywi, ani umarli nie rzucali cienia, więc na pierwszy rzut oka byli nierozróżnialni. Mimo to wśród tłumu ludzi na łodziach, wśród przewoźników warzyw czy tłustych kupców zawsze potrafiłam wypatrzeć duchy. Zmarli roztaczali aurę tęsknoty. Wyzierała z ich oczu, gdy obserwowali swoich żywych kolegów. Tęsknili za zgiełkiem, wysiłkiem, trudem i potem, poczuciem wspólnoty. Tylko takie działania znali i dopiero po śmierci rozumieli, jak bardzo kochali swoje zajęcie.

Czy czułam się dziwnie, idąc tą doliną śmierci z dzieckiem, które we mnie rosło? Tak, ale inaczej, niż przewidywałam. Stałam się bardziej świadoma swojej nowej mocy, która rosła z dnia na dzień - życia. To było jak udzielenie ostatecznego upomnienia śmierci i być może najlepszy znany środek zaradczy.

Nad ostatnim odcinkiem rzeki stał niszczący magazyn opium. W spłowiałym napisie SPÓŁKA ANGIELSKICH KUPCÓW kilka liter było już zatartych. Płachta blachy z dachu zapadła się do środka i zwisała niczym złamane skrzydło gigantycznego metalowego ptaka. Na przerdzewiałej bramie ktoś namalował czarnymi literami słowo AWAS - po malajsku „niebezpieczeństwo”. Można by sądzić, że to opuszczone miejsce byłoby idealną siedzibą dla duchów, ale żaden się tam nie zadomowił. Żaden nie chciał być częścią tej makabrycznej spuścizny.

Zbliżając się do bramy, zaczęłam drżeć. Nie mogłam nad tym zapanować.

Kiedy przyjechałam to zlecenie, nie zdawałam sobie sprawy, jaką władzę ma nad mną ten stary magazyn. Pod wpływem sukcesów stałam się zbyt pewna siebie. Tutaj miałam do czynienia z miejscem niepodobnym do innych.

- Danielu - wyszeptałam na wypadek, gdyby stał gdzieś nad rzeką. Oczywiście go tam nie było.

Co Hiram Desker zamierzał zbudować na tym kawałku skalanej ziemi? Pasaż handlowy? Osiedle mieszkaniowe? Przed ambitnym inwestorem otwierały się nieskończone możliwości, lecz mój ograniczony umysł widział wyłącznie cierpienie.

Miałam radę dla swojego klienta. Jedynym dobrym sposobem wykorzystania tej parceli jest spalenie wszystkiego do gołej ziemi, posypanie solą, ogrodzenie i zalanie betonem. To zamierzałam mu powiedzieć, kiedy przybędzie na spotkanie.

Słońce prażyło niemiłosiernie, gdy czekałam na Hiram Deskera przed wysoką metalową bramą. Południowa spiekota byłaby trudna do zniesienia dla każdego, ale będąc w ciąży, czułam się jak przypiekana żywcem. Stałam tam już piętnaście minut i nikt się nie pojawiał. Instykt podpowiadał mi, żeby uciekać z tego przeklętego miejsca. Nie miałam jednak wyjścia, musiałam tam tkwić w oczekiwaniu na Hiram Deskera. Pierwsze miejsce na liście wskazywało, że jest bardzo wpływowym człowiekiem, a ja nie chciałam zrobić sobie z niego potężnego wroga.

Po kolejnych pięciu minutach w prażącym słońcu straciłam cierpliwość. Kopnęłam zardzewiałą bramę. Otworzyła się z przeciągłym skrzypnięciem. Z chwilą gdy ją przekroczyłam i znalazłam się na terenie magazynu, wiedziałam jedno: nie jestem już sama.

Obserwowało mnie wiele oczu.

Zardzewiała brama zamknęła się za mną z donośnym szczękiem.

Z bliska stary magazyn wydawał się o wiele bardziej ponury niż z drogi. Był poczerniały od brudu, pleśni i sadzy. Potężna płycina jednej ze ścian została usunięta, odsłaniając ziejące wnętrzości budynku. Czułam pulsujące tam życie, chociaż nie byłam pewna, czy jest ludzkie. Zrobiłam kilka kroków.

- Panie Desker! - zawołałam. Mój głos odbił się echem w ciemnej pustce. - Hiramie Desker, jest pan tu?

Weszłam do hangaru. Był większy, niż go zapamiętałam. W środku panowała cisza. Nie czułam żadnych poruszeń powietrza, zupełnie jakby przebywająca tam istota wstrzymała oddech. Na szczęście smród formaldehydu wyparował. W nos bił tylko metaliczny zapach zawilgoconej rdzy,

deszczu, zwierzęcych odchodów, woni, do których przywykłam, polując na duchy.

Hangar był pusty, chociaż wypełniały go rozkołysane cienie, unoszące się w powietrzu drobinki oraz złoty korytarz, utworzony z promieni słońca wpadających przez świetlik. Na starym religijnym malowidle na tej plamie światła mógłby stać prorok z lśniącą głową i uniesionymi rękami. Bez tego elementu obraz wydawał się niekompletny.

Stałam na plamie światła, które ozłociło mi skórę.

Usłyszałam kroki. Brzmiały jak moje, ale z całą pewnością moje nie były. Dobiegały z nieprzeniknionego mroku, niedostępnego moim oślepionym słońcem oczom.

- Jest tam kto?! - krzyknęłam.

Usiłowałam przebić wzrokiem ciemności. Hangar wydawał się nieskończony. Jednak w tej chwili nic nie mogło mnie przestraszyć. Byłam bezpieczna w strefie światła, moje łono dodawało mi wigoru. Emanowała ze mnie obietnica nie jednego życia, lecz dwóch.

Znowu kroki.

- Panie Desker! - Zamachałam w stronę mroku. Wewnętrzny głos ostrzegał mnie, że to może być Taro.

Kiedy wyteżyłam wzrok, rzeczywiście ujrzałam ducha. Najpierw niewyraźny zarys, potem coraz jaśniejszą, coraz bielszą, aż w końcu promienistą sylwetką istoty, której uroda zaparła mi dech.

To był Daniel. Młody jak kiedyś.

Jasna skóra, gęste brwi, łagodnie pytające spojrzenie. To jego miałam stąd wyeksmitować na życzenie Hirama Deskera. W tym, że moja praca miała znów nas połączyć, widziałam coś okrutnie poetyckiego.

- Byłeś tu przez cały czas? - zapytałam łamiącym się głosem.

Skinął głową. Na jego wargach błdził dziwny uśmiech, kąciki ust drgały, aż zastygły w grymasie. Czy Daniel nie mógł mówić? A może ze mnie szydził?

- Och, Dan, odezwij się! Tak bardzo za tobą tęskniłam.

Szłam w jego stronę, gdy nade mną rozległa się seria nienaturalnych zawodzeń, żalostnego wycia rozchodzącego się zardzewiałych części. Uniosłam głowę. Przez dach zaglądało słońce. Ognista kula mrugnęła do mnie. Mrugnęła, ponieważ coś wisiało między nami i zakołysało się z gracją papierowego latawca.

Tyle że to nie był papierowy latawiec, lecz coś znacznie cięższego. Pod wpływem siły grawitacji runął na mnie zdradliwy fragment starego dachu.

Kiedy się ocknęłam, ból był umiejscowiony w brzuchu. Mówię „brzuch”, lecz tak naprawdę odczuwałam go głębiej, bardziej intymnie. Pragnęłam sięgnąć do tego punktu i wycisnąć z siebie ten ból, nie wiedziałam jednak, gdzie skierować ręce. To miejsce nie miało ani imienia, ani pamięci.

Nie miało też twarzy.

Moje dziecko nie miało twarzy.

- Morfina! - rozległ się donośny krzyk.

Potem znów odpłynęłam. Śniłam o chmurach, zielonych przestrzeniach, chmurach w chmurach, bezmiarze zielonych przestrzeni. W zawieszeniu między tymi niezmiennymi obrazami mogły upłynąć całe lata. Trzymałam się ich, rozpaczliwe pragnęłam zostać w ich królestwie, lecz nawet śmierć ma swój kres.

Kiedy wróciłam do świata, nie chciałam nikogo widzieć. Ich modlitwy nie mogły ukoić poczucia straty. Pierwsze słowa, które wypowiedziałam do pielęgniarki, były prośbą o ciszę.

- Wiem - odparła kobieta.

Stan mojego ciała odpowiadał stanowi duszy. Pod zwojami bandaży nie widziałam swoich dłoni. Nie mogłam ani otrzeć łez, ani się podrapać. Każde poruszenie głową powodowało straszliwy ból, musiałam jednak poznać rozmiar obrażeń. Lewe kolano tkwiło uwięzione w gipsie. Bóg jeden wiedział, jakie przykre niespodzianki się pod nim kryły. Na szczęście prawa noga pozostała nietknięta. Na widok tych ran przypominałam sobie, jak próbowałam uwolnić się spod przygniatającego mnie ciężaru.

Ile razy może umrzeć kobieta?

Trzy razy Kenneth próbował się ze mną zobaczyć. I trzy razy go odprawiłam. Nie chciałam być świadkiem jego reakcji na wieść, że widziałam Daniela i że to on mógł mi to zrobić. Nie chciałam też zobaczyć ulgi, z jaką przyjmie wiadomość, że los uwolnił go z siideł ojcostwa.

Co do Hirma Deskera, to zadawałam sobie pytanie, czy ten spóźnialski drań mnie uratował, wyciągając spod zawalonego dachu? Czy to on zawiózł mnie do szpitala? Czy on w ogóle istniał? Wątpiłam w to. Właściwie to nie miało już znaczenia. Koszty mojego pobytu w szpitalu zostały po cichu pokryte, a ja sama otrzymałam kopertę z zawartością, która miała zneutralizować mój gniew. Równowartość dziewięciomiesięcznych zarobków.

W szpitalu powoli wracałam do zdrowia. Kiedy wreszcie mogłam stamtąd wyjść, odprowadziła mnie do taksówki pielęgniarka stażystka - pulchna, niepewna i naiwna. Myślała chyba, że okazuje mi życzliwość, gdy wypowiedziała na pożegnanie trzy niemiłosierne słowa:

- To był chłopiec.

Byłam młoda.

A potem stałam się stara. Tak po prostu.

Kiedy po powrocie do domu spojrzałam wreszcie w lustro, miałam wrażenie, że upłynęło dwadzieścia lat, chociaż w szpitalu spędziłam dwa miesiące. W tym czasie osiwiiałam.

W ciągu kilku tygodni bezpowrotnie straciłam przeszłość i przyszłość - czarne włosy i dziecko. Na szczęście ciągle byłam odrętwiała, dzięki morfinie spowita kokonem zaprzeczenia. Spięłam niesforne włosy w dostojny kok i nałożyłam puder na ziemiste policzki. Mając tę maskę na twarzy, pomalowałam usta na czerwono, a łuki brwi podkreśliłam czarną kredką.

Skoro nie mogłam pozostać przy swojej twarzy, postanowiłam pożyczyć ją od mamy.

Niesamowite, jak bardzo ją przypominałam. Odziedziczyłam wszystko, czego tak w niej nie znosiłam: oczy przestraszonej kijanki, krótkie rzęsy, nieregularne piegi. Miałam też po niej wszystko, co ponoć czyniło ją piękną: wydatne kości policzkowe, pełne usta, ładne zęby. Przepłynęłam ocean, ale przed tym dziedzictwem nie dało się uciec.

Wróciłam uzbrojona w ten matczyzny arsenał. W szpitalu miałam dużo czasu na rozmyślanie. Zżerała mnie chęć odkrycia prawdy o tym, co wydarzyło się tamtego dnia. Musiałam to wiedzieć.

Daniel na pewno mógł mi to wyjaśnić.

Okazało się, że nie ja jedna w ciągu tych dwóch miesięcy uległam przemianie. Kiedy pojechałam taksówką do starego magazynu, zobaczyłam, że nic po nim nie zostało. Zniknęła nawet brama z ostrzegawczym napisem. Przede mną roztaczał się anonimowy kawałek wyrównanej ziemi, dzieło stalowych kul, buldożerów i starych dobrych mioteł. Było czysto.

Postanowiłam dobrze wykorzystać pieniądze od Hirama Deskera. Chciałam zabrać Li z Woodbridge i umieścić go w prywatnej placówce opiekuńczej. Tam miałby własny pokój z klimatyzacją, zamiast co noc karmić spragnione komary swoją krwią. Mogłam nawet ręczyć za czystość tego miejsca. Inwestor budowlany H.M. był jednym z moich najlepszych klientów.

Szłam korytarzami Woodbridge ostatni raz - tak przynajmniej wtedy sądziłam - przepełniona tęsknotą. Pielęgniarki o figurach gruszek, wszechobecne niebieskie piżamy, grupki zdezorientowanych pacjentów czekających na rozpoznanie. Nawet środek odkażający miał swojski zapach przypominający nieco woń starej niezamężnej ciotki.

Potem wyczułam inne perfumy, jeszcze dziwniejsza mieszankę proszku do prania, wody kolońskiej i talku na potówki. Minęła mnie starsza kobieta w zielonkawym cheongsam, ze starannie ułożoną fryzurą, z perłami na szyi, w puszystych białych pantoflach. Szła do drzwi. W pierwszej chwili nie wiedziałam, czy jest żywa, czy martwa. Pozdrowiłam ją skinieniem głowy, lecz mnie zignorowała. Miała szkliste oczy.

- Niech się pani nie da przestraszyć - powiedziała mi jedna z młodych pielęgniarek. - Ta kobieta jest medyczną zagadką. Cały czas pogrążona w katonii, budzi się z tego stanu w ostatnią niedzielę miesiąca. Wtedy niespodziewanie się ożywia, bierze kąpiel, wkłada zielony strój, skrapia dziwnymi perfumami i jedzie taksówką do hotelu Metropol na podwieczorek. Zupełnie jak szwajcarski zegarek. Nazywamy ją naszym zegarem z kukułką. Po podwieczorku wraca tutaj i znowu traci kontakt z rzeczywistością.

Hotel Metropol? Czy to możliwe, żeby... Tak, to była pani Odell!

Patrzyłyśmy z pielęgniarką, jak po wyjściu z budynku idzie w stronę czekającej na nią taksówki, a potem mocuje się z opornymi drzwiami auta. Chciałam jej pomóc, więc odruchowo zrobiłam krok do przodu, ale kobieta mnie powstrzymała.

- Niech ją pani zostawi. Zniszczy pani tylko jej fantazje. Ona myśli, że wciąż jest młoda. A prawda jest taka, że każda jej wyprawa do miasta może być ostatnią.

- Jak wygląda jej sytuacja finansowa? - zapytałam.

- Sytuacja finansowa? - Pielęgniarka spojrzała na mnie z zaciekawieniem. - Od lat nie ma środków do życia. Na szczęście jej utrzymanie niewiele kosztuje. W hotelu Metropol nie mają nic przeciwko jej wizytom. Nie je ani nie pije. Niech pani sobie wyobrazi, że prowadzą ją do pomieszczenia gospodarczego, a ona po prostu tam siedzi.

- Jak ma pani na imię, siostrze?

- Ja? - zapytała zaskoczona. - Cornelia. Dlaczego pani pyta?

- W takim razie, Cornelia - wyjęłam książeczkę czekową - dopilnuj, żeby pani Odell do końca życia niczego nie zabrakło i żeby miała godną śmierć. - Wypisałam czek, wręczyłam jej i szybko odeszłam, zanim dziewczyna zaczęła zadawać pytania.

Dwa piętra wyżej spotkałam drugiego marzyciela. Li powitał mnie w drzwiach swojego oddziału.

- Tak szybko wróciłaś?

Wystarczyło jedno spojrzenie i wiedziałam, że trudno będzie przenieść go w inne miejsce. Jako pacjent o najdłuższym - chyba prócz pani Odell - stażu



stał się władcą Woodbridge. Przyjął mnie papierowym kubkiem wody z lodem z dyżurki pielęgniarek. Przycupnęłam u jego stóp i popijałam ją wolno jak wino. Kiedy rozsiadł się wygodnie na swoim tronie o zardzewiałych nogach i winylowym oparciu, poddałam się - nie miałam sumienia zabierać króla z jego zamku. Musiał tu zostać.

Siedzieliśmy sami w sali muzycznej. Inni pacjenci wyszli. Królewskimi poddanymi były teraz słoneczniki namalowane na ścianach. Żaden jednak nie dostąpił takiej łaski jak ja. Li poluzował mój kok i pogładził mnie po siwych włosach, jakbym nadal była piękną.

- Byliśmy młodzi - wyszeptał - a teraz jesteśmy starzy.

Jego twarz się wypogodziła. Miałam wrażenie, że znalazł się gdzieś między snem a jawą i w tym stanie zawieszenia zaczął opowiadać mi starą historię, naszą historię:

- Dawno, dawno temu żyła pewna rodzina, która uparcie szukała szczęścia...

Rok później, na początku 1964 roku, wróciłam do kościoła Świętego Andrzeja. Tym razem zostałam zaproszona.

- Po co lizać rany, skoro pocieszenie jest na wyciągnięcie ręki? - usłyszałam szept Kennetha w słuchawce. - Vi nie musi cię widzieć. Ale ja chcę. Potrzebuję cię. Będzie mnóstwo ludzi, więc wtopisz się w tłum. Przyjdź, proszę.

W tym czasie gazety dostarczyły mi odpowiedzi na większość moich pytań dotyczących biografii Violet. Po wojnie wyjechała do Anglii. Tam uzyskała dyplom London School of Economics i stamtąd kierowała interesami rodziny. Podczas wizyty w rodzinnym kraju przypadkiem wpadła na Kennetha, starego znajomego. Czekał na stolik w restauracji U Mitzi. Dalszy ciąg wszyscy znają. Odzyskali starą rezydencję rodziny Wee w Tanglewood i zamienili ją w swój Camelot.

W porównaniu z ubiegłym rokiem różnica była kolosalna. Tym razem teren wokół kościoła pełen był limuzyn i setek gości w pastelowych odcieniach Wielkanocy. W czarnej bluzce i spódnicy w ogóle do nich nie pasowałam, ale wśród gości widziałam wielu moich byłych klientów, którym powaga takiego stroju wydawała się naturalna. Kiedy przechodziłam obok, witali mnie lekkimi, pełnymi szacunku - i obawy - skinieniami głowy, które w żaden sposób nie zdradzały naszej sekretnej relacji.

Miałam ochotę uciec stamtąd do jakiegoś baru, im bardziej obskurnego, tym lepiej, jak najdalej od tego przyprawiającego o mdłości pokazu celebracji nowego życia oraz eleganckich nakryć głowy. Zanim zdążyłam zrobić

choćby krok, wypatrzył mnie czujny jak zawsze Kenneth. Jego spojrzenie wyrażało ledwie dostrzegalne, ale szczere podziękowanie za to, że się zjawiłam, jakbym była jedyną prawdziwą przyjaciółką w morzu demonstracyjnych objęć, całusów i przymilnych słów. Miał na sobie jasnoniebieski lniany garnitur, dzięki czemu mógł wtopić się w majętny tłum, a mimo to chciał, żebym dostrzegła jego izolację i samotność, jaką sam na siebie sprowadził.

Podczas nabożeństwa siedziałam w ostatnim rzędzie. I korzystałam z teatralnej lornetki. Wśród ludzi, z których co bardziej podatni na wzruszenie unosili do oczu chusteczki, może wyglądałam na nieokrzesaną, ale przyszedłam tam, żeby sobie popatrzeć, i nie miałam zamiaru z tego rezygnować.

Violet miała na sobie szykowną, obcisłą, różową suknię bez rękawów. Z krótko obciętymi włosami znowu prezentowała styl Audrey Hepburn. Tym razem naśladownictwo tylko podkreśliło jej posępność. Z chmurnym wyrazem twarzy daleko jej było do Holly Golightly. Przyciskała dziecko do piersi, Kenneth stał obok niej uśmiechnięty, lecz zupełnie obojętny, jakby przypadkiem trafił na chrzciny i zadowalał się obserwacją obcych ludzi biorących udział w ceremonii.

Dziewczynka, której nadano imiona Agnes Mary - po tamtym martwym kundlu! - nie zaśmiała się ani nie zapłakała, gdy duchowny połał jej rzadkie włoski wodą, a kilka kropel spłynęło na szatkę z białej organdy. W niechęci do zdradzania swoich uczuć była kopią Kennetha.

Nic nie mogłam na to poradzić, że pomyślałam o naszym synku. Zadawałam sobie pytanie, jak on zachowałby się w podobnej sytuacji. Pewnie zaczęłby zawodzić albo puścił głośnego bąka, kiedy tylko pastor dotknąłby jego główki. Natychmiast zdobyłby serca wszystkich zgromadzonych.

Gdyby żył, miałby prawie sześć miesięcy, a ja nie siedziałabym w tym kościele. Byłabym w domu i spełniała każdą zachciankę mojego dziecka, synka bez imienia i bez twarzy. Na myśl o tym oczy zaszły mi łzami.

W tym samym momencie poczułam ucisk w piersiach. Bolały mnie stwardniałe sutki, bałam się, że naprężona do granic skóra zacznie pękać. Położyłam dłoń na piersiach. Czy to atak serca?

Prawda okazała się mniej przerażająca, lecz o wiele dziwniejsza. Moje piersi wezbrały mlekiem.

Po ceremonii próbowałam jak najszybciej wyjść z kościoła, ale gęsty tłum uniemożliwił mi ucieczkę. Ktoś ogłosił, że na gości czeka szampan i ciasto. Po tych słowach ludzie zatrzymali się i zablokowali drzwi.

Ktoś bezceremonialnie klepnął mnie w ramię. Wiedziałam kto, zanim się odwróciłam. Wyczułam wrogość.

Violet.

Miała twarz wykrzywioną wściekłością. W niczym nie przypominała Audrey Hepburn czy tragicznej świętej. Miałam przed sobą raczej szalejącą z gniewu Bette Davis. Bez słowa powitania złapała mnie za rękaw i pociągnęła za gotycki filar. Miała równie mocny uścisk, jak w czasach, gdy była ponurą uczennicą.

- Nie wiem, co chciałaś osiągnąć, przychodząc tutaj, ale wiem, że to nie pierwszy raz. Widziałam cię na naszym ślubie. Stałaś na cmentarzu. - Zaczęła mrugać, jakby chciała powstrzymać napływające łzy. - To był mój ślub... a ty tam byłaś i mnie obserwowałaś! - Nie dała rady łzom, popłynęły po policzkach. - I te białe chryzantemy... Nie mówiłam Kenny'emu, ale wiedziałam, że to ty.

Niańka dziecka podeszła do Violet i zapytała z troską, czy coś się stało. Ta gestem kazała jej odejść.

- Wiem, że powiedziałam ci straszne rzeczy, ale... była wojna. Musisz mnie zrozumieć: straciłam wszystko! Nie możesz o tym zapomnieć? Niesnaski między nami dotyczyły wyłącznie nas. Nie wciągaj w to mojego męża i córki. Po tym, co przeszłam, myślałam, że nigdy nie urodzę dziecka. Ale urodziłam, i to w moim wieku. Jeśli nie masz dziecka, to tego nie zrozumiesz. Nie pozwolę, żebyś odebrała mi szczęście.

Odeszłam bez słowa. Nie chciałam, by zobaczyła łzy w moich oczach. Miała rację: wszystko się zmieniło. Na jej miejscu też walczyłabym o rodzinę. Violet pozostawała jednak ślepa na to, że to ona wypełzła z ciemnego kąta i skradła moje życie.

Czy to nie ja. powinnam wołać: „Przestań, złodziejko!?”.

Przepchnęła się za mną przez tłum i znowu złapała mnie za ramię.

- Miałam nadzieję, że nie będę musiała cię błagać, Cassandro, ale stało się inaczej. - Odetchnęła głęboko. - Proszę, przestań mnie prześladować, dobrze?

## PANI PÓLNOC

Kilka dni później Kenneth zadzwonił do mnie z biura. Najwyraźniej nie miał pojęcia o mojej scysji z jego żoną.

- Widziałem cię. Siedziałaś z tyłu i patrzyłaś przez teatralną lornetkę - powiedział. - Zauważyłaś jej rączki?

Przyznałam, że nie.

- Urodziła się bez linii papilarnych! - Zachichotał. W jego głosie brzmiała duma świeżo upieczonego ojca. - To cudowna anomalia. Mój skarb ma gładkie łapki.

- Przydadzą się, gdy zechce ukraść diament Hope.

- Albo zostać politykiem. Przypuszczam, że mogą jej wróżyć świetlaną przyszłość w polityce.

Kenneth jak zwykle mówił zagadkami. To przecież on uwielbiał być w centrum politycznej uwagi.

Przy wsparciu swoich towarzyszy, muzułmanina Iskandara Ibrahima oraz chińskiego imigranta Zhang Minga, zaangażował się w kampanię wyborczą jako kandydat na premiera. Trio robiło sobie zdjęcia na całej Wyspie - na targowiskach, na stadionach, na podiach z biznesmenami. Mimo napiętego harmonogramu zajęć Kenneth podsyłał mi nowych klientów, chociaż było ich coraz mniej. Nic dziwnego. Z każdym dniem Wyspa stawała się czystsza.

Nie przestawało mnie zadziwiać, jak Kenneth bezbłędnie wyczuwał choćby cień szansy dla siebie i doskonale wiedział, jak ją zwiększyć. Nikt już tego dzisiaj nie pamięta, ale przeciwnikiem Kennetha był ówczesny premier, bogaty euroazjatycki pijak, którego mianowali wycofujący się Brytyjczycy.

Kenneth obiecał mieszkańcom Wyspy to, czego wszyscy pragnęli: pokój, dobrobyt, znaczącą pozycję i, co najważniejsze, nowy początek. Kiedy przemawiał na wiecach do prostych ludzi, afektowany sposób mówienia zastępował kawiarnianymi kolokwializmami i niedbałą dykcją taksówkarzy i robotników, a mimo to jego wystąpienia nigdy nie traciły na klarowności, sile i pasji. Wśród ludzi wpływowych sięgał po oksfordzki akcent i faszerował swoje wypowiedzi takimi terminami jak „darwinowska walka o byt” czy „kaprysy losu”. Kenneth Kee może miał wężowy język, ale umiał nim zjednoczyć wszystkie grupy społeczne.

Mimo naszych skomplikowanych relacji uważnie śledziłam jego kampanię. Kenneth naprawdę był wielką nadzieją Wyspy. Nikt mu nie dorównywał.

Podczas decydującego wiecu w robotniczej dzielnicy Woodlands powiedział coś, co można było uznać za polityczną niezręczność:

- Gdybym mógł przeciągnąć naszą wyspę z dala od tego kiepskiego sąsiedztwa i zakotwiczyć ją na północy, zrobiłbym to bez namysłu. Zaslugujemy na coś więcej niż te moczary!

Zadrzałam, usłyszawszy te słowa przez radio. Przypomniałam sobie, jak podzielił się ze mną tą myślą na chłostanych ulewą schodach ratusza, ale wyartykułować ją głośno na forum publicznym... Albo popełnił największą gafę w karierze, albo objawił polityczny geniusz. Oczywiście każdy ciężko pracujący mieszkaniec Wyspy znał uczucie niezadowolenia z jej miejsca na mapie świata. Byliśmy zaledwie punkcikiem otoczonym przez porośnięte dżunglą kraje bez większych ambicji. Nikt z nas nie ośmieliłby się jednak wyrazić tego głośno w obawie, że obrazi naszych sąsiadów.

Intuicja Kennetha wygrała z moją. Tłum na wiecu przyjął jego słowa z entuzjazmem. Ta spontanicznie brzmiąca skarga z idealnie dobraną dawką niechęci do samego siebie i pobożnych życzeń określiła Kennetha - i Wyspę - na dziesięciolecie. Do dziś pozostaje kluczowym elementem tożsamości jej mieszkańców. Wyraża ten rodzaj niezadowolenia, które inspiruje do nieustającej pogoni za dobrobytem.

Głosowałam na niego. Wielu innych również.

W wyborach powszechnych w 1965 roku Kenneth zdobył sześćdziesiąt sześć procent głosów. Tak przynajmniej informują podręczniki historii. W rzeczywistości było to prawie pięćdziesiąt jeden procent. Mimo to nie powinnam zazdrościć zwycięstwa staremu towarzyszowi. W wieku czterdziestu pięciu lat został najmłodszym przywódcą narodu, energicznym cudownym dzieckiem na stanowisku zajmowanych dotąd przez spoczone dinozaury. U jego boku zawsze stali jego pierwsi towarzysze walki - Issa i Świerszcz.

Uśmiechałam się na myśl o niezliczonych dłoniach, jakie musiał ścisnąć jako premier, zarówno na korytarzach władzy, jak i na ulicach. Pewnie mył potem ręce z dziesięć razy, szorując każde wyżłobienie, aż do zanikania linii papilarnych. Nic dziwnego, że urodziła mu się córka zupełnie ich pozbawiona.

Podczas rządów Kennetha dzielnice nędzy i mokrada zaczęły znikać. Na ich miejscu powstawały tanie wielopiętrowe budynki z ciasnymi kłitkami.

Każdy stanowił zaporę przeciw żarłocznej dżungli, każdy był oświetlony niczym świątynia w nadziei na odpędzenie nieznanego.

Wiedziała, że prędzej czy później znowu poprosi mnie o przysługę. Był cierpliwy. Czekał cztery lata.

Była trzecia w nocy.

- Pani Północ - zamruczał do słuchawki. - Odtąd będę cię nazywał Panią Północ. Tak jest bezpieczniej.

Pani Północ, czyli po mandaryńsku Zi Ye, to był pseudonim kurtyzany żyjącej w czwartym stuleciu. Pisała wiersze, w których opłakiwała to, że kochankowie przychodzili i odchodzili. Jeśli już szukać jakiejś analogii, to usposobieniem bliżej mi było do Li Ho, poety z czasów dynastii Tang, który pisał o demonach, cmentarzach i łkających posągach.

- Jeśli masz zamiar wydzwaniać do mnie w środku nocy, to nie możesz mnie obrażać. Pani Północ... Jesteś pijany?

- Nie, znalazłem inspirację. Usłyszałam szelest przewracanych kartek.

*Otwiera okno i widzi jesienny księżyc,*

*Gasi świecę, zdejmuję jedwabną szatę.*

*Z uśmiechem rozsuwa zasłony wokół mojego łóża,*

*Pochyliła się nade mną - otacza mnie woń orchidei.*

- To jeden z wierszy, które Pani Północ napisała z męskiego punktu widzenia. Postawiła się na miejscu swojego kochanka. Zawsze wysoko ceniłem jej sposób rozumowania. Daleki jestem od obrażania cię...

Westchnęłam ciężko. Mimo to Kenneth ciągnął swój wywód:

- Powinnaś mieć pseudonim. Ja też muszę. Premier i Pani Północ. - Zachichotał z niezmaconym spokojem. - Nieważne, że brzmi to trochę jak wiktoriańskie romansidło. Na dodatek takie, które bardzo źle się kończy.

Wyczułam, że jednak jest pijany.

- Gdzie jesteś, Kenneth?

- Na dole w kuchni, jeśli pamiętasz, gdzie jest kuchnia w tym domu. Kazałem zainstalować telefon obok spiżarni. Przekonałem Vi, że wtedy będziemy mogli dzwonić do sklepu z zamówieniem, gdy tylko odkryjemy brak mleka. - Zaśmiał się. - Powinnaś zobaczyć to miejsce. Vi przewróciła wszystko do góry nogami. Powiedziałem jej, żeby pozbyła się wszystkiego, co stare i ciemne, zasadniczo wszystkiego, co mieli Wee. Zniknął oczywiście

ten groteskowy krucyfiks. I dobrze. Krzyżyk na drogę. Dom zmienił się nie do poznania. Jest teraz całkiem przyjemnym miejscem. Wszystko jest czyste i nowoczesne. Są dwa telewizory. Oba w sypialni. Dzięki temu mogę porównywać, jak dwie stacje telewizyjne relacjonują to samo zdarzenie, i decydować, którą na drugi dzień podać do sądu. Powinnaś wpaść kiedyś na herbatę. Chociaż - urwał i zachichotał - lepiej nie wpadaj. W domu na pewno są goście, o których nie chcę wiedzieć.

- Gdzie jest twoja żona?

- Na górze. Śpi.

- A córka?

- Na górze. Też śpi.

- Czegoś potrzebujesz. Dlatego dzwonicz do mnie o tej nieludzkiej porze.

- Masz rację. Mam swoje potrzeby. Ogromnie bezbożne potrzeby. Tęsknię za chwilami, gdy leżałaś pode mną, wiałaś się i jęczałaś. Ech, te twoje jęki. Byłaś w tym doskonała. Umiałaś się podporządkować. Ciągle o tym myślę, kiedy jestem sam, w kąpielni. Nostalgia to nieopanowany wąż.

- Czego naprawdę chcesz, Kennecie Kee? Milczał, zbierając się w sobie.

- Wiem, że masz listę oczekujących - odezwał się w końcu. - Mam nadzieję, że uda mi się użyć swoich wpływów. Jest ktoś, kogo może zechcesz umieścić na górze listy.

- Jakąś wpływową grubą rybę?

- Nie taką, o jakiej myślisz.

- Więc o kogo chodzi?

- O mnie. - Znowu się zaśmiał, tym razem ostrożniej. - Słyszałaś o miejscu zwanym Redhill?

Była to dzielnica nędzy, w której Li i tata mieszkali w czasie wojny. Tę nazwę nadał jej rząd. Redhill jak guz albo rana, źródło podrażnienia. Przez lata rozrosła się i zyskała wątpliwą sławę największego slumsu na Wyspie. Tysiące ludzi mieszkało tam w brudzie i nędzy jak w XIX wieku. Kenneth zwrócił uwagę na Redhill nie z powodu panującej tam biedy, częstych napadów z użyciem noża lub kwasu, czy z troski o mieszkańców, którzy nigdy nie rejestrowali się na liście wyborców. Chodziło o lokalizację. Dzielnica nędzy zajmowała pięćdziesiąt akrów doskonale położonej ziemi.

- Słyszałaś czy nie? - ponaglił mnie, kiedy milczałam.

- Masz kłopot ze zmuszeniem ludzi do opuszczenia Redhill? Zachichotał.

- Ach, więc znasz to miejsce. Nie muszę mówić nic więcej.

- W to nie dam się wciągnąć. Tam żyją ludzie.  
- Właśnie, ludzie. To oni są problemem. Byłoby o wiele łatwiej, gdyby chodziło tylko o duchy. Daliśmy im dwa miesiące i zaoferowaliśmy zachętę finansową. Wystarczy na zagospodarowanie się w innym miejscu. Ale nie ma chętnych. Zupełnie jakby otaczali to miejsce kultem. Nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że w samym centrum mają dół ofiarny. Westalki i te sprawy. Cholerne utrapienie.

- Byłeś z tym u Issy?  
- Znasz jego stanowisko w tych kwestiach. Staje się bardzo... donośny. -Urwał.  
- Co ty na to, Pani Północ? Bóg mi świadkiem, że nie proszę o nic złego. Zależy mi na tym, żebyś się tam rozejrzała i dała kilka wskazówek. Jeśli zrobię coś złego, to będzie katastrofa wizerunkowa. Nie mówiąc o tym, że to będzie złe. Parę słów mądrej rady, dobrze?

- Na co ci ten teren?  
- Na szkoły, szpitale, biura. Na użyteczne obiekty. Głównie na drogi. Bez dróg nic nie można zdziałać ani donikąd dotrzeć, a Redhill leży w samym środku wszystkiego. Zbudowaliśmy dla tych ludzi nowe mieszkania z wygodami, przyzwoite szkoły. Wiem, że ci zjadacze larw nienawidzą zmian, ale kiedy się przeniosą, będą o wiele szczęśliwsi. Wystarczy, że rzucisz okiem na to miejsce, zgoda?

Rozważałam tę propozycję. Gdybym nie pomogła, Kenneth przypuszczalnie użyłby wobec mieszkańców Redhill siły, a konfrontacja byłaby groźna.

- Jedno spojrzenie?  
- Tak. Czy pięć tysięcy brzmi dobrze?  
- Dziesięć brzmi lepiej.  
- W takim razie dziesięć. Rano mój posłaniec przyniesie ci kopertę.

\* \* \*

Mimo doskonałej lokalizacji Redhill trudno było tam dotrzeć. Słudusi Kennetha zlikwidowali najbliższy przystanek tramwajowy. W odległości półtora kilometra od murów Redhill nie zatrzymywał się żaden autobus. Na tym polegał plan: odizolować dzielnicę nędzy od świata, tak utrudnić życie jej mieszkańcom, by sterylne klitki w wieżowcach uznali za dar niebios.

Kenneth nie wziął pod uwagę tego, że ci ludzie mieli wyjątkową umiejętność przystosowania się do każdych warunków. Kiedy wyłączono im prąd,



kradli go z pobliskich słupów. W nocy dzielnica wcale nie tonęła w ciemnościach. Z brakiem bieżącej wody też sobie poradzili: zbierali deszczówkę.

Wysiadłam z tramwaju przy opustoszałym Cudownym Świecie, który był teraz własnością państwa, i przeszłam jeszcze półtora kilometra, zanim poczułam niesione wiatrem charakterystyczne zapachy slumsów: dym z nafty, woń starego oleju, gnijące odpadki i ludzkie odchody. Po kolejnym kilometrze zobaczyłam ogrodzenie z blachy falistej otaczające slumsy. Rozrosły się od czasów, gdy mieszkali tam tata i Li. Z bezładnego skupiska prowizorycznych bud stały się miastem w mieście, mozaiką wszelkich odcieni szarości, czerwieni i brązów, pełną sznurów do bielizny. Wszystko to razem wzięte wysyłało w świat jasny komunikat: „Mamy zamiar tu zostać”.

Zmarli też nie mieli zamiaru opuszczać Redhill.

Setki z nich stały na obrzeżach, być może uważając te slumsy za przystanek między czyścem a piekłem.

Zamiast jednego wejścia, na teren slumsów teraz prowadziło dziesięć. Poszukałam wzrokiem tego, przez które wchodziłam przed laty, odwiedzając Li. Nadal tam było, niemal całkiem zasłonięte zardzewiałymi metalowymi drzwiami.

Zauważyłam jednak nowy element: przejścia strzegły nieogolone oprychy z parangami w rękach i w brudnych podkoszulkach - współczesne wersje Li z czasów wojny. Ospale patrolowali teren wzdłuż ogrodzenia, każdy z dobermanem na smyczy. Kiedy psy mnie wyczuły, zaczęły warczeć, odsłaniając żółte zębiska.

Ich jawna wrogość do mnie wzbudziła podejrzliwość samozwańczych strażników. Przystanęli i utkwili we mnie badawcze spojrzenia. Uosabiałam wszystko, co dla tych młodzików obce: byłam starą kobietą z cywilizowanego świata.

- Jesteś z rządu?! - krzyknął jeden ze zbirów w dialekcie hokkien. - Mój pies nie lubi śmierdzących cip z rządu.

Posłałam mu pogodny uśmiech.

- Przyszłam zobaczyć się z moim ojcem.

- A co on za jeden?

- Nie znasz go. Jest z wcześniejszych czasów niż twoje. Mogę wejść?

- Co to znaczy „z wcześniejszych czasów niż moje”?

- Umarł wiele lat temu, ale jego duch nadal tu mieszka.

Chłopców rozbawiły moje słowa. Zarechotali i obrzucili mnie soczystymi wulgaryzmami, praktycznie nieprzetłumaczalnymi na inne dialekty.

- Jeśli chcesz nas przestraszyć, to szkoda śliny - powiedział najbardziej butny z nich. Uniósł zardzewiały parang, prezentując zaplamioną krwią klingę. - Żyjemy, jemy i śpimy z duchami.

Wskazałam parang.

- W dawnych czasach ja też taki nosiłam. Znowu ryknęli niepohamowanym śmiechem.

- Niezła z ciebie komediantka, babciu! - rzucił któryś z nich.

- Nie macie wrażeń, że żyjecie w piekle? To tylko spostrzeżenie, nie ocena. Po co żyć tutaj, skoro czekają na was nowe mieszkania?

- Ponieważ tutaj stanowimy jedną wielką rodzinę - wyjaśnił pierwszy chłopak. - Troszczymy się o siebie. Jeśli zgodzimy się przenieść do nowych mieszkań, pozwolą nam zostać razem? Jasne, że nie! Rozdzielą nas, wsadzą między Hindusów, Malajów, Arabów i licho wie, kogo jeszcze! Wielka rodzina nie chce być rozdzielona, bo wtedy inni ją wykorzystają.

- A przestępstwa? Odchrząknął i plunął flegmą.

- To ci z zewnątrz! Przychodzą tu obcy, broją, a potem zrzucają wszystko na nas. Dlatego mamy to. - Szarpnął gwałtownie smyczą, aż pies zaskomlał żałośnie. - I to. - Zamachał parangiem.

- Przysięgam, że nie mam zamiaru kraść niczyjego portfela. Chcę tylko oddać szacunek swojemu ojcu. Mogę? - Wskazałam głową wejście.

- Nie - odparł stanowczo chłopak. Jego twarz nagle spoważniała. Wtedy zorientowałam się, że jest starszy, niż sądziłam. Mógł mieć trzydzieści lat. Ruszył w moją stronę z powarkującą czarną bestią gotową do skoku. Napiął mięśnie ramienia, by utrzymać niespokojne zwierzę.

Po chwili doberman znalazł się tak blisko, że czułam jego wilgotny gorący oddech.

- Coś z tobą nie tak. Jesteś nieczysta. Nasze psy to czują. Nie lubią takich jak ty. Idź stąd, zanim stanie się coś złego - powiedział spokojnie w nadziei, że natychmiast czmychnę, ale w jego oczach dostrzegłam błysk strachu. Przyciągnął do siebie psa. - Są gorsze rzeczy na świecie niż duchy. Na przykład ty.

Zrozumiałam, że nigdy nie zostanę wpuszczona do środka. Mimo to znałam już odpowiedź. Mieszkańcy Redhill nie bali się nawiedzenia.

- Dziękuję - powiedziałam i skinęłam głową na pożegnanie. - Jeśli zobaczysz mojego ojca, przekaż mu, że próbowałam.

Kiedy odchodziłam, zęgnały mnie okrzyki jego kolegów, którym wtórowały warczące psy.

- Starucha!
- Straszycie!
- Twoja cipa śmierdzi kalmarem.

Kenneth zadzwonił tej nocy, znowu zbyt późno. Tym razem jednak czekałam na jego telefon.

- I jak? - zapytał.
- Nie spodoba ci się to, co powiem. Tam roi się od duchów. -I?
- Tamtejsi ludzie przywykli do ich obecności. Nawet jeśli chciałbyś mnie namówić, żebym ich przestraszyła, czego nie zrobię, to i tak nie zadziała.
- Przeklęte pasożyty. To wszystko Chińczycy, tak?
- Głównie. Już w czasie wojny tak było.
- Wiedziałem! Chińskie pospólstwo jest najgorsze. Uparte sukinsyny. Inspirują się chyba Czerwonymi Chinami. Choćby z tego powodu zrobię angielski naszym oficjalnym językiem. To będzie mój dar dla tego straconego okręgu wyborczego. Koniec z zasadą „każdy mówi po swojemu”. Jak można pozwolić na taką wolność, skoro ciągle tylu u nas kretynów z mokradła? -Urwał, by nabrać powietrza i się uspokoić. - Co proponujesz?
- Daj im czas, żeby przywykli do myśli o przeprowadzce. Ugną się. Zrozumieją, że będzie im się łatwiej żyło i opuszczą Redhill. To jedyny sposób. Postaraj się zdobyć ich zaufanie. Oni myślą, że chcesz zniszczyć ich dzielnicę i więzi między nimi.

- Jasne, że chcę zniszczyć ich więzi! - wrzasnął. - Jak inaczej powstrzymać ich knucie przeciwko mnie? To siewcy nieszczęścia. Karmią się własnym niezadowoleniem i napędzają jeden drugiego. Nie mogę dać im czasu. Buldożery czekają.

Przeraziłam się, że wziął do siebie odmowę ludzi z Redhill, chociaż wcale mnie to nie zaskoczyło.

- Cóż, panie premierze, prosił mnie pan o ocenę sytuacji, więc ją przedstawiłam. Przestrzegam przed użyciem siły. Są przygotowani do obrony. Mają psy i maczety.

- Psy i maczety... Kpisz sobie? Każda przyzwoita armia musi mieć przynajmniej broń.

- Może mają, tego nie wiem. Daj im czas, Ken. Daj im czas.

- Dlaczego trzymasz ich stronę? - warknął i w słuchawce zapadła cisza.

Dwa dni później obudziłam się zrana potem. Promienie słońca przeciskały się przez szpary w roletach i raziły mnie w oczy. Były wyjątkowo jasne, wyjątkowo intensywne i padały pod dziwnym kątem. W nocnej koszuli poszłam do salonu i jak co rano włączyłam radio, by posłuchać wiadomości.

„Ocaleni nadal nie potrafią podać przyczyn tragedii ani określić rozmiarów zniszczeń. Wiadomo jedynie, że do zdarzenia doszło we wczesnych godzinach rannych i że wiele domów uległo całkowitemu zniszczeniu. Kapitan straży pożarnej szacuje liczbę ofiar na trzysta, chociaż dodaje, że ostateczny bilans może wzrosnąć...”

Kapitan straży pożarnej? Przełączyłam radio na stację nadającą po kan-tońsku, w której prezenterka wiadomości okazała się o wiele bardziej poruszona i uczuciowa.

„Policja prosi mieszkańców, by trzymali się jak najdalej od tego miejsca i pozwolili ratownikom działać. Wiemy, że mogą tam być wasi bliscy - właściwie każdy zna kogoś, kto mieszka w Redhill - prosimy jednak, byście się tam nie zbliżali. Według najnowszych informacji, które otrzymałam przed chwilą, liczba ofiar wzrosła do czterystu trzynastu...”

Redhill. Czterysta trzynaście ofiar. Pierwszy raz żałowałam, że nie mam telewizora i nie mogę śledzić na bieżąco rozwoju sytuacji.

„Najważniejsze, co możecie teraz zrobić jako wspólnota i naród, to nie zbliżać się do Redhill. Pożar się rozprzestrzeni...”

Ubrałam się i wypadłam na ulicę, by zatrzymać taksówkę. Kierowca okrzykiem dodał sobie animuszu, gdy ruszyliśmy w stronę Cudownego Świata.

Za szkarłatnymi murami niegdysiejszego parku rozrywki wzbijała się w niebo gigantyczna szara chmura. Dalej nie dało się jechać. Na ulicach było pełno ludzi - uciekinierów, szabrowników, gapiów takich jak ja - którzy stali z szeroko otwartymi ustami i tamowali ruch. Trudno powiedzieć, co robiło większy hałas: policyjne syreny czy klaksony aut, i czy wdychamy dym pożaru, czy spaliny z rur wydechowych.

Wyskoczyłam z taksówki i zaczęłam przepychać się przez ciżbę żywych i umarłych, aż stanęłam twarzą w twarz z ponurym sikhijskim policjantem-

- Nie. - Tylko tyle miał mi do powiedzenia.

Za jego plecami zobaczyłam tor przeszkód złożony z wozów strażackich i wijących się sflaczałych sikawek. Strażacy w czarnych hełmach i szortach khaki zwlekali z rozpoczęciem akcji. Z ich zachowania wywnioskowałam, że już spisali Redhill na straty - mieli za mało wody na walkę z trwającym od kilku godzin pożarem. Co bardziej przygnębieni rzucili hełmy na ziemię i ocierali mokre od potu głowy.

Za tą strażacką barykadą szalały płomienie, pochłaniając kolejne domki, które przewracały się jak domino. Ze środka dobiegały krzyki przerażenia.

Ocaleni z pożaru wychodzili przez otwory, które strażacy wycięli w ogrodzeniu. Mieli z sobą wszystko, co byli w stanie unieść: krzesła, stoły, materace, urny z prochami. Staruszka w piżamie dźwigała stos albumów ze zdjęciami. Inna ciągnęła po ziemi sznur z przypiętymi do niego drelichowymi spodniami. Widziałam zaskakująco mało paniki. Pogorzelnicy z Redhill wyglądali irytująco spokojnie. Nie narzekali, nie pomstowali. To, że uszli cało z pożogi, podziałało na nich kojąco. Może w głębi serca odczuwali ulgę, że los zmusił ich do ucieczki z tej nieszczęsnej arki.

To zmarli rozpaczali i zawodzili. Próbowалаm ich unikać, ale otaczali mnie ze wszystkich stron. Matki nawoływały synów. Synowie nawoływali matki. Zmarli przed chwilą byli w takim szoku, że nie zauważali, co się wokół nich dzieje, zupełnie jak podczas wojny. Uznałam, że wrócę tu za kilka dni, by przynieść im pocieszenie.

Zaraz po powrocie do domu zadzwoniłam do biura Kennetha. Choć nie miałam namacalnego dowodu - znając Kennetha, wiedziałam, że dopilnuje, aby nie pozostał żaden ślad - nie wątpiłam, że to on stoi za pożarem. Był niczym Taro - za sprytny, aby brudzić sobie ręce. Na pewno opłacił kilku pierwszych z brzegu zbirów, głodnych amoralnych chłopaków szukających tylko pretekstu do zabawy ogniem. W naszym mieście roiło się od kandydatów do takiej misji.

- Pan premier jest niedostępny, proszę pani - usłyszałam w słuchawce dostojny głos jego sekretarki. - A z kim mam przyjemność rozmawiać?

To podchwytliwe pytanie dla kogoś, kto powinien zachować anonimowość.

- Pani Północ. - W tej samej chwili uświadomiłam sobie, jak śmiesznie to zabrzmiało.

- Ach tak, pan premier uprzedził mnie, że spodziewa się pani telefonu. Wyjechał z misją dyplomatyczną na Jawę, ale z powodu wydarzeń w Redhill skróci swoją podróż i wróci dzisiaj wieczorem.

Oczywiście. Pobyt za granicą to doskonale alibi. „Wydarzenia w Redhill”. Jej biurokratyczny chłód burzył mi krew w żyłach.

- A Iskandar Ibrahim albo Zhang Ming? Mogę rozmawiać z którymś z nich?

- Iskandar Ibrahim i Zhang Ming już z nim nie współpracują. Dwa dni temu obaj złożyli rezygnację. Z powodów osobistych.

Obaj? Issa i Świerszcz?

- Może pani przekazać Kenowi, że czekam u siebie na jego telefon? A najlepiej, gdyby się do mnie pofatygował osobiście.

Sekretarka milczała, wstrząśnięta moją bezpośredniością i brakiem szacunku. Szybko jednak odzyskała panowanie nad sobą.

- Oczywiście, jak pani sobie życzy - powiedziała, a potem dodała z nutką kpiny:

- Pani Północ.

Kenneth nie zadzwonił i nie przyszedł. Wiedziałam, że zmęczył się po tej narodowej katastrofie: wróciwszy z Jawy, pospiesznie udał się na miejsce tragedii i niestrudzenie pozował do zdjęć jako zatroskany przywódca, pocieszający tych, którzy stracili wszystko w pożarze. Potem ze łzami w oczach ogłosił z mównicy dzień żałoby narodowej i obiecał pogorzelncom nowe wspaniałe mieszkania. Po tym wszystkim odbył potajemną naradę ze swoimi planistami i dał zielone światło czekającym na sygnał buldożerom.

Zbliżyły się kolejne wybory. Obowiązki wzywały.

Przez następne tygodnie w „Tribune” pełno było jego zdjęć - podkrążone z niewyspania oczy, przyprószone siwizną włosy. Zniknął gdzieś chłopięcy urok młodego premiera. Kenneth Kee wyglądał teraz na co najmniej sześćdziesiąt lat. Z moimi białymi włosami mogłam coś powiedzieć o cenie, jaką trzeba płacić za swoje uczynki.

Napisałam na maszynie zwięzłą rezygnację i dostarczyłam ją osobiście strażnikom pełniącym wartę przed parlamentem.

Pani Północ odeszła w niebyt. Spaliłam czarne ubrania oraz teczki z listami klientów i rachunkami. Uwolniłam się od wszystkiego, co miało związek z moją karierą łowczyni duchów.

Ignorując moją radę, Kenneth dał mi jasno do zrozumienia, że może robić, co chce, i będzie to robił. Nieoczekiwana rezygnacja Issy i Świerszcza tylko to potwierdziły. Przynajmniej, mówiłam sobie, nie ja jedna czuję się odrzucona.

Po doręczeniu rezygnacji poszłam wprost do mieszkania Issy przy Arab Street. Próbowałam go namówić na wspólną herbatę w kafejce Kandahar.

Zgodził się, dopiero gdy oznajmiłam, że ja też zerwałam więzy z naszym starym przyjacielem.

- Lepiej późno niż wcale - odparł. - Ale wiem, jak elastycznie podchodzisz do swoich obietnic, Cassandro. Pamiętasz, jak przysięgałaś, że nigdy więcej nie uwikłasz się w sprawy z duchami? Zanim się obejrzałem, ty już zarabiałaś na swoim darze. Nie powiedziałem ci złego słowa, ponieważ to nie moja sprawa, ale mnie rozczarowałaś. Nawet nie wiesz, jak bardzo żałuję, że cię tego nauczyłem. Na koniec okazałaś się taka jak reszta.

To oskarżenie bardzo mnie dotknęło. Pod żadnym względem nie byłam podobna do Kennetha.

- Powstrzymywanie duchów nie jest tym samym, co przywoływanie ich. Pracowałam nad oczyszczeniem Wyspy. Robiłam to dla nas wszystkich.

- Siebie możesz okłamywać do woli.

Spojrzałam mu w oczy. Zastanawiałam się, czy nadal jest moim przyjacielem i czy rzeczywiście się okłamuję.

- Co naprawdę stało się w Redhill? Uśmiechnął się i skrzyżował ręce na piersi.

- Bez komentarza.

Świerszcz był jeszcze mniej rozmowny, chociaż zachowywał się bardziej wylewnie. Spotkaliśmy się w herbaciarni hotelu Metropol, w której kilkadziesiąt lat temu szukałam pana Odella, a zamiast niego znalazłam wdowę po nim.

Kiedy napomykałam o Kennecie czy Redhill, Świerszcz natychmiast kierował rozmowę na inne tory. Zaczynał mówić o cenach nieruchomości albo o moim zdrowiu i proponował mi dolewkę earl greya oraz babeczki. Wszystko, byle jak najdalej od tego tematu. Opowiedział mi o swojej rodzinie i trudach dzielenia czasu pomiędzy dwa domy. Jego pierwsza żona, którą widziałam na ślubie Kennetha, była Hinduską. Drugą - wywodzącą się z Peranakanów „bardzo apodyktyczną katoliczkę” - poślubił tuż przed wprowadzeniem oficjalnego zakazu poligamii.

Dwie rodziny! Poruszyło mnie, jak bardzo oddaliliśmy się od siebie przez ostatnie lata, jak niewiele wiedziałam o jego życiu, o tym, co myśli. Nagle ujrzałam najbardziej ponury efekt mojego związku z Kennethem: moje serce nie ucierpiało, ucierpiał mój świat. Przez lata, kiedy moją pracę i moje życie spowijała tajemnica, odseparowałam się od reszty. Z własnej woli stałam się samotną wyspą. Dwie rodziny. Za późno, by zasypać tę przepaść.

- W młodości bałem się, że będę samotny. A teraz... Tylko popatrz! - Świerszcz zachichotał i zapalił cygaro. - Nie mam już cierpliwości do polityki. Zonom i dzieciom poświęcam cały czas i energię. - Dolał mi herbaty. - Cieszę

się, że zmieniałaś garderobę. Czarny ci nie pasował. Skoro wróciłaś do życia, też powinnaś pomyśleć o stabilizacji. Jeszcze nie jest za późno. Złe wspomnienia miną jak ręką odjął, wierz mi.

W następnym latach śledziłam wieści o dokonaniach Świerszcza. Rozkręcił interes w branży napojów bezalkoholowych. Szło mu coraz lepiej, aż dorobił się największej rozlewni na Wyspie. Popijając fantę grape, przypominałam sobie jego uśmiech.

Issa tymczasem zniknął. Kiedy znów się do niego wybrałam, administrator domu poinformował mnie, że wyniósł się w pośpiechu i nie zostawił nowego adresu. Nikt w sąsiedztwie - nawet właściciel kawiarni Kandahar - nie wiedział ani dlaczego, ani dokąd Issa się wyprowadził. Co dziwniejsze, nikt też specjalnie się tym nie przejął. Issa, filar żywej społeczności, kiedyś prawa ręka premiera, wyszedł z domu, rozpląnął się w powietrzu i nikogo to nie zaniepokoiło. Przychodziły mi do głowy tylko dwa wyjaśnienia: albo ludzie go nienawidzili, albo chronili przed obcymi.

- Ludzie tutaj ciągle przychodzą i odchodzą - powiedział mi stary Arab w kawiarni, siedzący nad gorącą herbatą imbirową. - Nie słyszałaś? Premier porównuje naszą wyspę do skrzyżowania. Jesteśmy cholernym centrum cholernego świata.

Bez dawnych towarzyszy premier wpadł w szal budowania niczym wszyscy najwięksi dyktatorzy. Trzeba mu oddać sprawiedliwość, że nie wznosił pomników na swoją cześć ani stadionów, na których mógłby wygłaszać płomienne mowy do narodu. Próżność kazała mu kreować się na pokornego i pragmatycznego, nigdy na prostackiego. Stawiał więc budynki mieszkalne, szkoły, szpitale i fabryki jak Wyspa długa i szeroka, czyniąc z niej świadectwo swojej troski.

Jego najnowszym pomysłem było otwarcie Wyspy Dusz na zagraniczny biznes - brytyjskie i amerykańskie rafinerie, szwajcarskie banki, japońskie firmy elektroniczne. W zamian za to firmy miały zatrudnić wielu mieszkańców Wyspy, także na stanowiskach kierowniczych. W ten sposób zrekompensowano by miejscowym politykę wykluczenia prowadzoną w czasach rządów Brytyjczyków. Skoro nie mógł przeciągnąć Wyspy do rozwiniętego świata, postanowił przyciągnąć ten świat na Wyspę.

Większość planów Kennetha uznałam za godne podziwu. Przyniosły młodemu państwu dobrobyt i stabilność. Mój sprzeciw budziła jednak masowa ekshumacja zwłok. Cmentarze miały zostać zamienione w pola golfowe, centra handlowe i inne atrakcje dla dorabiającej się klasy średniej. Co



gorsza, Kenneth zamierzał opleść miasto siecią dróg, które miały się krzyżować w miejscu po Redhill. Na wieść o każdym takim projekcie dzwoniłam do jego biura z nowym ostrzeżeniem. Kenneth igrał z ogniem. Nigdy nie oddzwonił.

Musiałam coś zrobić. Pewnego popołudnia udałam się na budowę autostrady, którą nazwano Redhill Memoriał. Ech, ten fałszywy żal pobrzmiewający w tych słowach! Przyglądałam się betonowym podporom w kształcie iksów o wysokości pięciu pięter, gdy stanęły przede mną duchy dwóch osób, które zginęły w pożarze: chłopca w szkolnym mundurku i staruszka.

Kiedy szary pył wzbijany przez dźwigi i spychacze sypał nam się na głowy niczym śnieg, budząc wspomnienie, które nas tu przywiodło, przemówili do mnie.

- Miałem lekki sen, więc ich usłyszałem - odezwał się chłopiec w dialekcie teochew. Tamte emocje ciągle w nim żyły. - Przyszli w nocy jak cienie. Najpierw pomyślałem, że to złodzieje, którzy kręcą się po okolicy, ale oni wrzucili do pokoju zapaloną zapalkę. Próbowałem obudzić mamę i dwie młodsze siostrzyczki, ale ogień... To niesprawiedliwe! Nie dałem rady uciec ani się pożegnać. Mama i siostry zginęły we śnie. To chyba lepsza śmierć, bo nie widziałem ich tutaj, a czekam na nie dzień i noc. Nie odchodzę stąd, bo mogą wrócić, ale szczerze mówiąc, moje wspomnienia z dnia na dzień blakną.

To, co miał mi do powiedzenia starszy duch, było jeszcze bardziej przynębiające.

- W zeszłym miesiącu u podstawy tych filarów zakopano dwoje żywych dzieci. Widziałem, jak wkładają dwoje płaczących dzieci do dołu. Przyszedł taoistyczny geomanta, pobłogosławił je, a potem rzucali na nie ziemię, aż całkiem je przykryła. Znam ten przesąd z rodzinnej wioski. W Swatów wierzyliśmy w takie rzeczy, ponieważ byliśmy niewykształconymi prymitywami. Nie przypuszczałem, że tutejsi ludzie też będą wierzyli w te bzdury. Jestem stary i śmierć mi niestraszna, ale chcę, żeby wszyscy żyjący wiedzieli, jakiej niegodziwości się tu dopuszczono. Ludzie muszą się o tym dowiedzieć! Te biedne dzieci pewnie były sierotami, a oni odebrali im życie! To straszliwa i bezsensowna ofiara.

Wiedziałam, że dla Kennetha relacje zmarłych nic nie znaczą. Był zbyt zajęty kreowaniem własnego wizerunku. Dla mnie mały znaczenie.

Opadłam na kolana. Odmówiłam modlitwę za zmarłe bliźnięta i za dwa duchy, które powierzyły mi swój ból, i teraz - zdumione tym, że kogoś obeszły ich słowa - rozplywały się w powietrzu na moich oczach.

## PREMIER I PANI PÓLNOC

Nawet tym, którzy dobrze znali Kennetha Kee, coraz trudniej było go zrozumieć. Kiedy na Zachodzie szerzyły się idee wolnej miłości i osobistego wyzwolenia, on karmił się dziełami Han Feia, starożytnego chińskiego polityka i filozofa, znanego z przebiegłości. Nazywał to pragmatyzmem. }a widziałam w tym paranoję.

Oto, jak Han Fei charakteryzował idealnego przywódcę: Jest tak nieporuszony, że wydaje się nieobecny; tak przezroczystry, że aż nieprzenikniony. Górę uspokaja niedziałaniem, a swoich ministrów wprawia w bojażń.

Han Fei twierdził, że powinno się zatrudniać tylko takich ludzi, których lojalność można kupić, należy zaś wygnać tych, którzy robią więcej ponad przypisane im obowiązki, można się bowiem spodziewać, że w stosownej dla nich chwili przejdą na drugą stronę. Często żałowałam, że Kenneth nie nabił sobie głowy teoriami Machiavellego. Byłby wtedy o wiele sympatyczniejszy.

Bardzo się zdziwiłam, kiedy zadzwonił znienacka na początku 1972 roku.

- Mam twoje siostry.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Moi ludzie je namierzyli. A raczej ich ostatni znany adres. Zaniemówiłam. Wspomniałam mu o tym tylko raz, na dodatek przed wieloma laty, a on o tym pamiętał.

- Wprawdzie długo to trwało, ale byłem ci to winny. Nie gwarantuję, że nadal tam będą. Tyle po prostu ustaliły moje najlepsze źródła.

W następnym tygodniu poleciałam do Szanghaju. Urzędnicy Kennetha potajemnie załatwili mi wizę do maoistowskich Chin. Pierwszy i jedyny raz wykorzystałam moje bliskie kontakty z władzą. Dotąd ograniczałam się do przyjmowania z biura premiera jednej rolady czekoladowej na Boże Narodzenie, podczas gdy nawet nocny stróż zabierał do domu dwie.

Chiny z 1972 roku w niczym nie przypominały kraju, który opuściłam w 1929. Żywiołowość i splendor przedwojennego Szanghaju uleciały. Ulice zaroily się ludźmi w jednakowych mundurkach. Jedynymi istotami, które ich nie nosiły, były dzieci i duchy. Zamiast dobrze znanych mi z dzieciństwa zapachów skórek mandarynki i naftalinowych kulek, w powietrzu wisały smrodliwe wonie nowych Chin - papierosy, maść mentolowa i bimber.

Czasem wszystkie trzy roztaczał wokół siebie jeden człowiek. Tak było w przypadku Starego Chena, mojego kierowcy.

Większość moich ulubionych budynków w Koncesji Francuskiej przestała istnieć. Zniknęły też stare riksze. Teraz wszyscy jeździli skrzypiącymi rowerami, których potoki zalewały miasto od świtu do zmierzchu. Przepadły neony oraz billboardy reklamujące brytyjski dżin. Czułam się tu obco, jak cudzoziemka. Czy Kenneth wysłał mnie tu z powodu sióstr, czy chciał mi raczej pokazać, jak wygląda prawdziwe państwo totalitarne?

- Pamiętasz czasy świetności Szanghaju? - zwróciłam się do Starego Chena. Wyglądał na siedemdziesiąt lat i powinien wiedzieć, o czym mówię.

- Nie, proszę pani - odparł. - Mieszkałem w łodzi na rzece. Dla mnie nigdy nie było czasów świetności. Aż do teraz.

Chińczycy odzyskali miasto, ale uświadomiłam sobie, że to nie są moi Chińczycy. Ulice zostały przemianowane i ponumerowane na nowo przez zajadłych nacjonalistów, by pasowały do nacjonalistycznego nastroju. Nasza ulica - kiedyś Rue Bourgeat - nazywała się teraz Chang Le Lu, czyli ulica Długiego Szczęścia. Właśnie przy niej ponoć nadal mieszkały moje siostry.

Kiedy Chen lawirował między rowerzystami, zorientowałam się, że zmierzamy pod nasz stary adres. Białe domy z epoki kolonialnej popadły w ruinę. Słabo mi się robiło na myśl o bliźniaczkach odzianych w te ponure mundurki, gotujących ryż w jakimś pomieszczeniu bez okien, z nosami czarnymi od sadzy.

Kazałam Staremu Chenowi wysadzić mnie przy Paradise, dawnym parku dla dzieci, teraz zwanym Przestrzenią dla Ludu. Ta przestrzeń została całkowicie pozbawiona drzew. Rozmiarem dorównywała placowi zabaw w szkole podstawowej. Może resztę zabrano pod budowę drogi, a może park zawsze był taki mały.

Przez pozbawiony trawy plac wlokło się trzech staruszków w zielonych mundurkach. Ich oddechy przybierały postać białych zawijasów pary. Rozejrzałam się w poszukiwaniu ogrodu różanego. On też zniknął. Przetrwiał tylko gąszcz starego żywopłotu, który teraz sięgał zaledwie do kolan. Zapewne przycięto go, by strzec to publiczne miejsce przed skalaniem nieobyczajnymi aktami. Zniknęła też komórka w ogrodzie, pod którą Li skręcił kark kotkowi. Wraz z tymi elementami zniknęły też duchy. Park był zupełnie czysty. Czerwoni spisali się doskonale. Stworzyli niegościnne miejsce zarówno dla żywych, jak i dla umarłych.

Ostało się zaledwie kilka drzew. Wszystkie były bezlistne. Podeszłam do największego, które w mojej pamięci zachowało się jako wielki krzak

kwitnącej morwy. W głębi plątaniny zbyt kłującej, by sięgnąć tam ręką, dostrzegłam zmięte papierki w ciągłe żywych kolorach: fioletowym, turkusowym i indygo. To były oczywiście stare papierki po cukierkach. Nie widziałam takich kolorów od chwili przybycia do Szanghaju, w którym prócz zielonych mundurków ludzi istniały tylko odcienie szarości. Te barwne śmiecie dały mi nadzieję. Może moje siostry też pozostały nietknięte przez historię? Przecież zawsze myślałam o nich jak o małych czarodziejkach. Dlaczego nie miałyby pozostać czarodziejkami w dorosłym życiu? Kątem oka dostrzegłam jakiś ruch.

Odwróciłam głowę i ujrzałam przemierzającą się czarną plamę. Siwowłosa mężczyzna w długiej czarnej pelerynie zmierzał żwawo ku przeciwległemu krańcowi parku. Trzymał w ręku cynobrową laskę.

Czyżby to on?

Ruszyłam za nim. Miałam ochotę krzyknąć, ale ugryzłam się w język. Dotarłam do drogi. Stary łotr raz po raz znikał - a to za rzędem toalet, a to za straganem ulicznego szewca, a to za rogiem pustej stajni - po czym pojawiał się ciągle dalej i dalej ode mnie. Po pięciu minutach straciłam go z oczu, jeśli to rzeczywiście był on.

Do naszego starego domu szłam na pamięć. Okazało się - zgodnie z moimi przypuszczeniami - że to właśnie on stał pod nowym adresem podanym mi przez Kennetha. Więc moje siostry mieszkały tam przez te wszystkie lata! Jednak otoczenie się zmieniło. Między ulicą i domem nie tylko nie było już bramy. Świat zewnętrzny wdarł się na teren posiadłości niczym fala przyływu, niszcząc napotykaną na drodze przeszkodę. Brakowało drzwi wejściowych. Szyby w oknach zastąpiono deskami i kocami. Ściany, kiedyś tak olśniewająco białe, poczerniały od pleśni i poszarzały od odchodów. Nie mieszkałam tam od kilkudziesięciu lat, mimo to poczułam się skalana. Chciałam znaleźć kogoś - kogokolwiek - żeby móc na niego nawrzeszczeć. Jak mogli doprowadzić mój rodzinny dom do takiego stanu?

Ta rudera nie nadawała się do mieszkania. To nie był dom. To był fotoreportaż wyrwany ze stron magazynu „Life”, zatytułowany *Niszcząca siła komunizmu*. Nie po to jednak przebyłam taki kawał drogi, żeby odjechać, nie wszedłszy do środka.

Kiedy przekroczyłam próg, z ciemności wyskoczył mały chłopiec i czmychnął na czworaka na dwór. Ciągnął za sobą jakiś wełniany łachman, pewnie stary koc. Miałam ochotę wybiec za nim i przyłożyć mu za okradanie moich sióstr. Tylko czy on naprawdę kradł? Mógł przecież wyjść z którejkolwiek klitki, jakie tu powstały. W miejscu naszego przytulnego salonu

było teraz całe mieszkanie oddzielone od reszty domu zamykanymi na klucz drzwiami. To samo dotyczyło kuchni i pomieszczeń dla służby.

Spojrzałam na stare schody. Czułam, że jeśli moje siostry rzeczywiście postanowiły tu zostać, mogły walczyć o przydzielenie im miejsca związanego z dzieciństwem - wąskiego przedpokoju, w którym kiedyś stało ich łóżko.

Na górze natknęłam się na dwa wydzielone mieszkanie. Jedno mieściło się za zamkniętymi drzwiami w starej sypialni rodziców, drugie zajmowało przestrzeń należącą kiedyś do bliźniaczek. Tutaj drzwi stały otworem.

I wtedy je zobaczyłam.

Xiaowen i Bao-Bao stały w ponurym ciemnym korytarzu. Zaplatały sobie nawzajem warkocze. Tak jak się spodziewałam, były enklawą barw. Obie miały na sobie bawełniane sukienki z krótkimi rękawami, jedna intensywnie różową jak piwonie, druga niebieską jak bezchmurne niebo. Kolory wiosny.

Na ich widok łzy stanęły mi w oczach. Xiaowen i Bao-Bao były nastolatkami o zarumienionych twarzach i długich, czarnych, lśniących włosach. Patrzyłam na nie przez kilka minut, chłonąc ich promienną młodość.

Pragnęłam wierzyć, że zdołam je rozpoznać. Nie zdołałam. Nie chcąc ranić ich uczuć, wyszeptałam oba imiona - Xiaowen! Bao-Bao! - i zrobiłam krok do przodu, by zamknąć je w uścisku. Nieważne, że moje ręce przeszły przez nie na wylot. Poczują moją miłość. Musiały ją poczuć.

- Boże, jak ja za wami tęskniłam.

Spojrzały na mnie beznamiętnie, nieco rozbawione tym przyływem uczuć, a jednocześnie zbite z tropu: dlaczego akurat za nimi?

- Pamiętacie mnie?

I znów to obojętne spojrzenie dwóch par oczu.

Rozpaczliwie pragnęłam usłyszeć ich głosy, dopasować je do głosów ma-luchów, które znałam. Pragnęłam, żeby poprawiły mi nastrój, zwracając się do mnie *jie, jie*, a potem opowiedziały o tym, co je spotkało. Moje siostry jednak nie chciały albo nie mogły tego zrobić. Wróciły do zajęcia, które je pochłaniało. Kiedy jedna kończyła zaplatanie warkocza drugiej, rozplatała go, przeczesywała włosy palcami i zaczynała od nowa - cierpliwie, czule, jakby starała się opanować tę sztukę po mistrzowsku. Wyobrażałam sobie, jak powtarza to w nieskończoność. Urzeczona tą sceną, mogłabym stać tam i patrzeć, gdyby nie przenikliwe zimno.

- Xiaowen, Bao- Bao - spróbowałam jeszcze raz. - Odezwijcie się! Uśmiechnęły się w odpowiedzi, ale żadna nie spojrzała na mnie choćby

przelotnie, jakby dawały mi do zrozumienia, że wykluczają mnie ze swojego świata. Nie było w tym niczyjej winy. Nauczyły się odsiewać żywych, tak jak

ja często odsiewałam umarłych. Nie umiałam znaleźć sposobu, żeby do nich trafić. Stałyśmy po przeciwnych stronach największej z możliwych przepaści.

Na ścianie za nimi wisiał stary plakat. Rozpromieniona pyzata twarz przewodniczącego Mao unosiła się niczym słońce nad portretem wyidealizowanej rodziny. W kombinezonach i czerwonych chustkach klasy robotniczej spoglądali w obiektyw opalony ojciec, blada matka, dziewczynka i chłopiec w wieku około siedmiu lat oraz identyczne raczkujące jeszcze bliźniaczki. Na pierwszym planie baraszkował spaniel z kluczem do nakrętek w pysku.

Od razu się zorientowałam, że ktoś „pożyczył” sobie jeden z naszych rodzinnych portretów, jakie zostawił tata. Uwiecznieni w chwili świetności, posłużyliśmy propagandzie w czasach brutalnych i ponurych.

- To my! - Wskazałam zdjęcie. - To nasza rodzina!

Siostry mnie nie słuchały.

Jak kiedyś tata, patrzyłam na bliźniaczki na zdjęciu i nie potrafiłam ich rozróżnić.

W pierwszym odruchu chciałam zabrać plakat. To była jedyna pamiątka po mojej rodzinie, ale przypominałby mi o tym, co bezpowrotnie straciłam. Jedyne miejscem, które dawało nadzieję na zatrzymanie nas wszystkich razem, poza czasem, przestrzenią i historią, był mój umysł.

I tak w wieku pięćdziesięciu lat porzuciłam pracę z duchami, by urządzić sobie życie na nowo.

Ponieważ najlepiej wychodziła mi praca w cieniu, znalazłam sobie profesję, która na to pozwalała: zostałam bibliotekarką.

Właśnie wtedy, pełniąc dyżur w czytelni Biblioteki Narodowej Czarnej Wyspy, spotkałam parę belgijskich antropologów - Lucasa Van Ketsa i Marijke Jodogne. Oboje wychudzeni i tak jasnowłosi, że wręcz siwi, ze skórą spaloną słońcem na ochrę, sprawiali wrażenie rozbitków z innego kontynentu.

Nie tylko ta dziwna karnacja przykuła moją uwagę. Uderzyły mnie ich zapadnięte oczy. Była w nich rezygnacja naukowców, których teorie upadły w starciu z prawdziwym życiem. W ich przypadku stało się to podczas półrocznego pobytu w Zairze, byłej belgijskiej kolonii, gdzie nawet bieżąca woda ciągle uchodziła za luksus.

Przez dwa tygodnie traktowali spokojną, cichą i przesyconą racjonalizmem atmosferę mojej czytelni jak aśram i łono. Pewnego dnia w czasie lunchu podsunęłam im kanapki z szynką z pobliskiego stoiska i wskazałam

regaly na samym końcu czytelnicy. Tam łączywie pochłonęli mój dar. Z tytułów książek, o które prosili, poznałam przedmiot ich zainteresowań: łowcy głów z Borneo i kultury związane z kanibalizmem. Szybko przekonałam się, że mają zupełnie mylne pojęcie o naszym regionie. Zwiedzeni niestworzonymi historiami, zmierzali ku coraz mroczniejszym rewirom. Choć to nie była moja sprawa, czułam się zobligowana do wyprostowania ich drogi. Zaprosiłam ich do Metropoli. Przy babeczkach i herbacie nawiązaliśmy nić porozumienia. Opowiedziałam im kilka anegdot. W ten sposób nieumyślnie udzieliłam im „wywiadu”, który chcieli zamieścić w książce *Pogoń za duchem*. Widząc ich niedoinformowanie i rozlazłość, sądziłam, że książka nigdy nie ukaże się drukiem.

Zdjęcie na cmentarzu - podpisane: *Miejscowa dziewczyna* - zrobił mi Lukas, kiedy zabrałam ich na Zakazane Wzgórze, żeby obejrze tamtejsze mogiły. „Kości”, które według ich relacji wykopałam, były resztkami smażonego kurczaka wyrzuconymi przez jakiegoś niechluj. Jako osoba z silnym poczuciem obywatelskiej dumy czułam się zobowiązania, żeby je podnieść. Ten tani chwyt, by przedstawić mnie jako praktykującą szamanę, potraktowałam jak zdradę. Natychmiast pożałowałam spotkania przy herbacie i okazanej im sympatii.

Mimo moich zastrzeżeń niestrudzeni Belgowie naprowadzili mnie na pewien interesujący trop. Poszukując łowców głów na jednej z Wysp Korzennych, natknęli się na byłego mieszkańca Czarnej Wyspy, który wywarł na nich duże wrażenie swoją charyzmą. Diaboliczna - tak określiła ją Marijke. Spotkali go na jednej z plantacji goździków, gdzie szerzył anarchistyczne hasła. Opisali go jako utykającego łysego Malaja. Kiedy wspomnieli o bliznach na piersiach - twierdził, że był torturowany przez szpiegów dogmatycznego rządu na Wyspie - serce mi zamarło. Więc taki los spotkał Issę.

Dowodził małą armią byłych partyzantów w dżungli w głębi wyspy, skąd zamierzał przeprowadzić ataki na miasto. Tak przynajmniej twierdzili Belgowie.

- Dlaczego ci o tym powiedział? - zapytałam Marijke.
- Pewnie chce puścić tę plotkę i przestraszyć ludzi.
- Albo ich ostrzec - dodał Lucas ponuro.

Znając łatwowierność Belgów, nie uwierzyłam w tę historię. Issa niewątpliwie czuł się zdradzony przez Kennetha - jak ja - ale niedorzecznością było przypuszczenie, że ten stary i słaby teraz człowiek knuł spiski przeciwko swojemu ukochanemu miastu. To absurdalne, że nazwał współobywateli wyspy „kolonizatorami, właścicielami niewolników i niewiernymi”. Na

własny użytek założyłam, że Belgowie ubarwili swoją opowieść okropnościami widzianymi w Afryce.

Dwa miesiące później - w poniedziałek, w godzinach porannego szczytu - na dworcu autobusowym w Chinatown wybuchła bomba domowej roboty. Zginęło jedenaście osób, pięćdziesiąt odniosło poważne rany. Tego samego dnia po południu kolejna bomba zniszczyła hol banku. W wybuchu straciło życie troje klientów, w tym dwie uczennice, które przyszły otworzyć swoje pierwsze konto oszczędnościowe.

Zadzwoiłam do biura Kennetha. Sekretarka natychmiast mnie połączyła.

- To Issa - powiedziałam.

- Wiem - odparł.

- Więc dlaczego go nie powstrzymałeś?

Nie odpowiedział od razu. Zakasłał, by ukryć wściekłość.

- Zapadł się pod ziemię, nie można go było znaleźć. I tak nie chciałby ze mną rozmawiać. Mam na tamym terenie ludzi - Malajów, muzułmanów, ponieważ pozornie o to w tym wszystkim chodzi - którzy próbują infiltrować jego grupę. Ale jak wiesz, dżungla jest po jego stronie. Plótł brednie o tym, że Wyspa powinna wrócić do „prawowitych właścicieli”, jakby ci „właściciele” szczególnie się dla niej zasłużyli. Wykorzystuje islam, żeby skupić wokół siebie podobne typy. Ale nie chodzi o islam, prawda? Oboje wiemy, że zawsze był samozwańczym panteistą, a co najmniej poganinem. Wkurza mnie, że na tej wyspie są głupcy, którzy wierzą w te bzdury.

- Towarzyszą mu partyzanci. Byli marynarze, żołnierze.

- Wiemy o tym. - Usłyszałam, jak zgrzyta zębami. - jak sądzisz, co robiliśmy przez ostatnie dwa lata poszukiwań?

- Przecież Wyspa nie jest aż tak wielka!

- A ty jesteś przekłętą... bibliotekarką! - Powstrzymał się przed powiedzeniem czegoś gorszego. - Słuchaj, dzisiejszy dzień jest koszmarem. Muszę wracać do pracy.

Zamiast się kłócić, powiedziałam coś, czego miałam nigdy więcej nie powiedzieć:

- Pomogę ci.

Zajęło to kilka dni, ale za sprawą tajemniczych i niewidzialnych sieci powiązań w podziemnych kręgach moja prośba o rozmowę dotarła do Issy. Ku mojemu zaskoczeniu zgodził się. Zapropnowałam spotkanie o północy przy grobie jego ojca na cmentarzu na Zakazanym Wzgórzu, gdzie czułby ochronę duchów, które mógł w każdej chwili przywołać.



Wybrałam to miejsce także dlatego, że w razie zagrożenia mogłam wezwać swoją armię. Miałam jednak pewność, że żadne z nas nie zerwie tajemnego paktu i nie zakłóci zmarłym spoczynku.

Dokładnie o północy w samym sercu cmentarza zabrzmiał w ciemności tubalny głos:

- Włosy ci posiwiały.

Odwróciłam się.

- Iskandar.

- Zapomniałem o tym. Pomyślałem, że przysłałaś w swoim imieniu jakąś starą kobietę. - Uśmiechnął się.

Miał na sobie białą koszulę z długimi rękawami i spodnie khaki. Tak samo ubrany był podczas naszego pierwszego spotkania w tym miejscu. Tyle że bardzo się postarzał. Stracił włosy, chodził o lasce. Gdyby nie uśmiech -sugestywnie wieloznaczny, znamionujący ukrytą moc - wyglądałby jak przeciętny malajski dziadek, nie zaś idealistyczny bojownik o wolność czy niepowstrzymany demoniczny mózg.

W pierwszym odruchu chciałam go objąć. Kiedy wychynął zza porośniętego mchem nagrobka i kuśtykał w moją stronę, wyczułam, że nie życzy sobie mojego dotyku. W jego oczach zobaczyłam nieufność.

- Dlaczego? - zapytałam.

- Ponieważ nas nienawidzi. Wszystkich. Ten człowiek żyje nienawiścią. Wiedziałaś o tym od samego początku. Sama weszłaś z nim w układ, kiedy się do niego zbliżyłaś.

- Jeśli nazywasz to układem, to sam też zawarłeś z nim podobny układ, i to na dłużej niż ja. Znacznie dłużej.

- To prawda, ale musiałem to zrobić dla sprawy. Tak samo on sprzymierzył się z Brytyjczykami, kiedy mu to pasowało, a zwrócił się przeciwko nim, kiedy przestało mu pasować. Czyż nie na tym polega polityka? A teraz nas ściga.

-Nas?

Uśmiechnął się.

- Ech, Cassandro, oczywiście nie mówię o tobie. Chodzi mi o tych wszystkich, którzy nie pasują do jego ogólnego planu, tych, którzy czynią jego Wyspę nieczystą, których chce się pozbyć. Najslabsze jednostki, tubylcy, ciemnoskórzy, duchy. Musiałem coś zrobić, zanim rozpocznie czystkę. -Podniósł głos. - Wyspa najpierw należała do nas! Przed przybyciem Holendrów, Portugalczyków i Brytyjczyków, przed wami, radziliśmy sobie doskonale. Mieliśmy swoją ziemię, swoją wodę, swoje przyprawy. Bóg był po naszej

stronie. To był nasz raj. Nasz! A potem zjawiliście się wy, ludzie chciwi i ambitni, i odebraliście nam dusze.

Skrzywiłam się na tę okrutną skwapliwość, z jaką rzucił mi w twarz słowo „wy”.

- Wiem, co myślisz: że odszedłem z jego rządu z powodu pożaru. Redhill ani trochę mnie nie obchodziło. Było pełne takich jak wy. Odszedłem przez to, co powiedział dawno temu podczas kampanii wyborczej. Na pewno pamiętasz. Chciał odholować Wyspę na inne wody, bo ta część świata mu nie odpowiadała. Tak myślał od zawsze, wiem o tym, ale dumnie obwieścić to wszystkim, wzniecić uczucia, jakie nieuchronnie za tym idą, to nikczemność. Ukradliście nam ziemię i jeszcze macie czelność traktować nas protekcjonalnie? Czułem wściekłość i wstyd. Co wieczór, kiedy wracałem z pracy, sąsiedzi patrzyli na mnie, jakbym zaprzedał duszę diabłu. Chciałem odejść od razu, ale nie mogłem. Wiedziałem, że muszę się powstrzymać, nauczyć się jego metod działania, użyć ich przeciwko niemu. A kiedy wreszcie odszedłem, narodziłem się na nowo.

- Lepiej się teraz czujesz, zabijając niewinnych ludzi?

- Niewinnych? - prychnął drwiąco. - Na tej wyspie nie ma niewinnych.

- Czego chcesz?

- Akurat ty powinnaś to wiedzieć, Cassandro. Chcę wreszcie wyjść z cienia. Chcę, żeby moi ludzie w końcu wyszli z cienia.

- I zwracasz na siebie uwagę przemocą?

Zaśmiał się, jakby miał do czynienia z małą naiwną dziewczynką.

- Nie zrozumiałaś moich intencji. Niepotrzebna mi uwaga opinii publicznej. Zależy mi na szacunku dla moich pobratymców, na ich godności. Chcę odzyskać to, co zgodnie z prawem należy do nas, co jesteście nam winni. - Po tych słowach złagodniał, uspokoił się, zamyślił na moment. - Zaraz po wyborach rzucił mnie jak kamień. Wiesz, jak trudno z nim porozmawiać? Otacza się żołnierzami i uzbrojonymi bandytami niczym władca, na którego życie wszyscy czyhają. To trwa od lat. Nie mogłem choć przez chwilę pogadać z nim na osobności. Zawsze ktoś go ochraniał. Zachowywał się tak, jakby ufał temu obcemu bardziej niż mnie. Mnie, który nieraz ocalił mu życie. Nie uznałabyś tego za zniewagę?

- Tak. - Rozumiałam Issę, ale przyszedł tu, żeby powstrzymać jego ataki, doprowadzić do rozejmu. - Co mogłabym mu od ciebie przekazać?

- Chcę się z nim zobaczyć i porozmawiać sam na sam jak za dawnych czasów, tak jak my teraz. Chciałbym wierzyć, że została mu jeszcze odrobina człowieczeństwa i pokory.

Skinęłam głowę. Ku mojemu zaskoczeniu Issa objął mnie mocno.

Staliśmy na cmentarzu na szczycie wzgórza, dwoje steranych żołnierzy wpatrzonych w miasto, o które walczyliśmy. Black River wiała się w dole niczym onyksowy wąż. Na jej brzegach stały magazyny i domy towarowe, teraz pogrążone w ciszy, czarne i uśpione. Oświetlony był tylko Most Edynburski, który opasywał onyksowego węża. Lśnił jak szeroka biała szarfa. I był równie czysty. Nikt przez niego nie przechodził. Strach przed kolejnymi bombami zatrzymał ludzi w domach. Duchy zniknęły, odstraszone światłem.

Issa wskazał most.

- Spotkanie tam. Jutro o północy. ,

Zaraz po rozmowie z Issą poszłam do Kennetha. Pierwszy raz znalazłam się w siedzibie premiera. Uderzyło mnie, jak prywatnym gustem skolonizował wiktoriańskie wnętrze budynku parlamentu: gołe białe ściany, drewniane podłogi bez dywanów i wszechobecny zapach wody kolońskiej 4711. Ten zapach miał według niego zabić stare brytyjskie wonie, którymi budynek przesiąkł przez lata.

- Serowy odór stóp, bekonowy oddech i kozi smród spod pach.

Nie widziałam go od lat. Czułam, że miękną mi kolana. Zatęskniłam za utraconą młodością, za dawnym Kennethem. Nie wyglądał inaczej niż w telewizji czy na zdjęciach w gazetach. Miał nawet na sobie uniform z kampanii wyborczej: szaroniebieską koszulę i spodnie. Chodziło raczej o samą jego obecność, jego zapach, przelotne spojrzenia, szelmowskie uśmiechy - kwintesencję Kennetha, którą tylko ja potrafiłam uchwycić.

Weszliśmy do .gabinetu. Na dwóch końcach biurka stały dwa kolorowe zdjęcia w ramkach. Jedno przedstawiało slumsy w Dżakarcie, drugie centrum Genewy.

- Kiedy podejmuję jakąś decyzję, widzę dwa możliwe scenariusze i przypominam sobie, dlaczego robię to, co robię - wyjaśnił. - Porządek... albo chaos.

- I wybierasz drogę środka: tyranie. Popatrzył na mnie zdumiony.

- Jakiej prymitywnej klasyfikacji używasz, Cassandro. Podróż do Chin niczego cię nie nauczyła? Źródłem mojego sukcesu, naszego sukcesu, jest sekret dzielony z innymi mieszkańcami Wyspy. Wszyscy go rozumiemy i dochowujemy mu wierności. Przybyliśmy tu z niczym, ale nie odejdziemy z niczym. I póki będziemy trzymali się tego, co inni nazywają chciwością lub ambicją, póki będziemy tworzyli wokół tego wspólnotę, nie skończymy w biedzie i nie ulegniemy deprawacji jak nasi sąsiedzi.

Sekretarz przyniósł nam północną przekąskę - podgrzanego kurczaka z ryżem z restauracji U Mitzi, podanego na poślacanej wytłaczanej porcelanie kancelarii premiera.

- Wiem, że wersja na wynos inaczej smakuje. - Kenneth wzruszył ramionami. - Kurczak wydaje się taki... mizerny. Ale żebracy nie mogą wybrzydzać. Nie mogę, ot tak sobie wejść jak ty do każdego bistro. Straciłem ten luksus. - Wrzucił do ust kawałek mięsa z udka. - Czego chce nasz były towarzysz?

Przekazałam warunki Issy: żadnej policji, żadnej broni, żadnego sprzętu nagrywającego. Krótko mówiąc - żadnych sztuczek. Jego cudaczne poglądy zachowałam oczywiście dla siebie.

Chciałam wierzyć, że udręka na twarzy Kennetha nie jest grą. Tak samo wyglądał na chrzcie swojej córki. Widziałam wtedy u niego oszołomienie tym, że jego publiczne „ja” wymknęło się spod kontroli i rzuciło w wir działania bez konsultacji z prywatnym wewnętrznym „ja”. Co z tego wynikało?

- Szkoda, że nie zatrzymałem ich przy sobie. Jego i Zhanga. A nawet ciebie. - Zaśmiał się sucho. - Możesz mi nie wierzyć, ale część mnie chce porzucić to wszystko i uciec z Issą do dżungli. Po prostu zniknąć. W jego spojrzeniu na świat jest czystość, która jest taka... - urwał, szukając właściwego słowa - pocieszająca.

- Pocieszająca dla ciebie czy dla niego?

Nie odpowiedział. Zastanawiałam się, czy Kenneth - tak jak ja - zmęczył się swoim światem i pragnął czegoś prostszego. Niekoniecznie ucieczki do dżungli, po prostu czegoś innego.

Kiedy wychodziłam, złapał mnie za ramię.

- Są między nami zaszłości, ale myślę, że mnie rozumiesz. - Spojrzał mi w oczy. - Robiłem wszystko z myślą o Wyspie. Wiesz o tym, prawda?

- Chciałabym w to wierzyć.

- Cóż - uśmiechnął się smutno - na początek dobre i to.

Poszłam do domu. Chciałam pokrzepić się choćby kilkoma godzinami snu. Premier został w gabinecie, strzeżony przez falangę ochroniarzy.

Kiedy rano wróciłam do parlamentu, powietrze było ciężkie i monsunowe. Panowała duchota, wyjątkowa nawet jak na warunki klimatyczne Wyspy. Wszyscy wydawali się spięci i zdenerwowani. Albo prawie wszyscy. Kenneth siedział za biurkiem i z zamyśloną miną bawił się bransoletką złotego roleksa. Przypominał medytującego mnicha. Czyżby naprawdę myślał o porzuceniu wszystkiego? Ten krok miałby poetycki sens i tragiczny wy-

miar. Zachowałam jednak tę refleksję dla siebie. I bez tego asystenci Kennetha sprawiali wrażenie podminowanych.

Przypomniałam cały plan. Przy każdym kolejnym punkcie Kenneth kiwał obojętnie głową. Ustaliliśmy, że ulice w promieniu kilometra zostaną zamknięte dla ruchu. O północy Kenneth stanie sam na północnym krańcu Mostu Edynburskiego. Issa, którego przyprowadzę z cementarza na Zakazanym Wzgórzu, stanie na krańcu południowym. Po wykonaniu zadania odejdę, a oni - każdy z czarnym parasolem - ruszą na środek mostu i tam się spotkają. Przypominało to scenariusz romantycznej schadzki.

- Denerwujesz się? - zapytałam. Sama czułam narastające napięcie. Tyle rzeczy mogło pójść nie tak. Issa mógł rozwścieczyć Kennetha, Kenneth mógł sprowokować Issę. Ale przede wszystkim budziła się w moim sercu iskierka nadziei, że Kenneth zrzeknie się władzy i na powrót stanie się zwyczajnym obywatelem.

Z przyklejonym do warg uśmiechem polityka zmuszonego marnować niedzielę na udział w otwarciu supermarketu, poklepał mnie po ramieniu.

- Będzie dobrze. Zapomnij o tym, co mówiłem w nocy. To była taka nerwowa gadanina. Bez względu na to, co się dzisiaj wydarzy, musisz wiedzieć, że bardzo cię cenię. Bez ciebie nie dokonałbym tego wszystkiego.

Odwrociłam się ostatni raz.

- Tylko nie uciekaj.

Popatrzył na mnie przeciągle. Już podjął decyzję. Moje słowa nie mogły tego zmienić.

- Nie spóźnij się - odparował.

Woda deszczowa spływała z boczem niczym rwący potok. Sprowadzałam Issę z Zakazanego Wzgórza, podtrzymując go, by nie potknął się i nie upadł. Woda chlupotała nam w butach. Równie dobrze mogliśmy iść boso. Ulewa siekła z ukosa tak mocno, że woda rykoszetem odbijała się od twardego podłoża. Parasol, który dzieliliśmy, ani trochę nie chronił przed potopem.

W takich warunkach laska była bezużyteczna. Issa raz po raz tracił równowagę. Cmokał wtedy, dając wyraz narastającej irytacji, zupełnie jakby chciał wszystko odwołać - swoje groźby, ludzi kryjących się w lesie, a zwłaszcza to kłopotliwe spotkanie po latach.

Pragnęłam, by potraktował przeszłość jak nieudany głupi żart i skwitował ją smutnym śmiechem, a potem się poddał.

Mrzonką było jednak przypuszczenie, że o losie Wyspy może zdecydować tropikalna nawałnica.

- Jak sie czujesz? - spytałam.

- Jestem optymistą.

Nie takiej odpowiedzi oczekiwałam. Kiedy naszym oczom ukazały się białe światła na moście, arogancja Issy uleciała. Ścisnął mnie mocniej za ramię, gdy przekraczaliśmy kolejną kałużę. Poczułam, że najwyższy czas na spóźnione wyznanie.

- Iskandarze... - zaczęłam. Samo wymówienie prawdziwego majestatycznego imienia Issy spowodowało klucie w sercu. - Dawno temu zrobiłam coś bardzo głupiego. Próbowałam przywołać duchy na tyłach rezydencji Wee.

- Udało się? -Nie.

- Więc nie musisz się martwić.

- Wydaje mi się, że coś uwolniłam. Badi.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Ponieważ wyszło z grobu w postaci człowieka z głową psa. Właśnie tak pochowali pana Wee. Z przyszytą głową Agnes.

Milczenie Issy było większą udręką niż najbardziej bolesne słowa.

- Powiedz coś, Iskandarze.

- Powinnaś była ułożyć go z powrotem w ziemi.

- Nie wiedziałam jak.

- Cóż, w takim razie zniszczenie już się dokonało. Zamarłam.

- Co to znaczy?

- To znaczy, moja droga, że jeśli badi niczego od ciebie nie chce, to nigdy już go nie zobaczysz. Ale jeśli czuje, że ciągle ma jakieś niezłatwione sprawy, możesz być więcej niż pewna, że znowu się spotkacie. - Jego oczy spochmurniały. - Coś jak Kenneth Kee.

Dotarliśmy do południowego krańca mostu. Tutaj powinnam go zostawić. Tutaj wszystko miało się rozstrzygnąć. Issa spojrzał na mnie z odrobiną dawnej czułości.

- Cieszę się, że jesteś ze mną. Czy naprawdę byłam?

W strugach deszczu na przeciwległym końcu mostu dostrzegłam czarną sylwetkę mężczyzny. Czarny płaszcz przeciwdeszczowy, czarny parasol. Zamachałam do niego. Odwzajemnił ten gest. Zauważyłam błysk zegarka na przegubie. W pobliżu nie było nikogo prócz nas. Towarzyszył nam tylko szum ulewy.

Issa ścisnął mnie za rękę.

- Wybacz - szepnął.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć, więc odwzajemniłam uścisk. Nie patrzyłam mu w oczy, nie chciałam przyznać, że ten morderca był też moim przyjacielem.

Puściłam go i oddałam mu parasol. To był umówiony znak. Issa powoli ruszył przed siebie. Na drugim końcu to samo zrobił Kenneth. Równie ostrożnie. Wstrzymałam oddech niczym zdenerwowana matka czekająca, aż jej dzieci zakończą sprzeczkę na placu zabaw. Niech obu chłopców ostudzi ten niemiłosierny deszcz. Jeśli ma dojść do aktu okrucieństwa, niech przyjdzie on z góry.

Nasunęłam kaptur na mokrą głowę i czekałam. Kiedy obaj mężczyźni zbliżyli się do punktu na środku mostu, gdzie spotykały się wsporniki konstrukcji, odwróciłam się, by odejść.

Nie zniosłabym widoku odgłosów kłótni byłych przyjaciół, chociaż w gwałtownej ulewie niczego bym nie usłyszała.

A jednak coś usłyszałam. Głośny trzask, jakby wmieszał się w to bóg burzy, by położyć kres waśniom. Zaraz po nim nastąpił drugi, ostrzejszy i donośniejszy.

Kiedy Issa upuścił parasol, wiedziałam już, że to nie dzieło Boga. Upadając, powiedział coś, czego nie dosłyszałam.

Pobiegłam do niego. Leżał na ziemi zgięty wpół. Sieczony ulewą parasol podskakiwał na mokrej nawierzchni. Kopnęłam go na bok.

Issa broczył krwią. Deszcz roznosił ją wokół niego, dlatego nie wiedziałam, gdzie został trafiony. Miałam wrażenie, że krew wylewa się z Issy wszystkimi porami skóry. Miał otwarte oczy, mrugał raz po raz, był w szoku. Spodziewał się pojedynku, lecz nie takiego. Został uciszony jeszcze przed rozpoczęciem rozgrywki.

Patrząc na tego przerażonego starego człowieka, dawno utraconego przyjaciela, uklękłam i złapałam go za ramiona. Nad jego lewym uchem zauważyłam otwór, z którego wypływał mózg. W tym miejscu krew była prawie czarna. Druga kula przeszła pierś. To był koniec. Delikatnie opuściłam Issę na ziemię i wbiłam wzrok w Kennetha, stojącego jak posąg kilka metrów od nas.

- Ty wężu! Jestem następna?

Rzucił parasol i pokazał mi obie dłonie na dowód, że nie jest uzbrojony, że to nie on strzelał, więc zachował czyste ręce. Odchylił głowę i wystawił twarz na deszcz. Odgrywał własny chrzest, ale dla kogo? Przecież już miał twarz potępionego.

Za jego plecami w ciemności znikwały dwie sylwetki. Nie miałam wątpliwości, że to snajperzy z elitarnej jednostki.

- Nie negocjujemy z terrorystami - oznajmił premier. - Nie możemy.

Podszedł do mnie. Nie spuszczałam wzroku ze lśniącego złotego roleksa na jego lewym przegubie. To był nieznośny dysonans pośród takiej ilości krwi. Kiedy Kenneth się zbliżył, rzuciłam się na niego, chcąc odebrać zegarek i cisnąć go do rzeki.

Moje unurzane w krwi Issy dłonie ześlizgnęły się po roleksie. Kenneth kopnął mnie w pierś jak parszywego kundla. Upadłam w kałużę czerwieniejącą od krwi Issy.

W tej samej chwili deszcz zaczął słabnąć. Na północnym końcu mostu, gdzie przedtem stał Kenneth, zobaczyłam ducha. Nie Issę. To był człowiek z głową psa o lśniącym czarnym pysku. Pojawił się na mgnienie i zniknął.

Premier wygrywał wybory za wyborami. Ludzie go kochali. Dlaczego mieliby nie kochać? Pod jego rządami Wyspa pozostawała czysta, bezpieczna i doskonale oświetlona. Okiełznał dżunglę, zniszczył terrorystów i osuszył mokradła. Dał ludziom to, czego pragnie każdy rozsądny człowiek: uczciwą pracę, jedzenie w przystępnych cenach, dach nad głową i wolność kupowania wszystkiego, czego dusza zapagnie, w czasie wolnym od pracy, jedzenia i spania. W końcu nawet jego przeciwnicy uznali, że materialny komfort niekoniecznie jest czymś godnym potępienia.

Kiedy Wyspa stała się za ciasna dla jego rosnących ambicji, premier nie odholował jej w lepszą strefę klimatyczną, co kiedyś niefrasobliwie *obiecał*. Zamiast tego zaczął formować ją według własnej wizji. Dostrzegł wagę strategii bycia tam, gdzie skupia się światowy handel. Wypełniając morze piaskiem i betonem, nasz Prospero powiększał pole działania. Zaokrąglął południowe wybrzeże, aż romboidalna dotąd Wyspa zaczęła przypominać wielką łzę zakotwiczoną na wodach Pacyfiku.

Kiedy geodeci rzucili się do pracy, żeby sporządzić mapy pęczniejących granic Wyspy, premier ochoczo rzucił się w wir budowania. Gardził wszelkim banałem. Zamiast wznosić sanktuaria na swoją cześć, jak wielu przywódców w postkolonialnym świecie, uprawiał zręczną politykę - prezentując pokorę zaprawioną osławionymi już „konfucjański-mi wartościami” - i pozwalając, by sam dobrobyt stał się jego pomnikiem.

Wreszcie na początku lat osiemdziesiątych Genewa była tuż tuż. Mimo bezwzględności Kennetha wobec mnie i wszystkich, których po drodze usunął, byłam dumna z jego osiągnięć. Dał Wyspie nowe życie.



Skorzystałam na tym nowym porządku. Wyciągnęłam Li z Woodbridge i zabrałam go do domu. Byłoby to niemożliwe bez sporej emerytury przyznanej mi po latach pracy w Bibliotece Narodowej, a przede wszystkim bez pieniędzy zarobionych przez lata służby dla rządu w charakterze łowczyni duchów. Do dziś na Czarnej Wyspie opłaca się przechodzić na emeryturę, będąc cenionym urzędnikiem administracji państwowej.

Spędzaliśmy z Li czas jak stare dobre małżeństwo. Kiedy młodzi sąsiedzi widywali nas czasem, jak powłócząc nogami, zmierzamy do najbliższego 7-Eleven, brali Li za mojego męża. Nie wyprowadzałam ich z błędu. Chociaż mieliśmy zaledwie po sześćdziesiąt lat, młode pokolenie odnosiło się do nas z czcią zarezerwowaną dla ludzi mających ponad siedemdziesiąt czy osiemdziesiąt. Nie wątpiłam, że to z powodu moich siwych włosów oraz edukacji moralnej, jaką premier wprowadził na wszystkich szczeblach kształcenia. Nikt nie traktował Li jak głupka. Jego przyklepiony do twarzy uśmiech ludzie uznawali za minę mędrca.

Dzięki Bogu w domu Li przez większą część dnia oglądał telewizję. Przyznaję, że byłam okropną współlokatorką. Zostawiałam go przed telewizorem, kiedy tylko mogłam. Już dawno przejadły mi się jego opowieści

O naszych siostrach i Szanghaju. Li mógł siedzieć przed telewizorem w nieskończoność. Chichotał w trakcie kreskówek i kulił się ze strachu na widok pospolitej przemocy w serialu *Dallas*. Programy o japońskich zbrodniarzach wojennych, których nigdy nie opuszczałam, prowokowały go do wrzasków

1 łkania. Krótco po zabraniu go do domu pomyślałam, że łyk mojej krwi w magiczny sposób pomógłby mu odzyskać rozum. Li odmówił. Prócz wybuchów wywoływanych powrotem do wojennych wspomnień, był bierny i równie niekłopotliwy jak kot. Kiedy postawiłam przed nim szklankę mleka - pił. Kiedy prowadziłam go do łazienki - zdejmował ubranie. Nocą, gdy dręczyły go koszmary, problem rozwiązywała morfina. Obojgu nam przywracała spokój.

Dni mijały mi jak każdej emerytce, tyle że nie poświęcałam czasu opiece nad wnukami. Robiłam zakupy, krzątałam się po mieszkaniu, by utrzymać je w czystości, zachłannie czytałam, a dzięki łagodnym przepisom importowym i niskim podatkom wprowadzonym przez Kennetha folgowałam swojej słabości do francuskiej czekolady i doskonałego koniaku. Codziennie wczesnym rankiem, zanim wilgoć w powietrzu stawała się nie do wytrzymania, chodziłam na długie spacerki do słynnych ogrodów botanicznych. Zawsze przystawałam nad jeziorkiem i karmiłam czarne łabędzie okruchami chleba.

Mijały lata, a Wyspa kwitła.

W przeciwieństwie do reszty mieszkańców nie uważałam premiera za bóstwo. Byłam w tej niekorzystnej sytuacji, że znałam go w czasach, gdy był jeszcze zwyczajnym człowiekiem. I w przeciwieństwie do nich nie przymykałam oczu na jego metody działania. W dążeniu do zdrowej moralnie kultury, w której rodzina jest najważniejsza, zakazał wszystkiego, co uznał za „frymarczenie ciałem” - od pokazów tunezyjskiego tańca brzucha popularnych w hotelowych barach po każdy hollywoodzki film, w którym kobiety zdejmowały górną część garderoby. Aby powstrzymać napływ „antyspołecznych hippisowskich idei” zakazał mężczyznom noszenia długich włosów, a także słuchania zespołów, których muzycy mieli fryzury dłuższe niż na pazia. Na szczęście restrykcje nie objęły Mozarta, Beethovena i im podobnych.

„Nie negocjujemy z hipisami” - niemal słyszałam, jak mówi te słowa używanym w kampanii surowym tonem, po czym dodaje nieco łagodniej: „Nie możemy negocjować z hipisami”. Jak większość mieszkańców Wyspy przyswoiłam sobie styl jego kazań. Mogłam sobie wyobrazić jego intonację i włożyć mu w usta gotowe frazy:

„Jako społeczeństwo w okresie przejściowym, nie będziemy uważali naszego przetrwania za rzecz oczywistą. Nie możemy. Musimy zachować czujność, nieustannie świadomi obecności tygrysa za drzwiami”.

Albo:

„Nie tolerujemy tu wolności słowa, ponieważ nie możemy sobie na nią pozwolić. Spójrzcie na Amerykę, na tak zwany najbardziej wolny naród na świecie. Spójrzcie na morderców, handlarzy narkotyków i gwałcicieli grasujących po ulicach. Czy na tym polega prawdziwa wolność, skoro nie możecie nawet wracać nocą do domu bez obawy o swoje życie?”.

Mieszkańcom Wyspy chyba nie przeszkadzało, że premier tak bardzo okroił im dostęp do kultury. Przecież dzięki niemu stali się bogaci - a wraz z nimi wzbogaciło się mnóstwo zagranicznych korporacji. Wyspa jak łąka, kiedyś tak sponiewierana, nie musiała już płakać. Chyba że ktoś śmiecił, pluł na ulicy albo nieprawidłowo przechodził przez jezdnię. Wtedy miał mnóstwo powodów do lamentowania: publiczne upokorzenie, więzienie oraz kara cielesna oficjalnie wymierzana trzcinką przez przedstawiciela władzy.

Kulminacją upodobania premiera do porządku było zainstalowanie wykrywaczy uryny w publicznych windach. Działały w następujący sposób: po wykryciu moczu przez urządzenie drzwi windy zamykały się automatycznie i więziły winowajcę. Następnego dnia jego zdjęcie ukazywało się w „Tribune”, oczywiście na pierwszej stronie. Ten rodzaj kary doczekał się złośliwych

komentarzy w zagranicznych gazetach, ale ja szybko przekonałam się do tych detektorów. Niewiele jest *rzeczy* równie odrażających, jak zamknięcie w jadącej puszce zalanej moczem jakiegoś pijaka.

Pokój i dobrobyt zadowalał większość ludzi, nawet niegdysiejszych buntowników. Nie słyszałam ani słowa skargi z ust Świerszcza, który z króla napojów chłodzących na Wyspie stał się potentatem na rynku nieruchomości. Dorobił się majątku w staroświecki sposób: kupował tanio, sprzedawał drogo. Z tego, co wiedziałam, był uczciwy wobec swoich dwóch żon i niezliczonych dzieci. Od czasu do czasu jego zdjęcia pojawiały się w gazetach. Widziałam na nich mandaryńską kluchę z cygarem, fajką, a czasem z jednym i drugim.

Co do premiera, to on i ja wędrowaliśmy równoległymi ścieżkami. Nie widywaliśmy się, nie rozmawialiśmy. Wiedziałam jednak dobrze, że obojgu nam zależy na tym samym: na uwolnieniu się od duchów, chociaż każde rozumiało to inaczej.

Jeśli o mnie chodzi, robiłam wszystko, by zapewnić ukochanemu bratu spokojną śmierć, o ile kres istnienia w ogóle może być spokojny. Pragnęłam, żeby nie czuł potrzeby powrotu do miejsc z przeszłości. Widziałam nasze siostry uwięzione we własnej dioramie. Zapomniane, nie skarżyły się i nie protestowały, potulne niczym dwie orzesznice w niedźwiedzim uścisku losu. Nie chciałam takiej wieczności dla Li. Już przeżył większość życia jako zbłąkana dusza, snująca ciągle te same stare myśli. Byłoby zbyt wielkim okrucieństwem, gdyby życie po życiu musiał spędzić w tym stanie.

Patrzyłam, jak jego ciało wiotczeje, stawy słabną. Z niechęcią przyznaję, że był moim odbiciem. Miłością i brakiem zainteresowania - zwłaszcza brakiem zainteresowania - uczyłam go odłączać się od świata i jego trosk, od starego Szanghaju, a zwłaszcza ode mnie.

Ostatnia rzecz, jakiej bym sobie życzyła, to spotkanie Li w domu po jego przejściu na drugą stronę.

**KONIEC**

Li umarł trzydziestego pierwszego lipca 1990 roku, trzy dni przed naszymi sześćdziesiątymi *ósmymi* urodzinami.

Rozstanie przebiegło spokojnie. Pewnego popołudnia zasnął i już się nie obudził. Ludzi często zdumiewa, że w tropikach można umrzeć na zapalenie płuc, ale ta choroba nie wybiera miejsca.

Przeżycie własnego bliźniaka to dziwne uczucie. Zupełnie jakby człowiek dostał odroczenie wyroku, za co dziękuje losowi z dużą dozą nieufności, albo wziął ze wspólnego składu więcej, niż mu przeznaczone, i ma poczucie winy. A potem pojawia się kłopotliwa myśl, którą trzeba skrywać: ulga, że już go nie ma.

W dniu naszych urodzin, w zadziwiająco chłodny wtorek, wsypałam prochy Li do plastikowej torby i wybrałam się na ostatnią przechadzkę po Wyspie Dusz. Byłam gotowa zostawić wszystko za sobą, ponieważ dopadł mnie najgorszy rodzaj poczucia osamotnienia, kiedy człowiek stoi na ziemi, którą kochał, i nie odnajduje żadnych śladów tego, co go zauroczyło, gdy znalazł się tu pierwszy raz. Łatwiej żyć w innym miejscu, nawet w pustce, gdzie można pielęgnować wspomnienia, będąc wolnym od skażenia natarczywą terażniejszością.

Musiałam wyjechać.

Ale przed opuszczeniem Wyspy odbyłam pożegnalny spacer wspaniałą aleją wiodącą od Tanglewood do miasta. Na każdym kroku miałam do czynienia z dziełem Kennetha. Wykarczował potężne drzewa deszczowe i zastąpił je kanałami. Zamiast szelestu liści, śpiewu ptaków i koncertu cykad słyszałam tylko nieustanne dudnienie dochodzące od strony miasta, odgłosy budowy kolei podziemnej.

Mimo to obchodziłam moją Wyspę niczym prawowita właścicielka i rozsypywałam na niej części siebie w postaci prochów utraconego brata bliźniaka. Odezwał się we mnie zwierzęcy instynkt, wewnętrzny przymus znakowania miejsc, w których się było, nawet jeśli nigdy się do nich nie wróci.

Wędrując przez miasto, przyglądałam się centrum handlowemu i lśniącym biurowcom wznoszącym się tam, gdzie kiedyś znajdowały się zbiorowe groby. Nawet najgorsze parcele były teraz przedmiotem pożądania. Tam, gdzie stał magazyn, w którym mieściła się Szczurza Brygada, działała teraz

popularna dyskoteka Opium. Starzy klienci nie zważali na moje ostrzeżenia. Powinnam była wykazać się większą stanowczością. Mniej liberalizmu, więcej Kennetha Kee.

Gdzie inni *widzieli* Manhattan Wschodu, błyszczące *drapacze* chmur na tle nieba, ja widziałam grobowce, na których wyryto wielkie napisy: „Redhill”, „Cudowny Świat”, „Hotel Metropol”, „Restauracja Trojka” - niech spoczywają w pokoju. Po dawnym Chinatown pozostała tylko nazwa. Obecne uosabiało skomercjalizowaną nostalgię. Rząd naszych kamienic w Bullock Cart Water został „odrestaurowany” z użyciem odkażającej mieszaniny tlenku cynku i wody wapiennej. W sąsiedztwie zamieszkali młodzi ludzie, którzy uważali się za bohemy, ponieważ jeździli do pracy w ratushu alfa romeo zamiast hondą accord. Co do najbardziej ruchliwego lotniska świata, na którego inaugurację myśliwce rozpyliły różowy dym to widziałam wszystko, co leżało pod betonowymi pasami startowymi: plażę, na której kiedyś spotykałam ofiary, katów i oszalałą z chuci ośmiornicę.

Kamery śledziły każdy mój krok - na skrzyżowaniach, przy publicznych toaletach, przy kasach w każdym sklepie i barze kawowym. Z trudem oparłam się pokusie mrugania do każdej z nich i przywitania się z człowiekiem, który za nimi stał - moim dawno niewidzianym przyjacielem premierem.

*Oczywiście* nie wszystko było nowe. Do miasta wróciły duchy. Coraz bardziej bezczelnie snuły się po placach zalanych najbardziej rześnistym światłem. Wygnane z miejsc spoczynku, całymi dniami przechadzały się po pasażach handlowych, jeździły taksówkami jak zwykli mieszkańcy. Tylko uważna obserwacja pozwalała mi ich odróżnić. U duchów dominowała zazdrość. Były przecież istotami drugiej kategorii.

Ich ciche niezadowolenie mówiło mi, że pokój między światami nie potrwa długo. Ale pośredniczenie między nimi nie należało już do mnie. Poza tym nie chciałam być świadkiem ich starcia.

Po powrocie z przechadzki zamówiłam bilet lotniczy do Tokio w jedną stronę, ważny przez kilka miesięcy. Ten krok rozważałam od lat. Gdybym umarła tutaj, skazałabym się na bycie duchem. Dobrze to wiedziałam. Nie umiałabym z tym zerwać. Dlaczego Tokio? Tak ogromne miasto mogło mnie połknąć. Stałabym się niewidzialna i nikt, nawet on, by mnie nie znalazł. Żyjąc między wrogami z czasów wojny, nie zbliżyłabym się do nikogo. Mogłabym zachować obojętność. To był według mnie najlepszy sposób na śmierć w samotności.

Najważniejsze, że Tokio nie było Wyspą Dusz. Na wygnaniu mogłam Pozwolić wspomnieniom ożywać i lśnić jak tamtym starym papierkom

tkwiącym w gęstwinie morwy. Wracać na Wyspę sprzed czterdziestu, pięćdziesięciu, sześćdziesięciu lat, do aromatycznego miasta przesiąkniętego potem i dymem, poruszającego się nonszalancko w rytm cza-czy.

Mój wyjazd okazał się trudniejszy, niż myślałam. Być może duchy przejrzały moje plany.

Zaczął się od pogłosek. Siedmiu żołnierzy - zdrowych chłopców w wieku osiemnastu i dziewiętnastu lat - przepadło podczas rutynowego szkolenia w dżungli, której resztki ostały się jeszcze na Wyspie. Odnaleziono ich po wielu dniach. Wisieli na drzewach z wyprutymi wnętrznościami. Tytuły w prasie brukowej krzyczały: *Pontianaki!* Władze oczywiście natychmiast zaprzeczyły tym spekulacjom, niemniej tego samego wieczoru odezwał się mój telefon. Spodziewałam się go. Automatyczna sekretarka zarejestrowała wiadomość z gabinetu premiera z prośbą do Pani Północ o jak najszybszy kontakt.

Pani Północ nie oddzwoniła. Wykonała już swoje zadanie.

W miarę jak panika wywołana śmiercią żołnierzy narastała, w mieście wydarzyło się kolejne nieszczęście. Nowy hotel przy South Bridge Road, noszący niefortunną nazwę Nowy Babilon, zawalił się, grzebiąc w gruzach stu cudzoziemców. Wiele lat temu odradziłam deweloperowi O.W.K. budowę na tej parceli, ponieważ roilo się tam od duchów. Smutne, że wizja mamony wygrała z moimi słowami. Telefon zadzwonił jeszcze cztery razy. Za czwartym odezwał się sam Kenneth. Nie oddzwoniłam.

Byłam emerytowaną bibliotekarką, a wkrótce miałam opuścić Wyspę na zawsze.

Trzydziestego pierwszego października 1990 roku miałam już spakowane bagaże. Większość rzeczy oddałam ludziom ocalałym z katastrofy hotelu Nowy Babilon. Wszystko, co chciałam zatrzymać - łącznie z rzeczami po Li, które zmieściły się w niewielkiej zamykanej na zamek torbie - upchnęłam do dwóch średnich walizek. W Tokio miałam zamiar dokupić to, co będzie mi potrzebne.

Ostatniej nocy spałam na gołym materacu w otoczeniu gołych ścian. A przynajmniej próbowałam zasnąć. Moje nieszczęsne stare serce waliło mocno jak u dziecka w Boże Narodzenie.

Dzwonek telefonu powitałam z ulgą. Nikomu nie zdradziłam swoich planów, wiedziałam jednak, że pewni ludzie mogli śledzić każdy mój ruch. Byłam zdecydowana go zawieść, zignorować wszystkie telefony i nie dać mu okazji do pożegnania.

W końcu ciekawość wzięła górę. Było trzydzieści siedem minut po północy, gdy podniosłam słuchawkę. Dzwoniła Violet.

- Muszę z tobą porozmawiać. Osobiście - wyszeptała. Miała zniekształcony głos. Chyba od płaczu. - Proszę, Cassandro. Jesteś jedyną osobą, do której mogę się zwrócić. Ken... Źle z nim.

- A co ja mam z tym wspólnego? Nie jestem jego żoną. To twój przywilej.

- Cassandro, błagam. - Desperacja nadała jej głosowi ostry i nieprzyjemny ton. - Za pięć minut wyślę po ciebie samochód.

- Nie przyjadę. - Nie chciałam widzieć ani jej, ani tego, co zrobili z rezydencją Wee, której obraz zachowałam w pamięci.

- Dobrze, to porozmawiamy w samochodzie. Proszę, Cassandro. Poświęć mi kilka minut. Obiecuję, że to ci się opłaci.

Siedem minut później pod dom zajechał czarny jaguar. Kiedy przyciemniona szyba została opuszczona i zobaczyłam Violet na tylnym siedzeniu, wynurzyłam się z cienia.

Kierowca - milczący Malaj - odczekał, aż wgramolę się do środka, i wolno ruszył w stronę miasta. Przypadkowy obserwator mógł potraktować tę scenę jak żywcem wyjętą z filmu noir: dwie posępne staruszki odjeżdżają w noc w sobie tylko wiadomym celu.

Violet miała opuchniętą twarz. Wróciła jej dawna pulchność, ale pojawiła się obwisłość charakterystyczna dla starzejącego się ciała.

- Wiem o was - powiedziała z bezpośredniością, której czas nie zmienił. Ku mojemu zaskoczeniu w jej głosie nie było urazy. - W tym momencie to nie ma znaczenia\* Liczy się tylko to, że jesteś jedyną osobą, która może go uratować. Rano zamknął się w gabinecie, popija szampana i nie chce wyjść. Boję się, że to koniec. Dał za wygraną.

Zaniosła się łkaniem. Nie wiedziałam, co ma na myśli: czy Kenneth grozi dymisją czy samobójstwem? Oba scenariusze były mało prawdopodobne, ponieważ ten człowiek przetrwał o wiele gorsze rzeczy.

- On nigdy nie poznał smaku porażki - ciągnęła. - Nikt nie kwestionował jego poglądów i oceny sytuacji. A teraz te wypadki i twój wyjazd...

- Nie próbuj zrzucić winy na mnie. - Spojrzałam przez okno. Przyciemniona szyba spowijała świat sztuczną ciemnością. Czy tak widział go Kenneth?

- O nic cię nie winię. Nie ma czasu na oskarżenia. Nam obu na nim zależy, dlatego poprosiłam cię o tę rozmowę. Dzieje się coś strasznego, czego prasa jeszcze nie odkryła. Ale to tylko kwestia czasu. - Odetchnęła

głęboko. - Chodzi o tunele pod nową kolej. Zatrudniłszy wielu robotników z Tajlandii. Porządnych, ciężko pracujących chłopców z północy. W zeszłym tygodniu zaczęli padać jak muchy. -Ilu?

- Dotąd około trzydziestu.

- Trzydziestu? - powtórzyłam. Nieszczęśnicy. Ginać na obcej ziemi, daleko od domu...

- Normy bezpieczeństwa, projekt i technologia są bez zarzutu - dodała szybko Violet. - Oni po prostu osunęli się na ziemię i zapadli w śpiączkę. Ci, których nie udało się obudzić, umarli w ciągu godziny. Trzej, którzy się obudzili, opowiadali, że nawiedziły ich kobiety-demony ze skrzydłami. Apsary, te latające istoty ze wschodniej mitologii.

Znałam je, mimo to zapytałam:

- Wykluczycie ulatnianie się gazu?

- Nie tylko. To była oczywiście pierwsza rzecz, którą sprawdził wykonawca. Instalacja jest szczelna. To nie to. Tego nie da się wytłumaczyć, przynajmniej nie w racjonalny sposób. Ken uważa, że to jakaś nadprzyrodzona siła. - Zaśmiała się zażenowana. - Jeśli powie to publicznie, wyobrażasz sobie, jak świat na to zareaguje? Nie obchodzi go, co myśli o nim żona, ale świat! On panicznie się boi, że wyjdzie na głupca. Jako katoliczka nie daję wiary takim wyjaśnieniom, ale wiem, że Wyspa zawsze rządziła się swoimi prawami. Zbyt dużo tu rzeczy, których nie rozumiem. Ty możesz wiedzieć o nich więcej.

-Ja?

- Tak, Pani Północ.

Samochód zatrzymał się pod Zakazanym Wzgórzem. Częściowo ogołoczone z roślinności było miejscem ogromnej budowy. Na kładce dla pieszych wisiały kolorowe banery z informacją: KOLEJNA INWESTYCJA DLA ROZWOJU TRANSPORTU PUBLICZNEGO. DZISIAJ NIEDOGODNOŚCI - JUTRO PRZYSPIESZENIE! Za kładką wyrastał z ziemi parkan ze sklejki.

Na zewnątrz wszystko wyglądało porządnie i jak należy, ale ja wiedziałam, jak się buduje na Wyspie. Biedni robotnicy z innych krajów, karmieni marnym jedzeniem, wchodzili pod ziemię bez odpowiedniego sprzętu. W przeciwieństwie do dziesiątek innych miejsc, gdzie praca przy budowie kolei podziemnej wrzała przez całą dobę, tutaj nie dudniła ani jedna maszyna. Wszystko stało. Wypatrywałam ludzi, których mogłabym zapytać, co się dzieje, ale nie widziałam żywej duszy.



- To tutaj zginęli - powiedziała Violet. - Wszyscy w tym miejscu. Resztę odesłaliśmy do ich rodzinnych wiosek i dobrze im zapłaciliśmy, żeby siedzieli cicho.

Ze starego cmentarza na zboczu, którego część wyglądała znad parkanu, zniknęły zarośla, a grobowce obróciły się w kupę gruzu. Ech, Kennecie Kee, ty i twoje czcze obietnice...

- Spójrz tylko, co zrobił - powiedziałam. - Nawet jeśli nie wierzysz w... Violet weszła mi w słowo:

- Tędy prowadziła najkrótsza droga z Chinatown do ratusza. Nie mieliśmy wyjścia.

- Zawsze jest jakieś wyjście. Mogliście drażyć, omijając wzgórze. Żaden pasażer nie zauważyłby różnicy w długości podróży.

- Tak czy inaczej, tunel jest gotowy - odparła Violet nieoczekiwanie twardym tonem.

- Więc jest za późno, tak?

- Może nie. Jeśli to rzeczywiście duchy zmarłych są sprawcami tego zamętu, mogłabyś się dowiedzieć, czego chcą. Powiedz nam, co zrobić, żeby uniknąć kolejnych incydentów.

Spojrzałam na zegarek. Było piętnaście po pierwszej. Wieki temu powinnam leżeć w łóżku.

- Cassandra - Violet ścisnęła moje dłonie - dam ci milion dolarów. Z własnej kieszeni. To wszystko, o co cię proszę. Obiecuję, że dostaniesz pieniądze jeszcze tej nocy. Powiedz mi, czego one chcą. Inaczej nasz Kenneth będzie stracony.

Powiedziała o tym milionie, jakby chodziło o niewielką kwotę, a ja byłam jednym z robotników, których odprawiła.

- Ahmad zawiezie mnie do domu - powiedziała, kiwając głowę w stronę kierowcy o twarzy bez wyrazu. - Potem wróci tu i zaczeka na ciebie. Proszę, Cassandra, zrób to. Jeśli nie dla Kena, to dla naszej znękaney wyspy. To także twoja Wyspa, przecież wiesz.

Wiedziałam.

Prześlizgnęłam się przez szczelinę w parkanie. To jedna z zalet bycia chudą jak szczapa. W wieku sześćdziesięciu ośmiu lat nie byłam żwawa, umiałam za to pokonywać przeszkody. Nigdy nie uznawałam granic.

Moim oczom ukazał się skąpany w srebrzystej księżycowej poświacie potężny krater o głębokości co najmniej dwóch pięt. W tym miejscu miała się

znajdować przyszła stacja kolei podziemnej. Pylony, pustaki i metalowe siatki wystawały z błota obok rozmaitych maszyn do kopania, których żółte ramiona znieruchomiały nad ziemią. U podstawy wzgórza dostrzegłam wejście do tunelu - tego tunelu. Jego brudny sufit i ściany były podparte drewnianymi kratownicami jak w kopalnianym szybie. W środku migotało światło, jedyna oznaka ruchu w tym zastygłym nocnym krajobrazie.

Podniosłam głowę, spojrzałam na огоłocone z roślinności zbocze i podskoczyłam ze strachu. Byłam obserwowana. Nie przez martwych pracownikóW, ale przez trzydziestu ludzi w strojach sprzed dziesięcioleci i stuleci, stałych rezydentóW Zakazanego WzgórzA. Stali bez ruchu niczym makabryczne eksponaty w muzeum figur woskowych. Ich oczy płonęły nienawiścią.

Wiatr targał mi włosy. Poczułam, że zamieram bez ruchu jak buldożery w kraterze. Nigdy przedtem duchy nie patrzyły na mnie z taką wściekłością, a przecież byłam ich przyjaciółką i obrończynią. Gdyby postanowiły mnie zaatakować, nie uszłabym z życiem. Cóż to byłby za smutny koniec - śmierć podczas spełniania patriotycznego obowiązku dla premiera.

Jak mogłam połknąć przynętę Violet? Świat duchóW nie był już moim światem. Wyszłam z wprawy, byłam starą emerytowaną bibliotekarką, na miłość boską. Zamiast stać i walczyć z nieznanym w imieniu człowieka, który dawno przestał być moim kochankiem, a nawet przyjacielem, powinnam cieszyć się ostatnią nocą w swoim mieszkaniu, rozkoszować wspomnieniami, popijając kakao ze słodem jęczmiennym.

Przeklinałam w duchu łzy Violet i własną próżność, chociaż poczucie winy też miało w tym swój udział.

Bez względu na wszystko było już za późno, żeby się wycofać. U wylotu tunelu pojawił się ciemny zarys postaci. Mały chłopiec, nie taki groźny jak reszta. Pomachał mi przyjaźnie. Wiedziałam, że duchy wybrały emisariusza, który osłabi moją czujność i w ten sposób mnie rozbroi.

Odmachnęłam i poczułam, jakbyśmy mieli wrócić do niedawno rozpoczętej rozmowy. Na dobrze znany mi temat.

Chłopiec skinął na mnie, żebym poszła za nim w głąb tunelu. Wahałam się przez chwilę. Potem podeszłam na skraj krateru, zerkając raz po raz na bezładne skupisko maszyn poniżej i czujną galerię figur woskowych powyżej. Cały wszechświat stanął w miejscu, by umożliwić mi obcowanie ze zmarłymi po długiej przerwie. Świat duchóW prosił, bym wróciła.

Niech się dzieje, co chce, pomyślałam, i weszłam do jego łona.

Moje nadejście zaanonsował chrzęst żwiru pod nogami.

Chłopiec zniknął. Miałam przed sobą korytarz oświetlony żarówkami z minionych czasów, ich węglowe żarniki migotały i syczały, gdy się zbliżałam, a nikły, gdy zostawiałam je za plecami. Były przylutowane do ścian, a ich okablowanie wyglądało tak staroświecko, że zastanawiałam się, czy ulegam złudzeniu optycznemu. Kto używałby tego rodzaju oświetlenia pod koniec XX wieku?

Odpowiedź przyszła szybciej, niż się spodziewałam. Rozgniewane postacie na wzgórzu były zaledwie zapowiedzią tego, co miało nastąpić. Tunel rozszerzył się i przeszedł w pieczarę. Tam, w zimnie i wilgoci, stała moja prawdziwa widownia: setki mężczyzn i kobiet tworzących sekretną wspólnotę zmarłych zalatujących odkrytymi grobami. W pierwszym szeregu stał mój przewodnik. W końcu ujrzałam jego twarz, a właściwie to, co z niej zostało. Ciało wyjadły mu robaki, a w miejscu nosa ziała dziura, z której ciekł śluz. Chłopiec nie miał oczu.

Ugięły się pode mną kolana.

Pozostali wyglądali tak jak on - kościści, wyniszczeni, rozkładający się, jak każda ludzka istota, której czas na ziemi dobiegł końca. Nigdy nie widziałam ich tyłu w jednym miejscu, z uwagą skupioną na jednym: na mnie.

Czego chcieli? Współczucia? Zemsty? Nie miałam zamiaru zostać na tyle długo, by się tego dowiedzieć.

Odwróciłam się, by odejść, ale wtedy pojawili się kolejni umarli. Poruszali się sztywno, mechanicznie, odcinając mi drogę odwrotu. Nagle pomyślałam o Minotaurze w labiryncie i pożałowałam, że nie wzięłam kłębka nici. Jeszcze nie byłam gotowa na śmierć, nie tutaj, nie w chwili, kiedy moja ucieczka z Wyspy była tak blisko. Tak cholernie blisko.

- Wybaczcie mi - wyszeptałam. - Wybaczcie.

Moje słowa odbiły się echem od ścian pieczary, jakbym je wykrzyczała. Przy każdym kroku chrząst żwiru brzmiał jak zwielokrotniony wystrzał.

W migotliwym świetle pojawiły się wyraźnie widoczne twarze, które po chwili znowu roztopiły się w ciemności. Malajowie, Chińczycy, Persowie, Hindusi z Indii Południowych, Euroazjaci, Anglosasi, Żydzi... wszyscy wyniszczeni przez żywioły, pożarci przez czas. Wszyscy pozbawieni oczu.

W tym tłumie tylko jedna twarz pozostała widoczna. Należała do Chinki, której szara czaszka prześwitywała zza kurtyny długich siwych włosów. Rozpoznałam jej zielonkawą cheongsam. Brakowało jednak naszyjnika z pereł. Na pewno ukradł go przedsiębiorca pogrzebowy, ponieważ nie miała dzieci, które mogłyby mu patrzeć na ręce.

- Pani Odell! - krzyknęłam drżącym głosem.

Odsunęła się na bok. Zza niej wyłonił się szkielet w szarym garniturze. Jego głowa zwisała bezwładnie. To był oczywiście pan Odell. Chociaż ich widok mnie przeraził, wiedziałam, że nie zrobią mi krzywdy. Zapłaciłam za jej pogrzeb. Zapewniłam im połączenie się po śmierci.

Miałam tylko jedną wątpliwość: jak mnie poznają, skoro nie mają oczu?

- Pomóżcie mi, proszę!

Odór gnijącego mięsa wdarł mi się do nosa i ust niczym fala. Zebrało mi się na wymioty. Z trudem nad sobą zapanowałam. Tym odruchem zdradziłabym lęk, odrazę, swoją śmiertelność. Odellowie nie podeszli do mnie. Nie miałam wyjścia. To ja musiałam do nich dotrzeć.

Spuściłam wzrok. Na szczęście światełko było mdłe i migotliwe. Kiedy przeciskałam się między trupami, nakazałam sobie myśleć o tym miejscu jak o kramie porzuconym przez rzeźnika. Smród rozkładu był trudny do zniesienia, ale sam rozkład - tak jak ciało i kości - jest częścią życia i jako taki nie powinien budzić strachu.

Mimo wszystko jeżyły mi się włoski na rękach. Z każdym krokiem słabły mi nogi. Czułam, jakby wszyscy w jaskini wstrzymali oddech - jeśli w ogóle mieli jeszcze co wstrzymywać - czekając, aż wejdem między nich, a oni będą mogli mnie zmiążdżyć i w ten sposób uznać za swoją.

Wiedziałam, że koniec będzie bolesny. Duchy miały powód. Czekają mnie kara. I cierpienie. Jednak umieranie byłoby niczym w porównaniu ze śmiercią. Po śmierci zostałabym skazana na chodzenie po ziemi jako jedna z nich.

Łowczyni duchów staje się duchem. Co za ironia losu.

- Panie Odell - powiedziałam błagalnie, idąc chwiejnie przed siebie, ze wzrokiem wbitym w ziemię.

Kiedy światło się zmieniło, odkryłam, że potworny chrzęst, jaki mi towarzyszył, to nie żwir pod moimi stopami. Chodziłam po fragmentach kości, różańcach, kawałkach trumien, czarnych kępkach ludzkich włosów. Przeszedł mnie dreszcz, gdy podniosłam lewą nogę i ujrzałam kompletną szczękę. Pod prawą stopą miałam kawał płyty nagrobnej z perskim napisem. Z każdym krokiem dokonywałam kolejnej profanacji. Cały tunel wypełniony był utraconymi wspomnieniami potłuczonymi, rozdrobnionymi i przemieszananymi ze sobą. Wkrótce miały tędy pędzić pociągi, zamieniając to miejsce ostatniego spoczynku w skrzyżowanie dróg, miejsce nieustannej podróży.

Gdyby duchy odebrały mi teraz życie, wchłonęłaby mnie ta wieloskładnikowa anonimowa mieszanina. Zupełnie, jakbym nigdy nie istniała...

Spokojnie, tylko spokojnie, mówiłam sobie. Ulegając panice, na pewno stanę się duchem.

Spokojnie. Idź do Odellów.

Kiedy w końcu się do nich przedarłam, nie nastąpiło radosne przywitanie. Przywarli do mnie zimnymi twardymi ciałami, ale nie skończyło się na objęciach. Chcieli o wiele więcej. Zaczęli mnie ścisnąć - Odell z przodu, jego żona z tyłu. Może by narodzić się w śmierci, potrzeba obojga rodziców, tak jak w życiu?

Zacisnęłam powieki i nabrałam powietrza. Odór, dotąd tak dokuczliwy, przestał drażnić. Stał się zwykłym zapachem, jak każdy inny. Powietrze było tak ciężkie, że uniemożliwiało oddychanie.

Podjęłam ostatnią próbę porozumienia:

- Więcej zrobię dla was żywa niż umarła.

Mimo tych słów pragnienie życia mnie opuszczało. Byłam wyczerpana, zbierało mi się na wymioty, w płucach brakowało powietrza. Przerazenie ustąpiło miejsca tępemu bólowi rezygnacji. Po co walczyć? Czyż nie byłam już stara i przegrana?

Przestałam się opierać, ale moi umarli rodzice ściskali mnie coraz mocniej i mocniej. Słyszałam trzeszczenie kości, chociaż nie wiedziałam czyich. Nasza trójka stanowiła teraz jeden organizm, całość. Zaskoczyła mnie moja gotowość do zaśnięcia, uduszenia się. Przestało się liczyć, czy świat o mnie zapomni. Byłam w objęciach rodziców. Ta rodzina zjednoczona w śmierci mi wystarczała. Ich boleść była wszechogarniająca, głębsza i bardziej niepowstrzymana niż jakakolwiek inna, ponieważ miała trwać przez wieczność. ^

To był zachłanny żal. jedyne, co mi pozostało, to mu ulec.

Gdzieś w zamulonym labiryncie mojego mózgu pojawiła się myśl o pon-tianak, o wojnie, o dziewczętach na Krwawym Wzgórzu... Przetrwiałam zmagania ze straszliwymi monstrami, dlaczego teraz miałabym się poddać?

W tej samej chwili w moim uchu rozległo się irytujące brzęczenie. Nie był to prawdziwy głos, nazwałabym to raczej cieniem głosu, jak tamto uciszanie, które słyszałam na cmentarzu przed wieloma laty. Tyle że dopiero teraz je zrozumiałam. Nagle ten język stał się zrozumiały.

„Rozejrzyj się, mówił Odell błagalnie. Popatrz, co narobiłaś”.

To nie ja, chciałam zaprotestować, lecz głos uwiązał mi w gardle.

Teraz dołączyły szepty innych w niezliczonych językach, które nakładając się na siebie i płacząc, przypominały odgłos wiatru szemrzącego w zaroślach:

„Obiecałaś, że nigdy do tego nie dojdzie. Obiecałaś nam niczym niezmacony spoczynek”.

A potem dwa słowa rozbrzmiały głośniejszym, spotęgowanym echem odbitym od ścian pieczary: „Kenneth Kee”.

Wtedy moim martwi rodzice uwolnili mnie ze śmiertelnego uścisku. Wróciłam między żywych. Powietrze wypełniło mi płuca. Upadłam na ziemię, krztusząc się i ciężko dysząc.

Uwierzili mi. Byłam bardziej użyteczna żywa niż martwa.

Kierowca Violet zawiózł mnie najpierw do domu, żebym się przebrała. Potem pojechaliśmy do rezydencji premiera. Kiedy odprowadził mnie pod drzwi wejściowe, na odchodnym szepnął:

- Powodzenia.

Stary dom rodziny Wee połyskiwał nawet w nocy. Kenneth zachował białą tonację z czasów pana Wee, ale farba premiera lśniła jeszcze bielej i jaśniej.

Violet stała w oknie. Otworzyła mi, zanim zdążyłam zadzwonić do drzwi. W holu królowała antyseptyczna biel współgrająca z barwą zewnętrznych ścian. Służba została odprawiona. I dobrze. Nie miałam ochoty ani na herbatę, ani nawet na koniak.

Jedynym akcentem zdobiącym nagie ściany był ogromny portret małej Violet w krótkiej niebieskiej sukience. Nie pamiętałam go ze starych czasów, ale nachmurzona mina dziewczynki nie pozostawiała wątpliwości, na kogo patrzymy.

- Moja córka - pośpieszyła Violet z wyjaśnieniem, widząc, że przyglądam się obrazowi. - Jest już dorosła, ale właśnie taką chcemy ją pamiętać. - Złapała mnie za ramię, by skupić na sobie całą moją uwagę. - I czego się dowiedziałaś?

- Pozwól mi porozmawiać z Kennethem.

Spiorunowała mnie wzrokiem, w którym była tak dobrze znana mi nieprzejednana wrogość.

- Możesz mi wierzyć, Vi, że spotkanie z nim to ostatnia rzecz, jakiej bym sobie życzyła, ale duchy nie zostawiły mi wyboru - tłumaczyłam.

- Powiedz, czego chcą, a ja mu to przekażę.

- Sama muszę mu to powiedzieć. Chodzi o to, co on i ja zrobiliśmy, zanim ty pojawiłaś się na horyzoncie.

Jej kamienna twarz drgnęła.

- Dawno temu prosiłam cię, błagałam, żebyś przestała nas nękać...

- Vi, przecież to ty mnie tu zaprosiłaś.

Oparła się o poręcz i zawyła jak potępieniec. Gdyby Kennethowi na niej zależało, na ten odgłos popędziłby do niej na złamanie karku, jednak z żadnego z pomieszczeń domu nie dobiegł nawet najcichszy dźwięk.

- Dlaczego nie możesz... Dlaczego nie możesz po prostu ich przegnać?

- Ponieważ nie ja je przywołałam. On to zrobił.

Kenneth urządził sobie gabinet w starej bibliotece, gdzie natknęłam się na niego, szukając schronienia podczas swojego przyjęcia zaręczynowego. Byliśmy wtedy tacy młodzi. Wtedy przypuszczenie, że coś mogłoby nas połączyć, wydawało się absurdem. Prócz wspólnej niechęci do Violet podzielaliśmy wzajemną podejrzliwość. Po tylu latach historia zatoczyła koło i znaleźliśmy się w punkcie wyjścia.

Violet zastukała do drzwi.

-Ken!

Usłyszałam głośny trzask zamka, ale drzwi pozostały zamknięte.

- Tylko Cassandra - dobiegł zza nich zbolący głos.

- Ken! - powtórzyła Violet, napierając na drzwi. Kenneth trzymał je od środka.

- Nie! - ryknął rozzłoszczony. - Powiedziałem: tylko Cassandra. Kiedy przekroczyłam próg gabinetu, zatrzasnęła Violet drzwi przed nosem i zamknęła je na klucz.

Słyszałam jej tłumione lamenty, po których nastąpiła seria przekleństw miotanych pod jego albo moim adresem, a najpewniej nas obojga.

Klimatyzator rzeźił i buczał, mimo że o trzeciej w nocy na dworze było dość chłodno. Człowiek, który kiedyś twierdził, że nienawidzi klimatyzacji, najwyraźniej przeprosił się z nią, traktując jak narzędzie pozwalające wytworzyć własny klimat.

- Proszę - dał mi znak, żebym usiadła.

Sam pośpiesznie wycofał się za palisandrowe biurko i opadł na obrotowy fotel, pewnie z obawy przed moim złośliwym komentarzem o spowijających go oparach alkoholu albo nieoczekiwanym nawrocie seplenienia. Surowe białe ściany i szarobury uniform uwydatniały bladość jego wymizerowanej twarzy i fioletowawe worki pod oczami. Wiedziałam, że to nie tylko efekt braku słońca i snu. Człowieka o tak nieposkromionej pysze musiały osiągnąć znacznie dotkliwsze ciosy, by aż tak zmienił się jego wygląd. Nie widziałam w nim nawet cienia energicznego przywódcy ze zdjęć w prasie czy z programów telewizyjnych. Miałam przed sobą znękanego starca.

Omiotłam wzrokiem pokój. Biurko stało frontem do drzwi jak u dyrektora banku. Na gości czekały dwa skórzane fotele, które wyglądały na nieużywane - do dzisiaj. Mahoniowe biblioteczki pana Wee zostały zniszczone, co mnie wcale nie zdziwiło. Na ich miejscu pojawił się nowoczesny wózek na kółkach, jakim w bibliotekach rozwozi się książki. Na nim leżały najnowsze wydania atlasów, słowników oraz *CIA World Factbook*.

- Pani Północ. - zamachał ręką, żebym skierowała wzrok na niego. Miał niebieskoszare paznokcie obgryzione do żywego mięsa. - Cy on tu jesst i sśłucha?

-Kto?

- Daniel, ocywiście.

Przerażona pokręciłam głową. Moja odpowiedź go uspokoiła. Spojrzał na mnie przenikliwie.

- Wy tłumacz mi - zaczął, już nie sepleniąc - jak się wpakowałem w tę kabałę.

Odczekał chwilę, obserwując moją reakcję, potem schylił się i teatralnym gestem wyjął z ukrytej szuflady dwa kieliszki do szampana. Dłonie nie drżały mu ani trochę. Wbrew temu, co mówiła Violet, był trzeźwy. Nie zważając na mój sprzeciw, wyciągnął z ukrytego za biurkiem kubek na lód zapełnioną w jednej czwartej butelkę Dom Perignon i napełnił kieliszki po sam brzeg. Resztkę szampana wlał sobie prosto do gardła.

- Tak, piję, ale nie jestem pijany. - Uśmiechnął się. - Musisz mi wybaczyć tę komedię. Tylko w ten sposób mogłem skłonić Vi, żeby cię tu przywiozła.

Zatrzęsłam się w wściekłości.

- Dobrze wiedziałeś, że Vi jest jedyną osobą, która mogła mnie do tego skłonić. Sytuacja musiała być naprawdę poważna, skoro przyszła błagać o pomoc swojego starego wroga.

- Mądra dziewczynka.

Stuknął swoim kieliszkiem o mój i kilka kropli szampana kapnęło na wypolerowany blat. Wytał go rękawem. Odsunęłam kieliszek, odmawiając zarówno picia, jak i dalszego uczestnictwa w tym przedstawieniu.

- Przecież przyjechałaś - powiedział, pełen podziwu dla własnej przemyślności. - Zabawne, że schodzimy się zawsze z powodu jakiejś katastrofy Najpierw wojna, potem stan wyjątkowy, a teraz to.

Rzuciłam mu gniewne spojrzenie. Miałam nadzieję, że odstawi kieliszek.

- Och, nie przejmuj się, przysyłają mi te butelki statkami. Ambasador Francji uważa, że bardzo łatwo mnie zadowolić. Owszem, ale tylko dobrym rocznikiem.

- Przeplukał gardło szampanem, a potem głośno



przełknął. - Widzę, że cię to nie bawi. Cóż, przypuszczam, że już dawno przestałem być zabawny, prawda? Przy tym chaosie i siłach działających poza moją kontrolą nie jestem już wszechwiedzącym ojcem.

- Nie rozgrzeszaj się tak szybko. Mogłeś nad tym wszystkim zapanować. Niszczysz groby ludzi, stąd ten chaos.

- Twarda z ciebie sztuka. - Uśmiechnął się znacząco. - Cieszę się, że nigdy nie próbowałem cię poskromić, bo skończyłbym bez ręki albo bez nogi. Albo, nie daj Bóg, jeszcze gorzej...

- Obiecaliśmy im, Ken.

- Nie, nie, nie. To ty im obiecałaś. Ja powiedziałem, że się postaram. Dla mnie najważniejsi są żyjący mieszkańcy Czarnej Wyspy. Zawsze byli, nie rozumiesz? Tych drugich nie widzę. To nie znaczy, że nie wierzę w ich istnienie, ale dla mnie są... abstrakcją.

Opróżnił kieliszek.

- Kiedy jesteś premierem, masz do dyspozycji kompetentnych ludzi, którzy rozwiązują za ciebie problemy - ciągnął. - Pod moim kierownictwem kalkulują, przed podjęciem każdej decyzji rozważają wszystkie za i przeciw, a potem realizują uzgodniony plan. I jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, problem znika. Na tym polega moja magia. Mam ludzi, żebym nie musiał mieć do czynienia z ludźmi. Dzięki nim obywatele Wyspy są dla mnie abstrakcją, a ja jestem abstrakcją dla nich. Oto złudzenie biegłości w rządzeniu. Nie znam nikogo, kto wiedziałby, jak rozwiązać ten problem. Kiedyś oczywiście znałem, i ona była w tym dość dobra. Niestety, jak wszystkie wyjątkowe umysły, nie dała się zatrzymać. Nie znasz przypadkiem kogoś, kto mógłby ją zastąpić?

- Jutro opuszczam Wyspę. Bez względu na to, co powiesz czy zrobisz, nie zmienię zdania. Skończyłam z duchami. Skończyłam z tą przeklętą Wyspą. I skończyłam z tobą. - Powiedziałam to stanowczym i rzeczowym tonem, by przypadkiem nie pomyślał, że chcę przebić jego melodramatyczne wystąpienie. - Oto moja ostatnia rada: duchy chcą, żebyś zjawiał się na Zakazanym Wzgórzu osobiście. Masz przekonać się na własne oczy, co im zrobiłeś.

- Chcą mnie, tak?

- Tak.

- Hm, wygląda na to, że wszyscy mnie chcą. Wszyscy prócz ciebie.

- Użalanie się nad sobą nigdy do ciebie nie pasowało, panie premierze. Milczał zadumany, jak zwykle, gdy szukał rozwiązania. Moja czujność

wzrosła. Może był stary i przygnębiony, jednak nie przestał być Kennethem Kee.

- Jeśli się tam udam, czy zostawią nas w spokoju i sytuacja na Wyspie wróci do normy?

- Szczerze mówiąc, nie wiem, ale od czegoś trzeba zacząć. Pokiwał głową i znów się zamyślił.

Wstałam. Przedstawiłam sprawę, zobaczyłam dom, spotkałam się z premierem, poczułam jego panikę. Moja misja dobiegła końca.

- Zaczekaj, proszę - odezwał się miękko. - Ty i ja powinniśmy... musimy porozmawiać o przeszłości. Powinniśmy to zrobić wcześniej. W mniej groteskowej atmosferze. Powinniśmy to wszystko urządzić inaczej, zupełnie inaczej.

Poderwał się z krzesła i podszedł do mnie. Miał rozbiegany wzrok, jakby bał się spojrzeć mi w twarz.

- Powinniśmy być razem - wyszeptał. - Powinniśmy machnąć ręką, że to banał, i zrobić to wszystko: pobrać się, mieć dzieci, zestarzyć się. Zamiast tego wszystkiego... To szaleństwo, że sami sobie zafundowaliśmy taki los.

- Nie chcę tego słuchać.

- Tutaj nikt nie rozumie moich dowcipów. - Zaśmiał się gorzko. - Nikt! Do czegoś ci się przyznam. W myślach rozmawiam z tobą tak od serca, ponieważ rozmowa z twoim duchem jest lepsza niż rozmowa z moją żoną, służbą, z moimi ministrami, z nimi wszystkimi razem i każdym z osobna. Czasem te rozmowy są tak pasjonujące, tak rzeczywiste, że czuję, jakbyś naprawdę tu ze mną była. W końcu pojąłem, jak możesz żyć otoczona duchami. Przypuszczam, że to bardzo podobne doświadczenie. Duchowa więź z kimś, kogo nikt inny nie widzi ani nie rozumie, kto cię nie opuszcza i nie odstępuje na krok. Duch to nieprzemijający sekret, prawda?

Odwróciłam się. Nie chciałam, by dostrzegł błysk zrozumienia w moich oczach. Zwłaszcza jeśli ten pokaz uczuć był kolejnym fortem.

- Skrzywdziłem cię, Cassandro. I skrzywdziłem siebie, ponieważ odmówiłem sobie szczęścia.

- Nie bylibyśmy razem szczęśliwi. - Nie przy dzielącej nas różnicy zdań, nie wobec wzajemnych oskarżeń, nieuniknionych po stracie dziecka. Życie nauczyło mnie nie wierzyć takim fantazjom. - Żal to mrzonka, Ken.

- Oczywiście, że bylibyśmy szczęśliwi. - Na jego twarzy malowała się niezmacona pewność. - Oczywiście, że tak! - powtórzył z naciskiem. - Tyle że ja wszystko zniszczyłem. Setki, tysiące razy błagałem twojego ducha o wybaczenie. Ducha, nie prawdziwą ciebie... Skoro teraz stoisz przede mną we własnej osobie, pozwól mi coś wyznać, Cassandro. Mam pewność, że bylibyśmy szczęśliwi, gdyby nie to, co zrobiłem. - Złapał mnie za łokieć. - To ja

zwabiłem cię do tamtego magazynu. To ja spowodowałem zawalenie się dachu. To ja zabiłem naszą wspólną przyszłość.

Zawrzała we mnie tłumiona przez lata wściekłość. Chociaż nie miałam namacalnego dowodu, w głębi serca wiedziałam, że to Kenneth ponosi odpowiedzialność za tamtą zbrodnię. Długo czekałam na to wyznanie, a kiedy wreszcie się doczekałam, stałam się podejrzliwa. Nie wiedziałam, czy mam do czynienia z prawdziwą skruchą, czy z usprawiedliwieniami oszusta u kresu sił.

Zanim serce wypowiedziało mi coś głupiego, usłyszałam własny głos:

- To już nieważne. Nic już się nie liczy.

Łagodnie uwolniłam rękę z jego uścisku i ruszyłam do drzwi. To wszystko przytrafiło się dawno temu nie mnie, lecz mojemu utraconemu sobowtórowi, upartej młodej kobiecie o imieniu Cassandra, której smutną historię niedługo zostawię za sobą.

- I jeszcze Issa. Prześladowuje mnie myśl o tym, co mu zrobiłem. Będzie mnie prześladować do końca moich dni, a nawet dłużej... Cassandro, nie pozwól, żebym stał się duchem.

Musiałam uciekać - natychmiast - zanim Kenneth zarzuci swoją sieć i znowu mnie omota. Nie mogłam naprawić jego przeszłości.

- Powiedz, że mi wybaczasz - szepnął. Jego wątlymi plecami wstrząsnęło łkanie. - Bardzo się bałem. Byłem zazdrosny, czułem się niepewnie.

Chwycił mnie lepkimi od potu dłońmi. Strząsnęłam je z siebie gwałtowniej, niż zamierzałam. Były przeraźliwie zimne.

- Powiedz mi, Cassandro. Po prostu mi powiedz. Błagam cię... Nie chcę być duchem.

- Trochę na teza późno, nie sądzisz? - Gdybym mogła powtórzyć tę scenę, nadałabym swojemu głosowi łagodniejszy ton. - Możesz iść na Zakazane Wzgórze. Sam się przekonaj, co się tam dzieje.

- Boję się. - Spojrzał na mnie żałośnie załzawionymi oczami. Kiedyś już widziałam takie oczy. U kotka, któremu Li za chwilę miał skrócić kark.

- Jeśli nie pójdziesz, dzieło twojego życia straci znaczenie. Oni zniszczą Wyspę. Kenneth spuścił głowę.

- Tak... właśnie.

Kiedy wyszłam z gabinetu, pod drzwiami czekała Violet z surową miną, jakby szykowała się do końcowego starcia. Poprowadziła mnie do holu.

- Rozmawiałam z twoim bankiem. Cała kwota jest na twoim koncie. Możesz ją podjąć, przelać całość albo część na inne konto. Bez żadnych dodatkowych warunków. To czyste pieniądze.

Skinęłam głową. W tej sytuacji dziękowanie byłoby niewłaściwe.

- Niech to zostanie między nami. Znowu skinęłam głową.

Wychodząc z domu, ujrzałam pana Wee. Stał pod portykiem niczym wartownik, uwolniony już od psiego łba. Chęć pozostania na miejscu wygrała u niego z instynktem pchającym badi do włóczęgi. Prawdopodobnie należał on do tych domowych duchów, które kierują się raczej poczuciem obowiązku niż emocjami. Poznawszy za życia bolesną prawdę o zaangażowaniu i związkach, obecny pan Wee mnie nie zauważył. Obojętny i niczym nieobciążony, był teraz duchem, który przetrwa całe stulecia.

Jeszcze tej samej nocy poszłam do bankomatu. Pieniądze rzeczywiście były na koncie.

Trzeba oddać Violet sprawiedliwość: nigdy nie skłamała.

Na lotnisku panowała dziwna atmosfera. Cały personel - od stewardes na stanowiskach odprawy po sikhijskiego policjanta stojącego przy punkcie kontroli paszportowej - poruszał się ospale z ponurymi minami. Już chciałam zgłosić oficjalną skargę, bo nadal byłam wymagającą obywatelką Wyspy, kiedy zobaczyłam, że siedząca za kontuarem kobieta szłocha, jakby porzucił ją ukochany.

Wyjście dla pasażerów otwarto z opóźnieniem. Póki nie przeszłam rękawem do samolotu i nie zajęłam miejsca przy oknie w klasie biznesowej bałam się, że każda zwłoka jest celowym działaniem i spóźnię się na samolot. Przypuszczałam, że mógł to być ostatni prezent od Kennetha Kee.

- Dzień dobry - przywitałam się ze spiętą kobietą na fotelu obok. W odpowiedzi skinęła tylko głową. Byłam wdzięczna losowi, że nie trafiłam na gadułę.

Kiedy samolot zaczął kołować, kobieta sięgnęła po najnowszy numer „Tribune”. Gazeta była wilgotna w niektórych miejscach, zupełnie jakby ktoś nad nią płakał. Rano nie zawracałam sobie głowy zaglądaniem do prasy, nie ogarnęła mnie przedwyjazdowa nostalgia. Tego wielkiego nagłówka nie dało się jednak przeoczyć.

### **PREMIER KEE NIE ŻYJE NARÓD POGRAŻONY W ŻAŁOBIE**

W moim sercu wybuchła mina lądowa. Och, Kenneth, pomyślałam, nieszczęsny Kenneth.

Mimo szoku wywołanego tą informacją muszę szczerze przyznać, że wcale się nie zdziwiłam. Wiedziałam, że może do tego dojść, odkąd weszłam do jego gabinetu. W głowie układałam tylko warianty scenariuszy. Ale kiedy koniec naprawdę nadszedł, kiedy Kenowi pierwszy raz nie udało się przechytryć losu... Próbowałam stłumić uczucia zbyt gwałtowne i sprzeczne, by je nazwać. Ale łzy i tak popłynęły.

- Wiem - odezwała się moja towarzyszka. - Ja też jestem przerażona, co będzie dalej bez niego.

Podsunęła mi chusteczkę, ale zamiast chusteczki wyjęłam jej z rąk gazetę. Zwięzły tekst na pierwszej stronie sklecił w wielkim pośpiechu jakiś bezimienny pismak. Konkrétów było niewiele. Późną nocą premier udał się na niezapowiedzianą „inspekcję” tunelu pod Zakazanym Wzgórzem, kierowany troską o bezpieczeństwo i dobro pracujących tam robotników. Dla niezmordowanego premiera, podkreślał żurnalista, ten rodzaj zaimprovizowanej wizyty nie był czymś niezwykłym. Tym razem jednak, kiedy premier znalazł się w tunelu, zawaliły się rusztowania. Nie było szans na uratowanie powszechnie szanowanego przywódcy. Zabiło go bezgraniczne współczucie, głosił artykuł, nie w znaczeniu metaforycznym, ale dosłownie.

Przeczytałam to dwa razy, starając się wyczytać między wierszami prawdę. Czy Kenneth poświęcił się z własnej woli, czy duchy zabrały go siłą? Jak zwykle „Tribune” nie wychodziła poza właściwą sobie propagandę.

Nie wątpiłam, że był przerażony, wchodząc do tunelu, i żałował, że posłuchał mojej rady. Zastanawiałam się, czy poruszył go widok sprofanowanych grobów, czy w ogóle odczuwał skruchę.

Czy duchy mu się pokazały? Czy on - pierwszy i ostatni raz w życiu - ujrzał to, co ja widziałam na każdym kroku? Czy zmarli go udusili, tak jak o mało nie udusili mnie? Czy śmierć była szybka i bezbolesna, czy umierał długo i w męczarniach? Czy uratował Wyspę?

A jeśli jakimś cudem jego myśli w ostatnich chwilach życia pobiegły ku mnie, czy była w nich miłość czy nienawiść? Czy teraz stanie się duchem żadnym mojej krwi jak te, które upomniały się o jego krew?

Kiedy odrywaliśmy się od ziemi, odetchnęłam głęboko. Czułam, jak samolot zмага się ze mną, jakbym była ładunkiem z duszą uwięzioną przez armię umarłych. Nie chcieli mnie wypuścić. Tata, Daniel, pan Wee, teraz jeszcze Kenneth z dopiero co zrodzonym gniewem. A Taro? Wyspa odebrała mi możliwość rozstrzygającego starcia z nim.

Silniki odrzutowca wyły, kadłub drgał, a ja chwyciłam poręcze fotela i uniosłam się, chcąc zmniejszyć swój ciężar, na ile tylko pozwalała siła grawitacji.

Widok chmur migających za oknem niczym stado uciekających baranków przyniósł ukojenie. Łzy obeschły.

Samolot skręcił nad Wyspę, tym razem na tyle wysoko, by umknąć jej sile przyciągania. Miasto leżało pod nami jak model w zmniejszonej skali, ze wszystkimi charakterystycznymi punktami odwzorowanymi z wielką precyzją. Hotel Balmoral w bieli, ratusz miejski w szarości, zielony prostokąt Padangu, pastelowa szachownica magazynów, a między nimi czarny węgorz, jakim z góry wydawała się rzeka. Na północy nie było już „głębki wyspy”. Zalało ją morze betonu w barwach uznanych za uspokajające. Każdy dystrykt był pomnikiem fatalnego gustu Kennetha. Dominowały łososiowy róż i zieleń wodorostów, kolor jego starego kabrioletu. Te budowle wyglądały z powietrza szkaradniej niż z ziemi. Spustoszenie dżungli okazało się o wiele większe, niż przypuszczałam. Prócz skrawków soczystej zieleni ogrodów botanicznych oraz dwóch rezerwatów przyrody każda zielona plama wydawała się efektem rozmyślnego działania ludzi. Wiedziałam, że większość tych zielonych plam to prywatne pola golfowe dostępne tylko dla najzamożniejszych.

Samolot wznosił się wyżej i wyżej.

Jak mała była ta wyspa w kształcie łzy nawet po sztucznym zwiększeniu jej powierzchni. Na południe od niej leżał inny ląd - większy, porośnięty bujną roślinnością karmiącą się żyzniejszą glebą. Z góry wyglądał, jakby płynął przez cieśninę ku Czarnej Wyspie. Niczym matka, która chce odzyskać dziecko, pomyślałam. A na północy i wschodzie leżały inne wyspy - młodsze, mniejsze i różnorodne, źródła zaraźliwego bogactwa pnączy i ciemnych krzewów gotowych skazić Czarną Wyspę, gdy tylko jej brzegi znajdą się w ich zasięgu.

Niestety, Kennecie, twoja Wyspa osiągnęła stan nasycenia!

Wraz z twoim odejściem straciła swój największy wyróżnik - wrodzony fałsz, wykalkulowane na zimno sięganie po więcej, tak potrzebne maleńkiemu portowi do przemiany w symbol sukcesu. Z góry widziałam, że jej blask przygasa. Naśladowcy oczywiście przejmą ster i będą tworzyli wierne, choć tanie kopie, pozbawieni twojej wizji i energii, a nade wszystko historii, z której się ta wizja i energia zrodziły.

Dałam temu miejscu dwadzieścia pięć lat, góra pięćdziesiąt, zanim znów pochłoną je mokradła.

- Żegnaj, moja nieczysta Wyspo - powiedziałam. - Pomóż mi o sobie zapomnieć.

Mary Maddin jest ze mną. Ostatniej części historii wysłuchała w wielkim napięciu, wyłamując nerwowo palce.

Rano nadal tkwimy na swoich miejscach. Pani profesor ma przekrwione oczy. Albo z braku snu, albo z przejęcia. Całkiem prawdopodobne, że z obu powodów.

- Jak pani znosi mieszkanie w Tokio? - pyta.

- Pomaga mi bariera językowa. Nie przejmuję się ani nie ekscytuję paplaniną wokół mnie. Wszystko zlewa się w jednolity gwar.

W jej oczach pojawia się błysk.

- Mówi pani o paplaninie duchów, tak?

- Mówię o żywych i umarłych. Tak działa umysł. Jeśli czegoś nie rozumie, po prostu to odrzuca. W pewnym momencie życia ciekawość mija. Upodobanie do spotkań towarzyskich słabnie. Jestem starą kobietą, panno Maddin. Przepraszam, pani profesor. W tym życiu zależy mi już tylko na dwóch rzeczach: spokoju i regularności.

- Sądzę, że jest jeszcze trzecia. - Uśmiecha się.

- Mianowicie?

- Potomność. -

- Dzisiaj myślę, że ludzie to przeceniają.

- W porządku. W takim razie nie powinna pani mieć nic przeciwko temu. - Zbiera moje kasety i chowa je do dużych kieszeni żakietu.

- Pod warunkiem, że da mi pani to, co obiecała - mówię i wstaję.

- Oczywiście<sup>^</sup>. - Znowu się uśmiecha. Z innej niewidocznej kieszeni wyjmuje płaskie srebrne pudełko, w jakim trzymało się papierosy, gdy ludzie jeszcze palili. - Do pani zaklęć.

Biorę od niej pudełko. Czy to gest pojednania? Ostrożnie podnoszę wieczko. W powietrze wzbija się chmura drobnego pyłu. Reszta zawartości pozostaje na swoim miejscu. To okruchy i grudki w różnych odcieniach szarości.

Znam tę substancję bardzo dobrze. To prochy zmarłego.

- Nie znałam dobrze ojca - mówi Mary Maddin - ale pomyślałam sobie, że jego prochy mogą go do pani zbliżyć.

Nagle wszystko staje się jasne. Jego prochy, czyli jego duch.

Zamykam pudełko, zdmuchuję pył z rozdygotanych dłoni i przyglądam się jej uważnie, jakbym widziała ją pierwszy raz.

Mam przed sobą żyjącego ducha. Wąskie, blisko osadzone oczy Kennetha. Błada cera i gęste brwi Violet. Wyrachowanie jednego, oburzenie drugiego. Każdy mógł to dostrzec i wyczuć. Dlaczego ja to przeoczyłam?

- Słyszysz mnie pani, Cassandro?

Muszę przycisnąć oba łokcie do tułowia, żeby opanować drżenie rąk. Duch Kennetha, jego prochy, jego dziecko we trójkę wdarli się do mojej fortecy. Tyle zostawił potomności.

- Była pani za bardzo przejęta swoją opowieścią, żeby to zobaczyć? - Agnes Mary Kee kręci głową zniecierpliwiona. - O moim ojcu napisano mnóstwo tekstów, ale wszystkie to albo hagiografie, albo zniewagi. Jest w nich albo bóstwem, albo szatanem, nikim pomiędzy, nigdy po prostu człowiekiem. Rok temu zostałam mianowana szefową Rady Pamięci Narodowej Czarnej Wyspy. Oznacza to, że jestem teraz strażniczką jej historii. Rzecz jasna oficjalnej. Myślę, że tata byłby zachwycony. Ale jak mam strzec narodowej pamięci, skoro w mojej własnej historii jest jeszcze tyle luk? Kiedy byłam mała, pani imię wymawiano w domu szeptem jak przekleństwo. Rodzice nie chcieli zdradzić, kim pani jest, co czyniło z pani jeszcze bardziej tajemniczą postać. Telefon przy spiżarni, którego używał ojciec, był przedłużeniem linii. Słuchałam waszych rozmów na górze. Nie zapomniałam pani głosu, pani imienia, pani ciętych odpowiedzi... Pani Północ. - Agnes Mary Kee się śmieje. - Czy wprawiam panią w zakłopotanie?

- Teraz na to za późno.

- Kiedy tylko pojawiła się taka możliwość, odszukałam panią. Z powodu pani wieku musiałam działać szybko. Pamięć nie jest wieczna. Zostawiałam wskazówki: uszkodziłam pani świętą książkę, dzwoniłam w środku nocy. Te znaki miały skłonić panią do wyznań.

- I przysłała pani ducha swojego ojca.

- To był dodatek. Cieszę się, że zadziałało.

- Czego pani naprawdę chce, Agnes Mary?

Na dźwięk swojego imienia łagodnieje i mówi pojednawczo:

- Mogła go pani powstrzymać. Ocalić go. A nic pani nie zrobiła.

- Pani ojciec i tak by zginął.

Unika mojego spojrzenia. Zbiera się w sobie. Kiedy czuje się gotowa, prostuje plecy, wciąga głęboko powietrze i daje mi znak, bym rozsiadła się wygodnie na kanapie. Wygląda na to, że ona także ma historię powtarzaną i poprawianą przez lata.

- Gdy miałam dziesięć lat, wysłali mnie do Anglii do szkoły z internatem. Mój portret, który widziała pani w naszym domu, został namalowany



tydzień przed wyjazdem. Kopałam i wrzeszczałam, kiedy wsadzali mnie do samolotu. Mama chciała się mnie pozbyć. Miała pani rację, tata nie lubił dzieci. I słusznie pani sądziła, że się ich bał. Czuł, że mogą przejrzeć go na wylot. Mnie lubił, ale to wynikało raczej z próżności. Ja za to go uwielbiałam. Powtarzał, że jestem bardziej jego córką niż mamy, co doprowadzało ją do wściekłości. Ale to nie ma nic do rzeczy. Wysłali mnie do szkoły. W końcu wylądowałam w Balliol, oksfordzkim collegeu ojca. Nie wiem, za jakie sznurki tata musiał pociągnąć, ponieważ nie byłam dobrą uczennicą. Zawsze dręczyło mnie pytanie, czy przyjęli mnie dlatego, że byłam córką Kennetha Kee. Tak czy inaczej, studiowałam tam, wiedząc, ile to dla taty znaczy. Jeśli mnie tam umieścił, wszedł z kimś w ohydny układ, a ja nie chciałam go upokorzyć w oczach tego kogoś, rezygnując z miejsca w Balliol.

- Rozumuje pani jak ojciec - zauważam.

Kiwa głową w roztargnieniu, nie traktując moich słów ani jako komplementu, ani jako ataku.

- Zawsze czułam, że zawadzam. Nawet kiedy przyjeżdżałam do domu na Wyspie na długie wakacje, nikt nie wiedział, co ze mną zrobić. Tata był ciągle zajęty. A mama... hm, mama była smutnym przypadkiem. Nie mogę powiedzieć, że szaleńczo tatę kochała, raczej traktowała go z nabożną czcią i pozwalała mu odzywać się do siebie jak do półgłówka. Przykro było na to patrzeć. W końcu nawet ja zaczęłam nią gardzić. Po studiach i zdobyciu tytułu, którego tata nigdy nie zdobył, postanowiłam znaleźć pracę w Europie i tam zostać. W ten sposób oszczędziłabym sobie uwięzienia w rodzinnej... dysfunkcji. Przeniosłam się do Londynu. Wiodłam normalne życie, co bardzo sobie ceniliśmy. Skończyło się trzydziestego pierwszego października tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku, w Halloween. Zadzwoniła matka. Urządzałam wtedy przyjęcie. Byłam przebrana za ducha i straszliwie zalana. Za ducha! Co za ironia losu. Poleciałam na pogrzeb państwowy. Zamknięta trumna, wazelinarskie przemowy jego wrogów. Obrzydliwość. Mama sama przypominała trupa. Wyglądała jak mumia. Większość reporterów początkowo nawet jej nie rozpoznała, ponieważ bardzo długo pozostawała w cieniu.

Po pogrzebie utknęłam w domu jak w pułapce. Bez taty, który swoją obecnością wypełniał wszystkie pokoje, zostałyśmy we dwie i ta pustka nami wstrząsnęła. Wtedy poczułam, że on naprawdę odszedł. Mama przez cały czas płakała, ale to były łzy wściekłości. Nigdy nie widziałam jej tak wściekłej, jak wieczorem po pogrzebie. Przeklinała diaboliczną nadnaturalną siłę, która od lat próbowała zniszczyć naszą rodzinę, przeklinała czarownicę,

która zabiła tatę. Wtedy znowu pojawiło się tajemnicze nazwisko, jakie pamiętałam z dzieciństwa: Pani Północ.

Moja matka, o czym pani zapewne wie, nigdy nie piła. Ale tamtego wieczoru otworzyła wszystkie butelki szampana, jakie zostały po tacie. Siedziałyśmy przy stole w jadalni i piłyśmy. Tylko my dwie, praktycznie obce sobie kobiety, otoczone kilkudziesięcioma butelkami Dom Perignon, w domu, który z każdą chwilą wydawał się coraz bardziej ponury. Opróżniając kolejne butelki, mama udzieliła mi lekcji historii. Opowiedziała, jak przebiegle uwiodła pani jej naiwnego brata, żeby wejść do rodziny. Jak podczas wojny, kiedy jej ojciec robił co mógł, by chronić rodzinę, pani sprowadziła Japończyków do domu. Obwiniła panią o śmierć ojca i brata. Powiedziała, że gdyby nie pani, nie musiałyby cierpieć przez trzy lata w...

Po wojnie znalazła pocieszenie w Kościele, ale nawet wtedy nie zostawiła jej pani w spokoju. Pojawiała się pani bez zaproszenia na rodzinnych uroczystościach niczym zła wróżka z bajki. Do tego jeszcze ta pani szczególna przyjaźń z tatą...

To pani była przekleństwem naszej rodziny. Śmierć taty utwierdziła mamę w przekonaniu, że jest pani o wiele bardziej niebezpieczna, niż jej się wydawało. Przecież zamordowała pani premiera. Mama była przekonana, że ona i ja będziemy następne. „Nie pozwól jej wygrać”, wyszeptala mi tamtego wieczoru do ucha, chwytając mnie lodowatymi dłońmi. Nie daj się tej kobiecie. To demon.

Kiedy opadła z sił, błagała mnie, żebym została z nią na noc i spała po stronie taty. Nie chciała być sama w pokoju. Mówiła, że dom jest nawiedzony, że wszędzie widzi cienie, że potrzebuje przytulenia i pieczyoty. Wtedy miała już zachrypnięty głos, tusz do rzęs spływał jej po policzkach. Byłam przerażona. Myślałam, że oszalała. Oczywiście odmówiłam. Wtedy zaczęła mnie błagać, żebym pozwoliła jej spać w moim łóżku. Tego też jej odmówiłam.

Kazałam jej zapalić wszystkie światła w sypialni i wziąć tabletkę nasenną. Wiedziałam, że ma ich mnóstwo. Wszystkie żony polityków używają tego na potęgę. Spałam w moim starym pokoju. W nocy poczułam, jak przez dom przebiega lodowate drzenie. Nie umiem tego inaczej opisać. Musnął mnie jakiś podmuch, dostałam gęsiej skórki. To był mój pierwszy i jak dotąd jedyny kontakt z czymś nadnaturalnym. Coś mnie tknęło. Pobiegłam do pokoju mamy. Paliły się wszystkie lampy, było jasno jak w dzień. I wtedy ją zobaczyłam: zwiślała z żyrandola.

Wydałam stłumiony okrzyk. Nie wiedziałam. Nawet się nie domyślałam. Biedna, zapiekła w nienawiści i wściekłości Vi.

- Nie dziwię się, że pani o tym nie słyszała - ciągnie Mary. - Cała sprawa została zatuszowana. „Tribune” poinformowała o jej śmierci wiele dni później. Napisali, że umarła na atak serca wywołany tęsknotą za wspaiałym mężem. Ten „fakt” stał się elementem naszej narodowej tradycji. Tradycji, której mam teraz strzec.

Wróciłam do Anglii jako sierota. Okazało się, że ojciec siedział po uszy w długach. Utopił pieniądze w niektórych dużych przedsięwzięciach na Wyspie. Pewnie liczył na wielkie zyski. Był jednak politykiem, nie biznesmenem. Spodziewał się, że odziedziczy pieniądze po matce, ale pani już zna koniec tej historii: wszystko, co jej zostało, przelała na pani konto.

Milknie, by dotarł do mnie sens tych słów. I dociera. Odczuwam go bardzo boleśnie. Pochyliłam się do przodu, chcąc dotknąć jej ręki, ale odsuwa się ode mnie.

- Nasz dom przeszedł na własność państwa. Nikt nie pytał o córkę premiera, ponieważ tata nigdy o mnie nie mówił. Może gdybym była synem, wszystko ułożyłoby się inaczej. Jako córka właściwie nie istniałam. Ci, których widziała pani na moim chrzcie, nie pamiętali mnie. Ludzie na Wyspie mają bardzo krótką pamięć.

Ciężko pracowałam, żeby wszystko naprawić. Wtedy też zainteresowałam się przeszłością. To, co mówiłam o sobie i swojej pracy, jest prawdą. Wy-specjalizowałam się w historii Czarnej Wyspy. I czekałam na odpowiedni moment. Kiedy powstała Rada Pamięci Narodowej, poczułam, że najwyższy czas odzyskać należne mi miejsce. Myślałam, że w końcu odnajdę tę Panią Północ i wyjaśnię tajemnicę śmierci taty. Naturalnie członkowie Rady z otwartymi ramionami powitali córkę wielkiego, nieodżałowanego Kennetha Kee. Kiedy powierzyli mi funkcję prezesa, jak zwykle pojawiła się dokuczliwa myśl, czy chodzi o moje kwalifikacje, czy o rodzinne powiązania. Tym razem jednak postanowiłam nie tracić czasu na wątpliwości. Nikt prócz mnie nie wiedział o Czarnej Wyspie tak dużo.

Mój mąż, porządny Kanadyjczyk, który nazywał się Ernest Maddin, zostawił mnie po pięciu latach małżeństwa. Na szczęście nie mieliśmy dzieci. Powiedział, że jestem opętana, nawiedzona przez jakieś wyimaginowane demony. Ale ja przecież słyszałam pani głos w słuchawce. Wiedziałam, że pani jest prawdziwa. Poza tym, prawdę mówiąc, moja matka nie miała tak bujnej wyobraźni, żeby panią wymyślić.

W końcu się spotkałyśmy. Cień z cieniem. Niech się pani nie obawia, nie przyszłam w imieniu narodu szukać zemsty za zamordowanie przywódcy. Jestem tutaj z czysto egoistycznych pobudek.

Korci mnie, by zaprotestować przeciwko insynuacjom o morderstwie, ale kontakty z innymi mrocznymi duszami nauczyły mnie, że muszę pozwolić jej się wygadać.

- Pamiętam nawet panią z mojego chrztu. Nie widziałam pani, ale wyczułam pani obecność. Moja matka była wtedy bardzo niespokojna. Po tamtym dniu nigdy już nie była taka sama. Z dzieciństwa pamiętam ją jako wiecznie roztrzęsioną paranoiczkę, która ciągle oglądała się za siebie. Kiedy wychodziłyśmy z domu, trzymała mnie ze wszystkich sił przekonana, że ktoś mógłby mnie porwać. Znacznie później zrozumiałam, że bała się właśnie pani. Znowu Pani Północ. Miała pani na ojca wpływ, o jakim moja matka mogła tylko marzyć. Dlatego ciągle czuło się pani obecność. Pani Północ, Pani Północ, Pani Północ...

Wyjmuje z kieszeni kilka chusteczek higienicznych, rozkłada je i chowa w nich twarz.

- Cieszę się, że poznałam pani wersję tej historii, Cassandro, ale nie mogę pani wybaczyć... Mam nadzieję, że pani to zrozumie.

Czekam, aż jej łzy obeschną.

- Przykro mi, moja droga.

Udaje, że nie słyszy. Usuwa z twarzy drobinki chusteczek i spogląda na zegarek. Kiedy znowu się odzywa, ton jej głosu jest zupełnie inny: przerażająco beznamiętny, jak przystało na urzędnika państwowego z Czarnej Wyspy.

- Powinna pani spakować niewielką torbę podróżną.

- Po co?

- Zabieram panią w inne miejsce, musi pani zmienić otoczenie.

- A jeśli odmówię?

- - Pani wola. Nie będę pani do niczego zmuszała. Ale kiedy powiedziałam, że mam to, czego pani szukała, i że to uczciwa wymiana, nie miałam na myśli prochów.

- W takim razie o czym pani mówiła?

- Proszę włożyć płaszcz. Tam będzie zimno.

Jedziemy taksówką na tokijski dworzec, osobliwą budowlę z czerwonej cegły w stylu neopalladiańskim pośród szkła i stali dystryktu Marunouchi. Przywodzi na pamięć niektóre kolonialne budynki na Czarnej Wyspie, tyle że to dzieło Japończyków. Wygląda jak postawiony wczoraj przez producenta domów dla lalek.

Nigdy tu nie byłam. Nie czułam potrzeby opuszczania tego miasta.

Agnes Mary Kee prowadzi mnie na peron, z którego odjeżdża superszybki Shinkansen, jeden z tych cudów techniki, który najeżoną trudami podróż po historycznej drodze Tokaido, rozstawionej drzeworytami Hiroshige, skrócił zaledwie do trzech godzin. Przez chwilę boję się, że Agnes Mary chce wepchnąć mnie pod nadjeżdżający pociąg, ale na szczęście to tylko wytwór mojej wyobraźni. Wsiadamy do wagonu. Shinkansen odjeżdża punktualnie.

Zmierzamy na południowy zachód.

Fotele są twarde, a toalety czyste. Typowa Japonia, ale nie narzekam. Wbijam wzrok w płataninę kabli telefonicznych i bloków mieszkalnych charakterystycznych dla przedmieść ciągnących się wiele kilometrów za Tokio. Czekam na zmianę scenerii. Hiroshige-san obiecał mi Fudzijamę. Fudzijamę jeszcze przed śmiercią.

- Zostawiła pani niewiele wskazówek, Cassandro. Pewnego dnia skontaktowałam się z Biblioteką Zbrodni Wojennych w Tokio i odkryłam, że bywa tam pani regularnie. Co miało sens. Pani nigdy nie odpuszcza.

- Pani też.

Agnes Mary Kee spogląda z uśmiechem w okno.

W oddali ponad dachami domów w bezimiennych wioskach wylania się góra Fudzi niczym srom Matki Ziemi, o siwych, zaczesanych gładko włosach. Towarzyszy nam przez dobrą chwilę. Widok jej śniegowej czapy wywołuje we mnie dreszcz. Kiedy zostawiamy ją za sobą, zaczyna się prawdziwy krajobraz - okryte śniegiem górskie zbocza. Wjeżdżamy w strefę zamieci, od uderzeń smagającego wiatru trzęsie się cały wagon.

Kiedy docieramy do Kioto, powietrze jest już czyste, ale nadal lodowate. Od mrozu Agnes różowieją policzki - jak u dziecka ze starej chińskiej litografii. Odnajduję w niej więcej podobieństwa do Daniela niż do Violet. Czuję do niej osobliwą tkliwość. Przecież jesteśmy prawie rodziną. Poza tym obie stanowimy ostatnie ogniwo linii rodu.

Moja towarzysza zatrzymuje taksówkę i wręcza kierowcy kartkę z adresem. Mężczyzna kiwa głową i rusza. Wkrótce moje polowanie dobiegnie końca, taką przynajmniej złożyła obietnicę.

Kioto jest stare i spokojne. To nie tylko anagram Tokio, ale jego lustrzane odbicie. Przez miasto przepływa rzeka Kamo, wzdłuż której stoją stare drewniane domy i sklepiki z pochyłymi dachami. Każdy przypomina małą świątynię. Wiele z nich to prawdziwe sanktuaria poświęcone dziełom ludzkich rąk: krakersom ryżowym, kadzidłom z drewna sandałowego, sproszkowanej zielonej herbacie. Od dawna sądziłam, że fundamentem Tokio są jego niezliczeni mieszkańcy po osiemdziesiątce, ale Kioto to prawdziwe miasto

staruszków. Bezzębni i przygarbieni, zaludniają każde przejście dla pieszych, samodzielnie i żwawo poruszając się w drewniakach. Ani śladu uzalania się nad sobą. Może dlatego właściwie nie ma tu duchów.

Wysiadamy na obrzeżach miasta w spokojnej dzielnicy świątyni rzeźbię oświetlonej latarniami. Niebo zachmurzyło się złowieszczo. Agnes prowadzi mnie ulicą wzdłuż muru ku wysokim czerwono-pomarańczowym wrotom. Za nimi rozciąga się rozległy ogrodzony teren z długimi, krytymi dachówką budynkami i skalnym ogrodem. Idealnie przycięte sosny strzelają w górę z idealnie wyznaczonych miejsc w kamiennym podłożu.

Rozglądam się i widzę napis: ŚWIĄTYNIA SANJUSANGENDO.

- Czy to pielgrzymka? - pytam. - Od dawna nie jestem religijna.

- Nikt nie każe pani się modlić, Cassandro. Wręcz przeciwnie. Dochodzi szesnasta, godzina zamknięcia, odpowiadająca porze zachodu

słońca, chociaż gęste chmury nie pozwalają tego zobaczyć. Wychodzący turyści i pielgrzymi płyną obok nas nieprzerwanym potokiem, pozdrawiając nas skinieniami głowy i uśmiechami. Po chwili teren pustoszeje. Gdzieś widać jeszcze kilka postaci w samurajskich strojach, ale ich nie liczę. Na pewno pozostaną tu jeszcze długo po zamknięciu wrot.

Z niewidocznego dla nas sanktuarium dobiega miarowa modlitwa wyprawiana w rytm gongów. Mnisi.

Zazdroszczę im niezmaconego spokoju.

Z jednego z krótszych drewnianych budynków wychodzi mnich w szafranowej szacie. Nawet na nas nie zerka, tylko zaczyna grabić teren. Za budynkiem, z którego wyszedł, widzę skupisko kamiennych nagrobków.

- Idziemy tam? - wskazuję je, idąc za wewnętrznym głosem.

- Jeśli pani chce.

Ruszamy wolnym krokiem, ponieważ boleśnie czuję żwir pod stopami. Wreszcie docieramy do świątynnego cmentarza. Kamienie tworzą idealne bloki, na niektórych widać długie drewniane tablice pokryte życzeniami. Szukam wśród nich znajomego imienia, które spodziewam się znaleźć, ale znaki kanji są wyrzyte zbyt blisko siebie i nie mogę ich odczytać.

- Który to jego nagrobek? - pytam.

- Nie ma tu tego, czego pani szuka - odpowiada Agnes. - Te nagrobki są zbyt stare i zbyt cenne. Świątynie wzniesiono w tysiąc sto sześćdziesiątym czwartym roku dla cesarza, który zrezygnował z tronu. - Wskazuje najdłuższy budynek, mający z pewnością ponad sto metrów. - Stoi tam tysiąc jeden złotych posążków Kannon, bogini miłosierdzia. Są naprawdę wspaniałe. Szkoda, że przyjechałyśmy tu za późno i nie zdążyłyśmy ich obejrzeć.

- Widziałam je - mówię. - Niedawno w telewizji. W tutejszych sklepikach można kupić amulety chroniące przed bólem głowy, figurki gwarantujące dobre oceny na egzaminach. Wygląda na to, że tutejsi bogowie są przekupni.

Agnes Mary odchrząkuje.

- Tak czy inaczej, nie przywiozłam tu pani na wycieczkę krajoznawczą.

- Taką mam nadzieję.

Kiedy przechodzimy obok krótkiego budynku, mój wzrok znowu przyciąga samotna sylwetka mnicha w szafranowej szacie i grubych białych skarpetach. Wygląda jak relikwiarz innego milenium. Dopiero teraz widzę, że jest bardzo stary i chudy jak szkielet. Takiego losu - pracy fizycznej aż do śmierci - zawsze się bałam, ale on sprawia wrażenie szczęśliwego. To nirwana czy odmiana japońskiej perwersji?

Ma chude jak gałązki brązowe ręce, ale ściska nimi grabie z młodzieńczą krzepą. Zdecydowanymi ruchami zgrabia ze ścieżki zbłąkany żwir z powrotem na kamienne kręgi, z których wyrastają sosny. Nie wygląda na człowieka, który kiedykolwiek miał problemy z kręgosłupem. To właściwie nie człowiek, lecz chodząca esencja mądrego spokoju, który należałoby wydestylować, rozlać do buteleczek i sprzedawać w świątynnym sklepiku z pamiątkami.

- Widzi pani to, co chciała zobaczyć? - pyta Agnes.

Kieruję się w jego stronę. Chociaż dzieli nas niespełna dwadzieścia metrów, ciągle nie zauważa naszej obecności. Jest pochłonięty czymś innym: wsłuchiwaniami się w modlitwę współbraci. Ciało, które widzimy na dziedzińcu, jest tylko wehikułem. Stopniowo układam w całość elementy rysów jego twarzy: wydatne kości policzkowe, prosty pekiński nos, skośne opadające powieki, skrywające aroganckie kiedyś spojrzenie. Przygarbiona sylwetka wskazuje, że w młodości był wyższy.

I ręce, które kiedyś mnie były, obejmowały, pieściły, a potem znowu były.

Taro. Mój Boże, to naprawdę on.

Czuję mdłości. Agnes Mary naprawdę go odnalazła! Dlaczego się dziwię? Przecież odnalazła również mnie. Agnes się uśmiecha.

- Podpułkownik Rukumoto. To z jego powodu odwiedzała pani co tydzień archiwum, prawda? Szukała pani zemsty.

- Miałam przecucie. Tylko przecucie - te słowa z trudem przechodzą mi przez gardło. - Jest stary. Bardzo, bardzo stary.

Serce łomocze mi jak oszalałe.

To prawda, że szukałam go przez cały czas. Widziałam, jak dom na plaży staje w płomieniach, a jednak nigdy nie spotkałam ducha Taro. Niewielu rzeczy na świecie byłam pewna bardziej niż tego, że człowiek pokroju Taro będzie miał ducha, i to bardzo złego. Szukanie jego samego, czemu towarzyszyła obietnica odwetu, albo potwierdzonych informacji o jego śmierci - co niesło obietnicę ulgi - dodawało mi sił i mobilizowało w późniejszym życiu. Stało się swoistym rytuałem, kiedy gniew osłabł. Mimo wszystko nigdy nie sądziłam, że naprawdę go odnajdę, a już na pewno nie za sprawą Agnes Mary.

Tylko czy z jej strony był to rzeczywiście gest pojednania?

- Pani nie zapomina i nie wybacza, prawda, Pani Północ?

Agnes jest teraz inna. W jej oczach widzę surowość w czystej postaci. Wraca pogarda w jej głosie. Wiem, że nie musiała sięgać głęboko, by ją w sobie odnaleźć. Odziedziczyła po ojcu talent do zniewag, którymi posługuje się jak bronią.

Nie razi mnie to. Akceptuję gniew tej nieszczęsnej pozbawionej ojca kobiety, ponieważ stoimy tutaj - smagane zimnym wiatrem pod posepnym ołowianym niebem - i patrzymy na człowieka, którego uczynki zmieniły nas w potwory. Jeśli to nie przypieczętuje naszej dziwnej więzi, to nie wiem, co innego mogłoby to sprawić.

- Dowiedzenie się czegoś o ojcu było moim prywatnym przedsięwzięciem. Pani mi pomogła. W zamian ofiaruję możliwość realizacji pani planu.

Wyjmuje z kieszeni stary, obrzędowy, bardzo ostry keris, prawdopodobnie ukradziony z muzeum. Wcisną mi w dłoń rękojeść.

- No, dalej. Chce go pani ukarać, prawda? - Łapie mnie za ramiona i obraca, aż stoję twarzą do nieobecnego duchem mnicha. - To ostateczne rozstrzygnięcie między potępieńcami. Nikt nie będzie za wami tęsknił, niech mi pani wierzy.

Zaciskam zmarzniętą dłoń na rękojeści i czuję, jak przez moje ramię przepływa impuls elektryczny. Tak objawia się pokusa - zimno, mrowienie, sztywność.

Mam stuletniego Taro na wyciągnięcie ręki. Wygląda tak łagodnie, że zastanawiam się, czy w ogóle stawiałby opór. Czy rozpoznałby mnie, żalostną staruchę w wieku osiemdziesięciu ośmiu lat, która atakuje go za zbrodnie popełnione przed siedemdziesięcioma laty? Nasze geriatryczne *pas de deux* stałoby się zaczynem legendy. Albo komedii.

Patrząc na kruchego i lekko ubranego Taro z grabiami w rękach jestem skłonna uwierzyć, że sam się tu zamknął w oczekiwaniu na takie właśnie dopełnienie jego losu. Japońska perwersja.



- No, dalej - powtarza szeptem Agnes.

Opowiadanie Agnes swojej historii obudziło we mnie wściekłość i żądzę krwi. Czy słuchała mnie właśnie dla tej chwili?

Wystarczy jeden szybki precyzyjny ruch, podcięcie gardła, a naprawię krzywdy sprzed siedemdziesięciu lat. Zrobię to dla Daniela, odebranego mi przedwcześnie, dla taty, dla pana Wee, nawet dla Violet. Prócz tej, która powierzyła mi to zadanie, nie będzie żadnych świadków.

Spójrz na tego łajdaka, Cassandro. Pomyśl o umarłych. Oto twoja szansa.

Robię kilka kroków, buddieski żwir chrzęści mi pod stopami.

Z moich ust wydobywają się obłoki pary. Zaciskam mocno palce na rękojeści, starając się pokonać nieprzyjazny chłód materii.

Mnich grabi w niezmiennym rytmie. Nie odrywa oczu od ziemi. Albo otwiera je na cały wszechświat, albo je przed nim zamyka - nie umiem tego rozstrzygnąć.

Nagle przestaje i się odwraca. Serce podchodzi mi do gardła. Czyżby mnie zobaczył? Nie, mnich zadziera głowę.

Nad nami drży niebo. Ciężkie chmury strząsają się z siebie srebrzyste drobinki. Świat przesłania śnieżny woal.

Twarz starego mnicha ożywia chłopięca radość. W jego oczach zapala się iskierka, jakiej nigdy u niego nie widziałam. Wysuwa różowy język najbardziej jak może. Łapie kilka płatków i zamyka usta, delektując się ich chłodem. Prawie czuję jego myśli. Nie wita się, to jego pożegnanie.

Odwracam się do Agnes.

- To nie on.

Śnieg sypie coraz intensywniej, lecz wokół niej płatki tylko wirują, żaden nie opada. Rozgorączkowana wytwarza wokół siebie własny klimat. Odmawia pociechy, odrzuca pokój. Jej oczy szklą się łzami. Nie pozwala im spłynąć po twarzy.

Wkładam keris w jej miękkie dłonie.

- Już nie - dodaję.

Rozdzielamy się na dworcu w Kioto. Najpierw jednak wymieniamy uścisk rąk jak wrogowie przed pojedynkiem. Zanim wypuszczę jej dłoń, przyglądam się dokładnie jej palcom. Opuszki ma niezwykle gładkie, bez linii papilarnych.

- Tata zawsze powtarzał, że to dar - mówi Agnes Mary. - Dla mnie to było przekleństwo. Jedna z niewielu rzeczy, co do których się różniliśmy.

- Pani ojciec... Dziękuję, że przybliżyła mi go pani ostatni raz.

Jej ściągnięta twarz łagodnieje. Ciekawość i nadzieja - nie, pragnienie - ożywia jej wzrok. Widzę w niej odrzuconą dziewczynkę, która jest zdolna do strasznych czynów, byle tylko odzyskać uczucie ojca. Nawet po jego śmierci.

- A tak na marginesie - zaczyna, siląc się na obojętność - czy on coś mówił?

- Tak. - Ponieważ ta zagubiona kobieta przyniosła mojej duszy spokój, kłamie: - Powiedział mi, że była pani jedyną osobą, którą naprawdę kochał.

Przygryza wargi i się uśmiecha.

- Dziękuję pani. Ale on nigdy nie użyłby tego słowa.

Próbuję przeciągnąć nasze pożegnanie, uświadomić jej, że jesteśmy prawie rodziną. Mogłaby być moją córką. Byłam prawie jej ciotką.

- Spotkamy się jeszcze?

- Pani i ja? - Agnes Mary kręci głową. - Mam nadzieję, że nie.

- Agnes, chciałabym, żeby mi pani wybaczyła. Odpuściła sobie całą tę historię. Moje słowa pozostają bez odpowiedzi.

Odprawia mnie na Shinkansen do Tokio i stoi na peronie, czekając na odjazd pociągu. Bezgłośnie mówi mi „Dobranoc”, a potem jej twarz na powrót staje się zimna i obca. Znałam jej ojca zbyt dobrze, żeby uznać to za wyraz obojętności. Nie wiem jednak, czy Agnes Mary Kee zostaje w tym mieście świątyni, by spalić kasety i pochować prochy ojca, gdy tylko zniknę z pola widzenia.

Za oknem pociągu widzę tylko nieprzenikniętą ciemność, a w szybie własne odbicie, zielonkawe i blade w bezlitosnym świetle wagonowych lamp. Bolą mnie oczy. Zostałam nawet pozbawiona widoku Fudzijamy.

Noc zapadła wcześniej, a wraz z nią spłynęła na mnie przygnębiająca prawda.

Taro był wyczerpanym życiem pokutnikiem. Zabicie tego odmienionego człowieka skazałoby mnie na wieczną nienawiść do samej siebie i wyrzuty sumienia. Spełniłaby się groźba Kennetha - z powodu niewybaczalnych czynów stałabym się duchem, tak jak on.

Agnes jest bystra, ma po ojcu szósty zmysł, umiejętność wyczucia konsekwencji działań. Czy na tym miała polegać straszna kara, jaką dla mnie obmyśliła? Nigdy się tego nie dowiem. Moja odmowa pozbawiła jej historię oczekiwanego zakończenia. Będzie musiała wymyślić jego szczęśliwszy wariant.

Rozglądam się po wagonie. Co ona powiedziała? „Nikt nie będzie za wami tęsknił, niech mi pani wierzy”. Pijany sprzedawca chrapie, staruszki

skubią kulki ryżowe, młody mężczyzna drzemie z łyżworolkami na kolanach. Agnes miała rację, żadne z nich nie będzie za mną tęskniło.

Niechaj i tak będzie. Mój kres nastąpi. Bez względu na to, kiedy, gdzie i jak, czynię postanowienie, że odejdę spokojnie. Opowiedziałam swoją historię. Nie zmienię się w ducha.

Kiedy dotrę do domu, uczczę to koniakiem, czekoladą i dobrą książką. Będę smakowała każdy łyk, każdy kęs, każde słowo. A potem wreszcie zamknę oczy.

Na dworcu w Tokio toruję sobie drogę przez tłum. Są godziny szczytu, zagarnia mnie nieskończona fala garniturów w prążki, spływająca z okolicznych biurowców na stację kolei podziemnej. Nie mogę dotrzymać im kroku. W końcu za obrotową bramką, u szczytu ruchomych schodów staję, pozwalając innym ocierać się o mnie, potrącać, przeklinać za starość, powolność, głupie tarasowanie drogi, ponieważ uosabiam wszystko, czego się boją: nagły, niewytłumaczalny, nienormalny bezruch.

Ale Bóg mi świadkiem, że dawno nie czułam się taka ożywiona!

Oddycham głęboko i pozwalam, by schody powiozły mnie w dół.

\*\*\*

## ŹRÓDŁA

Oto niektóre książki, z których korzystałam w poszukiwaniu informacji i inspiracji.

O mrocznych eksperymentach i badaniach prowadzonych przez armię japońską podczas drugiej wojny światowej:

Hal Gold, *Unit 731 Testimony*, Yenbooks, Tokio 1996 oraz

Daniel Barenblatt, *A Plague Upon Humanity: The Secret Genocide of Axis Japans Germ Warfare Operation*, HarperCollins, Nowy Jork 2004

o wojnie na Pacyfiku z brytyjskiej perspektywy:

Christopher Bayly i Tim Harper, *Forgotten Armie: The Fall of British Asia 1941-1945*, Belknap Press, Harvard, Cambridge 2005 Na japoński mit o Kiyohime natknęłam się pierwszy raz w książce przedstawiającej drzeworyty Taiso Yoshitoshiego (1839-1892): John Stevenson, *Yoshitoshi's Strange Tales*, Hotei, Amsterdam 2005

i wreszcie ostatnia, ale nie mniej ważna od poprzednich, encyklopedyczna antropologiczna perełka:

Walter William Skeat, *Malay Magic: Being an Introduction to the Folklore and Popular Religion of the Malay Peninsula*, Dover, Nowy Jork 1967

## PODZIĘKOWANIA

Adresatami moich szczególnych podziękowań są:

John Powers - ukochany mąż, moja inspiracja i opoka , Mitch Hoffman - błyskotliwy i oddany wydawca Barbara Braun - moja agentka, oraz John F. Baker - istni cudotwórca Mark E. Doten - cudowny chłopiec, który wyłowił mnie z bagna Jessica Levin - moja pierwsza „cywilna” cheerleaderka Patricia Williams, Kathleen Clark i FuzzCo, którzy próbowali sprawić, żebym dobrze się prezentowała Anne Twomey - projektantka obwoluty oraz:

Kim Hoffman, Lindsey Rose, Siri Silleck, Carrie Andrews i wszyscy pozostali w Grand Central/Hachette, którzy ciężko pracowali, by ten gruby tom ujrzał światło dzienne.

Nieodłączny Nico oraz koty, które wpadały w odwiedziny: Pheeb, Snugs, Spike, Zero, Minnie, Momo (Mokes), Katara, Lill, Taco i nieżyjący już Bandit.

Wspaniali przyjaciele, którzy współpracowali przy przygotowywaniu zwiastuna mojej książki: Marijke van Kets, Lucas Jodogne, Carla Dunareanu, Jeremy Haik oraz Hannah Mir Jayanti. Dziękuję! Ci, którzy obdarzyli mnie mądrością i życzliwością w przeszłości: Philip Cheah, Pierre Rissient (Gwiżdżący Wąż), Melissa Franklin, Gretchen i Barry Mazurowie, Steve Ericsson, Richard Pena, Laurie Ochoa, Rey Buono (nauczyciel dramatu w szkole średniej, z którym nieustannie się spierałam) i wszyscy w redakcji dodatku „Life!” do „Straft Time”, kierowanego przez Richarda Lima i T. Sasitharana, kiedy byłam tam nowicjuską piszącą o filmach - nigdy o was nie zapomniałam. Jesteście moimi ulubionymi duchami.